

TOM CLANCY

DEKRET

TOM PIERWSZY

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Przeprosiny	6
Podziękowania	8
Prolog — Zaczynamy od zaraz	9
1 — Początek	57
2 — Przedświt	103
3 — Śledztwo.	138
4 — A życie płynie	187

5 — Przygotowania	226
6 — Egzamin	266
7 — Publiczny wizerunek	298
8 — Zmiana dowództwa	337
9 — Wycie z oddali	382
10 — Polityka	416
11 — Małpy	450
12 — Prezentacja	497
13 — Wyzwanie	536
14 — Krew w wodzie	571
15 — Dostawy	606
16 — Iracki przerzut	653
17 — Odrodzenie	689
18 — Ostatni gasi światło	740
19 — Recepty	786

20 — Nowa administracja	819
-----------------------------------	-----

*Ronaldowi Wilsonowi Reaganowi,
czterdziestemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych,
człowiekowi, który wygrał wojnę,
książkę tę poświęcam.*

Przeprosiny

W pierwszym wydaniu „Bez skrupułów” znalazł się fragment wiersza, który trafił do mnie przypadkiem, i którego tytułu ani nazwiska autora nie byłem w stanie ustalić. Wiersz ten wydał mi się idealny jako epitafium dla mojego przyjaciela Kyle’a Haydocka, który zmarł na raka w wieku 8 lat i 26 dni — dla mnie zawsze będzie z nami.

Później dowiedziałem się, że tytuł tego wiersza brzmi „Ascension”, a autorką tych wspaniałych strof jest Colleen Hitchcock, niezwykle utalentowana poetka z Minnesoty. Chciałbym skorzystać z okazji i polecić jej wiersz wszystkim studentom literatury. Mam nadzieję, że jej poezja wywrze na nich równie wielkie wrażenie, tak jak to się stało w moim przypadku.

*Zanoszę, modły pod niebiosa, by obdarzyły swym
błogosławieństwem ten dom i wszystkich, którzy po mnie w jego
progi wstąpią. Oby mędracy jeno i ludzie cnotliwi rządzą spod
tego dachu.*

John Adams, drugi prezydent Stanów Zjednoczonych.

(fragment listu do żony, Abigail Smith Adams,

z 2 listopada 1800 roku, tuż po przeprowadzce do Białego Domu)

Podziękowania

I znowu potrzebowałem pomocy wielu ludzi: Mike'a, Dave'a, Johna, Janet, Curta i Pat ze szpitala Uniwersytetu imienia Johna Hopkinsa, Freda i jego kumpli z Tajnej Służby, Pat, Darrella i Billa, którzy zęby zjedli w FBI, Freda i Sama, którzy przez tyle lat szczylic się służbą w swoich mundurach oraz H.R., Joe, Dana i Douga, którzy nadal to robią. To dzięki takim ludziom Ameryka jest nadal sobą.

Prolog — Zaczynamy od zaraz

To chyba musi być objaw szoku, pomyślał Ryan. Wydawało mu się, że siedzi w nim dwu ludzi naraz. Jeden z nich wyglądał przez okno biura CNN w Waszyngtonie i patrzył w osłupieniu na pożar, trawiący ruiny Kapitolu. Żółte języki wyskakiwały raz po raz w niebo z pomarańczowej kuli, niczym koszarne ornamenty na mogile ponad tysiąca ludzi, których niespełna godzinę wcześniej pochłonęły płomienie. Rozpacz na razie tłumilo odrętwienie, ale wiedział, że i na nią przyjdzie czas — tak jak ból przychodzi w chwilę po ciosie w twarz, a nie w momencie jego zadania. Po raz kolejny śmierć spojrzała mu w oczy. Widział, jak przyszła, jak wyciągnęła rękę, jak zawahała się, by

się wreszcie wycofać. Całe szczęście, że dzieci nie wiedziały, jak bliskie przedwczesnego końca było ich życie. Dla nich był to po prostu wypadek, coś czego nie rozumiały. Tuliły się teraz do matki, ciesząc się iluzorycznym bezpieczeństwem, podczas gdy tata musiał gdzieś iść. Znowu jedna z tych sytuacji, do których oboje zdążyli już przywyknąć, choć nie polubić. I oto John Patrick Ryan stał przy oknie i patrzył na zgliszcza, które pozostawiła po sobie śmierć.

W tym drugim Ryanie ten sam widok przywoływał inne myśli. Wiedział, że należy coś zrobić, lecz choć starał się zmusić mózg do logicznego myślenia, nie miał pojęcia, od czego zacząć.

— Panie prezydencie — usłyszał zza pleców głos Andrei Price, agentki Tajnej Służby.

— Tak? — odparł Ryan po dłuższej chwili, gdy zorientował się wreszcie, że mówiono do niego. Nie odwracając się od okna, popatrzył na odbicie w szybie. Zobaczył Andreę i jeszcze sześciu agentów Tajnej Służby z bronią gotową do strzału. Przed nimi, za drzwiami stołówki biura CNN tłoczył się pewnie tłum dziennikarzy. Jedni przyszli tu z zawodowego obowiązku, inni z czystej ciekawości, by zobaczyć na własne oczy,

jak tworzy się historia. Zastanawiali się, co by zrobili na jego miejscu, zupełnie jakby dla niego to wydarzenie miało jakieś inne znaczenie niż dla nich. Umysł każdego człowieka, postawiony nagle przed niepojętym, przed śmiercią na skutek wypadku samochodowego czy ciężkiej choroby, będzie na próżno usiłował zracjonalizować tragedię wydarzenia. Im cięższy początkowy szok, tym dłużej trwa proces konsolidacji myśli. Ryan miał na szczęście wokół siebie ludzi przeszkolonych do właściwego reagowania w takich sytuacjach.

— Panie prezydencie, musimy pana przewieźć. . .

— W bezpieczne miejsce? Ciekawe gdzie? — zapytał Jack, zaraz w myśli karcąc się za okrutny wydzwitek tego, co powiedział. To nie była wina Tajnej Służby. W tamtym koszmarnym stosie płonęły ciała co najmniej dwudziestu kolegów i koleżanek ludzi, którzy teraz byli razem ze swoim nowym prezydentem w tej sali. Nie miał prawa przelewać swych żalów na nich. — Gdzie jest moja rodzina?

— W koszarach piechoty morskiej na rogu Ulicy I i Ósmej, panie prezydencie. Tak jak pan rozkazał.

Tak, meldowanie o wykonaniu rozkazów może być dla nich istotne, pomyślał Ryan, kiwając powoli głową. A i jemu ulżyło, gdy dowiedział się, że jego rozkaz wykonano. Zresztą dobrze zrobił. Ale czy to będą podwaliny czegośkolwiek?

— Panie prezydencie, jeżeli ten atak był częścią jakiegoś szerszej zakrojonego. . .

— Nie był. Nigdy dotąd tak nie było, prawda? — zapytał Ryan. Zmęczenie słyszalne w jego głosie zaskoczyło jego samego. Przypomniał sobie zaraz, że szok i stres wyczerpują siły organizmu dużo szybciej niż jakikolwiek wysiłek fizyczny. Zdawało mu się, że nawet nie może pokręcić głową, by otrząsnąć się z odrętwienia, w jakie popadł.

— Ale może tak być tym razem — zauważyła Price.

Może i racja, przyznał Ryan w duchu.

— To co powinniśmy zrobić?

— Rzepka — odparła Price, używając kryptonimu Awaryjnego Powietrznego Stanowiska Dowodzenia, przerobionego samolotu *Boeing 747*, który stacjonował w bazie powietrznej Andrews.

Ryan rozważał przez chwilę tę możliwość, potem zachmurzył się i pokręcił głową.

— Nie. Nie mogę tak po prostu uciec. Chyba powinienem się tam wybrać — odparł, wskazując podbródkiem pomarańczową poświatę za oknem. Tak, to moje miejsce, pomyślał. Tam teraz powinienem być, nie tu.

— Panie prezydencie, myślę że to zbyt niebezpieczne.

— Andrea, to moje miejsce. Muszę tam iść.

No proszę, już mówi jak polityk, pomyślała zawiedziona Andrea Price.

Ryan wyczytał to z twarzy agentki i wiedział, że będzie jej to musiał wyjaśnić. Jedną z nauk, które kiedyś pobrał — jedyną, która pasowała do tej sytuacji — przyszła mu teraz do głowy i wybijała się spośród innych, jak migający znak drogowy.

— Andrea, chodzi o konsekwencję bycia dowódcą. Tego nauczyli mnie w Quantico. Żołnierze muszą widzieć, że robisz to, co do ciebie należy. Że jesteś tam z nimi i dla nich, a nie wysyłasz ich na śmierć, samemu dekując się na tyłach. — Poza tym, dodał w myślach, muszę też sobie udowodnić, że to ja tu dowodzę, że to nie sen i że naprawdę jestem prezydentem.

Właśnie, czy jestem nim naprawdę?

Agenci Tajnej Służby uważali, że tak. Przecież złożył przysięgę, wypowiadając ułożone na tę okazję słowa i wezwał Boga na świadka swych poczynań. Ale to wszystko działo się za szybko i zbyt wcześnie. Po raz kolejny w swoim życiu John Patrick Ryan zamknął oczy i chciał się obudzić ze snu, w który widać zapadł, bo to, co go otaczało, było po prostu zbyt nieprawdopodobne, by stanowić część realnego świata. Ale gdy je otworzył, pomarańczowa luna wciąż była na swoim miejscu i nadal strzelały z niej żółte języki płomieni. Wiedział, że dopiero co wygłaszał jakieś przemówienie, ale nie pamiętał z niego ani słowa. Bierzmy się do roboty, tak brzmiały jego ostatnie słowa. To pamiętał. Banalny, wyświechtany frazes. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

* * *

Jack Ryan zebrał siły i potrząsnął głową, po czym odwrócił się do agentów w sali.

— No dobra. Kto ocalał?

— Sekretarze handlu i spraw wewnętrznych — odparła agent Price, po zasięgnięciu konsultacji przez radiotelefon. — Sekretarz handlu był w San Francisco, a spraw wewnętrznych w Nowym Meksyku. Już ich wezwano do Waszyngtonu. Przylecą samo-

lotami Sił Powietrznych. Oprócz nich zginęli wszyscy pozostali członkowie gabinetu, dyrektor Shaw z FBI, wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego i członkowie Kolegium Szefów Sztabów. Jeszcze nie wiemy, ilu kongresmanów i senatorów nie było obecnych na połączonej sesji obu izb.

— A Pierwsza Dama?

Price pokręciła głową.

— Nie, panie prezydencie. Nie wydostała się stamtąd. Dzieci są w Białym Domu.

Jack w zamyśleniu pokiwał głową. Zacisnął wargi i aż zamknął oczy, gdy doszło do niego, jaki spadł na niego obowiązek. Dla dzieci Rogera i Anne Durlingów to nie było wydarzenie wagi państwowej. Dla nich samobójczy atak miał bardzo proste i tragiczne następstwa: mama i tata zginęli, a oni stali się sierotami. Jack znał je, rozmawiał z nimi. Chociaż właściwie, co to za rozmowa? Uśmiech, skinienie głową i pozdrowienie, rzucone w przelocie, gdy szli coś omawiać z Rogerem, zdawkowe uprzejmości wobec dzieci znajomych. Próbował je sobie teraz przypomnieć. Pewnie tak jak i on, mrugają oczyma z niedowierzaniem, próbując obudzić się z koszmaru, który uparcie trwa.

— Czy one wiedzą?

— Tak, panie prezydencie. Oglądały transmisję z uroczystości. Wysłano już ludzi po dziadków i innych członków rodziny. — Oszczędziła mu szczegółów: tego że parę ulic na zachód od Białego Domu, w specjalnie zabezpieczonych pomieszczeniach Centrum Operacyjnego Tajnej Służby przechowuje się plany awaryjne na wszystkie, w tym i takie, okazje. Że w zalakowanych kopertach wraz z instrukcjami alarmowymi znajdowały się także adresy, pod którymi należało szukać reszty prezydenckiej rodziny. Tyle że teraz nie tylko tych dwoje stało się sierotami. Tysiąc zabitych osierociło parę tysięcy dzieci.

Jack odsunął na chwilę na bok te myśli.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jestem wszystkim, co zostało z rządu Stanów Zjednoczonych?

— Na to wygląda, panie prezydencie. I dlatego. . .

— I dlatego muszę zrobić to, co do mnie należy — dokończył z naciskiem Jack. Ruszył do drzwi, a agenci otoczyli go ze wszystkich stron. Na korytarzu były już kamery telewizyjne. Ryan przeszedł obok nich, nie zwracając na nie uwagi. Ochroniarze utorowali mu drogę, a dziennikarze byli zbyt zaskoczeni, by zdobyć się na cokolwiek

poza obsługą swoich narzędzi pracy. Nikt nie zadał ani jednego pytania, co Ryan, bez satysfakcji, uznał za wyjątkowe. Nawet nie zastanawiał się nad tym, jaki wyraz ma jego twarz w tej chwili. Winda już czekała i pół minuty później znaleźli się w obszernym holu. Poza agentami nie było w nim teraz nikogo. Co drugi z agentów Tajnej Służby w holu stał z pistoletem maszynowym w ręku. Przez te dwadzieścia minut musiało ich chyba przybyć, bo przedtem nie było ich aż tylu. Na zewnątrz zauważył żołnierzy piechoty morskiej, w większości nieregulaminowo umundurowanych. Kilku z nich marzło w czerwonych podkoszulkach z herbem Korpusu, wciśniętych pośpiesznie w łaciate spodnie od mundurów polowych.

— Potrzebowaliśmy wsparcia — wyjaśniła Andrea. — Poprosiłam o piechotę morską.

— Aha — kiwnął głową Ryan. Nikt się nie będzie dziwił, że *marines* chronią prezydenta Stanów Zjednoczonych w takiej chwili. Jack popatrzył na nich. To były głównie dzieciaki, na ich gładkich twarzach nie malowały się żadne odczucia. Ryan wiedział, że to bardzo niebezpieczny stan w przypadku uzbrojonego człowieka. Ściskając mocno karabiny, wodzili po parkingu czujnymi oczyma psów gończych. Dowodzący nimi kapi-

tan stał przy drzwiach, konferując z agentem Tajnej Służby. Kiedy stanęli w drzwiach, oficer wyprężył się i zasalutował. Czyli on też wierzy, że to ja jestem prezydentem, pomyślał Ryan. Skinął mu głową i ruszył do najbliższego *Hummvie*'go.

— Na Kapitol — rzucił kierowcy.

Jazda była znacznie szybsza, niż się spodziewał. Policja zablokowała główne ulice miasta i przepuszczała tylko wozy straży pożarnej. Kolumnę prowadził Suburban Tajnej Służby, krzyżówka lekkiej ciężarówki z samochodem kombi. Pewnie wewnątrz wszyscy przeklinają pod nosem głupotę nowego Szefa, pomyślał Ryan.

Ogon *Jumbo Jeta* sterczał z rumowiska prawie nie tknięty, niczym brzechwa strzały z boku śmiertelnie nią zranionego zwierzęcia. Ryan dziwił się, że wszystko jeszcze płonie. Kapitol zbudowano przecież z kamienia! No tak, ale wewnątrz było mnóstwo drewnianych biurków, papierów i Bóg jeden wie czego jeszcze, a teraz to wszystko płonęło. Nad gorejącym rumowiskiem krążyły wojskowe śmigłowce, a pomarańczowy blask rozświetlał wirujące płaszczyzny ich wirników. Wokół stało mnóstwo biało-czerwonych wozów straży pożarnej, zalewających okolicę błyskającym światłem białych i czerwonych lamp stroboskopowych. Strażacy biegali wokół, pod nogami kłębiło się węzowisko

przewodów podłączonych do wszystkich hydrantów w okolicy. Wiele ze złączy na węzłach puszczało wodę, tworząc maleńkie wodotryski i szybko zamarzające w zimnym wieczornym powietrzu kałuże.

Południowa strona budynku Kapitolu leżała całkowicie w gruzach. Widać było stopnie, ale zarówno kolumny, jak i dach zniknęły, a w miejscu sali obrad ział ogromny krater wypełniony zwałami osmalonego gruzu. Znad północnej części budynku zniknęła kopuła, ale wśród rumowiska dało się rozpoznać jej większe fragmenty, dające świadectwo kunsztu inżynierów, którzy zbudowali ją z żelaza w czasie wojny secesyjnej. W środkowej części budynku trwała akcja gaśnicza, zbiegała się tam większość węży, pompując wodę do prądownic ręcznych i tych umieszczonych na wysięgnikach, które razem tworzyły kurtynę wodną, mającą zapobiegać rozszerzaniu się pożaru.

Najbardziej wstrząsającym jednak widokiem były karetki pogotowia. Stały w kilku grupach, a ich załogi beczynn timer przyglądały się akcji strażaków. Puste nosze leżały obok, a wysoko wykwalifikowanym członkom zespołów ratowniczych nie pozostało nic innego, jak tylko przyglądać się białemu ogonowi z wymalowanym na nim czerwonym, trochę okopconym przez sadzę, żurawiem. Japońskie Linie Lotnicze. Wszyscy

myśleli, że wojna z Japonią się skończyła. Czy ta tragedia była jej ostatnim akordem, czy tylko aktem desperacji? Może zemstą? A może tylko jakąś ironią losu, przypadkową katastrofą? Ryana uderzyło podobieństwo tej sceny do jakiegoś zwykłego, choć w wyolbrzymionej skali, wypadku samochodowego. Dla załóg karetek to był jeszcze jeden raz, gdy wezwano ich za późno. Teraz już nie mieli nic do roboty, mogli tylko patrzeć i czekać. Za późno na powstrzymanie pożaru. Za późno na ratowanie czyjegokolwiek życia.

Hummvie zatrzymał się koło południowo-wschodniego narożnika budynku, obok skupiska wozów strażackich. Zanim Ryan zdążył sięgnąć do klamki, wokół samochodu pojawił się mur żołnierzy piechoty morskiej. Kapitan otworzył drzwi nowemu prezydentowi.

— Kto tu dowodzi? — zapytał Jack Andrei Price. Pierwszy raz poczuł jak zimna jest ta noc.

— Chyba ktoś ze strażaków — odparła.

— No to go poszukajmy.

Jack ruszył w stronę grupy samochodów pożarniczych. Zaczął się trząść w swoim cienkim wełnianym garniturze. Zaraz, jakie kaski mają dowódcy straży pożarnej? Białe? Tak, białe. I przyjeżdżają zwykłymi samochodami, przypomniał sobie z młodości w Baltimore. W wozach bojowych im za ciasno. O, tam stoją jakieś trzy czerwone samochody osobowe, na masce jednego ktoś coś ogląda w świetle latarki.

Skręcił w tamtą stronę, zaskakując ochronę.

— Panie prezydencie! — krzyknęła Price i słysząc było, że ledwie się powstrzymuje, żeby go nie strofować. Agenci na nowo uformowali szyk ubezpieczający, tym razem kierując się tam, gdzie ich Szef. Żołnierze także się pogubili i nie mogli się zdecydować, czy mają przewodzić grupie, czy też iść jej śladem. Przez chwilę panowało zamieszanie. Nikt nie napisał instrukcji, jak osłaniać Szefa ignorującego zasady bezpieczeństwa. Jeden z agentów odłączył się od grupy i po chwili wrócił z podgumowanym strażackim płaszczem.

— Proszę, panie prezydencie, niech pan to włoży. Przynajmniej trochę pana ogrzeje — gładko skłamał agent Raman. Price uśmiechnęła się do niego aprobowająco i był to pierwszy moment odprężenia odkąd ten cholerny *Jumbo* wylądował na Kapitolu. Sko-

ro Szeff wziął płaszcz i nie rozumiał, o co naprawdę chodzi, tym lepiej. Od tej chwili rozpoczął się więc pojedynek Tajnej Służby z prezydentem o to, kto kim dowodzi, pojedynek potrzeby do zapewnienia bezpieczeństwa głowie państwa z jej wybujałym ego.

Pierwszy facet w białym kasku, którego znalazł Ryan, trzymał w ręku radiotelefon i mówił do niego bez przerwy, poganiając swoich podwładnych. Obok stał inny mężczyzna, w cywilnym ubraniu, przyciskający do maski samochodu rozłożony arkusz papieru. Jack pomyślał, że to pewnie plany budynku. Poczekał chwilę, aż cywil oderwał wzrok od planów i razem z tym w białym kasku omówili coś, wskazując palcami różne miejsca. Kiedy skończyli i oficer straży pożarnej podjął na nowo swoją litanie przez radiotelefon, Jack podszedł bliżej.

— Tylko uważajcie na te cholerne obruszone bloki kamienne! — skończył brygadier Paul Magill swoją przemowę przez radiotelefon. Zamknął oczy i powoli przetarł powieki palcami. Kiedy ponownie je otworzył, stał przed nim jakiś facet w strażackiej kurtce, otoczony zgrają uzbrojonych ludzi. — Do cholery, coś ty za jeden?

— To nowy prezydent Stanów Zjednoczonych — odparła za Ryana Andrea Price.

Magill popatrzył na nią, potem na agentów Tajnej Służby z pistoletami maszynowymi, na żołnierzy piechoty morskiej i uznał, że nawet jeśli tak nie jest, nie warto się spierać.

— Cholerna rzeź, panie prezydencie — zaczął.

— Ktoś przeżył?

Strażak pokręcił głową.

— Z tej strony nie. Z tamtej trzy osoby, mocno poturbowane. Zdaje się, że byli gdzieś w okolicach szatni i wybuch wyrzucił ich przez okno. Dwie sekretarki i facet z Tajnej Służby, zdrowo poparzeni i poobijani. Cały czas szukamy, ale szanse są właściwie żadne. Nawet jeśli się ktoś nie upiekł, to pożar zużył cały tlen i po prostu go udusił. — Paul Magill był barczystym Murzynem, równym wzrostem Ryanowi. Jego ręce usiane były jasnymi plamami, które świadczyły, że kiedyś zawarł bardzo bliską znajomość z ogniem.

— Może ktoś jeszcze miał szczęście, panie prezydencie. Może w jakimś małym pokoiku, może za jakimiś zamkniętymi drzwiami? Według planów w tym cholernym budynku były miliony małych pokoików. Może ktoś jeszcze się uchowal? To się już

zdarzało. Ale większość ludzi. . . — Strażak pokręcił głową. — Udało się zlokalizować pożar, już nie będzie się rozprzestrzeniał.

— Nikogo z kongresmanów? — upewnił się Raman. Tak naprawdę chodziło mu o nazwisko cudem uratowanego agenta, ale tego pytania nie mógł zadać. To by było zachowanie wysoce nieprofesjonalne.

— Nie — odparł Magill, patrząc w płomienie. — Wszystko poszło piorunem — dodał po chwili, znów kręcąc głową.

— Chciałbym tam pójść i rzucić okiem — powiedział Ryan.

— Nie ma mowy — natychmiast sprzeciwił się Magill. — Panie prezydencie, to zbyt niebezpieczne. — Widząc, że Ryan zbiera się, by jeszcze coś powiedzieć, szybko udaremnił dalszą dyskusję. — Panie prezydencie, to mój pożar i ja tu rządę. Zrozumiano?

— Ale ja muszę tam pójść — upierał się Ryan. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Strażakowi nie podobał się ten pomysł. Popatrzył jeszcze raz na świtę natręta, na broń w rękach jego ochrony i błędnie uznał, że popierają jego pomysł. Nie wiedział, czy to

naprawdę nowy prezydent, bo wezwanie do pożaru wyrwało go z drzemki, a potem nie było czasu na oglądanie dziennika.

— Skoro pan musi. To nie będzie zbyt przyjemny widok, panie prezydencie.

* * *

Na Hawajach słońce właśnie zaszło. Kontradmiral Robert Jackson podchodził do lądowania w bazie lotnictwa Marynarki na przylądku Barbers. Kątem oka dostrzegł rzęsiście oświetlone hotele na południowym wybrzeżu Oahu i przez głowę przemknęła mu myśl, ile też teraz może kosztować pokój. Ostatni raz mieszkał w jednym z tych hoteli kiedy miał koło dwudziestki. Na przepustkach wynajmowali wtedy we dwóch lub trzech jeden pokój, żeby więcej pieniędzy zostało na wizyty w barach, gdzie próbowali szczęścia u miejscowej płci pięknej, hojnie szafując morskimi opowieściami. *Tomcat* Jacksona przyziemił łagodnie, mimo że mieli za sobą szmat drogi. Trzy razy po drodze tankowali w powietrzu. Robby nadal uważał się za myśliwca, a więc arystokratę wśród pilotów. Nie wypadało mu tak po prostu łupać w beton jak byle „mleczarzowi”, powożącemu powietrzną cysterną.

— Pięc Zero Zero, kołuj dalej pasem aż do. . .

— Byłem już tu parę razy, panienko — przerwał kontrolerce, łamiąc wszelkie możliwe regulaminy. W końcu był nie tylko myśliwcem, ale do tego cholernym admirałem, więc nikt go za to nie przeczolga, nie?

— Pięc Zero Zero, na końcu pasa czeka samochód.

— Dziękuję. — Teraz dopiero go dostrzegł. Stał pod ścianą hangaru, dokładnie za marynarzem, który pokazywał drogę świecącymi pałkami.

— Nieźle, jak na starszego pana — doszedł go w słuchawkach głos z tylnej kabiny.

— Twoja pochwała została odnotowana — odparł Jackson. Cholera, dawniej tak nie sztywniałem, pomyślał. Poprawił się w fotelu. Tyłek bolał go od siedzenia nieruchomo przez tyle godzin. Chyba się starzeje. Wtedy zabolala go noga. Cholerny artretyzm! Musiał rozkazem zmusić Sancheza do wydania mu tego *Tomcata*. Wyłynęli za daleko w morze, żeby mogli po niego przylecieć na USS „John C. Stennis” samolotem z Pearl Harbor, a przecież rozkaz był wyraźny: „Wracać natychmiast”. Podpierając się nim, zmusił Sancheza do tego, żeby mu dał *Tomcata*, w którym wysiadł system kontroli uzbrojenia, więc i tak nie nadawał się do walki. Tankował z cystern Sił Powietrznych

i w ten sposób, pewnie po raz ostatni w życiu, w siedem godzin przeleciał myśliwcem pół Pacyfiku. Jackson poruszył się w fotelu raz jeszcze, gdy zjechał z pasa na drogę kołowania i w nagrodę złapał go skurcz mięśni grzbietu.

— Kurczę — mruknął cicho, rozpoznając sylwetkę w białym mundurze przy błotniku samochodu. — Sam dowódca Floty Pacyfiku?

Tak, to był admirał David Seaton we własnej osobie. Opierał się o bok samochodu i przeglądał jakieś depesze, czekając aż Jackson zgasi silniki i podniesie osłonę kabiny. Marynarz przystawił do burty drabinkę i pomógł mu rozpiąć pasy. Kobieta w kombinzonie personelu naziemnego zajęła się jego bagażem. Widać było, że się śpieszą.

— Kłopoty — powiedział Seaton zamiast powitania, gdy tylko Robby stanął na ziemi.

— Przecież wygraliśmy — odparł Jackson i znieruchomiał na gorącym betonie. Jego mózg miał tak samo dosyć jak reszta ciała. Dopiero teraz instynkt powiedział mu, że coś tu nie gra. Kroiło się coś niezwykłego.

— Prezydent nie żyje i mamy nowego — Seaton podał mu podkładkę z przypiętą klipsem depezą. — Został nim twój kumpel. A my wracamy do Defcon 3.

— Co się tam, do jasnej...? — burknął pod nosem kontradmirał Jackson, czytając pierwszą stronę wiadomości. Przerzucił stronę i podniósł znad niej zdumiony wzrok. — Jack jest nowym...?

— A co, nie wiedziałaś, że został wiceprezydentem?

Jackson pokręcił milcząco głową.

— Miałem co innego na głowie aż do dziś rana, kiedy kazaliście mi wracać. Dobry Boże! — wykrztusił, gdy doczytał do końca drugą depeszę.

Seaton pokiwał głową.

— Ed Kealty zrezygnował z powodu skandalu z seksualnym molestowaniem, a wtedy prezydent Durling namówił Ryana, żeby objął wiceprezydenturę do czasu przyszłorocznych wyborów. Kongres to przyklepał, ale zanim Ryan zdążył wejść do sali, japoński *Jambo Jet* wmeldował się w sam środek Kapitolu. Szefowie Sztabów zginęli w komplecie, więc ściągają zastępców. Mickey Moore wezwał natychmiast wszystkich naczelnych dowódców teatrów działań wojennych do Waszyngtonu. W bazie Sił Powietrznych Hickam czeka na nas transportowy *VC-10*. — Generał armii Michael Moore był zastępcą przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

— Coś się szykuje? — Jackson rozumiał już teraz ten pośpiech. Był zastępcą J-3, szefa działu planowania operacyjnego Kolegium Szefów Sztabów.

— Teoretycznie nie. Wywiad uspokaja, że Japończycy mają już dość...

— Ale jeszcze nigdy nie oberwaliśmy tak mocno jak teraz, tak? — dokończył za niego Jackson.

— Samolot czeka. Przebierzesz się po drodze. W tej chwili elegancja ma najmniejsze znaczenie.

* * *

Jak zwykle świat podzielony był przez czas i przestrzeń. Pewnie bardziej nawet przez czas, niż przez przestrzeń, pomyślałaby, gdyby miała kiedy. Skończyła już sześćdziesiątkę; jej wątłe ciało przygięły do ziemi lata pracy dla innych. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że tak niewiele młodych chciało iść w jej ślady. To nie fair, mówiła sobie. Ona zluzowała swoje poprzedniczki, które też w swoim czasie zastąpiły poprzednie pokolenie. A teraz nie miał kto jej zastąpić. Nie żaliła się, nie narzekała. To by było jej niegodne. Niegodne jej, niegodne jej miejsca na ziemi i ślubów, które złożyła Bogu ponad

czterdzieści lat temu. Teraz zresztą miała co do tych ślubów wątpliwości, ale nikomu o tym nie mówiła, nawet spowiednikowi. To, że je przed nim zataiła, też niepokoiło jej sumienie i to nawet bardziej, niż same wątpliwości. Czy były grzechem? Nawet jeśli, to spowiednik nie zrobiłby z tego wielkiej sprawy. Zawsze był tak spokojny i łagodny, bo sam miał wątpliwości. Oboje byli w wieku, w którym, mimo osiągnięć całego życia, patrzy się za siebie i zastanawia, czego mogło by się dokonać, gdyby pokierować nim inaczej.

Jej siostra, osoba równie religijna jak ona, wybrała najpowszechniejsze z powołań i teraz była już babcią. Siostra Jeanne Baptiste dokonała wyboru bardzo dawno temu, choć doskonale pamiętała, co ją do tego skłoniło. Z dzisiejszej perspektywy jej wybór, choć ze wszech miar celowy i chyba w ostatecznym rozrachunku słuszny, był jednak bardzo pochopny. Wtedy wszystko wydawało się takie proste. Kobiety w czerni otaczał powszechny szacunek. Nawet niemieckie władze okupacyjne, choć wiedziały o ukrywaniu zestrzelonych lotników alianckich, szanowały je, wiedząc, że w potrzebie wszystkich traktowałyby na równi. Zresztą Niemcy często korzystali z ich szpitala, który leczył także przypadki w służbie zdrowia Wehrmachtu uważane za beznadziejne.

Taki status napawał dumą, a chociaż duma to grzech, to przecież popełniany Bogu na chwałę. Kiedy więc nadszedł czas na decyzję, podjęła ją bez trudu. Wiele nowicjuszek odeszło przed złożeniem ślubów, ale ona nie zdecydowała się na to, widząc ogrom ludzkiego nieszczęścia po wojnie. Wtedy jeszcze nie dostrzegała innego wyboru, toteż po krótkim rozważeniu myśli o odejściu, odłożyła ją na bok i przyjęła śluby.

Przez lata swej służby siostra Jeanne Baptiste stała się wysoko wykwalifikowaną pielęgniarką, nabrała ogromnego doświadczenia zawodowego i niejedno w życiu widziała. Tu, do serca Afryki, przyjechała jeszcze w czasach, gdy była to kolonia jej ojczyzny. Kiedy już nią być przestała, pozostała na miejscu. Krajem co chwila wstrząsały polityczne burze, ale ona zawsze robiła swoje, nie czyniąc rozróżnienia między pacjentami. Jednak zaczynała już odczuwać trudy tych czterdziestu lat.

Nie, nie straciła zapału do pracy. Nie wykonywała jej po łóbkach. Nic z tych rzeczy. Po prostu miała już prawie sześćdziesiąt pięć lat, a nadal musiała wykonywać taką samą pracę jak dwadzieścia lat wcześniej, bo nie miał jej kto zastąpić. Czasem siostry pracowały tu i po czternaście godzin na dobę, a przecież umiały jakoś znaleźć jeszcze czas na kilkugodzinne modły. To znakomicie działało na duszę, ale ciało, zwłaszcza w tym

klimacie, zaczynało się poddawać. W młodości była zdrowa jak ryba i silna jak byk, pacjenci przezywali ją „Siostra-Skała”, bo nic nie dawało jej rady. Lekarze przychodzili i odchodzili, a ona trwała na posterunku. Ale z biegiem lat nawet skały się kruszą, a zmęczenie, które powoli stawało się dla niej stanem chronicznym, powoduje, że ludzie zaczynają się mylić.

Wiedziała, przed czym się chronić. Tu, w Afryce, jeżeli chce się żyć, nie można być pracownikiem służby zdrowia i nie dbać o siebie. Wiara chrześcijańska próbowała zapuścić tu korzenie od bardzo dawna, dla większości tubylców była jednak tylko powierzchownym obrzędem. Chrześcijańska moralność, a zwłaszcza ideał cielesnej powściągliwości, nie cieszyły się powodzeniem. Rozwiążłość płciowa, z którą stykała się tu od pierwszego dnia, najpierw ją przerażała, ale potem, gdy przez szpital przewinęły się dwa pokolenia jej pacjentów, przywykła. Nadal jej nie pochwałała, ale potrafiła się z nią pogodzić. To nie był tylko problem moralny — ponad jedna trzecia jej pacjentów cierpiała na chorobę, którą tu nazywano „chorobą chudych ludzi”, a której gdzieś tam w świecie nadano nazwę AIDS. Zasady higieny, chroniące przed zarażeniem się nią, wszyscy pracownicy szpitala mieli wpojone tak głęboko, że stały się odruchem. To wła-

śnie siostra Jeanne Baptiste wykładała je innym i pilnowała ich przestrzegania. Ciężko to przychodziło przyznać, ale jedyne, co lekarze i pielęgniarki mogli na to poradzić, to samemu uchronić się przed zachorowaniem. Pod tym względem AIDS niewiele różniła się od średniowiecznej dżumy.

Całe szczęście, że w przypadku tego pacjenta nie mogło być o tym mowy. Chłopiec miał osiem lat, więc nawet w tym klimacie jeszcze chyba nie prowadził życia seksualnego. Bardzo ładny chłopczyk, a przy tym prymus szkółki niedzielnej. Być może kiedyś poczuje powołanie i zostanie księdzem. Mieszkańcom Afryki przychodziło to w tych czasach o wiele łatwiej, niż Europejczykom. Kościół zachęcał ich do tego, dając murzyńskim księżom dyspensy na małżeństwa, o których reszta duchowieństwa nie miała nawet co marzyć. Na razie jednak chłopiec był chory. Pojawił się w szpitalu tuż przed północą, kilka godzin temu, przywieziony przez ojca, wysokiego urzędnika państwowego, jego własnym samochodem. Lekarz rozpoznał u chłopca atak malarii mózgowej, ale w karcie nadal nie odnotowano wyników badań z laboratorium. Z tym był zawsze duży problem. Co chwila zdarzało się, że próbki krwi gdzieś się zapodziewały. Objawy zgadzały się co do joty. Silne bóle głowy, wymioty, drżenie kończyn, zaburzenia

równowagi, wysoka gorączka. Czyżby to świństwo znowu miało wybuchnąć w okolicy? Miała nadzieję, że nie. Choroba była wprawdzie uleczalna, ale pod warunkiem wczesnego wykrycia i zgłoszenia się do lekarza, a z tym bywały duże kłopoty.

Na oddziale było bardzo spokojnie, jak zwykle tak późno w nocy, czy jak kto woli, tak wcześnie rano. Przedświt był najprzyjemniejszą porą dnia w gorącym, równikowym klimacie. Teraz było najchłodniej, cała przyroda się uspokajała, powietrze nadal stało w miejscu, ale robiło się całkiem rześkie. Największym problemem chłopca była gorączka, więc odkryła go i zaczęła obmywać jego drobne ciało wilgotną gąbką. To zdawało się przynosić mu ulgę, więc nie śpieszyła się, a przy okazji dokładnie oglądała go, szukając symptomów zdradzających jakieś inne przypadłości. Lekarze lekarzami, ale ona, z jej czterdziestoletnim doświadczeniem także wiedziała, czego szukać — i to może nawet lepiej niż niejeden z nich, zwłaszcza tych młodych. Niczego jednak nie znalazła, poza przybrudzonym plastrem na lewym ramieniu. Jak to się stało, że doktor go nie zauważył? Siostra Jeanne Baptiste wróciła do dyżurki, gdzie drzemały jej dwie koleżanki. Nie było sensu ich budzić, w końcu opatrunki zmieniała codziennie od tylu lat, że jeden więcej nie robił żadnej różnicy. Zabrała bandaż, plaster, środek

dezynfekujący i wróciła na oddział. To pewnie jakaś drobnostka, ale w tym klimacie trzeba uważać na wszelkie infekcje, bo bakterie mnożą się tu w zupełnie niewyobrażalnym tempie. Oderwała róg plastra od rany. Nawet na kawowej skórze chłopca widać było ślad odbarwienia i zeschniętego kauczukowego przylepca. Powoli oderwała plaster. Była tak zmęczona, że zamrużyła powiekami, które już zaczynały jej się zamykać. Plaster skrywał ranę, a dokładniej dwie małe ranki, jak od zębów małego psa. A może małpy? To już mogło być niebezpieczne. Uświadomiła sobie, że zapomniała gumowych rękawiczek. Powinna teraz pójść po nie z powrotem do dyżurki, zanim zrobi cokolwiek przy tym skaleczeniu. Tak, tylko że do dyżurki było jakieś pięćdziesiąt metrów, a ona była taka zmęczona. . . Pacjent uspokoił się, przestał dygotać, więc odkręciła butelkę ze środkiem dezynfekującym i powoli obróciła rękę chłopca tak, by całkiem odkryć ranę. Kiedy potrząsała butelką, spryskując ranę, kilka kropelek poleciało na twarz pacjenta. Chłopiec wykrzywił twarz, gdy opary zakręciły mu w nosie i kichnął bezwiednie, opryskując ją przy tym. Siostra Jeanne Baptiste nie przejęła się zbytnio. Zamoczyła w płynie tampon i metodycznie przemyła nim ranę na ramieniu. Kiedy skończyła, zakręciła butelkę i nalepiła nowy plaster z opatrunkiem. Pozbierała z łóżka opakowania, tampony

oraz stary plaster i wcisnęła je w torebkę po gazie. Dopiero teraz obtarła twarz wierzchem dłoni, nie zauważając, że kiedy chłopiec kichnął, ranka otworzyła się od wstrząsu i kropla krwi kapnęła na jej rękę, podtrzymującą ramię. Teraz wtarła kroplę w czoło, ścierając stamtąd ślinę chorego. Prawdopodobnie nawet rękawiczki by jej w tej sytuacji nie uratowały, co mogłoby stanowić pewną pociechę, gdyby trzy dni później jeszcze pamiętała o swojej nieostrożności. . .

* * *

Powinienem tam zostać, pomyślał Jack, gdy dwóch ratowników z pogotowia prowadziło go pobieżnie odgruzowanym korytarzem wschodniej strony budynku. Wokół tłoczyła się grupa agentów Tajnej Służby i żołnierzy, nadal starających się zamaskować bojowymi minami fakt, że nikt z nich nie wiedział, co robić. Gdyby nie ponure sceny wokół, zapewne rozśmieszyłoby go to do łez. Potem doszli do niemal nieprzerwanej linii strażaków, którzy polewali wodą z węży szalejące płomienie, nie zważając na to, że podmuch pożaru odrzuca im ją w twarz na przejmującym do szpiku kości zimnie. Dzięki ich wysiłkom pożar w tej części sali obrad został choć trochę przytłumiony przez

rozpyloną wodę, co pozwoliło ekipom ratunkowym dostać się do rumowiska. Nie trzeba eksperta, by natychmiast zrozumieć, co tam znaleźli. Nikt nawet nie podniósł głowy, nie pokrzykiwał, nie gestykulował gorączkowo. Strażacy uważnie patrzyli pod nogi, wybierając starannie miejsca, w których stawiali stopy. Ta wzmożona troska o własne bezpieczeństwo mówiła sama za siebie — nie ma sensu ginąć za zmarłych.

Dobry Boże, pomyślał Ryan. Znał tych ludzi. W izbie byli nie tylko Amerykanie. Zauważył zwaloną część galerii i przypomniał sobie, że tam znajdowała się loża korpusu dyplomatycznego. Dyplomaci, zagraniczni dygnitarze, ich rodziny. Większość z nich znał osobiście. Przyszli tu na własną zgubę, by być świadkiem jego zaprzysiężenia. Czy to czyniło go winnym ich śmierci?

Opuścił budynek CNN, bo musiał coś zrobić — a w każdym razie wtedy tak uważał. Teraz nie miał już tej pewności. Czy chodziło mu tylko o zmianę miejsca? A może przygnało go tu to samo, co tych ludzi po drodze, tłoczących się na ulicy, tak jak on patrzących beczynnie, bezsilnie i w milczeniu? Wciąż był oszołomiony tym, co się stało. Przyjechał, oczekując, że znajdzie tu inspirację, która pomoże przełamać odrętwienie.

Zamiast tego na każdym kroku napotykał widoki, które powodowały, że wpadał w coraz większe przygnębienie.

— Panie prezydencie, niech pan chociaż odejdzie od tych zraszaczy. Strasznie tu zimno — napomniała go agentka Price.

— Dobrze — odmruknął Ryan, czując, jakby pękła otaczająca go bańka mydlana. Odszedł kilka kroków od linii strażaków. Teraz dopiero się zorientował, że strażacka kurtka wcale nie grzeje. Ryan znowu poczuł dreszcze i miał nadzieję, że to tylko z zimna.

Tym razem telewizja jakoś nie śpieszyła się na miejsce zdarzeń, ale w końcu zespoły reporterskie różnych stacji z przenośnymi kamerami (wszystkimi japońskiej produkcji, coś szeptało mu z rozdrażnieniem w zakamarku mózgu) zaczęły się pojawiać. Jak zwykle udało im się przedrzeć przez kordon policyjny i kręcili się strażakom pod nogami. Dziennikarze obstąpili dowodzących akcją i podtykali im pod nosy mikrofony, świecąc w oczy silnymi reflektorami. Parę z tych światel, jak zauważył, wycelowanych było także w jego kierunku. Ludzie w całym kraju i poza jego granicami patrzyli na niego, oczekując, że wie co ma zrobić. Zawsze się dziwił, jak to się dzieje, że dorośli, wyda-

wałoby się i myślący ludzie, bez żadnych wątpliwości zakładają, że wysoki urzędnik państwowy musi być bardziej rozgarnięty od pierwszego z brzegu lekarza rodzinnego, adwokata czy księgowego? Przypomniawszy sobie swój pierwszy tydzień służby w Korpusie Piechoty Morskiej. Tam też założono, że skoro dostał podporucznikowskie belki, to znaczy, że wie jak dowodzić plutonem. A potem doszło do wydarzenia, które wprawiło go w osłupienie. Oto starszy od niego o dziesięć lat sierżant przyszedł do niego, gówniarza z mlekiem pod nosem, bez żony i dzieci, po poradę w swoich problemach rodzinnych! Dzisiaj w Korpusie coś takiego nazwano by „wyzwaniem dla zdolności dowódczych”, ale istota problemu pozostała niezmienną: i tak nie miały zielonego pojęcia, co mu odpowiedzieć. Ale tu już nie chodziło o jednego sierżanta. Cały naród patrzył na niego przez te kamery i coś przecież zrobić musiał.

Ale, podobnie jak wtedy, nie miał pojęcia co. Przecież właśnie po to tu przyjechał, żeby szukać jakiegoś katalizatora, czegoś, co by go wyrwało z odrętwienia i popchnęło do działania. Zamiast tego zobaczył rzeczy, które tylko pogłębiły poczucie jego bezsilności.

— Gdzie jest Arnie van Damm? — zapytał.

— W Białym Domu, panie prezydencie — odparła Price.

— Dobra, jedźmy tam. Nic tu po nas.

— Panie prezydencie — odparła po chwili wahania Andrea — nie wiem, czy to najlepszy pomysł. To może być niebezpieczne, jeżeli...

— Nie mogę do jasnej cholery tak po prostu uciec. Nie mogę odlecieć Rzepką do Camp David. Ani wczłgać się w jakąś cholerną dziurę w ziemi! Nie rozumiecie tego? — Nawet nie był wściekły, raczej rozżalony. Po chwili milczenia wskazał ręką płonące ruiny Kapitolu. — Ci ludzie nie żyją. Teraz, z bożą pomocą, ja jestem rządem, a rząd nie może tak po prostu uciec.

* * *

— Wygląda na to, że prezydent Ryan jest na miejscu katastrofy, zapewne próbuje zapanować nad akcją ratunkową — mówił z ciepłego, suchego studia dziennikarz. — Jak wiemy, sztuka opanowywania kryzysów nie jest prezydentowi Ryanowi obca.

— O, tak. Znam go od prawie sześciu lat — włączył się analityk, starając się nie patrzeć w kamerę, tak, by wyglądało na to, że jego wypowiedź skierowana jest do dzien-

nikarza prowadzącego program. Obaj znaleźli się tu wieczorem, by komentować mowę prezydenta Durlinga podczas uroczystości zaprzysiężenia Ryana. Tak naprawdę wcale nie znał Ryana, choć wpadali czasem na siebie przy różnych oficjalnych okazjach, a całą wiedzę czerpał z przeczytanego po drodze do studia opracowania. — Jest to człowiek nie dbający o rozgłos, ale z pewnością jeden z najbłyskotliwszych umysłów w całej administracji.

Taka pochwała nie mogła przejść nie zauważona. Prowadzący program odwrócił głowę od monitora przekazującego zdjęcia z Kapitolu i skierował wzrok na wpół do analityka, na wpół do kamery, nad którą właśnie zapaliła się lampka.

— Ależ John, on nie jest przecież politykiem! Nie ma doświadczenia politycznego, zaplecza, nic. To tylko specjalista od bezpieczeństwa narodowego, w dodatku w czasach, gdy nie jest już ono zagadnieniem tej rangi, co kiedyś — oświadczył.

Analityk zdołał zdusić w sobie cisnący się na usta komentarz, co jednak nie udało się niektórym widzom przed telewizorami.

* * *

— Tak, i co jeszcze, dupku? — mruknął Ding Chavez. — A ten cholerny samolot pewnie tylko zabłądził, co? Jezu, co za kretyn!

— A widzisz, Ding, mój chłopcze, służymy jednak cudownemu krajowi. Gdzie indziej na świecie płacą pięć milionów rocznie za to, że brak ci piątej klepki? — odparł John Clark i dopił rozpoczęte piwo. Nie było sensu wracać teraz do Waszyngtonu, zanim nie zostaną wezwani. Oni byli tylko od wykonywania rozkazów, pszczołami-robotnicami. Nic po nich na razie w Sodomie nad Potomakiem. Całe najwyższe piętro CIA latało teraz pewnie jak z piórkiem, bo to ich działka. Zresztą w takiej chwili niewiele było do zrobienia, poza dobrym wrażeniem, a na to im, pszczołom robotnicom, szkoda było czasu.

* * *

Nie działo się nic, co można by pokazywać w programach telewizyjnych, więc stacje powtarzały w kółko przemówienie prezydenta Durlinga. Technicy zmontowali przekazywany przez zdalnie kierowane kamery sieci C-SPAN materiał, pokazując na stop-

klatkach co znaczniejsze z osób zasiadających na sali. Komentatorzy odczytywali ich listę niczym apel poległych. Zginęli wszyscy sekretarze administracji Durlinga, z wyjątkiem dwóch, których akurat nie było w stolicy. Zginęli członkowie Kolegium Szefów Sztabów, dyrektorzy większości agend federalnych, prezes Banku Rezerw Federalnych, dyrektorzy Federalnego Biura Śledczego, Biura Zarządzania i Budżetu, NASA, wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego. Monotonnej wyliczance komentatorów towarzyszyły obrazy z sali, aż do chwili, gdy wbiegli na nią agenci Tajnej Służby, powodując krótkotrwałe zamieszanie. Wszyscy odwracali głowy, by zobaczyć co się dzieje, wypatrywali niebezpieczeństwa, szukali wzrokiem ewentualnych zamachowców na galeriach, lecz na próżno. Ostatnim obrazem z sali było ujęcie rozpadającej się ściany, po czym na ekranach zapanowała już tylko ciemność. Gospodarz dziennika i komentator wrócili na ekran, patrząc pilnie to w monitory wmontowane w blaty biurek, to znów na siebie nawzajem, jakby dopiero teraz dotarła do nich groza sytuacji.

— Tak więc najpilniejszym zadaniem nowego prezydenta będzie, jak się wydaje, odbudowa rządu, o ile jest to w ogóle możliwe — zamyślonym tonem podjął komentator po przedłużającej się chwili milczenia. — Mój Boże, zginęło tylu dobrych ludzi,

mężczyzn i kobiet... — W tej chwili coś jeszcze zaświtało mu w głowie. Zanim został starszym analitykiem sieci, spędził w tej sali tak wiele godzin, komentując obrady wraz z tak wieloma przyjaciółmi. Gdyby nie awans, zapewne byłby w niej i tego wieczoru, razem z nimi. Ta myśl dopiero uzmysłowiła mu ogrom tragedii, do jakiej doszło. Ręce zaczęły mu drżeć pod blatem stolika. Wprawdzie lata wprawy pozwoliły mu zapanować nad głosem, ale nie udało mu się całkowicie kontrolować twarzy, na której odbił się głęboki i szczery żal. Jego twarz na ekranie pobladła nagle, co było widoczne nawet pod grubą warstwą makijażu,

* * *

— Bóg tak chciał — mruknął do ekranu Mahmud Hadzi Darjaei, podnosząc pilota, by uciszyć natrętnych gadułów.

Bóg tak chciał. Każdy to przyzna. Ameryka! Kolos, który wgniótł w ziemię tak wielu, opuszczony przez Boga kraj bezbożnych ludzi, w samym zenicie chwały, tuż po kolejnym wiekopomnym zwycięstwie — i proszę, śmiertelnie zraniony jednym, jedy-

nym ciosem. Czyż byłoby to możliwe, gdyby nie zdarzyło się z woli Allacha? Czegóż mogłoby to być wyrazem, jeśli nie woli bożej?

Ryan. Spotkał go już raz i osądził wówczas, że jest typowym Amerykaninem, aroganckim i wyniosłym, jak oni wszyscy. Teraz tak nie wyglądał. Zbliżenia kamer pokazały człowieka, kurczowo ściskającego w rękę poły kurtki, bezwiednie kręcącego głową na lewo i prawo z lekko otwartymi ustami. Nie, stanowczo nie był teraz arogancki i wyniosły. Wyglądał na oszołomionego. Ajatollah widywał już ten wyraz na twarzach ludzi. Ciekawe.

* * *

Te same słowa i obrazy obiegały teraz świat, tłoczone przez satelity do miliardów par oczu przed telewizorami. Prawie wszystkie stacje telewizyjne na świecie przerywały program, by nadać nadzwyczajne wydanie wiadomości. Miliardy ludzi przerzucało kanały, szukając obszerniejszych relacji. Na ich oczach działa się historia, to trzeba było zobaczyć.

Dotyczyło to zwłaszcza możnych tego świata, dla których informacja jest podstawą władzy. W innym krańcu globu przed telewizorem siedział jeszcze jeden z takich ludzi. Spojrzawszy na elektroniczny zegar obok ekranu, policzył chwilę w pamięci. W jego kraju słońce niedawno weszło, podczas gdy w Ameryce ten obfitujący w wydarzenia dzień dobiegał dopiero końca. Za oknem, po wyłożonym kamiennymi płytami placu przewalało się już morze głów, potoki rowerów, chociaż samochodów także nie brakowało. Według danych statystycznych było ich już dziesięciokrotnie więcej niż jeszcze kilka lat temu, ale rower nadal dominował i to wydawało mu się nie w porządku.

Chciał zmienić ten stan rzeczy, szybko i zdecydowanie, jak na standardy historii, której był pilnym badaczem. Bardzo chciał. Przygotował doskonały plan i już zaczął wprowadzać go w życie, gdy wmieszali się w to Amerykanie i zdusili go w zarodku. Nigdy nie wierzył w Boga, teraz raczej też mu to nie groziło, ale wierzył w wyroki Losu, a to co widział na ekranie japońskiego telewizora musiało być wyrokiem losu. Los jest kapryśny niczym płocha kobieta, pomyślał, sięgając po filiżankę z zieloną herbatą. Jeszcze dziesięć dni temu sprzyjał Amerykanom i proszę, teraz odwrócił się do nich plecami. Ale dlaczego? Nieważne, zdecydował stary człowiek. Jego własne zamia-

ry, potrzeby i wola — znaczyły więcej. Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale po chwili zrezygnował. I tak wkrótce zadzwonią. Będą go pytać o opinię, więc lepiej spokojnie pomyśleć, póki można. Pociągnął łyczek z filiżanki. Gorąca woda sparzyła mu usta, orzeźwiając umysł. To dobrze, bo musi teraz skoncentrować się, a ból spycha myśli do wewnątrz, tam gdzie rodzą się ważne pomysły.

Niezależnie od porażki, jego plan wcale nie był zły. Zawiodło raczej wykonanie, spartaczone przez niekompetentnych ludzi, którym powierzył swoje ukochane dziecko. Jego zamysł powiódłby się na pewno, gdyby nie zabrakło mu błogosławieństwa Losu, który opowiedział się po stronie Amerykanów. Teraz, gdy Los odwrócił swe oblicze od Ameryki, pojawiła się szansa udowodnienia swojej wyższości w drugim podejściu. Nikły uśmiech zagościł na jego twarzy, podczas gdy umysł odpłynął w niedaleką przyszłość, zastanawiając się, jak też wtedy będzie wyglądał świat. Podobała mu się ta wizja. Miał nadzieję, że telefon nie przerwie mu tego marzenia, bo musiał zastanowić się nad jeszcze odleglejszą przyszłością. Po kolejnej chwili doszło do niego, że właściwie główne cele jego planu już się ziściły. Chciał przetrząść kręgosłup Ameryce i jej kręgosłup

został przetracony. Nieważne, że doszło do tego w inny niż sobie wymarzył sposób. Liczył się skutek. Zresztą, pomyślał po chwili, może Los miał nawet lepszy pomysł?

Tak. Chyba tak.

A więc? Skoro początek został zrobiony, można chyba przystąpić do realizacji dalszych części planu?

Los igrał ludzkimi działaniami, ich skutkami i biegiem historii. Nie opowiadał się po niczyjej stronie. Może nawet miał jakieś perwersyjne poczucie humoru? Kto wie? — pomyślał stary człowiek. Kto wie?

* * *

Reakcją kolejnej osoby śledzącej dziennik był gniew. Zaledwie kilka dni temu została dotkliwie upokorzona przez jakiegoś przekłętego cudzoziemca, byłego gubernatora jakiegoś prowincjonalnego stanu, który miał czelność dyktować jej, co ma robić ona i kierowany przez nią rząd suwerennego mocarstwa. A przecież była tak ostrożna. Wszystko przygotowano tak precyzyjnie i z tak wielką dbałością. Rządowi Indii nie można było zarzucić nic, poza zorganizowaniem manewrów morskich na większą niż

kiedykolwiek w historii kraju skalę. Manewry odbyły się na pełnym morzu, na wodach międzynarodowych, do których przecież każdy ma równy dostęp. Nikomu nie wysyłali żadnych not z pogrózkami, nie występowali z żadnymi *demarché*, gabinet nie zajmował żadnego stanowiska. Aż tu nagle Amerykanie robią z tego wielką aferę, zwołują posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, wysuwają jakieś absurdalne zarzuty, na poparcie których nie mają ani śladu dowodu. To były zwykłe manewry. Pokojowe manewry, rzecz jasna. Czy to ich wina, że zbiegły się w czasie z konfliktem z Japonią i zmusiły Amerykanów do podzielenia swych sił? Czy Indie mogły przewidzieć, planując z wyprzedzeniem manewry, że tak się stanie? Oczywiście nonsens.

Na biurku leżały właśnie dokumenty, mające przywrócić marynarce Indii jej zdolność operacyjną. O nie, pokręciła głową, teraz to nie wystarczy. Nie będzie już więcej działać samotnie, ani ona, ani jej kraj. Do realizacji planów potrzeba będzie wiele środków i wielu przyjaciół, ale to przecież dla ich urzeczywistnienia została premierem. Nie po to, by słuchać jak byle chłystek wydaje jej polecenia.

Ona także upiła łyżeczek herbaty z białej porcelanowej filiżanki. To była mocna herbata, przyrządzona z cukrem i odrobiną mleka, po angielsku. Produkt tej ziemi, tak jak

i ona. Pani premier swoje obecne stanowisko zawdzięczała pochodzeniu, charakterowi i wykształceniu. Ze wszystkich ludzi oglądających na świecie przekaz z Waszyngtonu, ona chyba najlepiej zrozumiała, jaką szansą dla niej i jej kraju są tragiczne wydarzenia na Kapitolu. Całość dodatkowo osładzała świadomość, że nadarzyła się tak szybko po tym, jak musiała w tym samym gabinecie ugiąć się przed dyktatem człowieka, którego już nie było wśród żywych. Zaprzepaszczenia takiej szansy nigdy by sobie nie darowała.

* * *

— To straszne, panie C — powiedział Domingo Chavez, przecierając powieki. Nie pamiętał już od jak dawna nie spał, jego osłabiony rozregulowaniem biologicznego zegara mózg — w końcu pokonał ostatnio kilkanaście stref czasowych — nie ogarniał tego. Rozciągnięty na kanapie w salonie, z bosymi stopami opartymi na stoliku do kawy, próbował pozbierać myśli. Kobiety poszły już spać, jedna, bo miała jutro mnóstwo pracy, druga, bo jutro czekał ją ważny egzamin. Jeszcze nie wiedziała, że jutro szkoły nie będą czynne.

— O co ci chodzi, Ding? — zapytał Clark. Nie przejmował się biadaniami mędrców z telewizji, ale w końcu jego młodszy partner robił właśnie dyplom ze stosunków międzynarodowych, więc pewnie przejmował się nie bez racji.

— Jeszcze nigdy w czasie pokoju nie doszło do takiej sytuacji — odparł Dingo, nie otwierając oczu. — Świat zmienił się bardzo niewiele od zeszłego tygodnia, John. A w zeszłym tygodniu świat był bardzo skomplikowany. Wygraliśmy tę wojenkę, w którą nas wciągnięto, ale ani świata to wiele nie zmieniło, ani my nie staliśmy się od tego ani trochę mocniejsi.

— Rozumiem. Świat nie znosi próżni, tak?

— Coś w tym rodzaju — ziewnął Chavez. — Bardzo bym się zdziwił, gdyby ktoś nie próbował jej zapełnić.

* * *

— No cóż, chyba niewiele tu osiągnąłem, prawda? — spytał Ryan ponurym głosem. Dopiero teraz zaczął ogarniać całość tragedii. Łuna pożaru nadal była widoczna, choć znad ruin wznosiła się teraz w większym stopniu para, niż dym. Bardziej przygnębia-

jący był jednak widok procesji, wnoszącej do budynku podłużne, miękkie przedmioty. Worki na zwłoki. Wielkie wory z podgumowanej tkaniny z uszami do noszenia na końcach, zapinane na suwak, biegnący przez środek wierzchniej części. Przynoszono ich mnóstwo, coraz więcej. Część, już wypełnionych, strażacy wynosili na zewnątrz, przeciskając się po schodach przez rumowisko gruzu. To był dopiero początek, a końca nie było widać. Do tej pory nawet nie widział ani jednego ciała. Z jakiegoś powodu widok worków podziałał na niego jeszcze gorzej.

— Chyba nie, sir — odparła Angela z tym samym wyrazem twarzy, co prezydent. — To nie najlepszy sposób na rozpoczęcie rządów.

— Wiem. — Ryan kiwnął głową i odwrócił wzrok.

Nie mam pojęcia, co robić, pomyślał. Gdzie, do cholery, znaleźć podręcznik, w którym uczą, jak być prezydentem? Kogo o to spytać? Gdzie pójść? Cholera, nie chciałem tej roboty!

Po chwili sam się zrugął w duchu za te bezsensowne myśli. Przyszedł w to straszliwe miejsce, wpychając się przed kamery, jakby wiedział doskonale, co robić. To było kłamstwo. Może nie z premedytacją, może tylko głupie, ale kłamstwo. Po cholere

tu przylazł, zawracał głowę temu oficerowi straży pożarnej durnymi pytaniami o to, jak wygląda sytuacja, zupełnie jakby każdy średnio rozgarnięty człowiek ze zdrowymi oczyma nie mógł tego sam ocenić?

— Ktoś ma jakiś pomysł? — zapytał wreszcie.

Agentka Price wzięła głęboki oddech i spełniła marzenie każdego agenta Tajnej Służby od czasów Pinkertona.

— Panie prezydencie — powiedziała — przede wszystkim powinien pan sobie wszystko właściwie poukładać. — Umilkła na chwilę, pod wrażeniem tego, na jak wiele sobie pozwoliła. — Są sprawy, którymi może pan sam się zająć, a są też takie, do których potrzebuje pan ludzi. Niech pan zacznie od tego, by ich poznać i pozwolić im wykonywać ich zadania. Potem przyjdzie kolej na to, żeby pan zaczął wykonywać swoje.

— To co? Z powrotem do Białego Domu?

— Tam są telefony, panie prezydencie.

— Kto dowodzi Tajną Służbą?

— Andy Walker nią dowodził, sir. — Nie musiała mu wyjaśniać, że to już przeszłość.

Ryan spojrział na nią i podjął swoją pierwszą prezydencką decyzję.

— Właśnie dostałaś awans.

Price skinęła głową.

— Proszę za mną, panie prezydencie.

Z przyjemnością zauważyła, że i ten prezydent, jak wszyscy przed nim, nauczył się wreszcie wykonywać polecenia ochrony. Przynajmniej w tej chwili je wykonywał. Parę metrów dalej Ryan poślizgnął się na zamrożonej kałuży i przewrócił. Dwaj agenci pomogli mu wstać. Nagle wydał się jakby słabszy, bardziej narażony na czyhające zewsząd niebezpieczeństwa. Jakiś fotograf uwiecznił to zdarzenie, sprzedając „Newsweekowi” zdjęcie na okładkę kolejnego numeru.

* * *

— Jak państwo widzą, prezydent Ryan opuszcza Wzgórze Kapitołińskie samochodem wojskowym, a nie limuzyną Tajnej Służby. Jak myślisz, na co to może wskazywać?

Jakie mogą być zamierzenia tego człowieka na najbliższe dni i godziny? — z tym pytaniem dziennikarz zwrócił się do towarzyszącego mu w studiu analityka.

— Mimo całej sympatii dla nowego prezydenta, muszę wątpić, czy w tej chwili ma on już jakieś klarowne plany — odparł zagadnięty.

Trzy dziesiąte sekundy później ta opinia trafiła do telewizorów na całym świecie, wywołując skinięcia głową zarówno u wrogów, jak i u przyjaciół.

* * *

Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Nie wiedział, czy to, co chce zrobić, było dobre — w porządku, wiedział doskonale, że nie — ale czasami cel powoduje, że przez palce pa-trzy się na prowadzące do niego środki. Pochodził z rodziny o długich tradycjach w polityce, zaczął w niej się udzielać praktycznie nazajutrz po ukończeniu studiów prawniczych, innymi słowy: nie miał żadnego zawodu, nigdy, przez całe życie ani jednego dnia nie musiał zarabiać pieniędzy na swoje utrzymanie. Nie miał właściwie żadnego praktycznego doświadczenia w dziedzinie finansów, jeśli nie liczyć lokowania łapówek, bo tym zajmowali się radcy prawni i finansowi rodziny, z którymi stykał się właściwie tylko

raz w roku, podpisując zeznanie podatkowe. Nigdy nie pracował w zawodzie prawnika, mimo że w swoim życiu przyłożył rękę do powstania tysięcy przepisów. Nigdy nie służył swemu krajowi w mundurze, chociaż uważał się za eksperta w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego. Wiele przemawiało za tym, że nie powinien robić tego, co miał zamiar zrobić, ale znał sztukę rządzenia krajem od podszewki, bo praktykował ją przez całe swoje dorosłe życie. Życie sprawiło, że kraj bardzo teraz potrzebował ludzi z jego doświadczeniem. Kraj potrzebuje uzdrowienia, doszedł do wniosku były wiceprezydent USA Ed Kealty, a on wiedział, jak to zrobić.

Sięgnął więc po słuchawkę telefonu.

— Cliff? Tu Ed. . .

1 — Początek

Centrum Kryzysowe FBI na piątym piętrze Budynku Hoovera zajmuje pokój o kształcie zbliżonym do trójkąta i jest zaskakująco małe — piętnaścioro ludzi mieści się tam od biedy, ale co chwila zderzają się ramionami. Szesnastym, nowo przybyłym, był zastępca dyrektora FBI, Daniel E. Murray. Oficerem dyżurnym Centrum był jego stary przyjaciel, inspektor Pat O'Day. Był to mężczyzna potężnie zbudowany, a choć urodził się i kształcił w stanie New Hampshire, nosił robione na zamówienie kowbojskie buty, bo jego hobby było prowadzenie rancza w Wirginii, na którym hodował bydło. Siedział teraz na swoim fotelu, przyciskając do ucha słuchawkę, a w pokoju panowała

zadziwiająca, jak na warunki prawdziwego kryzysu, cisza. Wejście Murraya skwitował jedynie lekkim skinieniem głowy i podniesioną ręką. Zwierzchnik poczekał na zakończenie rozmowy.

— Mamy coś, Pat?

— Właśnie dzwonił z Andrews. Mają zapisy wskazań radaru i całą resztę. Posłałem tam agentów z waszyngtońskiego biura terenowego, żeby przesłuchali personel z wieży kontrolnej. W drodze jest ekipa Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Na razie wygląda na to, że pilot *Boeinga 747* Japońskich Linii Lotniczych dokonał samobójczego zamachu. Dyżurni z wieży w Andrews mówią, że pilot zgłosił się jako pozarozkładowy samolot linii KLM z awarią i poprosił o zezwolenie na awaryjne lądowanie. Kiedy go podprowadzili nad lotnisko, zboczył z kursu w lewo, a potem. . . No, cóż, sam wiesz, co stało się potem. — O’Day wzruszył ramionami. — Ekipa waszyngtońskiego biura terenowego zaczęła oględziny miejsca zdarzenia na Kapitolu. Myślę, że katastrofę można uznać za akt terroru, więc to nasza działka.

— Gdzie jest zastępca dyrektora sekcji waszyngtońskiej? — Murray wiedział, że mieszka w Buzzard Point nad Potomakiem, więc już dawno powinien dojechać.

— Na wyspie Saint Lucia, pojechał z Angie na wakacje. Tony to ma pecha — mruknął inspektor dyżurny. Tony Caruso wyjechał zaledwie trzy dni temu. — Zresztą wielu ludzi miało dziś gorszego pecha. Będzie dużo ofiar, Dan. Więcej niż w Oklahoma City trzy lata temu. Ściągam zespoły kryminalistyczne z całego kraju do pomocy w identyfikacji. Wiele ciał jest tak zdeformowanych, że trzeba będzie się opierać na próbkach DNA. Aha, a jacyś mądrale z telewizji pytali jak to jest możliwe, że Siły Powietrzne do tego dopuściły. — O'Day pokręcił głową z obrzydzeniem. Widać było, że musi się na kimś wyładować, a idioci z telewizji zawsze byli wymarzoną ofiarą. Wszyscy rozumieli, że w innych biurach również ich szukano i mieli nadzieję, że tym razem nikt nie wybierze FBI na chłopca do bicia.

— Wiemy coś jeszcze?

Pat pokręcił głową.

— Nie. To trochę potrwa, Dan.

— Ryan?

— Był na Wzgórzu, teraz jest w drodze do Białego Domu. Telewizja pokazywała go na Kapitolu. Wygląda na niezłe wstrząśniętego. Ludzie z Tajnej Służby też mieli ciężki

dzień. Facet z którym gadałem dziesięć minut temu mało nie wyszedł z siebie. Chyba będziemy się musieli z nimi bić o to, kto poprowadzi dochodzenie.

— No, pięknie — parsknął Murray. — Dobra, niech PG to rozsądzi, to w końcu leży w jego kompe... — Dopiero teraz dotarło do niego, że prokurator generalny nie żyje i nie będzie mógł niczego rozsądzić. Także sekretarz Departamentu Skarbu, któremu podlegało Biuro, zginął na Kapitolu.

Pat O'Day nie chciał się w to zagłębiać. Prawo federalne składało prowadzenie dochodzenia w sprawie zamachu na prezydenta w ręce Tajnej Służby, ale jednocześnie inna ustawa federalna oddawała kierownictwo dochodzenia w sprawach zamachów terrorystycznych w ręce FBI. Co gorsza, prawodawstwo Dystryktu Columbia oddawało każdą sprawę o morderstwo w ręce waszyngtońskiej policji miejskiej. Do tego dochodziła Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu, bo rozbity został samolot pasażerski i, dopóki się tego nie wykluczy z całą pewnością, mógł to być zwykły, tragiczny w skutkach wypadek. Każda z wymienionych agend dysponowała wysoko wykwalifikowanymi zespołami dochodzeniowymi i ogromnym doświadczeniem. Tajna Służba, choć mniej liczna z natury rzeczy od FBI, miała najlepsze zespoły techniczne i dostęp

do najbardziej nowoczesnych technicznych środków dochodzeniowych. NRBT dysponowała najlepszymi ekspertami od wypadków lotniczych i wiedziała o katastrofach więcej, niż ktokolwiek na świecie. Ale to Biuro powinno prowadzić dochodzenie. Szkoda, że dyrektor Shaw zginął, on by wiedział, jak wyszarpać to dochodzenie konkurencji. . .

Jezu, pomyślał nagle Murray. Bili Shaw. Znali się od czasów Akademii, razem zaczęli pracę jako nowicjusze w biurze terenowym w Filadelfii, razem ścigali rabusi bankowych. . . A teraz Billa już nie ma.

— Tak, Dan, trochę to trwa, zanim się człowiek w tym wszystkim połapie. Dostaliśmy w dupę, jak się patrzy — skomentował O'Day, podając mu ręcznie spisaną listę ludzi, o których wiadomo było, że zginęli na Wzgórzu.

Jasna cholera, pomyślał Murray, wznosząc brwi. Przeleciał wzrokiem listę nazwisk. Nawet bomba atomowa nie wyrządziłaby większych szkód państwu. W sytuacji kryzysu globalnego przynajmniej wiadomo, że coś się święci i można zawczasu ewakuować członków rządu i legislatury, po cichu, powoli, tak by nie zginęli już podczas pierwszego ataku. Nie tak jak teraz.

* * *

Ryan bywał w Białym Domu tysiące razy. Składał wizyty, przedstawiał raporty, odbywał spotkania, raz ważne, kiedy indziej tylko zabierające czas, a ostatnio pracował tu na stałe, jako doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tym razem po raz pierwszy w życiu nie musiał nikomu pokazywać przepustki, przechodzić przez bramki do wykrywania metalu i tak dalej. Zresztą nawet przeszedł przez jedną z nich z przyzwyczajenia, tylko że tym razem nawet się nie zatrzymał, żeby pokazać strażnikowi klucze, które włączyły dzwonek. Zmiana w zachowaniu agentów Tajnej Służby była uderzająca. Okazało się, że — jak wszystkim — dobrze im robi powrót na własne śmieci. Choć cały kraj dopiero co miał okazję się przekonać, do jakiego stopnia iluzoryczne jest bezpieczeństwo zapewniane przez ochronę prezydentowi, członkowie Tajnej Służby nadal w nią wierzyli i dopiero tu, w domu, poczuli się zwolnieni z obowiązków, schowali wreszcie broń, którą trzymali na widoku od kilku godzin, pozapinali marynarki, paru nawet się uśmiechnęło. W sieni Wschodniego Wejścia bez wątpienia dało się słyszeć kilka westchnień ulgi.

Jakiś wewnętrzny głos mówił Jackowi, że to teraz jego dom, ale nadal w to nie wierzył. Prezydenci uwielbiali nazywać ten budynek Domem Narodu, dając upust typowej politykom hipokryzji i fałszywej skromności. Przecież bijąc się o miejsce w tym fotelu, byli gotowi stąpać po trupach własnych dzieci, a teraz, gdy wreszcie w nim zasiedli, nakładali maskę uśmiechu i mizdrzyli się do kamer mówiąc, że to nic takiego, ot, po prostu taki trochę większy gabinet z trochę większą obsługą. Gdyby kłamstwa pozostawiały plamy na ścianach, to ten budynek dawno już nadawałby się do remontu, pomyślał Jack. Prócz małości i zwyczajnych świństw, ściany Białego Domu były świadkiem wielu wielkich wydarzeń i czynów. To tu James Monroe opracował swoją doktrynę i po raz pierwszy ogłosił strategiczne aspiracje USA. To stąd Lincoln zdołał utrzymać kraj w jedności, mając za sobą jedynie siłę własnej woli. To tu Teddy Roosevelt uczynił ze Stanów Zjednoczonych liczące się w świecie mocarstwo, wysyłając swoją Białą Flotę, by we wszystkich zakątkach globu pokazała potęgę Ameryki. I także tutaj jego kuzyn, Franklin Delano Roosevelt, uratował kraj przed wewnętrznym chaosem i być może rewolucją, przy pomocy siły woli, nosowej wymowy i cygarniczki, której niemal nie wypuszczał z ust. To tu Eisenhower pełnił swój mandat tak umiejęt-

nie, że mało kto w ogóle dostrzegał, że Ameryka ma prezydenta. To tu Kennedy starł się z Chruszczowem i wygranie tego starcia sprawiło, że mało kto zarzucał mu potem, iż nie musiałoby dojść do tego spotkania, gdyby nie popełnił wcześniej serii błędów. To tu wreszcie Reagan snuł plany, które doprowadziły do upadku jego największego przeciwnika, a potem znosił oskarżenia o to, że nic nie robił i przespał większą część swoich obu kadencji. Co liczyło się bardziej w ogólnym rozrachunku? Te osiągnięcia, czy małe i większe świństewka, popełniane czasem, gdy wielki człowiek na chwilę wypadnie ze swej roli? Ale to właśnie te fałszywe kroki żyły w pamięci ludzkiej na wieki, podczas gdy resztę większość brała za oczywistość i szybko zapominała.

To nadal nie był jego dom.

Za wejściem otwierało się coś w rodzaju tunelu, biegnącego pod Wschodnim Skrzydłem, w którym mieściły się biura Pierwszej Damy. Jeszcze półtorej godziny temu były to biura Anne Durling. Według prawa Pierwsza Dama była osobą prywatną (choć to raczej fikcja, biorąc pod uwagę, że miała opłacaną z kieszeni podatników służbę), ale jej rola tak naprawdę była bardzo ważna, choć raczej nieoficjalna. Wokół otaczały Ryana mury, przywodzące na myśl bardziej muzeum, niż dom. Przeszli przez małe kino,

w którym prezydent z niecałą setką ludzi z jego otoczenia i przyjaciół mogli oglądać filmy. W salce stały patriotyczne rzeźby Fredericka Remingtona, na ścianach wisiały zaś portrety poprzednich prezydentów. Ryan spojrział na nie i wydawało mu się, że martwe oczy z obrazów patrzą na niego podejrzliwie i z powątpiewaniem. Oni wszyscy, ci, którzy dawno już odeszli w przeszłość, oceniani dobrze i oceniani źle, patrzyli teraz na niego i...

Jestem historykiem, pomyślał Ryan. Napisałem kilka książek, w których oceniałem postęпки innych ludzi z bezpiecznego dystansu, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Co ten czy ów zrobił dobrze, co mu nie wyszło i dlaczego — po latach mogłem się bezpiecznie mądrzyć i pouczać. Teraz, poniewczasie, wiem już jak to wygląda od środka. Z zewnątrz można się uważnie rzeczy przypatrzeć, rozważyć i wybrać najlepszą, z jakiegoś punktu widzenia, możliwość. Można siedzieć nad jakimś zagadnieniem ile dusza zapagnie, można nawet przerwać, zacząć od początku, by lepiej je zrozumieć, albo i rzucić to wszystko w diabły, by zająć się czymś prostszym i przyjemniejszym. Ale tu, w środku zdarzeń, nie ma o tym mowy. Tu wszystko leci na ciebie jakbyś stał z wajchą do przedstawiania zwrotnic na środku węzła kolejowego, po którego szynach

pociągi przemykają we wszystkich kierunkach naraz, kierując się nieznanym ci rozkładem jazdy. Poprzedni zwrotnicowi, ci, którzy patrzą się z tych ścian, trafiali tu z własnej woli, na fali społecznego poparcia i mieli całe dywizje zaufanych doradców. On trafił tu przypadkiem. Ale historyków nie będzie to obchodziło. Może któryś, litując się nad kolegą po fachu, wspomni o tym w krótkim paragrafie złożonym *petitem*, gdzieś na końcu wstępu do miażdżącej krytyki jego prezydentury. Wszystko, co zrobi lub powie, będzie poddane drobiazgowej analizie — i to nie tylko jego działania lub mowy w przyszłości, ale i te z przeszłości, z których autor będzie mógł wnioskować o jego charakterze, przekonaniach, intencjach. Od chwili, w której w budynek Kapitolu uderzył japoński samolot, był prezydentem, czy mu się to podobało, czy nie. Jego codzienne życie zostanie odarte z prywatności i nawet kiedy już wreszcie umrze, nie uwolni się od wścibstwa ludzi, którzy będą wiedzieli lepiej, co i kiedy powinien był zrobić, nie mając zarazem pojęcia, jak to jest być tutaj, w tym wiecznym więzieniu i popełniać nieuniknione błędy, które mu wytkną. Kraty tego więzienia są niewidoczne, ale przez to jeszcze bardziej prawdziwe.

Tak wielu ludzi zabija się o tę robotę, tylko po to, by się przekonać na własnej skórze, jak straszna jest i jak bardzo obfituje w rozczarowania. Jack poznał z bliska trzech kolejnych lokatorów Gabinetu Owального. Oni przynajmniej trafili tu, bo niczego innego nie pragnęli, ich oczy lśniły entuzjazmem i jeżeli coś spartolili, to zawsze można im było zarzucić, że ich zaślepienie ego przerosło możliwości intelektualne. A jak się zabrają do kogoś, kto doskonale wiedział, o co w tym wszystkim chodzi i nie pchał się nigdy do tego szczytu? Czy ktoś potraktuje to jako okoliczność łagodzącą? Czy chociaż zauważy ironię losu?

Dla Tajnej Służby przyszedł czas odprężenia. Szczęściarze, pomyślał z zazdrością Ryan. Ich zadaniem była ochrona jego i jego rodziny. On miał na głowie miliony współobywateli.

— Tędy, panie prezydencie. — Price wskazała odnogę korytarza prowadzącą w lewo. Stali w niej ludzie z personelu Białego Domu, którzy przyszli zobaczyć nowego Szefa, człowieka, któremu mieli służyć najlepiej jak potrafią. Jak wszyscy inni, po prostu stali tam i patrzyli, nie wiedząc co mu powiedzieć. Badali go wzrokiem i choć teraz ich oczy nie zdradzały opinii, jakie sobie o nim wyrobili, wiedział, że przy pierwszej

nadarzającej się okazji szatnie będą aż dudnić od półgłosem wymienianych uwag. Jack ciągle jeszcze ubrany był w strażacką kurtkę, jak wtedy, gdy chodził po zgłiszczach. Woda ze zraszaczy, która zamarzła na jego włosach i sprawiała wrażenie przedwczesnej siwizny, zaczynała teraz topnieć. Widząc to, jeden z kamerdynerów pobiegł gdzieś i wrócił po chwili z ręcznikiem, przedzierając się przez zwarty pierścień ochrony.

— Dziękuję — wydusił zaskoczony Ryan. Zatrzymał się na chwilę i zaczął wycierać ręcznikiem włosy. W tym momencie zobaczył nadbiegającego fotoreportera, który wycelował w niego obiektyw i zaczął trzaskać migawką, oślepiając go fleszem. Tajna Służba nawet nie próbowała powstrzymać natręta, co uzmysłowiło Jackowi, że to pewnie oficjalny fotograf Białego Domu, mający za zadanie utrwalać każdy jego grymas dla potomności. No, pięknie, pomyślał. Nawet swoich trzeba się będzie wystrzeżać! Ale chyba nie czas teraz na kłótnie o byle drobiazgi.

— Dokąd idziemy, Andrea? — zapytał, gdy mijali kolejne portrety spoglądających na niego prezydentów i pierwszych dam.

— Do Gabinetu Owalnego, panie prezydencie. Pomyślałam, że. . .

— Nie. — Jack zatrzymał się nagle. — Chodźmy do Sali Sytuacyjnej. Chyba jeszcze nie jestem gotów do tego, żeby wchodzić do Owalnego... Dobrze?

— Oczywiście, panie prezydencie. — Doszli do końca korytarzem na parterze, skręcili z niego do niewielkiego holu, wyłożonego zaskakująco tandetną boazerią, a potem z powrotem na dwór, bo z Białego Domu nie było bezpośredniego przejścia do Skrzydła Zachodniego, gdzie mieściła się sala. Aha, to dlatego nikt mi jeszcze nie zabrał tej kurtki, domyślił się Ryan.

— Kawy — rzucił w przelocie krótkie polecenie. Przynajmniej jedzenie tu lepsze niż w Langley, pomyślał. Stołówkę Białego Domu obsługiwali stewardzi Marynarki, więc pierwszą prezydencką kawę, nalaną ze srebrnego dzbanka do porcelanowej filiżanki, podał mu na tacy marynarz, którego uśmiech był w równej mierze szczery, co profesjonalny. Ryan zauważył w jego oczach zaciekawienie nowym Szefem i to już zaczęło go trochę denerwować. Poczuł się jak nowe zwierzę w zoo. Ciekawe, nawet fascynujące, dla tych wszystkich po drugiej stronie prętów — tylko jak on się zaadaptuje w nowej klatce?

Znał tę salę doskonale, ale jeszcze nie oglądał jej z tego fotela. Miejsce prezydenta znajdowało się pośrodku stołu, tak by jego doradcy mogli się zebrać po obu stronach blatu. Ryan podszedł tam i usiadł, sam się dziwiąc, że przychodzi mu to tak naturalnie. W końcu to tylko fotel. Taki sam jak każdy inny w tej sali. Tak zwane pułapki władzy były dla niego jedynie przedmiotami, a sama władza jest w zasadzie iluzją, bo wiązały się z nią zobowiązania o wiele dalej idące, niż uprawnienia z nimi przychodzące. Władzę widać i można jej używać. Zobowiązania można było tylko czuć, wisiały w powietrzu tej dusznej, pozbawionej okien sali. Jack pociągnął łyżeczek kawy i powoli rozejrzał się po wnętrzu. Zegar na ścianie wskazywał 23.14. A więc był prezydentem już od... Zaledwie półtorej godziny? To tyle ile trwałby przejazd z ich domu do... do ich nowego domu. No, chyba żeby korek...

— Gdzie jest Arnie?

— Tu, panie prezydencie — odparł Arnie van Damm, stając w drzwiach. Był szefem personelu Białego Domu podczas kadencji dwóch prezydentów, teraz miał pobić rekord wszech czasów, towarzysząc trzeciemu. Pierwszy z nich musiał ustąpić w niesławie. Drugi zginął tragicznie. Co będzie z trzecim? Do trzech razy sztuka, czy, jak mawiali

Rosjanie, *Boh trojcu ljubit?* Są tylko dwie możliwości i obie się wykluczają. Spojrzał na Jacka i wyczytał w jego oczach pytanie: Co teraz?

— Wystąpienie telewizyjne było całkiem niezłe, panie prezydencie — powiedział, siadając naprzeciw Ryana. Jak zwykle robił wrażenie osoby spokojnej i kompetentnej, nie zdradzając ani drgnięciem powieki, ile go ten spokój kosztował w wieczór, w którym stracił o wiele więcej przyjaciół niż nowy prezydent.

— Nawet nie bardzo pamiętam, co powiedziałem — przyznał się Jack, bezskutecznie poszukując w pamięci choćby urywka swojej mowy inauguracyjnej.

— To normalne u debiutantów — pobłażliwie uśmiechnął się van Damm. — Mimo to wypadło całkiem niezłe. Zawsze uważałem, że twój instynkt jest w porządku. To dobrze, bo będziesz go bardzo potrzebował.

— Od czego zaczniemy?

— Zamykamy banki, giełdę i urzędy państwowe, powiedzmy do końca tygodnia, może dłużej. Musimy zaplanować pogrzeb państwowy dla Anne i Rogera. Do tego tydzień żałoby narodowej i pewnie z miesiąc flagi do połowy masztu. W izbie było wielu ambasadorów, a to oznacza, że w najbliższym czasie będzie mnóstwo roboty na forum

dyplomatycznym. To są pierwsze sprawy, nazwijmy to porządkami w domu. Wiem — powiedział, wznosząc dłoń, by uciszyć w zarodku protest Jacka — Przepraszam, ale jakoś to trzeba nazwać.

— A kto...?

— Od tego masz szefa protokołu, Jack — przerwał mu van Damm. — Jego zespół już siedzi nad swoimi biurkami i robią to za ciebie. Mamy tu też zespół piszący przemówienia, oni zajmą się oficjalnymi wystąpieniami. Poza tym prasa i telewizja stoją już w kolejce do ciebie. Musisz zaprezentować się narodowi. Musisz upewnić ludzi, że to nie koniec świata. Musisz w nich wzbudzić zaufanie...

— Kiedy?

— Najpóźniej w porze porannych dzienników. CNN i wszystkie główne sieci. Jak dla mnie, to moglibyśmy już za godzinę, ale nie ma takiej potrzeby. Na razie możemy ich posłać do diabła, mówiąc, że jesteśmy zajęci. Bo będziemy zajęci — zapewnił go Arnie. — Poza tym trzeba to przygotować, poinstruować co wolno ci powiedzieć telewizji, a czego w żadnym wypadku nie możesz. Im zresztą też trzeba zrobić odprawę, żeby wiedzieli, o co mogą pytać, a o co w żadnym wypadku nie powinni. W tej sytuacji

pewnie pójdą na współpracę. Można założyć, że masz u nich tydzień forów, ale to oni zadecydują, kiedy kończy się okres ochronny i nie mamy tu nic do gadania.

— A potem?

— A potem zostaniesz kolejnym prezydentem i będziesz się musiał zachowywać tak jak prezydent — powiedział, nie owijając w bawełnę Arnie. — Nikt cię nie zmuszał do złożenia przysięgi, pamiętasz?

Ryan rozejrzał się po sali, napotykał zewsząd kamienne spojrzenia ochroniarzy. Był dla nich po prostu nowym Szefem, a ich spojrzenia nie różniły się teraz od tych, które śledziły go z portretów, mijanych na korytarzu Wschodniego Skrzydła. Oczekiwali od niego, że wie, co ma robić. Będą go wspierać i chronić przed innymi, a w razie potrzeby przed samym sobą, ale nie dla zabawy, tylko dlatego, że miał do spełnienia zadanie. Nie pozwolą mu też uciec. Tajna Służba miała wszelkie pełnomocnictwa, by chronić go przed zagrożeniami fizycznymi. Arnie van Damm spróbuje go uchronić przed zagrożeniami politycznymi. Inni członkowie personelu Białego Domu też będą go chronić i mu służyć. Obsługa będzie go karmić, prasować mu koszule i zaparzać kawę. Ale każdy z osobna i wszyscy razem nie pozwolą mu uciec, ani z tego miejsca, ani od tych zadań.

To było więzienie.

Ale to, co mówił Arnie, też było prawdą. Mógł odmówić złożenia przysięgi. Nie, nie mógł, pomyślał, patrząc w swoje odbicie na polerowanym dębowym blacie stołu. Wtedy byłby już na wieki potępiony jako tchórz. A nawet jeszcze gorzej, sam sobie by nie wybaczył. Jego sumienie było groźniejszym przeciwnikiem, niż jakikolwiek wróg zewnętrzny. Taką już miał naturę, że nigdy nie był zadowolony ze swego odbicia w lustrze. Był dobrym człowiekiem, wiedział o tym, ale nie dość dobrym. Co go do tego przekonania popychało? Wartości, które wpoili mu rodzice, potem nauczyciele, Korpus Piechoty Morskiej, ci wszyscy ludzie, z którymi się spotykał, te wszystkie niebezpieczeństwa którym stawiał czoło? Co go zaprowadziło do tego miejsca? Co sprawiło, że stał się tym, kim się stał? I właściwie kim był naprawdę John Patrick Ryan? Znowu podniósł wzrok na resztę sali, zastanawiając się, kim był dla tych ludzi. Co o nim myśleli? Był teraz ich prezydentem, mógł im wydawać rozkazy, a oni mieli obowiązek je wypełniać. Będzie wygłaszał mowy, które napisze dla niego jakiś człowiek, a inni będą je w pocie czoła analizować, próbując się z nich dowiedzieć, jakim jest człowiekiem. Będzie decydował, co mają zrobić Stany Zjednoczone, a inni, którzy nigdy w życiu nie

będą mieli pojęcia, jak lepiej zrobić to, co krytykują, będą bezlitośnie oceniać jego poczynania. Od tej pory nie był już osobą. Był funkcją. Funkcję pełni jakiś facet, kiedyś może nawet pełnić ją będzie jakaś kobieta. Ten facet stara się przemyśleć to, co ma do zrobienia i wybrać najlepsze rozwiązanie, ale to nikogo nie będzie obchodzić. Dla niego, Johna Patricka Ryana, złożenie tej przysięgi półtorej godziny temu było właściwym posunięciem. Złożyć ją i potem starać się wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafi. Osąd historii jest dużo mniej ważny od jego własnego zdania na swój temat, od tego, co będzie myślał rano przy goleniu, patrząc na odbicie w lustrze. Prawdziwym więzieniem nie był wcale ten budynek. Prawdziwym więzieniem była jego własna dusza.

Cholera jasna.

* * *

Pożar powoli dogasał. Brygadier Magill wiedział, że jego ludzie muszą być teraz bardzo ostrożni. Na pogorzeliisku zawsze są miejsca, gdzie ogień przygasał, nie dlatego, że zalała go woda, ale raczej z braku tlenu. Wystarczy takie miejsce potrącić, by

buchnął stamtąd płomień, zaskakując, a może nawet zabijając nieostrożnego. Niektóre węże zwijano, część ludzi wracała wozami bojowymi do strażnic. Nie mogli tu sterczeć bez przerwy. Do gaszenia tego pożaru Magill ściągnął sprzęt z całego miasta, a przecież żywioł nie spał i gdzie indziej w mieście bez pomocy strażaków ludzie mogliby ginać w płomieniach. Wokół jego samochodu zaczęło robić się tłoczno, wszędzie kręcili się ludzie w ortalionowych kurtkach z wielkimi literami na plecach. Kogo tam nie było! FBI z centrali i FBI z waszyngtońskiego biura terenowego, Tajna Służba, policja miejska, ekipa Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, agenci Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej Departamentu Skarbu, ekipa dochodzeniowa Straży Pożarnej. I wszyscy szukali Kogoś, Kto Tu Dowodzi, tylko po to, żeby mu zakomunikować, że od tej chwili to oni przejmują dowodzenie akcją. Zamiast zebrać się na boku i ustalić, kto się czym zajmuje, stali jak te barany, każdy w swoim towarzystwie i patrzyli na siebie nawzajem spode łba, jakby jeden drugiemu chciał ukraść ten cholerny pożar i te wszystkie trupy wewnątrz. Magill pokręcił głową z rezygnacją. Cholera, ile już razy widział ten spektakl? Czy oni się nigdy nie nauczą?

Zwłok przybywało z każdą minutą. Na razie zabierano je do Arsenалу, jakieś dwa kilometry na północ od Kapitolu, przy torach kolejowych. Magill nie zazdrościł roboty zespołom identyfikującym, choć do tej pory nie miał kiedy zejść do krateru i zobaczyć, jaki jest stopień zniszczeń.

— Pan tu dowodzi? — usłyszał po raz kolejny.

— Tak.

— Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu. Czy możemy zacząć poszukiwania RPL?

Człowiek w kurtce wskazał na sterczący statecznik samolotu. Choć ogon samolotu był poważnie uszkodzony, to jednak znaczna jego część ocalała i gdzieś tam znajdował się Rejestrator Parametrów Lotu, zwany przez dziennikarzy czarną skrzynką, choć w rzeczywistości jest jaskrawopomarańczową kulą. Rejon wokół ogona maszyny wyglądał całkiem niezłe. Gruz został odrzucony przez wybuch na boki, wokół nie było już ognia, więc pojawiły się szanse na szybkie odnalezienie urządzenia.

— Dobra. — Magill skinął głową i pokazał dłonią dwóm strażakom, by towarzyszyli ekipie.

— Czy mógłby pan polecić swoim ludziom, by w miarę możliwości nie przesuwali części samolotu? Będziemy musieli zrekonstruować przebieg zdarzeń, w związku z tym dobrze byłoby, gdyby części leżały tam, gdzie upadły.

— Dla nas przede wszystkim liczą się ludzie, eee... zwłoki — odparł Magill.

— Rozumiem. — Urzędnik umilkł na chwilę. — Gdybyście natknęli się na ciała załogi, proszę ich nie ruszać i powiadomić nas jak najszybciej. My się nimi zajmiemy. W porządku?

— A jak ich poznać?

— Będą w białych koszulach, na ramionach powinni mieć naramienniki z oznakami stopni. No i prawdopodobnie będą to Japończycy.

Dla kogoś postronnego ta rozmowa mogła zrobić absurdalne wrażenie, ale oni rozumieli się w pół zdania. Magill wiedział, że ciała ofiar katastrof lotniczych często zachowywały się w doskonałym stanie, w ogóle bez śladów jakichkolwiek uszkodzeń zewnętrznych, tak, że czasami trudno było przy pierwszym badaniu ustalić przyczynę śmierci. To doprowadzało nowicjuszy do hysterii. Ciężko się pogodzić z faktem, że ciało ludzkie jest bardziej wytrzymałe, niż życie, które się w nim kołaczy. Jednocześnie

okazywało się to błogosławieństwem dla tych, którzy musieli identyfikować zwłoki. Nie musieli patrzeć na poskręcane, przypalone kawałki mięsa, choć w takim przypadku łatwiej pogodzić się ze śmiercią denata, niż wtedy gdy ten po prostu leży na stole i nie odpowiada na pytania. Magill ponownie skinął głową i jeden z jego adiutantów przekazał polecenie strażakom na pogorzeliisku.

Ci usłyszeli już kilka takich poleceń, będących rezultatem poprzednich wizyt na stanowisku dowodzenia. Pierwsze z nich dotyczyło poszukiwania ciała prezydenta Durlinga. To było zadanie absolutnie priorytetowe, na zwłoki czekała już specjalna karetka. Nawet zwłoki Pierwszej Damy nie były równie ważne i w razie odnalezienia, miały poczekać na ciało męża. Specjalnie w tym celu wypożyczony dźwig właśnie manewrował wśród gruzów, zajmując najdogodniejszą pozycję do poszukiwania zwłok w rumowisku bloków kamiennych, które tak niedawno były lożą prezydencką. Na skutek wybuchu całość rozleciała się, niczym trącona przez dziecko budowla z klocków. W ostrym świetle reflektorów ta iluzja nabierała mocy i wydawało się, że do pełnego obrazu brakuje już tylko cyfr i liter na bokach klocków.

* * *

Urzednicy, zwlaszcza ci wyzszy rangą, ciagnęli zewszad do budynków rządowych. W normalnych warunkach widok zapełnionego o północy do ostatniego miejsca parkingu dla VIP-ów pod Departamentem Stanu mógłby dziwić, ale to był taki wieczór, że nic już nikogo nie było w stanie zdziwić. Ściągnięto też z domów strażników, bo atak na jedną agendę rządu federalnego oznaczał możliwość ataku na pozostałe, choć sam sposób, w jaki przeprowadzono zamach, raczej pozbawiał sensu ściąganie w środku nocy tłumy ludzi z bronią. Taka była jednak procedura alarmowa i nikt nie zastanawiał się nad sensem poszczególnych jej członów, gdy już machina została puszczona w ruch. Przyjechali, pokiwali głowami nad bezsensem tego wszystkiego, ale w końcu dostaną dodatek za nadgodziny, w przeciwieństwie do tych ważniaków mieszkających w Chevy Chase¹ i wiejskich rezydencjach Wirginii, którzy zaludniali właśnie swoje gabinety, po to jedynie by pogadać z innymi ważniakami o wydarzeniach minionego dnia.

¹Miasteczko luksusowych rezydencji w zachodnim Marylandzie (przyp. red.).

Jeden z VIP-ów postawił swój samochód na parkingu w podziemiu, potem włożył w otwór czytnika kartę identyfikacyjną, uzyskując dostęp do windy kierownictwa i pojechał na siódme piętro. Od wszystkich innych odróżniało go to, że on wiedział, po co tu przyjechał, choć przez całą drogę z domu w Great Falls zastanawiał się, czy zdecyduje się na realizację swojego zadania. Miał poważne opory, ale czyż mógł odmówić? Zawdzięczał przecież Kealty'emu wszystko, co osiągnął: pozycję w waszyngtońskim świątku, karierę w Departamencie Stanu, wszystko. Kraj potrzebował teraz kogoś takiego jak Ed. Tak powiedział Ed, uzasadniając swoją prośbę. Jakiś nikły głos w głębi duszy mówił mu w samochodzie, że to, co zaplanowali jest zdradą stanu. Inny głos mówił, że to bzdura, bo w definicji zbrodni zdrady stanu — jedynej definicji prawnej przestępstwa, zawartej w konstytucji — wyraźnie mówi się, zdradą jest „udzielanie pomocy i schronienia wrogom państwa”, a przecież nie to planował Ed Kealty, prawda?

To była kwestia lojalności. Był człowiekiem Kealty'ego, jak wielu innych. To się zaczęło jeszcze na Harvardzie, od piw i wspólnych randek w domku jego rodziny nad jeziorem, w tych dawnych, dobrych, młodzieńczych latach. Był zaledwie proletariuszem, a jednak gościł w domu jednej z bardziej szacownych rodzin Ameryki. Dlaczego?

Nie pytał i chyba już nigdy się nie dowie. To była przyjaźń. Po prostu, tak się złożyło, a Ameryka jest krajem, w którym nawet syn robotnika, który własną, ciężką pracą dorobił się stypendium na Harwardzie, może się zaprzyjaźnić z potomkiem wielkiej rodziny. Zapewne sam by sobie poradził nie gorzej. Być może. Bóg dał mu wrodzoną inteligencję, a rodzice ukierunkowali ją i wpoili mu zasady oraz wartości. Ta myśl spowodowała, że zamknął na chwilę oczy, zanim zdecydował się wyjść z windy na siódmym piętrze. Wartości. Właśnie. Lojalność była jedną z nich, nieprawdaż? Bez poparcia Eda osiągnąłby najwyżej stanowisko zastępcy asystenta sekretarza stanu. Dzięki Kealty'emu pierwszy człon jego tytułu zniknął ze złotej tabliczki, zdobiącej drzwi do jego gabinetu. Gdyby świat był sprawiedliwy, miałby szansę na usunięcie i tego drugiego, bo w końcu kto na tym całym piętrze znał się na polityce zagranicznej lepiej od niego? Nawet tego nie osiągnąłby bez poparcia Eda Kealty'ego. Bez tych przyjęć, na których Ed szeptał mu na ucho, z kim wymieniać uściski dłoni i gadać po całych nocach, by piąć się po waszyngtońskiej drabinie na szczyty. I bez pieniędzy. Nigdy nie zbrukał sobie ręką żadną łapówką, ale jego przyjaciel Ed mądrze doradzał mu (dokładniej mówiąc, porady przekazywał mu doradca inwestycyjny Eda, ale co to za różnica?) w co i kiedy

inwestować, by dorobić się wreszcie finansowej niezależności i jeszcze kupić w Great Falls dom o powierzchni prawie pięciuset metrów kwadratowych, przepchnąć własnego syna na Uniwersytet Harwarda i to nie na stypendium, bo Clifton Rutledge III był już teraz synem kogoś, a nie, jak jego ojciec, produktem robotniczych łędźwi. Choćby się nie wiem jak starał, bez Eda nie zaszedłby sam tak wysoko i jego wdzięczność wobec Kealty'ego była czymś naturalnym.

Ta myśl sprawiła, że Clifton Rutledge II (właściwie w metryce miał napisane Junior, ale dla człowieka o jego obecnej pozycji tak trywialny przydomek był po prostu obraźliwy), zastępca sekretarza stanu, odzyskał przekonanie do swej misji.

Najważniejsze było rozplanowanie w czasie. Na siódmym piętrze zawsze czuwali strażnicy, tym bardziej w tych okolicznościach. Strażnicy znali go doskonale i, jeżeli tylko będzie robił wrażenie, jakby wiedział, czego tu szuka, na pewno nie będzie miał z nimi żadnych kłopotów. A zresztą, nawet gdyby... No cóż, najwyżej zadzwoni do Eda i powie mu: „Cześć, stary, słuchaj, nie było tam tego świstka” albo coś w tym rodzaju. Stojąc pod drzwiami swego gabinetu, przez chwilę zastanawiał się, czy to nie byłoby lepsze wyjście. Przysłuchiwał się przez chwilę krokom rozlegającym się na korytarzu.

Po piętrze chodziło dwóch strażników. W takim miejscu nie potrzeba liczniejszej ochrony. Bez ważnego powodu nikogo nie wpuszczano w ogóle do budynku, nie mówiąc już o wyższych piętrach. W ciągu dnia każdy odwiedzający poruszał się w towarzystwie strażnika, a w nocy ochrona miała jeszcze łatwiejsze zadanie. Na siódme piętro dochodziły tylko dwie windy, dostępu do nich broniły zamki kodowe, otwierane kartą identyfikacyjną. Między nimi stał trzeci strażnik. Kwestia sprowadzała się do wyboru właściwej chwili. Rutledge sprawdzał kilkakrotnie na zegarku czas przejścia strażników i przekonał się, że okres ten powtarza się z dokładnością do dziesięciu sekund. To dobrze. Trzeba po prostu poczekać do kolejnego obchodu.

— Cześć, Wally.

— Dobry wieczór, sir — odparł strażnik. — Paskudna noc, prawda?

— Możesz mi wyświadczyć przysługę?

— O co chodzi, sir?

— Muszę się napić kawy, a nie ma sekretarki i nie wiem, gdzie trzyma swój zapas. Mógłbyś skoczyć na dół do stołówki i poprosić, żeby ktoś podrzucił kilka termosów

kawy na górę? Niech je ustawią w sali konferencyjnej, bo za kilka minut będziemy mieć naradę.

— Oczywiście. Mam to załatwić już teraz?

— Gdybyś mógł, Wally. . .

— Już lecę, panie Rutledge. Za pięć minut będę z powrotem. — Strażnik ruszył do windy służbowej, skręcił za narożnik korytarza i zniknął Cliftonowi z oczu.

Rutledge odliczył do dziesięciu i skierował się w przeciwną stronę korytarza. Podwójne drzwi do gabinetu sekretarza stanu nie były zamknięte. Przeszedł przez pierwszą parę, potem przez drugą i zapalił światło. Miał trzy minuty. Jakaś część jego duszy żywiła nadzieję, że dokument będzie zamknięty w sejfie w biurze Bretta Hansona. Wtedy na pewno mu się nie uda, bo tylko Brett, jego dwaj sekretarze i szef ochrony znali szyfr do zamka, a poza tym sejf został wyposażony w instalację alarmową. Ale Brett był dżentelmenem starej daty, człowiekiem niefrasobliwym, pełnym zaufania do ludzi, z takich co nie zamykają drzwi do samochodu, czy nawet mieszkania, chyba że ich żona zmusi. Jeżeli więc dokument leżał na wierzchu, to mógł być jedynie w dwóch miejscach. Rutledge wyciągnął środkową szufladę biurka, gdzie, jak zwykle, leżał stos ołówków

i tanich długopisów, które Hanson wечно gubił. W ciągu minuty Clifton szczegółowo przeszukał biurko i nic w nim nie znalazł. Prawie poczuł ulgę, gdy raz jeszcze omiół wzrokiem blat biurka i wtedy niemal się roześmiał. Na samym środku blatu, tuż pod jego nosem, leżała biała koperta adresowana do sekretarza stanu, ale bez znaczka. Rutledge podniósł ją, trzymając za brzegi. Nie była zaklejona. Otworzył ją i wyjął ze środka arkusz papieru, zawierający dwa krótkie akapity wydrukowane na drukarce laserowej. Poczł zimny dreszcz przebiegający po plecach. Do tej pory była to tylko teoria. Jeszcze w tej chwili mógł po prostu wsadzić tę kartkę z powrotem, zapomnieć o tym, że kiedykolwiek tu był, zapomnieć o telefonie Eda, zapomnieć o wszystkim. Minęły dwie minuty.

Czy Brett pokwitował odbiór tego listu? Mało prawdopodobne. Nie był wystarczająco bezzwzględny. On by tak nie poniżył Eda.

Kealty postąpił szlachetnie składając rezygnację, na co Brett zapewne uściskał mu rękę, popatrzył ze smutkiem w oczy i na tym się to wszystko skończyło. Dwie minuty piętnaście sekund.

Zdecydował się. Wetknął kopertę do kieszeni marynarki, ruszył do drzwi, zgasił światło i wyszedł na korytarz, cicho podchodząc do drzwi swego gabinetu. Czekał niespełna pół minuty.

— Cześć, George.

— Dobry wieczór, panie Rutledge.

— Posłałem Wally'ego po kawę. Zaraz będzie narada.

— Dobry pomysł, sir. Paskudna noc. Czy to prawda, że...?

— Tak, obawiam się, że tak. Brett zapewne zginął z całą resztą.

— Cholera.

— Przyszło mi coś do głowy. Może ktoś by zamknął drzwi do jego gabinetu. Przed chwilą sprawdzałem drzwi i były...

— Jasne, panie Rutledge — odparł George Armitage i odpiął od pasa pęk kluczy, przez chwilę szukając właściwego. — Pan Hanson był zawsze taki...

— Wiem, George — skinął głową Clifton.

— Niech pan sobie wyobrazi, dwa tygodnie temu znowu zostawił otwarty sejf. Zamknął go na klamkę, ale nie przekręcił zamka. — Strażnik pokręcił głową. — Pewnie nigdy w życiu go nie okradli, co?

— No cóż, to zawsze jest problem z ochroną — zgodził się zastępca sekretarza stanu. — Szychy nigdy nie doceniają jej znaczenia.

* * *

Fantastyczny pomysł. Kto go zrealizował? Głupie pytanie. Kamerzyści nie mieli co pokazywać, więc centralnym elementem każdej transmisji były zbliżenia statecznika pionowego japońskiego samolotu. Pamiętał znak tego przewoźnika, jeszcze z czasów, gdy w ramach jednej z operacji, które prowadził, wysadzono w powietrze samolot z identycznym żurawiem na ogonie. Teraz prawie tego żałował, ale przeważyło poczucie zazdrości. To była kwestia prestiżu. To on, jeden z największych terrorystów świata — sam siebie tak nazywał — powinien był wpaść na ten cudowny pomysł, a nie jakiś zasrany amator. Bo to był jakiś zasrany amator. Gdyby dokonał tego ktoś z branży, już by znał jego nazwisko, a tak dowie się tego, jak miliony ludzi na całym świecie, z telewizji. Co

za ironia losu! On, który praktycznie od dzieciństwa oddawał się z pasją teorii i praktyce politycznej przemocy, wymyślaniem, dowodzeniem, planowaniem i dokonywaniem aktów terroru. Na co mu przyszło na stare lata? Jakiś amator jednym ruchem ręki usunął dorobek jego całego życia na margines annałów. Usunął go w cień, jak szmacianą lalkę. Miał skurwiel szczęście, że już nie żył, bo nie spodobałaby mu się droga, jaką by go wysłał w zaświaty, gdyby było inaczej.

Oderwał się od tych ponurych rozważań nad zdeptanym ego i rozważył implikacje tego fantastycznego wyczynu. To musiał być jeden człowiek. Najwyżej dwóch. Ale raczej jeden. Jak zwykle, pomyślał kiwając głową. Jeden człowiek gotów poświęcić swe życie dla Sprawy (w tym przypadku nawet nie miał pojęcia, co to była za Sprawa) jest groźniejszy niż cała armia, zwłaszcza gdy opanuje jakąś specjalną umiejętność lub posiada specjalne narzędzie.

Tak, niewątpliwie, bez umiejętności pilotażu tego człowieka i jego samolotu, nic by z tego nie wyszło. No i to jednoosobowe wykonanie. Jednemu człowiekowi zawsze łatwiej dochować tajemnicy. Tak, z tym zawsze są największe problemy. Najtrudniejszą częścią operacji jest zawsze znalezienie odpowiednich ludzi. Ludzi, którym można za-

ufać, a którzy nie ufają innym i nie będą im się zwierzać, którzy dzielą jego oddanie Sprawie i zdolni są zachować odpowiednią dyscyplinę, a przy tym naprawdę gotowi są oddać swe życie. Z tym zawsze był problem, a teraz, gdy świat tak się zmienił, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Studnia, z której zwykle czerpał, zaczęła wysychać i żadne zaprzeczenia nie były w stanie tego zmienić. Zaczynało brakować męczenników.

Zawsze był sprytniejszy i patrzył dalej niż jego koledzy, toteż jego kariera kandydata na męczennika skończyła się po trzech operacjach. W ich trakcie potrafił opanować się na tyle, by wykonać, co do niego należało. To było cholernie niebezpieczne. Nie chodziło o to, że się bał śmierci. Nie, tylko że martwy terrorysta był dla niego równie użyteczny, co martwy zakładnik. Wszyscy byli gotowi na męczeńską śmierć, ale po co jej szukać? Jemu chodziło nie o zabijane dla zabijania, on chciał zwyciężyć, zbierać owoce swego zwycięstwa, być postrzeganym jako wyzwoliciel, zdobywca, być kimś więcej niż jeszcze jedną śmiertelną ofiarą walk partyzanckich w jakimś pustynnym zadupiu. Ten cudowny widok na ekranie telewizora wielu uzna za straszliwą katastrofę. Nie czyn człowieka, a jakiś wypadek, jak tornado, powódź, czy inny wybuch wulkanu. O różnicy stanowiło to, że jakkolwiek pomysł był fantastyczny i wykonanie bez zarzutu,

nie służyło to żadnemu celowi politycznemu. I to ujmowało znaczenie temu odważnemu atakowi. Szczęście to nie wszystko. Zawsze musi istnieć jakiś cel i jakieś skutki. Atak tylko wtedy może być udany, jeśli czemuś służy, a to najwyraźniej nie służyło żadnemu innemu celowi. To niedobrze. Rzadko się zdarzało. . .

Nie, poprawił się w myślach, sięgając po sok pomarańczowy. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. To było zagadnienie filozoficzne. Sięgając wstecz, asasyni² byli w stanie sparaliżować sąsiednie królestwa, zabijając ich władców. Tyle tylko, że w ich czasach chodziło o likwidację pojedynczych ludzi i, mimo wszelkich zachwyków nad brawurą zamachowców, to już nie były te czasy. Współczesny świat nie był tak prosty. Jeśli się zabije prezydenta, premiera czy nawet jednego z tych niedobitków monarchii, którzy jeszcze rządzą tu i ówdzie, zawsze wylezie gdzieś spod kamienia ktoś, kto zajmie jego miejsce. Tu też tak było. Z jedną, za to zasadniczą różnicą. Ten nowy prezydent nie miał za sobą administracji, nie miał swojego rządu, nie miał kto mu okazać solidarności, woli kontynuacji i determinacji.

²Skrajna muzułmańska sekta izmailitów, założona około 1090 roku przez Persa, Hasana Sabbaha (przyj. red.).

Cóż za ironia losu. Marnowała się taka wspaniała szansa. Gdyby tylko wiedział. Gdyby tylko ten facet z samolotu dał komukolwiek znać, co zamierza! No, ale przecież męczennicy tak nie postępują, prawda? Kretyni zawsze planują samotnie, działają samotnie, to i giną samotnie. W tym ich osobistym sukcesie leży źródło ostatecznej klęski. A może nie? W końcu ten bałagan w Ameryce jeszcze trochę potrwa. . .

* * *

— Panie prezydencie — odezwał się agent Tajnej Służby, który podniósł słuchawkę — FBI do pana.

Normalnie telefony odbierali podoficerowie Marynarki, ale Tajna Służba była ciągle zbyt rozgorączkowana, by dopuścić w pobliże prezydenta kogokolwiek.

Ryan wyciągnął słuchawkę z uchwytu pod blatem.

— Słucham.

— Tu Dan Murray. — Jack prawie się uśmiechnął na dźwięk głosu przyjaciela. Znali się od tak dawna. Murray pewnie z trudem zwalczył w sobie chęć przywitania go zwyczajnym „Cześć, Jack!”, ale nie mógł sobie na to pozwolić, nawet gdyby go Ry-

an do tego namawiał. Po pierwsze, teraz dzieliła ich zbyt duża różnica rangi urzędu, a po drugie, ryzykowałby w ten sposób nieprzychylnie komentarze w Biurze, gdzie, jak wszędzie, nie lubiano lizusów. Jeszcze jedna przeszkoda na drodze do normalnego życia, pomyślał Jack. Teraz nawet przyjaciele będą do niego mówić „panie prezydencie”.

— O co chodzi, Dan?

— Przepraszam, że panu głowę zawracam, panie prezydencie, ale trzeba żeby ktoś wreszcie wyznaczył prowadzącego śledztwo. Na Kapitolu zjawilo się kilka konkurencyjnych ekip i . . .

— No, tak. Kłania się zasada jedności dowodzenia — mruknął Ryan. Niepotrzebnie pytał, o co mu chodzi. Wiedział przecież, że zginęli wszyscy, którzy mogli ten problem rozwiązać na niższym szczeblu. — Jak to ujmuje prawo, Dan?

— Problem w tym, że nie ujmuje wcale, panie prezydencie. — W głosie Murraya wyraźnie odbijało się zmieszanie. Nie chciał zawracać głowy człowiekowi, który miał teraz tyle problemów. Człowiekowi, który był jego przyjacielem i który zapewne w mniej oficjalnych okolicznościach byłby nim nadal. Napotkał jednak w swej pracy

problem, z którym nie potrafił się uporać sam i zwrócił się z nim do niego, jako do swego przełożonego.

— Aha, każdy ciągnie w swoją stronę, tak?

— Tak, panie prezydencie.

— No cóż, to chyba można wstępnie zakwalifikować jako atak terrorystyczny. Zdaje się, że obaj mamy doświadczenie w tego typu sprawach.

— Tak, panie prezydencie.

Jack rozejrzał się po pokoju, zanim odpowiedział.

— Sprawę prowadzi Biuro. Wszyscy inni mają się zameldować do ciebie do pomocy. Wybierz kogoś dobrego do prowadzenia sprawy.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Dan?

— Tak, panie prezydencie?

— Kto jest teraz u was najstarszy rangą?

— Pierwszym zastępcą dyrektora jest Chuck Floyd. Pojechał do Atlanty wygłosić odczyt i... — Byli jeszcze trzej zastępcy, wszyscy starsi rangą od Murraya.

— Nie znam go. Znam za to ciebie i od tej chwili jesteś do odwołania pełniącym obowiązki dyrektora Biura.

To wyraźnie zaskoczyło rozmówcę.

— Nie no, Jack, przecież ja. . .

— Dan, ja też bardzo lubię Shawa. Obejmujesz tę funkcję i nie ma gadania.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ryan odłożył słuchawkę i wyjaśnił pozostałym, o czym rozmawiali z Murrayem.

Pierwsza zaprotestowała Price.

— Ależ panie prezydencie, każdy atak na głowę państwa leży w jurysdykcji. . .

Ryan przerwał jej, podnosząc rękę.

— Biuro ma więcej doświadczenia i środków niż Tajna Służba, a poza tym ktoś musi przecież dowodzić. Chcę się z tym uporać najszybciej jak to możliwe.

— Trzeba powołać specjalną komisję dochodzeniową — włączył się van Damm.

— Tak? A kto jej będzie przewodniczył? Sędzia Sądu Najwyższego? Może jakiś gubernator albo senator? Murray to zawodowiec z długim stażem. Jeżeli koniecznie chcesz mieć tę komisję, to wybierz do kierowania jej pracami najstarszego urzędem ocalałego

sędziego wydziału karnego Departamentu Sprawiedliwości, i niech on kieruje jej pracami. Andrea, znajdź najlepszego dochodzeniowca od was na zastępcę Murraya. Po co nam ktoś z zewnątrz? Możemy to załatwić między nami. Wybierzmy najlepszych ludzi i pozwólmy im działać. Chyba możemy zaufać agencjom powołanym do rozwiązywania takich spraw? — Przerwał na chwilę. — Śledztwo ma się posuwać pełną parą, czy to jasne?

— Tak jest, panie prezydencie — odparła Price, a Ryan kątem oka zauważył aprobujące kiwnięcie głową Arnie'ego. Czyżby więc miał rację? Ale nie nacieszył się długo tą myślą. Pod ścianą stał rząd telewizorów, nastawionych na różne stacje. Wszystkie pokazywały w tej chwili właściwie ten sam obraz, a rozbłyски fleszy przyciągnęły wzrok prezydenta. Na wszystkich czterech ekranach widać było różne ujęcia ekipy wynoszącej po schodach Kapitolu worki z ciałami. Jeszcze jedno zwłoki do identyfikacji, po gumowanej tkaninie worka nawet nie można było poznać, czy to kobieta czy mężczyzna, duży czy mały, ważny czy nie. Jedyne co było widoczne, to napięte, zmęczone twarze strażaków i właśnie ten widok przyciągnął kamerzystów, przywracając Ryana do smutnej rzeczywistości. Kamery odprowadzały kolejną trójkę: dwóch żywych i zwłoki, aż

do podnóża schodów, gdzie w otwartych drzwiach ambulansu piętrzył się cały stos podobnych worków. Kolejne zwłoki zostały delikatnie ułożone na pozostałych, a potem strażacy wrócili do swego makabrycznego zadania, niosąc na górę pusty worek. Ludzie w Sali Sytuacyjnej ucichli, wszyscy śledzili te sceny w milczeniu. Rozległo się kilka westchnień, oczy powoli odwracały się od ekranów i wbijały ponuro w blat stołu. Czyjaś filiżanka zadzwoniła potrącona na spodeczku. Ten dźwięk jeszcze podkreślił ciszę, jaka zapanowała w sali; nie padły żadne słowa.

— Co jeszcze mamy do zrobienia? — zapytał wreszcie Jack. Nagle zaczął odczuwać straszne zmęczenie. Te godziny przyśpieszonego bicia serca, gdy walczył o życie swoje i rodziny, i potem, gdy patrzył na te straszne sceny na pogorzeliisku, dopiero teraz dawały o sobie znać. Czuł pustkę w piersiach, ramiona mu opadły, jakby były z ołowiu i nagle nawet utrzymanie głowy w pionie stało się poważnym wysiłkiem. Minęła 23.35, a ten dzień zaczął się dla niego o 4.10 wiadomością o tym, że ma objąć stanowisko, które potem piastował przez całe osiem minut, zanim w gwałtowny i nie chciany sposób awansował. Napływ adrenaliny, która utrzymywała go w gotowości przez ostatnie dwie

godziny ustał teraz, pozostało jedynie wielkie zmęczenie. Rozejrzał się wokół i zadał najważniejsze w tej chwili dla niego pytanie:

— Gdzie dziś będę spał? — Bo to, że nie tu, nie ulegało dla niego wątpliwości. Nie mógł spać w łóżku tragicznie zmarłego prezydenta, przez ścianę z jego dziećmi. Chciał być teraz ze swoją rodziną. Chciał patrzeć na swoje dzieci, pewnie już śpiące, bo dzieci potrafią spać w każdych warunkach. Chciał poczuć obecność żony. Rodzina była jedynym stałym punktem w jego życiu, fundamentem, którego nie zdołały zniszczyć żadne zawieruchy, w przypadkowy i gwałtowny sposób rządzące jego życiem.

Agenci wymienili pełne konsternacji spojrzenia, a potem odezwała się Andrea Price, przejmując dowodzenie, zgodnie ze swoją naturą i pełnioną obecnie funkcją.

— Może w koszarach piechoty morskiej na rogu Ósmej i I?

— Tak, na razie to chyba najlepsze rozwiązanie — zgodził się Ryan.

Price sięgnęła po mikrofon, przypięty do kołnierza kostiumu.

— Miecznik wyrusza. Podstawcie samochody pod Zachodnie Wejście.

Agenci z osobistej ochrony prezydenta wstali. Jak jeden mąż rozpięli marynarki i sięgnęli po pistolety, wchodząc w otwarte drzwi.

— Obudzę cię o piątej — obiecał Arnie, dodając: — Wyśpij się porządnie.

Ryan odpowiedział mu ponurym spojrzeniem, podnosząc się z fotela. Za drzwiami kamerdyner zarzucił mu na ramiona jakiś płaszcz. Nawet się nie zastanowił, czyj to może być płaszcz i skąd się wziął. Usiadł na tylnym siedzeniu Suburbana, który natychmiast ruszył, poprzedzony przez identyczny samochód z przodu i eskortowany przez jeszcze trzy z tyłu. Jack mógł zamknąć oczy, ale dźwięki i tak do niego docierały. Za pancernymi szybami wciąż jeszcze wyły syreny i Ryan zmusił się do patrzenia; ucieczka przed tymi widokami byłaby dowodem tchórzostwa. Łuna pożaru już zniknęła, ale nadal na Wzgórzu błyskały światła pojazdów strażackich, policyjnych i karettek. Policja wciąż blokowała główne ulice, więc kawalkada prezydencka jechała szybko, w ciągu dziesięciu minut docierając do kompleksu budynków Dowództwa Korpusu Piechoty Morskiej. Tu wciąż wszyscy byli na nogach, ale już regulaminowo umundurowani, każdy żołnierz był uzbrojony, a saluty energiczne.

Willa komendanta Korpusu Piechoty Morskiej została wybudowana w początkach dziewiętnastego wieku i była jednym z nielicznych budynków rządowych, które Brytyjczycy oszczędzili, puszczając z dymem Waszyngton w czasie swojej ostatniej wizyty

tutaj, w roku 1814. Komendant zginął na Kapitolu, a że był wdowcem, którego dorosłe dzieci dawno rozpoczęły własne życie, dom pozostał pusty. Na jego progu stał teraz pułkownik w świeżo wyprasowanym mundurze polowym i z pistoletem u pasa, a wokół domu rozstawił się chyba cały pluton *marines* w pełnym uzbrojeniu.

— Panie prezydencie — zameldował pułkownik Mark Porter — pańska rodzina została rozlokowana na górze. Bezpieczeństwa strzeże pełna kompania wartownicza, a druga jest już w drodze.

— Dziennikarze? — zapytała Price.

— Nic o tym nie było w rozkazach, które otrzymałem. Miałem chronić naszych gości, więc w promieniu dwustu metrów nie ma żadnych niepowołanych osób.

— Dziękuję panu, panie pułkowniku — powiedział Ryan, nie przejmując się dziennikarzami. Ruszył do drzwi, które otworzył sierżant piechoty morskiej, salutując jak na paradzie. Ryan, wiedziony odruchem, oddał salut, dopiero po chwili uzmysławiając sobie, że jako były *marine* nie powinien salutować do gołej głowy. Wewnątrz inny podoficer wskazał mu drogę na schody, również salutując. Dla Ryana stało się jasne, że

od tej pory nigdzie nie będzie już sam — po schodach ruszyła za nim Andrea i dwóch żołnierzy piechoty morskiej.

Na korytarzu pierwszego piętra zauważył dwóch agentów i jeszcze pięciu *marines*. Wreszcie, o 23.54, wszedł do sypialni, gdzie na łóżku siedziała żona.

— Cześć, kochanie.

— Jack — odwróciła się ku niemu — czy to wszystko prawda? Skinął głową, a potem z ociąganiem usiadł koło Cathy.

— Co z dzieciakami?

— Śpią. — Po chwili przerwy ciągnęła dalej. — Nadal nie wiedzą, co się właściwie stało. To jest nas już czwórka.

— Piątka.

— Czy prezydent nie żyje?

Ryan kiwnął głową.

— Ledwie zdążyłam go poznać.

— To był dobry człowiek. Dzieci Durlingów zostały w Białym Domu. Teraz też śpią. Nie mógłbym tam z nimi zostać, więc przyjechałem tutaj. — Ryan sięgnął do

kołnierzyka koszuli i rozluźnił krawat. Zdecydował, że idzie spać bez mycia. Nie chciał budzić dzieci, a poza tym nie miał już siły ani ochoty na spacer do łazienki.

— I co teraz?

— Muszę się wyspać. Obudzą mnie o piątej.

— Ale co my teraz zrobimy?

— Naprawdę nie mam pojęcia — odparł rozbierając się i żywiąc nadzieję, że ten nowy dzień da odpowiedzi chociaż na część z pytań, które przyniósł wieczór.

2 — Przedświt

Jak było do przewidzenia, nie dali mu pospać ani sekundy dłużej. Ryanowi zdawało się, że ledwie przyłożył ucho do poduszki, kiedy delikatne pukanie do drzwi wyrwało go ze snu. Opadły go pytania, zwyczajne w przypadku, gdy człowiek budzi się w obcym otoczeniu: gdzie ja jestem? Co tu robię? Najpierw pomyślał, że miał długi, koszmarny, lecz nieznośnie realistyczny sen, ale już po chwili uzmysłowił sobie z przerażeniem, że nawet jeżeli to był sen, to jeszcze się z niego nie obudził. Czuł się jakby porwało go tornado zdarzeń, przerażenia i zamętu, wymiętosilo i rzuciło w to obce łóżko. Po pię-

ciu, czy dziesięciu sekundach był już całkiem rozbudzony. Wygrzebał się spod kołdry, postawił stopy na podłodze i ruszył do drzwi.

— Dobra, już wstałem — powiedział drzwiom i rozejrzał się za łazienką. Nie było jej, więc jednak będzie musiał wyjść z pokoju.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powitał go młody, przejęty swoją rolą agent, podając szlafrok. Właściwie to też powinno być zadaniem ordynansa, ale jedyny *marine* widoczny w korytarzu stał wyprężony na baczność z pistoletem u pasa. Jack pomyślał, że pewnie gdy spał, Tajna Służba i Korpus rzucili się sobie do gardeł, walcząc o przywilej zapewnienia bezpieczeństwa Pierwszej Rodzinie. Najwyraźniej Służba wygrała, bo w korytarzu został już tylko jeden żołnierz. Te myśli przerwało mu zdziwienie na widok szlafroka. To był jego własny szlafrok.

— Przywieźliśmy tu trochę pańskich rzeczy wieczorem, panie prezydencie — wyjaśnił agent, uprzedzając pytanie Szefa. Drugi agent podał mu raczej przechodzoną, krwiście czerwoną podomkę Cathy. Ktoś włamał się wieczorem do ich domu! Pewnie że tak, przecież nikomu nie dawał kluczy. Ciekawe, ile czasu zajęło im wyłączenie alarmu przeciwwłamaniowego, który ostatnio zainstalował. . . Poczłapał z powrotem do

łóżka, złożył na nim podomkę i raz jeszcze ruszył do drzwi, za którymi trzeci z kolei agent wskazał mu drogę do nie używanej drugiej sypialni, w której wisiały jego cztery garnitury, cztery świeżo wyprasowane koszule, garść krawatów i wszystko, czego mógł potrzebować do ubrania. Złość powoli przechodziła. Ludzie, którzy go otaczali, wiedzieli, albo chociaż domyślali się, przez co przechodzi i robili co w ich mocy, aby uczynić jego życie znośniejszym. Proszę, nawet te trzy pary butów ktoś wypucował tak, że najbardziej rygorystyczny instruktor musztry piechoty morskiej musiałby na ich widok oszaleć ze szczęścia. Z tą myślą poszedł do łazienki, gdzie, oczywiście, znowu wszystko było na swoim miejscu — nawet jego ulubione mydło Zest. Obok stał balsam do ciała, którego używała Cathy. Nikt nie twierdził, że życie prezydenta jest wolne od trosk, ale ci ludzie naprawdę wychodzili ze skóry, żeby usunąć z jego drogi każdy powód do zmartwienia, nawet tak drobny, jak brak ulubionego gatunku mydła.

Ciepły prysznic pomógł rozluźnić napięte mięśnie, golenie przed zaparowanym lustrem pozwoliło zebrać myśli. Poranną toaletę skończył o 5.20 i zszedł na dół. Przez okno dostrzegł wartowników z piechoty morskiej, stojących na posterunkach wokół willi i obłoczki pary, wydobywające się z ich ust. Wartownicy wewnątrz przeżyli się

i salutowali, gdy przechodził obok. On i jego rodzina przynajmniej przespali te parę godzin, ci ludzie pewnie oka nie zmrużyli. Trzeba będzie o tym pamiętać, pomyślał Jack, wyczuwając zapachy z kuchni.

— Baczość — głos podającego komendę sierżanta był tym razem bardzo cichy, ze względu na dzieci śpiące na górze. Po raz pierwszy od kolacji poprzedniego wieczoru Ryan zdołał się uśmiechnąć.

— Spocznij — powiedział, uśmiechając się i ruszył do ekspresu po kawę, ale ubiegła go w tym pani kapral, zanim zdążył sięgnąć po kubek. Do kubka nalęła odpowiednią ilość kawy, uzupełniła śmietanką w takiej proporcji, jak zwykle nalewał i posłodziła dokładnie odmierzoną płaską łyżeczką cukru. Oho, pomyślał Jack, ktoś odrobił lekcje.

— Pańscy doradcy czekają w sali bankietowej, panie prezydencie — poinformował go sierżant.

— Dziękuję — odparł Ryan, kierując się we wskazanym kierunku. Twarze grona jego współpracowników zdradzały, że mieli za sobą pracowitą noc. Jackowi niemal wstyd było jego świeżości. Potem zauważył plik dokumentów, które dla niego przygotowali.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powitała go Andrea Price. Reszta zaczęła wstawać z krzeseł, więc Ryan machnął do nich ręką, żeby siadali i wycelował palec w Murraya.

— Czego się już dowiedzieliście, Dan?

— Jakies dwie godziny temu znaleziono ciało kapitana samolotu. Identyfikacja nie sprawiła żadnych problemów. Nazywał się Sato, tak jak przewidywaliśmy. Bardzo doświadczony pilot. Drugiego pilota nadal szukamy. — Murray przerwał na chwilę. — Płyny ustrojowe kapitana są badane na obecność alkoholu i narkotyków, ale zdziwiłbym się, gdyby cokolwiek znaleziono. NRBT ma czarną skrzynkę. Znaleźli ją około czwartej, teraz dopiero jest badana. Jak dotąd wydobyto ciała ponad dwustu osób...

— Prezydent?

Price pokręciła głową.

— Jeszcze nie. W tej części budynku... Tam jest straszne rumowisko, więc zdecydowali się poczekać do rana z ruszaniem bloków, żeby dodatkowo nie zdeformować zwłok.

— Ktoś przeżył?

— Tylko te trzy osoby, o których dowiedzieliśmy się wczoraj wieczorem.

— Dobrze, dziękuję. — Ryan pokiwał głową w zadumie. To była ważna wiadomość, ale niczego nie zmieniała. — Czy wiemy jeszcze coś ważnego?

Murray zajrzał do notatek.

— Samolot wyleciał z Vancouver w Kanadzie. Załoga podała kontroli obszaru fałszywy plan lotu do Londynu, na Heathrow, i skierowali się na wschód, opuszczając kanadyjską przestrzeń powietrzną o 19.51 czasu miejscowego. Do tego momentu wszystko przebiegało rutynowo. Zakładamy, że jeszcze trochę poleciełi tym kursem, a gdy wyszli poza zasięg radaru, zawrócili na południowy zachód, kierując się do Waszyngtonu. I wtedy raz jeszcze oszukali kontrolę lotów.

— Jak?

Murray zamiast odpowiedzi skinął głową nie znanemu Ryanowi mężczyźnie.

— Jestem Ed Hutchins, panie prezydencie, reprezentuję NRBT. To nie było trudne. Podali się za samolot czarterowy KLM w drodze do Orlando. Chwilę później zgłosili awarię. W takim przypadku nasi ludzie mają obowiązek sprowadzić uszkodzony samolot na najbliższe lotnisko. Ten drań wiedział doskonale, jakie guziki naciskać. Nie

mieliśmy żadnej możliwości obrony, ani zapobieżenia temu, co się stało — zakończył tonem wytłumaczenia.

— Na taśmie jest tylko jeden głos — wtrącił Murray.

— Mamy też nagrania wskazań radaru kontroli obszaru. Ustawił transponder na właściwy kod i symulował lot z uszkodzeniem systemu sterowania. Zażądał awaryjnego lądowania w Andrews i dostał to, czego chciał. A ze ścieżki schodzenia na Andrews do Kapitolu to już tylko minuta lotu.

— Jeden z naszych zdążył odpalić *Stingera* — z dumą zabarwioną smutkiem zauważyła Price.

Hutchins jedynie pokręcił głową. Tego ranka w Waszyngtonie był to niewątpliwie najpopularniejszy gest.

— Przeciw czterosilnikowemu kolosowi... Równie dobrze mógł na niego splunąć.

— Co na to Japonia?

— Cały naród jest w stanie szoku — włączył się Scott Adler, jeden z wyższych urzędników Departamentu Stanu i przyjaciel Ryana. — Zaraz po tym, jak się pan udał na spoczynek, zadzwonił ich premier. Jeszcze trochę roztrzęsiony po wydarzeniach po-

przedniego tygodnia, ale już wyraźnie z powrotem w siodle. Chciałby przyjechać tu i osobiście przekazać wyrazy ubolewania. Odpowiedzieliśmy, że rzecz wymaga konsul. . .

— Powiedźcie mu, żeby przyjeżdżał — przerwał Adlerowi Ryan.

— Jesteś tego pewien, Jack? — zapytał Arnie van Damm.

— A czy któryś z was uważa, że to był umyślny atak z ich strony?

— Tego jeszcze nie można wykluczyć — zastrzegła się Price.

— Na miejscu katastrofy nie stwierdzono śladów materiałów wybuchowych — zauważył Murray. — Gdyby na pokładzie był. . .

— To by mnie tu nie było — dokończył za niego Ryan i wypił resztkę kawy. Kapral natychmiast napełniła ponownie filiżankę. — Jak zawsze okaże się, że to robota jednego, góra dwóch czubków.

Hutchins z namysłem pokiwał głową.

— Materiały wybuchowe są relatywnie lekkie. Zabranie nawet paru ton na pokład nie zrobiłoby takiemu kolosowi jak 747-400 żadnej różnicy, natomiast zysk, w kategoriach promienia rażenia, byłby ogromny. A tu mamy do czynienia ze zwykłą kraksą.

Zniszczenia powstały przy eksplozji zapasów paliwa — a było tego połowa porcji na lot do Londynu, jakieś osiemdziesiąt ton. To straszna siła, proszę państwa — zakończył, wkładając w tę uwagę trzydzieści lat doświadczenia w ekspertyzie wypadków lotniczych.

— Jeszcze za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków — ostrzegła Price.

— Scott?

— Gdyby to był... Nie, do cholery, to nie mogła być robota ich rządu — zaprzeczył z pasją Scott Adler. — Oni tam dostali kompletnego fioła. Gazety domagają się głów ludzi odpowiedzialnych za obalenie rządu, a Koga prawie się popłakał przez telefon. Nawet jeżeli ktoś to u nich zaplanował, to znajdą go i podadzą nam jego głowę na srebrnej tacy.

— Ich poglądy na dopuszczalność skutecznych metod dochodzeniowych nie są tak humanitarne jak nasze — zgodził się Murray. — Andrea ma rację, że jeszcze za wcześnie na wyciąganie daleko idących wniosków, ale wszystkie ustalenia zdają się wskazywać na to, że nie był to zaplanowany akt terroryzmu państwowego. — Murray umilkł

na chwilę. — Jeżeli już o tym mowa, to przecież wiemy, że Japończycy dysponowali bronią nuklearną, prawda?

Jego uwaga zmroziła nie tylko kawę na stole.

* * *

Te zwłoki znalazł pod krzakiem, kiedy przestawiali drabinę wzdłuż zachodniej ściany Kapitolu. Miał za sobą już siedem godzin pracy bez przerwy, był przemarznięty na kość i całkiem otępiały. Mózg ludzki ma ograniczoną chłonność okropieństw. Po przekroczeniu pewnego progu, zwłoki stają się po prostu przedmiotami. Może ciało dziecka, albo jakiejś pięknej dziewczyny zdołałoby go jeszcze poruszyć, ale to coś, na czym przypadkowo stanął, nie należało ani do jednej ani do drugiej kategorii. Bo właściwie nie było to ciało, a jego część, tors bez głowy i rąk, któremu brakowało nóg od kolan w dół. Bez wątplenia były to zwłoki mężczyzny, ubranego nadal w strzepy niegdyś białej koszuli, z naramiennikiem na jednym z rękawów. Na naramienniku widniały trzy paski. Przez chwilę zastanowił się, co to mógł być za jeden, ale zmęczenie nie wpływało korzystnie na zdolność kojarzenia. Odwrócił się i kiwnął ręką na porucznika, który

stał nie opodal. Ten z kolei klepnął w ramię stojącą obok niego kobietę w winylowej wiatrówce z literami FBI.

Agentka podeszła, pociągając po drodze łyk kawy z plastikowego kubka i marząc o papierosie. Wiedziała, że to marzenie ściętej głowy, w powietrzu wciąż czuć było opary rozlanego wszędzie wokół paliwa.

— Właśnie je znalazłem. Trochę dziwne miejsce, nie?

— Aha, dziwne — odparła agentka, podnosząc aparat fotograficzny i robiąc zdjęcia dokumentujące obraz miejsca zdarzenia, a dzięki elektronicznemu wyświetlaczowi także czas odkrycia. Potem wyjęła z kieszeni notes i zapisała w nim pozycję kolejnego ciała odnalezionego w jej rejonie. Nie było tego dużo, tors został oznaczony numerem 4. Teraz jeszcze tylko żółta taśma na kilku kołkach i po sprawie. Zaczęła wypisywać przywieszkę.

— Może go pan obrócić?

Pod ciałem leżała tafla zielonego szkła, czy przezroczystego plastiku. Agentka zrobiła kolejne zdjęcie. Ciekawe, że przez wizjer niektóre rzeczy wydają się bardziej interesujące niż gołym okiem. Spojrzała w górę i zauważyła szczyrbę w marmurowej balu-

stradzie. Wokół leżały jakieś metalowe przedmioty, którymi już wcześniej interesował się inspektor z NRBT, rozmawiający właśnie z tym samym oficerem straży pożarnej, który przed chwilą wysłał ją tutaj. Musiała trzy razy machnąć, zanim wreszcie zauważył jej znaki.

— Tak, słucham? — odezwał się inspektor, czyszcząc chusteczką szkła okularów.

— Widział pan tę koszulę? — spytała, wskazując palcem ciało.

— Załoga — orzekł natychmiast inspektor. — Może nawet pilot. O, a co to takiego? — Tym razem to on wskazał na coś palcem.

W białej tkaninie poszarpanej koszuli, tuż obok lewej kieszeni, widniała podłużna dziura o bardzo równych brzegach, obwiedziona rdzawoczerwoną plamą. Agentka skierowała na nią światło latarki i w jej blasku widać było, że plama jest zaschnięta. Ciało znalazło się na mrozie w chwili katastrofy. Krew na urwanej szyi była zamrznięta i purpurowa, jak jakiś przerażający sorbet śliwkowy. Dwadzieścia centymetrów niżej, krew na piersi zdążyła więc zaschnąć, zanim miała okazję zamarznąć.

— Proszę nie dotykać tego ciała — powiedziała strażakom. Jak większość agentów FBI, trafiła do Akademii po kilku latach służby w policji. Cholera, ale zimno, pomyślała, czując jak policzki kasa mróz.

— To pani pierwsza katastrofa lotnicza? — zapytał inspektor NRBT, fałszywie interpretując bladość jej twarzy.

Skinęła głową.

— Katastrofa pierwsza, ale ofiary morderstwa już nie raz widziałam — odparła, sięgając po krótkofalówkę. Tu było potrzeba ekipy śledczej i ekspertów kryminalistyki.

* * *

Każde państwo świata przysłało telegramy z kondolencjami. Większość była rozwlekła, a przecież wszystkie trzeba było przeczytać — no, może przynajmniej z tych bardziej liczących się państw. Togo mogło poczekać na swoją kolej.

— Sekretarze Handlu i Spraw Wewnętrznych są już w mieście i czekają na posiedzenie gabinetu, wraz z zastępcami tych, którzy zginęli — poinformował Arnie van Damm Ryana, przerzucającego właśnie plik depesz i udającego, że możliwe jest jednoczesne

czytanie i słuchanie. — Zebrali się już także zastępcy członków Kolegium Szefów Sztabów i Naczelnego Dowództwa na naradę w sprawie bezpieczeństwa narodowego.

— Waszyngton jest właściwie zamknięty na kłódkę — powiedział Murray. — Radio i telewizja apelowały o pozostanie w domach. Gwardia Narodowa wyszła z koszar. Trzeba zluzować tych ze Wzgórza, a Gwardia w Waszyngtonie to brygada żandarmarii, więc mogą się przydać na ulicach. Trzeba jeszcze będzie znaleźć kogoś na miejsce strażaków, bo ci są już pewnie całkiem wyczerpani.

— Kiedy będzie można poznać jakieś konkretne ustalenia śledztwa?

— A kto to może wiedzieć, Jack... eee... panie prezydencie. Ryan znowu podniósł oczy znad belgijskiego telegramu z kondolencjami.

— Dan, od jak dawna się znamy? Słuchaj, nie zostałem nagle bogiem, rozumiesz? Nikt cię nie zastrzelił za to, że od czasu do czasu zwrócisz się do mnie po imieniu.

Murray uśmiechnął się.

— Dobrze. W takich sprawach nie można prognozować postępów. Przełomy po prostu przychodzą, wcześniej czy później, ale przychodzą na pewno — obiecał. — Skierowaliśmy do tej sprawy naprawdę doskonały zespół dochodzeniowy.

— To co mogę powiedzieć dziennikarzom? — Jack potarł oczy, które już go trochę bolały od czytania tych wszystkich telegramów. Może Cathy miała rację? Może naprawdę już czas na okulary? Sięgnął do teczki leżącej przed nim na stole. Był tam plan jego porannych wystąpień. O 7.08 CNN, o 7.20 CBS, NBC o 7.37, ABC o 7.50, a Fox o 8.08. Wszystkie wywiady miały się odbyć w Sali Roosevelta w Białym Domu, gdzie pewnie już teraz ustawiono kamery. Ktoś uznał za niego, że jeszcze nie czas na oficjalne wystąpienie i miał rację, bo bez sensu byłoby wygłaszanie orędzia do narodu, jeżeli właściwie jeszcze nie bardzo mógł cokolwiek powiedzieć. To miała być po prostu okazja do spokojnego, pełnego godności, ale bardzo osobistego przedstawienia się rodakom, którzy właśnie czytają gazety i popijają poranną kawę.

— Ulgowe pytania. O to już zadbaliliśmy — zapewnił go Arnie. — Odpowiadaj na wszystkie. Mów powoli, wyraźnie i jasno. Bądź zrelaksowany, o, właśnie taki jak teraz. Unikaj dramatycznych gestów. Ludzie tego nie lubią. Oni chcą wiedzieć, że ktoś tu po staremu odbiera telefony i że ten cyrk nadal ma dyrektora. Sam wiesz, że jeszcze za wcześnie na mówienie ważnych rzeczy.

— Co z dziećmi Rogera?

— Chyba jeszcze śpią. Reszta rodziny już jest w mieście. Są teraz w Białym Domu. Prezydent Ryan kiwnął głową, nie podnosząc wzroku znad papierów. Nie miał odwagi spojrzeć w oczy ludziom siedzącym wokół tego stołu, zwłaszcza gdy poruszał takie tematy. Na taką okoliczność też była przewidziana procedura alarmowa. Ekipa przeprowadzkowa pewnie już jest w drodze. Rodzinę prezydenta, a raczej to co z niej zostało, usunie się z Białego Domu grzecznie, ale szybko, bo to już nie był ich dom. Kraj potrzebował na ich miejsce kogoś innego i ten ktoś powinien się tam rozgościć jak najszybciej, co sprawiało, że równie szybko zniknąć stamtąd musiały wszelkie ślady po poprzednich lokatorach. To nie przejaw bezduszości, zdał sobie sprawę Jack, lecz kwestia odpowiedzialności. Na pewno przydzielili im się psychologa, by pomógł im się dostosować do nowej sytuacji, ale kraj był ważniejszy. W nieubłaganym cyklu życia nawet tak sentymentalny naród jak Amerykanie musiał iść naprzód. Kiedy na Ryana przyjdzie kolej opuszczenia Białego Domu w ten, czy inny sposób, procedura będzie identyczna. Kiedyś eks-prezydenci po inauguracji następcy szli na Union Station kupować bilet kolejowy do domu, teraz ich dobytekiem zajmowały się wyspecjalizowane firmy, a do domu wracali samolotem Sił Powietrznych, ale zasada pozostawała ta sama.

Konieczne, czy nie, przyjemne to na pewno nie było, pomyślał wracając do belgijskiego telegramu. Dla ilu osób byłoby lepiej, żeby ten przekłety samolot nie spadł na Kapitol. . .

Rzadko kiedy przychodziło mu pocieszać po stracie ojca dzieci przyjaciela, a już na pewno nigdy równocześnie nie wyrzucał ich z zajmowanego domu. Pokręcił głową. To przecież nie jego wina, tak się złożyło.

Telegram mówił o tym, że w tym wieku Ameryka dwa razy przychodziła z pomocą temu małemu państwu, a potem chroniła go tarczą Paktu Północnoatlantyckiego, że Amerykę i Belgię łączyły więzy wspólnie przelanej krwi i szczerzej przyjaźni. To była prawda. Mimo wszystkich błędów, jakie jego kraj popełniał, mimo wszelkich niedoskonałości, Stany Zjednoczone zawsze częściej robiły rzeczy dobre niż złe. Świat był dzięki temu dużo lepszy i właśnie dlatego trzeba było robić swoje, niezależnie od napotykanых przeszkód.

* * *

Inspektor Patrick O'Day z wdzięcznością przyjmował chłód poranka. Już od trzydziestu lat babrał się w brudach tego świata i widok sali pełnej zwłok i ich porozrywa-

nych szczątków nie był dla niego niczym nowym. Pierwszy raz pamiętał nadal doskonale, to było w maju, w Missisipi, gdzie Ku-Klux-Klan wysadził w powietrze szkołę niedzielną, pełną czarnych dzieciaków. Było wtedy jedenaścioro zabitych, a ich zwłoki w skwarze późnej wiosny okropnie śmierdziały. Tu przynajmniej chłód nie pozwalał im się rozkładać tak szybko.

O'Day nigdy nie pchał się w górę hierarchii Biura. Ranga inspektora miała w niej bardzo różną wartość, byli inspektorzy, którzy kierowali biurami terenowymi i byli inspektorzy, którym podlegało zaledwie dwóch-trzech agentów. On, podobnie jak Murray, pełnił rolę swoistej „straży pożarnej” waszyngtońskiego biura FBI, choć często przydzielano mu także sprawy z terenu całego kraju, zwłaszcza te delikatne i drażliwe. Uznawano go za doskonałego agenta dochodzeniowego, toteż zwykły nadzór nad takimi sprawami nudził go i w rezultacie najczęściej przejmował je, uparcie pchając je naprzód, aż do rozwiązania.

Zastępca dyrektora Tony Caruso doszedł do swej pozycji inną drogą. Był agentem terenowym, potem pełniącym obowiązki kierownika i kierownikiem kolejno dwóch biur terenowych, stamtąd przeszedł na stanowisko szefa działu szkolenia FBI, a w końcu

objął biuro waszyngtońskie, którego waga i wielkość powodowała, że wiązał się z nim tytuł zastępcy dyrektora. Cieszyły go władza, prestiż, wysoka pensja i własne miejsce na parkingu Biura, ale częśćka jego duszy zazdrościła staremu dobremu Patowi tego, że czasem miał okazję pobrudzić sobie ręce.

— No, i co o tym myślisz? — zapytał, spoglądając w dół, na zwłoki. Ciągle jeszcze było na tyle ciemno, że musieli korzystać ze sztucznego oświetlenia. Słońce już wschodziło, ale po przeciwnej stronie budynku.

— Do sądu z tym na razie nie można pójść, ale na moje oko, w chwili upadku facet był sztywny od paru godzin.

Obaj oglądali w milczeniu czynności szpakowatego patologa z wydziału kryminalistycznego Biura. Miał mnóstwo testów do przeprowadzenia, a pomiar temperatury wewnętrznej zwłok, który, po uwzględnieniu przez komputer warunków zewnętrznych, powinien w przybliżeniu ustalić godzinę śmierci, był tylko jednym z nich. Była to metoda znacznie mniej dokładna niż obaj mogli sobie życzyć, ale każdy wynik lokujący zgon denata przed 21.46 poprzedniego wieczoru dawał im odpowiedź, której szukali.

— Dostał nożem w samo serce — półgłosem powiedział Caruso i chociaż dla niego trupy też nie były nowością, aż się wzdrygnął na samą myśl o tym. Do brutalności morderstwa normalny człowiek nigdy się nie przyzwyczai. Pojedyncza, czy liczona w setkach, gwałtowna śmierć jest zawsze wstrząsająca, a liczba w każdym wypadku określa jedynie, ile indywidualnych teczek oznaczono tym samym numerem sprawy. — Mamy też kapitana.

— Słyszałem — kiwnął głową. — Ten ma trzy paski, czyli to drugi pilot i został zamordowany. A więc to mogła być robota jednego człowieka.

— Ile osób załogi musiał mieć ten samolot? — zapytał Caruso stojącego nie opodal inspektora NRBT.

— Dwie. Kiedyś niezbędny był jeszcze mechanik pokładowy, ale nowe wersje 747 obywają się bez niego. Reszta załogi to już tylko obsługa pasażerów. Na bardzo dalekie rejsy zabiera się jeszcze czasem zapasowego pilota, ale w dzisiejszych czasach to już raczej zbytek przezorności, bo i tak większą część trasy leci się na automatycznym pilocie.

Patolog podniósł się znad ciała i kiwnął na ludzi z workiem na zwłoki, po czym dołączył do dyskutującej grupki.

— Chcecie wstępną opinię?

— Jasne, wal.

— Facet z całą pewnością nie żył, zanim doszło do katastrofy. W ogóle nie ma siniaków od obrażeń w momencie uderzenia w ziemię. Rana klatki piersiowej jest już zaschnięta. Powinny być obtarcia i zasinienia od pasów bezpieczeństwa, a ich nie ma. Są tylko pęknięcia i rozdarcia, za to krwi tyle co na lekarstwo. Z tej urwanej szyi krew powinna się łać jak z kranu. Zresztą w ogóle bardzo mało tu krwi. Z tego wynika, że został zamordowany w fotelu. Pasy utrzymały go w pozycji siedzącej, a to spowodowało, że krew spłynęła w dolne partie ciała. Nogi zostały oderwane przy uderzeniu i dlatego tu prawie nie ma krwi. Mam jeszcze kupę wyników do uwzględnienia, ale według mnie nie żył już od jakichś trzech godzin, może nawet dłużej. — Will Gettys sięgnął do plastikowego worka i podał im portfel. — Tu są dokumenty tego biedaka. Wygląda na to, że nie miał nic wspólnego z zamachem.

— Może się zdarzyć, że będziesz musiał zmienić swoją opinię na podstawie wyników testów? — zapytał O'Day.

— Bardzo bym się zdziwił, Pat. Może czas zgonu przesunie się o godzinę, półtorej, ale to i tak bez znaczenia, bo on już był martwy. Tu nie ma dość krwi na to, żeby żył w momencie katastrofy. To pewne jak w banku — dodał, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że od ścisłości tej ekspertyzy zależy jego dalsza kariera.

— Dzięki Bogu — westchnął Caruso. Ta ekspertyza znacznie upraszczała dochodzenie. Pewnie, że jeszcze przez pół wieku wielu będzie snuło spiskowe teorie na temat okoliczności śmierci tych ludzi, a Biuro będzie robiło swoje, sprawdzając każdą z nich we współpracy z Japończykami, ale to oznaczało, że był tylko jeden sprawca. Tylko jeden człowiek wycelował ten samolot w budynek i dokonał masowego morderstwa, ale był to tylko kolejny szaleńczy akt pojedynczej osoby. I tak nie wszyscy w to uwierzą. — Przekaż to osobiście Murrayowi — polecił Patowi. — Dan jest teraz u prezydenta.

— Tak jest, sir — odparł O'Day i odszedł w kierunku swej półciężarówki z silnikiem Diesla, zaparkowanej nie opodal. To chyba jedyny taki samochód w mieście, pomyślał patrząc na pickupa z policyjnym migaczem na dachu, włączonym w gniaz-

do zapalniczki. Wiadomości takiej wagi po prostu nie można było przekazywać przez radio, kodowane czy nie.

* * *

Konradmirał Jackson przebrał się w mundur galowy na półtorej godziny przed lądowaniem w Andrews, zdolawszy przespać w powietrzu ponad sześć, tak mu teraz potrzebnych, godzin. Przedtem wprowadzono go w wiele spraw, które właściwie nie miały dla niego aż takiego znaczenia. Mundur trochę się pogniół w torbie na garnitury, ale w tej chwili i tak nikt na to nie zwracał zbytnej uwagi, a granatowa wełna całkiem nieźle kryła fałdy. Zresztą, nawet gdyby ktoś mu się uważnie przyglądał, to pięć rzędów baretek pod złotymi skrzydłami zapewne bardziej przyciągnie jego wzrok, niż te parę przygniecionych kantów. Tego ranka wiał wiatr ze wschodu, toteż *KC-10* podchodził do lądowania znad Wirginii, nad Kapitołem. Widok, jaki rozciągał się z góry wywołał zduszone „O, Jezu!” gdzieś z tyłu, co ściągnęło do okien wszystkich pozostałych pasażerów, którzy na moment zapomnieli, że nie są turystami. Krwistoczerwone promienie wschodzącego słońca mieszały się z biało-czerwonymi błyskami świateł wozów

strażackich wokół tego, co jeszcze nie tak dawno było symbolem Waszyngtonu, stolicy ich państwa. Każdy z nich oglądał bezpośrednio transmisję z miejsca katastrofy, ale ten obraz, widziany na własne oczy, działał na nich nieporównanie mocniej. Pięć minut później samolot wylądował w bazie Andrews i oficerowie przesiedli się na pokład śmigłowca z 1. Dywizjonu Śmigłowców Sił Powietrznych USA, który miał ich przetransportować na lądowisko Pentagonu. Ten lot, wolniejszy i na niższym pułapie, dał im kolejną możliwość zapoznania się z ogromem zniszczeń.

— O Boże — jęknął w interkom Dave Seaton. — Czy w ogóle ktoś z tego wyszedł żywy?

Robby odezwał się dopiero po chwili: — Ciekawe, gdzie był Jack, kiedy do tego doszło? — Przypomniał sobie tradycyjny toast armii brytyjskiej „Za krwawe wojny i wielkie zarazy!”, który bez ogródek wskazywał jedyne pewne drogi awansu dla oficera. Każdemu z nich zdarzało się przecież awansować w miejsce zwolnione przez kogoś przed czasem. Wielu ludzi wypłynie teraz na szczyty, choć może nie oczekiwali awansu za taką cenę, a już na pewno nie jego najlepszy przyjaciel gdzieś tam, w tym zranionym mieście.

* * *

Widać było, że żołnierze pełnią wartę w wielkim napięciu. O'Day zaparkował swoją półciązarówkę po drugiej stronie Ósmej Ulicy. Koszary piechoty morskiej zostały zabarykadowane zgodnie z wymogami sztuki wojennej. Wzdłuż krawężnika zaparkowano rząd samochodów, podwójny w miejscach, gdzie naprzeciw były przerwy w zabudowie. Inspektor wysiadł i podszedł do bramy. Miał na sobie wiatrówkę z wielkim napisem FBI i już z daleka pokazywał w wyciągniętej ręce legitymację z odznaką.

— Ja w sprawie służbowej, sierżancie — powiedział do podoficera dyżurnego na bramie.

— Pan do kogo? — zapytał sierżant, porównując zdjęcie z twarzą Pata.

— Do pana Murraya.

— Proszę zostawić broń służbową do depozytu. Takie mamy rozkazy — wyjaśnił sierżant.

— Jasne. — O'Day odpiął od pasa kaburę ze swoim *S&W 1076* i dwoma zapasowymi magazynkami. Wewnątrz tego ogrodzenia i tak mu do niczego nie będzie potrzeb-

ny. — Sierżancie, ilu macie tu ludzi? — zapytał z wyrazem lekkiego zdziwienia, widząc wokół mnóstwo żołnierzy.

— Dwie kompanie — odparł podoficer. — Trzecia ochrania Biały Dom.

Oczywiście. Najlepiej zamknąć stajnię, kiedy konia już wyprowadzili, pomyślał inspektor. W dodatku właśnie przywoził wieści, sprawiające, że cała ta maskarada zdawała się psu na budę. Sierżant tymczasem przywołał gestem porucznika, który najwyraźniej nie miał nic do roboty, bo służba przy bramie to robota dla podoficerów, by ten zaprowadził gościa do celu jego wizyty. Porucznik zasalutował przybyszowi.

— Mam się spotkać z dyrektorem Murrayem. Jesteśmy umówieni — powiedział O'Day.

— Proszę za mną, sir.

Okazało się, że wewnątrz ogrodzenia stoi druga linia wartowników, a za pierwszym rzędem budynków trzecia, z karabinami maszynowymi. Dwie kompanie, mówił ten sierżant? To razem daje jakieś trzysta bagnetów. No tak, prezydent Ryan na pewno był bezpieczny wewnątrz tej fortecy, chyba że znajdzie się jeszcze jeden szalenciec z samolotem. Po drodze legitymację O'Daya obejrzał jeszcze raz jakiś kapitan. To już przegięcie, po-

myślał inspektor. Ktoś musi im szybko powiedzieć, jak się sprawy mają, bo jeszcze chwila i wyprowadzą czołgi na ulice. Murray już czekał na niego w sieni.

— Na ile to pewne?

— Myślę, że wystarczająco.

— Chodź. — Murray zaprowadził gościa do stołówki. — To jest inspektor Pat O'Day — przedstawił go zebranim. — Chyba znasz tych ludzi, Pat?

— Dzień dobry. Wracam ze Wzgórza. Znaleźliśmy coś, o czym jak myślę, powinni państwo wiedzieć — zaczął i w ciągu kilku minut przedstawił zebranim historię odnalezienia zwłok drugiego pilota i wstępne wyniki oględzin.

— Na ile to pewne? — zapytała Andrea Price.

— Wie pani sama jak to jest na tym etapie śledztwa — odparł O'Day. — Mamy na razie wstępne wyniki oględzin, ale mnie wydają się całkiem przekonujące. Ostateczne wyniki będą zapewne dostępne przed obiadem. Identyfikacja przebiega na razie trochę chaotycznie, bo do tej pory nie znaleźliśmy głowy denata, a ludzie są zupełnie wykończeni. Na razie nie mówię, że sprawa jest zamknięta. Mamy wstępne dane, które potwierdzają inne ustalenia.

— Czy mogę o tym powiedzieć w telewizji? — zapytał Ryan.

— W żadnym wypadku — kategorycznie zaprzeczył van Damm. — Po pierwsze, to jeszcze nie jest potwierdzone. A po drugie, jeszcze za wcześnie, by ktokolwiek w to uwierzył.

Murray i O'Day spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie był politykiem, w przeciwieństwie do van Damma. Dla nich tajemnica śledztwa służyła głównie do ochrony materiału dowodowego, do tego, żeby przysięgli orzekali w sprawie, nie mając o niej wyrobionego zdania i żeby nie wystraszyć sprawców. Dla Arnie'ego kontrola nad wiadomościami o ustaleniach śledztwa służyła czemuś diametralnie innemu: ochronie członków społeczeństwa przed wiadomościami, których mogliby nie zrozumieć w czystej formie. Trzeba je więc według Arnie'ego odpowiednio pokroić i przerzuć, a dopiero potem podawać ludziom, łyżeczka po łyżeczce, powoli, żeby się broń Boże nie zadławili. Obaj zauważyli też przeciągłe spojrzenie, którym Ryan obrzucił szefa personelu Białego Domu.

* * *

Oślawiona czarna skrzynka jest niczym więcej jak zwykłym magnetofonem, podłączonym do mikrofonów w kabinie pilotów i czujników, kontrolujących pracę przyrządów pokładowych, w tym nadzorujących pracę silników. Japońskie Linie Lotnicze JAL są własnością państwową, więc samolot był najnowszym krzykiem techniki. Rejestrator parametrów lotu działał w technologii cyfrowej, toteż odczytywanie zapisu szło bardzo sprawnie. Najpierw szef zespołu analityków wykonał kopię oryginalnej taśmy, by nie zniekształcić jej zapisów przed ewentualną powtórnią ekspertyzą. Oryginał po skopiowaniu powędrował natychmiast do sejfu i od tej chwili przedmiotem prac była wyłącznie kopia. Ktoś już ściągnął tłumacza języka japońskiego, który oczekiwał na swoją kolej.

— Wygląda na to, że zapis jest idealny — skomentował pierwsze prace analityk. — W samolocie wszystko było w porządku, nic nie siadło — dodał, pokazując linie na ekranie komputera. — Ładne, równe skrzyty, silniki chodzą jak złoto. Wszystko jak z podręcznika pilotażu. I tak aż do tej chwili. — Puknął palcem w ekran. — O, tu

wykonał gwałtowny zwrot, zszedł z kursu zero-sześć-siedem na zero-dziewięć-sześć i wyrównał, wytracając gwałtownie wysokość, aż do chwili upadku.

— W kabinie w ogóle nie było żadnych rozmów — odezwał się inny technik. — Na taśmie jest jedynie rutynowa korespondencja ze stacjami naziemnymi. Przewinę teraz do samego początku i zobaczmy, może wcześniej coś było.

Tak naprawdę, to taśma nie miała początku. Urządzenie było całkowicie hermetyczne, jego konstruktorzy nie przewidywali możliwości wymiany taśmy, toteż krążyła ona wewnątrz magnetofonu, a kolejne nagrania kasowały to, co się na niej znajdowało poprzednio. Taśma była bardzo długa, umożliwiała nagrywanie nawet najdłuższych rejsów, trwających po czterdzieści i więcej godzin. Znalezienie końcówki poprzedniego lotu zajęło technikowi parę minut, a potem z głośnika rozległy się głosy obu członków załogi, prowadzących rozmowy między sobą po japońsku, a z wieżą kontrolną po angielsku. Rozmowy urywały się tuż po zjeździe samolotu z pasa na drogę kołowania. Potem przez dwie minuty panowała cisza i nagranie zaczynało się ponownie, gdy znowu uruchomiono przyrządy pokładowe w kabinie i załoga zaczęła procedurę przed-

startową. Analitycy wezwali do pokoju tłumacza, pracownika Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Jakość nagrania była doskonała. Wszyscy wyraźnie słyszeli pstryknięcia przerzucających wyłączników i szum włączanych mechanizmów. Najgłośniejszym słychać było oddech drugiego pilota, którego ścieżkę przesłuchiwali w tej chwili.

— Stop — powiedział tłumacz. — Proszę cofnąć troszeczkę. Tam jest jeszcze jakiś głos, słabo go słyszę. . . O, teraz już lepiej. „Gotowe?” To pewnie kapitan. Tak, to na pewno on. Trzasnęły drzwi, a więc dopiero wszedł do kabiny. „Procedura przedstartowa zakończona. Procedura startowa w trakcie wykonywania”. O, Boże! On go zamordował! Proszę jeszcze raz cofnąć!

Agent FBI, stojący za plecami tłumacza, założył drugą parę słuchawek. Dla nich obu był to pierwszy raz. Agent widział już jak wygląda morderstwo na taśmie z kamery bankowej, ale ani on, ani tłumacz, nigdy nie słyszeli, jak się zabija człowieka. Nie słyszeli młaśnięcia towarzyszącego uderzeniu nożem, zgrzytu ostrza po kości, stęknięcia śmiertelnie ugodzonego człowieka, któremu zaskoczenie jeszcze nie pozwoliło poczuć bólu, charkotu, który wydobył się z ust i wreszcie spokojnego głosu drugiego człowieka.

— Co to było? — zapytał agent.

— Proszę to puścić jeszcze raz — poprosił wstrząśnięty tłumacz, wbijając oczy w ścianę. — On mówi: „Bardzo mi przykro, że muszę to zrobić”. — Przez chwilę tłumacz nie mówił nic, ciężko dysząc, wreszcie mruknął pod nosem:

— Jezu!

Z drugiego głośnika popłynął spokojny, zrównoważony głos informujący wieżę, że samolot uruchomił silniki.

— To Sato, kapitan — poinformował ekspert NRBT. — To z jego ścieżki. Zabił drugiego pilota.

— I dalej już nic nie ma na jego ścieżce — poinformował technik. Z głośnika dochodziły tylko dźwięki z wnętrza kabiny.

— Zabił drugiego pilota — zgodził się agent. Mogą przesłuchiwać tę taśmę jeszcze setki, ba, tysiące razy, oni, Tajna Służba, NRBT, ktokolwiek, ale wnioski będą takie same. Śledztwo będzie trwało jeszcze miesiącami, ale właściwie można je było zamknąć już w tej chwili, niecałe dziewięć godzin po jego rozpoczęciu.

* * *

Ulice Waszyngtonu przedstawiały niezwykle widok. O tej porze dnia stolica była zwykle zakorkowana na amen samochodami urzędników federalnych, lobbystów, kongresmanów, pięćdziesięciu tysięcy prawników prowadzących praktyki w mieście, ich sekretarek, nie licząc pracowników służb miejskich i robotników. Ryan znał to z własnego doświadczenia aż za dobrze. A dzisiaj nic, pustka. Gdyby nie to, że na każdym skrzyżowaniu stał radiowóz policji miejskiej albo pomalowany w barwy ochronne wóz Gwardii Narodowej, można by pomyśleć, że to weekend w środku lata i wszyscy wyjechali z miasta. Największy ruch panował na ulicach, którymi odsyłano samochody gapiów, chcących się dostać na Kapitol. Napotykali oni na stanowczą, choć grzeczną blokadę już dziesięć przecznic przed wjazdem na wzgórze. Prezydencka kawalkada jechała bez przeszkód wyludnioną Pennsylvania Avenue. Jack siedział z tyłu Chevroleta Suburbana, a pojazdy piechoty morskiej nadal poprzedzały i osłaniały z tyłu samochody Tajnej Służby. Słońce stało już wysoko. Niebo było czyste, błękitne, bez chmurki,

i dopiero po chwili zorientował się, że coś tu nie gra, że panorama miasta została wyszczerbiona.

Jumbo nie uszkodził nawet drzew. Nic nie rozproszyło energii uderzenia. Na rumowisku pracowało sześć dźwigów, przenosząc kamienne bloki z wnętrza krateru, który jeszcze wczoraj był siedzibą parlamentu, na ciężarówki, wywożące je gdzieś dalej. Odjechały już prawie wszystkie wozy straży pożarnej. Widowiskowa część tragedii dobiegła końca. Teraz pozostała już tylko rana do zaleczenia.

Reszta miasta zdawała się nie naruszona. Ryan wyjrzał raz jeszcze przez przyciemnioną szybę samochodu na rumowisko i, gdy Suburban skręcał w Constitution Avenue, przeniósł wzrok na zegarek. 6.40. Zobaczył jakichś ludzi. Samochodów nie przepuszczano, ale porannymi biegaczami nikt sobie głowy nie zawracał. Wielu z nich zapewne biegło tędy co rano, ale wielu wybrało się gnanych ciekawością. Wszyscy stali i patrzyli w milczeniu na sceny rozgrywane się po drugiej stronie ulicy. Ryan popatrzył na ich twarze, kilku z nich oderwało się na chwilę od rumowiska, by odprowadzić wzrokiem kawalkadę samochodów. Stali w małych grupkach, dzieląc się wrażeniami, wskazując coś palcami i kręcąc z niedowierzaniem głowami. Jack zauważył, że agenci w samocho-

dzie przypatrują im się uważnie, jakby się bali, że któryś wyciągnie zaraz spod dresu granatnik przeciwpancerny.

Tak szybka jazda przez Waszyngton była nowością, jeśli chodzi o prezydencką kawkadę. Zdecydowano się skorzystać z wyludnienia ulic, bo, po pierwsze, szybko poruszający się cel trudniej trafić, po drugie, czas Ryana liczył się teraz podwójnie i nie miał ani sekundy do stracenia. Gnał więc teraz ile sił w koniach pod maską ku temu, czego tak serdecznie nie znosił. Przecież zgodził się na tę propozycję tymczasowej wiceprezydentury przy boku Durlinga, żeby wreszcie, raz na zawsze, skończyć z pracą dla rządu. Ta myśl zmusiła go do zamknięcia oczu. Jak to jest, do ciężkiej cholery, że ilekroć chce od czegoś uciec, zawsze pakuje się w sam środek? Przecież to nie z nadmiaru odwagi, wręcz przeciwnie. Tak się bał zdemaskowania swojego tchórzostwa, że zawsze robił to, na co innym brakowało odwagi. Cóż mógł poradzić na to, że nie zawsze było pod ręką honorowe wyjście, z którego mógłby skorzystać?

— Będzie dobrze — powiedział van Damm, domyślając się, o czym myśli nowy prezydent.

Nie, nie będzie dobrze, pomyślał Jack, ale nie zdobył się na to, żeby swoje przewidywania wypowiedzieć na głos.

3 — Śledztwo

Sala Roosevelta zawdzięcza swe imię Theodore'owi Rooseveltowi, tu bowiem wisi jego dyplom Pokojowej Nagrody Nobla, którą przyznano mu w roku 1905 za „mediację” w wojnie rosyjsko-japońskiej. Historycy dowodzą teraz, że za ten nóż wbity w plecy cara Amerykanie słono później zapłacili. Wygrana podgrzała mocarstwowe ambicje Japonii, a Rosjan zraniła tak głęboko, że jeszcze Stalin, którego trudno przecież podejrzewać o sympatię do dynastii Romanowów, uzasadniał wiarołomstwem Teddy'ego Roosevelta nieufność w stosunku do Amerykanów. Nagroda Nobla była jednak nagrodą Nobla i jej polityczną wymowę trudno było lekceważyć, nawet jeśli w rzeczywistości

nic za nią nie stało. W sali tej wydawano w Białym Domu pomniejszych bankiety i organizowano konferencje prasowe, gdyż znajdowała się niedaleko Gabinetu Owального. Dostanie się tam było jednak trudniejsze, niż sobie Jack wyobrażał. Korytarze Białego Domu są dość wąskie, jak na przewalające się po nich tłumy, a w dodatku z uwagi na konieczność wpuszczenia obcych ludzi, liczba agentów Tajnej Służby została podwojona. Całe szczęście, że chociaż pochowali broń, pomyślał Jack. Zaraz za drzwiami, do grupy, która go eskortowała, dołączyło ich chyba jeszcze dziesięciu, zupełnie niezrażonych wyrażającym bezsilne cierpienie westchnięciem Miecznika. Wszystko było nowe, a chmara agentów, która kiedyś budziła w nim poczucie bezpieczeństwa, a potem rozbawienie, teraz stawała się jeszcze jednym przypomnieniem tego, że w jego życiu nastąpiła dramatyczna zmiana.

— Co teraz? — zapytał Jack.

— Tędy, proszę. — Agent otworzył drzwi, za którymi na prezydenta czekała charakteryzatorka. Wszystko co potrzebne do przygotowania głowy państwa do występu przed kamerami, spoczywało w wielkiej, znoszonej czarnej walizce z dermy, nad którą siedziała kobieta pod pięćdziesiątkę. Tej części występu w telewizji Jack nigdy nie

zdołał polubić, mimo że jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, zmuszony był co jakiś czas występować przed kamerą. Trwanie w bezruchu w czasie, gdy ktoś nakładał mu na twarz płynny podkład za pomocą gąbki, sypał pudrem, układał fryzurę lakierem, którego się potem przez dwa dni nie dawało zmyć, było niemal ponad jego siły. W dodatku kobieta nie odzywała się ani słowem, a jej twarz zdradzała, że jeszcze chwila i wybuchnie płaczem.

— Ja też go lubiłem — powiedział w końcu, przerywając niezręczną ciszę. Jej dłoń nagle zastygła w pół ruchu, a ich spojrzenia się spotkały.

— Zawsze był taki miły. Wiem, że tego nie znosił, zupełnie jak pan, ale nigdy się nie poskarżył, zawsze miał jakiś żart w zanadru. . . Czasem, tak dla zabawy, charakteryzowałam też jego dzieci. Nawet chłopak to lubił, wie pan? Zwykle, jak miał wygłaszać orędzie, dzieciaki wcześniej bawiły się z kamerzystami, a oni potem oddawali im te taśmy i. . .

— Już dobrze, niech pani nie płacze. — Wziął ją za rękę. Wreszcie ktoś z jego otoczenia nie traktował tej tragedii jak zwykłej zmiany pracodawcy i w którego obecności nie czuł się jak małpa w zoo. — Jak się pani nazywa?

— Mary Abbot — odparła głosem pełnym skruchy za chwilę słabości.

— Od dawna pani tu pracuje?

— Przyszłam tuż przed odejściem pana Cartera — powiedziała, wycierając oczy.

— To może udzieli mi pani paru rad?

— Och, nie. Nie mam o tym zielonego pojęcia. . . — Na jej ustach zagościł uśmiech zakłopotania.

— To tak jak ja. Czy to już koniec? — zapytał, spoglądając w lustro.

— Tak, panie prezydencie.

— Dziękuję pani, pani Abbot.

Posadzili go w drewnianym fotelu z poręczami. Reflektory już były ustawione, a co gorsza, także zapalone, przez co temperatura w pokoju wzrosła do prawie czterdziestu stopni, a przynajmniej jemu się tak wydawało. Dźwiękowiec przypiął mu do krawata mikrofon z taką samą delikatnością, z jaką muskała jego włosy przed chwilą pani Abbot, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę, że każdy ruch jego dłoni śledzony był pilnie przez dwóch agentów z rękami pod marynarkami. Każdy z członków ekipy otrzymał towarzystwo, a Andrea Price stała w drzwiach i stamtąd miała na oku wszystkich. Jej

podejrzliwie spoglądających ciemnych oczu nie rozjaśniał fakt, że każdy element wyposażenia ekipy został dwukrotnie sprawdzony, ani to, że każdy z jej członków przeszedł dokładną rewizję. Detektory można oszukać, w końcu w filmach pokazywali jak szaleńcy budują pistolety pozbawione metalowych części. Plastikowa, czy nie, broń musi mieć jakieś kształty i wymiary, a jej użycie musi poprzedzać jakiś odbiegający od normy ruch. Wyczuwalne napięcie ochrony udzielało się ekipie telewizyjnej, która starała się trzymać ręce na widoku i powstrzymywać od gwałtownych gestów.

— Dwie minuty — powtórzył producent wiadomość ze słuchawki. — Teraz leca reklamy.

— Zdołał się pan dziś choć krótko przespać? — zapytał akredytowany w Białym Domu dziennikarz CNN. Jak wszyscy, chciał jak najszybciej wiedzieć, z kim ma do czynienia.

— Za krótko — odparł Jack, nagle czując ogarniające go napięcie. Naprzeciw stały dwie kamery. Skrzyżował nogi i oparł dłonie na udach, by powstrzymać drżenie palców. Jakie wrażenie powinien teraz sprawiać? Ma być ponury, przejęty żalem, czy spokojny

i pewny siebie, a może przygnieciony tym wszystkim i zagubiony? Teraz już było za późno na ustalenia. Cholera, dlaczego nie zapytał o to wcześniej Arnie'ego?

— Pół minuty — odezwał się producent.

Jack spróbował się pozbierać. Tylko odpowiadać na pytania. W końcu nieraz to już robił.

— Witam państwa w dzienniku osiem minut po siódmej — odezwał się dziennikarz, patrząc prosto w obiektyw kamery. — Jesteśmy teraz w Białym Domu, u prezydenta Johna Ryana. Panie prezydencie, to była długa noc, prawda?

— Obawiam się, że tak — zgodził się Jack.

— Co może nam pan powiedzieć o wydarzeniach ostatnich godzin?

— Jak państwo wiedzą, trwa nadal akcja ratownicza. Nie odnaleziono jeszcze ciała prezydenta Durlinga. Ekipa śledcza, której prace koordynuje FBI, rozpoczęła dochodzenie, mające na celu wyjaśnienie przebiegu zdarzeń.

— Jakie są dotychczasowe ustalenia?

— Obawiam się, że jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek pewne ustalenia, ale spodziewam się, że po południu będą już znane początkowe ustalenia i wyniki ekspertyz. —

Ryan dostrzegł zawód w oczach dziennikarza, mimo że ten przecież przed wejściem tu wiedział, że nie otrzyma wiążącej odpowiedzi na to pytanie.

— Dlaczego właśnie FBI prowadzi śledztwo? Przecież sprawy zamachów na prezydentów leżą w gestii Tajnej Służby?

— Szkoda czasu na spory kompetencyjne. Dochodzenie w sprawie tej wagi musiało się rozpocząć natychmiast, toteż postanowiłem, że będzie je prowadzić Biuro, w ścisłym powiązaniu z Departamentem Sprawiedliwości i innymi agendami federalnymi. Potrzebujemy odpowiedzi, i to szybko, a ten sposób wydaje nam się najlepszy.

— Chodzą słuchy, że mianował pan też nowego dyrektora FBI.

Jack skinął głową.

— Tak, Barry, dokonałem tej nominacji. Poprosiłem Daniela E. Murraya, by zgodził się tymczasowo pełnić obowiązki dyrektora Biura. Dan jest pracownikiem FBI z długim doświadczeniem i ostatnio pełnił rolę zastępcy dyrektora Shawa. Znaliśmy się w trójkę od wielu lat i jestem zdania, że pan Murray to jeden z najlepszych policjantów, jakich w tej chwili rząd ma do swojej dyspozycji.

* * *

— Murray? Co to za jeden?

— Policjant, podobno ekspert od terroryzmu i wywiadu — odparł szef wywiadu.

— Hmm — mruknął, wracając do filiżanki gorzkiej kawy.

* * *

— A co może nam pan powiedzieć o przygotowaniach do działań rządu w ciągu tych najbliższych paru dni?

— Barry, te plany dopiero powstają. Najważniejszą sprawą jest na razie umożliwienie FBI i innym organom dochodzeniowym ich pracy. Jeszcze dziś dostępne będą inne informacje, ale to była długa i trudna noc dla bardzo wielu ludzi w tym mieście.

Korespondent skinął głową i postanowił zadać bardziej osobiste pytanie.

— Panie prezydencie, gdzie pan i pańska rodzina spaliście tej nocy? Bo podobno nie tutaj?

— W koszarach piechoty morskiej przy Ósmej Ulicy.

— Jasna cholera, Szefie! — mruknęła z wyrzutem Andrea Price. Paru pismaków i tak już o tym wiedziało, ale Służba nikomu tego nie potwierdzała, odpowiadając, że rodzina Ryanów spędziła tę noc w „nieujawnionym miejscu”. No dobra, trzeba będzie poszukać innego lokum na dzisiejszą noc.

— A dlaczego tam?

— Wiesz, to mogło być gdziekolwiek, ale akurat tam wydawało mi się najdogodniej. A poza tym, Barry, kiedyś byłem oficerem piechoty morskiej, więc ciągnęło mnie na stare śmieci — wyjaśnił.

* * *

— Pamiętasz tę noc, kiedy ich wysadziliśmy w powietrze?

— Piękna noc — przypomniał sobie szef wywiadu, wspominając jak to wypatrywał oczy przez lornetkę z dachu bejruckiego „Holiday Inn”. To on pomagał to zorganizować. Zajął się najtrudniejszą sprawą, znalezieniem kierowcy. Amerykanie mieli hopla na punkcie tych swoich *marines*, przypisywali im jakieś wręcz mistyczne moce. Ale okazało się, że ginęli równie łatwo, jak inni niewierni. Nieraz zastanawiał się potem

w żartach, czy w tym całym Waszyngtonie jego ludziom nie udałoby się znaleźć odpowiednio dużej ciężarówki... Odłożył te przyjemne rozważania na bok, miał mnóstwo roboty do wykonania. Nieraz był w Waszyngtonie i rozpoznawał tam wiele obiektów, w tym koszary piechoty morskiej, właśnie pod kątem ewentualnej akcji. Nie, zbyt łatwo było je obronić. A szkoda. Polityczna wartość takiego ataku byłaby trudna do przecenienia.

* * *

— Niezbyt sprytnie — zauważył Ding znad porannej kawy.

— A co, myślałeś, że się będzie chował? — zapytał Clark.

— Ty go znasz, tato? — zapytała Patricia.

— Tak. Razem z Dingiem byliśmy jego ochroną, kiedy jeszcze pracował w CIA. A jeszcze wcześniej miałem okazję poznać jego ojca — dodał zupełnie bez zastanowienia, co mu się nigdy dotąd nie zdarzało.

— I jaki on jest, Ding? — zapytała Patsy swego narzeczonego, gładząc świeżo otrzymany pierścionek zaręczynowy.

— Łebski facet — ocenił go Chavez. — Spokojny. Zawsze znajdzie dla ludzi życzliwe słowo. No, w każdym razie, zwykle znajduje.

— Kiedy trzeba, potrafi być twardy — zauważył Clark, spoglądając na córkę i swego partnera, a zarazem przyszłego zięcia.

— To prawda — zgodził się z nim Ding.

* * *

Przez te reflektory pocił się strasznie, ale dzielnie zwalczał pokusę podrapania się po policzku. Nad rękami zdołał zapanować, ale mięśnie twarzy zaczęły mu drgać i miał jedynie nadzieję, że kamera tego nie wyłapie.

— Obawiam się, że na to pytanie nie będę ci mógł odpowiedzieć, Barry — ciągnął, ściśle składając dłonie. — Jeszcze za wcześnie na odpowiedź na wiele ważnych pytań. Udzielimy na nie odpowiedzi, gdy tylko przyjdzie na to czas. A na razie, przepraszam, ale nie mamy nic do powiedzenia.

— Ma pan dziś przed sobą pracowity dzień, panie prezydencie — w głosie dziennikarza pojawiło się współczucie.

— Dla nas wszystkich, Barry, będzie to długi i ciężki dzień.

— Dziękuję panu, panie prezydencie. — Poczekał aż światła zgasną i z centrali w Atlancie przyjdzie potwierdzenie zakończenia transmisji, zanim znowu się odezwał: — Dziękuję panu, panie prezydencie. To był dobry wywiad.

Do pokoju wszedł Arnie, odsuwając z drogi Andreę. Niewielu było w tym budynku ludzi, mogących sobie pozwolić na dotknięcie agenta Tajnej Służby bez narażenia na poważne konsekwencje, nie mówiąc już o odepchnięciu go, ale Arniemu uszło to na sucho.

— Całkiem nieźle. Nic nie kombinuj. Odpowiadaj zwięźle na pytania.

Pani Abbot poprawiła mu makijaż. Dłoń delikatnie dotykała czoła, podczas gdy druga małym pędzelkiem muskała włosy. Gdyby nie powaga chwili, Ryan chyba by się roześmiał. Od czasu balu maturalnego nikt dotąd nie przejawiał takiej troski o jego sztywne czarne włosy.

Dziennikarka CBS miała około trzydziestu pięciu lat, a jej wygląd dowodził, że intelekt i uroda wcale nie muszą się nawzajem wykluczać.

— Panie prezydencie — zapytała po kilku konwencjonalnych pytaniach — co pozostało z rządu?

— Mary — trzymał się nadal zalecenia, by zwracać się do dziennikarzy prowadzących wywiad po imieniu. Nie wiedział, dlaczego tak trzeba, ale skoro tak mu poradzono, widać istniał jakiś powód — ostatnie dwanaście godzin było dla nas wszystkich szokiem, ale chciałbym tobie i wszystkim przypomnieć słowa prezydenta Durlinga sprzed zaledwie kilku dni. Powiedział wtedy, że Ameryka pozostaje Ameryką. I tak właśnie jest. Wszystkie organa rządu federalnego działają nadal, zarządzane przez kierowników resortów, a . . .

— Ale przecież Waszyngton. . .

— Tak, to prawda, że urzędy federalne w stolicy są zamknięte ze względów bezpieczeństwa. . .

Znowu mu przerwała, nie ze względu na brak wychowania, ale dlatego, że mieli tylko cztery minuty na antenie.

— A wojsko na ulicach?

— Mary, policja miejska i straż pożarna przeżyły najgorszą noc w swojej historii. Była ciężka, długa i mroźna. Gwardia Narodowa została wezwana na pomoc cywilnym organom porządku z uwagi na wyczerpanie ich rezerw ludzkich i sprzętowych. Tak samo dzieje się w przypadkach klęsk naturalnych, jak powódzie, tornada, trzęsienia ziemi. FBI współpracuje z biurem burmistrza, starając się jak najszybciej zaprowadzić porządek. — To było tego ranka jego najdłuższe wystąpienie. Zorientował się, że ściska ręce tak mocno, że kostki mu zbiały i musiał się zmusić do rozluźnienia chwytu.

* * *

— Popatrz na jego ręce — powiedziała pani premier. — Co my o nim wiemy?

Szef wywiadu otworzył leżącą na kolanach teczkę, której zawartość znał już niemal na pamięć.

— To zawodowy oficer wywiadu. Słyszała pani zapewne o tych incydentach w Londynie i w Stanach parę lat temu. . .

— A, o tych — odparła, pociągając mały łyżeczek herbaty z filiżanki. — Czyli szpieg. . .

— I to bardzo poważany. Nasz rosyjski przyjaciel wyraża się o nim w samych superlatywach. W Century House też mu nie szczędzą pochwał — jako że oboje zawdzięczali wykształcenie Brytyjczykom, on akademii w Sandhurst, a ona uniwersytetowi w Oksfordzie, nie musiał jej tłumaczyć, że ten budynek jest siedzibą brytyjskiego wywiadu. — Jest człowiekiem o wysokiej inteligencji. Mamy podstawy twierdzić, że jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Durlinga kierował amerykańskimi działaniami przeciw Japonii.

— I przeciwko nam? — zapytała, wbijając w niego wzrok. Telewizja satelitarna to jednak straszna wygoda. O każdej porze dnia i nocy można włączyć jakiś program i zobaczyć na żywo tego, czy innego przywódcę świata. Już nie trzeba wsiadać do samolotu, lecieć cały dzień i oglądać go na żywo, w kontrolowanej sytuacji, w wybranym przez gospodarza momencie. Teraz wystarczyło włączyć telewizor i patrzeć na człowieka działającego pod wpływem stresu, zapędzanego w narożnik i oceniać jego reakcje. Szpieg, czy nie szpieg, nie wyglądał w tej chwili zbyt pewnie. Każdy ma swoje ograniczenia.

— Bez wątpienia, pani premier.

— Nie wygląda raczej na człowieka, który tego wszystkiego dokonał — powiedziała. Niepewny, zaskoczony, wstrząśnięty... Nie było wątpliwości: okoliczności go przerosły.

* * *

— Kiedy będzie nam pan mógł coś więcej powiedzieć o przebiegu wypadków?

— W tej chwili naprawdę nie mogę nic twierdzić kategorycznie. Jest jeszcze za wcześnie. Pewnych spraw nie da się, niestety, przyśpieszyć — odparł Ryan. Zaczynało do niego niejasno docierać, że stracił panowanie nad tym wywiadem. Uświadomił sobie, że za drzwiami Sali Roosevelta stoi coś na kształt kolejki do kasy w supermarkecie, że każdy z dziennikarzy chce zabłysnąć, pytając o coś innego niż pozostali, i że nie zależało im na tym, by zrobić wrażenie na nowym prezydencie, ale na widzach, którzy właśnie włączają swój ulubiony program. Lojalność widzów liczyła się dla nich bardziej niż cokolwiek na świecie, bo to widzowie płacili im pensje. Niezależnie więc od tego, jak ciężko ucierpiał kraj, Ryan był tylko kolejnym rozmówcą, z którego trzeba wyciągnąć coś ciekawego. Przewidywania Arnie'ego na temat ich skłonności do współpracy,

mimo całego jego politycznego doświadczenia, okazały się mrzonką. Na szczęście czas wywiadów był ograniczony, bo dwadzieścia pięć minut po pełnej godzinie w każdej sieci przychodził czas na wiadomości lokalne. Choćby nie wiadomo co wydarzyło się w kraju, czy na świecie, ludzie musieli przecież się dowiedzieć, jaka będzie pogoda i gdzie tworzą się korki. Łatwo było o tym zapomnieć wewnątrz obwodnicy waszyngtońskiej, bo praca w stolicy sprzyjała traktowaniu jej jako pępka świata, ale na zewnątrz życie toczyło się jak zwykle. Męczarnie wreszcie dobiegły końca i Mary odwróciła się do kamery, mówiąc:

— Dziękujemy państwu.

Miał teraz dwanaście minut, zanim weźmie go w obroty NBC. Kawa, którą wypił na śniadanie zaczęła działać i musiał szybko poszukać łazienki, ale kiedy wstał, zaplątał się w przewody i o mało nie runął na podłogę.

— Tędy, panie prezydencie. — Wskazano mu prowadzący w lewo korytarz, który potem skręcał w prawo i, jak poniewczasie poznał Jack, prowadził do Gabinetu Ovalnego. Zatrzymał się przed progiem i musiał zebrać wszystkie siły, by się przełamać i jednak wejść w te drzwi. Nadal uważał, że Gabinet nie jest jego, ale pęcherz zmusił

go do porzucenia rozmyślań nad tą kwestią. Łazienka to tylko łazienka, zresztą nawet nie była częścią Gabinetu, tylko poczekalni. Nareszcie był gdzieś sam, bez tej zgrai wiernych owczarków, tłoczących się wokół niego, jakby przeprowadzali owieczkę ze złotym runem przez las pełen wilków. Na razie jeszcze nie wiedział, że wejście do łazienki zapalało lampkę nad jej drzwiami, a Tajna Służba dzięki wizjerowi w drzwiach miała okazję chronić go nawet tam.

Myjąc ręce, Ryan spojrział w lustro, co w takich chwilach zawsze jest błędem. Makijaż sprawiał, że wyglądał młodziej, co samo w sobie nie było takie złe, ale te sztuczne rumieńce na twarzy, w miejscach, gdzie nigdy ich nie miał, były naprawdę idiotyczne. Zwalczył chęć starcia tego świństwa z twarzy przed powrotem na fotel, gdzie pewnie już czekała ekipa NBC.

Tym razem naprzeciw usiadł rośli Murzyn, a wymieniając uścisk ręki Ryan pocieszył się, że z twarzą dziennikarza obeszli się jeszcze gorzej niż z jego. Nie zdawał sobie do dziś sprawy z faktu, że światło reflektorów działa na cerę ludzką tak, aby na ekranie wyglądała ona naturalnie, i w tym celu trzeba pokrywać ją makijażem, który w normalnym oświetleniu zdaje się zupełnie bezsensowny.

— Co ma pan na dzisiaj w planie, panie prezydencie? — brzmiało czwarte pytanie Nathana Andrewsa.

— Odbędę dziś spotkanie z pełniącym obowiązki dyrektora FBI, panem Murrayem. Prawdę mówiąc, przez jakiś czas będziemy się spotykali dwa razy dziennie. Poza tym mam zaplanowane spotkanie z personelem biura doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Potem spotkam się z ocalałymi członkami Kongresu, a po południu odbędzie się posiedzenie gabinetu.

— A co z przygotowaniem do pogrzebu?

— Na to jeszcze za wcześnie — pokręcił głową Ryan. — Wiem, że to trudne dla nas wszystkich, ale takie rzeczy zawsze trochę trwają. — Nie powiedział, że wieczorem szef protokołu ma go zapoznać ze stanem przygotowań.

— To był samolot japoński, w dodatku należący do przewoźnika państwowego. Czy mamy powód przypuszczać, że...?

— Nie, Nathan, nie mamy żadnych podstaw do wyciągania zbyt daleko idących wniosków. Jesteśmy w stałym kontakcie z rządem japońskim, a premier Koga przyrzekł swoją pełną współpracę i będziemy go trzymać za słowo. Chciałbym raz jeszcze

podkreślić, że konflikt z Japonią został zakończony. Zdarzenia, które miały miejsce pomiędzy naszymi dwoma krajami były następstwem serii aktów przestępczych, których sprawców japoński aparat sprawiedliwości ściga teraz z całą stanowczością. Nie wiemy jeszcze, jak doszło do wczorajszej tragedii, ale póki tego całkiem nie wyjaśnimy, chciałbym prosić o powstrzymanie się od nieodpowiedzialnych spekulacji na ten temat, które nikomu nie pomogą, a mogą jedynie zaszkodzić i tak już napiętym stosunkom pomiędzy naszymi krajami. Myślę, że wszyscy mamy już dosyć szkód i że teraz nadszedł czas na ich naprawę, a nie dalsze jątrzenie ran.

* * *

— *Domo arigato* — wyszeptał japoński premier. Po raz pierwszy widział i słyszał Ryana. Twarz i głos były zaskakująco młode, jak na to wszystko, co słyszał w ciągu dnia na temat drogi życiowej tego człowieka. Dostrzegł napięcie i niepewność, ale zauważył też, że kiedy musiał odpowiedzieć na jakieś kłopotliwe pytanie, których bezczelni pismacy mu nie szczędzili, w głosie i w oczach następowała zmiana. Ta zmiana była bardzo subtelna, ale Koga przywykł zwracać uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły.

No cóż, to jedna z zalet wychowywania się w Japonii, bardzo przydatna w ciągu lat politycznej kariery.

— To bardzo groźny przeciwnik — zauważył minister spraw zagranicznych. — W przeszłości dowiedział też, że jest odważnym człowiekiem.

Koga wrócił w myślach do teczki Ryana, którą przeglądał dwie godziny temu. Ryan nie cofał się przed stosowaniem przemocy, od której stronił Koga. Ale od tych dwóch dziwnych Amerykanów, którzy uratowali mu życie, gdy zagrażali mu jego rodacy, dowiedział się, że przemoc ma swoje miejsce w życiu, tak jak chirurgia. Ryan uciekał się do przemocy, by ochronić życie innych. Gdy było trzeba, walczył twardo i umiejętnie, a gdy bitwa ucichła, okazał łaskę i współczucie pobitemu wrogowi.

— Tak, to człowiek wielkiej odwagi — potwierdził. — I honoru. — Umilkł na chwilę. To dziwne, ale odczuwał coś, jakby początki przyjaźni z tym człowiekiem, którego nigdy w życiu nie widział i z którym zaledwie tydzień temu jego kraj toczył wojnę. — To samuraj, choć *gajdzin*.

Dziennikarka ABC, młoda blondynka, miała na imię Joy³, co Ryanowi wydawało się tego dnia nieco niestosowne, ale przecież jej rodzice nie mogli tego przewidzieć. Jeżeli Mary z NBC była atrakcyjna, to Joy była po prostu olśniewająca i zapewne dlatego dano jej to poranne okienko w wiadomościach, najbardziej prestiżowe poza wieczornym dziennikiem. Jej uścisk dłoni na powitanie był ciepły i przyjacielski. I miał w sobie coś, co sprawiło, że serce żywiej mu zabiło.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powiedziała miękkim głosem, bardziej pasującym do wytwornego przyjęcia, niż porannego dziennika w telewizji.

— Dzień dobry. Proszę. — Wskazał fotel obok siebie.

— Witam państwa. Jestem w Sali Roosevelta Białego Domu i rozmawiam z prezydentem Johnem Patrickiem Ryanem. Panie prezydencie, to była długa i ciężka noc dla naszego kraju. Co może nam pan o niej powiedzieć?

Ten punkt programu Ryan miał już do tego stopnia opanowany, że odpowiadał niemal bez udziału świadomości. Mówił głosem spokojnym, nieco mechanicznym, wpa-

³Joy — radość (ang.) (przyp. tłum.).

trując się w nią, tak jak go uczono. Zresztą nie było trudno skoncentrować się na jej piwnych oczach, choć po dłuższej chwili takiego wpijania się w nie, zaczął się czuć jakoś dziwnie. Miał nadzieję, że tego bardzo nie widać.

— Panie prezydencie, ostatnie miesiące obfitowały w dramatyczne momenty, a ostatnia noc była tylko ich kulminacją. Za kilka kwadransów ma się pan spotkać z doradcami do spraw bezpieczeństwa narodowego i członkami Kolegium Szefów Sztabów. Czym najbardziej się panowie w tej chwili martwicie?

— Joy, dawno temu jeden z amerykańskich prezydentów powiedział, że nie mamy czego się bać, poza samym strachem⁴. To prawda i teraz. Nasz kraj jest dziś równie silny jak był wczoraj.

* * *

— O, tak, to prawda — mruknął pod nosem Darjaei. Spotkał już raz Ryana. Był wtedy arogancki i wojowniczy, jak pies wysuwający się przed pana, marzący o zato-

⁴Były to słowa Franklina Delano Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1932-1945 (przyj. tłum.).

pieniu w kimś zębów. Teraz pana już nie było, a Ryan wciąż zachowywał się jak pies, wbijający oczy w tę piękną, wyuzdaną kobietę. Aż dziwne, że nie wywalił języka i nie dyszy. Może ze zmęczenia? Ryan był zmęczony, to się rzucało w oczy. A jaki miałby być? Był taki, jak jego kraj. Wyglądał na silnego człowieka. Wciąż jeszcze młody, wyprostowany, barczysty. Spojrzenie miał przenikliwe, głos mocny, ale kiedy go spytano o siłę jego kraju, mówił o strachu. Ciekawe.

Darjaei wiedział, że siła i potęga są przymiotami w większym stopniu ducha, niż ciała, co odnosi się zarówno do ludzi, jak ich państw. Ameryka była dla niego zagadką, podobnie jak jej przywódcy. Czy jednak musiał wiedzieć o nich dużo więcej, by domyślić się reszty? Ameryka była bezbożnym krajem. To dlatego ten cały Ryan mówił o strachu. Bez Boga zarówno człowiek, jak i państwo tracą orientację. Niektórzy mówili wprawdzie to samo o jego kraju, ale nawet jeśli była w tym choć odrobina prawdy, to przecież z innego powodu.

Podobnie jak inni widzowie, Darjaei koncentrował się na twarzy i głosie Ryana. Odpowiedź na pierwsze pytanie była oczywista i udzielona niemal mechanicznie. Czegokolwiek Amerykanie dowiedzieli się o wczorajszym cudownym zrządzeniu losu, będą

milczeć. Zresztą pewnie i tak niewiele wiedzieli, co było zrozumiałe w tych okolicznościach. Dla Darjaiego był to koniec długiego dnia, z którego nie zmarnował ani minuty. Wezwał do siebie ministra spraw zagranicznych, by ten nakazał kierownikowi departamentu amerykańskiego (który od czasu rewolucji rozrósł się tak, że zajmował cały biurowiec w centrum Teheranu) przygotować opracowanie na temat tego, jak działała władza w Ameryce. Sytuacja okazała się jeszcze lepsza, niż sobie założył. Nie mogli teraz stanowić żadnego nowego prawa, nałożyć żadnego nowego podatku, nawet wydawać pieniędzy z budżetu, dopóki nie zbierze się nowy Kongres, a to zajmie sporo czasu. Ten szczeniak Ryan to resztki władz USA. Na dodatek, te resztki nie wzbudziły jakoś respektu u siedemdziesięciodwuletniego ajatollaha.

Stany Zjednoczone dławily Iran od lat. Niesłychana potęga. Nawet po redukcjach w siłach zbrojnych, które były konsekwencją upadku Związku Radzieckiego, tego „Mniejszego Szatana”, Ameryka nadal zdolna była robić rzeczy, o których nie śniły inne kraje. Jedyne czego jej do tego było trzeba, to chęć i polityczna decyzja. Może nie dochodziło do tego często, ale groźba była realna i zawsze wisiała w powietrzu. Co jakiś czas naród amerykański zbierał się w garść i kolejny przywódca państwowy, któ-

remu zdarzało się o tym na chwilę zapomnieć, gorzko tego żałował. Ostatnio przekonał się o tym Irak, któremu Wielki Szatan przetrącił kark jednym klapsem, doprowadzając do klęski, do której on sam i jego wielki poprzednik nie zdołali doprowadzić niemal dziesięcioma długimi latami krwawej wojny. Ameryka była zagrożeniem, z którym należało się liczyć. Ale teraz, szczęśliwym zrządzeniem Allacha, potęga USA chwiała się po ciosie, który o mało nie pozbawił olbrzyma głowy. Nawet największego olbrzyma można pokonać silnym ciosem w kark, a co dopiero w głowę. . .

Jeden człowiek, pomyślał Darjaei, nie słuchając słów dobiegających z telewizora. Słowa nie miały znaczenia. Ryan i tak nie mówił nic ważnego, ale samym sposobem mówienia zdradził wiele człowiekowi śledzącemu jego wystąpienie z drugiego końca świata. Nowa głowa państwa opierała się na szyi, na której Darjaei skoncentrował teraz wzrok. Tak, cały problem polega na tym, by dokończyć proces oddzielenia głowy od ciała. Teraz łączyła je już tylko ta cienka szyjka. . .

* * *

— Dziesięć minut przerwy — oznajmił Arnie, gdy Joy wyszła z Sali Roosevelta. Reporter kanału telewizyjnego Fox właśnie się charakteryzował.

— Jak mi poszło? — zapytał Jack, tym razem odpinając mikrofon zanim wstał. Musiał rozprostować nogi.

— Nie najgorzej — łaskawie ocenił van Damm. Zawodowemu politykowi nie oszczędziłby prawdy, ale też zawodowiec otrzymałby dużo trudniejsze pytania. Jeżeli Ryan miał w ogóle funkcjonować w swojej roli, to należało w nim podbudować poczucie własnej wartości. Prezydentura jest ciężkim kawałkiem chleba, nawet kiedy wszystko idzie jak z płatka. Każdy lokator tego domu miał kiedyś taką chwilę, w której marzył, by jakiś kataklizm zmiotł z powierzchni ziemi tę cholerną budę na Wzgórzu, razem z tymi darmozjadami, którzy w niej siedzą, a gdyby przy okazji zabrał też resztę agencji i departamentów, to już byłaby pełnia szczęścia. Ale teraz, gdy wreszcie się to ziściło, właśnie Ryan będzie się musiał na własnej skórze przekonywać, jak niezbędny był ten cały aparat dla funkcjonowania państwa, które nagle zważyło mu się na barki.

— Pewnie jeszcze wiele muszę się nauczyć, co? — zapytał Jack, opierając się o ścianę sali i wznosząc oczy ku sufitowi.

— Nauczysz się — zapewnił go Arnie.

— Może — uśmiechnął się Ryan, na chwilę zapominając o tym, że ten zbiorowy gwałt, który przeżywał od rana i który miał jeszcze trwać, to nie wszystkie jego kłopoty. Trwało to do chwili, w której agent Tajnej Służby podał mu kawałek papieru faksowego.

* * *

Nie było to może w porządku w stosunku do innych rodzin, ale wydobycie ciała prezydenta Durlinga miało absolutny priorytet na rumowisku kapitolńskim. Aż cztery dźwigi ustawiono w zachodnim rogu budynku, a ich ruchami kierował majster w kasku, stojący na poziomie podłogi izby posiedzeń plenarnych. Robotnicy znajdowali się stanowczo za blisko siebie i haków dźwigów, ale dziś nikt z inspektoratu pracy nie miał wstępu na rumowisko. Jedyne państwowymi inspektorami, z którymi należało się dziś liczyć, byli ludzie z Tajnej Służby. FBI mogło sobie pełnić nadzór nad śledztwem, ale żaden fedzio nie był im w stanie przeszkodzić w poszukiwaniu zwłok tego, którego

mieli bronić i oddaniu mu ostatniej posługi. Na miejscu był też lekarz i zespół ratowniczy, choć nikt już nie łudził się, że dokopią się do kogoś, kto przeżył. Największą sztuką była koordynacja pracy dźwigów, żeby, zagłębiając się w rumowisku, nawzajem sobie nie przeszkadzały. Z zewnątrz wyglądało to jakby cztery żyrafy naraz usiłowały napić się z tego samego źródła. Od zdolności operatorów zależało, żeby się nie stuknęły głowami.

— Patrzcie! — krzyknął jeden z robotników, wskazując palcem. Spod bloku piaskowca ukazała się szerniała ręka ściskająca kurczowo pistolet. To pewnie Andy Walker, szef ochrony prezydenckiej. Ostatni obraz z kamery telewizyjnej pokazywał go o pół metra od Durlinga, biegnącego, by zepchnąć go z mównicy i nakryć własnym ciałem. Na nic się to nie zdało i zginęli obaj.

Następny dźwig sięgnął w dół po kolejną bryłę. Obwiązany stalową liną blok piaskowca drgnął, lekko obrócił się na rozprostowującej się linie i powoli unióśł się w górę, odsłaniając resztę ciała zabitego agenta, czyjaś nogę oraz resztki połamanej i zwęglonej dębowej mównicy. Obok walały się lekko nadpalone kartki. Ogień nie sięgnął tak daleko w głąb stosu gruzów w tej części budynku.

— Stać! — Majster złapał za ramię agenta Tajnej Służby i nie pozwolił mu podejść bliżej. — Oni już i tak nie żyją, więc co za sens za nich ginąć? Poczekaście te parę minut.

Odczekał aż ramię dźwigu zabierze bryłę kamienia i zejdzie z drogi operatorowi drugiego. Gestami rąk podprowadził go na miejsce i tam kazał opuścić hak. Dwóch robotników założyło liny na kolejny blok i odsunęło się, a majster zakręcił ręką w powietrzu i bryła ruszyła do góry.

— Mamy Skoczka — powiedział do mikrofonu agent. Zespół ratowniczy natychmiast podbiegł na miejsce, nie zważając na ostrzegawcze okrzyki robotników, ale już z odległości paru metrów widać było, że ich pośpiech na nic się nie zda. Lewa ręka denata wciąż trzymała plik kartek z tekstem przemówienia. Prezydenta zabiły pewnie spadające bloki sklepienia, jeszcze zanim pożar wysał stąd cały tlen. Ogień zdołał jedynie osmalić skórę i opalić włosy. Spadające kamienie zdeformowały ciało i poszarpały ubranie, ale garnitur, prezydencka spinka do krawata i złoty zegarek na przegubie ręki, bez najmniejszych wątpliwości identyfikowały zwłoki prezydenta Rogera Durlinga. Wszystko wokół zamarło. Dźwigi zastygły w miejscu, ich silniki leniwie kręciły się

na jałowym biegu, a operatorzy zrobili sobie przerwę na kawę. Na rumowisko wbiegła ekipa fotografów z zespołu kryminalistycznego i zaczęła robić zdjęcia miejsca zdarzeń z każdego możliwego ujęcia.

Nie śpieszyli się. W innych częściach rumowiska sali obrad żołnierze Gwardii Narodowej, którzy tymczasem przejęli to smutne zadanie od strażaków, pakowali zwłoki w plastikowe worki i wynosili je. Tajna Służba otoczyła znalezione ciało szczelnym kordonem i nie dopuszczała nikogo obcego do wnętrza piętnastometrowego kręgu, wewnątrz którego oddawała ostatnią posługę Skoczkowi, jak, na pamiątkę jego służby w 82. Dywizji Powietrznodesantowej, Tajna Służba ochrzciła Durlinga. Nikt się nie roztkliwiał, za dużo już czasu minęło, ale i na to przyjdzie pora. Kiedy wreszcie ratownicy i fotografowie się wynieśli, czterech agentów w wiatrówkach z napisem TAJNA SŁUŻBA podeszło bliżej. Najpierw unieśli ciało Andy'ego Walkera, który zginął, zasłaniając swoim ciałem Szefa, i delikatnie złożyli je do plastikowego worka, zabezpieczając wcześniej wyjętą z zaciśniętej dłoni broń. Potem przyszła kolej na leżącego pod nim prezydenta Durlinga. Z tym poszło już trudniej. Ciało zeszywniało w *rigor mortis*, a potem zamarzło z ręką sztywno wyciągniętą przed siebie, przez co nie mieściła się ona

w worku. Agenci popatrzyli po sobie, zastanawiając się co robić. Ciało było dowodem, więc nie można go było uszkodzić, na przykład łamiąc rękę. Poza tym żadnemu nie mogło się pomieścić w głowie, że można zrobić coś takiego ze zwłokami Szefa. Pokręcili się przez chwilę wokół i wreszcie jakoś udało im się zapakować do worka odporne zwłoki, choć z tą wystającą z niego ręką, Durling wyglądał jak jakiś koszmarny pomnik Kapitana Ahaba. Czterej agenci wynieśli worek, z wysiłkiem znajdując wśród gruzów drogę na zewnątrz, do sanitarki czekającej specjalnie na to ciało. Widok procesji kierującej się do stojącej na uboczu karetki zaalarmował fotoreporterów, którzy zlecieli się zewsząd jak sępy, trzaskając migawkami i kręcąc obiektywami kamer.

Wiadomość o odnalezieniu ciała przerwała wywiad, którego Ryan udzielał stacji telewizyjnej Fox. Prezydent i dziennikarz wpatrywali się razem w stojący na stole monitor. Jack dopiero teraz uznał się oficjalnie za prezydenta. Durling naprawdę nie żył i Ryan naprawdę zajął jego miejsce. Kamera wychwyciła zmianę w twarzy Jacka, gdy przypomniał sobie jak Durling zwrócił na niego uwagę, zaufał mu, polegał na nim, popierał go. . .

Otóż to. Zawsze miał się na kim oprzeć. Pewnie, że i inni opierali się na nim, nadstawiał za nich karku w czasie kryzysu, ale zawsze był ktoś, do kogo można się było odwołać i kto pochwalił go za to, co robił. Teraz niby też miał tych ludzi wokół siebie, ale wiedział, że od tej pory usłyszy najwyżej opinie, a nie oceny. Teraz wystawianie ocen należało do niego. Różne rzeczy usłyszy. Jego doradcy będą jak prawnicy w czasie procesu, będą się spierać i przedstawiać różne koncepcje wzajemnie się wykluczające, ale kiedy skończą, to on będzie musiał wybrać tę właściwą i to jego będą z niej rozliczać.

Zapomniał na chwilę o charakteryzacji i potarł ręką twarz. Nie wiedział, że Fox, podobnie jak inne sieci, nadaje teraz jednocześnie zdjęcia z Kapitolu i z Białego Domu, prezentując je na podzielonym na pół ekranie. Pokręcił głową jak człowiek, który zrozumiał, że musi pogodzić się z czymś, czego nie chce, a jego twarz była w tej chwili tak bardzo pozbawiona wyrazu, że nawet przepełniający go smutek się na niej nie odbił. Na Kapitolu dźwigi znowu zaczęły się krzątać nad rumowiskiem.

— I co teraz będzie? — zapytał dziennikarz Foxa. To nie było pytanie z listy, ale ludzka reakcja na obrazy, przesyłane przez telewizję. Przerwa na nadzwyczajną relację z wydarzeń na Kapitolu zajęła większość czasu, przeznaczonego na wywiad. W innych

okolicznościach, po prostu przełożyliby rozmowę na później, ale personel Białego Domu był nieubłagany.

— Mamy przed sobą mnóstwo roboty — odparł Ryan.

— Dziękuję, panie prezydencie. Oglądali państwo bezpośrednią transmisję z Białego Domu, gdzie rozmawiałem z prezydentem Johnem Ryanem.

Jack spojrział na gasnące światełko na kamerze. Producent odczekał jeszcze kilka sekund i dopiero wtedy machnął ręką, że już po wszystkim. Prezydent odpiął mikrofon. Jego pierwszy maraton z mediami dobiegł końca. Zanim wyszedł z sali, obrzucił kamery uważnym spojrzeniem. Kiedyś uczył historii, potem nie raz referował zagadnienia na odprawach, ale zawsze miał przed sobą żywą publiczność, której reakcje mógł śledzić na bieżąco. Widział, czy go rozumieją, czy mówi za szybko, czy może za wolno, czy może trzeba rzucić jakiś żarcik, żeby rozruszać słuchaczy, a może coś powtórzyć, bo nie wszyscy zrozumieli. A teraz nagle miał mówić do czerwonego światełka na kamerze. To mu się też nie podobało. Wyszedł z Gabinetu Owalnego, a na całym świecie widzowie oceniali nowego prezydenta Ameryki. Komentatorzy w ponad pięćdziesięciu krajach

świata zaczęli wygłaszać swoje uwagi w momencie, gdy Jack poczuł, że znowu musi iść do łazienki.

* * *

— To najlepsze, co zdarzyło się temu krajowi od czasu Jeffersona — stwierdził starszy z mężczyzn, we własnej opinii znawca historii. Thomas Jefferson zasłużył na jego uwielbienie stwierdzeniem, że najlepiej rządzone jest państwo, które najmniej rządzi. To światło, choć wyrwane z kontekstu zdanie właściwie wyczerpywało jego znajomość dzieł i myśli klasyka amerykańskiej myśli politycznej.

— Racja. I pomyśleć, że trzeba było pieprzonego żółtka, żeby do tego doszło — dorzucił drugi, na chwilę zastanawiając się, czy aby dobrze robi, ściśle trzymając się wyznawanego przez siebie rasizmu.

Nie spali całą noc, oglądając nieprzerwaną transmisję z Waszyngtonu, która trwała nawet teraz, o 5.20 miejscowego czasu. Zresztą pismaki wyglądały jeszcze gorzej niż ten cały Ryan. Strefy czasowe miały jednak swoje dobre strony. Koło północy dali sobie spokój z piwem i przerzucili się na kawę. Nie mogli sobie pozwolić na sen. Nie w takim

momencie, gdy, skacząc po kanałach telewizji, łapanych na talerz anteny satelitarnej, stojącej obok domku, oglądali wielki telewizyjny maraton. W dodatku maraton poświęcony nie zbieraniu pieniędzy na kalekie dzieci czy inne ofiary AIDS, albo, co gorsza, na szkoły dla czarnuchów. To była noc szczęścia. Wyglądało na to, że ktoś wreszcie puścił ten pieprzony Kapitol z dymem i tych wszystkich skurwieli z Waszyngtonu wydusił ze szczętem.

— Biurokraci z grilla — powtórzył Peter Holbrook już chyba po raz siedemnasty tego wieczoru. Ten *bon moi*. przyszedł mu do głowy około 23.00 i od tej chwili napawał się nim aż do znudzenia.

— A niech cię cholera, Pete! — parsknął Ernest Brown, rozlewając kawę na spodnie. To określenie nadal go śmieszyło.

— To była długa noc — zauważył Holbrook, także się uśmiechając. Przemowę Durlinga oglądali z kilku powodów. Po pierwsze, wszystkie sieci przerwały programy, by ją transmitować, co oznaczało, że zapowiadało się coś interesującego. Oczywiście, mając dostęp do 117 programów zawsze mogli wybrać jakiś, na którym nie pojawiał się żaden dupek z rządu, ale krył się za tym ważniejszy powód. Wszyscy członkowie ru-

chu kultywowali starannie swoją niechęć do rządu, a w tym celu co najmniej godzinę dziennie spędzali przed telewizorem nastawionym na C-SPAN-1 lub -2 i uzupełniając zjadliwymi komentarzami wypowiedzi polityków. Teraz mogli sobie poużywać do woli na samym prezydencie.

— Co to za gość, ten Ryan? — zapytał, tłumiąc ziewanie, Brown.

— Jeszcze jeden pieprzony gryzipiórek. Biurokrata pieprzący biurokratyczne pierdoły.

— Święta racja — zgodził się Brown. — I, jak oni wszyscy, wziął się znikąd i nikt za nim nie stoi, nie, Pete?

— Taa. — Holbrook odwrócił się i popatrzył na przyjaciela. — Wiesz, to jest myśl... — Holbrook skierował się ku zajmującej południową ścianę pokoju bibliotece. Wyciągnął stamtąd dobrze podniszczony egzemplarz konstytucji, którą czytał w każdej wolnej chwili, odnajdując, w swoim mniemaniu, prawdziwe intencje jej autorów, wypaczone z biegiem lat przez cholernych polityków. — Wiesz co, Pete? Tu nie ma ani słowa o takiej sytuacji jak ta.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odparł Holbrook, kiwając głową.

— A niech mnie cholera — w zadumie powiedział Brown.

* * *

— Zamordowany? — zapytał prezydent Ryan, papierowymi ręczniczkami ścierając z twarzy resztki charakteryzacji.

— To tylko wstępna opinia, ale poparta oględzinami zwłok i zapisem z taśmy czarnej skrzynki — potwierdził Murray, przerzucając strony dokumentów otrzymanych faksem dwadzieścia minut wcześniej.

Ryan odchylił się na oparcie fotela. Podobnie jak większość wyposażenia Gabinetu Ovalnego, był to nowy fotel. Z kredensu za nim zniknęły ramki z fotografiami rodziny Durlingów. Papiery z biurka zabrali do przejrzenia ludzie z kancelarii Białego Domu. W pokoju pozostały tylko przedmioty ze stałego wyposażenia Gabinetu Ovalnego. Ryan zdążył już polubić ten fotel, zaprojektowany z myślą o wygodzie i ochronie kręgosłupa człowieka, który miał na nim siedzieć. To był zresztą tylko tymczasowy mebel z magazynów Białego Domu. Wkrótce miał go zastąpić fotel zbudowany na miarę dla

Ryana. Dostawą prezydenckich foteli zajmowała się pewna firma, która wykonywała je szybko, dobrze, w dodatku nie biorąc za nie ani centa i nie domagając się reklamy. Od paru minut pogodził się już z myślą o tym, że przyjdzie mu tu pracować. Sekretarki miały tu swoje biura i nie było fair zmuszać je do biegania do przyległego budynku, bo prezydent boi się ducha swego poprzednika. Z pracą w tej części Białego Domu już się pogodził, ale spanie tu — to już zupełnie inna sprawa. Na to pewnie też przyjdzie pora, ale jeszcze nie teraz.

A więc, zmienił temat swoich rozmyślań, to było morderstwo?

— Został zastrzelony?

— Nie — pokręcił głową Murray. — Dostał nożem prosto w serce. Jeden cios. Rana wygląda, według agenta, który ją oglądał, na zadaną nożem o wąskiej klindze, takim jak do steków. Z taśm z kabiny wygląda na to, że doszło do tego tuż przed startem. Moment śmierci drugiego pilota można określić dość dokładnie. Od tej chwili, aż do katastrofy, na taśmie słychać tylko głos kapitana. Nazywał się Sato, był bardzo doświadczonym pilotem. Japońska policja przysłała nam sporo wiadomości na jego temat. Wygląda na to, że w czasie ostatniego konfliktu stracił brata i jedyne syna. Brat dowodził nisz-

czycielem, który zatopiliśmy wraz z całą załogą, a syn był pilotem myśliwskim. Zabił się, lądując na postrzelanej maszynie. W dodatku obaj zginęli tego samego dnia, czy dzień po dniu. Tak więc zakładamy, że działał z pobudek osobistych. Miał motyw i miał możliwość dokonania tego czynu, Jack. — Murray pozwolił sobie na poufałość, bo w gabinecie byli tylko we dwóch, jeśli nie liczyć Andrei. Tej ostatniej niezbyt się to podobało, nie wiedziała jeszcze, jak wiele łączy tych dwóch ludzi.

— Coś szybko się uwinęliście z tą identyfikacją — zauważyła.

— To trzeba będzie jeszcze potwierdzić — zgodził się Murray. — Robimy już testy DNA. Nagranie ze skrzynki jest bardzo dobrej jakości i nadaje się do identyfikacji głosu. Tak przynajmniej twierdzi agent, który je przesłuchiwał. Kanadyjczycy mają taśmę z zapisem lotu aż do opuszczenia ich przestrzeni powietrznej, więc, po zestawieniu z naszymi, można łatwo odtworzyć przebieg wypadków. Mamy zapisy identyfikujące ten samolot od Guam, przez Japonię po Vancouver i aż do Waszyngtonu, panie prezydencie. — Tym razem Andrea nie miała zastrzeżeń do formy, w jakiej Murray zwracał się do Miecznika. — Pewnie potrwa ze dwa miesiące, zanim zbadamy każdy ślad i wą-

tek, i zanim będziemy mogli zamknąć sprawę ostatecznie, ale w mojej opinii, sprawa jest już bliska zamknięcia.

— A jeżeli się mylicie? — zapytał Ryan.

— Teoretycznie możemy się mylić, ale nie przypuszczam. To był akt pojedynczego szaleńca. Nie, to nie był szaleniec, raczej człowiek doprowadzony do ostateczności przez rozpacz. W każdym razie, gdyby to nie była improwizacja, spiskowcy musieliby dokładnie zaplanować cały zamach, a nic na to nie wskazuje. Skąd wiedzieliby, że przegrają wojnę? Skąd wiedzieliby o połączonej sesji obu izb? Poza tym, gdyby planowali zamach, to przecież mogli, jak wspomniał ten facet z NRBT, załadować dziesięć ton trotylu na pokład.

— Albo atomówkę — wtrącił Jack.

— Albo bombę atomową — zgodził się Murray. — O, właśnie. Przypomniałem sobie o czymś. Attaché lotniczy ma dziś obejrzeć tę ich fabrykę, którą podejrzewaliśmy o zdolność do produkcji broni nuklearnej. Właśnie leci tam nasz ekspert. — Murray zajrzał do faksu. — Doktor Woodrow Lowell. Hej, ja go znam. Prowadzi laboratorium

w Instytucie Livermore'a. Premier Koga powiedział naszemu ambasadorowi, że chce, żeby całą sprawę rozpoznać i jak najszybciej usunąć to świństwo z jego kraju.

Ryan obrócił się na fotelu. Okno za biurkiem wychodziło na pomnik Waszyngtona. Wokół obelisku wznosił się wianuszek masztów flagowych, w połowie wysokości których wisiały opuszczone na znak żałoby flagi. Przed wejściem widać było jednak kolejkę osób chętnych do wjazdu windą na szczyt. Turyści po staremu chcieli podziwiać panoramę stolicy. Tym bardziej dzisiaj, gdy w dodatku mogli zobaczyć ruinę Kapitolu. Wiedział, że okna gabinetu były kuloodporne, na wypadek, gdyby jeden z nich wybrał się tam z karabinem pod płaszczem. . .

— Ile z tego można powiedzieć ludziom?

— Myślę, że dość dużo.

— Jest pan pewien? — zapytała Andrea.

— Tak. Przecież nie musimy chronić dowodów przed rozprawą, bo jej nie będzie. Podejrzany nie żyje. Będziemy szukać ewentualnych spiskowców, ale te informacje w niczym nam tego nie utrudnią. Zwykle nie popieram przedwczesnego ujawniania dowodów zdobytych w śledztwie, ale ludzie muszą przecież dowiedzieć się czegoś.

No tak, a już zupełnym przypadkiem Biuro zbierze same laurki w prasie, pomyślała Price. Taka poważna sprawa i nagle hop-siup, dwanaście godzin i dochodzenie zamknięte. Przynajmniej jedno toczy się po staremu.

— Kto prowadzi sprawę z ramienia Departamentu Sprawiedliwości? — zapytała.

— Pat Martin.

— O? A kto go wyznaczył do tej sprawy? — zdumiała się Andrea.

— No, ja — wybąkał, niemal rumieniąc się, Murray. — Prezydent powiedział, żeby wyznaczyć najlepszego z dostępnych prokuratorów, więc padło na Pata. Od dziewięciu miesięcy kieruje wydziałem karnym Departamentu, a wcześniej prowadził dochodzenia w sprawach o szpiegostwo. Przyszedł tam z Biura. To doskonały prawnik, prawie trzydzieści lat praktyki. Bili Shaw chciał go na sędziego. Mówił nawet o tym z prokuratorem generalnym w zeszłym tygodniu.

— Na pewno jest dobry? — zapytał Ryan.

— Już kiedyś razem pracowaliśmy — odparła Andrea. — To naprawdę fachowiec i Dan ma rację, że doskonały materiał na sędziego. Twardy jak cholera, ale uczciwy.

Nadzorował sprawę o fałszerstwo pieniędzy, którą kiedyś prowadziłam z moim dawnym partnerem w Nowym Orleanie.

— Dobra, więc niech on zdecyduje co z tego można wypuścić. Może pogadać z dziennikarzami po obiedzie. — Ryan spojrzął na zegarek. Właśnie minęła dwunasta godzina jego prezydentury.

* * *

Pułkownik w stanie spoczynku Armii USA Pierre Alexandre zachował postawę zawodowego wojskowego, co bynajmniej nie przeszkadzało dziekanowi. Dave James polubił swego gościa od pierwszej chwili, gdy ten zajął miejsce przed jego biurkiem. Lektura życiorysu gościa spowodowała, że jego uczucia jeszcze się ociepliły, a to, co usłyszał o nim przez telefon, bardzo go ucieszyło. Pułkownik Alexandre, którego jego liczni przyjaciele nazywali Alexem, był ekspertem w dziedzinie chorób zakaźnych; spędził ponad dwadzieścia lat w ofiarnej i pożytecznej służbie swojemu krajowi, dzieląc czas pomiędzy szpital wojskowy imienia Waltera Reeda w Waszyngtonie i Instytut Medycyny w Fort Detrick w stanie Maryland. W tym czasie odbył także wiele podróży

służbowych do różnych części świata, gdzie potrzebna była jego wiedza i doświadczenie. Ukończył Akademię w West Point i wydział medyczny Uniwersytetu w Chicago. Doskonale, pomyślał James, przenosząc wzrok na informacje dotyczące przebiegu kariery zawodowej pułkownika. Lista publikacji naukowych liczyła osiem stron gęstego druku. Alexandre'a przedstawiano kilkakrotnie do ważnych nagród naukowych, ale jak dotąd nie miał szczęścia w tej dziedzinie. No cóż, może praca u Hopkinsa to zmieni. Komisje lubią naukowców z renomowanych uczelni. W ciemnych oczach oficera nie widać było ani śladu arogancji, choć bez wątpienia należały do człowieka pewnego siebie i zdającego sobie sprawę z własnej wartości. I świadomego tego, że i jego rozmówca ją docenia.

— Znam Gusa Lorenza — powiedział dziekan James, uśmiechając się znad *curriculum vitae* pułkownika. — Razem pracowaliśmy na internie w szpitalu Petera Brenta Brighama.

— Błyskotliwy facet — zgodził się Alexandre, a w jego głosie zabrzmiał wyraźny kreolski akcent. W kręgach medycznych panowało powszechne przekonanie, że za prace o gorączce Lassa Gusowi należy się nagroda Nobla. — I doskonały lekarz.

— To dlaczego nie złożył pan podania do jego instytutu w Atlancie? Gus mówił mi, że czeka na pana z otwartymi ramionami.

— Panie dziekanie. . .

— Mów mi Dave.

— Alex — odparł pułkownik. Cywilne życie miało jednak swoje zalety. W oczach pułkownika dziekan James był odpowiednikiem generała dywizji, może nawet generała broni, bo szpital uniwersytecki imienia Johna Hopkinsa był placówką prestiżową. W wojsku ktoś taki na pewno nie zaproponowałby mówienia sobie po imieniu w pracy. — Dave, całe niemal życie spędziłem w laboratoriach. Chcę znowu leczyć pacjentów. Bardzo lubię Gusa, dużo razem pracowaliśmy w Brazylii w 1987 roku i szło nam razem bardzo dobrze — zapewnił dziekana — ale skręca mnie na sam widok slajdów i wydruków.

Aha, to dlatego odrzucił ofertę Pfizera, który proponował mu utworzenie i kierowanie nowym laboratorium, pomyślał James. Choroby zakaźne zaczynały wreszcie być modne w światku medycznym i obaj mieli nadzieję, że nie jest na to jeszcze za późno.

Jak to się stało, że odszedł z wojska bez generalskich gwiazdek? Pewnie znowu cholerna polityka. Armia też miała z tym problemy, zupełnie jak Hopkins. No cóż, jej strata. . .

— Rozmawiałem o tobie z Gusem wczoraj wieczorem.

— O? — Nie był specjalnie zdziwiony. Na tym poziomie wszyscy znali wszystkich.

— Mówi, żeby cię brać. . .

— To ładnie z jego strony — uśmiechnął się Alexandre.

— Zanim cię nie zgarnie Harry Tuttle z Yale.

— Aha, Harry’ego też znasz? — No tak, nie tylko wszyscy się znali, ale i wszyscy wiedzieli, co kto robi.

— Byliśmy kumplami z jednego roku. Razem umawialiśmy się na randki z Wendy. No cóż, wybrała jego. Wygląda na to, że niewiele nam pozostało do omówienia, Alex.

— To chyba dobrze?

— Masz rację. Na początek zaczniesz pracę pod kierunkiem Ralpa Forstera. Będziecie mieli mnóstwo pracy laboratoryjnej, ale to doskonały zespół. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Ralph zorganizował doskonałe laboratorium, ale nie bój się, ostatnio zaczyna także leczyć ludzi. Poza tym stary Ralph ma już dość podróży po świecie, więc

przygotuj się na to, że trochę będziesz musiał pojeździć po różnych krajach. A za jakieś pół roku obejmiesz kierownictwo nad kliniczną stroną ich działalności. Sześć miesięcy chyba ci wystarczy na to, żebyś się tu rozejrzał, co?

— Mam nadzieję, że tak. — Pułkownik z namysłem skinął głową. — Powinno starczyć. Muszę sobie sporo rzeczy przypomnieć. Jasny gwint, kiedy się człowiek wreszcie przestaje uczyć?

— Kiedy zostaje administratorem i zaczyna mieć w nosie to, czym kieruje.

— Aha, czyli już wiesz, dlaczego odwiesiłem do szafy zielony garnitur? No właśnie, chcieli mnie wrobić w dowodzenie szpitalem wojskowym. Wiesz, gabinet, biurko, godziny urzędowania, podbić kartę na wejściu, podbić kartę na wyjściu. Cholera, wiem, że w laboratorium jestem dobry. Podobno nawet bardzo dobry. Ale kiedyś uczyłem się, jak leczyć ludzi i potem może uczyć także innych, jak to robić. Kocham leczyć ludzi, Dave. Uwielbiam patrzeć, jak chorzy zdrowieją i wysyłać ich zdrowych z powrotem do domu. Kiedyś pewien facet w Chicago tłumaczył mi, że na tym polega ten zawód.

Ten facet powinien wyklądać w szkole dla sprzedawców i agentów ubezpieczeniowych, pomyślał James. W Yale mogli mu zaproponować równorzędną posadę, ale od

nich Alexandre miał blisko do Fort Detrick, a do Atlanty półtorej godziny lotu. No i miałyby pod bokiem zatokę Chesapeake, a dziekan wiedział, że pułkownik jest zapalonym wędkarzem. Zresztą czego się innego spodziewać po człowieku wychowanym wśród bagien Luizjany? W ogólnym rozrachunku Yale miało pecha. Profesor Tuttle był doskonałym fachowcem, może nawet lepszym od Forstera, ale był jeszcze młody, a Ralph pójdzie za pięć lat na emeryturę. Alexandre miał zadatki na gwiazdę i będzie już wtedy jasno błyszczał na firmamencie. Wyszukiwanie gwiazd było hobby dziekana Jamesa. Gdyby nie został lekarzem, byłby pewnie dyrektorem zespołu baseballowego. A więc to już załatwione. Zamknął leżącą na biurku teczkę.

— Panie doktorze, witamy wśród pracowników Szpitala Klinicznego Wydziału Medycyny Uniwersytetu imienia Johna Hopkinsa.

4 — A życie płynie

Resztę dnia zapamiętał jak przez mgłę. Zresztą, zanim jeszcze trafił w ten młyn, wiedział, że zapamięta tylko okruchy tego, w czym przyjdzie mu wziąć udział. Pierwszy raz widział komputery, kiedy był studentem w Boston College. Czasy komputerów osobistych były jeszcze bardzo odległe, wtedy używał jako terminala zwykłego teleksu. Za jego pomocą kontaktował się z maszyną, której nawet nigdy nie widział, mieszczącą się w jakiejś mrocznej instytucji uczestniczącej w programie „dzielenia czasu”. Dzielenie czasu to jeszcze jeden zapomniany termin, instytucja z tych odległych czasów, kiedy tylko nieliczne biura i laboratoria stać było na wydanie miliona dolarów za urzą-

dzenie, które potrafiło mniej niż teraz co drugi elektroniczny zegarek i po godzinach pracy łaskawie pozwalały z nich korzystać zwykłym śmiertelnikom. Termin ten doskonale oddawał istotę amerykańskiej prezydentury. Możliwość dopilnowania jakiejś sprawy od początku do końca stała się nieosiągalnym luksusem, praca prezydenta polegała na śledzeniu różnych wątków, rozwijających się na kolejnych posiedzeniach co raz to nowych zespołów fachowców. To tak, jakby ktoś próbował pilnować rozwoju wydarzeń w kilkunastu serialach telewizyjnych naraz, przełączając pilotem kanały i próbując nie mylić ich ze sobą, przy jednoczesnej pewności, że to niemożliwe.

Kiedy pożegnał Murraya i Price, zaczął się młyn. Na początek poszło posiedzenie zespołu bezpieczeństwa narodowego, na którym jeden z oficerów wywiadu przydzielonych do Białego Domu przedstawił ocenę sytuacji i możliwych zagrożeń. W ciągu dwudziestu sześciu minut dowiedział się tego wszystkiego, co już wiedział wczoraj, kiedy sam jeszcze pełnił funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Musiał jednak wysłuchać oceny do końca, choćby po to, by poznać punkt widzenia człowieka, który ją przygotował. Każdy z nich był inny, każdy miał odmienną, własną perspekty-

wę, z której oceniał wydarzenia i Ryan musiał ją w każdym przypadku poznać, by móc potem obiektywnie rozważyć przedstawiane mu raporty sytuacyjne.

— Czyli na razie nic nowego na horyzoncie?

— Nic, co wzbudziłoby niepokój Narodowej Rady Bezpieczeństwa, panie prezydencie. Ale zna pan potencjalne punkty zapalne równie dobrze jak ja i wie pan także, że sytuacja zmienia się z dnia na dzień.

Facet wykręcił się od odpowiedzi z gracją kogoś, kto od lat tańczy w takt tej muzyki. Ryan zachował kamienną twarz tylko dlatego, że już nie raz widział podobny spektakl. Prawdziwy specjalista od spraw wywiadu nie boi się śmierci, niestraszna mu wizja zastania swej żony w łóżku najlepszego przyjaciela, ani inne rzeczy, przyprawiające zwykłych śmiertelników o drżenie łydek. Boi się tylko jednego: żeby nie dać się przyłapać na sformułowaniu błędnej opinii, gdy występuje w swej służbowej roli. Recepta na szczęście doradcy do spraw wywiadu była prosta: nie wolno zajmować jasnego stanowiska w żadnej sprawie. Ta zaraza nie ograniczała się do wywiadu, cała administracja była nią przesiąknięta od góry do dołu. Tylko prezydent musiał mieć zdanie w różnych

kwestiach i jedynie od jego szczęścia i trafnego doboru współpracowników zależało, czy otrzyma od nich informacje pozwalające mu na podjęcie słusznych decyzji.

— Chciałbym pana o coś poprosić — powiedział Ryan po kilku sekundach namysłu.

— Słucham, panie prezydencie — ostrożnie odparł zagadnięty.

— Chciałbym od pana dowiedzieć się nie tylko tego, co pan wie, ale także tego co pan i pańscy ludzie myślą o przedstawianych faktach. Pan odpowiada za to, co pan wie, ale pozwolę sobie wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że czasem pokieruję jakąś sprawą według tego, co się panu zdaje na jakiś temat. Jak pan wie, znam tę robotę dość dobrze od podszewki. Umowa stoi?

— Oczywiście, panie prezydencie. — Uśmiech na twarzy analityka przesłonił przeżenie na samą myśl o czymś takim. — Przekażę to moim współpracownikom.

— Dziękuję panu — pożegnał go Ryan, zdając sobie sprawę, że jeśli naprawdę ma do tego dojść, to będzie potrzebował dobrego i zaufanego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tylko skąd takiego weźmie?

Drzwi otworzyły się przed wychodzącym wywiadowcą, jakby pchnięte magiczną siłą. To agent Tajnej Służby, który przez większą część posiedzenia podglądał je przez

wizjer w drzwiach, otworzył je przed nim, a jego miejsce wkrótce zajął zespół z Departamentu Obrony.

Kierował nim generał dywizji, który na wstępie podał Ryanowi plastikową kartę.

— Panie prezydencie, powinien pan nosić ją ze sobą w portfelu. Jack kiwnął głową, wiedząc, co to takiego, jeszcze zanim jego dłoń dotknęła pomarańczowego plastiku. Wyglądała jak zwykła karta kredytowa, ale było na niej wytłoczone kilka grup cyfr i nie miała żadnych napisów.

— Która? — zapytał Ryan.

— Pan wybiera — odparł generał.

Ryan wybrał trzecią grupę, odczytując ją dwukrotnie. Towarzyszący generałowi major i pułkownik zapisali cyfry z grupy, którą wybrał i z kolei oni dwukrotnie mu je odczytali, a on sprawdził je z kartą. Od tej chwili prezydent Ryan mógł wydać rozkaz użycia strategicznej broni nuklearnej.

— Po co mi ta karta? — zapytał. — Przecież w zeszłym roku wysłaliśmy na złom ostatnią raketę balistyczną?

— Panie prezydencie, w naszym arsenale nadal pozostały pociski manewrujące, które można uzbroić w głowice *W-80* i bomby *B-61*, które przenosić mogą nasze samoloty bombowe. Nadal potrzebujemy pańskiej zgody na ich użycie w razie potrzeby, a karta pozwoli na przyśpieszenie procedur na wypadek, gdyby. . .

— Gdybym padł ofiarą pierwszego uderzenia, tak? — dokończył za generała, który wyraźnie zawahał się, dochodząc do tego punktu wyjaśnień.

No, Jack, teraz dopiero stałeś się ważny, powiedział jakiś złośliwy głos gdzieś wewnątrz jego czaszki. Teraz możesz zacząć jakąś drobną wojenkę nuklearną. . .

— Nienawidzę tego świństwa — powiedział po przedłużającej się chwili milczenia. — Zawsze nienawidziłem.

— Nikt od pana nie wymaga, żeby ją pan pokochał — zgodził się generał, szybko zmieniając temat. — Jak pan zapewne wie, do pańskiej dyspozycji pozostaje dywizjon śmigłowcowy piechoty morskiej *VMH-1*, do którego zadań należy zapewnienie panu bezpiecznej ewakuacji w każdej chwili, gdy zajdzie. . .

Ryan słuchał dalszych wyjaśnień, zastanawiając się w duchu, czy powinien w tej chwili zrobić to, co podobno zrobił Jimmy Carter, który słysząc to zapewnienie, odparł: „Tak? No to przekonajmy się. Powiedzcie im, że chcę się stąd wydostać. Natychmiast!”

Jezu, co się wtedy działo! Wyszła z tego wielka kompromitacja i paru *marines* narobiło sobie straszego wstydu. Nie wypadało mu tego powtarzać. Większość ludzi mogłaby nie zrozumieć, że chodziło mu o sprawdzenie, czy rzeczywiście system działa, tak jak go zapewniają współpracownicy, i wyszedłby na paranoidalnego półgłówka. Poza tym, dzisiaj VMH-1 miał prawo być lekko rozprężony po wydarzeniach poprzedniej nocy.

Czwartym członkiem delegacji był chorąży wojsk lądowych w cywilnym ubraniu, noszący wyglądającą całkiem normalnie aktówkę, którą ze względu na łączące ją z nadgarstkiem kajdanki nazywano popularnie „kulą u nogi”. Wewnątrz aktówki znajdował się skoroszyt, zawierający plan na wypadek ataku, czy raczej cały plik gotowych planów na różne możliwe okoliczności.

— Proszę mi pokazać te plany. — Ryan wskazał palcem na teczkę. Choraży, po chwili wahania, sięgnął do zamka szyfrowego, otworzył teczkę i wyjął granatowy skoroszyt, podając go prezydentowi. Ryan zaczął go kartkować.

— Panie prezydencie, jeszcze ich nie zmieniliśmy od czasu, gdy...

Pierwszy plik kartek nosił tytuł OPCJA ATAKU NA WIELKA SKALĘ. Wewnątrz znajdowała się mapa Japonii, na której niektóre miasta oznaczone były różnokolorowymi punktami. Legenda na dole strony wyjaśniała znaczenie kolorów, podając w megatonach moc bomb koniecznych do zniszczenia poszczególnych miast. Prawdopodobnie inna strona podawała odpowiednio liczbę ofiar ataków. Ryan otworzył pierścienie skoroszytu i wyjął cały plik.

— Spalić to — polecił. — Nie chcę tego więcej widzieć. — Oczywiście zdawał sobie sprawę, że polecenie to spowoduje jedynie przełożenie planów do innej szuflady tu w Waszyngtonie i w Omaha, gdzie przechowywane były zapasowe egzemplarze. Takie dokumenty nigdy nie znikają bezpowrotnie.

— Ależ panie prezydencie — zaproponował generał — nie mamy jeszcze potwierdzenia, że Japończycy zniszczyli swoje wyrzutnie, ani że już zneutralizowali wszystkie główce. Nie możemy...

— Panie generale, to jest rozkaz — spokojnie odparł Ryan. — Jak panu zapewne wiadomo, mam prawo go wydać.

Generał wyprostował się na fotelu.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ryan przekartkował resztę zawartości skoroszytu. Mimo pełnienia uprzednio wysokich urzędów w pionie bezpieczeństwa narodowego, jego zawartość była dla niego rewelacją. Zawsze udawało mu się uniknąć zbyt intymnego kontaktu z wiadomościami na temat tej przeklętej broni. Odrzucał od siebie myśl o tym, że ktoś mógłby jej rozmyślnie użyć. Po zamachu w Denver fala przerażenia, która przetoczyła się po świecie spowodowała, że znalazła się pod jeszcze bardziej ścisłą kontrolą niż do tej pory. Podczas wojny z Japonią doszły do niego słuchy, że gdzieś tam jakiś zespół przygotowuje plany uderzenia odwetowego na wypadek użycia broni jądrowej przez Japończyków, ale skoncentrował się na wysiłkach mających nie dopuścić do ich realizacji. Czuł osobistą

satysfakcję, że prezydent nigdy nawet nie musiał zastanawiać się nad realizacją planów, których podsumowanie wciąż trzymał w lewej ręce. Operacja Długi Nóż przeczytał nagłówek i poczuł mrówki na plecach. Co za sukinsyn wymyślał takie kryptonimy? Przecież to brzmiało, jakby był dumny z tego planu.

— Operacja Wyłącznik? — przeczytał na głos kolejny nagłówek. — A to co takiego?

— To jest, panie prezydencie, plan ataku nuklearnego za pomocą impulsu elektromagnetycznego. Zdetonowanie głowicy na bardzo dużej wysokości powoduje, że brakuje nośnika fali uderzeniowej, bo na tej wysokości prawie nie ma już powietrza, więc większa część energii wybuchu zamienia się w falę impulsu elektromagnetycznego, która niszczy sieci energetyczne i łącznościowe, nie powodując większych strat w ludziach na ziemi. W naszych planach operacyjnych na wypadek wojny z Rosją zawsze mieliśmy parę głowic zaprogramowanych na eksplozję w wyższych warstwach atmosfery. Ich systemy łączności telefonicznej były tak prymitywne, że łatwo byłoby je w ten sposób zniszczyć, unieruchamiając całe państwo bez zabijania nikogo, zanim doszłoby do prawdziwej wojny.

— Rozumiem. — Ryan zamknął odchudzony skoroszyt i oddał go chorażemu, który natychmiast wrzucił go do teczki i przekreślił rozetki zamków. — Czy w tej chwili dzieje się na świecie coś, co wymagałoby uderzenia nuklearnego jakiegokolwiek typu? Z tego, co mi przedstawiono, wynika, że raczej nie.

— Zgadza się, panie prezydencie.

— Po co więc ten człowiek ma siedzieć przed moim gabinetem całą dobę?

— A czy jest pan w stanie przewidzieć każde możliwe zagrożenie? — odpowiedział pytaniem na pytanie generał. Facet musiał się nieźle natrudzić, by to powiedzieć z kamienną twarzą, pomyślał Ryan, gdy tylko minął pierwszy szok.

— Chyba nie — musiał przyznać prezydent.

* * *

Biurem Protokołu Białego Domu kierowała Judy Simmons, która przeszła na to stanowisko z Departamentu Stanu cztery miesiące wcześniej. W Biurze Protokołu w podziemiach budynku od północy, gdy dojechała na miejsce ze swego domu w Burke, w stanie Wirginia, panował ciągły ruch. Jej niewdzięcznym zadaniem były przygotowania do

największego w dziejach Ameryki uroczystego pogrzebu na koszt państwa. Zajmowało się tym ponad stu urzędników, którzy znajdowali się już na granicy wyczerpania, a przecież nie nadeszła jeszcze nawet pora lunchu.

Pełną listę poległych trzeba było dopiero sporządzić, ale z analizy nagrań telewizyjnych wiadomo było, kto znajdował się w Izbie w chwili zamachu. Zbierano o nich teraz informacje — na temat stanu cywilnego, krewnych, wyznania — by na ich podstawie zestawić pierwsze, z konieczności na razie bardzo ogólne, plany uroczystości. Cokolwiek by się jeszcze w nich zmieniło, Jack będzie musiał być mistrzem tej ponurej ceremonii i z tej racji musiał być na bieżąco informowany o postępach prac. To będzie pogrzeb tysiąca ludzi, których w większości nawet nie znał, na których ciała czekały teraz w napięciu rodziny.

— Katedra Narodowa? — przeczytał, przewracając stronę. Dalej zestawiono przybliżone dane na temat wyznania poległych, na podstawie których kler różnych wyznań podzieli pomiędzy siebie zadania w czasie ekumenicznej mszy.

— Tak, panie prezydencie. To tam zwykle odprawia się takie uroczystości — potwierdziła szefowa protokołu, podnosząc podkrążone z niewyspania oczy na prezyden-

ta. — Nie starczy tam miejsca na wszystkie trumny — ciągnęła, nie dodając nawet, że jeden z jej współpracowników zaproponował mszę na otwartej przestrzeni, przeniesienie całej uroczystości na stadion RFK. — Wewnątrz zmieszczą się trumny prezydenta, Pierwszej Damy i reprezentatywnej grupy z obu izb Kongresu. Skontaktowaliśmy się z rządami jedenastu państw, których przedstawiciele zginęli na galerii korpusu dyplomatycznego. Otrzymaliśmy już też pierwszą wersję listy oficjalnych gości z zagranicy, którzy przyjadą na uroczystości. — Podała mu gęsto zadrukowane kartki.

Ryan przeleciał je wzrokiem. Ta lista oznaczała, że po pogrzebie odbędzie całą serię „nieformalnych” spotkań z głowami wielu państw, na których, równie „nieformalnie”, rozstrzygnie wiele spraw. Będzie potrzebował analizy ewentualnych spraw do omówienia z każdym z gości, a poza tym, niezależnie od wszystkiego, o co będzie mógł zapytać lub poprosić, każdy z nich będzie go próbował wybadać. Jack wiedział, jak to wygląda. Na całym świecie królowie, prezydenci, premierzy, a pewnie i paru satrapów, którzy jeszcze gdzieś rządzą ludźmi, siedzą w tej chwili nad wszelkimi dokumentami, jakie udało się wydostać ich wywiadom i starają się go rozgryźć, dowiedzieć się z nich, co to za jeden ten Ryan i czego można się po nim spodziewać. Przez chwilę zastanawiał

się, czy przypadkiem nie znają odpowiedzi na pytania, które sam sobie zadawał, ale po namyśle odrzucił taką możliwość. Ich analitycy wywiadu na pewno tańczą ten sam taniec siedmiu zasłon, co jego. Więc przylecą tu czeredą rządowych odrzutowców, po części by oddać hołd poległemu koledze po fachu, po części by rzucić okiem na jego następcę. Ich obecność wynikać będzie po części z potrzeb wewnętrznej polityki, a po części z tego, że wypada pojawiać się na takich uroczystościach. Wynikało z tego, że choć dla tysięcy osób bliskich tym, którzy zginęli tej strasznej nocy, będzie to wydarzenie bolesne i tragiczne, dla nich stanie się kolejną, mechanicznie odbytą czynnością, które składają się na bycie politykiem wielkiego formatu. Jackowi chciało się od tego wyć, ale cóż mógł na to poradzić? Zabici byli zabitymi i żaden ból tego świata nie przywróci ich do grona żywych. Przedstawienie musi toczyć się dalej.

— Niech Scott Adler też to przejrzy — poprosił. Ktoś musi określić, ile czasu trzeba poświęcić każdemu z licznych gości, a Ryan nie czuł się na siłach ustalać żadnego rankingu.

— Tak, panie prezydencie.

— Jakie przemowy będę musiał wygłosić?

— Nasi ludzie już nad tym pracują. Na jutro po południu powinny być gotowe streszczenia ważniejszych mów.

Ryan kiwnął głową i włożył plik papierów do przegródki z korespondencją wychodzącą. Po wyjściu szefowej protokołu, do gabinetu weszła sekretarka, niosąc kolejną porcję telegramów kondolencyjnych i rozkład zajęć na cały dzień, przygotowany bez konsultacji z nim. Już miał przeciw temu zaprotestować, ale zanim zdążył otworzyć usta, sekretarka powiedziała:

— Otrzymaliśmy także ponad dziesięć tysięcy telegramów i wiadomości pocztą elektroniczną od obywateli.

— Aha. I co piszą?

— Głównie, że modlą się za pana.

— O? — Ta wiadomość trochę go zaskoczyła. Ale czy Najwyższy zechce wysłuchać ich modłów? Powrócił do czytania oficjalnych depech i pierwszy dzień prezydentury potoczył się według planu.

* * *

W czasie gdy prezydent poznawał uroki swej nowej pracy, życie w kraju toczyło się w zwolnionym tempie. Banki i giełdy pozostawały nieczynne, szkoły zamknięto, w wielu firmach pracownicy dostali dzień wolny. Wszystkie sieci telewizyjne przeniosły swe studia do Waszyngtonu, wianuszek kamerzystów otaczał wciąż rumowisko na Kapitolu, przekazując na żywo kolejne etapy operacji ratowniczej. Ramówki telewizyjne trafił szlag, reporterzy musieli zapełnić gadaniem całe godziny obecności na antenie i komentowali, jak umieli, to co ich kamery przekazywały widzom w całym kraju. Około jedenastej dźwig uniósł resztki ogona *Jumbo Jeta* i złożył je na wielkiej platformie, którą odholowano do hangaru w bazie Andrews, gdzie zająć się nim miał zespół dochodzeniowy. Wkrótce potem z rumowiska wywieziono w tym samym kierunku dwa z czterech silników maszyny, które, podobnie jak ogon, kamerzyści odprowadzali aż do bramy bazy lotniczej, za którą nie wpuścili ich żandarmi.

Reporterom dzielnie towarzyszyli w wypełnianiu cizy w eterze przeróżnej maści samozwańcy eksperci, spekulujący jak mogło dojść do takiej katastrofy i jaki był jej

prawdziwy przebieg. To było najtrudniejsze, bo przecieków, jak nigdy, praktycznie nie było, ale radzili sobie dzielnie, wymyślając najdziwsze teorie. Dziennikarze nie odstępowali ekip przemierzających rumowisko wzdłuż i w poprzek, ale ich członkowie byli zbyt zajęci, by cokolwiek im powiedzieć, do kamery, czy tylko na ucho. Żaden z reporterów się do tego nie przyznawał, ale jak na razie najobfitszym źródłem informacji było samo rumowisko, w które wycelowano obiektywy trzydziestu czterech kamer. Przepytowano świadków i wyznaczano nagrody, ale jak dotąd nie znalazła się ani jedna taśma wideo pokazująca upadek samolotu i eksplozję, co w Waszyngtonie samo w sobie było już zadziwiające. Na ogonie, póki sterczał z rumowiska, widoczne były znaki rejestracyjne i wielu reporterów zawracało głowę federalnym władzom lotniczym, żądając potwierdzenia ich autentyczności. Szybko potwierdzono także autentyczność znaków właściciela samolotu, Japońskich Linii Lotniczych. Kolejnym daniem wszystkich sieci telewizyjnych była pełna historia maszyny od opuszczenia hali produkcyjnej Boeinga w Seattle po wieczór poprzedniego dnia. Reporterzy przesłuchiwali przed kamerą przedstawicieli producenta, którzy powiedzieli jednak niewiele ponad to, że 747-400 waży na pusto dwieście ton i zabiera w powietrze drugie tyle paliwa, bagażu i pasa-

żerów. Pilot United Airlines, który znał ten typ maszyny, wyjaśnił w dwóch sieciach, w jaki sposób samolot mógł dotrzeć nad Waszyngton, a dwie inne sieci uzyskały te same wiadomości od jego kolegi z Delty. Obaj zresztą mylili się w paru mało istotnych zagadnieniach.

— Ale przecież Tajna Służba ma rakiety przeciwlotnicze, prawda? — zapytał jeden z dziennikarzy w studiu.

— Proszę pana — odpowiedział po chwili nieco zaskoczony tym zdaniem pilot, z miną wyraźnie zdradzającą jego opinię na temat poziomu umysłowego rozmówcy — czy wierzy pan, że przestrzelenie jednej opony w jadącej z góry z prędkością stu kilometrów na godzinę osiemnastotonowej ciężarówce naprawdę jest ją w stanie zatrzymać? Proszę pana, trzysta ton spadających w dół z całą mocą silników nie zatrzymuje się ot, tak, w miejscu.

— Tak więc nie było sposobu na to, żeby powstrzymać ten zamach? — zapytał raz jeszcze dziennikarz.

— Nie, nie było. — Pilot całkowicie zdawał sobie sprawę z faktu, że reporter dalej nic z tego nie rozumiał, ale nie przychodziło mu do głowy żadne, bardziej przystępne wyjaśnienie.

Realizator, siedzący przed pulpitem w biurach sieci na Nebraska Avenue, przełączył obraz na inną kamerę, pokazującą dwóch gwardzistów znoszących kolejne zwłoki ze stopni Kapitolu. Obok jego asystent siedział nad monitorem pokazującym obraz z tej kamery i zaznaczał kolejnymi kreskami na kartce liczbę worków zniesionych do samochodów. Wiedziano już o tym, że ciała prezydenta i Pierwszej Damy zostały odnalezione i przewiezione do szpitala Waltera Reeda na autopsję, jak wymagają tego przepisy w przypadku każdego gwałtownego zgonu. W siedzibie stacji w Nowym Jorku przeglądano wszystkie materiały dotyczące prezydenta, wybierając sekwencje do puszczenia w trakcie przygotowań do pogrzebu. Reporterzy rozjechali się po kraju, wyszukując i odpytując każdego, kto miał z nim kiedykolwiek do czynienia. Psychologowie udzielali wywiadów o tym, jak powinny sobie poradzić ze stresem dzieci Durlingów, a także jakie długotrwałe następstwa dla całego społeczeństwa będzie miał zamach i jak ludzie powinni sobie z tym radzić. Na razie pozostawiono na uboczu wątki wyznaniowe. To,

że wielu z zabitych wierzyło w Boga i czasem nawet chodziło do kościoła, nie wydawało się warte czasu antenowego, z wyjątkiem jednej stacji, która poświęciła całe trzy minuty na pokazanie ludzi modlących się w świątyniach w całej Ameryce.

* * *

I wszystko zaczęło się sprowadzać do liczb, pomyślał Jack. Liczby się zmieniały, ale indywidualna rozpacz i cierpienia, dodane do sumy pozostałych rozpacz i cierpień, nie robiły już na nikim wrażenia. Ta rozpacz i to cierpienie nie różniły się niczym od innych. Udawało mu się od nich uciekać przez cały dzień, ale w końcu miał już dosyć własnego tchórzostwa.

Dzieci Durlingów były jakby zawieszane pomiędzy pełnym otępienia odrzuceniem świadomości tego, co się zdarzyło, a przerażającym poczuciem tego, że cały świat rozpadł się nagle na ich oczach, że oto widziały to w telewizji, na żywo i z efektami dźwiękowymi. Już nigdy nie zobaczą mamy i taty. Ciała były zbyt zdeformowane, by można je było wystawić na widok publiczny. Nie będzie ostatnich słów, żadnych pożegnań, nic

nie złagodzi bólu wyrwania im spod stóp tego, na czym opierało się całe ich dotychczasowe życie.

Członkowie rodziny napływali do Waszyngtonu, większość z nich przybywała samolotami Sił Powietrznych z Kalifornii. Byli wstrząśnięci nie mniej od dzieci, ale w ich obecności starali się ze wszystkich sił tego nie okazywać i pomóc przejść przez to dzieciakom. W ten sposób sami mogli się czymś zająć i oderwać od rozmyślań. Agenci Tajnej Służby, przydzieleni do ochrony Jałowca i Juniora, przechodzili to chyba najgorzej. Szkolono ich do ochrony „pryncypała”, w tym przypadku dzieci prezydenta, przed każdym możliwym przeciwnikiem i w pełnej gotowości do poświęcenia za nich życia. Żaden, ani żadna z nich (kobiety stanowiły ponad połowę tego zespołu) nie zawahaliby się przed tym ani sekundy, ale w takiej sytuacji byli kompletnie bezbronni i bezradni. Agenci tego oddziału byli bardzo zżyci z dziećmi, bawili się z nimi, kupowali im prezenty na święta i urodziny, pomagali w odrabianiu lekcji i bardzo ciężko przeżywali ich ból. Ryan patrzył na ich twarze i postanowił zapytać Andreę, czy Służba nie mogłaby im przydzielić jakiegoś psychologa, który pomógłby im się z tym uporać.

— Nie, nie bolało ich — odpowiedział na pytanie, siadając, by dzieci nie musiały podnosić na niego wzroku. — Wcale ich nie bolało.

— To dobrze — odparł Mark Durling. Dzieci były ubrane bez zarzutu, pewnie któryś z krewnych uznał, że to ważne, by spotkały się z następcą ich taty odświętnie ubrane. Do ucha Jacka doleciało głębokie westchnienie i gdy podążył za nim wzrokiem zobaczył agenta wyraźnie na granicy załamania. Andrea wzięła go pod ramię i poprowadziła do drzwi, zanim dzieci cokolwiek zauważyły.

— Zostaniemy tutaj?

— Tak — zapewnił chłopca Jack. To było kłamstwo, ale nie z gatunku tych, które ranią. — A gdybyś potrzebował czegoś, czegokolwiek, możesz zawsze przyjść do mnie i powiedzieć. Okej?

Chłopiec kiwnął głową, starając się zachować odpowiednio do swej roli. Ryan uściśnął mu dłoń, traktując jak kogoś znacznie starszego i doceniając ciężar, jaki spadł na niego wraz z przedwczesną dorosłością. Dzieciakowi pewnie chciało się płakać, ale krępował się jego obecnością.

Jack wyszedł do holu na piętrze z sypialniami. Agent wyprowadzony przez Andreeę, wysoki, potężnie zbudowany Murzyn, szlochał parę metrów dalej. Ryan podszedł do niego.

— Wszystko w porządku?

— Gównno tam w porządku. . . Przepraszam, znaczy. . . Cholera! — agent kręcił głową, wstydząc się swego wybuchu. Jego ojciec zginął przed laty w wypadku lotniczym w Fort Rucker, kiedy przyszedł agent specjalny Tony Wills miał zaledwie dwanaście lat. Price wiedziała, że był bardzo zżyty z dziećmi. W takich chwilach siła często zmienia się w słabość.

— Nie przepraszaaj za ludzkie odruchy. Ja też straciłem oboje rodziców w katastrofie lotniczej na Midway Airport — mówił Ryan, a w jego głosie wyczuć można było zmęczenie po dniu pełnym napięcia. — Ich *Boeing 737* zagubił się w śnieżycy i spadł przed pasem startowym. Jedyna różnica, że ja już byłem wtedy dorosły.

— Wiem, panie prezydencie. — Agent wyprostował się, złapał oddech i przetarł oczy. — Już mi lepiej.

Ryan poklepał go po ramieniu i ruszył ku oknom.

— Zabierajmy się stąd w cholere — rzucił półgłosem Andrei. Suburban ruszył na północ, skręcił w lewo na Massachusetts Avenue, która doprowadziła ich do Obserwatorium Marynarki i siedziby wiceprezydentów, przypominającej przerośniętą stodołę z piernika w stylu wiktoriańskim. Na straży stała piechota morska, oddająca honory wjeżdżającej kolumnie. Jack wysiadł i przeszedł do drzwi domu. W wejściu stała Cathy i wystarczyło jej tylko jedno spojrzenie, by odgadnąć nastrój męża.

— Ciężko było? — spytała.

Jack zdobył się jedynie na skiniecie głową. Przytulił ją do siebie, czując napływające do oczu łzy. Kącikiem dostrzegł agentów stojących pod ścianami i zdał sobie sprawę z tego, że będzie musiał przywyknąć do tego, że będą tam stali jak kamienne pomniki i będą świadkami każdej, nawet najbardziej intymnej chwili jego życia.

Nienawidzę tej roboty, powiedział sobie w duchu.

* * *

W odróżnieniu od Ryana, generał brygady Marion Diggs uwielbiał swoje zajęcie. Nie wszyscy pograżyli się w rozpacz. Koszary piechoty morskiej w Waszyngtonie,

a w ślad za nimi personel bazy piechoty morskiej w Quantico w stanie Wirginia i w końcu cała reszta formacji, pracowały na najwyższych obrotach. Tym ludziom nie pozwolano spać — a w każdym razie nie wszystkim na raz. Jedną z takich jednostek, gdzie praca toczyła się na okrągło, był Fort Irwin na pustyni Mojave w Kalifornii. W ciągu ostatnich piętnastu lat mały ośrodek poligonowy rozwinął się do rozmiarów przewyższających cały stan Rhode Island. Krajobraz był tu na tyle ubogi, że nawet ekolodzy musieli się nieźle natrudzić, by znaleźć tu jakieś przejawy życia poza kolczastymi krzewami. Po paru piwach można byłoby od nich usłyszeć, że chyba na Księżycu okolica jest bardziej interesująca niż tu. Co nie zmienia faktu, że nie ułatwiali życia żołnierzom, pomyślał generał rozglądając się przez lornetkę. Znaleźli tu jakiś specyficzny gatunek żółwia pustynnego, który podobno czymś tam się różnił od zwykłego żółwia pustynnego i którego żołnierze mieli chronić. Ponieważ ekologia była teraz bardzo modna, jego ludzie co jakiś czas zbierali wszelkie żółwie, jakie znaleźli i wywozili na specjalnie ogrodzony teren o takiej powierzchni, że cholerne gady pewnie przez całe życie nie zdawały sobie sprawy z obecności płotu. Rejon ten znany był miejscowym jako największy na świecie burdel dla żółwi. Pozostałe przejawy życia, o ile istniały, dawały

sobie radę na własną rękę i to na tyle dobrze, że nikt ich nie widział. No, może czasem jakiś kojot pojawił się na horyzoncie — ale to już wszystko. Zresztą kojoty nie były gatunkiem zagrożonym.

W odróżnieniu od gości. Fort Irwin był siedzibą Narodowego Ośrodka Szkoleniowego sił lądowych, a jego załogę stanowiła jednostka znana pod nazwą OpFor — Opposing Force, a więc „siły przeciwnika”. Pierwotnie składająca się z dwóch batalionów, pancernego i piechoty zmechanizowanej, OpFor wkrótce przyjęła nazwę 32. pułku piechoty zmotoryzowanej Gwardii. Ta, nieco dziwna jak na amerykańską jednostkę wojskową nazwa wzięła się stąd, że jej organizacja i taktyka działania oparte były ściśle na regulaminach Armii Radzieckiej, do spotkania z którą, walki na równinach Europy i ostatecznego zwycięstwa przygotowywał od swego uruchomienia w 1980 roku ośrodek Fort Irwin. Żołnierze 32. pułku Gwardii nosili wzorowane na radzieckich mundurach, jeździli radzieckim sprzętem (początkowo, gdy utrzymanie w sprawności obcego sprzętu było trudne, były to tylko makiety przyspawane do pojazdów amerykańskich), kierowali się radzieckimi założeniami taktycznymi i mieli mnóstwo zabawy pogrążając dumne, elitarne jednostki, chcące równać się z nimi na ich terenie. Zabawa nie była tak

do końca fair. Żołnierze OpFor mieszkali tu, szkolili się i po jakimś czasie znali każdy kamień poligonu, a zmieniające się czternaście razy do roku oddziały regularne trenujące w Fort Irwin trafiały tu raz na cztery lata. Ale kto powiedział, że wojna ma być prowadzona fair?

Po upadku ZSRR czasy się zmieniły, ale zadania ośrodka pozostały niezmienione. OpFor rozrosła się do trzech batalionów, które zresztą nazywano teraz szwadronami, jako że 32. pułk Gwardii stał się tymczasem 11. pułkiem kawalerii pancernej, przejmując tradycje jednostki słynnej z walk z Indianami. W tym kontekście ich pochodzący z lat zimnej wojny kryptonim „Czerwoni” nabierał specyficznego znaczenia.

Generał porucznik Gienadij Josefowicz Bondarienko wiedział o tym wszystkim, może z wyjątkiem „żółwego burdelu”, bo akurat o tym na odprawie przed wyjazdem nie wspomniano, ale i tak bardzo mu się tu podobało.

— Pan, zdaje się, zaczynał w wojskach łączności? — zapytał Diggs. Poprawił jakąś fałdę na swoich „pieguskach”, jak od wzoru kamuflażu nazywano pustynne mundury maskujące i starał się ukryć to, że, podobnie, jak jego gość, wiedział to z materiałów przekazanych na odprawie wywiadu.

— Zgadza się — skinął głową Bondarienko. — Ale zawsze lubiłem szukać kłopotów. Pierwszy raz to było w Afganistanie, kiedy mudżahedini, myśmy ich nazywali duszmanami, wybrali się na rajd za naszą granicę. Zaatakowali ośrodek naukowo-badawczy, który akurat wizytowałem. Dzielni ludzie, ale kiepsko dowodzeni, więc udało nam się odeprzeć ich atak. — Rosjanin opowiadał zwięźle i monotonnie, jakby ta opowieść dotyczyła kogo innego. Diggs zauważył na piersi baretki odznaczeń, które jego gość otrzymał za tę przygodę. On także nie wypadł sroce spod ogona. Dowodził na początku szwadronem kawalerii, który siedł w szpicie 24. pułku piechoty zmechanizowanej Barry’ego McCaffrey’a i poprowadził daleko w głąb pozycji irackich zagon na lewym skrzydle amerykańskiego sektora operacyjnego w czasie operacji Pustynna Burza. Potem dowodził słynnymi „Bizonami”, 10. pułkiem kawalerii pancernej, który nadal stacjonował na pustyni Negew w Izraelu, w ramach amerykańskich sił pokojowych na Bliskim Wschodzie. Obaj mieli po czterdzieści dziewięć lat, obaj wachali proch i obaj szli w górę jak balon.

— Macie taki teren gdzieś tam u was? — zapytał gospodarz.

— Mamy każdy teren, jaki sobie jesteście w stanie wyobrazić. To sprawia, że ćwiczenia stają się wyzwaniem, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. O — kiwnął ręką Bondarienko — ruszyło się!

Pierwsza grupa czołgów zjeżdżała w dół szerokiej kotliny o okrągłym dnie, zwanej Doliną Śmierci. Słońce zachodziło za brązowymi górami i szybko zapadała ciemność. Wokół czołgów uwijały się *Hummvie* rozjemców, bogów Narodowego Ośrodka Szkoleniowego, którzy mieli oko na wszystko i na wszystkich, śledząc każdy krok i oceniając go na bieżąco. NOS był najbardziej interesującą szkołą na świecie. Obaj generałowie mogli wprawdzie obserwować bitwę z siedziby dowództwa szkoły, zwanej Salą Gwiazdnych Wojen, ale woleli zobaczyć ją na własne oczy. Każdy z pojazdów został wyposażony w nadajnik, dzięki któremu jego pozycja pokazywana była na ekranach pokrywających ściany Sali Gwiazdnych Wojen. Pokazywały one gdzie pojazd się znajduje, w którym kierunku się porusza, z jaką prędkością, a kiedy dochodziło do starcia, także gdzie, kiedy i z jakim skutkiem strzela. Opierając się na tych danych, komputer NOS wysyłał załogom sygnały, powiadamiając je, że właśnie zginęły, ale nie wyjaśniając, jak do tego doszło. Od tego byli rozjemcy. Generałowie nie chcieli oglądać tego

wszystkiego na ekranach. Diggs widział to już zbyt wiele razy, a Bondarienko miał od tego młodszych oficerów. Chcieli sami poczuć w nozdrzach raz jeszcze zapach pola bitwy.

— To wasze wyposażenie techniczne wygląda jak w powieści fantastyczno-naukowej.

Diggs wzruszył ramionami.

— E, tam. Od piętnastu lat niewiele się tu zmieniło, no, może teraz mamy trochę więcej kamer na wzgórzach. — Diggsowi z trudem przychodziło zaakceptować fakt, że wkrótce wiele z tego sprzętu sprzedadzą Rosjanom. Mimo że był za młody na Wietnam, należał do pierwszego pokolenia generałów, którzy nie mieli za sobą tego doświadczenia, dorastał w czasach, w których wszyscy szkolili się do walki z Rosjanami w Europie, do której, jak się wszystkim zdawało, wcześniej, czy później musi dojść. Całe swoje zawodowe życie był oficerem kawalerii pancerniej, jego przeznaczeniem było pójść w szpicie ataku na czele pułku pierwszego rzutu — w rzeczywistości wzmocnionej brygady. Kilka razy był pewien, że tym razem to naprawdę i że za kilka dni przyjdzie mu

zginać gdzieś pod Fuldą, walcząc z kimś takim jak jego dzisiejszy rozmówca, z którym wczoraj pił piwo, opowiadając pieprzne historyjki o rozmnażaniu zółwi.

— Do przodu — powiedział Bondarienko z szelmowskim uśmiechem, jakby czytając w jego myślach. Diggsowi zdawało się, że Ruscy to napuszone ponuraki, ale cały przebieg wizyty temu przeczył. Generał odczekał dziesięć sekund i odparł:

— Do tyłu.

Po kolejnych dziesięciu sekundach tym razem Diggs zaczął:

— Do przodu.

Obaj generałowie roześmieli się. Za pierwszym razem Bondarienko nie od razu pojął sens tego dialogu, który był dyżurnym żartem bazy. Kiedy wreszcie po pół minuty doszło to do niego, wybuchnął śmiechem tak, że aż go brzuch rozboleł.

— Tak się powinno prowadzić wojny — wystękał wreszcie, gdy się pozbierał.

— Zaczynają się schody. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

— Hej, to nasza taktyka — zauważył Bondarienko, patrząc przez lornetkę na szyk, formowany przez szpicę atakującej jednostki.

— A czemu nie? W Iraku sprawdziła się doskonale — odparł Diggs, odwracając się ku Rosjaninowi.

Tej pierwszej nocy turnusu szkoleniowego miało dojść do ciężkich walk. Siły Czerwonych miały zaatakować Niebieskich i znieść ich oddziały rozpoznawcze. Niebieskimi była tym razem brygada 5. Dywizji Zmechanizowanej, która miała przejść do obrony, reagując najlepiej jak potrafiła na ten atak. 11. pułk symulował natarcie siłami dywizji na nowo przybyłe oddziały luzujące obrońców odcinka. Z doświadczeń wynikało, że takie pędzenie kota już od pierwszej chwili to najlepszy sposób na zapoznanie żołnierzy z pustynią.

— Ruszajmy stąd. — Diggs i Bondarienko wsiedli do *Hummvie* i pojechali na wzgórze zwane Żelaznym Trójkątem. Tam dotarła do nich krótka wiadomość radiowa od starszego rozjemcy, która wyraźnie wzburzyła Diggsa.

— Jasna cholera! — mruknął pod nosem.

— Coś się stało?

Diggs podniósł mapę.

— To wzgórze jest najważniejszym punktem na całej tej pieprzonej pustyni, a te oferty w ogóle go nie zauważyły. To drobne przeoczenie będzie ich drogo kosztować. No cóż, to się zdarza — zakończył. Pojazdy zwiadowcze 11. pułku właśnie zaczęły zajmować wzgórze.

* * *

— Dlaczego wygłosił takie krótkie przemówienie? Dlaczego tak rzadko pokazuje się publicznie?

Szef wywiadu mógł w odpowiedzi powiedzieć wiele. Prezydent Ryan bez wątpienia miał pełne ręce roboty. Tyle było do zrobienia. Cały system administracji tego kraju był w strzępach i zanim przyjdzie czas na przemawianie, trzeba te strzępy poskładać. Miał na głowie organizację pogrzebu. Musiał rozmawiać z przedstawicielami zagranicznych rządów, by zapewnić ich, że polityka zagraniczna USA pozostaje niezmienna. Do wszystkiego dochodziła jeszcze kwestia bezpieczeństwa jego własnej osoby. To wszystko prawda, ale nie to chciał usłyszeć jego przełożony.

— Wzięliśmy tego Ryana pod lupę — powiedział. Materiału było sporo, głównie z artykułów prasowych, przefaksowanych przez ich przedstawicielstwo przy ONZ. — Do tej pory w ogóle mało występował publicznie, a i wtedy raczej po to, żeby przekazać poglądy swoich zwierzchników. To oficer wywiadu, w dodatku analityk, człowiek z tylnych rzędów. Dobry fachowiec, ale żadna gwiazda.

— Skoro tak, to dlaczego Durling pozwolił mu zajść tak wysoko?

— Amerykańskie gazety też się nad tym wczoraj zastanawiały. Ich konstytucja wymaga, by stanowisko wiceprezydenta było stale obsadzone. Skoro poprzedni wiceprezydent złożył dymisję, Durling potrzebował kogoś, kto jednocześnie wzmocniłby jego zespół zajmujący się stosunkami międzynarodowymi. Ryan ma w tym zakresie trochę doświadczenia. No i nieźle sobie radził w czasie konfliktu z Japonią.

— Czyli to raczej typ asystenta niż przywódcy?

— Zgadza się. Nigdy nie ubiegał się o wysokie urzędy. Z naszych informacji wynika, że zgodził się na objęcie stanowiska wiceprezydenta wyłącznie w charakterze tymczasowego zastępcy, na ten niecały rok, który pozostał Durlingowi do wyborów.

— To mnie nie dziwi — podsumował Darjaei. Spojrzał raz jeszcze w notatki. Asystent wiceadmirała Greera, zastępcy dyrektora CIA do spraw wywiadu. Przez krótki czas pełniący obowiązki zastępcy. Potem wicedyrektor CIA, następnie doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i w końcu czasowo pełniący obowiązki wiceprezydenta. A więc jego opinia o Ryanie była słuszna od samego początku: to typ wykonawcy cudzych rozkazów. Utalentowany i fachowiec, jak wielu z jego własnych sekretarzy i asystentów, ale niezdolny do samodzielnego kierowania państwem. A więc nie jest godnym przeciwnikiem. To dobrze. — Coś jeszcze?

— Jako były pracownik CIA jest doskonałym znawcą stosunków międzynarodowych. To chyba najlepszy fachowiec od tych zagadnień, jakiego Ameryka miała na tak wysokim stanowisku od lat. Z drugiej strony, osiągnął to kosztem niemal kompletnej nieznajomości sytuacji wewnętrznej kraju. — Szef wywiadu pokrótce zrelacjonował artykuł z „New York Timesa”.

— Ciekawe. — Twarz ajatollaha pojaśniała. Ostatnia informacja spowodowała, że rozpoczęło się planowanie tego, co do tej pory było tylko niejasnym projektem. Ten stan rzeczy miał się wkrótce zmienić.

* * *

— No to jak wam idzie w waszej armii? — zapytał Diggs. Obaj generałowie stali samotnie na szczycie dominującego nad terenem wzniesienia, śledząc przez noktowizory rozwój bitwy, toczącej się na poligonie u ich stóp. Jak było do przewidzenia, Czerwoni roznieśli w pył szpicę i straż przednią Niebieskich, oskrzydłili ich od lewej i właśnie przetaczali się przez stanowiska sił głównych. Na pustyni pobłyskiwało coraz więcej żółtych błyskających światełek, oznaczających zniszczone pojazdy.

— Paskudnie — odparł Bondarienko. — Musimy odbudować wszystko od samego początku.

— I dlatego tu przyjechaliście? — Diggs odwrócił się ku swojemu gościowi. Całe szczęście, pomyślał, że przynajmniej nie macie kłopotów z narkotykami. Aż za dobrze pamiętał czasy, w których jako młody podporucznik obawiał się wchodzić do koszar bez pistoletu. Gdyby Rosjanie zaatakowali wtedy, w początkach lat siedemdziesiątych. . . — Naprawdę chcecie wprowadzić u siebie nasz system?

— Może. — Jedynym błędem, jaki popełnili Amerykanie organizując OpFor było założenie, że Armia Radziecka pozwala dowódcom niższych szczebli na elastyczne reagowanie i inicjatywę taktyczną. W rzeczywistości nigdy jej nie tolerowano, ale gdyby było inaczej, to rezultaty połączenia inicjatywy taktycznej z doktryną wypracowaną w Akademii Woroszyłowa mogłyby się okazać opłakane dla NATO. Warto to zapamiętać na przyszłość. On sam zresztą często łamał zasady, gdy dochodziło do starcia, i może dlatego był trzygwiazdkowym generałem, nowo mianowanym szefem operacji Armii Rosyjskiej, a nie poległym na polu chwały pułkownikiem. — I tak wszystko będzie zależec od budżetu.

— Skąd ja to znam? — uśmiechnął się Diggs.

Bondarienko chciał zmniejszyć liczebność armii o połowę i zaoszczędzone w ten sposób pieniądze wydać na porządne szkolenie pozostałej połowy. Do jakich mogło to prowadzić rezultatów, widział u podnóży wzgórza. Armia Radziecka tradycyjnie polegała na masach ludzi i sprzętu rzucanych w pole, ale Amerykanie i tu, i w Iraku dowiedli, że na współczesnym polu walki liczy się głównie poziom wyszkolenia. Sprzęt

mieli dobry, zresztą zapozna się z nim dokładnie jutro, ale przede wszystkim zazdrościł Diggsowi ludzi.

— Panie generale — zsalutował nowo przybyły oficer — melduję, że jak zwykle puściliśmy ich bez gaci!

— To pułkownik Al Hamm — przedstawił przybysza Diggs Bondarience — dowódca 11. pułku. Jest tu już na drugiej turze. Poprzednio był szefem sztabu 32. pułku Gwardii. Lepiej nie grać z nim w karty — ostrzegł.

— Pan generał raczy przesadzać. Witamy na pustyni, panie generale. — Hamm wyciągnął wielką jak bochen dłoń w kierunku Bondarienki.

— Proszę przyjąć gratulacje z powodu wzorowo przeprowadzonego ataku — pochwalił Rosjanin.

— Dziękuję bardzo, sir. To zasługa moich podwładnych i niezdecydowania Niebieskich. Zaskoczyliśmy ich w trakcie przegrupowania — wyjaśnił Hamm.

Bondarienko doszedł do wniosku, że właściwie pułkownik mógłby spokojnie uchodzić za Rosjanina. Zwaliste, potężne chłopisko, z okrągłą, rumianą gębą, w której świeciły łobuzerskim błyskiem niebieskie oczy. Zresztą, pewnie na użytek gościa, ubrany był

w radziecki mundur z czasów 32. pułku Gwardii, łącznie z gwiazdą na klamrze pasa, którym ścisnął w pasie *gimnastiorkę*. Bondarienko wiedział, że to tylko przebieranka, ale docenił szacunek okazany mu przez Amerykanina.

— Miał pan rację, Diggs. Niebiescy powinni zrobić wszystko, żeby zająć najpierw to wzgórze. Ale wyznaczyliście im punkt wyjścia zbyt oddalony od niego, by na pierwszy rzut oka mogli docenić jego znaczenie.

— Taka to już uroda pola walki, towarzyszu generale — odpowiedział za swojego dowódcę Hamm. — Zwykle to pole walki wybiera uczestników bitwy, a nie odwrotnie. I tego przede wszystkim powinni się nauczyć chłopcy z 5. Zmechanizowanej. Jeżeli pozwolisz innym wybierać za ciebie miejsce i czas walki, to już po tobie.

5 — Przygotowania

Okazało się, że zarówno Sato, jak i drugi pilot oddawali krew dla rannych w czasie ostatniego konfliktu z Ameryką, ale w rezultacie niewielkich strat ponoszonych w walce, zapasy tej krwi nie zostały użyte. Próbkki zlokalizowane przez komputer japońskiego Czerwonego Krzyża zostały zajęte przez policję i wysłane samolotem kurierskim do Vancouver, jako że w następstwie zamachu żadnych japońskich samolotów nie wpuszczano do przestrzeni powietrznej USA. Stamtąd *VC-20* Sił Powietrznych zawiózł je wraz z kurierem, starszym już oficerem japońskiej policji, który miał teczkę z próbkami przykutą kajdankami do przegubu, do Waszyngtonu. Na lotnisku w bazie Andrews na

kuriera czekało trzech agentów FBI, którzy eskortowali go do Budynku Hoovera na rogu 10. Ulicy i Pennsylvania Avenue. Próbkę natychmiast przeniesiono do laboratorium testów DNA, gdzie przystąpiono do badań porównawczych z próbkami tkanek pobranymi z ciała członków załogi. Grupy krwi zgadzały się od razu, zresztą cała sprawa i tak wydawała się już rozwiązana, niemniej badania wykonywano z taką samą starannością, jakby chodziło o wyniki powodujące przełom w śledztwie. Dan Murray, pełniący obowiązki dyrektora Biura, nie był typem niewolnika regulaminu, ale waga sprawy była tak wielka, że regulamin stawał się niemal Pismem Świętym. Wraz z Murrayem nad sprawą pracowali Tony Caruso, który już wrócił ze swych niezbyt udanych wakacji i pracował bez wytchnienia prowadząc śledztwo oraz Pat O'Day, który wrócił do swej funkcji „straży pożarnej” FBI, oraz setki, jeśli nie tysiące innych pracowników FBI. Murray spotkał się z Japończykiem w sali konferencyjnej. Podobnie jak Ryan, Dan także jeszcze miał kłopoty z zajęciem gabinetu po tragicznie zmarłym przyjacielu.

— W tej chwili przeprowadzamy także nasze własne testy — powiedział starszy inspektor Jisaburo Tanaka, spoglądając na zegarek, a właściwie zegarki, jako że miał ich na przegubie dwa: jeden wskazujący czas tokijski, a drugi waszyngtoński. — Rezultaty

zostaną wysłane faksem natychmiast po ich dostarczeniu. — Ponownie otworzył dopiero co zamkniętą teczkę. — Oto grafik zajęć kapitana Sato z tygodnia poprzedzającego wypadek, stenogramy z przesłuchań członków rodziny i kolegów oraz jego życiorys.

— Szybka robota. Bardzo dziękujemy. — Murray wziął podane mu pliki papieru, niezbyt pewny, co ma teraz zrobić. Wyglądało na to, że gość ma jeszcze dużo do powiedzenia. Nigdy do tej pory nie widział Tanaki, ale fama znacznie go wyprzedziła. Japończyk był wytrawnym i zdolnym dochodzeniowcem, specjalistą od spraw korupcji polityków, dzięki czemu miał zawsze pełne ręce roboty. Zresztą wystarczyło spojrzeć na jego surową, nieco kromwelowską twarz, by się przekonać, że był właściwym człowiekiem do takiej pracy. Lata grzebania się w brudach zaplecza błyszczącego świata polityki uczyniły z niego niemal mnicha, ale raczej w typie Savonaroli, niż Świętego Franciszka.

— Może pan liczyć na pełną współpracę z naszej strony. Zostałem upoważniony do przekazania panu, że gdyby pana agencja wyraziła życzenie wysłania swego przedstawiciela do nadzorowania prac dochodzeniowych w naszym kraju, powitamy go z całą

życzliwością. — Przerwał na parę sekund, opuszczając wzrok. — Ta sprawa przynosi ujmę mojemu krajowi. Jak ci dwaj złoczyńcy śmieli wykorzystać nas wszystkich?

Jak na przedstawiciela narodu słynącego z powściągliwości, Tanaka był zaskoczeniem dla Murraya. Jego ciemne oczy płonęły gniewem, ręce zacisnął w pięści tak, że aż mu pobiełały kostki. Z okien sali konferencyjnej obaj doskonale widzieli rozświetlone nadal reflektorami ekip ratowniczych rumowisko Kapitolu na przeciwległym końcu Pennsylvania Avenue.

— Drugi pilot został zamordowany — powiedział Murray. Może to chociaż trochę ulży Japończykowi?

— Zamordowany?

Dan kiwnął głową.

— Tak. Pchnięty nożem w serce. Wiele wskazuje na to, że doszło do tego zanim samolot oderwał się od ziemi. Wygląda więc na to, że Sato działał sam, przynajmniej jeśli chodzi o samą fazę wykonawczą zamachu. — Laboratorium ustaliło, że narzędziem mordu był wąski, piłkowany nóż, typu używanego do cięcia steków w klasie biz-

nes dobrych linii lotniczych. Możliwości laboratorium nigdy nie przestawały zadziwiać Murraya, choć już od tylu lat korzystał z nich w swej pracy.

— Rozumiem. No tak, teraz to ma sens — powiedział w zamyśleniu Tanaka. — Widać pan, żona drugiego pilota jest w ciąży, mieli mieć bliźnięta. Przebywa teraz w szpitalu, pod stałą obserwacją lekarską. Nie mogliśmy dojść, co mogło go popchnąć do uczestnictwa w czymś takim, był przecież oddanym, kochającym mężem i człowiekiem, który nie interesował się polityką. Ta informacja zupełnie zmienia postać rzeczy.

— A czy Sato miał jakieś powiązania z... ?

Tanaka energicznie pokręcił głową.

— Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Tyle że wioził na Saipan jednego ze spiskowców i po drodze rozmawiali na różne tematy. Poza tym, Sato był pilotem na liniach międzynarodowych, kontaktował się przede wszystkim ze swymi kolegami z pracy, spośród nich wywodzili się wszyscy jego przyjaciele. Żył spokojnie w małym domku niedaleko lotniska Narita. Natomiast jego brat był wysokim oficerem Morskich Sił Samoobrony, syn zaś pilotem myśliwskim. Obaj polegli w czasie ostatniego konfliktu.

Murray już o tym wiedział. Tak więc Sato miał motyw i sposobność. Zanotował na boku, żeby polecić przedstawicielowi FBI w Tokio skorzystać z oferty nadzoru nad japońską częścią śledztwa, ale potrzebował do tego aprobaty Departamentów Sprawiedliwości i Stanu. Oferta wyglądała na szczerą, co znacznie mogło ułatwić sprawę.

* * *

— No, taki ruch to mi się podoba — mruknął Chavez. Jechali autostradą I-95 koło Springfield Mall. Normalnie o tej porze, chociaż na dworze było jeszcze ciemno, staliby pewnie w korku, bo autostrada byłaby wypełniona po brzegi samochodami urzędników i lobbystów śpieszących do stolicy. Ale nie dzisiaj. Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, kto jest ważniejszy dla bezpieczeństwa narodowego, oni czy ci, których tu dziś nie było, poranne wezwanie do Waszyngtonu rozwiewało je całkowicie.

Clark nie odezwał się, więc młodszy z pasażerów zadał pytanie:

— Ciekawe, jak sobie radzi Ryan jako prezydent?

Tym razem Clark zareagował: wzruszył ramionami.

— Zwija się pewnie jak w ukropie. Lepiej, że to na niego trafiło, niż na mnie.

— Tak jest, panie C. Moi kumple z uniwerka będą mieli uciechę.

— Tak myślisz?

— John, on będzie musiał odbudować od podstaw cały mechanizm władzy państwowej. To będzie tak, jakbyś wprowadzał w życie sytuację możliwą tylko w podręczniku. Nikt tego jeszcze nie robił, bracie. Wiesz czego się przy okazji można dowiedzieć?

— Aha. — Clark kiwnął głową. — Można będzie sprawdzić, czy system w ogóle działa. — Raz jeszcze pomyślał, że lepiej, że to padło na kogo innego. Ich wzywano w innej sprawie. Mieli złożyć raport z przebiegu ich japońskiej operacji. Na tym też można się było nieźle przejechać. Clark był w tej branży długo, ale nie na tyle długo, żeby polubić te spowiedzi. Znowu musieli kogoś zabić, a nie jest łatwo opowiadać takie rzeczy z detalami komuś, kto nigdy w życiu nie trzymał w ręku broni, a już na pewno nie musiał jej użyć. Tajemnice, nie tajemnice, przysięgi, nie przysięgi, zawsze mogło się zdarzyć, że któryś z nich się wygada i wtedy będzie co najmniej smród w prasie. No i jeszcze możliwość wezwania na przesłuchania przed komisją kongresową i konieczność odpowiadania na pytania dupków, którzy wiedzieli o życiu jeszcze mniej niż urzędaszy z Firmy, które z za biurka decydują o życiu i śmierci ludzi w terenie, nadsta-

wiających za nich tyłek. To akurat przez jakiś czas im raczej nie grozi, poprawił się w myślach. A potem? W najgorszym razie mogło się to skończyć sprawą sądową, bo to co robili nie było wprawdzie całkiem nielegalne, ale całkiem legalne też nie było. Tak się jakoś złożyło, że ani konstytucja, ani inne ustawy nie miały wiele wspólnego z tym, co czasem robił rząd, ale nikt nie ośmielił się tego powiedzieć na forum publicznym. Jego poglądy na to, czego czasem wymaga sytuacja taktyczna, mogły się okazać dla wielu szokujące, ale dzięki temu miał czyste sumienie. Zresztą Ryan zdawał się go rozumieć, a to już było dużo.

* * *

— No i co tam nowego słyszać? — zapytał Ryan.

— Oczekujemy, że operacja wydobywania zwłok z ruin Kapitolu zostanie zakończona dziś wieczorem, panie prezydencie — odparł Patrick O'Day, kończąc sprawozdanie FBI. Usprawiedliwił przy tym Murraya, który nie mógł przybyć na poranną odprawę z powodu nawału obowiązków. Inspektor podał teczkę z listą zidentyfikowanych

do tej pory ciała. Prezydent przekartkował ją pobieżnie. Boże, pomyślał, jak po czymś takim zdołam cokolwiek zjeść na śniadanie? Na razie wypił tylko filiżankę kawy.

— Coś jeszcze?

— Części układanki coraz lepiej zaczynają do siebie pasować. Odnaleźliśmy ciało, należące, jak się wydaje, do drugiego pilota. Człowiek ten został zamordowany na kilka godzin przed upadkiem samolotu, co wskazywałoby na to, że zamachowiec działał jednak samotnie. W tej chwili trwają badania kodu DNA mające na celu identyfikację zwłok pilotów. — Inspektor przewrócił kilka kartek. — Wyniki testów na obecność alkoholu lub innych narkotyków są negatywne. Dane z analizy zapisu rejestratora pokładowego, nagrania rozmów prowadzonych przez pilota z ziemią, zapisy radarów i wszystko, co do tej pory zebraliśmy wskazuje na to, że była to akcja przeprowadzona przez jednego człowieka. W tej chwili Dan konferuje z wysokim rangą przedstawicielem policji japońskiej.

— Jakie przewidujecie następne kroki?

— Prowadzimy śledztwo ściśle według wymagań procedury. Odtwarzamy w tej chwili każdy krok Sato, tak się nazywał kapitan samolotu, w ciągu ostatniego miesiąca.

Rozmowy telefoniczne, wyjazdy, kontakty, krewni i przyjaciele, poszukujemy pamiętnika, jeżeli jakiś prowadził, wszystko... Chcemy stworzyć jak najwierniejszy portret tego faceta i sprawdzić, czy nie brał udziału w jakimś spisku. To trochę potrwa i będzie kosztować mnóstwo wysiłku.

— A jaka jest robocza hipoteza?

— Uważamy, że była to samodzielna akcja jednego człowieka — powtórzył O'Day, tym razem pewniej.

— Chyba jeszcze za wcześnie na wiążące wnioski — zaprotestowała Andrea.

— To nie jest wcale wniosek — odparł O'Day. — Pan prezydent zapytał o hipotezę. Z mojego doświadczenia dochodzeniowego wynika, że mogło to być dobrze zaplanowane morderstwo w afekcie. Świadczy o tym choćby sposób, w jaki pozbył się drugiego pilota. Nawet nie ruszył ciała z kabiny. Według zapisu z taśm przeprosił faceta zaraz po tym, jak pchnął go nożem.

— Zaplanowane morderstwo w afekcie? — Andrea nie posiadała się ze zdumienia.

— Piloci linii lotniczych są bardzo zorganizowanymi ludźmi — powiedział O'Day. — Sprawy, które laikowi wydałyby się bardzo skomplikowane, dla nich są pro-

ste jak zapięcie suwaka w rozporku. Większość zabójstw to przypadkowa robota wyobcowanych jednostek. Tu mieliśmy na dokładkę do czynienia z człowiekiem bardzo zdolnym, który powodzenie zamachu zawdzięcza głównie własnym działaniom. Tak czy inaczej, sprawa przedstawia się na razie w sposób, w jaki ją przedstawiłem.

— Gdyby to jednak miał być przejaw jakiegoś spisku, czego byście szukali?

— Panie prezydencie, spiski tego rodzaju bardzo rzadko dochodzą do skutku — odparł O'Day. Price znowu się zjeżyła, ale Pat, nie przejmując się tym, kontynuował. — Problemem jest natura ludzka. Człowiek zwykle lubi się chwalić wszystkim co robi, lubi się dzielić sekretami, by i inni mieli szansę dzielić jego przekonanie o tym, jaki to on bystry i czego potrafi dokonać. Większość przestępców wpada przez gadatliwość, gdy powiedzą o jedno słowo za dużo, o jednej za wiele osobie. Pewnie, że to nie jest robota byle tuzinkowego zbója, ale zasada pozostaje nie zmieniona. Budowanie siatki mającej dokonać zamachu, wymaga rozmów i czasu, a to powoduje nieuchronne przecieki. Nawet jeżeli już grupa się zorganizuje, pozostaje problem wyłonienia z jej grona wykonawcy zamachu. To też trwa. A w tym przypadku ewentualni organizatorzy nie mieliby na to czasu. Wiadomości o specjalnej sesji połączonych izb Kongresu ukazały

się zbyt późno, by pozostawić czas na dyskusje w gronie spiskowców. Także zamordowanie drugiego pilota wskazuje, moim zdaniem, na działanie inspirowane chwilą. Przecież nóż jest o wiele mniej skutecznym narzędziem zabójstwa niż broń palna, tym bardziej nóż do steków, który łatwo mógłby się złamać lub zgiąć o żebro.

— Wiele pan prowadził spraw o morderstwo?

— Myślę, że wystarczająco dużo. Zwłaszcza tu, w Waszyngtonie. Nasze biuro terenowe w stolicy od lat wspiera policję miejską. W każdym razie, gdyby Sato miał być narzędziem spisku, musiałby się z kimś w jakiś sposób kontaktować. Będziemy rekonstruować to, co robił w wolnym czasie — zajmują się tym Japończycy. Ale jak do tej pory nic nie wskazuje na spisek. Wręcz przeciwnie, wszystkie okoliczności wskazują na to, że był to człowiek, który nagle odkrył niepowtarzalną sposobność i skorzystał z niej, ulegając impulsowi.

— A jeżeli to nie Sato pilotował?

— Pani Price, taśmy z kabiny zawierają nagrania jeszcze sprzed startu w Vancouver. Nasze laboratorium zidentyfikowało głosy bez cienia wątpliwości, a mamy do czynienia z zapisem cyfrowym, o doskonałej jakości nagrania. Ten sam człowiek, który wystar-

tował z lotniska Narita, doprowadził samolot nad Waszyngton i rozbił się na Kapitolu. Gdyby to nie był Sato, to dlaczego drugi pilot tego nie zauważył? Przecież oni zawsze latają w tych samych zespołach i drugiego pilota na pewno zaciekawiliby, co robi obcy w jego kabinie, prawda? Gdyby natomiast obaj byli spiskowcami, to po co Sato zabijałby kolegę przed startem z Vancouver? Kanadyjczycy przesłuchują teraz pozostałą część załogi, ale zarówno oni, jak personel naziemny zidentyfikowali obu pilotów bez wątpliwości. A testy DNA potwierdzą to ostatecznie.

— Panie inspektorze, mówi pan bardzo przekonująco — wtrącił się do dyskusji policjantów Ryan.

— Panie prezydencie, to będzie długie i trudne dochodzenie, jak zwykle w przypadkach tej wagi, ale wydaje mi się, że nic nowego się nie pojawi. Fałszowanie dowodów na miejscu zbrodni jest bardzo trudne. Można zmienić kilka rzeczy, ale śladów pozostaje zawsze mnóstwo. Oczywiście, w teorii zmylenie ekipy śledczej jest możliwe, ale to wymaga miesięcy przygotowań, a ewentualni spiskowcy nie mieli tyle czasu. Cały ten trop wyklucza jedna okoliczność: informacja o połączonej sesji Kongresu i Senatu została podana do wiadomości w chwili, gdy samolot Sato przelatywał nad środkiem

Pacyfiku. — Zgodnie z przewidywaniem Pata, Andrea nie mogła odeprzeć tego argumentu.

Price wiedziała o O'Dayu dość dużo. Kiedy parę lat wcześniej Emil Jacobs przywrócił instytucję „latającego inspektora”, starał się wyszukiwać ludzi, którzy przedkładali pracę dochodzeniową ponad zarządzanie. O'Day był człowiekiem, dla którego awans i kierowanie biurem terenowym przypominałoby rozłożoną na lata kastrację. Już wcześniej należał do małego zespołu doświadczonych inspektorów, podlegających bezpośrednio dyrektorowi FBI i przydzielanych przez niego do prowadzenia spraw opornych lub delikatnych. O'Day był znakomitym policjantem, który nie znosił pracy za biurkiem i, znając jego dokonania, Price musiała przyznać: O'Day wiedział, jak trzeba prowadzić dochodzenie. Co więcej, nie zależało mu na stanowisku w służbowej hierarchii i nigdy nie robił nic na skróty, byle się przypodobać kierownictwu. Jeździł półciężarówką z napędem na obie osie, chodził w kowbojskich butach i wyglądał na człowieka, któremu popularność w gazetach jest równie niezbędna, jak dziura w moście. W dodatku, w odróżnieniu od Tony'ego Caruso, który formalnie był jego zwierzchnikiem, składał raporty bezpośrednio Murrayowi, a ten wysyłał go nawet w swoim zastępstwie do pre-

zydenta. Wiedziała, że Murray to doskonały fachowiec. W końcu dla Billa Shawa był tym, czym O'Day dla dyrekcji FBI: tajną bronią, rzucaną na zagrożone odcinki. Jego lojalność w służbie była poza wątpliwością, więc nie posyłałby tu byle kogo. Z O'Dayem sprawa była jeszcze prostsza. Ten facet żył z tego, że rozwiązywał sprawy kryminalne i chociaż zdawał się zbyt szybko wyciągać wnioski, to trzymał się przy tym bardzo dokładnie procedury i nie można się było do niczego przyczepić. Trzeba uważać na tego gościa, pomyślała. Ludziom z FBI nic tak dobrze nie wychodzi jak udawanie durnia. Ale Tajnej Służby nie oszuka, pocieszyła się na koniec.

* * *

— Mieliście udane wakacje? — zapytała zmęczonym głosem Mary Pat Foley. Clark raz jeszcze pomyślał, że ze wszystkich ocalałych wyższych urzędników najdłużej, choć i to pewnie za mało, pozwalają spać Ryanowi. Długo w ten sposób nie pociągną. Ludzie, którym nie pozwala się wyspać, nie są w stanie dać z siebie wszystkiego. Drogo kosztowała go ta nauka, ale kiedy się tego wreszcie dowiedział, zapadła mu głęboko w umysł. Zdawało mu się, że niektórzy dyrektorzy z doświadczeniem terenowym także ją zna-

ją, ale okazuje się, że wystarczy posadzić człowieka odpowiednio wysoko, żeby takie zmartwienia zwykłych śmiertelników, jak wydolność organizmu, przestały dla nich istnieć. A potem będą się miesiącami zastanawiać, dlaczego coś się spieszyło i dlaczego jakiś biedny robaczek, którego wysłali w teren po nieprzespanej nocy, dostał w łeb.

— Mary Pat, kiedy, do cholery, ostatni raz spałaś? — Niewielu mogło sobie pozwolić na taki ton, ale John kiedyś był jej nauczycielem i wiele uchodziło mu płazem.

— John, nie jesteś moją matką — odparła z cieniem uśmiechu.

— Gdzie Ed?

— Wraca znaną Zatoką Perskiej. Był na konferencji z Saudyjczykami — wyjaśniła. Chociaż Mary Pat była równą rangą Edowi, Saudyjczycy, jako mężczyźni szowiniści, nie dorośli jeszcze do kontaktów z Królową Szpiegów. Poza tym Ed zawsze lepiej znosił konferencje.

— Czy powinienem coś wiedzieć?

— Nic.

— A jak idzie Jackowi?

— Miałam z nim umówione spotkanie dziś po obiedzie, ale wcale się nie zdziwię, jeżeli odwoła to w ostatnim momencie. W tej chwili nie ma się kiedy w nos podrapać.

— Czy gazety pisały prawdę o tym, jak dał się w to wszystko zrobić?

— Tak, to prawda — przyznała zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacji. — Mamy przygotować całościową ocenę zagrożeń. Chcę, żebyście wy dwaj też nad tym usiedli.

— Dlaczego my? — zapytał Chavez.

— Bo już mi bokiem wychodzą oceny autorstwa wydziału wywiadu. Mówię wam, ta cała historia ma jedną dobrą stronę: nareszcie mamy prezydenta, który rozumie wagę tego, co tu robimy. Mam zamiar wzmocnić Operacyjny tak, żeby wystarczyło wykręcić numer telefonu, zadać pytanie i natychmiast dostać zrozumiałą odpowiedź.

— Plan BŁĘKIT? — upewnił się Clark i otrzymał aprobowane skinięcie głową. BŁĘKIT był jego projektem, który zgłosił przed opuszczeniem ośrodka szkoleniowego CIA, zwanego Farmą, mieszczącego się nieopodal magazynów jądrowych Marynarki w Yorktown, w stanie Wirginia. Clark postulował w nim, żeby zamiast zarzucania sieci wśród jajogłowych smarkaczy z najlepszych uniwersytetów, spróbować ściągnąć do

CIA policjantów, zwykłych gliniarzy z ulicy albo z miejskich dochodzeńek. Policjantów nie trzeba uczyć od podstaw sztuki kontaktów z informatorami, nie trzeba siłą odrywać od filozofii i uczyć, że na ulicy ktoś im może dać w łeb, jeśli nie będą uważać. Oni żyją z informatorów i skoro dożyli rekrutacji, to pewnie umieją poruszać się w nocy po ulicach getta. Za pieniądze zaoszczędzone na uczeniu ich abecadła można by poprawić wyszkolenie specjalistyczne i w ten sposób zyskać lepszych oficerów terenowych niż do tej pory. Już dwóch kolejnych zastępców do spraw operacji odłożyło plan BŁĘKIT *ad acta*, ale Mary Pat wiedziała o nim od początku i od dawna uznawała za dobry pomysł. — Uda ci się to przepchnąć?

— Tak, jeżeli mi pomożesz. Popatrz na Dinga, jak z nim ci ładnie poszło.

— To ja tu nie trafiłem w ramach popierania mniejszości etnicznych? — zdziwił się Chavez.

— Nie, Ding. Tym można wytłumaczyć jedynie twoją znajomość z córką Johna. — Mary Pat uśmiechnęła się. — Ryan na to pójdzie. Tak czy inaczej, macie złożyć raport z przebiegu Drzewa sandałowego.

— A co z naszą przykrywką? — zapytał Clark. Nie musiał wyjaśniać o co chodzi. Wprawdzie Mary Pat nigdy nie pobrudziła sobie rąk krwią, jej działką było szpiegostwo, a nie „działania operacyjne”, ale zrozumiała w lot.

— John, działaliście na podstawie rozkazów prezydenta. Rozkazy były na piśmie i zostały zgodnie z regulaminem wprowadzone do akt sprawy. Nikt nie będzie grzebał w tym, coście zrobili, zwłaszcza przy ratowaniu Kogi. Zresztą obaj zostaliście za tę akcję przedstawieni do Gwiazdy Wywiadu. Prezydent Durling chciał je wam osobiście wręczyć w Camp David. Myślę, że Jack chętnie go w tym zastąpi.

Nieźle, pomyślał Chavez, nawet nie mrugnawszy okiem. Czego innego spodziewał się po drodze z Yorktown.

— Kiedy zaczynamy pracę nad analizą zagrożeń? — zapytał.

— Od jutra. A co? — odparła Mary Pat.

— Coś mi się zdaje, proszę pani, że będziemy mieli mnóstwo roboty.

— Obyś się mylił — powiedziała, kiwając głową.

* * *

— Dzisiaj mam w planie dwie operacje — powiedziała Cathy, oglądając szwedzki stół zastawiony do śniadania. Nikt nie wiedział, co Ryanowie jadają na śniadanie, więc obsługa powykladała wszystkiego po trochu. Sally i Małemu Jackowi bardzo się to podobało, a jeszcze bardziej wiadomość, że dziś nie będzie szkoły. Katie, która dopiero niedawno przeszła z kaszek na prawdziwe jedzenie, podeszła do sprawy bardziej filozoficznie, przeżuwając międlony w ręku plaster bekonu i przyglądając się kawałkowi tostu z masłem, który leżał przed nią na stole. Dla dzieci najbardziej liczyła się chwila bieżąca. Sally, od niedawna w poważnym wieku lat piętnastu (czyli, jak czasem lamentował jej ojciec, zbliżająca się do trzydziestki), najdalej z całej trójki sięgała myślą, ale obecnie najbardziej martwił ją wpływ prezydentury ojca na jej życie towarzyskie. Dla nich wszystkich tata był po prostu tatą, niezależnie od tego, jaką pracę akurat wykonywał. Mają jeszcze czas na to, żeby się przekonać, że tak nie jest, pomyślał Jack.

— No nie wiem, tego jeszcze nie ustaliliśmy — odparł na uwagę żony, nabierając jajecznicę z bekonem. Dziś przyda mu się każda porcja energii.

— Jack, układ był taki, że nadal będę mogła wykonywać swoją pracę, pamiętasz?

— Pani Ryan — włączyła się Andrea Price, stale krążąca wokół jak anioł-stróż, choć anioły rzadko kiedy noszą pistolety pod marynarkami żakietów. — Nadal opracowujemy plan ochrony i. . .

— Moi pacjenci mnie potrzebują, Jack. Bernie Katz i Hal Marsh mogą mnie zastąpić przy wielu czynnościach, ale jeden z moich pacjentów będzie potrzebował nie ich, tylko mnie — zerknęła na zegarek — za jakieś cztery godziny. — Jack nie miał podstaw, by w to wątpić. Profesor Caroline Ryan była najwyższej klasy specjalistką od operacji siatkówki. Jej operacje przyjeżdżali oglądać najlepsi fachowcy z całego świata.

— Ale przecież szkoły są zamknięte.

— Nie medyczne. Nie możemy odesłać pacjentów do domu, bo uniwersytet jest zamknięty. Wiem, że to komplikuje mnóstwo spraw i przepraszam za to, ale ode mnie też zależy wielu ludzi i nie mogę ich zawieść. — Cathy rozejrzała się, szukając twarzy wyrażającej aprobatę dla jej punktu widzenia. Obsługa jadalni, mężczyźni i kobiety, wszyscy w mundurach Marynarki, przepływali obok, udając, że nic nie słyszą. Ludzie

z Tajnej Służby także udawali głuchotę, ale na ich twarzach malowała się wyraźna niechęć do tego pomysłu.

Pierwsza Dama, w myśl założeń ojców-założycieli, była tylko towarzyszką życia swego męża. Tego założenia rodem sprzed dwustu lat nie dawało się długo utrzymać i w ostatnich dziesięcioleciach było ono nieraz naginane do aktualnych potrzeb. Prawdziwą katastrofą będzie dopiero wybór pierwszej kobiety-prezydenta, bo wtedy wszystko wywróci się do góry nogami. Zwykle żona polityka służyła mu jedynie jako ornament na mównicy, czasem dopuszczany do głosu, by wypowiedział kilka starannie dobranych słów i czarująco się uśmiechał, a w czasie kampanii wyborczej umiała rozprężyć swego wojownika i przeżyć zdumiewająco brutalne uściski dłoni. No tak, z tym też będzie kłopot, bo pani Ryan na pewno nie pozwoli się szarpać za swoje precyzyjnie operujące, delikatne ręce chirurga. Chyba po raz pierwszy żona prezydenta miała prawdziwy zawód. Mało tego, była wybitną specjalistką w swojej profesji, laureatką nagrody Laskera i wkrótce objąć miała katedrę na swojej uczelni. Jeżeli Price dobrze zrozumiała to wszystko, czego dowiedziała się o Cathy Ryan, jest oddana przede wszystkim swojemu powołaniu, a dopiero potem mężowi. Może to i godne pochwały, ale jej ochronie

to życia nie ułatwi, tego była pewna. Co gorsza, do jej osobistej ochrony wyznaczono Roya Altmana, potężnie zbudowanego eks-spadochroniarza, którego zresztą Pierwsza Dama jeszcze nie widziała. Wybór Altmana został podyktowany nie tylko wartościami jego intelektu, ale i wyglądem. Nigdy nie zaszkodzi, żeby chronionej osobie towarzyszył widoczny z daleka goryl, zwłaszcza jeżeli wątła postura samego VIP-a może zachęcać zamachowców do spróbowania szczęścia. Obecność Roya miała powodować, by zastanowili się dwa razy, zanim do tego dojdzie. Reszta ochrony miała się wtopić w otoczenie, by w razie potrzeby przyjść im z pomocą. Rozmiary Altmana ułatwiały mu także inną funkcję: w razie ataku z użyciem broni palnej miał zasłonić panią Ryan ciałem. Wszystkich agentów uczono tego, ale żaden z nich nie roztrząsał tego zagadnienia.

Każde z dzieci Ryanów także miało swoją ochronę, a najtrudniej było wybrać ochroniarza dla małej Katie, bo agenci omal się o nią nie pobili. Zaszczyt ten w końcu przypadł szefowi oddziału chroniącego dzieci, najstarszemu jego członkowi, Donowi Russellowi, zwanemu „Dziadkiem”. Małym Jackiem zajmował się młody entuzjasta różnych sportów. Sally trafiła pod opiekę trzydziestoletniej agentki, panny z wyboru, bo

w opinii Andrei dziewczyny naprawdę wystrzałowej, która nie musiała sobie przypominać z zamierzchłej przeszłości jak się spławia podrywaczy i robi zakupy w butikach. Wyborem agentów rządziła zasada, by uczynić całą sytuację jak najmniej uciążliwą dla członków rodziny, którym odtąd wszędzie, z wyjątkiem łazienki, towarzyszyć mieli ludzie z naładowaną bronią i radiotelefonami. Prezydent Ryan z doświadczenia wiedział, że ochrona jest konieczna i rozumiał jej wymogi, ale jego rodzina dopiero musiała się nauczyć z tym wszystkim żyć.

— Pani profesor, o której musi pani wyjść? — zapytała Price.

— Za jakieś — spojrzała na zegarek — czterdzieści minut. To zależy od korków na drodze. . .

— Od tej chwili już nie — poprawiła Pierwszą Damę Andrea. Dzień i tak będzie trudny. Według planu rodzina wiceprezydenta miała poprzedniego dnia odbyć odprawę z ochroną na temat tego wszystkiego, co się w ich życiu zmieni. Jak wszystkie plany na wczoraj, tak i ten wziął w łeb. Altman siedział teraz za ścianą nad mapami. Do Baltimore prowadziły trzy drogi: autostrada międzystanowa I-95, Waszyngton-Baltimore Parkway i autostrada US1. Korki panujące na nich zazwyczaj z rana byłyby niczym w porówna-

niu z piekłem, jakie rozpętałyby się na nich, gdyby w środek tej masy samochodów puścić jadący pełnym gazem konwój Tajnej Służby. To jeszcze i tak nic w porównaniu z tym, że ograniczony wybór drogi ułatwiał ewentualnemu zamachowcowi przewidywanie trasy przejazdu. Szpital Johna Hopkinsa miał na dachu wydziału pediatrycznego lądowisko dla śmigłowców, ale nikt się nie zastanawiał nad politycznymi reperkusjami codziennego podrzucania Pierwszej Damy do pracy śmigłowcem *VH-60* piechoty morskiej. Chociaż na dziś to może nawet nie najgorszy pomysł, zdecydowała wreszcie Price. Wyszła z jadalni, by naradzić się z Altmanem i nagle rodzina Ryanów została przy stole sama, jakby to było normalne rodzinne śniadanie.

— Na miłość boską, Jack. . .

— Wiem. — Przez chwilę kontemplowali ciszę, ale oboje grzebali widelcami w talerzach, zamiast jeść.

— Dzieci będą potrzebować ubrań na pogrzeb — przemówiła wreszcie Cathy.

— Mówiłaś już o tym Andrei?

— Dobrze, powiem jej. Wiesz, kiedy to będzie?

— Nie, ale dzisiaj powinienem się dowiedzieć.

— Będę mogła nadal wykonywać swoją pracę? — Pod nieobecność Andrei mogła sobie pozwolić na okazanie jak bardzo ją to trapi.

— Tak — odparł. — Słuchaj, postaram się ze wszystkich sił, żebyśmy mogli żyć jak najbardziej normalnie i doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak ważna jest dla ciebie ta praca. Nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, co myślę o tej twojej nagrodzie, którą dopiero co zgarnęłaś. — Uśmiechnął się. — Jestem z ciebie cholernie dumny, maleńka.

Andrea wróciła do jadalni.

— Profesor Ryan?

— Może uprościmy sobie życie, bo zdaje się, że będziemy na siebie skazane przez jakiś czas. Na imię mi Cathy.

Price nie mogła na to przystać, ale w tej chwili i tak problem schodził na plan dalszy.

— Dopóki nie wymyślimy czegoś innego, będziemy panią wozić do pracy śmigłowcem. Maszyna piechoty morskiej jest już w drodze.

— Czy to aby nie za drogo wyniesie?

— Tak, nie jest to może najtańsze rozwiązanie, ale dopóki nie ustalimy odpowiednich procedur, to najłatwiejszy sposób rozwiązania problemu. Profesor Ryan, to jest

Roy Altman — powiedziała, usuwając się z drzwi, w których stanął Roy. — Roy będzie pani osobistą ochroną.

— Oo. — Cathy nie była w stanie nic więcej wypowiedzieć, widząc niemal dwumetrowego olbrzyma, ważącego na oko 110 kilogramów. Roy był blondynem o nieco bladej cerze i niewinnym wyrazie twarzy człowieka krępującego się swojej postury. Jego garnitur skrojony był, jak wszystkie ubiory Tajnej Służby, tak, by kryć służbowy pistolet, ale przy wymiarach Altmana można by pod nim schować bez przeszkód nawet karabin maszynowy. Agent podszedł do Cathy i przywitał się z nią, nadspodziewanie delikatnie ujmując jej dłoń.

— Proszę pani, wie pani, na czym polega moja praca. Będę w pobliżu, ale tak, by jak najmniej wchodzić wszystkim pod nogi.

Do pokoju weszło jeszcze dwóch ludzi. Altman przedstawił ich jako resztę zespołu, który miał im dzisiaj towarzyszyć. Skład ekipy mógł jeszcze ulec zmianie, w zależności od tego, jak się ułożą stosunki między ochroniarzami a ochranianą. Tego nigdy nie dawało się z góry przewidzieć, nawet z ludźmi na pierwszy rzut oka tak sympatycznymi, jak Ryanowie.

Cathy przez chwilę miała ochotę zapytać, czy to na pewno niezbędne, ale się powstrzymała. Boże, jak ona się pokaże na korytarzu szpitalnym z tą menażerią?! Spojrzała na męża, a on na nią i przypomniała sobie, że nie miałyby tego kłopotu, gdyby się nie zgodziła na objęcie wiceprezydentury przez Jacka. Ile też trwała ta jego wiceprezydentura? Pięć minut? Może nawet krócej. W tej samej chwili usłyszeli podchodzący do lądowania śmigłowiec Black Hawk, który z rykiem wylądował obok domu, spowijając dawne obserwatorium astronomiczne w białą chmurę śniegu. Jack spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że jeżeli wezwano ten śmigłowiec w czasie chwilowej nieobecności Andrei, to załogi VMH-1 rzeczywiście działają błyskawicznie, tak jak go zapewniano. Ciekawe, ile potrwa, zanim ta troska zacznie ich wprawiać we wściekłość?

* * *

— Oglądają państwo transmisję na żywo z terenu Obserwatorium Marynarki przy Massachusetts Avenue — gorączkowo mówił do mikrofonu reporter NBC. — Wygląda na to, że przyleciał jeden z helikopterów piechoty morskiej, co wskazywałoby na to,

że prezydent Ryan będzie wkrótce wyruszał w jakąś podróż. — Chmura śniegu zaczęła opadać, więc operator kamery wyostrzył obraz.

* * *

— To *Black Hawk*. Ale jakaś specjalna wersja. — Oficer wywiadu dotknął palcem ekranu telewizora. — O, tu, widzicie? To *Black Hole*, system ochładzający spaliny i zmniejszający emisję w podczerwieni.

— Skuteczny?

— Bardzo, ale dla raket naprowadzanych laserem nie stanowi żadnej przeszkody. Tym bardziej dla broni maszynowej. — Wirnik śmigłowca nie zdążył się jeszcze zatrzymać, gdy wokół lądowiska pojawił się szpaler żołnierzy. — Dajcie mi mapę tej okolicy. To miejsce, skąd filmuje ta kamera... Doskonałe stanowisko dla mózdzierza. Gdziekolwiek sięga kamera, mózdzierz też sięgnie. To samo dotyczy Białego Domu. — A mózdzierz, to wiedzieli wszyscy obecni, potrafi obsługiwać każdy, zwłaszcza od czasu, jak Brytyjczycy zbudowali pociski z laserowym mechanizmem naprowadzającym,

które wszyscy natychmiast zaczęli kopiować. To Amerykanie mawiają w swojej armii: jeżeli coś widzisz, to można to trafić; jeżeli można to trafić, to można też zabić.

Plan zaczął się powoli wykluwać. Spojrzał na zegarek, odnalazł włącznik stopera, oparł na nim palec i czekał. Żeby tylko reżyserowi tam, dziewięć tysięcy kilometrów stąd, nie znudził się obraz z tej kamery. Do śmigłowca podjechał duży pojazd, z którego wysiadły cztery osoby. Ruszyły do śmigłowca, którego załoga natychmiast odsunęła drzwi.

* * *

— To pani Ryan — z niejakim zdumieniem zauważył komentator. — Profesor Ryan jest chirurgiem w szpitalu Johna Hopkinsa w Baltimore.

— Uważa pan, że poleci tym śmigłowcem do pracy? — zapytał drugi głos.

— Dowiemy się pewnie za jakąś minutę.

* * *

Trafił niemal co do sekundy. Oficer wywiadu pchnął włącznik stopera w momencie, gdy zatrzasnęły się drzwi śmigłowca. Wirnik ruszył kilka sekund później, powoli nabierając coraz wyższych obrotów, aż wreszcie maszyna oderwała się od ziemi, uniosła, opuściła nos, jak wszystkie helikoptery i, nabierając wysokości, ruszyła na północ. Spojrzał na zegarek, by sprawdzić, ile czasu minęło od zamknięcia drzwi do startu. Załoga była wojskowa, więc pewnie szczyli się tym, że za każdym razem robi to tak samo. Kupa czasu. Trzy razy więcej niż potrzeba pociskowi móździerzowemu na pokonanie takiej odległości.

* * *

To był jej pierwszy świadomy lot śmigłowcem. Posadzili ją na rozkładanym krzeselku, zamocowanym do przegrody za fotelami pilotów, na środku między nimi, tyłem do kierunku lotu. Nikt nie powiedział jej dlaczego. W razie katastrofy kadłub *Black Hawka* był obliczony na przeciążenie rzędu 14 g, a ze statystyki wynikało, że to właśnie jest najbezpieczniejsze miejsce w kabinie. Dzięki czteropłatowemu wirnikowi lot przebie-

gał gładko i jedyne, co jej przeszkadzało, to dotkliwy chłód. Jeszcze nikt nie zbudował wojskowego śmigłowca z efektywnym układem ogrzewania. Właściwie, to by nawet mogło być fajne przeżycie, gdyby nie zażenowanie, że to wszystko dzieje się z jej powodu. No i ci agenci, którzy ciągle wyglądali przez okna, jakby jechali wozem przez las pełen wilków. To potrafiło obrzydzić nawet najprzyjemniejsze przeżycia.

* * *

— Chyba rzeczywiście wybiera się do pracy — zdecydował się wreszcie reporter. Kamera nadal śledziła znikający na horyzoncie śmigłowiec, do chwili w której schował się za drzewami. To był rzadki moment rozluźnienia w sieciach telewizyjnych, które od chwili zamachu co godzina powtarzały do znudzenia te same przerażające obrazy, zupełnie jak po zamachu na Kennedy’ego, z tą tylko różnicą, że sieci było teraz więcej niż w 1963 roku i nadawały przez całą dobę. Stacje kablowe zyskiwały przez to tysiące nowych widzów, ale poważne sieci telewizyjne nie mogły postępować inaczej, bo hołdowały zasadom odpowiedzialnego dziennikarstwa. Staraly się więc jak najlepiej wywiązywać z tego, jak pojmowały swoją misję.

— No tak, przecież ona jest lekarzem — odkrył Amerykę komentator. — Jakże łatwo nam zapomnieć, że pomimo tej katastrofy, która dotknęła rząd, tam, poza obwodnicą waszyngtońską, nadal toczy się życie, ludzie chodzą do pracy. Rodzą się dzieci. Życie toczy się dalej — zakończył pompatycznie komentator.

— Tak, w całym kraju — zgodził się z nim reporter, wyczekując kiedy też reżyser wreszcie wyłączy tę cholerną kamerę i puści reklamy. Obrócił się twarzą do kamery, dając znak, że transmisja skończona i nie mógł słyszeć komentarza, który padł z ust widza z drugiego końca świata:

— Do czasu.

* * *

Ochroniarze rozprowadzili dzieci i można było się wreszcie wziąć do prawdziwej roboty. Arnie van Damm wyglądał upiornie. Kombinacja żalu za poległymi przyjacielami i ciężkiej roboty wykańczała go w zastraszającym tempie. Oczywiście, prezydenta należało oszczędzać, ale Ryan nie mógł się zgodzić na to, by odbywało się to kosztem zdrowia jego najbliższych współpracowników.

— Arnie, gadaj szybko, co masz do powiedzenia i wyłoś się spać.

— Dobrze wiesz, że nie mogę...

— Andrea?

— Tak, panie prezydencie?

— Jak skończymy tę odprawę, niech któryś z waszych ludzi odwiezie Arnie'ego do domu. I nie wpuszczać go do Białego Domu przed szesnastą. Zrozumiano? Arnie — zwrócił się do swego szefa sztabu — nie możesz się spalić zbyt wcześnie. Za bardzo cię potrzebuję.

Szef personelu Białego Domu był zbyt zmęczony, by w jakikolwiek sposób wyrazić wdzięczność. Podał swojemu szefowi teczkę.

— To plan uroczystości pogrzebowej. Pojutrze.

Ryan przerzucił kartki. Ktokolwiek układał ten plan, miał talent do takich rzeczy i wiele taktu. Być może na taką okazję też przechowywano gdzieś „gotowce”? Ryan nie miał zamiaru o to pytać, ale tak czy inaczej, ktoś odwalił porządną robotę. Trumny Rogera i Anne Durlingów miały zostać wystawione w Białym Domu, jako że Rotunda na Kapitolu leżała w gruzach. Przez dwadzieścia cztery godziny ludzie będą mogli

przechodzić przed nimi, wchodząc przez bramę od frontu i wychodząc przez Wschodnie Skrzydło. Surową nagość ścian ożywią w tych trudnych momentach flagi i portrety obojga Durlingów. Następnego ranka, po zamknięciu Białego Domu, karawan przewiezie trumny do Katedry Narodowej, gdzie znowu staną na widoku, wraz z trzema trumnami parlamentarzystów: jednego katolika, jednego protestanta i jednego Żyda, i tam też odbędzie się ekumeniczne nabożeństwo żałobne. Ryan miał wygłosić dwa przemówienia, których teksty także znajdowały się w teczce.

* * *

— A to po co? — zapytała Cathy, korzystając z tego, że jej hełm podłączony był do wewnętrznej sieci łączności śmigłowca. Wskazała widoczny w odległości pięćdziesięciu metrów bliźniaczy śmigłowiec.

— Zawsze latamy z zapasowym helikopterem, proszę pani — odparł jeden z pilotów. — To na wypadek, gdyby coś się stało i trzeba było lądować. Można się wtedy przesiąść do zapasowego śmigłowca, nie tracąc czasu. — To też, ale przecież nie będzie jej mówił, że leci nim jeszcze czterech agentów Tajnej Służby z cięższą bronią.

— Często się wam zdarza korzystać z tej zapasowej maszyny, panie pułkowniku?

— Za moich czasów jeszcze ani razu — odparł, znowu nie mówiąc, że jeden z *Black Hawków* dywizjonu piechoty morskiej VMH-1 rozbił się nad Potomakiem w 1993 roku, zabijając wszystkich pasażerów i załogę. To już tak dawno. Oczy pilota nieustannie przepatrywały horyzont. Wszyscy w dywizjonie pamiętali o incydencie, który Tajna Służba odebrała jako próbę staranowania śmigłowca prezydenckiego, do której doszło nad domem Ronalda Reagana w Kalifornii. W rzeczywistości był to błąd w pilotażu niedoświadczonego pilota, ale zdaje się, że po wycisku, jaki dała mu Tajna Służba, zew przestworzy wyparował z niego bezpowrotnie. Pułkownik Hank Goodman wiedział z doświadczenia, że tajniacy to straszne smutasy, ludzie kompletnie wyprani z poczucia humoru. Powietrze było chłodne, więc spokojne. Mógł sobie pozwolić na pilotowanie czubkami palców, gdy podążali wzdłuż I-95 na północny wschód. Baltimore było już widać, a podejście do Hopkinsa znał jeszcze z czasów służby w bazie Patuxent River, gdyż piloci Marynarki i Korpusu często przewozili tam ofiary wypadków, do których wzywała ich policja. Szpital Hopkinsa, w ramach stanowego programu pomocy ofiarom nagłych wypadków, specjalizował się w leczeniu urazów pediatrycznych.

Podobne myśli krążyły po głowie Cathy. W dole zobaczyła budynek oddziału urazowego, ten sam, do którego trafiła po swojej pierwszej podróży śmigłowcem, ale wtedy była nieprzytomna. Terrorysty z ULA próbowali zabić ją i Sally. A teraz, gdyby ktoś znowu próbował, ci wszyscy ludzie dookoła mieliby kłopot. Dlaczego miałby próbować? Choćby z powodu tego, jak wysoko zaszedł Jack.

— Panie Altman? — usłyszała w słuchawkach głos pilota.

— Tak, panie pułkowniku?

— Rozmawiał pan z nimi o naszym lądowaniu, prawda?

— Tak, zostali uprzedzeni o tym, że przylecimy.

— Nie o to mi chodzi. Pytał pan o to, czy ten dach nadaje się dla sześćdziesiątki?

— Nie rozumiem.

— Pytam o to, czy ten dach nas utrzyma. Ten ptaszek waży trochę więcej niż wiatraki, których używa policja stanowa. Pytam, czy to lądowisko jest dopuszczone do lądowania *Black Hawk*em. — Odpowiedziała mu cisza. Pułkownik i drugi pilot spojrzeli po sobie z wiele mówiącym grymasem. — No dobra, zobaczymy. Może chociaż raz wytrzyma.

— Z lewej czysto.

— Z prawej czysto — odparł Goodman. Obleciał lądowisko jeden raz, sprawdzając wiatr nad wymalowanym na dachu kręgiem. Wiatr był słaby, z północnego wschodu. Pułkownik podszedł do lądowania i przyziemił bardzo gładko, nie spuszczać z oka masztów radiowych z prawej strony lądowiska. Nie zmniejszył obrotów wirnika, by nie osiadać całym ciężarem maszyny na nie sprawdzonym przez Tajną Służbę dachu. Pewnie nie było to konieczne, bo architekci zazwyczaj projektują budynki z solidnym zapasem, ale Goodman został pułkownikiem między innymi dzięki temu, że nie ryzykował bez potrzeby. Szef obsługi otworzył drzwi, wypuszczając pasażerów. Pierwsi wyskoczyli agenci Tajnej Służby, omiatając czujnymi spojrzeniami pusty dach. Przez cały czas Goodman nie wypuszczał z ręki dźwigni zespolonej, gotów w każdej chwili, na pierwszy znak zagrożenia wystrzelić z dachu w niebo, odwożąc pasażera w bezpieczniejsze miejsce. Kiedy już upewnili się, że na dachu jest bezpiecznie, Altman wrócił do maszyny i pomógł wysiąść pani Ryan.

— Panie Altman — powiedział pułkownik do agenta, gdy Pierwsza Dama zdjęła już hełmofon — proszę zadzwonić gdzie trzeba i dowiedzieć się, jaka jest wytrzymałość tego dachu. Chciałbym też plany budynku do naszego archiwum.

— Tak jest, panie pułkowniku. To po prostu poszło za szybko, sir.

— Mnie to pan mówi? — mruknął Goodman, przełączając się na radio. — Marine Trzy, tu Marine Dwa.

— Dwa, słucham cię, Trzy — odpowiedział natychmiast krążący w pobliżu drugi śmigłowiec.

— Zabieramy się. — Goodman pociągnął za dźwignię zespoloną i śmigłowiec odleciał z dachu na południe.

— Trochę się denerwowałem przed samym lądowaniem — przyznał się szef personelu pokładowego.

— Ja też — powiedział Goodman. — Jak tylko przylecimy, sam do nich zadzwonię.

* * *

Tajna Służba zadzwoniła do doktora Katza, który czekał na Cathy wewnątrz, wraz z trzema szefami ochrony szpitala. Panowie nawzajem powiedzieli sobie, czego od siebie oczekują, agenci Tajnej Służby otrzymali identyfikatory, według których byli teraz członkami ciała pedagogicznego wydziału medycznego Uniwersytetu Johna Hopkinsa i dzień pracy pani profesor Ryan mógł się wreszcie rozpocząć.

— Co u pani Hart?

— Widziałem się z nią dwadzieścia minut temu, Cathy. Trzeba powiedzieć, że perspektywa trafienia pod nóż Pierwszej Damy bardzo przypadła jej do gustu. — Kwaśna reakcja profesor Ryan wyraźnie zaskoczyła Katza.

6 — Egzamin

Zakorkować lotnisko bazy Andrews to sztuka wymagająca wiele wysiłku. Bezkreśne wstęgi jej betonowych pasów zdają się zajmować więcej miejsca niż stan Nebraska, ale w tej chwili znajdowało się na nim tyle i tak różnorodnych samolotów, że można było pomylić je z bazą Tucson w Arizonie, gdzie składowane są wycofane z użytku samoloty wojskowe. Ochrona lotniska odpowiadała wprawdzie za bezpieczeństwo, ale każdy z samolotów przywiózł swoją własną ochronę, która traktowała amerykańskich kolegów ze, zwykłą w tym nieco paranoicznym fachu, dozą braku zaufania. W tłumie szerokokadłowców różnych typów wyróżniały się egzotycznymi liniami dwa *Concorde*, jeden

brytyjski, drugi francuski. Część samolotów należała do dywizjonów rządowych, inne delegacje wypożyczyły samoloty rejsowe swoich narodowych przewoźników, więc cała ta zbieranina błyszczała kolorami wielu towarzystw lotniczych. Szefowie rządów lubią zadawać szyku, toteż wyborem maszyny rządziła raczej wielkość samolotu, niż rzeczywiste potrzeby — chyba żaden z tych samolotów nie przywiózł więcej niż jednej trzeciej swej nominalnej ładowności. Witanie gości było zadaniem połączonych zespołów protokołu Departamentu Stanu i Białego Domu, a przez ambasady poinformowano zjeżdżające na pogrzeb głowy państw, że prezydent Ryan nie będzie w stanie poświęcić każdemu gościowi tyle uwagi, na ile on, czy ona, zasługuje. Wszystkich jednak witała kompania reprezentacyjna Sił Powietrznych, dając parę razy na godzinę popis kunsztownej musztry przewidzianej na takie okazje przez regulamin. Czerwonego dywanu nawet nie zwijano, pozostawiając pilotom troskę o to, by drzwi znalazły się w jednej linii z początkiem chodnika. Im później, tym tempo się zwiększało i w końcu powitania zaczęły przypominać taśmę produkcyjną, gdyż samoloty podkołowywały do chodnika, podium orkiestry i kompanii reprezentacyjnej natychmiast po odjeździe poprzednika.

Goście schodzili, wygłaszano krótkie przemówienia przed obiektywami baterii kamer telewizyjnych i podjeżdżały limuzyny.

I tu dopiero zaczynały się problemy. Każdej z limuzyn dyplomatycznych towarzyszyły samochody Tajnej Służby, z których uformowano cztery zespoły ochrony, poruszające się wahadłowo między lotniskiem a miastem. Suitland Parkway i autostrada I-395 zatkały się na amen, ale udało się dowieźć każdego prezydenta, premiera, króla czy księcia do swojej ambasady bez zgrzytów, głównie dlatego, że większość ambasad mieściła się przy Massachusetts Avenue. Był to triumf improwizacji.

W ambasadach odbywały się ciche powitania gości, niektórzy korzystali z okazji, by spotkać się na osobności z kolegami po fachu i pogadać, jeśli nie o interesach, to choćby o tym, jak im się żyje. Ambasador brytyjski, jako najstarszy wśród dyplomatów państw NATO i zarazem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, wydał „nieformalne” przyjęcie dla dwudziestu dwóch głów państw.

— No, tym razem przynajmniej wypuścił podwozie — mruknął kapitan Sił Powietrznych spoglądając przez lornetkę na kolejnego gościa.

Tak się składało, że na wieży kontrolnej dyżur pełniła ta sama grupa, która była na służbie tego strasznego wieczoru, który w konsekwencji doprowadził do tego zlotu. Nic więc dziwnego, że z pewnym napięciem śledziła manewry japońskiego *Jumbo Jeta*, schodzącego właśnie do lądowania na pasie Zero-Jeden. Ciekawe, czy piloci zauważyli szczątki bliźniaczej maszyny, złożone opodal hangaru we wschodniej części bazy? Właśnie w tej chwili rozładowywano z platformy szczątki kolejnego silnika, wydobyte z rumowiska Kapitolu. Japoński 747 osiadł na pasie, wytracił prędkość, a u końca pasa skręcił zgodnie ze wskazówkami obsługi na drogę kołowania prowadzącą w lewo i podjechał na koniec kolejki samolotów oczekujących na uroczystość powitania ich pasażerów. Pilot nawet nie zauważył kamer, ani tego jak ich operatorzy pośpiesznie wybiegli z budynku obok, by śledzić obiektywami przybycie tak interesujących gości. Chciał coś powiedzieć do swego kolegi, ale powstrzymał się. Kapitan Toradžiro Sato był jego, jeżeli nie przyjacielem, to w każdym razie bardzo bliskim kolegą. Hańba, jaką sprowadził na swój kraj, linie lotnicze i ich profesję, będzie dla nich wszystkich trudna do zniesienia jeszcze przez długie lata. Gorzej mogłoby już być tylko wtedy, gdyby do tego miał pasażerów na pokładzie, bo pierwszym przykazaniem pilota linii lotniczej jest

troska o ich życie i bezpieczeństwo. Społeczeństwo przeżyło szok, mimo że japońska kultura zna pojęcie honorowego samobójstwa dla sprawy i takich samobójców otacza czecią. Tym razem było inaczej i ludzie byli tą tragedią wstrząśnięci bardziej, niż czymkolwiek w ostatnich latach. Piloci, którzy zawsze nosili swe mundury z dumą, teraz przebierali się w nie dopiero w pracy i czym prędzej zdejmowali je, gdy tylko zakończyli swe obowiązki. Kapitan otrząsnął się z tych myśli, wyrzął za okno, ile jeszcze zostało do chodnika i delikatnie zahamował. Staromodne schodki na kołach podjechały do drzwi samolotu, a obaj piloci wymienili zakłopotane spojrzenia. Ciekawe, co ich tu czeka? Pewnie zamiast noclegu w jakimś hotelu średniej klasy, jak zwykle dotąd, zakwaterują ich gdzieś w koszarach w bazie i niewykluczone, że będą mieli straż pod drzwiami. I to uzbrojoną.

Drzwi samolotu otworzyła starsza stewardesa. Premier Mogataru Koga w zapiętym garniturze, z idealnie wyprężonym w wycięciu klap krawatem, poprawionym jeszcze w ostatniej chwili przez sekretarza, stanął na krótko w drzwiach, zaatakowany zimnym lutowym wiatrem i ruszył po schodkach w dół. Orkiestra Sił Powietrznych zagrała marsza „Ruffles and Flourishes”.

Pełniący obowiązki sekretarza stanu Scott Adler czekał u stóp schodków. Nigdy się wcześniej nie spotkali, ale obaj otrzymali przed tym spotkaniem wyczerpujące informacje na swój temat. Dla Adlera było to czwarte już dziś, a na pewno najważniejsze, powitanie. Koga wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach, bardzo zwyczajnie, jak pierwszy z brzegu przechodzień. Mierzył jakieś metr sześćdziesiąt pięć, w średnim wieku, z gęstymi czarnymi włosami. Jego ciemne oczy miały neutralny wyraz, a w każdym razie, jak szybko poprawił się Adler, Koga próbował im taki wyraz nadać. Po bliższym przyjrzeniu się, widać w nich było smutek. Trudno się temu dziwić, pomyślał dyplomata, wyciągając rękę na powitanie.

— Witamy w Ameryce, panie premierze.

— Dziękuję panu, panie Adler.

Podeszli do podium i Adler wygłosił parę słów powitania, których ułożenie zajęło w Departamencie Stanu prawie godzinę, a ich wypowiedzenie około minuty. Gdy skończył, do mikrofonu podszedł Koga.

— Chciałbym serdecznie podziękować panu Adlerowi i waszemu narodowi za to, że pozwolili mi tu dziś przyjechać. Gest ten był dla mnie początkowo zaskoczeniem, ale

zrozumiałem, że wywodzi się on z tradycji tego wielkiego i wspaniałomyślnego kraju. Przyjechałem tu dziś reprezentować władze i społeczeństwo mojego kraju w misji smutnej, acz koniecznej. Mam nadzieję, że moja wizyta pomoże wzajemnie zbliznić rany po obu stronach. Mam także nadzieję, że nasze narody dostrzegą w tej tragedii most, który zaprowadzi nas razem ku pokojowej przyszłości. — Koga zrobił krok do tyłu i Adler sprowadził go na czerwony chodnik. Orkiestra zagrała „Kimagayo”, japoński hymn, ułożony ponad sto lat temu przez brytyjskiego kompozytora. Premier próbował coś wyczytać z twarzy żołnierzy kompanii honorowej, szukał śladów nienawiści lub chociaż niechęci, ale na ich kamiennych twarzach nie pojawiły się żadne uczucia. Adler wsiadł za nim do limuzyny.

— Jak się pan czuje?

— Dziękuję, dobrze. Przespałem się w samolocie. — Koga założył, że pytanie było czystym konwenansem, ale wkrótce doszło do niego, że tak nie jest. To był, o dziwo, pomysł Ryana, nie Adlera, a pora dnia też była sposobna. Słońce opadło już za horyzont, widać było, że zmierzch będzie krótki, bo ciężkie chmury zasnuwały niebo od północnego zachodu.

— Możemy odwiedzić prezydenta Ryana po drodze do pańskiej ambasady, jeżeli ma pan ochotę. Pan prezydent polecił mi przekazać, że jeżeli nie będzie pan miał na to ochoty z powodu zmęczenia po locie lub jakiegokolwiek innego, nie będzie się czuł urażony.

— Ta propozycja jest dla mnie zaszczytem. Adlera zaskoczyła natychmiastowa decyzja Kogi. Sekretarz stanu wyciągnął krótkofalówkę z kieszeni płaszcza.

— Orzeł do Gniazda Miecznika. Zgoda.

Adler uśmieł się, gdy po raz pierwszy usłyszał swój kryptonim, dosłowne tłumaczenie swojego niemiecko-żydowskiego nazwiska.

— Gniazdo Miecznika, potwierdzam: zgoda — zaskrzypiał głośnik.

— Orzeł, bez odbioru.

Kolumna pojazdów pędziła Suitland Parkway. W innych okolicznościach na pewno towarzyszyłby im śmigłowiec stacji telewizyjnej, ale z uwagi na specjalne środki bezpieczeństwa w związku ze zjazdem głów państw, obszar powietrzny nad stolicą został zamknięty. Zamknięto nawet lotnisko National, przenosząc rejsy na Dulles i do Baltimore-Waszyngton. Wóz zjechał z Suitland Parkway, przecnicę dalej wjechał na

autostradę I-295 i zaraz potem z niej na I-395, która ponad rzeką Anacostia prowadziła do centrum Waszyngtonu. Gdy tylko wjechali na główną drogę, ich przedłużony Lexus zjechał na prawo, a jego miejsce w konwoju trzech Suburbanów Tajnej Służby zajął drugi, identyczny samochód. Cały manewr nie trwał nawet pięciu sekund. Pustymi ulicami w szybkim czasie dojechali do zachodniego wjazdu.

— Panie prezydencie, jadą — powiedziała Price, wysłuchawszy radiowego meldunku strażnika z bramy.

Jack wyszedł na dwór w momencie, w którym samochód się zatrzymał. Nie był pewien, czy to co zrobił, było w zgodzie z wymogami protokołu. No cóż, jeszcze wielu rzeczy będzie się musiał nauczyć w swej nowej pracy. Z rozpędu omal nie zabrał się do otwierania drzwi limuzyny, ale ubiegł go kapral piechoty morskiej, uchylając drzwi i salutując jak robot.

— Panie prezydencie — powiedział Koga, prostując się z ukłonu.

— Proszę, panie premierze, proszę tędy — odparł Ryan, pokazując drogę do wnętrza.

Koga jeszcze nigdy nie odwiedził Białego Domu. Poprzednim razem był w Waszyngtonie — ile? trzy miesiące temu? — na negocjacjach handlowych, które zamiast ugody doprowadziły do tej nieszczęsnej wojny. Kolejny zawód, jakże bolesny. Otrząsnął się z tych myśli pod wpływem zachowania Ryana. Jasne, czytał już kiedyś, że w tym kraju ceremoniał państwowych wizyt nie jest w najwyższej cenie, ale chyba nie o to tym razem chodziło. Prezydent wychodzący samotnie witać gościa — to musiało coś znaczyć, to nie mogła być po prostu ignorancja nowicjusza. Zastanawiał się nad tym idąc na górę po schodach i potem, gdy przemknęli przez Zachodnie Skrzydło. Minutę później byli już sami w Gabinetce Ovalnym, oddzieleni jedynie niskim stolikiem, na którym stała taca z kawą.

— Dziękuję za okazane względy — rozpoczął ceremonialnie Koga.

— Musieliśmy się spotkać i porozmawiać w spokoju — odparł Ryan. — W przeciwnym razie bylibyśmy otoczeni tłumem ludzi, którzy liczyliby nam każdą minutę i starali się czytać z warg. — Nalał kawy do filiżanek i podał jedną z nich gościowi.

— *Hai*. U nas prasa też zrobiła się ostatnio strasznie natrętna — zgodził się Koga i uniósł filiżankę, ale zatrzymał rękę w pół drogi. — Komu mam podziękować za uratowanie mnie od Yamaty?

— Decyzja zapadła w tym pokoju. Jeżeli chciałby pan raz jeszcze spotkać się osobiście z tymi dwoma agentami CIA, to obaj są w Waszyngtonie.

— Jeżeli to możliwe... — Koga upił łyżeczek z filiżanki. Wolałby herbatę, ale Ryan tak się starał być dobrym gospodarzem, a jego gest tak go ujął, że nie chciał wybrzydaniem psuć atmosfery. — Raz jeszcze dziękuję za zaproszenie mnie na uroczystości, panie prezydencie.

— Zanim do tego wszystkiego doszło, próbowałem rozmawiać z Rogerem na temat problemów handlowych, ale... No cóż, widać byłem za mało przekonywujący. Potem obawiałem się, że coś się może stać z Goto, ale nie działałem dość szybko. Wie pan, mieliśmy wtedy na głowie tę wizytę w Rosji i tak dalej. To wszystko, co potem zaszło, to jedno wielkie nieporozumienie, jak każda wojna. Tak czy inaczej, naprawa szkód spoczywa teraz w naszych rękach i myślę, że im szybciej tego dokonamy, tym lepiej.

— Wszyscy spiskowcy zostali aresztowani i będą sądzeni za zdradę stanu — obiecał Koga.

— To wasza sprawa — odparł Ryan. Nie była to do końca prawda. Japońskie sądy dość dowolnie traktowały prawo, naginając je czasem do zwyczajów głęboko zakorzenionych w kulturze, co dla Amerykanów było nie do pomyślenia. Ryan i Ameryka oczekiwali, że przynajmniej w tej sprawie wszystko odbędzie się w zgodzie z literą prawa i Koga doskonale to rozumiał. Od tej sprawy zależało pojednanie między Ameryką i Japonią oraz wiele drobniejszych spraw, o których nie miejsce i nie czas było teraz mówić. Ze swej strony Koga upewnił się, że sędziowie wyznaczeni do tej sprawy zdają sobie sprawę z wagi problemu.

— Nigdy nie myślałem, że może dojść do czegoś takiego. Ten szaleniak Sato... Przyniósł hańbę naszemu narodowi i krajowi. Tyle trzeba będzie teraz zrobić...

— Po obu stronach — kiwnął głową Jack. — Zrobimy to. — Przerwał na chwilę. — Sprawami technicznymi niech się zajmują ministrowie. Między nami mówiąc, chciałem się tylko upewnić, że rozumiemy się nawzajem. Wierzę w pańską dobrą wolę.

— Dziękuję, panie prezydencie. — Koga odstawił filiżankę i przyglądał się swojemu rozmówcy, siedzącemu na sofie po drugiej stronie stolika. Jak na tak wysokie stanowisko, był jeszcze człowiekiem młodym, choć w przeszłości piastowali to stanowisko ludzie jeszcze młodszy. Theodore’a Roosevelta chyba już nikt w tym względzie nie przebije. Po drodze z Tokio czytał opracowanie na temat Johna Patricka Ryana. Więcej niż jeden raz przyszło mu osobiście zabijać ludzi, grożono śmiercią jemu i jego rodzinie, a potem podobno robił także rzeczy, o których ludzie z jego wywiadu tylko spekulowali. Spoglądając na twarz rozmówcy zastanawiał się, jak to możliwe, że ktoś taki może być tak oddany sprawie pokoju. Nie znalazł jednak na niej żadnych wskazówek i zaczął się zastanawiać, że może w naturze Amerykanów leży coś, czego dotąd nie pojmował. Widział w niej inteligencję i ciekawość, ale i zmęczenie oraz smutek. Te ostatnie dni musiały mu niezłe dać w kość, tego Koga był pewien. Gdzieś tu, w tym budynku, mieszkały nadal dzieci Rogera i Anne Durlingów, a to musiało być dla tego człowieka dodatkowym, niemal fizycznym, ciężarem. Premiera uderzył fakt, że choć Ryan, jak większość ludzi Zachodu, miał trudności z ukrywaniem emocji, jego błękitne oczy nie zdradzały, co się za nimi dzieje. Spojrzenie nie niosło groźby, ale pobudzało

ciekawość. Ryan chyba rzeczywiście jest samurajem, jak powiedział o nim w swoim biurze kilka dni temu. Koga odłożył na bok te rozważania. To nie było w tej chwili najważniejsze, a poza tym było coś, o co chciał spytać. Coś, co mu przyszło do głowy nad środkiem Pacyfiku.

— Jeżeli to możliwe, chciałbym pana o coś poprosić.

— Słucham pana, o co chodzi?

* * *

— Panie prezydencie, to chyba nie jest najlepszy pomysł — zaprotestowała kilka minut później Andrea Price.

— Dobry czy zły, ma być zrealizowany. Proszę się zająć przygotowaniami.

— Tak jest — powiedziała Andrea i wyszła.

Koga obserwował tę scenę i dowiedział się o Ryaniu jeszcze czegoś. Ten człowiek potrafił podejmować decyzje i wydawać rozkazy, nie bawiąc się w teatralne sztuczki.

Samochody stały nadal u Zachodniego Wejścia, więc przygotowania polegały jedynie na założeniu płaszczy i zajęciu miejsc. Cztery Suburbany zawróciły na parkingu

i ruszyły na południe, wkrótce skręcając na wschód, ku Wzgórz. Tym razem jechali w całkowitej ciszy, bez żadnych syren ani świateł i ściśle stosując się do przepisów ruchu drogowego. No, może niezupełnie. Puste ulice ułatwiały przeskakiwanie czerwonych świateł, więc w bardzo krótkim czasie dojechali pod Kapitol. Na Wzgórz było dużo mniej świateł, niż dotąd. Schody zostały uprzątnięte z gruzu, więc wejście na górę nie przypominało już karkołomnej wspinaczki, jak tuż po katastrofie. Ryan poprowadził Kogę schodami i wkrótce patrzyli w dół na lej, w miejscu gdzie jeszcze kilka dni temu była izba posiedzeń plenarnych.

Japoński premier stał wyprostowany przez chwilę, potem głośno klasnął w dłonie, by ściągnąć na siebie uwagę duchów zabitych, które, zgodnie z jego religią, nadal krążyły w pobliżu. Ukłonił im się głęboko i zaczął modlitwę. Ryan poczuł potrzebę pójścia w jego ślady. Żadna kamera nie uwieczniała tego momentu, bo choć pozostało ich tam jeszcze kilka, dzienniki były już pomontowane i kamery po prostu stały bez ruchu, a ich obsługi piły kawę w wozach transmisyjnych, nie mając pojęcia, co się dzieje kilkaset metrów od nich. Po zakończeniu modlitwy Amerykanin wyciągnął rękę do swego japońskiego gościa i obaj mężczyźni spojrzeli sobie głęboko w oczy, osiągając to,

czego nie udało się przez miesiące ministerstwom, sztabom i traktatom. W ten zimny, wietrzny lutowy wieczór między oboma państwami nareszcie zapanował trwały pokój. Andrea Price, stojąca parę metrów od nich, skinęła na fotografa Białego Domu, przy okazji mrugając oczyma, by pozbyć się łez w kącikach oczu. Cholerny wiatr. A potem poprowadziła obu przywódców wraz z ich ochroną w dół do samochodów.

* * *

— Ale dlaczego zareagowali tak brutalnie? — zapytała pani premier, podnosząc kieliszek sherry.

— No cóż, jak pani wie, nie znam tych wydarzeń zbyt dobrze — zastrzegł się książę Walii, dając do zrozumienia, że nie wypowiada się w tej chwili w imieniu Korony — ale wasze manewry morskie naprawdę wyglądały na bardzo poważne zagrożenie.

— Sri Lanka musi uporać się z problemem tamilskim. Tamilowie uparcie odmawiają przystąpienia do poważnych rozmów, więc staramy się ich do tego nakłonić, także przez demonstracje siły. W końcu mamy na wyspie swoje wojska w ramach sił pokojowych, a to sporo kosztuje i nie możemy ich tam utrzymywać w nieskończoność.

— Rozumiem, ale dlaczego w takim razie odmówiła pani wycofania tych sił na prośbę rządu Sri Lanki?

Pani premier westchnęła ciężko. Była zmęczona po długim locie, a nieoficjalna atmosfera spotkania pozwalała na wiele.

— Wasza Wysokość, gdybyśmy wycofali wojska, zanim zapanuje tam trwały pokój, mielibyśmy znowu kłopoty z naszymi własnymi Tamilami. To bardzo niezręczna sytuacja. Próbowaliśmy pomóc przełamać przedłużający się polityczny impas, ale okazało się, że rząd lankijski nie jest w stanie własnymi siłami zakończyć wojny domowej u siebie, która groziła destabilizacją także u nas. A wtedy zupełnie bez powodu wmieszali się w to jeszcze Amerykanie, zadając nam poważne straty i wzmacniając rebelię.

— A kiedy przyleci premier Sri Lanki? — zapytał ksiązę. Odpowiedzią był grymas na twarzy pani premier.

— Zaoferowaliśmy mu wspólny przelot, tak, byśmy mogli po drodze wyjaśnić kilka spraw, ale, niestety, odmówił. Chyba jutro. O ile z ich samolotem nic się po drodze nie stanie — dodała. Cejloński przewoźnik słyszał ze złego stanu technicznego swej floty, na co jeszcze nakładało się ciągle zagrożenie zamachami terrorystycznymi.

— Jeżeli sobie pani życzy, nasz ambasador może zaaranżować wam dyskretne spotkanie na neutralnym gruncie.

— Myślę, że nie przyniosłoby to żadnego rezultatu. Wolałabym raczej, żeby Amerykanie zrozumieli wreszcie, co się dzieje w naszej części świata. Oni są tak beznadziejni w tej kwestii. . .

A, tu cię boli, zrozumiał wreszcie cel tej rozmowy księżę. Wiedziała, że on i Ryan przyjaźnią się od lat, więc Indie chcą, by stał się ich pośrednikiem w kontaktach z nowym prezydentem. No cóż, to już nie pierwszy raz, kiedy ktoś składa mu podobną propozycję, ale za każdym razem następca tronu konsultował się najpierw z rządem, a więc w przypadku Waszyngtonu z ambasadorem, przedstawicielem rządu Jej Królewskiej Mości. Zresztą obecność w tym miejscu akurat jego, przedstawiciela rodziny królewskiej, a nie rządu, także wynikała z politycznej kalkulacji kogoś z Whitehall, kto wpadł na pomysł, że jego osobista przyjaźń z nowym prezydentem może znaczyć więcej niż rutynowe kontakty międzyrządowe. Poza tym Jego Wysokość mógł przy okazji odwiedzić tereny w Wyoming, będące własnością rodziny królewskiej.

— Rozumiem — odparł książę. Więcej nie mógł w tej chwili powiedzieć, ale wiedział, że Wielka Brytania weźmie prośbę Indii pod poważną rozwagę. Indie, niegdyś perła w koronie brytyjskiego imperium, nadal pozostawały ważnym partnerem handlowym, choć często dostarczały także poważnych zmartwień. Bezpośredni kontakt dwóch głów państw mógł być kłopotliwy, jako że przesławne lanie, które hinduska marynarka zebrała od Amerykanów, utonęło jakoś we wrzawie z okazji zakończenia wojny z Japonią i obu stronom zależało na utrzymaniu tego stanu rzeczy. Ryan miał wystarczająco zmartwień na głowie, stary przyjaciel zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Miał nadzieję, że Jack miał chociaż czas się wyspać. Rozglądając się po sali widział, że większość gości walczy z sennością, co było następstwem gwałtowej zmiany czasu. Przez najbliższe dwa dni bardzo mu się przydadzą siły, których w ten sposób nabierze.

Kolejka ciągnęła się bez końca, sięgała aż za Budynek Skarbu, a jej koniec przypominał postrzępiony koniec liny, który dopiero po jakimś czasie splatał się i wyciągał w równą, zdyscyplinowaną kolejkę. Sprawiało to wrażenie, iż kolejka tworzy się z niczego, jakby z powietrza wciągała kolejnych chętnych, dzięki którym nie skracała się mimo żwawego tempa posuwania. Ludzi wpuszczano do budynku w grupach po około

pięćdziesiąt osób, a wpuszczaniem kolejnych grup rządził ktoś, kto albo patrzył na zegarek, albo liczył przesuwających się obywateli. Wokół trumien stała warta honorowa, wystawiona przez wszystkie cztery rodzaje broni, którą w tej chwili dowodził kapitan Sił Powietrznych. Wartownicy stali nieruchomo wśród potoku ludzi, przesuwających się przez salę.

Ryan, od chwili, gdy przyjechał do biura, na ekranie telewizora oglądał twarze wchodzących do sali ludzi. Zastanawiał się, co też oni myślą i dlaczego tu przyszli. Przecież tylko niewielka część z nich popierała Rogera Durlinga. Roger trafił na ten fotel niemal w ten sam sposób, co Ryan, jako wiceprezydent, zastępując ustępującego ze stanowiska Boba Fowlera. Ameryka jednak zawsze jednoczyła się wokół swego prezydenta, niezależnie od tego, w jaki sposób dostawał się do Białego Domu. Dotyczyło to zwłaszcza prezydentów, którzy zginęli w czasie kadencji i teraz Roger zbierał wyrazy szacunku i miłości, których za życia zapewne nigdy by się nie doczekał.

* * *

A właściwie czemu by nie? Taka myśl wpadła im do głowy, gdy wylądowali na lotnisku Dullesa. Mieli szczęście i znaleźli tani motel przy Żółtej Linii metra. Potem pojechali podziemną kolejką do miasta i wysiedli na Farragut Station, parę przecznic od Białego Domu, żeby się rozejrzeć. Dla obu był to pierwszy raz w stolicy, w tym przeklętym małym miasteczku nad poboczną rzeczułką, które wysysało krew i pieniądze z całego kraju, w zamian trując je swymi miazmatami. Znalezienie końca kolejki zajęło im trochę czasu, potem spędzili w niej kilka godzin. Przynajmniej wiedzieli, jak się ubrać odpowiednio do temperatury, a nie jak ci idioci ze Wschodniego Wybrzeża, którzy trzęśli się obok w kolejce w cienkich płaszczykach i z gołymi głowami. Nabijając się z nich, przynajmniej mogli się powstrzymać od wymiany żarcików na temat tego, co się stało. Zamiast tego słuchali, co mówili ludzie z kolejki. Bardzo się na nich zawiedli. Wielu z nich pewnie było pracownikami federalnymi i rząd płacił im za to, żeby teraz roztkliwiali się nad tym, jakie to smutne, jakim klawym facetem był prezydent Durling, jaką sympatyczną miał żonę i jakie ładne dzieciaki, którym teraz musi być okropnie.

Fakt, nawet oni musieli przyznać, że dzieciaki nie były temu wszystkiemu winne i pewnie czuły się okropnie. Każdy lubi dzieci i lituje się nad nimi, nie? Ale w końcu kwoka też nie lubi widoku jajeczniczy. A czy one bardzo się roztkliwiały nad losem tych wszystkich uczciwych obywateli, którzy cierpieli prześladowania ze strony ich tatusia tylko dlatego, że żądali, aby ta cała banda darmozjadów z Waszyngtonu respektowała prawa gwarantowane im przez konstytucję? Nie mówili im tego. Trzymali gęby na kłódkę i dreptali powoli wzdłuż ulicy. Obaj znali historię Budynku Skarbu, który zasłaniał ich przed podmuchami lodowatego wiatru. Pamiętali, że to Andy Jackson kazał go przesunąć, żeby nie widzieć z Białego Domu Kapitolu (i tak było jeszcze za ciemno, żeby cokolwiek mogli zobaczyć), powodując słynny i denerwujący niektórych występ w zabudowie Pennsylvania Avenue. W tej chwili to i tak nikomu nie przeszkadzało, bo ulicę zamknięto dla ruchu. I po co? Żeby chronić prezydenta przed jego własnymi współobywatelami! Bo przecież obywatelom nie można ufać i dopuszczać zbyt blisko tronu. Nie mogli tego mówić w tym miejscu. Dyskutowali o tym w czasie lotu. Nigdy nie wiadomo, gdzie rząd nasłał swoich szpiegów, ale w tej kolejce do Białego Domu byli na pewno. Gdyby nie to, że tę nazwę wybrał ponoć Davy Crockett, nigdy nie przeszłaby

im ona przez gardło. Holbrook widział to w jakimś filmie, który nadawali w telewizji, chociaż tytułu nie pamiętał. Wiedział natomiast, że stary Dave był bez wątpienia tym samym typem dobrego Amerykanina, co oni, człowiekiem, który nadał imię swemu ulubionemu karabinowi.

Biały Dom był niczego sobie, a wewnątrz mieszkało kiedyś paru porządnych ludzi. Andy Jackson, który kiedyś powiedział Sądowi Najwyższemu, gdzie sobie może wsadzić swoje ględzenie. Lincoln, twardy, ale uczciwy kawał sukinsyna. Jaka szkoda, że ten kretyn Booth zabił go, zanim stary Abe zdołał zrealizować swój plan zapakowania wszystkich czarnuchów na statki i wysłania tam, skąd przyszedli, do Afryki, czy Ameryki Południowej. Z tego samego powodu lubili Jamesa Monroe, który nawet założył czarnuchom państwo w Afryce, Liberię, ale, niestety, jego następcom zabrakło jaj, żeby dokończyć to zbożne dzieło. Teddy Roosevelt, myśliwy i żołnierz, który chciał pójść daleko w reformowaniu rządu. To nie tego budynku wina, że ostatni z tych porządnych ludzi opuścił go dziewięćdziesiąt lat temu, a od tej pory mieszkały tu same miernoty. To był zresztą problem z całym Waszyngtonem. W końcu na Kapitolu bywali kiedyś

tacy ludzie, jak Henry Clay i Daniel Webster. Patrioci, a nie taka banda, jak ci, których usmażył ten żółtek.

Przekraczając ogrodzenie Białego Domu poczuli napięcie, jak żołnierz wkraczający na teren wroga. Przy bramie stali nie umundurowani strażnicy z Tajnej Służby, za bramą widać było żołnierzy piechoty morskiej. Cóż to za hańba! Piechota morska. Prawdziwi Amerykanie, nawet tych paru kolorowych, pewnie dlatego, że przechodzili ten sam trening, co biali. Może nawet było wśród nich trochę patriotów? Szkoda, że czarnuchy, ale na to się nic nie poradzi. I teraz ci wszyscy chłopcy muszą robić to, co im każą pieprzeni biurokraci. To okropne. Tyle że to były dopiero dzieciaki, może jeszcze zmadrzeją z czasem — przecież i w ich szeregach można by znaleźć wielu eks-wojskowych. *Marines* drżeli w długich płaszczach i białych rękawicach, a jeden z nich, plutonowy, sądząc z naszywek, otworzył wreszcie przed nimi drzwi.

Niezły domek, pomyśleli, rozglądając się ciekawie po wysokim przedsiionku. A więc na to idą ich podatki? No, nic dziwnego, że niejednemu w tych murach zdrowo odbija i zaczyna się uważać za nie wiadomo kogo. Takiego przepychu trzeba się wystrzeżać. Lincoln wychowywał się w górskiej chałupie, Teddy Roosevelt mieszkał

w namiocie, kiedy polował w górach, ale teraz przesiadują tu już tylko pieprzeni biurokraci. Wewnątrz było jeszcze więcej żołnierzy piechoty morskiej, warta honorowa wokół dwóch trumien i, co gorsza, tłum cywilów z drutami sięgającymi do uszu spod marynarek. Tajna Służba. Federalne gliny. Agenci Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. O, ta nazwa doskonale oddaje stosunek rządu do obywateli. Pierwszym buntem przeciw rządowi centralnemu była Whisky Rebellion⁵ — powód dla którego ich ruch nie do końca považał Jerzego Waszyngtona, który wtedy był prezydentem. Bardziej liberalnie nastawieni zauważali, że nawet dobremu człowiekowi zdarzały się złe dni, ale Waszyngton nie był facetem, z którym opłacałoby się szukać zwady. Nie patrzyli w twarze tajniakom — z nimi też nie opłacało się szukać zwady.

Agentka Price weszła do holu. Szef był bezpieczny w Gabinetce, ale jej obowiązki dowódcy ochrony rozciągały się na cały budynek. Kolejka ludzi oddających ostatni hołd prezydentowi nie stanowiła zagrożenia dla bezpieczeństwa Białego Domu. Z punktu widzenia Służby była po prostu niepotrzebną komplikacją. Nawet gdyby w kolejce

⁵Zamieszki wywołane w 1794 roku z powodu wprowadzenia przez sekretarza skarbu Alexandra Hamiltona podatku akcyzowego na alkohol, tytoń itp. (przyj. red.).

ukryła się cała banda, to pomiędzy dwiema parami zamykanych drzwi znajdowało się dwudziestu agentów z pistoletami maszynowymi. Wykrywacz metali wmontowany we framugę dyskretnie dawał znać, na kogo należało zwracać uwagę, a część agentów mełła w dłoniach pliki zdjęć ludzi podejrzewanych o przynależność do grup mogących sprawiać kłopoty i na bieżąco porównywała je z twarzami wchodzących. Poza tym mogli polegać na instynkcie i wyszkoleniu, pomagającym im wyszukiwać ludzi, których zachowanie odbiegało od normy. Problemem była mroźna pogoda na zewnątrz. Kiedy przemarznięci ludzie wchodzili do ciepłego pomieszczenia, wielu z nich wykonywało dziwne ruchy, które stopniowo przytępiały wrażliwość ochrony na zachowania mogące sygnalizować rzeczywiste nieprawidłowości. Część szurała i tupała butami, inni chodzili z rękami wbitymi głęboko w kieszenie, poprawiali ubrania, drżeli, rozglądali się dziwnie wokół — to wszystko rozpraszało uwagę agentów. I jeżeli tak zachowywał się na przykład człowiek, przy którego wejściu świeciła bramka wykrywające metale, agent sięgał ręką niby to do włosów, żeby je przeczesać, ale w rzeczywistości podstawiał sobie pod nos mikrofon, w który rzucał, na przykład:

— Facet w niebieskim płaszczu, metr osiemdziesiąt.

Taki komunikat powodował, że w kierunku faceta w niebieskim płaszczu obracało się pięć czy sześć głów i uważnie śledziło każdy jego ruch. A tymczasem był to tylko zwykły dentysta z Richmond, który właśnie przełożył wędkarski grzejnik do rąk z jednej kieszeni do drugiej. Jego twarz porównana została ze zdjęciami wywrotowców, tym razem już tylko wybranymi, tymi, którzy pasowali do niego wzrostem i, mimo że do żadnego z nich podobny nie był, aż do bramy na ulicę odprowadzały go już czujne spojrzenia agentów, a ukryta kamera zarejestrowała na wszelki wypadek jego twarz. W ekstremalnych przypadkach, gdyby na przykład któreś ze zdjęć pasowało, jeden z agentów mógł się wmieszać w grupę żałobników i śledzić takiego kogoś, by na przykład zapisać numery rejestracyjne jego samochodu. Dawno rozwiązane Dowództwo Lotnictwa Strategicznego uczyniło swoją dewizą słowa „Pokój to nasze zajęcie”. Dla Tajnej Służby zajęciem było kultywowanie paranoi — a że miała ona sens, świadczyły najlepiej dwie trumny, które ci ludzie dziś przychodzili obejrzeć.

* * *

Brown i Holbrook spędzili nad trumnami może pięć sekund. Dwie drogie trumny, zakupione bez wątpienia za państwowe pieniądze i bluźnierczo nakryte gwiazdzistymi flagami. No, może w przypadku Pierwszej Damy nie było to bluźnierstwo, bo kobieta była po prostu lojalna wobec swego męża i tak powinno być. Tłum wyniósł ich w lewo, a pokryte pluszem liny skierowały ku schodom. Czuć było zmianę, jaka zachodziła w ludziach. Wszyscy wzdychali, parę bab pociągało nosem, ale mężczyźni pozostali niewzruszeni, jak oni obaj. Po drodze do wyjścia podziwiali rzeźby dłuta Remingtona stojące wzdłuż korytarza, ale wkrótce odetchnęli z ulgą, gdy świeże powietrze położyło kres rządowemu zaduchowi. W milczeniu odeszli na ubocze.

— Ładne im jesionki kupiliśmy, nie? — zaczął Holbrook.

— Szkoda, że były zamknięte. — Brown rozejrzał się ostrożnie. W pobliżu nie zauważył nikogo, kto mógłby podsłuchać ich słowa. — Zostały po nich dzieciaki — powiedział po chwili. Ruszyli na południe, chodnikiem wzdłuż Pennsylvania Avenue.

— Tak, tak, zostały. I je też pewnie wychowają na pieprzonych biurokratów. —
Znowu przeszli parę kroków w milczeniu. — Cholera!

Nie było nic więcej do powiedzenia, więc Pete milczał, bo nie lubił powtarzać po Ernie'em.

Słońce wschodziło, a brak wysokiego budynku na Wzgórzu drastycznie rzucał się w oczy na ciemnym tle nocnego, zimowego nieba. To była ich pierwsza podróż do Waszyngtonu, ale obaj na tyle często widzieli ten pejzaż, że nieprawidłowość od razu rzuciła im się w oczy. Pete cieszył się, że Erniemu udało się go namówić do wyjazdu. Sam ten widok wystarczał, by wynagrodzić wszelkie niewygody podróży.

— Ernie — powiedział po chwili — jakież to inspirujący widok!

— Racja.

* * *

Objawy choroby zaczynały jednoznacznie wskazywać na jej rodzaj, więc bardzo martwiła się o swego pacjenta. Taki miły chłopiec i tak ciężko chory. Siostra Jeanne Baptiste mierzyła mu temperaturę, która nigdy nie spadała poniżej 40,4° Celsjusza. Już

sama gorączka mogła się okazać dla niego zabójcza, a przecież były i inne, jeszcze bardziej niepokojące symptomy. Nasilała się utrata orientacji przestrzennej, a w ślad za nią wymioty. W wymiocinach pojawiła się krew, co było oznaką wewnętrznego krwawienia. To wszystko mogło wskazywać na kilka chorób, ale ona najbardziej obawiała się, że to może być wirus ebola. W dżunglach tego kraju kryło się wiele chorób i choć konkurencja między nimi o tytuł najgorszego paskudztwa była zacięta, *Ebola Zaire* wygrywał ją o dwie długości. Znając wysokość stawki, pobierała krew do analizy bardzo ostrożnie. Pierwsza próbka gdzieś się zawieruszyła, bo, niestety, tutejszemu młodszemu personelowi medycznemu brakowało tej staranności, jaką daje porządne europejskie wykształcenie. Rodzice trzymali pacjenta za ramię, gdy wkłuwała się w żyłę i nabierała krew do pojemnika. Oczywiście, miała na rękach gumowe rękawiczki, ale wszystko poszło gładko, bo chłopiec był nieprzytomny. Wyciągnęła igłę z żyły i natychmiast wyrzuciła ją do plastikowego pojemnika na odpady do spalenia. Probówka była na zewnątrz bezpieczna, ale i ona natychmiast powędrowała do pojemnika. Najbardziej obawiała się o igłę. Zbyt wielu ludzi z administracji szpitala usiłowało oszczędzać pieniądze poprzez powtórne używanie sprzętu i to w dzisiejszych czasach, gdy AIDS i inne przenoszone

z krwią choroby były na porządku dziennym! Sama zniszczy ten pojemnik, żeby się upewnić, że igły, które przejdą przez jej ręce, nie będą ponownie używane.

Nie miała czasu dalej przyglądać się pacjentowi. Wychodząc z oddziału, przeszła łącznikiem do pozostałej części szpitala. Szpital miał długą i zaszczytną historię, a zbudowano go z pełnym uwzględnieniem miejscowych warunków. Składał się z dużej liczby niskich pawilonów, połączonych łącznikami, laboratorium też powstało na miejscu, ledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Byli w o tyle dobrej sytuacji, że od jakiegoś czasu wzięła ich pod nadzór WHO, Światowa Organizacja Zdrowia, dzięki której otrzymali dużo nowoczesnego sprzętu, oraz szczęściu młodych lekarzy po angielskich i amerykańskich szkołach. Szkoda tylko, że żadnych pielęgniarek.

Doktor Mohammed Moudi siedział przy stole w laboratorium. Wysoki, szczupły, o smagłej twarzy, odnosił się nieco oschle do innych ludzi, ale był bardzo poważnym specjalistą. Słyszając, że wchodzi, odwrócił się ku niej i zauważył, że bardzo starannie obchodzi się z pojemnikami przeznaczonymi do zniszczenia.

— A cóż tam mamy, siostrze? — zapytał.

— Próbkę krwi pacjenta Benedicta Mkusy, chłopca, lat osiem — odparła, podając lekarzowi historię choroby. Moudi wyjął kartę z koperty i zaczął czytać. Nic dziwnego, że siostra Jeanne Baptiste, doskonała pielęgniarka i pobożna kobieta, choć niewierna, bo przecież katoliczka, tak bardzo uważała z tą igłą. Ból głowy, dreszcze, zaburzenia równowagi, wymioty i na dodatek objawy krwawienia wewnętrznego. Gdy podniósł wzrok znad papierów, w jego oczach widać było zatroskanie. Jeżeli następne będą wybroczyny, to sprawa stanie się jasna.

— Czy on nadal leży na oddziale ogólnym?

— Tak, panie doktorze.

— Proszę go natychmiast przenieść do izolatki. Przyjdę tam za pół godziny.

— Tak jest, panie doktorze.

Wychodząc obtarła pokryte potem czoło. Przeklęty upał. Europejczyk może tu przeżyć całe życie i ciągle się do niego nie przyzwyczaić. Chyba trzeba będzie wziąć aspirynę.

7 — Publiczny wizerunek

Zacząło się wcześniej, gdy dwa samoloty *E-3B Sentry* wystartowały o 8.00 czasu miejscowego z bazy Sił Powietrznych Tinker w Oklahomie i skierowały się do bazy Pope w Północnej Karolinie. Wreszcie ktoś doszedł do wniosku, że zamknięcie wszystkich lotnisk jest lekką przesadą. Zamknięte pozostało lotnisko National, do którego zresztą i tak już kongresmani nie śpieszyli w weekendy, by rozlecieć się do swoich okręgów wyborczych. Loty z National podzielono między oba pozostałe lotniska: Dulles i Waszyngton-Baltimore i zaplanowano tak, by omijały przestrzeń powietrzną w promieniu trzydziestu kilometrów wokół Białego Domu. Kontrolerzy ruchu powietrznego dostali

w tej sprawie bardzo stanowcze instrukcje. Jeżeli jakkolwiek statek powietrzny chciałby się kierować w stronę strefy zakazanej, mieli nawiązać z nim łączność i nakazać mu zmianę kursu. Gdyby to nie poskutkowało, intruza przechwycić miała dyżurna para myśliwców, a gdyby i to nie odniosło skutku, koniec intruza byłby oczywisty i spektakularny, bo dyżurna para uzbrojona została w ostrą amunicję i bojowe rakiety. Wokół miasta, na pułapie odpowiednio sześciu i siedmiu tysięcy metrów, krążyły dwie grupy po cztery *F-16* każda, gotowe w każdej chwili przechwycić intruza. Wybór pułapu podyktowany był tym, że z tej wysokości samolotów niemal nie było słychać na ziemi, a w razie potrzeby mogły zwalić się przez skrzydło i szybko osiągnąć prędkość naddźwiękową w nurkowaniu. Z ziemi nie było ich słychać, ale smugi kondensacyjne, ciągnące się za nimi, wprawnemu obserwatorowi mówiły równie wiele, co podobne smugi ciągnące się podczas II wojny światowej za bombowcami 8. Armii Powietrznej w drodze nad niemieckie miasta.

O tej samej porze 260. Brygada Żandarmerii waszyngtońskiej Gwardii Narodowej obstawiła skrzyżowania, by „kierować ruchem”. W bocznych uliczkach stanęło ponad sto *Hummvie*, którym towarzyszyły pojazdy policji i FBI, blokując dojazd do trasy kon-

duktu. Ulice wzdłuż trasy obstawiła warta honorowa, wybrana ze wszystkich rodzajów wojsk i nikt nie był pewien, czy ich karabiny nie są aby załadowane. Mimo to atmosfera wyraźnie się rozluźniła, bo z ulic zniknęły pojazdy opancerzone.

W mieście przebywało sześćdziesięciu dwóch szefów państw, więc zapewnienie im wszystkim bezpieczeństwa oznaczało koszmar dla wszystkich, a media starały się, by nikt nie utracił okazji wzięcia udziału w tym pandemonium.

Na ostatnią tego typu okazję Jacqueline Kennedy wybrała, ku powszechnemu zgorzeleniu, poranną toaletę, ale minęło już trzydzieści pięć lat, więc tym razem wystarczą ciemne służbowe garnitury, chyba że któryś z gości zdecyduje się wystąpić w mundurze (na przykład księżę Walii jest przecież oficerem), lub w stroju narodowym, co dotyczyło głównie gości z egzotycznych krajów. Część z nich zdecydowała się, mimo mrozu, pocierpieć w imię narodowej dumy i zwyczaju. Już zebranie ich i dostarczenie do Białego Domu nastroczało niemało problemów. W jakiej kolejności ustawić tę procesję? Według alfabetu? Ale jak: według nazwisk, czy nazw krajów? A może według starszeństwa na urzędzie, tak jak się ustawia hierarchię ambasadorów? No tak, ale wtedy na pierwszych miejscach znajdą się głównie dyktatorzy, z którymi być może Ameryka

ma poprawne stosunki, ale którym wcale nie ma zamiaru udzielać w ten sposób pomocy na arenie międzynarodowej. W końcu jakoś wszyscy przyjadą do Białego Domu i przejdą obok trumien, oddając cześć prochom zmarłego prezydenta. Potem pojawią się w Sali Wschodniej, gdzie grupa urzędników Departamentu Stanu będzie starała się ich jakoś zabawić kawą i ciasteczkami.

Ryanowie kończyli się właśnie ubierać na górze, przy pomocy personelu Białego Domu. Najlepiej znosiły tę pomoc dzieci, przyzwyczajone do tego, że rodzice przyczesują im włosy przed wyjściem. Teraz odczuwały dziwą satysfakcję, widząc, jak ktoś robi to samo tacie i mamie. Jack trzymał w ręku tekst swojego pierwszego przemówienia. Było już za późno na to, żeby zamknąć oczy i próbować się obudzić z tego snu. Czuł się jak skrajnie wyczerpany bokser, niezdolny do wykonania uniku, ale stojący twarzą do przodu, inkasujący każdy cios i troszczący się już tylko o to, by nie skompromitować się przed publicznością. Mary Abbot skończyła układać mu włosy i teraz utrzymała fryzurę lakierem. Ryan nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego z własnej woli.

— Czekają już na pana, panie prezydencie — powiedział Arnie.

— Wiem — mruknął Jack, oddając tekst mowy agentowi Tajnej Służby. Wyszedł z pokoju, a za nim ruszyła Cathy, prowadząc za rękę małą Katie. Sally wzięła za rękę Jacka juniora i podążyli za rodzicami na korytarz i potem schodami na dół. Prezydent Ryan schodził wolno kręconymi schodami, a potem skierował kroki w lewo, ku Sali Wschodniej. Głowy obróciły się ku niemu, gdy wszedł przez drzwi. Wszyscy patrzyli na niego, ale nie były to zwyczajne, zdawkowe spojrzenia na nowego gościa. Prawie każda para oczu należała do jakiejś głowy państwa, albo ambasadora, który wieczorem usiadł do pisania raportu na temat tego, co widział i czego zdołał się dowiedzieć o nowym prezydencie USA lub wywnioskować z jego zachowania. Szczęściem Jacka było to, że pierwsza osoba, z którą miał tu do czynienia, nie należała do żadnej z tych kategorii.

— Panie prezydencie — powiedział mężczyzna w galowym mundurze Królewskiej Marynarki Wojennej. Jego ambasador zgrabnie to załatwił. Zresztą Londyn także był zadowolony z nowego układu. Specjalne stosunki, zawsze łączące Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, musiały stać się jeszcze bardziej specjalne, skoro na fotelu prezydenta zasiadł kawaler Krzyża Komandorskiego Orderu Wiktorii.

— Wasza wysokość — odparł prezydent Ryan i pozwolił sobie na uśmiech, ściskając podaną na powitanie dłoń. — Szmat czasu upłynął od tamtego dnia w Londynie, gdy się poznaliśmy.

— Rzeczywiście.

* * *

Słońce nie grzało tak, jak powinno, co było sprawką lodowatego wiatru, a ostre cienie powodowały, że wszystkim wydawało się, że jest jeszcze zimniej niż w rzeczywistości. Policja waszyngtońska otwierała procesję eskortą motocyklistów, za którymi kroczyło trzech doboszów i drużyna żołnierzy z trzeciego plutonu kompanii B pierwszego batalionu 501. pułku piechoty spadochronowej 82. Dywizji Powietrznodesantowej, w którym kiedyś służył Roger Durling. Za żołnierzami prowadzono konia bez jeźdźca, z odwróconymi butami w strzemionach i dwie lawety armatnie, na których wieziono obok siebie trumny męża i żony. Potem zaczynała się długa kolumna samochodów. Zimne powietrze niesło warkot werbli daleko wzdłuż kamiennych kanionów ulic. W miarę jak procesja postępowała na północny zachód, marynarze, żołnierze, lotnicy i *marines*

z warty honorowej prezentowali broń, najpierw przed starym, a potem przed nowym prezydentem. Wśród publiczności większość mężczyzn odsłaniała głowy przed trumnami, choć część o tym zapomniała.

Brown i Holbrook nie zapomnieli. Durling mógł sobie być pieprzonym biurokrata, ale trumny okrywała flaga, a fladze należała się cześć, bo to nie jej wina, że do niecných celów ją użyto. Widzieli żołnierzy w czerwonych beretach i wysokich sznurowanych butach spadochroniarskich, którymi tłukli w bruk aż miło i wiedzieli z radia, że znaleźli się tutaj, bo Durling był jednym z nich. Widzieli też dwóch żołnierzy, krocących przed lawetami, z których jeden niośł flagę prezydencką, a drugi oprawione w ramkę odznaczenia bojowe prezydenta. Jedno z nich dostał za uratowanie jednego ze swoich podwładnych pod ogniem. Słyszeli, że ten żołnierz też gdzieś maszeruje w procesji pogrzebowej, a zanim ruszyła, udzielił kilkunastu wywiadów, bardzo ciepło wspominając tamten dzień. Szkoda, że po tym wszystkim tak zszedł na psy, pomyśleli.

Nowego prezydenta też zobaczyli, przejeżdżał obok limuzyną, którą łatwo było poznać, bo przy każdym jej rogu truchtał agent Tajnej Służby. Ten nowy był dla nich zagadką. Wiedzieli o nim tyle, co wyczytali z gazet i widzieli w telewizji. Strzelec. I to

ponoć niezły. Pisali, że zabił własnoręcznie dwóch ludzi, jednego z pistoletu, drugiego z Uzi. W dodatku były oficer piechoty morskiej. To budziło sympatię i nadzieję. Ale w telewizji pokazywali do znudzenia także jego przemówienia i konferencje prasowe oraz występy w programach telewizyjnych. Te pierwsze wychodziły mu jeszcze jako tako, widać było, że jest kompetentnym mówcą, ale w talk shows wyraźnie czuł się nie na miejscu.

Większość okien przejeżdżających limuzyn miała przyciemnione okna, ale ta prezydencka, rzecz jasna, nie. Z chodnika widać było, że jego troje dzieci siedziało przed nim, na odchylanych siedzeniach, tyłem do kierunku jazdy, a żona obok niego.

* * *

— Właściwie co wiemy na pewno o prezydencie Ryanie?

— Niewiele — przyznał komentator. — Jego służba państwowa miała głównie związek z CIA. Cieszył się uznaniem Kongresu, co w tych kręgach rzadkie i to obu stron sali, co właściwie się nie zdarza. Od wielu lat współpracował w Kongresie z deputowanymi Alem Trentem i Samem Fellowsem, i może dzięki temu obaj oni przeżyli tę katastrofę.

Wszyscy słyszeliśmy już nie raz o tej historii sprzed lat, gdy zaatakowali go terroryści...

— Tak, to zdumiewająca historia, jakby żywcem z Dzikiego Zachodu — przerwał mu dziennikarz. — Ale co sądzić o prezydencie, który...

— Zabijał ludzi? — odwdzieczył się pięknym za nadobne komentator. Miał już dość pracy w nadgodzinach, zwłaszcza z tym nadętym dupkiem. — No cóż, nie on pierwszy w naszej historii. Jerzy Waszyngton był generałem, Andy Jackson też. William Henry Harrison był żołnierzem, Grant i większość prezydentów obejmujących urząd po wojnie secesyjnej też. Potem oczywiście Teddy Roosevelt. Truman był żołnierzem. Eisenhower. Kennedy służył w Marynarce, podobnie jak Nixon, Carter i George Bush — to zwięzłe, ale treściwe przypomnienie historii wyraźnie zrobiło wrażenie na redaktorze, więc przezornie zmienił temat.

— Ale został wybrany wiceprezydentem właściwie tylko jako tymczasowy zastępca, w nagrodę za swoją rolę w rozwiązaniu konfliktu z Japonią, czyż nie? — Wszyscy w telewizji wystrzegali się słowa „wojna” na określenie tego, co zaszło między Ame-

ryką a Japonią w ostatnich tygodniach. To miało pokazać staremu komentatorowi jego miejsce. A poza tym, kto powiedział, że prezydent ma prawo do miodowego miesiąca?

* * *

Ryan chciał raz jeszcze zajrzeć do swej przemowy, ale okazało się, że nie było na to czasu. W limuzynie panował chłód, ale to i tak nic w porównaniu z sytuacją na chodnikach, gdzie ci wszyscy ludzie stali na mrozie, w pięciu czy dziesięciu rzędach wzdłuż ulic i odprowadzali wzrokiem przejeżdżające samochody. Byli tak blisko, że widać było wyraz ich twarzy. Wielu pokazywało go palcami i coś mówiło, pewnie informując innych, że to jedzie ich nowy prezydent. Niektórzy kiwali mu dłońmi, wyraźnie zakłopotani i nie wiedzący, czy ten gest jest na miejscu w takich okolicznościach, ale chcieli mu jakoś przekazać, że są z nim, że mu współczują. Inni kłaniali się z tym typowo pogrzebowym uśmiechem, mówiącym: „Trzymaj się, chłopie”. Jack zastanawiał się, czy odpowiadać im gestami, ale zdecydował, że nie. Patrzył więc tylko na nich z neutralnym, jak mu się wydawało, wyrazem twarzy, nic nie mówiąc, bo nawet nie wiedział, co

mógłby im powiedzieć. To będzie napisane w przemówieniu, pomyślał, rozczarowany tym, że jemu nic w tej chwili nie przychodziło na myśl.

* * *

— Nie wygląda na zachwyconego — szepnął Brown do Holbrooke’a. Poczekali kilka minut, aż tłum się przeredzi. Nie wszyscy widzowie zainteresowani byli oglądaniem kolumny zagranicznych dygnitarzy, tym bardziej, że jechali w limuzynach z ciemnymi szybami i zamkniętymi oknami. Bez tego, śledzenie flag na błotnikach zamieniało się w grę pod hasłem: „Jezu, a co to za jeden?”, w dodatku zwykle z niewłaściwymi odpowiedziami, bo Amerykanie, mając ogromną ilość informacji do przyswojenia o własnym olbrzymim kraju, resztę świata traktowali w szkołach bardzo ogólnikowo. Skoro więc tłum zaczął się rozchodzić, Ludzie z Gór przepchnęli się do parku.

— On chyba jest inny — zaryzykował Holbrook.

— E, tam, inny. To taki sam biurokrata. Pamiętasz „Zasadę Petera”? — To była książka, która w ich opinii wyjaśniała mechanizmy rządzące administracją rządową.

W każdej hierarchii ludzie awansowali tak długo, aż osiągnęli stanowisko odpowiadające poziomowi swojej niekompetencji. — Ja myślę o tym w ten sposób.

— Może to i racja. . . — odparł Pete, oglądając się raz jeszcze ku ulicy, kolumnie samochodów i furkoczącym chorągiewkom.

* * *

Ochrona w Katedrze Narodowej była wręcz hermetyczna. Agenci Tajnej Służby wiedzieli o tym i wiedzieli także, że żaden zabójca — prawdziwy, a nie wytwór hollywoodzkiej wyobraźni — nie zaryzykuje życiem w takich warunkach. Na dachu każdego budynku, z którego widać było neogotycką katedrę, znajdowali się policjanci, żołnierze i agenci Tajnej Służby, w tym snajperzy Tajnej Służby, z ich precyzyjnymi karabinami, które, za dziesięć tysięcy dolarów od sztuki, zapewniały w rękach kompetentnego strzelca trafienie w cel wielkości głowy z dystansu ponad siedmiuset metrów. A zespół snajperów Służby składał się wyłącznie z kompetentnych strzelców, o czym świadczyły tytuły zdobywane przez nich na każdym zawodach strzeleckich z regularnością i nieuchronnością przyływów morza. Codzienne treningi pozwalały tej elitarnej gru-

pie utrzymać umiejętności na niezmiennie wysokim poziomie. Zawodowiec, wiedzący o ich obecności, na pewno da sobie spokój, a amatorów mogły odstraszyć inne, bardziej ostentacyjne przygotowania, które każdego potencjalnego zamachowca musiały natchnąć wątpliwościami, czy to aby dobry dzień na umieranie.

Napięcie dawało się wszystkim we znaki, a gdy na horyzoncie pojawiła się procesja, agenci spięli się jeszcze bardziej. Jeden z nich, wyczerpany trzydziestogodziną już służbą, pił właśnie kolejny kubek kawy, gdy potknął się i wylał jego zawartość na kamienne stopnie katedry. Klnąc pod nosem, zgniótł w dłoni plastikowy kubek i wcisnął go w kieszeń. Rozejrzał się wokół, a nie widząc nic podejrzanego, zameldował do mikrofonu wpiętego w klapę, że na jego posterunku wszystko w porządku. Plama kawy zamarzła niemal natychmiast na lodowatym granicie schodów.

Wewnątrz katedry inny zespół agentów przetrząsał po raz ostatni wszelkie ciemne kąty i zajmował wyznaczone na czas ceremonii posterunki. Pracownicy protokołu dyplomatycznego w pośpiechu czynili ostatnie przygotowania, sprawdzając wszystko z instrukcjami przesłanymi w ostatniej chwili faksem i zastanawiali się, co też tym razem pójdzie nie tak.

Lawety zajęły pod katedrę, a w ślad za nimi zaczęły podjeżdżać kolejno limuzyny. Ryan wysiadł z samochodu pierwszy i skierował się ku Durlingom, a za nim podążyła rodzina. Dzieci były nadal zszokowane. Jack nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej. Co może zrobić człowiek w chwilach takich jak ta? Położył rękę na ramieniu syna swego poprzednika. Za nimi ustawiał się orszak oficjalnych gości. Pozostali napływali do katedry bocznymi wejściami, przechodząc przez przenośne bramki do wykrywania metali. Wcześniej w ten sam sposób sprawdzono kościelnych i chórzystów, którzy zajmowali właśnie swoje miejsca.

Jack pomyślał, że Roger musiał być dumny ze służby w 82. Dywizji. Żołnierze, którzy prowadzili orszak, weszli do kościoła i przygotowywali się do wzięcia udziału w uroczystości pod dowództwem młodego kapitana Sił Powietrznych i dwóch podoficerów. Wszyscy wyglądali bardzo młodo, zwłaszcza że głowy pod beretami mieli ogolone niemal na zero. Przypomniawszy sobie, że przecież widział zdjęcie ojca z czasów jego służby w „konkurencyjnej” 101. Dywizji w czasie II wojny światowej. Wyglądał na nim dokładnie tak, jak te dzieciaki, no może miał trochę więcej włosów, bo strzyżenie na zero nie było jeszcze tak modne w latach 40. Ale na jego twarzy malowała

się ta sama twardość, zadziorna duma i determinacja, by zrobić swoje, cokolwiek by się działo wokół. Przygotowania zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Ryan, podobnie jak żołnierze, nie mógł się rozglądać. Musiał stać na baczność, zupełnie jak wtedy, kiedy sam nosił mundur Korpusu. Pozwalał sobie tylko na rzucanie spojrzeń na boki. Dzieci kręciły głowami i przestępowały z nogi na nogę z zimna. Cathy, która ich pilnowała, przejmowała się ewentualnymi przeziębieniami tak samo, jak Jack, ale nic na to nie mogła poradzić, bo znaleźli się w sytuacji, która przerosła nawet rodzicielską troskę o dzieci. Czym było to cholerne poczucie obowiązku, że nawet świeżo osieroczone dzieci wiedziały, że trzeba tam po prostu stać i wytrzymać to wszystko?

Ostatni goście wysiedli wreszcie z samochodów i zajęli swoje miejsca. Żołnierze ruszyli do lawet, po siedmiu do każdej. Oficer dowodzący uroczystością odkręcił najpierw jeden, potem drugi uchwyt, a następnie żołnierze unieśli trumny i odeszli z nimi w bok, poruszając się jak roboty. Żołnierz niosący prezydencką flagę ruszył po schodach, a w ślad za nim podążyły trumny. Trumna prezydenta wnoszona była jako pierwsza, poprzedzał ją kapitan dowodzący wartą honorową, a przed drugą trumną wchodził jeden z sierżantów.

To nie była niczyja wina. Po każdej stronie trumnę trzymało trzech żołnierzy, stawiających kroki powoli, w takt komend sierżanta. Trochę już zeszywnieli po kwadransie z górą stania na baczność na mrozie, zaraz po długim spacerze w górę Massachusetts Avenue. Środkowy żołnierz z prawej strony poślizgnął się na zamrożonej kawie dokładnie w tej chwili, gdy wszyscy stawiali kolejny krok. Nieszczęśnik przewrócił się padając do środka, a nie na zewnątrz i podciął kolegę idącego za nim. Nierówno podparty ładunek ponad dwustu kilogramów drewna, metalu i zwłok prezydenta spadł na leżącego pośrodku żołnierza, łamiąc mu obie nogi na granitowych stopniach.

Tłum, czekających na zewnątrz katedry, wydał jęk grozy. Agenci Tajnej Służby podbiegli, obawiając się, że żołnierz padł od strzału oddanego przez snajpera. Andrea Price wysunęła się przed Ryana, trzymając pod płaszczem rękę na uchwycie pistoletu, a inni agenci ustawili się obok, gotowi w każdej chwili odciągnąć obie prezydenckie rodziny poza zasięg zagrożenia. Żołnierze już zdejmowali trumnę z rannego kolegi o twarzy nagle pobielącej z bólu.

— Lód — syknął przez zaciśnięte zęby do sierżanta. — Poślizgnąłem się. — Miał nawet na tyle samokontroli, by w ostatniej chwili powstrzymać przekleństwo, cisnące

mu się na usta, gdy pomyślał o kłopotach, jakich narobił. Agent spojrzął na stopień poniżej i zobaczył brązowawą, połyskującą plamę. Wykonał uspokajający gest pod adresem Andrei i potwierdził to przez mikrofon:

— To tylko poślizgnięcie, tylko poślizgnięcie.

Ryan skrzywił się na mgnienie oka, widząc całe zdarzenie. Roger Durling i tak tego nie czuł, ale dzieci, które odwróciły głowy, gdy trumna głucho rąbnęła o stopnie, musiały boleśnie odczuć to, że nawet po śmierci nie zaznaje spokoju. Pierwszy otrząsnął się syn, z powrotem stając sztywno jak przedtem, choć gdzieś w głębi musiał się przecież zastanawiać, czy ojca to nie bolało. Zaledwie parę godzin temu wstał w środku nocy, wyszedł ze swego pokoju na korytarz i chciał zapukać do pokoju rodziców by sprawdzić, czy może już wrócili.

* * *

— O mój Boże — jęknął komentator. Kamery pokazały w zbliżeniu, jak żołnierze wyciągają rannego kolegę spod trumny i jak sierżant zajmuje jego miejsce. Sekundę

później trumna została ponownie podniesiona i widać było wyraźnie odbitą politurę w miejscu, którym uderzyła w granit.

* * *

— Bacność! Naprzód marsz! — odezwał się sierżant ze swojego nowego miejsca. — Lewa!

— Tato! — zawołał Mark Durling. — Tato!

W ciszy, która zapadła po upadku trumny, wszyscy usłyszeli ten głos. Żołnierze zagryźli wargi. Agenci Tajnej Służby, których zawodowa duma i tak ciężko ucierpiała po utracie pryncypała, spojrzeli pod nogi, albo po sobie nawzajem. Jack instynktownie objął chłopca, ale nie miał pojęcia, co mógłby mu powiedzieć. Co jeszcze pójdzie nie tak? Na szczęście trumny prezydenta Durlinga i jego małżonki zostały doniesione do katedry bez żadnych incydentów.

— Już dobrze, Mark — powiedział Ryan, poklepując chłopca po ramieniu i prowadząc go ku drzwiom katedry. Gdyby choć na chwilę mógł mu jakoś ulżyć. Ale nie mógł i to jeszcze bardziej go przybiło.

Wewnątrz było nieco cieplej. Urzędnicy protokołu zajęli swoje miejsca i kierowali gości na wyznaczone miejsca. Ryanowie zajęli pierwszą ławkę po prawej, Durlingom przypadła pierwsza z lewej. Trumny spoczęły na katafalkach przed ołtarzem, a za nimi stały jeszcze trzy, jedna senatora i dwie kongresmanów, po raz ostatni występujących w roli reprezentantów narodu. Organy zagrały coś, czego Ryan nie rozpoznał. Dobrze przynajmniej, że to nie „Requiem” Mozarta z tym powtarzającym się, brutalnie brzmiącym motywem rodem z masońskiej procesji, które tak natrętnie wtyka się w ścieżkę dźwiękową każdego filmu o holokauście. Kapłani trzech wyznań ustawili się przed trumnami z wyrazem profesjonalnej zadumy na twarzach. Przed Ryanem, w miejscu, gdzie zwykle leżałby psalterz, ktoś położył tekst jego przemówienia.

* * *

Scena w telewizji należała do gatunku, który u ludzi jego profesji wywoływał obrzydzenie albo dreszcze rozkoszy, z którą żaden seks nie mógł się nawet równać. Ach, żeby to moja robota. . . Ale takie okazje mogły się zdarzyć tylko przypadkowo i nie pozostawiały czasu na przygotowania. Zadania tej wagi bez przygotowań nie da się po prostu

wykonać. Nie żeby to były jakieś trudności nie do pokonania, co to, to nie, ale trzeba trochę gimnastyki myślowej, żeby opracować metodę. Może znowu jego ulubiony moździerz? Dało by się go zamontować na platformie zwykłej ciężarówki, którą bez trudu można znaleźć w każdym większym mieście świata. A potem tylko wycelować i pocisk poszybuje ponad dachami i w dół, prosto do celu. W grę wchodzi stosunkowo duży cel, więc jak się odpali dziesięć, piętnaście, może nawet dwadzieścia pocisków, na pewno któryś trafi. Cel to cel, a terror to terror i nie ma się co roztkliwiać, skoro wykonuje się taki zawód.

— No i popatrz na nich wszystkich — mruknął. Kamery pokazywały ludzi zapelniających poszczególne ławki. Przede wszystkim mężczyźni, kobiet mało, pousadzanych według jakiegoś nie do końca przejrzystego klucza, część szepcząca coś sobie nawzajem, większość siedząca cicho i tępyim spojrzeniem omiatająca wnętrze. Potem dzieci zabitego prezydenta, syn i córka, siedzące tam z wyrazem twarzy dziecka nagle skrzywdzonego przez los. Co one mogą wiedzieć o życiu? Pozbierają się, nie ma co do tego wątpliwości. Dzieci zadziwiająco dobrze znoszą takie rzeczy. Nic im nie będzie, tym bardziej, że teraz przestają być elementem ważnym politycznie, więc jego zaintereso-

wanie nimi było natury czysto akademickiej. Potem na ekranie znowu pojawiła się twarz Ryana, a zbliżenie pozwoliło na analizę mimiki.

* * *

Jeszcze się nie pożegnał z Rogerem Durlingiem. Jack nie miał nawet czasu pozbiierać myśli i skoncentrować się nad tym, bo ostatni tydzień był bardzo pracowity, ale co chwila przyłapywał się na tym, że patrzy na tę trumnę. Anne znał właściwie słabo, a tych pozostałych trzech praktycznie wcale, bo wybrano ich jedynie dlatego, że wyznawali trzy różne religie. Natomiast Roger był przyjacielem. To Roger wyrwał go na powrót z prywatnego życia, dał mu ważne zajęcie i zaufał mu. Zwykle słuchał rad Jacka, choć czasem potrafił go także osadzić i sprowadzić na ziemię, ale zawsze jako przyjaciel. To było ciężkie zajęcie, tym cięższe, odkąd zaczęła się ta historia z Japonią. Durling i Ryan przeszli przez to razem i chociaż Durling chciał dokończyć dzieła innymi środkami, potrafił uszanować to, że dla Ryana sprawa była już zakończona, w chwili gdy umilkły działa. Nie naciskał, ale pozwolił mu przejść do prywatnego życia, a potem

zapropował tę ostatnią misję, mającą zwieńczyć jego karierę rządową, a która stała się teraz jego pułapką.

Ale gdyby zaproponował to komu innemu — gdzie bym się znalazł tej nocy? Odpowiedź była prosta. Wtedy jego miejsce byłoby w pierwszym rzędzie foteli w sali posiedzeń plenarnych i prawdopodobnie we wnętrzu jednej z tych trumien. Ta myśl poraziła go tak, że aż zamrugał oczyma. Roger uratował mu życie. I może nie tylko jemu. Cathy, a pewnie i dzieci, byłyby przecież na galerii, razem z Anne Durling.

Mark Durling zanosił się od płaczu. Jego starsza siostra, Amy, przytuliła go do siebie. Jack lekko skrzył głowę, by kąciem oka spojrzeć na nich. Boże, dlaczego one muszą przez to przechodzić? Przecież to jeszcze dzieci! Spuścił oczy i wbił wzrok w posadzkę. Nawet nie było na kim wyładować gniewu. Zabójca prezydenta sam przy tym zginął, jego poszarpane ciało leżało w waszyngtońskiej kostnicy, a na rodzinę, jeżeli jakąś zostawił, spadało odium publicznej odrazy do człowieka, który okrył rodaków niesławą. To właśnie dlatego światli ludzie mówią o każdym akcie przemocy, że jest pozbawiony sensu. Żaden z nich niczego nikogo nie nauczy, pozostawi tylko ofiary. Podobnie jak rak, czy inna śmiertelna choroba, zamachowiec uderzył bez planu, na ślepo

i nie było przed nim obrony. Jeden człowiek postanowił, że nie będzie samotny w drodze do takiego życia po życiu, w jakie wierzył. Jaka, do cholery, naukę mieli z tego wyciągnąć pozostali przy życiu? Ryan, choć od lat zajmował się badaniem ludzkiego zachowania, nie znał odpowiedzi. Skrzywił się więc tylko i nadal wpatrywał w posadzkę, wsłuchując się w dochodzące z sąsiedniej ławki pochlipywanie osieroconego chłopca.

* * *

To słabeusz. Widać to na twarzy. Taki niby twardziel, prezydent USA, a siedzi tam jak zbity szczeniak i ledwie powstrzymuje łzy. Czyżby nie wiedział, że śmierć jest nieodłącznym elementem życia? Zresztą, zdarzało mu się samemu zabijać, prawda? Nie wiedział, czym jest śmierć? Dopiero teraz się dowiedział? Ci inni wiedzieli. Byli poważni, nawet może ponurzy, bo na pogrzebie tak wypada, ale w końcu każde życie prowadzi do śmierci i Ryan powinien już w tym wieku o tym wiedzieć. Zdarzało mu się stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, ale to było dawno. Może zdążył już za-

pomnieć? Ludziom zdarza się zapominać takie rzeczy. Zadziwiające, jak wiele można w ciągu paru sekund wyczytać z ludzkiej twarzy.

Ale to dobrze, że Ryan jest słaby. To upraszcza wiele spraw.

* * *

Pani premier Indii siedziała pięć rzędów za nim, prawie w równej linii. Nie widziała jego twarzy, ale uważnie obserwowała jego sylwetkę. Głowa państwa nie zachowuje się w ten sposób. Głowa państwa jest aktorem, grającym na najważniejszej scenie świata, a do tego trzeba wiedzy, jak to się robi i jak należy się zachowywać. Przez całe życie uczestniczyła w różnych pochówkach. Lider, chcący odgrywać istotną rolę na politycznej scenie, musi mieć wśród ludzi liczących się na niej choćby sojuszników, jeśli nie przyjaciół, i okazywać im szacunek, pojawiając się na uroczystościach pogrzebowych nawet tych, których za życia szczerze nienawdził. Zresztą w tym ostatnim przypadku chodziła na nie nawet chętnie. Ponieważ w jej kraju ciała zwykle kremowano, często wyobrażała sobie, że być może jej wróg tam, na marach, nie jest jeszcze całkiem martwy i palą go żywcem. Oczywiście, to były tylko myśli na prywatny użytek, ale trening

w udawaniu zasmucenia bardzo się w życiu politykowi przydawał. „Tak, dzieliły nas z szanownym zmarłym różnice, czasem głębokie, ale był to człowiek godny szacunku, współpraca z którym dawała mi wiele satysfakcji, a jego pomysły zawsze godne były rozważenia” i tak dalej. Przez lata doszła do takiej wprawy, że ci, którzy ocaleli przed jej gniewem, zaczęli w to wierzyć. Może dlatego, że sami bardzo chcieli w to wierzyć. Przez lata uprawiania polityki można się nauczyć uśmiechać, mówić i wyrażać żal w stosownych do sytuacji proporcjach. Więcej — trzeba się tego nauczyć. Przywódcy polityczni nie mogli okazywać prawdziwych uczuć. Prawdziwe uczucia obnażały słabe punkty, a na to tylko czekają przeciwnicy, którzy nigdy nie wahali się zrobić z tej wiedzy użytku, więc trzeba było je chować coraz głębiej. Ale to dobrze, bo politykowi uczucia mogą tylko przeszkadzać.

Ryan nie miał o tym wszystkim pojęcia. Pokazywał swoją prawdziwą naturę w najmniej stosownym miejscu, na oczach przywódców całego świata, którzy to zobaczą i ocenią, a te oceny odłożą do wykorzystania na później. Tak jak ona. Zdziwiająca, pomyślała, raz jeszcze zachowując kamienną, poważną twarz na pogrzebie człowieka,

którego szczerze nienawidziła. Kiedy organista zaczął grać pierwszy psalm, otworzyła psalterz na odpowiedniej stronie i zaczęła śpiewać wraz z innymi.

* * *

Pierwszy wystąpił rabin. Każdy z duchownych miał zaledwie dziesięć minut, ale doświadczenie w zawodzie pozwoliło im zmieścić się w limicie. Wszyscy trzej kapłani byli, prócz służenia swemu Bogu, także uczonymi teologami. Rabi Benjamin Fleischmann wyrecytował odpowiednie cytaty z Tory i Talmudu, a potem mówił o honorze, wierze i miłosierdziu boskim. Po nim na podium wyszedł wielbny Frederick Ralston, kapelan Senatu. W tę tragiczną noc był poza miastem i w ten sposób oszczędzono mu udziału w tej uroczystości w zupełnie innym charakterze. Baptysta z Południa, uznany autorytet w sprawach Nowego Testamentu, mówił o męce pańskiej i o swym przyjacielu, senatorze Richardzie Eastmanie z Oregonu, którego trumna stała u stóp ołtarza. Wspominał znanego wszystkim z uczciwości kongresmana, płynnie przechodząc później w pochwałę zmarłego prezydenta, o którym wszyscy wiedzieli, że jest przykładnym ojcem rodziny. . .

Ryan wiedział, że nie ma idealnego sposobu załatwiania takich rzeczy. Może lepiej by się stało, gdyby kapłani mieli trochę więcej czasu na przemyślenia, żeby ta tragedia zatarła się trochę w umysłach. . . Nie, tak być nie może! Przecież oni robią z tego teatr! I to na oczach dzieci zmarłego, siedzących zaledwie parę metrów od tych zadowolonych z siebie, tokujących cietrzewi. To Mark i Amy powinni się tu liczyć, a zamiast tego zrobiono z całej sprawy przedstawienie na użytek zupełnie kogo innego. Zrobiono z pogrzebu imprezę dla pocieszenia całego narodu i zapewnienia go, że mimo wszystko, interes toczy się po staremu. Być może ludzie, którym dwadzieścia trzy kamery przekazywały to wszystko, naprawdę tego potrzebowali, ale na miejscu byli ci, którzy potrzebowali pociechy bardziej od innych: dzieci Durlingów, dorosłe już dzieci Dicka Eastmana, wdowa po Davidzie Kohnie, deputowanym z Rhode Island, rodzina Marissy Henrik, deputowanej z Teksasu. Żałobę tych prawdziwych ludzi zaprzęgnięto do służby krajowi. Do cholery z krajem! Jacka nagle zaczęła złościć hipokryzja całej tej szopki. Kraj miał swoje potrzeby, ale to jeszcze nie powód, by z tej okazji deptać potrzeby przerażonych dzieci.

I w dodatku reprezentant jego wyznania, katolicki arcybiskup Waszyngtonu, kardynał Michael O’Leary, przyniósł takie samo rozczarowanie.

— Błogosławieni niech będą ci, którzy pokój nieśli światu, albowiem ich będzie... — zaczął.

Dla Marka i Amy ich tata nie był „tym, który niósł pokój”. Dla nich był po prostu ojcem, a teraz go nie było. Dostyc tej obłudnej farsy. Arcybiskup skończył, rozległ się kolejny psalm i przyszała jego kolej.

Agenci Tajnej Służby znowu spięli się w sobie, gdyż Miecznik, idący powoli środkiem nawy, był w tej chwili idealnym celem. Ryan podszedł do pulpitu i przekonał się, że kardynał O’Leary spełnił prośbę przedstawicieli Białego Domu i pozostawił na nim kopię tekstu prezydenckiego przemówienia. Nie, pomyślał. Nie będę go już potrzebował. Oparł się rękami o pulpit, nabrał głęboko powietrza i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, spoglądając na koniec na dzieci poprzednika. Ból w ich oczach łamał mu serce. Ścisnął kanciaste krawędzie dębowego pulpitu jeszcze mocniej, by ból palców pozwolił mu pozbierać myśli.

— Marku, Amy — zaczął — wasz ojciec był moim przyjacielem. Miałem zaszczyt pracować u jego boku i pomagać mu w miarę moich możliwości, ale jak sami wiecie, on pomagał nam, swoim współpracownikom, nawet bardziej, niż my jemu. Wiem, że zawsze trudno się wam było pogodzić z tym, że mama i tata mieli bardzo odpowiedzialną pracę i nie zawsze znajdowali czas na rzeczy naprawdę ważne, ale mogę was zapewnić, że wasz ojciec robił co było w jego mocy, by spędzać z wami jak najwięcej czasu, bo kochał was bardziej niż kogokolwiek na świecie. Kochał was bardziej, niż bycie prezydentem i te wszystkie rzeczy, które się z tym wiązały, bardziej niż wszystko, może z wyjątkiem waszej mamy. Ją także kochał bardzo. . .

* * *

Co za bzdury! Oczywiście, można się troszczyć o dzieci. On sam, Darjaei, troszczył się o swoje, ale one już dawno dorosły i nic nie było w stanie tego zmienić. Miały się uczyć, służyć i pewnego dnia zacząć robić to, czego wymaga się od dorosłych. Do tego momentu były po prostu dziećmi i robiły to, co nakazywał im świat, przeznaczenie i nieskończenie miłosierny Allah. Podobała mu się oracja żydowskiego kapłana. Cyto-

wał te same wersety, które zawarte są i w Koranie. Mógł sobie wybrać inne, ale to już kwestia gustu. Zresztą to i tak poszło na marne, jak zwykle przy okazji takich oficjałek. Ten kretyn Ryan własnymi rękami rozwała szansę na zebranie do kupy narodu zaszkokowanego po tym, co się stało w Waszyngtonie. Powinien grać rolę pewnego siebie i potężnego władcy supermocarstwa, by przypomnieć wszystkim, kto siedzi w siodle i trzyma w dłoniach cugle władzy, a ten mówi do dzieci. . .

* * *

Jego polityczni doradcy chyba dostali zawału na ten widok, pomyślała pani premier. Z najwyższym trudem zachowała kamienną twarz. Po chwili postanowiła jednak przyoblec ją we współczucie. Jeżeli ten facet jest na tyle głupi, żeby odstawić taki numer w takiej chwili, to może i na to da się nabrać? Mógł na nią teraz patrzeć, a jej, jako kobiecie i matce, nie wypadało śledzić tej wzruszającej sceny z twarzą pokerzysty. Przechyliła lekko głowę w prawo, by lepiej widzieć prezydenta i by on mógł zauważyć jej wyraz twarzy w tej chwili. To mu się powinno spodobać. Jeszcze z minutę tej szopki i sięgnie po chusteczkę do torebki. Powinien to zauważyć. . .

* * *

— Żałuję, że nie miałem okazji lepiej poznać waszej matki. Myśleliśmy z Cathy, że będziemy na to mieli czas później, współpracując z waszym ojcem. Chciałem, żebyście się zaprzyjaźnili z Sally, Katie i Jackiem juniorem, mówiłem o tym z waszym tatą jeszcze tego ostatniego dnia. Obawiam się, że nie wyjdzie to tak, jak sobie zaplanowaliśmy. — Ta myśl uderzyła Jacka jak obuchem w żołądek.

— Pewnie chcielibyście wiedzieć, dlaczego to się zdarzyło. Nie wiem, dzieciaki. Nie wiem, choć chciałbym wiedzieć. Chciałbym, żeby ktoś to wiedział i żebym mógł go o to zapytać. Ale takiej osoby zapewne nigdy nie znajdziemy.

* * *

— Jezu! — jęknął Clark, patrząc na ekran stojącego w jego gabinecie w Langley telewizora. — Też parę razy takiego faceta szukałem.

— Wiesz co, John? — zapytał Chavez, który trochę lepiej to znosił. W jego kulturze mężczyzna był od tego, żeby w takich przypadkach zachowywać zimną krew, by kobiety i dzieci miały u kogo szukać pociechy.

— Co takiego, Ding?

— On to rozumie. Pracujemy dla kogoś, kto rozumie.

John obrócił się ku swemu młodemu współpracownikowi. Któż by w to uwierzył? Dwaj specjaliści od mokrej roboty, którzy mają te same myśli, co ich prezydent. To miło znaleźć potwierdzenie, że właściwie odczytał tego człowieka od pierwszej chwili. Cholera, był dokładnie taki sam, jak jego stary. A potem zastanowił się, czy Jackowi powiedzie się jego prezydentura. Nie zachowywał się tak, jak wszyscy pozostali. Reagował jak prawdziwy człowiek. Czy to aż taki grzech?

* * *

— Chciałbym, żebyście wiedzieli, że zawsze możecie przyjść do mnie i Cathy. Nie jesteście sami na tym świecie. Nigdy nie będziecie sami. Macie swoją rodzinę, wśród której teraz siedzicie, ale macie także moją rodzinę — obiecał znad pulpitu. Roger był przyjacielem, a trzeba się troszczyć o dzieci przyjaciół. Robił to dla rodziny sierżanta Bucka Zimmera, a teraz zrobi to także dla dzieci Rogera.

— Chciałbym, żebyście byli dumni z mamy i taty. Wasz ojciec był wspaniałym człowiekiem i dobrym przyjacielem. Pracował bardzo ciężko, by ludziom było lepiej na świecie. To wielka praca i zabrała mu wiele czasu, który powinien spędzić z wami, ale to był wielki człowiek, a wielcy ludzie robią wielkie rzeczy. Wasza matka zawsze była przy nim i ona też dokonywała wielkich rzeczy. Dzieci, miejcie ich zawsze w swoich sercach.

Wyprostował się i rozluźnił uścisk na pulpicie, mając nadzieję, że choć trochę pomógł osłabić cios, wymierzony im przez los. Czas już było kończyć.

— Marku, Amy, Bóg zdecydował się zabrać wam matkę i ojca. On nie wyjaśnia swoich decyzji w sposób zrozumiały dla nas, śmiertelników i nie możemy... nie potrafimy się przeciwstawić jego woli, kiedy wprowadza ją w życie. Nie potrafimy... — Dopiero teraz głos mu się załamał.

* * *

To bardzo odważne z jego strony, tak uzewnętrzniać emocje, pomyślał Koga. Ta mowa do dzieci to wspaniały chwyt socjotechniczny, pomyślał na początku. Potem, widząc

panikę wśród otoczenia prezydenta, uświadomił sobie, że to nie żaden chwyt. Prezydent pokazał, że jest człowiekiem. Nie jest aktorem, nie ma zahamowań przed pokazaniem wewnętrznej siły i charakteru. Koga wiedział, skąd się to brało. Lepiej niż ktokolwiek z obecnych w katedrze. Rozszyfrował go już pierwszego dnia. Ryan był samurajem. Więcej nawet — miał siłę robić, to co uważał za stosowne i nie przejmować się opiniami innych. Japoński premier miał nadzieję, że nie jest to błąd z jego strony, śledząc jak Ryan schodzi z mównicy w głębokiej ciszy, jaka zapadła w katedrze i podchodzi do dzieci zabitego prezydenta. Objął je ramionami i doskonale widać było łzy, spływające mu po policzkach. Wokół słychać było pociąganie nosami, ale wiadomo było, że to w większości gra, a w najlepszym przypadku przelotny przejaw głęboko zduszonej lepszej natury, drzemiącej w politykach. Żałował, że nie może się do tego przyłączyć, ale jego kultura narzucała bardzo twarde reguły tego, co jest dopuszczalne w miejscu publicznym. Poza tym nie mógł sobie na to pozwolić, jako przedstawiciel państwa, na którym spoczywała odpowiedzialność za tę tragedię. Musiał więc zachować kamienną twarz i bardzo zazdrościł Ryanowi, że ten ma na tyle siły, że nie musi nic grać. Zastanawiał się, czy Ameryka zdaje sobie sprawę z tego, jakie szczęście ją spotkało.

* * *

— Ależ on w ogóle pomiął cały przygotowany tekst przemówienia — zaprotestował komentator, gdy zebrani w studiu ochłonęli już z zaskoczenia. Tekst przemówienia dostarczono wszystkim agencjom prasowym i sieciom telewizyjnym, komentator przeczytał go i pozaznaczał sobie fragmenty do cytowania i omawiania. I nagle cała jego praca poszła na marne, musiał na bieżąco robić notatki, co nie szło mu najlepiej, bo już wiele czasu minęło od chwili, gdy przeszedł z działu reportaży do relacji.

— Tak, to prawda — przytaknął drugi z komentujących uroczyście. Tak się po prostu nie robi. Na ekranie monitora Ryan wciąż przytulał dzieci Durlingów, trwało to już trochę za długo. — To przypuszczalnie ważny moment dla prezydenta. . .

— Tak, bez wątpienia.

— Jak mówiłem, to może ważny moment dla prezydenta osobiście, ale przecież do jego obowiązków należy rządzenie państwem. — Komentator pokręcił z niedowierzaniem głową. Z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta słowa potępienia.

* * *

Jack musiał się w końcu wyzwolić z uścisków. W ich oczach widział teraz tylko ból. Skłonił się i wrócił na swoje miejsce. Cathy patrzyła na niego i też miała łzy w oczach. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa, ale ścisnęła mu rękę. Jack raz jeszcze przekonał się, z jak inteligentną kobietą związał swój los. Nie umalowała się, więc teraz nie musiała obcierać czarnych smug, jak wiele kobiet w pobliżu. Uśmiechnął się w duchu. Nie lubił, jak się malowała. Naprawdę tego nie potrzebowała.

* * *

— Co o niej wiemy?

— Jest chirurgiem-okulistą, i to podobno świetnym. — Zajrzał do notatek. — Amerykańskie gazety piszą, że nadal pracuje w klinice, mimo pełnienia oficjalnych obowiązków.

— A co z dziećmi?

— O nich na razie nic nie mamy, ale chyba będzie się można dowiedzieć, do jakich szkół chodzą. — Zauważył zdziwienie na twarzy rozmówcy, więc kontynuował. — Sko-

ro jego żona pracuje tam, gdzie zwykle, to pewnie i dzieci będą chodzić do tych samych szkół.

— Dobrze, ale skąd będziemy wiedzieć, do których?

— To proste. Przez Internet można się dostać do archiwów wszystkich amerykańskich gazet i sieci telewizyjnych. Ryan był tematem wielu artykułów. Można tam znaleźć wszystko, co nas interesuje. — Prawdę mówiąc, już szukał, ale nie znalazł niczego o rodzinie. Życie wywiadowcy w dzisiejszych czasach znacznie ułatwiały wynalazki techniczne ostatniej doby. Wiedział o Ryanie wszystko: wzrost, wiek, waga, kolor oczu i włosów, przyzwyczajenia i nawyki, ulubione potrawy i napoje, nazwy klubów golfowych, których był członkiem, wszystkie te drobnostki, które w jego pracy wcale nie były drobnostkami. Nie musiał pytać, do czego zmierza jego przełożony. Okazja, jaką stwarzała obecność tych wszystkich bonzów pod jednym dachem Katedry Narodowej właśnie mijiała, ale bez wątpienia zdarzy się jakaś inna.

* * *

Po kolejnym psalmie uroczystość dobiegła końca. Żołnierze wrócili po trumny i cała procesja zaczęła się przesuwać w odwrotnym kierunku. Mark i Amy przestali płakać, i w towarzystwie rodziny poszli za trumnami rodziców. Jack na czele swej rodziny ruszył zaraz za nimi. Katie już się znudziła i cieszyła się z okazji do spaceru. Jack junior żałował dzieci Durlingów, a Sally wyglądała na wystraszoną. Trzeba będzie z nią porozmawiać. Obejrzał się za siebie, spoglądając na twarze, niezbyt zaskoczony tym, że pierwsze cztery, pięć rzędów patrzy na niego, a nie na trumny. Nigdy się od niego nie odczepią? Rany boskie, w co za bagno wdepnąłem, pomyślał Jack. Tylko kilka twarzy miało przyjazny wyraz. Książę Walii, który nie będąc głową państwa, ani szefem rządu, wylądował zgodnie z wymogami protokołu na tyle procesji, kiwnął mu głową. Tak, przynajmniej on zrozumiał. Poczul się tak zmęczony napięciem tego dnia, że chciał spojrzeć na zegarek, ale przypomniał sobie jak bardzo mu to odradzano — posunięto się wręcz do tego, by zalecić mu chodzenie bez zegarka. Prezydent nie potrzebuje zegarka, przekonywano, od pilnowania czasu ma cały personel Białego Domu. Zawsze był przy

nim ktoś, kto mu powie co i kiedy ma następnego w planach, tak jak teraz byli wokół ludzie, którzy już pozdejmowali z wieszaków ich płaszcze, sprawdzili, czy ktoś do nich czegoś nie podrzucił i czekali z nimi w rękach, gotowi podać je, gdy tylko Ryanowie dojdą do drzwi. Tak jak zawsze, byli przy nim Andrea Price i ludzie z Oddziału, jak nazywano w Tajnej Służbie bezpośrednią ochronę prezydenta. Na zewnątrz czekało ich jeszcze więcej, miniaturowa armia ludzi z bronią w ręku i głowami pełnymi strachu, oraz samochód, który miał go dowieźć na kolejne miejsce przeznaczenia, gdzie będzie znowu wykonywał oficjalne obowiązki, do momentu, gdy znowu przewiozą go gdzie indziej. I tak bez końca.

Nie może pozwolić tym obcym ludziom aż tak zawładnąć jego życiem. Będzie pracował, ale nigdy nie powtórzy błędu, jaki popełnili Roger i Anne. Myślał o tych twarzach, które widział wychodząc z katedry i po raz kolejny zdał sobie sprawę z tego, w jakim towarzystwie będzie się musiał obracać. To był klub, do którego mogli go na siłę wepchnąć, ale do którego nigdy nie będzie chciał należeć. A przynajmniej tak sobie obiecywał.

8 — Zmiana dowództwa

Część uroczystości odbywająca się na lotnisku bazy Andrews była na szczęście krótka. Trumny przejechały z katedry już normalnymi karawanami, a kawalkada pojazdów powoli topniała, w miarę jak przejeżdżali przez dzielnicę ambasad. Air Force One czekał na pasie, by po raz ostatni przewieźć prezydenta Durlinga wraz z małżonką do ich rodzinnej Kalifornii. Oprawa tej podróży zdawała się jakby bardziej chaotyczna od uroczystości powitania gości. Była kompania honorowa, by przywitać udrapowane we flagi trumny, ale inna. Publiczność była znacznie mniejsza, składała się teraz głównie z żołnierzy Sił Powietrznych i innych rodzajów wojsk, którzy mieli jakieś związki z prezy-

dentem. Właściwa uroczystość pogrzebowa miała być, na życzenie rodziny, znacznie skromniejsza, z udziałem jedynie najbliższych, co zresztą odpowiadało wszystkim. Tak więc tu, na lotnisku, ostatni raz zagrano Rogerowi Durlingowi „Ruffles and Flourishes” i „Hail to the Chief”. Mark stanął na baczność, z ręką na piersi, po raz ostatni słuchając tych melodii granych dla jego ojca — jego zdjęcie w tej pozie obiegało prasę całego świata. Podnośnik uniósł trumny do luku bagażowego, ale samo pakowanie odbyło się z drugiej strony samolotu, by ta bolesna przemiana z szefa państwa w bagaż nie raniła dodatkowo rodziny i gości. Potem przysła kolej na rodzinę. Jeden po drugim krewni prezydenta znikali w drzwiach VC-25. Zresztą w tej podróży ich samolot nie miał już nawet znaku wywoławczego Air Force One, gdyż to oznaczenie szło za prezydentem, nowym prezydentem, a jego na pokładzie nie było. Ryan odprowadzał wzrokiem kołujący, a potem startujący samolot. Kamery telewizji śledziły go aż do chwili, gdy stał się jedynie kropką na niebie. Po chwili do lądowania zaczęły podchodzić F-16, patrolujące od rana niebo nad Waszyngtonem. Kiedy ostatni myśliwiec dotknął kołami pasa, Ryanowie ruszyli ku śmigłowcowi piechoty morskiej, który miał ich zawieźć z powrotem do Białego Domu. Załoga uśmiechała się do dzieci i była bardzo opiekuńcza. Mały

Jack dostał naszywkę z godłem jednostki, gdy tylko przypięto go pasami do siedzenia. Nastrój dnia zaczął się zmieniać. *Marines* z dywizjonu VMH-1 mieli pod opieką nową rodzinę, życie toczyło się dalej.

Personel Białego Domu zastali już przy pracy, robotnicy właśnie wnosili nowe meble i dobytek Ryanów po tym, jak rano usunęli rzeczy pozostałe po Durlingach. Dziś spędzą swoją pierwszą noc w domu, który wybrał sobie na siedzibę John Adams. Dzieci, jak to dzieci, ciekawie rozglądały się z okien lądującego śmigłowca.

Na ich lądowanie czekał już na Południowym Trawniku oficjalny fotograf Białego Domu. Opuszczono schodki i stanął przy nich kapral piechoty morskiej w galowym, granatowym mundurze. Prezydent wyszedł pierwszy, powitany sprężystym salutem. Zamyślony, znów dał się zaskoczyć i machinalnie oddał salut, ulegając nawykowi wyrobionemu w czasie szkolenia w Quantico ponad dwadzieścia lat wcześniej. Za nim wysiadła Cathy i dzieci. Agenci uformowali dość luźny szpaler, którym Ryanowie przeszli do wejścia do budynku. Na zachód od lądowiska widać było kilka ekip telewizyjnych, ale dziennikarze nie wykrzykiwali pytań. Na razie, powiedział sobie w duchu. To się

wkrótce zmieni. Wewnątrz Białego Domu skierowali ich do windy i nią prosto na piętro, do sypialni. Czekał tam już Arnie van Damm.

— Panie prezydencie. . .

— Mam się przebrać, Arnie? — zapytał Jack, podając płaszcz kamerdynerowi. Sam aż się zdziwił, jak łatwo zaakceptował fakt, że teraz nawet głupiego płaszcza nie może sam powiesić. Został prezydentem i nagle zaczął się zachowywać jak prezydent. Z jakiegoś powodu uderzyło go to bardziej, niż wszystko, co do tej pory zrobił.

— Nie. Proszę. — Szef personelu podał mu listę gości, oczekujących w Sali Wschodniej. Jack szybko przeleciał po niej oczyma, stojąc nadal na środku pokoju. Nazwiska, jak nazwiska, ale te kraje. Z wieloma się przyjaźnili, z paroma łączyły ich tylko interesy, inne były tylko plamami na mapach, ale niektóre. . . Nawet jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nie wiedział o nich tego wszystkiego, co powinien wiedzieć. Kiedy tak czytał, Cathy zapędziła dzieci do łazienki, przy czynnej pomocy agenta Tajnej Służby. Ryan poszedł po chwili do łazienki przy ich sypialni i spojrział w lustro. Przyczesał je sam, bez pani Abbot, ale nadal pod czujnym okiem van Damma. Nawet tu nie mam spokoju, pomyślał.

— Jak długo to potrwa, Arnie?

— Tego nie wie nikt, panie prezydencie.

— Posłuchaj, Arnie. — Jack odwrócił się do swego rozmówcy. — Na osobności nadal mam na imię Jack. Może i udało wam się weisnąć mi ten stołek, ale pomazańcem bożym od tego nie zostałem.

— W porządku, Jack.

— To dotyczy także dzieciaków.

— Bardzo mi miło. Jack, jak dotąd, idzie ci nieźle.

— Autor przemówienia pewnie klnie w żywy kamień? — zapytał, poprawiając krawat.

— Instykt ci dobrze podpowiedział, ale następnym razem trzeba to będzie wziąć pod uwagę przy pisaniu mowy.

Ryan zamyślił się nad tym, oddając listę Arniemu.

— Wiesz, przez to, że zostałem prezydentem, nie przestałem nagle być człowiekiem z ulicy.

— Słuchaj, Jack, pogódź się z tym wreszcie, dobrze? Jesteś prezydentem i od tej chwili już nie jesteś człowiekiem z ulicy. Miałeś parę dni na to, żeby do tego przywyknąć. Tam, na dole tych schodów nie będziesz człowiekiem z ulicy, tylko ucieleśnieniem Stanów Zjednoczonych Ameryki. To dotyczy zarówno ciebie, jak twojej żony, a do pewnego stopnia dzieci też. — Ta ostatnia uwaga spotkała się z bardzo wrogim spojrzeniem, które jednak przetrzymał przez kilka sekund. Taki to już zawód, stary, zdawało się mówić jego własne spojrzenie. — Czy jest pan już gotowy, panie prezydencie?

Jack skinął głową, zastanawiając się, czy Arnie miał rację i dlaczego właściwie to proste stwierdzenie faktu tak go zdenerwowało. Z Arnie'em nigdy nie wiadomo, kiedy mówi poważnie. Tak to już jest z nauczycielami, że czasem zmyślają dla podkreślenia wagi tego, co przekazują.

W korytarzu pokazał się Don Russell, prowadząc za rączkę Katie. We włosach miała czerwoną wstążeczkę.

— Mamo! — pisnęła i podbiegła do Cathy. — Popatrz, co mi zrobił wujek Don!

No, ładnie, pomyślał Jack. Jego rodzina powiększyła się o agentów Tajnej Służby...

— Pani Ryan, lepiej je będzie wszystkie teraz zaprowadzić do łazienki, bo na dole nie ma toalety — doradził Russell.

— Jak to? Żadnej?

Russell pokręcił głową.

— Nie, proszę pani. Jakoś nikt o nich nie pomyślał, kiedy budowano ten dom.

Caroline Ryan wzięła za ręce dwoje najmłodszych dzieci i odeszła na bok. Wróciła po kilku minutach.

— Czy mogę ją znieść na dół? — zapytał agent ze szczerym uśmiechem dobrotliwego dziadka na twarzy. — Trudno się po tych schodach schodzi w szpilkach. Oddam ją pani na dole.

— Jasne, dziękuję.

Świta prezydencka zaczęła się zbierać na schodach. Andrea sięgnęła po mikrofon.

— Miecznik przechodzi z apartamentów na dół.

— Zrozumiałem — zaskrzeczał głośnik.

Gwar dochodzący z sali usłyszeli jeszcze zanim pokonali ostatni odcinek marmurowych schodów. Russell postawił Katie na podłodze obok matki. Pozostali agenci rozeszli się, nagle niknąc w tłumie, gdy Pierwsza Rodzina weszła do Sali Wschodniej.

— Panie i panowie — zapowiedział kamerdyner — prezydent Stanów Zjednoczonych John Ryan z rodziną.

Rozmowy ucichły, głowy odwróciły się ku wejściu. Szybko przeminęły oklaski, ale spojrzenia w większości pozostały wycelowane w nowych gospodarzy Białego Domu. W większości były przyjazne, zauważył Jack, choć uważne i badawcze. Przeszli z Cathy na lewo i stanęli w rzędzie do powitania.

Goście podchodzili pojedynczo, choć niektórym głowom państw towarzyszyły małżonki. Urzędniczka protokołu szeptała mu w ucho nazwiska poszczególnych gości i Ryan zaczynał się dziwić, jak to możliwe, że zna ich wszystkich. Kolejka gości okazała się bardziej uporządkowana, niż mu się na początku zdawało. Ambasadorowie krajów, których przywódcy nie mogli przyjechać, na razie trzymali się na uboczu, ale i oni nie kryli zawodowej ciekawości, popijając koktajle w oczekiwaniu na swoją kolej i oglądając w jaki sposób prezydent wita poszczególnych gości.

— Premier Belgii, pan Arnaud — szepnęła urzędniczka. Oficjalny fotograf pstrykał zdjęcia, uwieczniając to powitanie, podobnie jak dwie kamery sieci telewizyjnych, które jednak pracowały bezszelestnie.

— Pański telegram bardzo mnie wzruszył, panie premierze — powiedział Ryan. — Przyszedł w bardzo odpowiedniej chwili. — Zastanawiał się, czy Arnaud wie, że to szczerą prawdą. Pewnie nawet go nie czytał przed wysłaniem. Nie, musiał go przecież zatwierdzić.

— Pańska mowa do dzieci bardzo mnie poruszyła. Jestem pewien, że wszyscy na tej sali podzielamy pańskie uczucia — odparł premier, podkreślając to uściskiem dłoni i spojrzeniem w oczy, bardzo zadowolony z siebie i wyuczonej fałszywości swej przemowy. Czytał telegram przed wysłaniem, dorzucił do niego nawet parę słów, a teraz doczekał się zań pochwały. Belgia była sojusznikiem, więc Arnaud dość dużo wiedział o swym rozmówcy. Zapoznawał go z nim szef belgijskiego wywiadu, który przy kilku okazjach miał do czynienia z Ryanem osobiście na konferencjach NATO i zawsze był pod wrażeniem talentu Amerykanina do zaglądania w karty Rosjanom. Jako polityk stanowił na pewno wielką niewiadomą, ale jako wywiadowca był doskonałym i błyskotli-

wym analitykiem. Arnaud mógł teraz na nim potrenować własne zdolności analityczne, skoro los postawił go na czele kolejki do powitania. Po chwili postąpił o krok i znalazł się koło Cathy.

— Pani profesor, tak wiele o pani słyszałem — powiedział, podnosząc jej dłoń i po europejsku całując ją. Słyszał o jej pozycji zawodowej, ale nikt mu nie powiedział, że to tak piękna kobieta. Jej dłonie były bardzo delikatne. No tak, przecież jest chirurgiem. Widać, że to dla niej nowość, jeszcze jest trochę zawstydzona, ale dzielnie daje sobie radę. Będą z niej ludzie.

— Dziękuję, panie premierze — odparła Cathy, której także zdążono już szepnąć z tyłu, z kim ma do czynienia. To całowanie po rękach. . . Strasznie teatralne, ale całkiem miłe.

— Wasze dzieci to po prostu aniołki.

— Bardzo miło mi to słyszeć — odparła i już stanął przed nią, następny w kolejce, prezydent Meksyku.

Kamery telewizyjne krążyły po sali, po której uwijało się także piętnastu reporterów, gdyż powitanie było jeszcze elementem roboczego spotkania. Pianista w północ-

no-wschodnim rogu grał jakieś lekkie melodie, może nie na poziomie radiowej gummy do żucia dla uszu, ale na krawędzi.

— A pan od dawna zna prezydenta Ryana? — zapytał premier Kenii, zadowolony, że spotkał w Białym Domu czarnoskórego admirała.

— Sporo razem przeszliśmy, sir — wymijająco odparł Robby Jackson.

— Robby! O, przepraszam — poprawił się z czarującym uśmiechem książę Wali. — Witam, panie admirale.

— Panie komandorze — odparł urzędowym tonem Robby, ale serdeczny uścisk dłoni przeczył tej oschłości. — Ładnych parę lat się już nie widzieliśmy, sir.

— To panowie się znają? — wybąkał premier Kenii, ale na szczęście zobaczył kolegę z Tanzanii, więc miał pretekst, by ich zostawić na osobności.

— Jak mu leci? — zapytał książę. — Ale tak naprawdę — dodał, nieco rozczarowując Robby'ego. No tak, przyjaciel, nie przyjaciel, zlecono mu robotę do wykonania. Jackson wiedział, że wysłanie tu akurat jego było decyzją polityczną, i że po powrocie do ambasady będzie musiał podyktować raport o tym, czego się dowiedział. Z drugiej

strony, pytanie zasługiwało na odpowiedź, tym bardziej, że zadawał je człowiek, z którym mieli okazję pewnej sztormowej nocy walczyć ramię przy ramieniu z Jackiem.

— Dwa dni temu odbyła się odprawa z udziałem zastępców członków Kolegium Szefów Sztabów. Jutro mamy sesję roboczą. Jack sobie poradzi. — Reszty sam się domyśl. Tylko tyle mógł mu powiedzieć, ale włożył w to całą zdolność przekonywania. W tej chwili Jack był jego naczelnym wodzem i lojalność wobec niego była już nie tylko kwestią stosunków między nimi, ale jego służbowym i moralnym obowiązkiem.

— A co u twojej żony? — zapytał księżę, spoglądając na Sissy, gwarzącą z Cathy.

— Dalej gra na drugim fortepianie w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej.

— A kto na pierwszym?

— Miklos Dimitri. Ma większe dłonie — dodał i ugryzł się w język, tuż przed zadaniem własnych pytań o rodzinę księcia. W końcu czytał gazety.

— Dobrze sobie poradziście na Pacyfiku.

— Na szczęście nie musieliśmy nikogo więcej zabijać. — Spojrzał rozmówcy prosto w oczy. — Zabijanie ludzi naprawdę nie sprawia mi przyjemności.

— Ale czy on sobie poradzi, Robby? Znasz go przecież lepiej niż ja.

— Panie komandorze — odparł Jackson — on nie ma innego wyjścia, jak tylko sobie poradzić. — Obejrzał się przez ramię i spoglądał na swego najwyższego zwierzchnika, zastanawiając się, ile też go musi kosztować odgrywanie pajaca przed nimi wszystkimi. Przecież nienawidzi takich okazji. Patrząc, jak radzi sobie z kolejnymi rozmówcami, nie mógł uciec od wspomnień. — Tak, wasza wysokość, wiele się zmieniło od czasu, gdy uczył historii w Akademii.

Dla Cathy Ryan było to kolejne ćwiczenie w sztuce chronienia rąk. Tak się złożyło, że miała trochę więcej doświadczenia w pełnieniu obowiązków oficjalnych niż jej mąż. Jako prodziekan Instytutu Okulistycznego Wilmera na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, często musiała brać udział w imprezach mających na celu zebranie pieniędzy na potrzeby instytutu, czyli zajmować się zebraniem na balach charytatywnych. Jack zwykle się z tych imprez wykręcał, co trochę miała mu za złe. I teraz znowu musiała spotykać się z ludźmi, tyle tylko, że tym razem nie znała ich, nie miała okazji polubić, a co gorsza, żaden z nich nie miał do zaoferowania nic jej wydziałowi. Czyli czysta strata czasu.

— Pani premier Indii — dobiegł szept z tyłu.

— Witam, pani premier — powitała ją Cathy, uśmiechając się promiennie i ciesząc się z delikatnego tym razem uścisku dłoni.

— Musi pani być bardzo dumna z męża.

— Zawsze byłam dumna z Jacka. — Były tego samego wzrostu. Cathy zauważyła, że Hinduska mruży oczy za okularami. Oho, przydałoby się, żeby okulista ją obejrzał i przepisał nowe szkła, bo od tych pewnie często głowa ją boli. Dziwne. Tam w Indiach mają niezłych lekarzy, przecież nie wszyscy przyjechali do nas.

— I jakie wspaniałe dzieci.

— Bardzo mi miło — odparła z machinalnym uśmiechem, równie szczerym, co pochwały rozmówcy. Teraz dojrzała w jej oczach jeszcze coś, na co do tej pory nie zwróciła uwagi. To coś bardzo się jej nie spodobało. Wyglądało na to, że Hinduska najwyraźniej w świecie uważa się za kogoś lepszego od niej. Ale dlaczego? Bo jest politykiem, a nie tylko lekarką? Czy gdyby była prawniczką, byłoby lepiej? Raczej nie. Pamiętała jeszcze doskonale ten wieczór w tej samej Sali Wschodniej, kiedy osadziła Elizabeth Elliott. Tamta małpa miała dokładnie to samo wypisane na czole: „Jestem lepsza od ciebie, bo jestem kim jestem i robię to, co robię”. Spojrzała jeszcze raz w ciemne

oczy gościa. Tam się wyraźnie czaiło coś więcej, ale kolejka poruszała się dalej i musiała puścić jej rękę, by powitać kolejnego gościa.

Pani premier odeszła na bok i poszukała wzrokiem krążącego w pobliżu kelnera. Wzięła z tacy szklankę soku. Na razie nie mogła jeszcze zrobić tego, na co miała ochotę, ale jutro, w Nowym Jorku, przyjdzie już na to pora. Popatrzyła po sali i zauważyła premiera Chińskiej Republiki Ludowej. Wzniosła szklankę lekko, najwyżej parę centymetrów i skinęła głową, bez uśmiechu. Po co się jeszcze uśmiechać? I tak oczy przekazały wiadomość.

— Czy to prawda, że teraz nazywają pana Miecznikiem? — zapytał z żartobliwym błyskiem w oku książę Ali ibn Szeik.

— Tak, wasza książęca mość. I to właśnie pańskiemu podarunkowi to zawdzięczam — odparł Jack. — Dziękuję za obecność na naszej smutnej uroczystości.

— Przyjacielu, wiele nas łączy — powiedział na to książę. Nie był formalnie głową państwa, ale w związku z chorobą władcy, Ali przejmował coraz więcej obowiązków związanych z rządzeniem królestwem. W tej chwili sprawy polityki zagranicznej i wywiadu spoczywały już całkowicie w jego rękach, choć nadal wiele pomocy udzielali

mu doradcy brytyjscy w pierwszej z tych dziedzin, a izraelscy w drugiej. Ta pomoc Mossadu była szczególnie uderzającą ironią losu, biorąc pod uwagę tradycyjną politykę państw arabskich. Toteż ukrywano ją skrętnie przed wszystkimi. Ryan wiedział o tym wszystkim i cieszył się z takiego obrotu rzeczy. Być może Ali zarzucił sobie na plecy ciężki worek, ale zdecydowanie był w stanie go unieść.

— Chyba nie miał pan dotąd okazji poznać Cathy, wasza wysokość?

— Nie — odparł książę — ale miałem do czynienia z pani kolegą, doktorem Katzem, który uczył mojego okulistę. Pani mąż jest do prawdy szczęściarzem, pani profesor.

No, proszę. A przecież Arabowie mieli być tępi, pozbawieni poczucia humoru i szacunku wobec kobiet. Jeżeli tak, to ten jest zupełnie inny. O, i jak delikatnie ujął rękę.

— Ach, pewnie pan poznał Berniego w 1994 roku, kiedy wyjechał nad Zatokę? — Ich instytut pomagał wtedy uruchomić klinikę w Rijadzie i Katz wyjechał tam na pięciomiesięczny kontrakt, by dopilnować wszystkiego na miejscu.

— Tak. Operował wtedy mojego kuzyna, który odniósł obrażenia w wypadku lotniczym. Już wrócił do latania. Czy to wasze dzieci?

— Tak, wasza wysokość. — Ali powędruje do szufladki z fajnymi gośćmi, postanowiła.

— Czy mógłbym z nimi zamienić kilka słów?

— Ależ oczywiście.

Caroline Ryan, odnotował w pamięci, bardzo inteligentna, bezpośrednia. Dumna. Mąż znajdzie w niej ważnego pomocnika, jeżeli tylko potrafi z tego skorzystać. Jaka szkoda, że jego własna kultura nie pozwalała wykorzystywać właściwie kobiecych talentów. No cóż, póki nie zostanie królem, niewiele może na to poradzić. A i wtedy, jeżeli w ogóle do tego dojdzie, zmiany będą musiały zachodzić powoli. W ciągu zaledwie dwóch pokoleń w życiu jego rodaków zaszły zapierające dech w piersiach zmiany, ale i tak pozostał do pokonania jeszcze szmat drogi. Tak czy inaczej, między nim a Ryanem istniały silne więzi, a w tej sytuacji oznaczało to silne więzi między jego królestwem a Ameryką. Podszedł do dzieci, ale właściwie zanim znalazł się na miejscu, wiedział już wszystko, co chciał. Dzieciaki były wyraźnie przytłoczone tym wszystkim. Najmłodsza z nich, dziewczynka, miała najłatwiej, bo w ogóle nic z tego nie rozumiała i w tej chwili jej największym zmartwieniem był sok, który piła na kolanach omiatającego czujnym

wzrokiem otoczenie agenta Tajnej Służby. Kilka pań usiłowało nawiązać z nią rozmowę, ale raczej bez większego powodzenia. Mała przywykła do tego, że wszyscy się nią zajmują, więc jej to nie przeszkadzało. Chłopak był najbardziej zdeorientowany, ale to naturalne w tym wieku, gdy już nie jest się dzieckiem, a jeszcze nie jest się mężczyzną. Najstarsza córka, która oficjalnie miała na imię Olivia, ale wszyscy nazywali ją Sally, nieźle sobie radziła z tym wszystkim, ale ksiązę Ali był zaskoczony wyraźnym brakiem przystosowania dzieci do takich okazji. Widać było wyraźnie, że rodzice chronili je do ostatniej chwili przed obowiązkami wynikającymi z oficjalnego statusu ojca. Może były trochę rozpuszczone, ale brakowało im tego znudzonego, wyniosłego spojrzenia, jakim dzieci możnych rodziców zwykle śledzą podobne wydarzenia. Wiele można powiedzieć o ludziach, patrząc na ich dzieci. Pochylił się nad Katie. Dziewczynka początkowo cofnęła się, zaskoczona jego ubiorem — Ali był w stroju narodowym i poważnie martwił się, czy nie przeziębził się w czasie uroczystości w katedrze Narodowej — ale już po chwili uśmiech wrócił na jej twarz i wyciągnęła rękę, żeby pobawić się jego brodą. Podniósł wzrok na siwowłosego agenta, który jej pilnował i obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Wiedział, że i Cathy Ryan śledzi w tej chwili każdy jego ruch.

Najłatwiej wzbudzić sympatię ludzi, okazując serdeczność im dzieciom. Nie chodziło mu o to, ale zapisał w pamięci, żeby w raporcie podkreślić, że Ryan jest człowiekiem o bardzo skomplikowanej osobowości i nie należy wyciągać pochopnych ocen z takich rzeczy, jak jego blamaż w czasie mowy pogrzebowej. To, że ktoś w kierowaniu krajem schodzi z utartej ścieżki, wcale nie oznacza, że nie nadaje się do tego. Wielu ludzi tego nie może pojąć. Wielu z nich krąży w tej chwili po tej sali.

* * *

Siostra Jeanne Baptiste robiła co mogła, by ignorować ból, ciężko pracując do zachodu słońca. Wmawiała sobie, że to tylko oznaka starości, a poza tym ból jest lekki, więc szybko przejdzie, że to nieznośny upał powoduje, że jej ciało jest tak rozpalone. W tym wieku i w tym klimacie nie ma ludzi zdrowych — są tylko źle zdiagnozowani. Już w pierwszym tygodniu pobytu rozłożyła ją malaria, a to choroba z tych, które nigdy człowieka nie opuszczają. Początkowo zresztą myślała, że to kolejny nawrót, ale okazało się, że nie. Nie była to także wina kongijskiego upału. Zaczęła się bać, i to ją zaskoczyło. Do tej pory, choć przez całe dorosłe życie pocieszała chorych na różne cho-

roby, nie pojmowała tak do końca ich strachu. Wiedziała oczywiście, że się boją. Starła się ten strach osłabić serdecznym stosunkiem do chorych, swoją życzliwością dla nich i modlitwą za ich uzdrowienie. A teraz, po raz pierwszy w życiu, zaczynała rozumieć ten strach, sama zaczynała się bać, bo zdawało się jej, że wie, co jej jest. Widywała już chorych na tę chorobę. Niezbyt często, bo zwykle było już za późno, zanim trafiali do szpitala. Benedict Mkusa trafił do nich od razu, ale to niewiele mogło zmienić. Do wieczora pewnie umrze, tak przynajmniej mówiła siostra Maria Magdalena po porannej mszy. Jeszcze trzy dni temu westchnęłaby tylko ciężko i pocieszyła się myślą, że już wkrótce będzie w niebie, wśród aniołków. Trzy dni temu tak, ale nie dziś. Teraz zdawała sobie sprawę, że jeżeli do tego dojdzie, ona będzie następna w kolejce. Oparła się ciężko o framugę drzwi. Jaki błąd popełniła? Była uważną pielęgniarką. Nie popełniała błędów.

Musiała wyjść z oddziału. Poszła prosto do łącznika i stamtąd do laboratorium. Doktor Moudi jak zwykle siedział przy stole, nad mikroskopem, całkowicie pochłonięty pracą. Nawet nie usłyszał, że weszła. Kiedy podniósł głowę, trąc zmęczone po dwudziestu minutach patrzenia w obiektyw oczy, zdumiał go widok zakonnicy siedzącej

przy stoliku obok. Miała podwinięty rękaw, czerwoną gumę zaciśniętą wokół przedramienia i igłę wbitą w żyłę w zgięciu łokcia. Napełniła właśnie krwią trzecią probówkę i sięgała po czwartą.

— Co się stało, siostrze?

— Panie doktorze, proszę to obejrzyć jak najszybciej. I niech pan nie zapomni o rękawiczkach.

Moudi podniósł się zaskoczony i podszedł, stając metr od niej, gdy pielęgniarka wyciągnęła z żyły igłę i przyłożyła tampon. Właściwie niewiele się różniła od kobiet z jego rodzinnego miasta, Kum, świętego miasta szyitów. Ubierała się skromnie, jak przystoi kobietom. Wiele mu się w tych siostrach zakonnych podobało: ich optymizm, zapał do ciężkiej pracy, nawet ich głęboka, choć niewłaściwie skierowana wiara. Właśnie, niewłaściwa, a nie bałwochwalcza, jak utrzymywali szyici. Przecież one też należały do Ludów Księgi, sam prorok szanował ich wiarę, to dopiero szyici zaczęli traktować ludzi ich wyznania jako wcielenie Szatana. Spojrzał w jej oczy i od razu zrozumiał, skąd ta uwaga o rękawiczkach. Ona już wiedziała, mimo że zewnętrzne objawy były jeszcze trudno rozpoznawalne.

— Proszę usiąść, siostró.

— Nie, ja muszę. . .

— Siostró — powiedział z naciskiem Moudi — jest siostró teraz moim pacjentem, więc niech siostró robi to, co każe, dobrze?

— Panie doktorze, ja. . .

Doktor spuścił z tonu. Nie było sensu być dla niej oschłym, a poza tym ta kobieta naprawdę nie zasłużyła na los, który przeznaczył jej Bóg.

— Siostró, okazywała siostró swoim pacjentom wiele troski i oddania przez te lata. Przez wzgląd na to, proszę siostrę o to, żeby mi siostró pozwoliła okazać sobie choć trochę troski i oddania.

Siostró Jeanne Baptiste spełniła wreszcie jego prośbę. Moudi założył rękawiczki i zmierzył jej tętno i ciśnienie. Tętno 88, ciśnienie 138/90, temperatura 39 stopni. Pierwsze dwa wyniki były wyraźnie podwyższone, zapewne z powodu trzeciego, który z kolei zapowiadał to, czego się obawiała. To mogło być cokolwiek, od głupiego przeziębienia po malarię, ale ona miała do czynienia z małym Mkusą, który właśnie umierał na o wiele

poważniejszą chorobę. Zostawił ją tam, gdzie siedziała, a sam przeszedł z probówkami do mikroskopu.

Kiedyś chciał zostać chirurgiem. Był najmłodszym z czterech synów, bratanków przywódcy swego kraju i niecierpliwie czekał dorosłości, by, jak jego bracia, pójść na wojnę z Irakiem. Dwaj z nich polegli na niej, trzeci wrócił okaleczony i po paru miesiącach popełnił samobójstwo. To wtedy postanowił zostać chirurgiem, by ulżyć doli rannych bojowników Allacha, by mogli po wyzdrowieniu dalej walczyć o Świętą Sprawę. Potem wojna się skończyła i Moudi zamiast chirurgii zaczął studiować epidemiologię, bo walczyć o Sprawę można na wiele sposobów. Teraz, po latach oczekiwania wreszcie przyszła chwila, w której będzie mógł walczyć o nią, wykorzystując zdobytą wiedzę.

Po kilku minutach poszedł do swojego gabinetu na oddziale zakaźnym. Moudi zawsze wyczuwał tu wręcz namacalnie aurę śmierci. Pewnie to tylko kwestia wyobraźni, ale miejsce rzeczywiście naznaczone było jej obecnością. Podzielił próbkę krwi siostry na dwie próbki, zapakował jedną z nich do wysyłki lotniczą pocztą kurierską do Atlanty w stanie Georgia w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieściło się światowe Centrum Chorób Zakaźnych, ośrodek zajmujący się diagnozowaniem najniebezpiecz-

niejszych jednostek chorobowych w świecie. Drugą zamroził do ewentualnych dalszych badań. CCZ było sprawne jak zawsze — na stole leżał już przysłany godzinę temu teleks, identyfikujący przypadek chłopca jako chorobę wywołaną wirusem ebola. Dalej następowała długa seria ostrzeżeń i zaleceń, równie zbędnych, co sama diagnoza. Mało co na świecie zabijało tak nieodwołalnie, a nic tak szybko jak ebola.

Wyglądało to tak, jakby Najwyższy rzucił klątwę na małego Mkusę, co przecież nie mogło być prawdą, bo Allah jest nieskończenie miłosierny i nigdy z rozmysłem nie ugodziłby swym gniewem niewinnego dziecka. Pewnie było mu to pisane, ale to i tak nie pocieszy ani pacjenta, ani rodziców. Siedzieli teraz przy jego łożku, ubrani w ochronne kombinezony i patrzyli, jak na ich oczach świat wali im się w gruzy. Chłopiec cierpiał potwornie. Część jego ciała była już martwa i gniła, podczas gdy serce nadal usiłowało pompować krew, a mózg kierować funkcjami obumierającego organizmu. Porównywalne rezultaty mogło chyba dać tylko wystawienie ludzkiego ciała na działanie bardzo silnego promieniowania przenikliwego. Jeden po drugim, potem parami, grupami, a wreszcie wszystkie na raz, jego organy wewnętrzne obumierały. Nie miał już nawet siły wymiotować, krew wylewała się z niego przez przewód pokarmowy.

Tylko oczy sprawiały jeszcze wrażenie funkcjonujących normalnie, choć i w nich wi-
dać było wylewy. Ciemne oczy dziecka, smutne i nie rozumiejące, nie pojmujące tego,
że życie, tak niedawno rozpoczęte, musi się zaraz skończyć, wypatrywały rodziców, by
przyszli do niego i na powrót wszystko ułożyli, jak zawsze przez te osiem lat. Izolatka
cuchnęła krwią, potem i odchodami. Chłopiec leżał bez ruchu, ale mimo to sprawiał
wrażenie, jakby się oddalał. Doktor Moudi zamknął oczy i zmówił modlitwę za chłop-
ca, który, choć nie był muzułmaninem, był dzieckiem religijnym i nie ponosił winy za
to, że nie pozwolono mu poznać nauk Proroaka. Allah jest przecież nieskończenie mi-
łosierny i bez wątpienia przymknie na to oczy, okazując mu łaskę i zabierając do Raju.
Lepiej, żeby zrobił to jak najszybciej.

Śmierć obejmowała chłopca swoim uściskiem centymetr po centymetrze. Oddech
był coraz płytszy, oczy zasnuwały się mgłą i poruszały coraz wolniej, kończyny, które
jeszcze niedawno drgały w konwulsjach, teraz leżały nieruchomo i tylko palce drżały,
ale i to powoli ustępowało.

Siostra Maria Magdalena, stojąca za plecami rodziców, położyła im ręce na ramio-
nach, a doktor Moudi podszedł bliżej, by przyłożyć do piersi chłopca stetoskop. Z wną-

trza klatki piersiowej dochodziły różne dźwięki: kapanie krwi, gulgotanie obumierających i pękających tkanek, ale serca nie było już słycać. Przyłożył jeszcze słuchawkę obok, by się upewnić, a potem podniósł wzrok na rodziców.

— Bardzo mi przykro, ale państwa syn już nie żyje.

Mógł dodać, że jak na ebola, śmierć ich syna była bardzo łagodna, ale i tak niczego by to nie zmieniło. Zresztą, inne przypadki znał tylko z książek i artykułów, to było jego pierwsze bezpośrednie zetknięcie z wirusem. Wystarczyło nawet tego, by przejąć go zgrozą do głębi.

Rodzice przyjęli to nadzwyczaj mężnie. Zresztą wiedzieli o tym już od wczoraj, mieli mnóstwo czasu, by się z tą śmiercią pogodzić, a widok przedśmiertnych męczarni dziecka sprawił, że nawet zaczęli jej wyglądać, by położyła już kres jego męce. Wirus zostawił im akurat tyle czasu, by zdążyli się z nią pogodzić, ale nie dość, by szok ich zламаł. Teraz pójda poszukać ukojenia w modlitwie, i tak właśnie być powinno.

Ciało Benedicta zostanie spalone, a wraz z nim wirus, który go zamordował. Teleks z Atlanty zalecał to kategorycznie. Szkoda.

* * *

Ryan potrząsnął ręką, by ją rozluźnić, gdy kolejną gości wreszcie dobiegła końca. Spojrzał na żonę, która też rozcierała swoją dłoń i głęboko westchnął.

— Przynieść ci coś? — zapytał.

— Tak, ale coś lekkiego. Mam jutro dwie operacje.

Ryan przypomniał sobie, że wciąż jeszcze nie obmyślili żadnego sposobu na bezpieczne i nie rzucające się w oczy dojazdy do pracy.

— Dużo będziemy musieli miewać takich atrakcji? — zapytała po chwili.

— Nie mam pojęcia — skłamał Jack. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że terminarz mieli już ustalony na kilka miesięcy naprzód i że, niezależnie od tego, co o tym terminarzu myślą, będą musieli odbyć wszystkie zapisane w nim spotkania. Z upływem każdego dnia ogarniało go coraz większe zdziwienie tym, że są ludzie gotowi na każdą podłość i wyrzeczenie, byle objąć tę posadę. Wiązało się z nią tyle pobocznych obowiązków, że właściwie nie pozostawiała już czasu na wykonywanie tych zasadniczych. W tej chwili podszedł jeden z kelnerów z tacą napojów dla prezydenckiej pary. Na ser-

wetkach wydrukowana była sylwetka Białego Domu i słowa DOM PREZYDENTA. Zauważyli to jednocześnie i gdy podnieśli oczy, by sobie to nawzajem zakomunikować, porozumieli się bez słów.

— Pamiętasz, jak pierwszy raz zabraliśmy Sally do Disneylandu? — zapytała Cathy.

Jack wiedział, o co jej chodziło. To było tuż po trzecich urodzinach ich córeczki, tuż przed tym brzemiennym w skutki wyjazdem do Londynu. Sally zafascynował zamek Królowy Śnieżki, stojący w środku Magicznego Królestwa. Gdziekolwiek poszli, jej oczy były w niego stale wbite. Nazywała go Domem Myszki Miki. A teraz, proszę, mieli swój własny zamek, przynajmniej na jakiś czas. Cena, jaką za to musieli płacić, była jednak stanowczo zbyt wysoka.

Cathy podeszła do kąta, w którym Robby i Sissy Jacksonowie rozmawiali z księciem Walii. Jack poszukał wzrokiem van Damma.

— Jak ręka? — zapytał Arnie.

— Nie narzekam.

— Twoje szczęście, że nie musiałeś prowadzić kampanii wyborczej. Ma się wtedy mnóstwo do czynienia z ludźmi, którzy uważają, że uścisk jest tym bardziej serdeczny,

im więcej siły w niego włożą. Ci przynajmniej trochę uważają. — Arnie pociągnął łyk Perriera i rozejrzał się po sali. Przyjęcie toczyło się zgodnie z planem. Szefowie rządów, głowy państw i ambasadorzy podzielili się na dyskutujące grupki. Skądś doszedł go nawet przytłumiony śmiech, będący pewnie reakcją na jakiś ostrożny żart. Nastrój wyraźnie się rozluźnił.

— Jak mi dziś poszło? — zapytał cicho Ryan.

— Szczerze? Nie mam pojęcia. Wszyscy oczekiwali czego innego i o tym powinienś pamiętać. — Nie dodał już, że części z nich było to całkiem obojętne, bo mieli swoje wewnętrzne problemy na głowie.

— Tyle to już się sam domyśliłem, Arnie. To co, teraz rundka po sali, co?

— Pogadaj z Hinduską. Scott twierdzi, że to może być ważne.

— Dobra. — Przynajmniej pamiętał jak wygląda pani premier. Większość twarzy z kolejki zdążyła się już zatrzeć i zlać w jedną wielką plamę, jak to bywa na zbyt wielkich przyjęciach. Ryan jednak przejął się tym i poczuł jak uzurpator, bo przecież politycy powinni mieć, jak policjanci, fotograficzną pamięć do twarzy i nazwisk. On nie miał i zastanawiał się, czy można tej umiejętności nabyć przez jakiś trening. Odstawił pu-

stą szklankę na tacę przechodzącego kelnera, wytarł wilgotną dłoń w jedną z serwetek z nadrukami i wyruszył na poszukiwanie gościa z Indii. Po drodze trafił na Rosjanina.

— Witam, panie ambasadorze — odparł na jego powitanie. Walerij Bogdanowicz Liermonsow witał się już z prezydentem, ale w kolejce nie mieli czasu na to, by porozmawiać. Raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie. Liermonsow był zawodowym dyplomata z długim stażem i wśród korpusu dyplomatycznego cieszył się powszechnym szacunkiem. Wszyscy wiedzieli, że jego staż w KGB jest równie długi jak w MSZ, ale w końcu mało który z tych, którzy te plotki roznosili, nie pracował na dwóch etatach, a poza tym Ryan nie miał nic przeciwko temu.

— Mój rząd pragnie się dowiedzieć, czy skorzysta pan z zaproszenia do złożenia wizyty w Moskwie? — zapytał ambasador.

— Nie mam nic przeciwko, ale przecież poprzedni prezydent dopiero co złożył wam wizytę, a poza tym w zaistniałej sytuacji czeka mnie bardzo wiele pracy i nie wiem, czy uda się na nią znaleźć czas, panie ambasadorze — odparł Jack.

— Nie wątpię, ale mój rząd pragnąłby przy okazji omówić kilka bardzo ważnych dla obu stron zagadnień. — To sformułowanie spowodowało, że Ryan bacznie przyjrzał się ambasadorowi.

— Tak?

— Obawiałem się, że natłok pańskich obowiązków może stać na przeszkodzie w odbyciu wizyty. Czy w takim razie zgodziłby się pan przyjąć, z zachowaniem daleko idącej dyskrecji, osobistego wysłannika naszego prezydenta i spróbować z nim omówić te zagadnienia?

Mowa mogła być o tylko jednej osobie i Jack wiedział o tym.

— Siergiej Nikołajewicz?

— Czy zgodzi się pan go przyjąć? — powtórzył ambasador.

Ryan przez chwilę poczuł jeśli nie strach, to przynajmniej niepokój. Gołowko był teraz przewodniczącym SWR, Służby Wywiadu Zagranicznego, o wiele mniejszej, ale nadal groźnej spadkobierczyni KGB. Był też jednym z niewielu ludzi w rządzie Rosji, którzy odznaczali się jednocześnie zdrowym rozsądkiem i zaufaniem prezydenta Gruszawoja w stopniu odpowiednim, by móc pełnić rolę jego osobistego wysłannika

o szerokich kompetencjach. Gołowko do pewnego stopnia pełnił rolę, którą dla Stalina wykonywał Beria: był jego doradcą, służył mu swoim mózgiem, doświadczeniem i w razie potrzeby aparatem zdolnym do wprowadzenia w życie ich wspólnych decyzji. No, może analogia z Bериą szła tu za daleko, ale jeżeli Gołowko się do niego wybierał, to na pewno nie po szczyptę soli. „Bardzo ważne dla obu stron zagadnienia” i ten pośpiech mogły oznaczać tylko jedno: kłopoty. Kolejną wskazówką było to, że wizytę omawiano bezpośrednio z nim, a nie przez Departament Stanu. No i ta wiele mówiąca natarczywość doświadczonego w końcu dyplomaty. To wszystko dodawało powagi sytuacji.

— Siergiej to mój stary przyjaciel — powiedział z uśmiechem, nie dodając już, że zaprzyjaźnili się, gdy „stary przyjaciel” trzymał w ręku pistolet wymierzony w jego głowę. — W moim domu jest zawsze mile widzianym gościem. Proszę powiadomić o terminie wizyty Arnie’ego, dobrze?

— Dziękuję, panie prezydencie — z wyraźną ulgą odparł ambasador. Cholera, to coś naprawdę poważnego, utwierdził się w przekonaniu Jack. Kiwnął ambasadorowi głową

i odszedł. Książę Walii zabawiał rozmową panią premier Indii, czekając aż Rosjanin pójdzie sobie wreszcie.

— Pani premier, wasza wysokość — powiedział Ryan, skłaniając się lekko.

— Pomyśleliśmy sobie, że pewne ważne sprawy wymagają wyjaśnienia.

— Tak? A o co chodzi? — zapytał Ryan, czując już przez skórę, o czym będzie mowa.

— O ten nieszczęsny incydent na Oceanie Indyjskim, oczywiście. Mój Boże, tyle nieszczęść przez zwykłe nieporozumienie.

— Rzeczywiście, to poważna sprawa. . .

* * *

Nawet w wojsku są dni wolne i dziś, z okazji pogrzebu prezydenta, był jeden z nich. Niebiescy i Czerwoni skorzystali z tego dnia, by odpocząć. Także dowódcy mieli wolne i spotkali się w domu generała Diggsa. Dom położony był na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na monotonną panoramę doliny. Widok był wspaniały, pusty-

nię owiewał ciepły meksykański wiatr, a na ogrodzonym podwórzu za domem dymił i skwierczał grill.

— Spotkał pan kiedyś prezydenta Ryana? — zapytał Bondarienko, opuszczając od ust puszkę piwa.

Diggs powoli pokręcił głową, przewracając hamburgery na ruszcie. Sięgnął po sos.

— Nie. Z tego co wiem, miał coś wspólnego z wysłaniem 10. pułku do Izraela, ale osobiście go nie spotkałem. Znam za to Robby'ego Jacksona, który jest teraz szefem planowania w Kolegium Szefów Sztabów. Robby bardzo go chwali.

— To amerykański zwyczaj? — zapytał znowu Bondarienko, wskazując puszką na murowany grill.

— Ojciec mnie tego nauczył — odparł Diggs, podnosząc wzrok znad rusztu. — Możesz mi podać moje piwo? — Kiwnął głową, gdy Rosjanin podał mu jego puszkę. — Nie znoszę tracić czasu przeznaczonego na szkolenie, ale. . . — Ale, tak jak i jego gość, lubił sobie czasem zrobić wolne.

— Fajnie tu macie, Marion. — Bondarienko rozejrzał się po okolicy. Zaplecze bazy wyglądało jak typowe amerykańskie przedmieście, z ulicami i domami kadry, ale dalej

okolica nie przypominała Ameryki z kolorowych magazynów. Jak okiem sięgnąć, cała dolina była kompletnie goła. Nic tu nie rośło, poza kilkoma kolczastymi krzewami. Ziemia była jasnobrązowa, nawet góry wyglądały na całkowicie jałowe. Mimo to widok był naprawdę zapierający dech w piersiach. I w dodatku przypominał mu podobne widoki w Tadżykistanie. Może dlatego tak na niego działał?

— To za co panu nawieszali tych blaszek, panie generale? — zapytał Diggs. Wiedział, że to wysokie odznaczenia bojowe i że za biurkiem się takich nie dostaje. Gość lekko zadrżał. Zimno mu, czy co?

— Ano Afgańczycy wybrali się kiedyś do nas z nie zapowiedzianą wizytą. Mieliśmy tam w jednym miejscu tajny ośrodek badawczy, teraz już nieczynny, bo od paru lat leży już za granicą, wiesz...

Diggs kiwnął głową.

— Jestem kawalerzystą, nie fizykiem, więc możesz sobie darować wszystko to, co tajne.

— Dobra. Bronilem budynku mieszkalnego, hotelu dla naukowców i ich rodzin. Wziąłem pod komendę pluton wojsk pogranicznych KGB i zajęliśmy pozycje na parte-

rze. Afgańczycy atakowali w sile kompanii, w nocy, pod osłoną burzy śnieżnej. Przez jakąś godzinę, albo coś koło tego, było całkiem ciekawie — podsumował Gienadij i pociągnął łyk piwa.

Diggs widział kilka blizn, kiedy poprzedniego dnia spotkali się pod prysznicem.

— Rzeczywiście są tacy dobrzy, jak się słyszy?

— Afgańczycy? — Bondarienko pokręcił głową. — Lepiej, żebyś im nie wpadł w ręce. To są ludzie, którzy niczego się nie boją, ale to czasami gra na ich niekorzyść. Od razu widać, czy grupa, z którą masz do czynienia, ma kompetentnego dowódcę, czy nie. Ten, z którym walczyłem, był dobry. Ani się obejrzelismy, jak pół laboratorium poszło w diabły, a my... — Wstrząsnął nim znowu dreszcz. — Myśmy po prostu mieli cholerne szczęście. W końcu wdarli się do budynku. No i okazałem się lepszym strzelcem.

— Bohater Związku Radzieckiego — mruknął Diggs znad rusztu. Pułkownik Hamm cały czas słuchał, nie odzywając się ani słowem. W ich środowisku tak się właśnie mierzyło wartość ludzi: nie według tego co, ale jak opowiadali.

Bondarienko uśmiechnął się.

— Marion, ja naprawdę nie miałem innego wyboru. Nie było dokąd uciekać, a poza tym widziałem już wcześniej, co oni wyprawiali z wziętymi do niewoli oficerami. No więc dali blachę, dali awans, co, miałem nie brać? A potem tak się porobiło, że mój kraj... Jak to powiedzieć? Wyparował? — To nie była cała historia. Bondarienko był potem w Moskwie, w czasie puczu Janajewa i po raz pierwszy w życiu stanął przed moralnym dylematem. Podjął właściwą decyzję, co nie uszło uwagi kilku ludzi, których zdanie bardzo się liczyło w rządzie nowego, znacznie mniejszego państwa.

— No, ale teraz to zupełnie inny kraj — odezwał się Hamm — i teraz się przyjaźnimy.

— Zgadza się, panie pułkowniku. Dobrze pan mówi, a jeszcze lepiej dowodzi.

— Dziękuję, ale to przesada. Ja głównie siedzę na tyłku, a pułk sam się dowodzi. — Wszyscy wiedzieli, że to kłamstwo, ale dobremu oficerowi nie wypadało powiedzieć inaczej.

— Dobrze pan dowodzi — powtórzył Bondarienko — ale działa pan według naszej doktryny! — Gość wydawał się nadal poruszony tym odkryciem.

— Skoro to się sprawdza, to czemu nie? — odparł Hamm i dopił swoje piwo.

Pewnie, że się sprawdza, pomyślał Bondarienko. W jego armii też wreszcie zacznie się sprawdzać, kiedy dokona reformy i postawi ją z głowy na nogi, jak jeszcze nigdy, jak historia Rosji długa. Nawet w latach największej świetności, gdy spychała Hitlera do Berlina, Armia Radziecka była jak obuch siekiery: tępą, masywną i polegającą głównie na sile bezwładności. Przy pewnej dozie szczęścia nawet obuchem da się ściąć drzewo. Ale szczęściu trzeba pomagać, na przykład konstruując najlepszy czołg drugiej wojny światowej, *T-34*. A *T-34* też by nie powstał, gdyby nie ludzie, którzy wyszukali i kupili w Ameryce patent Christiego na zawieszenie czołgu na wałkach skrętnych, którym nikt nie był zainteresowany, i inni, którzy we Francji znaleźli dieslowski silnik do napędu sterowców, a potem jeszcze inni, którzy to zebrali do kupy i ciężką pracą zbudowali pojazd, który wygrał wojnę na Wschodzie. Ten czołg był wytworem myśli konstruktorskiej na światowym poziomie, który w dodatku pojawił się we właściwym miejscu i czasie, i pozwolił obronić ojczyznę. Tamte czasy jednak nieodwracalnie minęły i jego ojczyzna nie mogła już dłużej polegać na sile obucha i szczęściu. Amerykanie pokazali drogę, przechodząc w latach 80. na system dotąd na świecie nieznaną: stworzyli stosunkowo nieliczną, całkowicie zawodową armię doskonale wyposażonych i wyszkolonych

żołnierzy, wybranych starannie spośród ochotników, zgłaszających się do jej szeregów. 11. pułk Hamma nie przypominał mu żadnej jednostki z tych, które w życiu miał okazję widzieć. Po odprawie przed ćwiczeniami wiedział, czego mógł się spodziewać, ale brał większość z tego, co usłyszał, za przechwałki. To się jednak sprawdziło co do joty. W sprzyjającym terenie taki pułk mógł podjąć równą walkę z dywizją i, w co jeszcze trudniej było uwierzyć, wygrać ją. Czyli jeżeli udało się siekierę odwrócić ostrzem do pnia, drzewo dawało się ściąć dużo łatwiej. Przecież Niebiescy też nie wypadli sroce spod ogona, a mimo to ich dowódca nie przyszedł tu z nimi na piwo, wykorzystując wolny dzień na dodatkowe zajęcia ze swoimi podwładnymi, by następnym razem spisali się lepiej.

Do wielu rzeczy, których się tu nauczył, doszła jeszcze jedna, o tym jak Amerykanie reagowali na takie nauczki. Starsi oficerowie sztabowi regularnie doznawali upokorzeń w czasie ćwiczeń i odpraw po ćwiczeniach, na których rozjemcy bezlitośnie przeprowadzali wiwisekcję ich błędów, odtwarzając na podstawie swoich zapisów każdy krok, analizując go i surowo oceniając.

— Wiecie co? — zaczął Bondarienko. — U nas, jakby taki jeden z drugim rozjemca pozwolił sobie w taki sposób prowadzić odprawę, to by szybko w zęby dostał od innych i by mu przeszło.

— Normalka, u nas na początku też o mało do tego nie dochodziło — uspokoił go Diggs. — Kiedy zaczynaliśmy, dowódców, którzy u nas przegrywali, zdejmowali ze stołków. Dopiero potem ktoś się palnął w czoło i wreszcie zdali sobie sprawę z tego, po co powołano do życia nasz ośrodek, że jesteśmy tu po to, żeby było trudno. To Pete Taylor doprowadził do tego, że NOS zaczął działać jak należy. Rozjemców trochę utemperował, Niebieskim wbił do głowy, że przyjeżdżają się tutaj uczyć, a nie walczyć, więc jeśli ktoś u nich daje ciała, to należy mu wytłumaczyć dlaczego, a nie od razu wyrzucać na zieloną trawę. Tak czy inaczej, Gienadij, nie ma na świecie drugiej armii, która tak daje swoim oficerom w kość jak my.

— To prawda, panie generale. Zresztą wczoraj właśnie rozmawialiśmy na ten sam temat z Seanem Connollym. Connolly dowodzi 10. pułkiem kawalerii pancernej na pustyni Negew — wyjaśnił Bondarienko. — Izraelczycy nadal nie mogą się pogodzić z tym, jak im nasi rozjemcy nawtykali.

— Montujemy im tam coraz więcej kamer — Diggs śmiejąc się, nakładał na talerze hamburgery — ale nadal mają kłopoty z uwierzeniem w to, co sami potem oglądają na taśmach.

— Tak, ciągle jeszcze zadzierają za wysoko nosa — zgodził się Hamm. — Zresztą, zanim zostałem tu na dobre, sam parę razy nieźle dostałem w dupę od moich obecnych podwładnych.

— Gienadij, po wojnie z Irakiem 3. pułk kawalerii zmechanizowanej przyjechał tu na regularną turę ćwiczeń. Jak pamiętasz, to właśnie oni stanowili szpicę 24. Dywizji Zmechanizowanej Barry'ego McCaffeya. . .

— Fakt. We wszystkich gazetach pisali, jacy to z nich zawodowcy, bo w cztery dni weszli na ponad trzysta kilometrów w głąb Kuwejtu, a potem Iraku — potwierdził Hamm. Bondarienko pokiwał głową. On także studiował ze szczegółami historię tej wojny.

— No i dwa miesiące później przyjechali do nas, a myśmy im wyłócili tyłki tak, że blask zaćmił im aureole, które mieli nad głowami. I tu tkwi właśnie sedno sprawy,

panie generale. My szkolimy tak, że jest gorzej, niż na prawdziwej wojnie. Nie ma na tym świecie oddziału lepiej wyszkolonego niż 11. pułk Ala. . .

— A Bizony? — wtrącił się znowu Hamm. Diggs uśmiechnął się na wzmiankę o 10. pułku. Zdążył już przywyknąć do tego, że Hamm ciągle się wtrącał.

— Masz rację, Al Wracając do głównego wątku: jeżeli ktoś okaże się tylko równy Czerwonym, to znaczy, że ma oddział gotowy do stawienia czoła każdemu przeciwnikowi na świecie, choćby tamten miał trzykrotną przewagę.

Bondarienko pokiwał głową z uśmiechem. Szybko się uczył. Mała grupka oficerów, których ze sobą zabrał też nie próżnowała, węsząc po całej bazie i ucząc się, ucząc się zawzięcie wszystkiego, czego można się było nauczyć. Armia rosyjska nie zwykła walczyć z przeciwnikami trzykrotnie od niej liczniejszymi, ale to się mogło szybko zmienić, jeżeli będą musieli stanąć do walki z Chinami. Jeżeli dojdzie do takiej walki, będzie się ona toczyć na najdalej wysuniętych krańcach linii zaopatrzeniowych i przeciw wielkiej, ale poborowej armii. Jediną receptą na zwycięstwo było szybkie przerobienie ich własnej armii na modłę amerykańską. Zadaniem Bondarienki była całkowita zmiana

rosyjskiej doktryny wojennej, nawet dalej, całkowita zmiana rosyjskich poglądów na kwestie militarne. A tu najlepiej można się było dowiedzieć, jak to zrobić.

* * *

Pieprzysz, pomyślał prezydent, kryjąc ten osąd pod uprzejmym uśmiechem. Trudno było polubić Indie. Hindusi mówili o sobie, że są największą demokracją świata, ale to bzdura. Mówili o wzniosłych ideałach, ale jeżeli tylko nadarzała się okazja, rozpychali się łokciami wśród sąsiadów, rozwijali potajemnie program jądrowy i jeszcze ta buta, z którą ich poprzedni premier zwracał amerykańskiemu ambasadorowi uwagę, że „w końcu ten ocean nie przypadkiem nazywa się Indyjski”, czyli innymi słowy: „zasada wolności mórz zasada wolności mórz, ale wynoście się stąd do siebie”. I w dodatku Ryan był pewien, że jeżeli tylko Marynarka wycofa się poza zasięg uderzenia samolotów z lotniskowców, Indie zrobią z dawna zapowiadany porządek ze Sri Lanką. Właśnie dopiero co tego próbowali, a im bardziej temu zaprzeczają, tym bardziej widać, że o niczym innym nie marzą. No, ale przecież nie można szefowej ich rządu roześmiać się w nos i powiedzieć, żeby przestała pieprzyć. Szkoda.

Jack słuchał więc cierpliwie, popijając z kolejnej szklanki Perriera. Sytuacja na Sri Lance była skomplikowana, co doprowadziło do tego pożałowania godnego nieporozumienia, które zaowocowało spięciem, którego Indie żałują, choć nie chowają do nikogo urazy, ale uważają, że w interesie światowego bezpieczeństwa będzie, żeby obie strony odłożyły broń i ustąpiły sobie nawzajem z drogi. Marynarka Indii wraca do baz, mimo że amerykańska interwencja, w wyniku której kilka hinduskich jednostek odniosło uszkodzenia, przeszkodziła w ich zakończeniu. Nie potrzebowała słów, by sens tego wyводу dotarł do Ryana: „Ty brutalu!”.

Ciekawe, co w takim razie mają o was do powiedzenia Cejlończycy? Jacka koczyło, żeby zadać to pytanie, ale w porę ugryzł się w język.

— No cóż, być może moglibyśmy w porę powstrzymać nasze działania, gdyby ambasador Williams zdołał jaśniej nakreślić nam cały obraz — ze smutkiem w głosie podsumował Ryan.

— Takie rzeczy się zdarzają w dyplomacji — odparła pani premier. — Wie pan, tak między nami, David to czarujący człowiek, ale chyba w jego wieku nasz klimat jest już dla niego zbyt gorący.

Jasna cholera, jeszcze chwila i zacznie mi mówić, kogo mam skąd odwoływać! Z tym nieoficjalnym uznaniem Williamsa za *persona non grata* to już przesadzili. Ryan próbował zachować kamienną twarz, ale w tym momencie nie zdołał. Bardzo potrzebował teraz Scotta Adlera, sekretarz stanu kręcił się jednak gdzieś po sali.

— Mam nadzieję, że rozumie pani, że w tej chwili nie mam możliwości przeprowadzania poważnych zmian w korpusie dyplomatycznym. — Spadaj, ropucho.

— Och, nie, nie to miałam na myśli. W pełni doceniam trudność położenia, w jakim znalazł się pan na skutek tego pożałowania godnego incydentu. Chciałam tylko zwrócić pana uwagę na okoliczność, która mogłaby w przyszłości wiele spraw ułatwić. — A jak nie zrobisz jak chcę, to ci mogę sporo nabruździć.

— Bardzo pani dziękuję za tę sugestię, pani premier. Być może ambasador Indii zechce potem porozmawiać o tym ze Scottem?

— Tak, to dobry pomysł. Porozmawiam z nim o tym na pewno. — Uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się. Jack odczekał chwilę i spojrzał na księcia.

— Wasza wysokość, jak to się nazywa, kiedy dwoje ludzi na wysokich stanowiskach łże sobie prosto w oczy i oboje o tym wiedzą? — zapytał.

— Dyplomacja — odparł książę.

9 — Wycie z oddali

Raport ambasadora o nowym prezydencie nie wzbudził w Gołowce większego współczucia dla jego bohatera. Ryan był „zaszczuty”, „nie na swoim miejscu”, „przytłoczony sytuacją” i „fizycznie wycieńczony”. Tak, tego się należało spodziewać. Ta jego mowa pogrzebowa była zupełnie nie na miejscu, co do tego raporty dyplomatyczne i opinie amerykańskich mediów zgadzały się całkowicie. Tego też należało się spodziewać, a w każdym razie mogli się tego spodziewać ci, którzy osobiście znali Ryana i wiedzieli o jego sentymentalnym usposobieniu. To mu przebaczał bez wahania, w końcu Rosjanie to ludzie o szerokiej duszy. Nie powinien był tego robić, ale w końcu nic

złego się nie stało. Gołowko czytał tekst oficjalnego przemówienia, pełen zapewnień dla wszystkich słuchaczy i ta mowa bardzo mu się podobała. No, ale Ryan zawsze był w takich przypadkach nieobliczalny, co z jednej strony ułatwiało jego ocenę, ale z drugiej wcale mu się nie podobało. Ryan był Amerykaninem, a wiadomo, że są to ludzie, których zachowanie trudno przewidzieć. Całe swoje życie zawodowe starał się przewidzieć, jak Amerykanie zareagują na to, czy inne posunięcie i swoją karierę zawdzięczał tylko temu, że zwykle starał się przedstawić w raporcie przynajmniej trzy możliwe kontrposunięcia przeciwnika — któreś zawsze musiało pasować, ale nigdy nie było wiadomo do końca, które.

Tak więc, jak można było przewidzieć, Ryan był nieprzewidywalny. Trudno. Gołowko myślał o nim jak o przyjacielu, co może było lekką przesadą, ponieważ toczyli ze sobą grę. Grali jednak czysto, choć czasami ostro, a prawie zawsze po przeciwnych stronach boiska, ale szanowali się nawzajem. Gołowko był zawodowcem i przemawiało za nim większe doświadczenie, ale Ryan był zdolnym amatorem, no i na jego korzyść działało to, że system amerykański tolerował wybryki, na które sobie pozwalał.

— Co ty kombinujesz, Jack? — wyszeptał pod nosem Gołowko. W tej chwili w Waszyngtonie była noc, to w końcu osiem stref czasowych od Moskwy, w której słońce właśnie wstawało, rozpoczynając krótki, zimowy dzień.

Liermonsow, ambasador Rosji w Waszyngtonie, nie był zachwycony Ryanem i Gołowko postanowił dodać do raportu własne uwagi, by ustrzec swój rząd przed wyciągnięciem pochopnych wniosków. Ryan był zbyt szczwanym lisem i zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem w czasach Związku Radzieckiego, by go lekceważyć z powodu chwilowej słabości. Liermonsow oczekiwał kogoś podobnego do innych polityków amerykańskich, zawiódł się i swoją frustrację wylał w sprawozdaniu, tracąc z oczu istotę sprawy. Jack dawał się łatwo zasufladkować. Miał może nie tyle nadmiernie skomplikowaną osobowość, co po prostu inną. Tu w Rosji nie mieli Ryanów, taki typ ludzi u nich nie zaszedłby w skostniałej biurokracji nawet na najniższe stanowiska kierownicze. Szybko się nudził, z charakteru był cholerykiem, choć zwykle starał się trzymać nerwy na wodzy. Gołowko sam widział kilka razy, jak Ryan zaczyna się gotować, ale samego wybuchu nie dane mu było zobaczyć. O tych erupcjach krążyły w CIA barwne

opowieści, które trafiały często do tych uszu co trzeba, a za ich pośrednictwem tu, na Łubiankę. Daj mu Boże szczęście na nowym stanowisku.

Ale co on się tu martwi o Ryana, swoich problemów mu nie wystarczy? Wciąż jeszcze miał na głowie SWR, bo Gruszawoj nie miał zbyt wielu powodów ufać spadkobierczyni „Tarczy i Miecza Partii” i chciał, by kontrolę nad przyczajonym potworem sprawował ktoś, na kim mógł polegać. Jakby tego było mało, Siergiej był jednocześnie głównym doradcą do spraw polityki zagranicznej prezydenta Rosji, a więc w praktyce to on ją prowadził, bo problemy wewnętrzne Rosji były tak wielkie, że prezydent nie miał po prostu na to czasu i zgadzał się na wszystko, co zaproponował były szpieg. Gołowko wziął to sobie bardzo do serca i poważnie podchodził do swoich obowiązków. Polityka wewnętrzna Gruszawoją przypominała walkę z hydrą. Na miejsce każdej odrąbanej głowy mafii dosłownie wyrastały trzy nowe. Gołowko miał mniej problemów, ale za to większego kalibru. Część jego duszy gorąco pragnęła powrotu starego porządku i starej KGB. Wtedy wszystko było proste — ot, podnieść telefon, powiedzieć parę słów i następnego dnia odebrać raport o tym, że przestępcy pojechali na białe niedźwiedzie. No, może to lekka przesada, ale byłby porządek, byłoby dużo spokojniej. Bardziej przewi-

dywalnie. Jego kraj bardzo teraz potrzebował stabilizacji i porządku. Tyle że to już teraz nie jego działka. Drugi Zarząd Główny, tajna policja, była teraz instytucją samodzielną, ale wykastrowaną i ludzie śmieli się w nos tajniakom, którzy jeszcze parę lat temu przepełniali ich zgrozą. W tym kraju nigdy nie było takiego porządku, jak się tym na Zachodzie wydawało, a teraz było jeszcze gorzej. Rosja chwiała się na krawędzi anarchii, odkąd zaczęła się ta cholerna demokracja. To właśnie anarchia wyniosła do władzy Lenina, bo Rosjanie, przyzwyczajeni do tego, że zawsze ktoś twardą ręką trzyma za uzdę, pragnęli by po słabowitym rządzie Kiereńskiego ktoś wreszcie wziął wszystko za mordę i zaprowadził porządek. Gołowko już dawno wyrósł z komunizmu, a ze swego wysokiego miejsca dobrze widział, co marksizm-leninizm zrobił z jego ojczyzny. Nie chciał powrotu starego reżimu, ale tęsknił do czasów, gdy mógł podejmować decyzje, czując za sobą siłę zorganizowanego państwa. Doskonale wiedział, że słabość wewnętrzna państwa przyciąga kłopoty z zewnątrz — parę razy miał do czynienia z „bratnią pomocą” udzielaną w takim przypadkach innym krajom przez ZSRR i nie chciał, by tym razem przyszła kolej na jego ojczyznę. To tak, jak wtedy gdy ranny człowiek broni się

przed wilkami. Póki zapach krwi nie rozejdzie się zbyt daleko, słysząc tylko wycie zgrai, najpierw z oddali, potem coraz bliżej. A do niego należało odpędzanie wilków.

Ryan w porównaniu z nim miał sytuację wręcz komfortową. Jego kraj dostał wprawdzie mocno w głowę, ale nadal przeżył mięśnie i zachowywał świetne zdrowie. Inni może tego nie zauważali, ale Gołowko wiedział lepiej od nich i liczył na to, że Ryan wysłucha jego prośby o pomoc.

Chiny. Amerykanie pobili Japonię, ale to nie ona była ich prawdziwym wrogiem. Całe biurko miał zasłane świeżymi zdjęciami z satelitów. Te chińskie manewry były zakrojone na podejrzenie wielką skalę. Za dużo dywizji. No i ich jednostki raketowe nie odwołały stanów alarmowych i nie oddały głowic jądrowych do magazynów. A Rosjanie już nie mieli żadnych rakiet, bo zniszczyli je, mimo chińskiego zagrożenia, pod naciskiem Zachodu, za pożyczki na rozwój kraju. To może nie była aż taka dysproporcja, bo chińskim rakietom daleko było do amerykańskich, a Rosjanie nadal mieli bombowce strategiczne i pociski manewrujące z głowicami nuklearnymi, ale Chińczykom mogło się wydawać inaczej. W każdym razie pozostawało faktem, że chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza była w szczytowej formie i w stanie pełnej gotowości bojowej,

podczas gdy wojska Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego Armii Rosyjskiej stały na najniższym poziomie gotowości w całej swej historii. Pocieszał się, że po wyeliminowaniu Japonii Chińczycy może nie zdecydują się ruszyć sami. Może. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Jeżeli Amerykanów trudno było zrozumieć, to przy nich Chińczycy mogli być równie dobrze kosmitami. A raz już doszli prawie nad Bałtyk. Gołowko, jak większość Rosjan, wiele myślał o historii swojego kraju. Rosja była jak ranny wędrowiec, który leżał skrwawiony w śniegu, ściskając w ręku kij i nasłuchiwał. Ramiona miał krzepkie, kij tęgi i na tyle długi, by pysk bestii nie sięgnął ciała. Ale co będzie, jeśli będzie ich więcej? Dokument, który leżał na lewo od zdjęć satelitarnych stanowił pierwszą zapowiedź nowych kłopotów. Jak stłumione odległością wycie kolejnego wilka, które mrozi krew rannego wędrowca. A kiedy człowiek leży, wszystko wydaje się dalej, niż jest w rzeczywistości.

* * *

Zadziwiające, że trwało to tak długo. Ochrona osobistości przed zamachami to przecież bardzo skomplikowane zadanie, zwłaszcza, gdy ochraniający wychodzi z siebie, by

tylko narobić sobie jak najwięcej wrogów. Oczywiście, możliwość bezlitosnej eksterminacji każdej osoby, którą się podejrzewa o jakiegokolwiek knowania, bardzo w tym dziele pomaga, podobnie jak kultywowanie zwyczaju porywania z ulicy podejrzanych, po których potem wszelki śluch zanika. Jeżeli do tego dodać przejawianą wielokrotnie skłonność do traktowania w ten sposób nie pojedynczych osób, ale całych rodzin, to czynnik odstraszenia stanie się jeszcze bardziej znaczący. To już tylko sprawa wywiadu, który typuje ludzi, których trzeba będzie „zniknąć”. Bardzo mu się podobał ten niby-czasownik, wynalazek argentyński z okresu rządów wojskowych. Zresztą wywiad też powinien być w cudzysłowie, bo zwykle chodziło o zwyczajne donosy, płatne w pieniądzech lub zaszczytach: tymi drugimi płacono zwykle chętniej, bo tańsze, a poza tym gwarantowały, że wkrótce ich beneficjent stanie się bohaterem korespondencji i w rezultacie można się go będzie pozbyć, robiąc miejsce u żłobu dla kolejnego chętnego. Najbardziej lubili zaś tych, którzy donosili bezinteresownie. Tych cieszyła sama świadomość, że jeżeli powtórzą gdzie trzeba, że ten i ów opowiada dowcipy o wąsaczach, to dowcipniś wkrótce przestanie wchodzić im w drogę. To było dobre na początku. Potem, jak wszędzie, zaczęła się profesjonalizacja i w tym fachu. Instytucje, jak to in-

stytucje, zaczęły wyznaczać plan donosów i rozliczać informatorów, a ludzie, jak to ludzie, zawsze mieli swoje sympatie i antypatie, więc donosów nie brakowało. Władza korumpowała na równi wielkich i maluczkich, zwłaszcza jeśli była to władza nad życiem i śmiercią bliźnich. Wkrótce system zaczął zjadać własny ogon i terror osiągnął poziom, na którym zapędzony w narożnik posłuszny ludzki zając odkrywał, że on też, jak lis, który na niego polował, ma zęby, że nie ma nic do stracenia i w dodatku, że zającowi też może dopisać szczęście.

Tak więc sam terror nie był skutecznym zabezpieczeniem. Konieczne były też pasywne środki ochrony. Łatwe samo z siebie zadanie zamordowania ważnej osobistości można skomplikować, zwłaszcza, jeżeli rzecz się dzieje w państwie totalitarnym. Na początek coś prostego, na przykład kilka linii strażników, ograniczających dostęp. Wiele, czasem nawet dwadzieścia, identycznych samochodów z ciemnymi szybami, posuwających się różnymi trasami w kolumnach po parę, tak by ewentualny zamachowiec nigdy nie był pewny którędy i w którym z nich jedzie władca. Jego życie jest wypełnione obowiązkami, więc nie od rzeczy będzie znaleźć sobowtóra, albo nawet kilku sobowtórów,

wygłaszających przemówienia w kilku miastach na raz. Mało się chętnych znajdzie, którzy zaryzykują życiem za szansę pożycia w takim stylu przez jakiś czas?

Poza tym trzeba bardzo starannie dobierać ochroniarzy. Trudno wyłowić z morza nienawiści wierną rybę. Najlepiej więc zdać się na rodzinę rybaka, która póki ich krewny rządzi i tylko dlatego, że ich krewny rządzi, żyje na poziomie, o jakim marzyć by się nawet obawiała, zanim doszedł on do władzy. Trzeba ich związać ściśle z władcą, najlepiej w taki sposób, żeby sami zrozumieli, że śmierć ich patrona nie będzie dla nich oznaczać tylko utraty dobrze płatnej, rządowej posady. Doprowadzić do sytuacji, w której ich życie oraz życie ich rodzin, a nie tylko jego poziom, będą zależeć od tego, czy ich krewny sprawuje władzę. To doskonale wpływa na wzmocnienie motywacji do osiągnięcia jak najlepszych wyników w pracy.

Wszystko jednak sprowadza się do jednego: człowiek staje się niezwyciężony, bo ludzi, którzy w to wierzą, jest więcej niż niedowiarków. Bezpieczeństwo władcy zależy więc od stanu umysłów. Ten sam czynnik decyduje o ludzkiej odwadze i motywacji do czynów, a jak świat światem, strach nigdy na dłuższą metę nie pozwalał na pełną kontrolę nad ludzkimi umysłami. Zawsze znajdowali się wśród nich chętni rzucić swe

życie na szalę — dla miłości, patriotyzmu, zasady, czy Boga. I bywało ich tylu, by ich czyny przeważały nad strachem tych, których obawa paraliżowała. To od nich zależał postęp świata.

Pułkownik ryzykował swym życiem tak często, że już nawet nie pamiętał ile razy. Robił to po to, by się wybić, by go zauważyli, by zaliczyli go do elity i pozwolili wraz z nią rosnąć. Długo trwało, zanim zdołał się zbliżyć do Wąsacza. Osiem lat. Osiem lat torturował mężczyzn, kobiety i dzieci, patrząc na ich męczarnie obojętnymi, wypranymi z litości oczyma. Gwałcił córki na oczach ojców, matki na oczach synów. Ciężko na nim tyle grzechów, że stu ludzi straciłyby na samo dno piekieł. Nie miał innego wyjścia. Żeby dowieść jak bardzo gardzi swoją religią, pił alkohol w takich ilościach, że nawet niewierni nie posiadali się z podziwu. A wszystko to robił w imię Allacha, modląc się o łaskę przebaczenia, desperacko usiłując sobie wmówić, że to mu było pisane, że wcale mu się nie podoba to, co robi, że życia, które odbiera, poświęca dla wykonania wielkiego planu, że w związku z tym poświęca je dla Sprawy. Musiał w to uwierzyć, żeby nie zwariować, bo wtedy wszystko poszłoby na marne. Jego zadanie stało się dla niego misją, obsesją, jedynym sensem życia, nicią przewodnią, której podporządkował

każdy ruch i każdą myśl. A wszystko po to, by wkraść się w ich łaski na tyle, by znaleźć się odpowiednio blisko tego człowieka na tę ostatnią w swoim życiu sekundę, w czasie której wypełni swoje przeznaczenie.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że stał się tym, kogo on i wszyscy pozostali obawiali się najbardziej. Każda odprawa i każda popijawa kończyła się tym samym: rozważaniami nad ich zawodem i jego niebezpieczeństwami. A te rozważania prowadziły ich niezmiennie do tego samego wniosku: to może zrobić jedynie samotny, przepelniony poczuciem misji zabójca, gotów poświęcić swe życie, człowiek cierpliwy, zdolny długo czekać na tę jedną, jedyną, niepowtarzalną okazję. Takiego człowieka boi się każdy ochroniarz na świecie, obojętnie: trzeźwy, czy pijany, na służbie, czy w łóżku żony, nawet we śnie. To dlatego każdego, kto miał chronić Wąsacza, sprawdzano tak dokładnie.

Wąsacz był jego celem. Jako człowiek, wcale go nie obchodził. Zresztą, jaki tam z niego człowiek? Wyrzutek, ateista bezczeszczący islam, zbrodniarz na taką skalę, że gdy go wreszcie diabli wezmą, to w piekle będą mu musieli nowy kocioł postawić, bo nikt z nim nie będzie mógł wytrzymać. Z daleka mógł się komuś wydawać potężny

i niezwycięzony, ale z bliska nigdy. Ochroniarze wiedzieli o nim wszystko. Widzieli chwile słabości i strachu, niegodziwe uczynki uderzające w tych, którzy na nie wcale nie zasłużyli. Widzieli, jak Wąsacz mordował dla zabawy, zupełnie jakby chciał sprawdzić, czy jego Makarow dziś też będzie działać. Widzieli, jak z okna białego Mercedesa wypatruje młodych kobiet, które oni mu potem przywozili siłą do pałacu. To przecież oni po jednej nocy spędzonej w pałacu podrzynali im gardła i spławiali Eufratem, jeżeli oczywiście nie broniły się zbyt mocno i Wąsacz im sam gardła przy okazji nie pode-rżnął. Czasem, powodowany kaprysem, odsyłał je do domu żywe, z pieniędzmi i hańbą. Mógł sobie być potężny, sprytny i okrutny, ale niezwycięzony nie był na pewno. Już czas, by stanął przed obliczem Allacha.

Wąsacz wyszedł z pałacu na krużganek, okrążony najwierniejszymi z wiernych. Sztywno zasalutował tłumom zebranych na placu, a te odpowiedziały mu starannie prze-ćwiczonym rykiem zachwytu. I właśnie w tej chwili stojący o trzy metry od niego puł-kownik wyszarpnął z kabury pistolet, wyciągnął rękę i oddał jeden, jedyny starannie wycelowany strzał w głowę swej ofiary. Stojący w pierwszych rzędach na placu wi-dzieli, jak pocisk wyleciał przez lewe oko Wąsacza, a w promieniach słońca błysnęła

czerwona mgiełka krwi. Nastąpił jeden z tych momentów, gdy wszystkim się zdaje, że ziemia stanęła w bezruchu, serca zamarły i nagle ucichł tłum.

Pułkownik nawet nie próbował oddać drugiego strzału. Nie musiał. Był pewien swego rzemiosła, od ośmiu lat strzelał w potylice codziennie, więc wiedział, jak to się robi. Widział, że pocisk trafił, więc rezultatu był pewien. Nie odwracał się, nie próbował uciekać, bronić się. Po co zabijać kumpli, z którymi razem się piło i gwałciło dwunastolatki? Inni to zrobią. Nawet się nie uśmiechnął, choć przecież było się z czego śmiać. Choćby z tego, jak głupio musiał się poczuć Wąsacz, który w jednej chwili z pogardą patrzył na wiwatujący tłum, a już po chwili spoglądał na oblicze Najwyższego i zastanawiał się, co się stało. Opuścił rękę z pistoletem i czekał. Już po sekundzie pierwsze kule zaczęły miotać jego ciałem. Nie czuł bólu. Za bardzo skoncentrował się na widoku Wąsacza leżącego na kamiennej posadzce w szybko rosnącej kałuży krwi. Ciekawe, czuł jak pociski przebijają jego ciało, czuł, jak rozrywają tkanki, a mimo to w ogóle nie odczuwał bólu. Gdy posadzka zaczęła mu rosnać w oczach, szeptał modlitwę, prosząc Allacha o łaskę wyrozumiałości i odpuszczenie tych wszystkich zbrodni, które musiał popełnić

w imię Jego i jego sprawiedliwości. Do ostatniej chwili słyszał nie strzały, a dochodzące z placu okrzyki tłumu, do którego jeszcze nie dotarło, że ich przywódca nie żyje.

* * *

— Tak, słucham. — Ryan spojrzął na zegar. Cholera, te czterdzieści minut snu bardzo by mu się przydały.

— Panie prezydencie, mówi major Canon z piechoty morskiej — odpowiedział nieznaną głosem w słuchawce.

— Aha. Bardzo mi miło. A coś pan za jeden? — Ryan walcząc z sennością zapomniał na chwilę o grzeczności, ale miał nadzieję, że oficer to zrozumie. A jeżeli to nie będzie coś naprawdę ważnego, zapomni o niej na dobre.

— Panie prezydencie, pełnię obowiązki oficera dyżurnego Służby Łączności Białego Domu. Otrzymaliśmy wiadomość o tym, że dziesięć minut temu zamordowano prezydenta Iraku.

— Źródło? — Senność odleciała jak ręką odjął.

— Kuwejt i Arabia Saudyjska jednocześnie, panie prezydencie. Zamach miał miejsce w czasie uroczystości transmitowanej na żywo przez telewizję. Za chwilę mamy otrzymać przekaz obrazu od naszych ludzi, którzy monitorują iracką telewizję. Na razie mówi się o tym, że został zastrzelony z pistoletu, jeden strzał z bliska w głowę. — Ton narracji zdradzał, że major ma ochotę na wygłoszenie komentarza w rodzaju: „Wreszcie ktoś kropnął skurwysyna!” i jedynie powaga urzędu prezydenta go przed tym powstrzymuje. No i nie wiadomo, kim jest ten „ktoś”.

— Dziękuję, majorze. Co przewiduje w takiej sytuacji instrukcja? — Odpowiedź przyszła natychmiast, więc pewnie ktoś już był przygotowany na to pytanie. Po chwili Ryan odłożył słuchawkę.

— Co się dzieje? — zapytała Cathy. Jack odpowiedział dopiero po tym, jak zestawił stopy na podłogę.

— Zastrzelono prezydenta Iraku.

Cathy chciała już powiedzieć, że to dobrze, ale się powstrzymała. Ta śmierć przestała być nagle czymś odległym. To dziwne, że czuła coś takiego w stosunku do człowieka, który najlepiej mógł się przysłużyć ludzkości znikając z tego świata.

— To takie ważne?

— Za jakieś dwadzieścia minut mi powiedzą. — Odkasznął i zamilkł na chwilę. — Tak, to może mieć poważne następstwa — powiedział i zrobił to od czego każdy Amerykanin zaczyna dzień: uprzedzając żonę, podążył do łazienki. Cathy zrobiła więc za niego to, co zwykle robi Amerykanin po wyjściu z łazienki: sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Zdziwiło ją, że nawet w CNN jeszcze nic o tym nie wiedzą i spokojnie informują o opóźnieniach odlotów na lotniskach. To potwierdzało opinię Jacka o sprawności Służby Łączności Białego Domu.

— Było już coś? — zapytał Jack, wracając do pokoju.

— Jeszcze nic.

Jack zaczął szukać części garderoby, zastanawiając się, jak też prezydent powinien się ubrać na taką okazję. Znalazł szlafrok, który miał już za sobą kolejną przeprowadzkę i otworzył drzwi sypialni. Agent podał mu trzy gazety, Jack podziękował i drzwi się zamknęły.

Cathy, wychodząca właśnie z łazienki, zobaczyła tę scenę i poniewczasie uświadomiła sobie, że trochę niezręcznie czuje się, mając tyłu obcych ludzi tuż za drzwiami

sypialni. Odwróciła się do Jacka, z uśmiechem, który pojawiał się na jej twarzy, gdy przyłapywała go na gorącym uczynku robienia bałaganu w kuchni.

— Jack?

— Tak, kochanie?

— Jeżeli którejś nocy uduszę cię w łóżku, to ci ludzie z bronią dorwą mnie od razu, czy dopiero rano się wyda?

* * *

Najwięcej roboty było teraz w Fort Meade. Iracka transmisja telewizyjna przechwycona została przez stację nasłuchową, kryjącą się pod kryptonimem Palma, nadzorującą znad granicy kuwejcko-irackiej południowo-wschodnią część kraju wokół Basry i stację zwiadu elektronicznego Sztorm w Arabii Saudyjskiej, wychytującą wszelkie sygnały z Bagdadu. Stamtąd kablem światłowodowym obrazy wysłano do nie rzucającego się w oczy budynku w obrębie bazy King Chalid, będącego siedzibą bliskowschodniego oddziału Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, skąd przesłano je przez satelitę do centrali ABN. Dziesięciu ludzi, wezwanych przez młodego oficera dyżurnego, tłoczyło

się wokół małego monitora, na którym pojawiły się obrazy zarejestrowane kilka minut temu przez kamery irackiej telewizji. W szklanej klatce biura wyżsi rangą oficerowie spoglądali na ekran, popijając poranną kawę.

— Gol! — wykrzyknął sierżant Sił Powietrznych, obserwując scenę zamachu. — W samo okienko! — Reszta obecnych wymieniła równie entuzjastyczne komentarze, kilku przybiło piątkę z głośnym klaśnięciem. Starszy oficer dyżurny, który jako pierwszy zawiadomił Służbę Łączności Białego Domu, wyraził swą aprobatę w bardziej stonowany sposób, kiwając powoli głową. Zaraz też przesłał obrazy do Białego Domu i zamówił elektroniczne powiększenia kilku wybranych klatek. Dysponujący olbrzymią mocą obliczeniową komputer Cray, mieszczący się w podziemiach budynku, powinien uporać się z tym zadaniem za kilka minut.

* * *

Podczas gdy Cathy zajęła się szykowaniem dzieci do szkoły, a potem sama przygotowała się do wyznaczonych na ten dzień operacji, Jack siedział w centrali łączności, oglądając raz za razem scenę zabójstwa irackiego dyktatora. Jego dyżurny oficer wy-

wiadu jeszcze nie wyjechał z CIA, czekając na nowe wiadomości, które mógłby przekazać prezydentowi na porannej odprawie. Stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego nie zostało jeszcze obsadzone.

— O rany! — skomentował scenę na ekranie major Canon. Prezydent kiwnął głową i wrócił do swego poprzedniego wcielenia oficera wywiadu.

— Dobra, co już wiemy?

— Wiemy, że ktoś zginął i że mógł to być prezydent Iraku.

— Sobowtór?

— Być może, ale Sztorm meldował masę transmisji radiowych z Bagdadu na falach ultrakrótkich, na częstotliwościach wojskowych i policyjnych. — Oficer piechoty morskiej wskazał monitor komputera, na którym liczby pokazujące ilość meldunków radiowych przechwyconych przez różne terenowe ośrodki ABN rosły w szaleńczym tempie. — Tłumaczenie zajmie trochę czasu, ale analiza ruchu w eterze to moja specjalność i mówię panu, że coś się tam dzieje. Może to jakaś podpucha, ale nie dałbym za to. . . O, jest!

Na ekranie pojawiło się tłumaczenie transmisji, którą zidentyfikowano jako pochodzącą z wojskowej sieci łączności.

On nie żyje. Powtarzam, on nie żyje. Ogłóćcie alarm i przygotujcie się do natyvhmiastwego wkroczenia do miasta.

Odbiorca: płuk specjalny Gwardii Republikańskiej w Salman Pak.

Odpowiedź: Wykonam, wtkonam, kto wydaje rozkazy, jakie rozkazy?

— Ale literówek — zauważył Ryan.

— Panie prezydencie, naszym ludziom trudno tłumaczyć i pisać w tym samym momencie. Zwykle zresztą czyścimy to, zanim. . .

— Spokojnie, majorze, ja posługuję się tylko trzema palcami. Niech pan mi raczej powie, co pan o tym sądzi?

— Ależ panie prezydencie, ja tu jestem od niedawna, to dlatego mi wsadzili ten nocny dyżur. . .

— Panie majorze, gdyby pan był idiotą, to by tu pana nie było. Nie tylko na nocnej zmianie, ale w ogóle.

Canon kiwnął głową, pogodzony już z tym, że się nie wykręci.

— Trup jak się patrzy, sir. Irak potrzebuje teraz nowego dyktatora. Mamy transmisję na żywo, gwałtowny wzrost korespondencji radiowych, co pasuje do scenariusza zamachu. Tyle mojego zdania na ten temat. — Zamilkł na chwilę i zaraz dodał, asekurując się jak wytrawny szpieg zza biurka: — O ile oczywiście nie jest to gra obliczona na wyciągnięcie z kryjówek ewentualnej opozycji wewnątrz własnej kliky. To jest możliwe, choć raczej mało prawdopodobne. Nie robiliby czegoś takiego w publicznym miejscu.

— Zamachowiec-samobójca?

— Tak jest, panie prezydencie. Coś takiego można zrobić tylko raz, ale nawet ten jeden raz mógłby się okazać zbyt niebezpieczny.

— Zgadzam się z panem. — Ryan podszedł do dzbanka z kawą. Wziął dwa kubki i wrócił do stolika, niosąc, ku zgorszeniu wszystkich obecnych, kawę majorowi. — Szybka robota. Proszę ode mnie podziękować wszystkim, którzy wzięli w tym udział, dobrze?

— Tak jest, sir.

— Z kim mam się skontaktować, żeby puścić wszystko w ruch?

— Tu mam wszelkie potrzebne telefony.

— Ściągnijcie jak najszybciej Adlera, zastępcę dyrektora CIA do spraw wywiadu. . . Kogo jeszcze? Ekspertów od Iraku z Firmy i Departamentu Stanu. Przedstawiciela DIA z oceną stanu irackiej armii. Proszę się dowiedzieć, czy księżę Ali jest jeszcze w mieście, a jeżeli tak, to żeby pozostał w pogotowiu. Będę z nim chciał rozmawiać jak najszybciej. Co by tu jeszcze?

— Może szefa Centrum Łączności Rządowej? Ma w Tampa najlepszych specjalistów od łączności wojskowej. To znaczy, najlepiej obeznanych z terenem, sir.

— Łapać go. Nie, czekaj pan. Zrobimy to po normalnej linii i damy mu trochę czasu, żeby się zapoznał z sytuacją.

— Już się robi, sir — odparł Canon znad notatnika. Ryan klepnął go w ramię i ruszył do wyjścia.

— Aha — odwrócił się w drzwiach — jeszcze kogoś z Narodowej Agencji Telekomunikacji. Oni też się na tym znają.

— To prawda, co słyszałam? — zapytała Andrea Price, która nagle pojawiła się znikąd obok prezydenta.

— Czy wy kiedykolwiek śpicie? Chcę, żebyś się tym zajęła.

— Ale... Panie prezydencie, ja...

— Zdaje się, że masz jakieś pojęcie na temat zamachów?

— No, tak, panie prezydencie.

— A więc potrzebuję cię bardziej niż szpiegów.

* * *

Można było wybrać lepszy moment. Darjaei był zaskoczony wiadomością, którą mu przyniesiono. Nie sprawiła mu przykrości, ale chwila była nienajszczęśliwsza. Zamyślił się na chwilę i zaczął szeptać modlitwy, najpierw dziękczynną do Allacha, potem za duszę nieznanego zabójcy. Zabójcy? Może raczej sędziego, jednego z wielu, których wysłał do Iraku w czasie wojny. O większości z nich słuch zaginął, pewnie zginęli w ten, czy inny sposób. To był jego pomysł. Eksperci od wywiadu, przeważnie ocaczeni agenci Savaku szacha, szkoleni przez Izraelczyków, wyśmiewali się z niego, bo nie obiecywał szybkich rezultatów. To byli ludzie zdolni i efektywni w swoim zawodzie, ale w gruncie rzeczy zwykli najemnicy, choćby nie wiadomo jak głośno krzyczeli

o swej religijności i przywiązaniu do jedynej wiary i duchowych przywódców kraju. Uważali, że nadal mogą postępować w konwencjonalny sposób, że nawet w tak niekonwencjonalnych warunkach, jakie panowały w Iraku, stare metody, jak przekupstwo, czy popieranie spisków, będą skuteczne. Oczywiście, ponosili klęskę za klęską, i Darjaei zaczął w końcu podejrzewać, że być może Najwyższy w jakiś przewrotny sposób chroni tego człowieka. To była jednak tylko chwila zwątpienia, w końcu nawet on, ajatollah Darjaei, jest człowiekiem i ulega ludzkim słabościom. Potem okazało się, że także Amerykanie próbują się pozbyć Wąsacza i to w ten sam nieskuteczny sposób, wyszukując niezadowolonych dowódców, inspirując próby puczu, jakby to był jeszcze jeden z tych wielu krajów, w których to robili. Nie doceniali talentu Wąsacza, nie brali pod uwagę, że niekonwencjonalny cel można zniszczyć tylko niekonwencjonalnymi metodami. Jego eksperci ponieśli klęskę, Izraelczycy ponieśli klęskę, Amerykanie ponieśli klęskę. Wszyscy połamali sobie zęby na Wąsaczu. Wszyscy, tylko nie on.

Jego sposób też nie był zbyt nowatorski, słyszano o nim już w starożytności. Jeden człowiek głębokiej wiary, działający samotnie, gotów na wszystko, byle wypełnić swą misję, był w stanie wykonać każde zadanie. Darjaei wysłał do Iraku jedenastu takich

ludzi. Działali samodzielnie, nie kontaktując się z nikim, a wszelkie wzmianki o nich starannie wymazano z archiwów, tak by nawet najwyżej postawieni iraccy agenci nie mogli się dowiedzieć o całej sprawie. Teraz nadeszła godzina spełnienia. Pewnie zaraz zaczną się pojawiać pierwsi współpracownicy z gratulacjami, dziękując Bogu i sławiąc mądrość szefa. Pewnie tak, ale nawet oni nie wiedzieli wszystkiego o tej sprawie.

* * *

Cyfrowo obrobiony obraz nie wniósł wiele nowego, choć teraz łącznik CIA, zobaczywszy jakie są możliwości komputera, odnosił się do sprawy z większą dozą profesjonalnego sceptycyzmu.

— Panie prezydencie, każdy, kto ma porządny komputer, mógłby sfalszować taki obraz. Wszyscy oglądaliśmy generowane komputerowo obrazy w kinie, a przecież film ma dużo większą rozdzielczość, niż telewizja. Wszystko można teraz podrobić.

— Daruj pan sobie. Wezwałem tu pana, żeby mi pan powiedział, co się tam stało — wytknął Ryan. Przed chwilą po raz już chyba ósmy obejrzał w zwolnionym tempie całą sekwencję zamachu i zaczynał już mieć tego dość.

— Ależ panie prezydencie, nie możemy stwierdzić z całą pewnością. . .

Może w tym tygodniu Ryan spał za mało, a może to sprawa stresu związanego w ogóle z pracą, czy też stresu z powodu konieczności stawienia czoła drugiemu poważnemu kryzysowi w ciągu tygodnia? Zresztą może nadal czuł się bardziej oficerem wywiadu niż prezydentem, dość że ten buc doprowadził go do szewskiej pasji.

— Słuchaj no, pan, jeszcze raz powtórzę: pańska praca tutaj nie polega na osłanianiu własnego tyłka, tylko na osłanianiu mojego. Zrozumiano?

— Wiem o tym, panie prezydencie, właśnie dlatego przekazuję panu wszelkie wiadomości o sprawie, a także wszelkie wątpliwości. . . — Ryan już nie słuchał. Znał ten tekst na pamięć, wypowiedano go w jego obecności setki razy.

— Scott?

— Jak dla mnie, to sukinsyn jest sztywny jak wczorajsza ryba — odparł Adler.

— Ktoś się nie zgadza? — Ryan spojrzał wzdłuż stołu. Oczywiście, nikt ani drgnie, nawet ten dupek z CIA nagle wyzbył się wątpliwości. No i pewnie. On przedstawił możliwe scenariusze i dał wyraz wątpliwościom, ale od tej chwili, jeśli coś pójdzie nie tak, to będzie to wina sekretarza stanu, a nie jego.

— Kto strzelał? — zapytała Andrea. Odpowiedział jej inny człowiek z Langley, szef zespołu analityków zajmującego się Irakiem.

— Nie znamy go. Moi ludzie siedzą nad taśmami z poprzednich wystąpień publicznych, żeby sprawdzić, czy poprzednio też stanowił część świty. Wygląda na to, że był jednym ze starszych ochroniarzy, w stopniu pułkownika, i że. . .

— Rozumiem, ja też doskonale znam każdego z członków ochrony — dokończyła Andrea. — Tak więc, kimkolwiek był zamachowiec, był zaufanym członkiem najbliższego kręgu, a więc ktokolwiek za tym stoi, zdołał spenetrować otoczenie zamordowanego, wprowadzając na sam szczyt człowieka na tyle oddanego swej sprawie, by wykonał zamach, nie licząc się z następstwami. To musiało trwać latami. — Dalsze sceny zdumiały Andreę. Zobaczyła ciało zamachowca zryte kulami, a przecież każda ochrona na świecie dążyła zwykle do tego, by zamachowca ująć żywcem. Trupy nie sypią, a zabić zawsze się go zdąży. Chyba że. . . Chyba że strzelają pozostali spiskowcy, by upewnić się, że ich udział nie zostanie wykryty. Jaka jednak pewność, że więcej niż jeden z zabójców zdołał dostać się tak wysoko? No cóż, o to można by zapytać Indirę Ghandi. Przecież tego fatalnego dnia w ogrodzie strzelał do niej cały oddział ochro-

ny. Dla Price coś takiego było nie do wyobrażenia, zamordować człowieka, którego przysięgało się bronić do ostatniej kropli krwi. No, ale takiego bydlaka nie przysięgała bronić. Coś jeszcze zwróciło jej uwagę.

— Przyjrzelście się dobrze facetowi?

— O co ci chodzi? — zapytał Ryan.

— Spójrzcie w jaki sposób unosi broń, strzela, a potem po prostu stoi tam i patrzy, jak gracz w golfa, śledzący lot piłki. Wygląda na to, że długo czekał na taką szansę. Bardzo, bardzo długo. Musiał marzyć o tej chwili. Chciał, by ten zamach był perfekcyjny. Chciał zrobić to i smakować widok do momentu, w którym Saddam padnie. — Pokręciła powoli głową. — To nie był spisek, panowie. To robota samotnego, bardzo silnie umotywowanego zabójcy. — Andrea napawała się ciszą i skupieniem tych ludzi, słuchających jej wyводу. Tyle razy ją i jej ludzi traktowali nie jak wysoko wykwalifikowanych specjalistów, ale jak element wyposażenia, mebel, czy pokojowego pieska. Rzadko się zdarzało, by ktoś zasięgał ich opinii w kwestii bardziej skomplikowanej niż dobór krawata.

— To bardzo ciekawe, proszę kontynuować.

— Musiał być człowiekiem z zewnątrz, mieć absolutnie czyste konto. To nie był człowiek szukający osobistej zemsty za, powiedzmy, zamordowanie matki, czy coś takiego. To był ktoś kto bardzo cierpliwie, powoli i ostrożnie wspiał się na sam szczyt drabiny.

— To mi pachnie Iranem — powiedział analityk z CIA. — To tylko domysł, ale chyba najtrafniejszy. Motywacja religijna. Poczucie misji. Nawet nie próbował ucieczki ani obrony, a więc nie zależało mu na życiu. Nie można wykluczyć osobistej zemsty, ale pani Price ma rację, ten ktoś musiał być kryształowo czysty. Kogoś, kto mógłby się mścić za jakąś krzywdę nie dopuszczono by tak wysoko. Izraelczycy odpadają, Francuzi też, bo coś byśmy o tym wiedzieli. Brytyjczycy już takich rzeczy nie robią. Wewnętrznych wrogów Wąsacz sam eliminował. To nie była robota za pieniądze, to nie była osobista zemsta, politykę chyba także możemy sobie darować. Pozostaje motywacja religijna, a to może oznaczać tylko Iran.

— Nie znam się na wywiadzie, ale to, co widzieliśmy na taśmie zdaje się to potwierdzać — zgodziła się Andrea. — Facet był całkowicie skoncentrowany na tym, żeby za-

mach wyszedł doskonale, zupełnie jakby to był jakiś obrzęd religijny, a nie zabójstwo. Tak się tym zajął, że cała reszta w ogóle się dla niego nie liczyła.

— Czy ktoś mógłby to potwierdzić?

— Panie prezydencie, takimi sprawami zajmuje się z niezłym powodzeniem pracownia psychologiczna FBI. Stale z nimi współpracujemy.

— Dobry pomysł. My w CIA zajmiemy się identyfikacją strzelca, ale nawet jeśli nam się uda, to skoro oni się nie połapali, co jest grane, nas tym bardziej nigdzie to nie zaprowadzi — powiedział analityk z Langley.

— A co z wyborem terminu zamachu?

— Jeżeli założymy, że zamachowiec był na miejscu już od dłuższego czasu, to wyborem pory mogło rządzić wiele różnorodnych czynników.

— Cudownie — mruknął prezydent. — Co teraz, Scott?

— Bert? — Sekretarz stanu przekazał pytanie szefowi swojego zespołu irackiego, Bertowi Vasco.

— Panie prezydencie, jak wszyscy wiemy, Irak jest krajem większości szyickiej, rządzonym przez mniejszość sunnicką przy pomocy partii Baas. Zawsze się obawialiśmy, że eliminacja naszego przyjaciela może. . .

— Skoncentrujmy się na tym, czego wszyscy tu nie wiemy, jeśli łaska — przerwał Ryan.

— Panie prezydencie, nie mamy pojęcia co do siły ewentualnej opozycji wewnętrznej, której zresztą może tam w ogóle nie być, bo obecny reżim bardzo skutecznie pielęgnował grządkę. Paru irackich oficjeli uciekło do Iranu, ale żaden z nich nie był dość wysoko, żeby stała za nim jakaś znacząca grupa. Znamy ich nazwiska, bo przemawiali do narodu w audycjach radiowych nadawanych z Iranu, ale nie mamy pojęcia, czy i jaki odzew wywołują te audycje. Wiadomo, że reżim nie cieszy się popularnością, ale nie mamy pojęcia, czy działa tam jakaś zorganizowana grupa, zdolna skorzystać z szansy.

— Bert ma rację — poparł go kolega z CIA. — Ten człowiek miał nadzwyczajny talent do wyszukiwania i likwidowania potencjalnych wrogów. Wiele razy próbowaliśmy im pomóc w trakcie i po wojnie w Zatoce, ale osiągnęliśmy tylko tyle, że ginęli jeden po drugim. Teraz już nikt tam nam nie ufa.

Ryan upił trochę kawy i pokiwał głową. Sam się tą sprawą zajmował w 1991 roku, ale nikt nie wziął pod uwagę jego zaleceń, bo wtedy jeszcze jego głos liczył się za mało.

— Mamy jakieś warianty do wyboru?

— Szczerze? — zapytał Bert. — Żadnych.

— Nie mamy tam nikogo — zgodził się analityk CIA. — Jedyne informacje, jakie otrzymujemy, dotyczą programów broni masowego rażenia, ale o polityce nie mamy zielonego pojęcia. To już więcej dowiadujemy się o tym z Iranu. Możemy tam trochę poniuchać, ale w Iraku nawet nie ma co próbować.

Po prostu cudownie. Wielki kraj w najbardziej zapalnym regionie świata chyli się ku upadkowi, a największa potęga wolnego świata nie może zrobić nic więcej, jak tylko oglądać w telewizji relację na żywo.

— Arnie?

— Tak, panie prezydencie?

— Parę dni temu musieliśmy skreślić spotkanie z Mary Pat z rozkładu dnia. Chcę się z nią spotkać i to jeszcze dziś. Zrób dla niej miejsce w grafiku.

— Zobaczę, co się da zrobić, ale...

— Ale jak dochodzi do takich rzeczy — przerwał mu Ryan — to prezydent Stanów Zjednoczonych powinien trzymać w ręku coś więcej niż tylko swoją fujarkę, zgodzisz się ze mną? — Po chwili wrócił do głównego tematu spotkania. — Jak myślicie, czy Iran się ruszy?

10 — Polityka

Książę Ali szykował się właśnie do odlotu swoim osobistym samolotem, starzejącym się, ale nadal wygodnym *Lockheedem L-1011*, kiedy nadeszła wiadomość z Białego Domu. Książę wyruszył natychmiast z saudyjskiej ambasady, wraz ze swoją podwójną ochroną z Tajnej Służby i własnej gwardii pałacowej, składającej się głównie z byłych żołnierzy brytyjskiej SAS. U drzwi Białego Domu powitał go Scott Adler, który zaprowadził gościa na górę i do Gabinetu Ovalnego. Ani witający, ani ta trasa nie były nowością dla księcia Alego.

— Witam, panie prezydencie — powiedział, wchodząc z sekretariatu.

— Dziękuję za przybycie w tak krótkim czasie, wasza wysokość — odparł Ryan, ściskając rękę i wskazując miejsce na jednej z dwóch sof. Ktoś już zdążył napalić w kominku, fotograf Białego Domu zrobił kilka zdjęć, zanim go wyproszono. — Oglądał pan dziś rano dziennik?

— Tak. Cóż można powiedzieć w takiej chwili? — Na twarzy Saudyjczyka zagościł ostrożny uśmiech. — Opłakiwać go raczej nie będziemy, ale nowa sytuacja stwarza dla nas poważne zagrożenie.

— Czy wasza wysokość wie coś, o czym my nie wiemy?

— Nie — pokręcił zdecydowanie głową. — Dla nas było to takim samym zaskoczeniem, jak dla wszystkich.

— Po tym, jak wydaliśmy tyle pieniędzy na . . .

Książę podniósł dłoń, przerywając Jackowi.

— Wiem, wiem. Mnie też czeka rozmowa na ten temat z moimi ministrami, gdy tylko wyląduję w kraju.

— Iran.

— Bez wątpienia.

— Ruszą się?

W Gabinetcie Ovalnym zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskiem polan na kominku. Trzej mężczyźni siedzieli bez słowa nad stolikiem, na którym stała nie tknięta taca z kawą. Jak zwykle szło o ropę. Zatoka Perska była wąską kiszka wody otoczoną morzem ropy. Większość ziemskich zapasów tego surowca znajdowała się właśnie tam, podzielona między Arabię Saudyjską, Kuwejt, Iran, Irak i pomniejsze państewka, jak Bahrajn, Katar, czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Najładniejszym z tych krajów był Iran, potem Irak. Państwa Półwyspu Arabskiego były bogatsze, ale ziemia przykrywająca ich płynne bogactwo nigdy nie byłaby w stanie sama wyżywić dużego narodu. Prędzej, czy później musiało dojść do konfliktu i w 1991 roku, gdy Irak zaatakował Kuwejt, do takiego konfliktu doszło. Ryan już wcześniej kilka razy mówił, że ta wojna była ze swej natury zwykłym napadem rabunkowym, tyle że na większą skalę. Saddam wykorzystał zadawniony zatarg terytorialny i jakieś trywialne spory handlowe jako pretekst do ataku, mającego w razie powodzenia podwoić bogactwo jego kraju. Gdyby mu się udało, zyskałby podstawę wyjściową do zaatakowania jeszcze Arabii Saudyjskiej i ponownego podwojenia swych zapasów ropy. Do tej pory nie wiadomo właściwie,

dlaczego zatrzymał się na saudyjskiej granicy i w tej sytuacji pozostanie to zagadką na zawsze, skoro Saddam zabrał tę tajemnicę ze sobą do grobu. Cała wojna była więc o ropę i bogactwo z niej płynące, ale nie tylko. Saddam zachowywał się jak podrzędny mafioso, widział w tym wszystkim tylko ropę, pieniądze z ropy i władzę płynącą z tej masy pieniędzy. Iranowi przyświecały dalej idące cele.

Wszystkie kraje leżące wokół zatoki były muzułmańskie, większość z nich ortodoksyjnie muzułmańska. Wyjątkami od tej reguły były tylko Bahrajn i Irak. W tym pierwszym przypadku złoża ropy znajdowały się już na wyczerpaniu i kraj, a dokładniej miasto-państwo, połączone z Arabią Saudyjską tylko groblą, zamieniło się w rodzaj arabskiej Newady, miejsce, gdzie surowe prawa religii odłożono na bok, by zamożni obywatele ortodoksyjnie muzułmańskich krajów mogli się odprężyć przy hazardzie, napić zabronionego gdzie indziej alkoholu i poszukać innych uciech doczesnego życia. Irak to zupełnie inna historia. Irak był państwem świeckim, gdzie religia służyła głównie za parawan i do dekoracji uroczystości państwowych, co po części wyjaśniało, dlaczego kariera jego prezydenta trwała tak długo.

Kluczem do zrozumienia specyfiki regionu była jednak, i długo jeszcze zapewne będzie, religia. Arabia Saudyjska jest bijącym sercem islamu. To tam urodził się Prorok. To tam leżały święte miasta Mekka i Medyna. To stamtąd trzecia największa religia świata brała swój początek. Tak więc, jeśli chodziło o Arabię Saudyjską, od ropy bardziej liczyła się wiara. Arabia Saudyjska była bastionem islamu w odmianie sunnickiej, podczas gdy Iran był centrum islamu w odmianie szyickiej. Ryanowi kiedyś tłumaczono różnice pomiędzy oboma odłamami, ale wtedy nie był to jeszcze tak ważny problem i Jack nawet nie próbował tego zapamiętać. Błąd, teraz to już wiedział. Różnice okazały się dla muzułmanów na tyle istotne, że dwa wielkie państwa nie wahały się toczyć wojny o to, które z nich wyznaje prawdziwą wiarę. Tu nie chodziło o pieniądze. Tu chodziło o inny rodzaj władzy, władzy biorącej się z serc i umysłów, a nie z portfela. Tymczasem obcy widzieli w tym to, co ich najbardziej interesowało: przepychankę w drodze do kasy. Dużo bardziej interesowali się ropą, i nic w tym dziwnego. Od niej zależał los gospodarki państw rozwiniętych, a wszystkie państwa Zatoki bały się Iranu, jego licznej ludności, a zwłaszcza religijnego zapału, tym bardziej, że ich wiara była w odczuciu sunnitów wyraźnym odejściem od prawdziwej wiary. Obawiano się, co

się stanie, gdy heretycy obejmą kontrolę nad religią, bo islam jest spójnym systemem wierzeń, mającym swoje bezpośrednie odzwierciedlenie w prawie cywilnym, karnym, polityce i wszelkich innych rodzajach ludzkiej działalności, bo dla muzułmanów Słowo Boże samo w sobie jest prawem. Tak więc ludziom Zachodu chodziło o interesy, ale dla Arabów, bo Iran nie jest państwem arabskim, chodziło o najbardziej fundamentalne zagadnienia światopoglądowe, o ich kontakty z Bogiem.

— Tak, panie prezydencie — odparł książę Ali po chwili. — Iran się ruszy.

Głos saudyjskiego księcia był zadziwiająco spokojny, choć Ryan wiedział, że nie oddaje on obrazu duszy Alego. Saudyjczycy nigdy nie pragnęli upadku Saddama. Wąsacz był wrogiem, ateistą i agresorem, to wszystko prawda, ale wypełniał bardzo pożądaną dla swych sąsiadów funkcję bufora pomiędzy nimi a Iranem. W tym przypadku religia grała drugie skrzypce po polityce, która pozwalała osiągać pożądane z punktu widzenia religii rezultaty. Odrzucając Słowo Boże rząd Iraku zdołał wyłączyć z gry szyicką większość swego narodu, za co warto było patrzeć przez palce na żądania rewizji granic z Kuwejtem i Arabią Saudyjską. Jeżeli jednak partia Baas padnie w ślad za swym lide-

rem, Irak mógłby się stać państwem wyznaniowym, a wówczas granica iracko-irańska stałaby się granicą między dwoma państwami szyickimi.

Iran na pewno się ruszy, bo już od lat się rusza. Religia Mahometa rozprzestrzeniła się od Półwyspu Arabskiego po Maroko na zachodzie i Filipiny na wschodzie, a zdobycze cywilizacji pozwoliły zaprezentować ją każdemu narodowi świata. Iran od dawna używał swego bogactwa, by zdobyć pozycję ośrodka Prawdziwej Wiary. Finansował ruchy polityczne w świecie arabskim, zapraszał do Kumu duchownych na studia teologiczne, zaopatrywał w broń i doradców wojskowych potrzebujące ich muzułmańskie narody — jak choćby Afgańczyków, czy ostatnio Bośniaków.

— A więc *Anschluss* — pomyślał głośno Adler, a książę w milczeniu skinął głową.

— Mamy jakiś plan na taką sytuację? — zapytał Jack, choć znał odpowiedź. Nie, ani oni, ani nikt inny nie przewidywał takiego rozwoju wypadków. Przecież to właśnie dlatego ograniczono cele wojny o Kuwejt. Saudyjczycy, z których zdaniem bardzo się liczone przy planowaniu Pustynnej Burzy nie pozwolili Amerykanom, ani żadnemu z sojuszników, nawet myśleć o dokończeniu wojny i obaleniu tyrana, choć po rozmieszczeniu irackiej armii w Kuwejcie Bagdad leżał na wyciągnięcie ręki, goły jak szwedzka

turystka na plaży. Ryan wtedy od razu zauważył, że chociaż w telewizji przewijało się mnóstwo gadających głów, żaden z tych mądrali nawet nie zająknął się o tym, że wojna w Zatoce w ogóle powinna ominąć Kuwejt. Tak jak w boksie — po co się męczyć, bijąc w gardę, skoro można uderzyć w głowę, a ta padając pociągnie za sobą resztę ciała. Ciekawe, że jakoś nikt na to nie wpadł.

— Wasza wysokość, jaki wpływ jesteście w stanie wyrzucić na nowe władze Iraku?

— Praktycznie żaden. Możemy wyciągnąć pomocną dłoń, zaoferować kredyty, poprosić ONZ o zniesienie sankcji, by poprawić warunki życia, ale. . .

— Właśnie, ale. . . — zgodził się Ryan. — Wasza wysokość, proszę przekazywać nam każdą informację, jaką uda wam się uzyskać. Nasze gwarancje bezpieczeństwa dla Arabii Saudyjskiej pozostają niezmiennie.

— Przekażę to mojemu rządowi — skłonił głowę książę Ali.

* * *

— Ładna, profesjonalna robota — zauważył Ding, oglądając w telewizji sceny z Iraku. — Z jednym zastrzeżeniem.

— Tak, ja też bym wolał zainkasować honorarium z góry. — Clark był kiedyś na tyle młody i przepełniony agresją, by rozumieć odczucia strzelca, ale z wiekiem nabrał dystansu do tych spraw. Mary Pat zapowiedziała mu, że chce go zabrać do Białego Domu, więc przeglądał jakieś dokumenty, by się przygotować do tej rozmowy. A przynajmniej próbował.

— John, czytałeś kiedyś o asasynach? — zapytał Chavez, gasząc pilotem telewizor.

— Chyba kiedyś oglądałem jakiś film. . . A co? — Clark nie podniósł nawet oczu znad papierów.

— To byli poważni zawodnicy. Zresztą przy tym wyborze broni, jakim wtedy dysponowali, nie mieli innego wyjścia. Żeby kogoś załatwić nożem albo mieczem, trzeba podejść naprawdę blisko. — Machnął ręką w kierunku telewizora. — Ten gość był jak jeden z nich, inteligentna bomba na dwóch nogach. Nieważne, że zginie, byle tylko wcześniej zniszczyć cel. Assasyni stworzyli pierwsze na świecie państwo terrorystyczne. Świat chyba jeszcze wtedy nie był gotowy na coś takiego i to jedno małe miastopństwo trzęsło całym regionem, bo byli w stanie do każdego dotrzeć wystarczająco blisko, by go zabić.

— Domingo, dziękuję za lekcję historii, ale. . .

— John, zastanów się. Jeżeli dostali się do niego, to mogą dostać się do każdego. W zawodzie dyktatora nie ma emerytury, więc każdy naprawdę pilnie strzeże tam swojego tyłka. A mimo to komuś się udało go podejść i sprzątnąć. To daje do myślenia, nie sądzisz?

Clark ciągle musiał sobie w duchu przypominać, że Chavez nie jest idiotą. Może i nadal śmiesznie mówił, z tym swoim akcentem, zdarzało mu się używać w towarzystwie krótkich żołnierskich słów, ale z pewnością w ciągu całego swojego życia Clark nie spotkał kogoś robiącego równie ogromne postępy w tak krótkim czasie. Nauczył się nawet trzymać na wodzy swój latynoski temperament, co zakrawało niemal na cud. Oczywiście, panował nad nim tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę.

— No i co z tego? To były inne czasy, inna kultura, inna motywacja, inne. . .

— Ja mówię nie o tym, człowieku, tylko o możliwościach i politycznej woli ich wykorzystania, o cierpliwości. To musiało trwać całe lata. Do tej pory słyszało się o szpiegach-śpiochach, ale pierwszy raz widziałem śpiocha-zamachowca.

— E, tam. To mógł być zwykły facet, któremu naraz odbiło i wtedy. . .

— Nie, John. Takiemu komuś nie chciałoby się przy tym ginąć. Wybrałby inną okazję, nie wiem, walnąłby gościa w nocy, jak pójdzie do kibla, albo coś takiego, a potem próbowałby dać nogę. Nie, panie C. Ten facet zrobił to tak, jakby przekazywał jakąś wiadomość. I to nie tylko Wąsączowi, ale także swoim szefom.

Clark podniósł wreszcie wzrok znad dokumentów i zastanowił się nad słowami swego partnera. Kto inny na jego miejscu może puściłby to mimo uszu, ale on trafił do tej roboty, ponieważ nie potrafił przejść obojętnie obok zbyt wielu spraw. Poza tym pamiętał swój pobyt w Iranie, gdy wraz z tłumem krzyczał: „Śmierć Ameryce!” do zakładników z ambasady, oprowadzanych wokół ogrodu w czasie seansów nienawiści. Co więcej, doskonale pamiętał, kto jeszcze z tego tłumu dostał w łeb, bo operacja NIEBIESKIE ŚWIATŁO nie wypaliła i jak blisko był tego, by podzielić ich los. Po fiasku operacji, Chomeini skłaniał się naprawdę ku decyzji o przekształceniu zatargu w prawdziwą wojnę. Choć do tego w końcu nie doszło i zakładnicy wreszcie wrócili żywi, od tej pory irańskie ślady ciągnęły się za niemal każdym aktem terroryzmu na całym świecie.

— No cóż, Domingo, teraz już wiesz, po co nam więcej ludzi w terenie.

* * *

Cathy miała wiele powodów, żeby nie być zadowoloną z prezydentury męża. Po pierwsze, nie zobaczyła go dziś rano, kiedy wychodziła do pracy. Gdzieś poszedł, na jakąś odprawę, naradę czy coś tam. Oglądała dziennik, wiedziała więc, że to miało jakiś związek z zamachem na Saddama, zdawała sobie sprawę z tego, że i jej się może kiedyś zdarzyć wymknąć z domu na jakąś nieprzewidzianą operację w szpitalu, ale nie spodobał się jej ten precedens.

Spojrzała na kolumnę samochodów. Nie dało się tego inaczej nazwać — to było sześć Suburbanów Tajnej Służby. Trzy z nich składały się na grupę, mającą za zadanie rozwieść do szkół Sally i Jacka juniora, pozostałe trzy zawoziły Katie do przedszkola. Po części to była jej wina, bo uparła się, by nie wprowadzać zbyt wielu zmian w ich życiu. Chciała im oszczędzić gwałtownej zmiany otoczenia, przenoszenia do innych szkół, zrywania przyjaźni tylko dlatego, że stały się dziećmi prezydenta. To nie ich wina. Była na tyle głupia, że zgodziła się, by Jack objął wiceprezydenturę, a potem zdarzyła się ta tragedia, przez którą tylko pięć minut pobył wiceprezydentem. Ale był tym wice-

prezydentem i teraz wszyscy musieli zaakceptować tego konsekwencje. Jednym z nich była ta codzienna wyprawa w kawalkadzie radiowozów do szkół, przyjaciółek i zabaw w piaskownicy.

— Dzień dobry, Katie — usłyszała serdeczny głos Dona Russella, który złożył się niemal w pół, by jej córeczka mogła go objąć i ucałować. Cathy nie mogła nie uśmiechnąć się na ten widok. Russell był darem niebios. Sam był dziadkiem i naprawdę kochał dzieci, zwłaszcza te małe, a Katie zaakceptowała go od pierwszej chwili. Cathy pocałowała na do widzenia córeczkę i uściśnęła rękę ochroniarzowi. Boże, co za czasy! Trzyletnie dziecko potrzebuje zbrojnej eskorty w drodze do przedszkola! Zbyt dobrze jednak pamiętała swoje doświadczenie z terrorystami, by stawiać opór w tej sprawie. Russell podniósł Katie i wsiedli do samochodu. Zapiął jej pasy na specjalnym foteliku z tyłu wozu i pierwsze trzy pojazdy ruszyły.

— Cześć, mamó. — Sally przechodziła tę fazę, w której były już tylko przyjaciółkami, i nie potrzebują się całować na do widzenia. Cathy zaakceptowała to, ale bez zbytniego entuzjazmu. Mały Jack poszedł w ślady siostry, więc też tylko pomachali sobie rękami. John Patrick Ryan junior był już na tyle mężczyzną, że nie pozwolił się zagnać

na tylne siedzenie. Przynajmniej ten jeden raz, potem się zobaczy. Obie grupy zostały wzmocnione z powodu szczególnych okoliczności towarzyszących objęciu prezydentury przez Jacka i w tej chwili bezpieczeństwa ich dzieci strzegło aż dwudziestu agentów. Tak będzie przynajmniej przez pierwszy miesiąc, jak jej zapowiedziano. Potem dzieci będą jeździć z mniejszą obstawą i zwykłymi samochodami, a nie opancerzonymi Suburbanami. A na nią czekał śmigłowiec.

Cholera. Znowu to zamieszanie. Kiedy cudem przeżyła tamten atak terrorystów z ULA Sally chodziła do przedszkola, a ona miała urodzić Małego Jacka. Po co, do cholery, znowu się na to wszystko zgodziła? Mimo że była żoną podobno najpotężniejszego człowieka na świecie, zarówno on, jak i jego rodzina wciąż musieli słuchać rozkazów obcych ludzi.

— Wiem, pani profesor — powiedział Roy Altman, jej osobisty goryl, zanim zdołała się odezwać. — Do cholery z takim życiem, prawda?

Cathy przyjrzała mu się uważnie.

— Czyta pan w myślach?

— No cóż, proszę pani, to część mojego zawodu. . .

— Mam na imię Cathy.

Altman w duchu uśmiechnął się. Widział już kilka razy, jak Pierwsze Damy nady-
mały się jak balon aurą władzy swoich mężów, dzieci polityków też czasami pokazy-
wały co potrafią, ale Ryanowie byli zupełnie inni niż ludzie, których dotąd chronili, co
podkreślali na boku wszyscy agenci im przydzieleni. Pod pewnym względem była to
zła wiadomość, ale przynajmniej dawali się lubić.

— Proszę. — Podał jej szarą kopertę, wewnątrz której znalazła komplet dokumen-
tacji potrzebnej na dzisiejszy dzień.

— Dwie operacje i parę badań — poinformowała go po chwili. Hmm, lot śmigłow-
cem miał swoje dobre strony. Przynajmniej nie traciła czasu i mogła w czasie przelotu
odwalić papierkową robotę.

— Tak, wiem. Poprosiliśmy profesora Katza, żeby nas o tym informował. To poma-
ga układać program zajęć — dodał, widząc chmurę na jej twarzy.

— Pewnie sprawdzacie też moich pacjentów? — zapytała, zdecydowana obrócić
sprawę w żart.

— Oczywiście — usłyszała ku swojemu zdziwieniu. — Dostajemy ze szpitala nazwiska, daty urodzenia i numery ubezpieczenia. Na tej podstawie sprawdzamy je, przepuszczając przez archiwa policyjne i naszą własną listę ludzi, których... mamy na oku.

Reakcja na ten wykład nie była przyjazna, ale Altman nie wziął tego do siebie. Po chwili wrócili do budynku, a później wyszli ponownie, tym razem w kierunku czekającego na lądowisku śmigłowca. Obok stał rząd kamer telewizyjnych, kręcących, tym razem z bliska, jak Pierwsza Dama rusza do pracy. Pułkownik Hank Goodman uruchomił turbiny.

W centrali Tajnej Służby, parę domów dalej, zmieniły się lampki przy kryptonimach chronionych obiektów. Czerwona dioda Miecznika paliła się przy oznaczeniu Białego Domu, a Chirurga przy oznaczeniu drogi do pracy. Cień, Piłkarz i Foremka, znani rodzicom i otoczeniu jako Sally, Jack junior i Katie, mieli swoje lampki na oddzielnej tablicy. Obie tablice miały swoje wtórniki w biurze Andrei Price, tuż obok Gabinetu Ovalnego. Pozostała część ochrony czekała już, rozmieszczona na właściwych miejscach, to znaczy w leżącym w pobliżu Annapolis przedszkolu w Giant Steps i katolickiej szkole św. Marii, oraz w szpitalu Uniwersytetu Johna Hopkinsa w Baltimore. Policja stanu

Maryland została powiadomiona o tym, że dzieci Ryanów poruszają się drogą numer 50 i skierowano na nią dodatkowe radiowozy patrolowe. W powietrzu były także trzy śmigłowce — dwa wiozące Chirurga i zespół ochrony w drodze do Baltimore, a trzeci, z zespołem wsparcia, krążył wzdłuż trasy przejazdu ich kolumny. Gdyby ktoś planował zamach, ta demonstracja siły nie mogłaby ujść jego uwadze. Agenci w Suburbanach ze wzmożoną uwagą oglądali mijające kolumnę pojazdy, tak samo jak inni, prowadzący nie oznakowane samochody poprzedzające i zamykające kolumnę. Pełnego zakresu ochrony nigdy nie przedstawiano „obiektom”, chyba że wprost o to zapytano, ale bardzo rzadko zdarzał się na tyle dociekliwy obiekt. I tak rozpoczął się kolejny dzień w życiu Pierwszej Rodziny.

* * *

Już nie było wątpliwości. Doktor Moudi nie musiał jej nic mówić. Bóle głowy się nasilały, ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Zupełnie jak u małego Mkusy. Na początku pocieszała się, że może przesadza, może to tylko nawrót malarii i, po raz pierwszy w życiu, myśl o malarii napełniła ją radością. Ale potem przyszły bóle żołądka,

a nie stawów i stało się jasne, że to nie malaria. Ten ból był jak odległe grzmoty nadciągającej burzy, żywiołu, na który miała równie znikomy wpływ, co na tę chorobę. Część jej świadomości jeszcze nie chciała się z tym pogodzić, jeszcze wmawiała jej, że to przecież niemożliwe, ale inna część już się z tym pogodziła i próbowała się zatopić w modlitwie i wierze, ale w rezultacie zachowywała się jak człowiek z horroru, który rękami zasłania twarz z przerażenia, jednocześnie wypatrując zagrożenia przez szczeliny między palcami. Ta ucieczka swoją daremnością tylko pogłębiała przerażenie. Nudności były coraz silniejsze, wkrótce już nie będzie w stanie ich opanować siłą woli.

Leżała w jednej z nielicznych izolatek szpitala. Na zewnątrz słońce świeciło jak co dnia, niebo było czyste, trwał piękny dzień nie kończącego się afrykańskiego lata. Obok łóżka stał stojak z kroplówką, przez przewód podłączony do igły białej w żyłę w jej przedramieniu płynął roztwór fizjologiczny zmieszany ze środkami przeciwbólowymi i glukozą. Siostra Jeanne Baptiste wiedziała jednak, że pozostało jej tylko czekać. Była wyczerpana, wszystko bolało ją tak, że potrzebowała minuty na to, by obrócić głowę do okna i obejrzeć ukwiecone drzewa za nim. Nagle ogarnęła ją potężna fala nudności,

ale zdołała utrzymać miskę. Zobaczyła w niej krew, mimo że siostra Maria Magdaleną zabrała ją natychmiast i opróżniła nad specjalnym pojemnikiem. Twarz przyjaciółki i towarzyszki życia zakonnego, choć ledwie widoczna pod maską plastikowego kombinezonu ochronnego, wyrażała głęboki smutek i rezygnację.

— Witam, sostro — usłyszała głos wchodzącego doktora Moudiego. On także nosił podobny kombinezon. Sprawdził kartę z wykresem gorączki, wiszącą w nogach łóżka. Ostatni zapis pochodził sprzed zaledwie dziesięciu minut, znowu wyższy od poprzedniego. Przed chwilą dostał faks z Atlanty z wynikami badań jej krwi i to z jego powodu natychmiast poszedł odwiedzić izolatkę. Skóra zakonnicy kilka godzin temu była bardzo blada, teraz jakby się zarumieniła i wyschła. Może da się ją choć trochę ochłodzić, najpierw alkoholem, a potem może lodem. Najbardziej uderzyło go jej spojrzenie. Ona już wie. Ale i tak będzie to musiał powiedzieć.

— Sostro, test krwi siostry wykazał obecność przeciwciał wirusa ebola.

Powoli skinęła głową.

— Rozumiem.

— W takim razie wie siostra zapewne także, że statystyki dowodzą, iż dwadzieścia procent pacjentów przeżywa tę chorobę. Nie wolno siostrze tracić nadziei. Jestem niezłym lekarzem. Siostra Maria Magdalena to znakomita pielęgniarka. Dzięki łączności satelitarnej możemy się konsultować na bieżąco z najlepszymi specjalistami. Nie zrezygnujemy z walki o siostrę i od siostry także tego oczekujemy. Módl się do swojego Boga, siostro. Kogoś tak cnotliwego jak siostra musi przecież wysłuchać. — Słowa jakby same napływały do niego. Sam się zdziwił, do jakiego stopnia wierzy w to, co mówi.

— Dziękuję, doktorze.

— Proszę mnie informować na bieżąco — powiedział do Marii Magdaleny.

— Oczywiście, panie doktorze.

Moudi wyszedł z izolatki, skręcił w lewo, do śluzy, tam zdjął ochronny kombinezon i wrzucił do pojemnika. Jeszcze raz obiecał sobie, że pójdzie do administratora szpitala i przypomni mu, jak ważne przy tym rozwoju wypadków jest przestrzeganie wszelkich procedur dotyczących obchodzenia się z materiałem zakaźnym. Tu nie było miejsca na bezmyślność, na tych dwojgu epidemia musi się skończyć. Zespół ekspertów WHO był już w drodze do rodziców Benedicta Mkusy, by spróbować się dowiedzieć od nich i ich

sąsiadów, skąd mały mógł się zarazić. Na razie najbardziej prawdopodobne pozostawało ukąszenie przez małpę.

Ale to tylko hipoteza. O wirusie ebola w ogóle niewiele wiadomo na pewno, co gorsza, najważniejsze czynniki chorobotwórcze leżały wciąż w sferze domysłów. Na pewno obecny był tu od stuleci, albo i dłużej, tyle że dopiero niedawno go opisano. Był jeszcze jedną ze śmiertelnych chorób, które czyhały na człowieka w tym zakątku globu. Jeszcze trzydzieści lat temu większość z nich wrzucano do jednego worka i wpisywano w karty zgonu „gorączkę dżunglową” albo inną równie ogólną jednostkę chorobową. Nadal niewiadomą pozostawało środowisko nosicieli wirusa. Wielu uważało, że chorobę przenoszą małpy, ale nigdy u żadnej jej nie wykryto, mimo że ekspedycje zastrzeliły tysiące małp, poszukując na próżno śladów wirusa w ich krwi. Zresztą nadal nie wiadomo nawet, czy można tę chorobę zaliczyć do tropikalnych, skoro pierwszy opisany przypadek epidemii miał miejsce w Niemczech. Bardzo podobne w objawach przypadki meldowano także na Filipinach.

Wirus ebola pojawiał się i znikał, jak jakiś zły duch. W dodatku dawało się zauważyć regularność występowania ognisk choroby — do epidemii dochodziło w odstępach co

osiem do dziesięciu lat. To była kolejna zagadka, podobnie jak sam mechanizm działania zarazka. Potrafiono wprawdzie określić strukturę wirusa i opisano symptomy, ale na tym koniec, a biorąc pod uwagę osiemdziesięcioprocentową śmiertelność choroby, nie należało to z pewnością do pomyślnych wiadomości. Tylko co piąta ofiara przeżywała, i znowu — nikt nie miał pojęcia, dlaczego tak się działo.

Wirus ebola był zabójcą tak doskonałym, że człowiek niewiele znał organizmów mogących się z nim równać. Jedynie instytuty w Atlancie, Pasteura w Paryżu i jeszcze kilka w krajach, które stać było na utrzymywanie laboratoriów, w których naukowcy w ochronnych skafandrach względnie bezpiecznie mogli z nim obcować, dysponowały znikomymi ilościami wirusów. Prace badawcze były jeszcze w powijakach, toteż nawet nie było wiadomo, czy uda się kiedykolwiek wyprodukować jakąkolwiek szczepionkę przeciw tej potwornej chorobie, bo cztery do tej pory odkryte odmiany ebola, diametralnie się od siebie różniły. Ten czwarty, przypadkiem odkryty w Ameryce Południowej, zabijał na przykład tylko małpy, natomiast nie atakował ludzi. Pewnie w tej chwili naukowcy w Atlancie, a paru z nich znał osobiście, siedzą z nosem w okularach mikroskopu elektronowego i usiłują dowiedzieć się czegoś nowego, oglądając świeże wirusy

w próbce krwi chłopca i zakonnicy. To im zajmie tygodnie, a pewnie i tak niewiele pomoże. Zanim nie odkryje się prawdziwego zarodka choroby, ebola pozostanie niezbadanym wirusem, tajemniczym, śmiertelnym zagrożeniem, o którym wiadomo tyle, co o Marsjanach.

Przypadek Zero, Benedict Mkusa, już nie żył, jego ciało spalono i wirus zginął wraz z nim. Moudi pobrał próbki krwi, ale tego było za mało. Z zakonnicą to zupełnie inna historia. Moudi pomyślał przez chwilę, a potem podniósł słuchawkę i wykrcił numer irańskiej ambasady w Kinszasie. Miał wiele pracy do wykonania, jeszcze więcej się szykowało. Przez chwilę zawahał się, zatrzymując słuchawkę w pół drogi pomiędzy widełkami a uchem. A jeżeli Bóg wysłucha jego modlitw? Przecież mógł. Stać go było na wspaniałomyślność, zwłaszcza wobec kobiety wielkiej cnoty, która spędzała na modlitwach nie mniej czasu niż którykolwiek z wiernych w Kum, której wiara w Boga była silna i nie zachwiana, która poświęciła całe życie służbie najbardziej potrzebującym. To przecież trzy z pięciu filarów islamu, a w końcu jej posty to prawie jak Ramadan, więc i czwarty z nich właściwie. . . To były niebezpieczne myśli, ale jeżeli Allah posłuchał-

by jej modłów... A jeżeli nie wysłucha? Moudi wcisnął słuchawkę między ucho a ramię i poprosił o połączenie z numerem wewnętrznym.

* * *

— Panie prezydencie, nie możemy tego dłużej odkładać.

— Tak, Arnie, wiem.

Właściwie problem był natury technicznej. Ciało trzeba było zidentyfikować, bo człowiek przestaje żyć dopiero wtedy, gdy wystawi się papierek stwierdzający ten fakt. A dopóki nie ma urzędowego dokumentu stwierdzającego, że człowiek jest martwy, a ten człowiek jest deputowanym albo senatorem, jego miejsce jest nadal zajęte i nie można przeprowadzić wyborów uzupełniających w jego okręgu. Dziś trzeba będzie wreszcie wystawić świadectwa zgonu i już za kilka godzin zaczną się urywać telefony od gubernatorów, proszących o wskazówki lub informujących o swoich zamiarach. Co najmniej jeden z gubernatorów stanowych miał, według pogłosek, krążących po Waszyngtonie, jechać do Waszyngtonu, by osobiście objąć fotel w Senacie.

* * *

Zalew informacji był oszłamiający, nawet dla kogoś, kto wiedział, jak korzystać ze źródeł. Wiadomości pochodziły z ostatnich czternastu lat, były bardzo obfite, a poza tym trudno o wybór lepszej pory na ich zbieranie. Agencje prasowe z całego świata okupowały te same serwery, czerpiąc te same wiadomości i całkowicie maskując w zalewie zgłoszeń jego wejścia do poszczególnych archiwów. Gdyby nagle ni stąd ni z owad, jakiś samotny wścibski internauta, w dodatku z takiego kraju, zaczął grzebać akurat w tych źródłach i zbierać wiadomości akurat na temat tej osoby, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. A tak, był tylko jednym z wielu tysięcy szukających tych samych wiadomości. Doskonale. W dodatku do sieci weszły serwisy wszystkich niemal gazet i stacji, dzięki czemu ilość dostępnych informacji wielokrotnie wzrosła, choć musiał długie godziny spędzać na odsiewaniu ziarna od plew. Za psi grosz mógł myszковать po archiwach agencji, albo bibliotekach szkolnych — to nawet lepiej, bo w ogóle za darmo, a niejeden z jego kolegów po fachu mógłby się zdziwić, co można znaleźć w bibliotece szkoły średniej na zapadłej prowincji. Natłok zgłoszeń maskował jego wejścia,

ale i tak wolał dmuchać na zimne, a raczej dmuchali jego podwładni. Jego poszukiwania prowadzone były spod europejskich numerów telefonów, głównie londyńskich, przez założone specjalnie w tym celu nowe konta internetowe, likwidowane natychmiast po ściągnięciu potrzebnych danych, lub ogólnodostępne konta akademickie. Hasła RYAN JOHN PATRICK, RYAN JACK, RYAN CAROLINE, RYAN CATHY, DZIECI RYANÓW, czy RODZINA RYANÓW powodowały natychmiastowy odzew w postaci setek stron tekstu, nie zawsze jednak na pożądanym temat, bo Ryan to bardzo popularne nazwisko.

Pierwsze naprawdę interesujące wiadomości o prezydencie Ryaniu pochodziły z czasów, gdy ten skończył trzydziestkę. Wtedy po raz pierwszy trafił w sferę zainteresowania mediów, udaremniając zamach na następcę tronu w Londynie. W archiwach były nawet zdjęcia i chociaż ich ściągnięcie trwało całe wieki, warto było poczekać. Zwłaszcza pierwsze było bardzo interesujące. Młody człowiek siedział na ulicy spływającej krwią. Piękny widok, nieprawdaż? Człowiek na fotografii wyglądał nienajlepiej, ale ranni zwykle tak na początku wyglądają, a z podpisu wynikało, że odniósł dość poważne rany. A potem ten wrak Porsche i śmigłowiec lądujący na dachu szpitala, gdzieś

w Ameryce. Następnie Ryan zniknął z pierwszych stron gazet, przewijał się najwyżej gdzieś w tle, wzywany na przesłuchania za zamkniętymi drzwiami komisji Kongresu. I nagle pojawia się znowu, pod koniec prezydentury Fowlera, po tej wielkiej aferze, kiedy podobno w pojedynkę zapobiegł wystrzeleniu rakiet nuklearnych na Rosję. Tak, to samo powtarzał Darjaei, podobno Ryan osobiście dał mu to do zrozumienia. Nigdy nikt tego nie potwierdził, a Ryan nigdy potem publicznie się na ten temat nie wypowiadał. To ważna sprawa, bo dużo o nim mówi. Ale może fałszywy trop?

Żona. Nią też się sporo zajmowano. O, jeden z dziennikarzy podał nawet numer jej pokoju w szpitalu. Doświadczony chirurg okulista. No tak, ostatnio pisali, że nie zrezygnowała z pracy. Doskonale. Będzie wiadomo, gdzie jej szukać.

Dzieci. Najmłodsze chodziło do tego samego przedszkola, co starsze. Nawet zdjęcie jest. Co za głupota. A w jednym z artykułów o Ryanie z czasów, gdy został doradcą, opisano szkoły starszych dzieci. . .

Zadziwiająco. Zaczynał szukać informacji, spodziewając się najwyżej jakichś mało znaczących uzupełnień do oficjalnych informacji. Zdawał sobie sprawę, że mogą to być ważne szczegóły, ale zamiast tego w jeden dzień, nie ruszając się z biura, zebrał

więcej wiadomości, niż zebrałby przez cały tydzień zespół na miejscu, inwigilując cel i narażając się na znaczne ryzyko w razie wykrycia. Ależ głupi ci Amerykanie... Aż się proszą, żeby im przyłożyć. Pojęcia nie mają, co to ochrona albo chociaż zwykła, najdurniejsza ostrożność. Co innego publiczne wystąpienia, nawet z rodziną — to się zdarza każdemu. Ale po co pozwalać każdemu dowiadywać się szczegółów, które nie powinny go obchodzić?

Plik z wiadomościami — ponad 2.500 stron! — zostanie teraz zanalizowany i porównany z posiadanymi danymi wywiadu. Na razie to tylko informacje, nie mieli żadnego planu ich wykorzystania. Na razie.

* * *

— Wiesz, zaczyna mi się podobać to latanie — powiedziała Cathy Ryan do Roya Altmana.

— Tak? — z uśmiechem zapytał ochroniarz.

— Mniej napięcia i nerwów, niż podczas jazdy samochodem i można załatwić po drodze papierkową robotę. — Zamilkła na chwilę i dodała: — To już pewnie długo nie potrwa.

— Pewnie nie — potwierdził Altman i po raz kolejny zlustrował kolejkę z tacami w bufecie, w której stali. W bufecie było jeszcze dwóch innych ludzi z Tajnej Służby, którzy rozpaczliwie starali się nie wyróżniać z otoczenia i nie bardzo im to wychodziło. Wprawdzie szpital był duży, samych lekarzy i studentów było prawie trzy tysiące, ale prawie wszyscy znali się, jeśli nie osobiście, to z widzenia, więc obcy z plakietkami lekarskimi rzucali się w oczy. No i lekarze zazwyczaj nie nosili broni w pracy. Altman nie odstępował profesor Ryan, która zdawała się z tym wreszcie pogodzić. I dobrze, jeden problem z głowy. Rano towarzyszył jej na sali operacyjnej w czasie dwóch zabiegów. Po południu będzie miała wykład. To były nowe doświadczenia zawodowe dla Altmana; po raz pierwszy osoba, którą ochraniał, nie zajmowała się polityką. Pani profesor jadła jak przysłowiowy wróbelek, jej taca była prawie pusta, zanim jeszcze zaczęli jeść. Doszli do kasy i tu, wbrew jego burzliwym protestom, zapłaciła także za jego obiad.

— Nie ma mowy, Roy — powiedziała twardo. — Teraz jesteś na moim terenie, a tutaj ja rządę. — Rozejrzała się wokół, szukając człowieka, z którym chciała porozmawiać przy obiedzie. Znalazła go i ruszyła ku niemu, a Roy Altman za nią. — Cześć, Dave!

Dziekan James i jego gość wstali.

— Witaj, Cathy. Chciałbym ci przedstawić naszego nowego kolegę, Pierre'a Alexandre'a. Alex, to pani Cathy Ryan...

— Ta sama, która...?

— To nie ma nic do rzeczy. Tu jestem nadal lekarzem.

— ...która dostała w tym roku nagrodę Laskera? — dokończył nie zrażony pułkownik Alexandre.

Promienny uśmiech Cathy rozjaśnił natychmiast zgęszczoną atmosferę.

— Ta sama.

— Moje gratulacje, pani profesor — powiedział, podając rękę. Cathy musiała odstawić tacę, by ją uścisnąć. Altman trzymał swoją tacę lewą ręką, prawa pozostawała

wolna, a uwagę skupił na twarzy gościa. Oczy zdawały się mieć naturalny, neutralny wyraz, ale dostrzegał w nich coś niepokojącego.

— A pan pewnie ze Służby? — zapytał Alexandre, zwracając się do towarzyszącego Cathy mężczyzny.

— Tak jest, sir. Roy Altman.

— Doskonale. Tak wielkiemu skarbowi należy się odpowiednia ochrona — skomentował Alexandre. — Dopiero co zdjąłem mundur, panie Altman. W czasie służby w wojsku nieraz spotykałem pańskich kolegów w szpitalu imienia Waltera Reeda. A kiedy córka prezydenta Fowlera przywiozła jakieś tropikalne paskudztwo z wizyty w Brazylii, to właśnie ja ją leczyłem.

— Alex będzie pracował z Ralphem Forsterem — wyjaśnił dziekan, gdy już wszyscy usiedli.

— Forster jest epidemiologiem — wyjaśniła Altmanowi Cathy.

— Na razie dopiero przecieram sobie ścieżki — powiedział Alexandre — ale skoro dostałem już przepustkę na parking, to chyba mogę się uważać za członka rodziny?

— Mam nadzieję, że będzie pan równie dobrym nauczycielem, jak Ralph.

— Ralph jest świetny — przyznał pułkownik.

Nowy spodobał się Cathy. Od razu widać, że Południowiec. Ten akcent, te maniery.

— Rano poleciał do Atlanty — uzupełnił dziekan.

— Coś nagłego?

— Prawdopodobne ognisko ebola w Kongo. Chłopiec, lat osiem. Dziś rano przyszła poczta elektroniczna na ten temat.

Oczy Cathy ściągnęły się na tę myśl. Zajmowała się wprawdzie zupełnie inną dziedziną medycyny, ale trudno było czytać prasę fachową i nie zauważać wzmianek o wciąż tajemniczej chorobie. Prasę czytali wszyscy, bo zawód lekarza wymagał ustawicznego kształcenia się.

— Tylko ten jeden przypadek?

— Na razie tak. Wygląda na to, że ugryzła go małpa. Już raz się w to bawiłem. Pojechaliśmy tam z Fort Detrick w 1990 roku, kiedy nastąpił poprzedni wybuch epidemii.

— Z Gusem Lorenzem? — wtrącił dziekan James.

— Nie, Gus zajmował się wtedy czym innym. Wyprawą kierował George Westphal.

— A, i potem. . .

— Tak, a potem umarł — potwierdził Alex. — Nie mówiono tego głośno, ale George złapał tam to świństwo. Ja go wtedy pielęgnowałem. To nie był najprzyjemniejszy widok.

— Jaki błąd popełnił? Nie znałem go najlepiej, ale Gus mówił, że to wschodząca gwiazda. Westphal był z UCLA, o ile się nie mylę?

— George był świetnie zapowiadającym się, błyskotliwym naukowcem i zachowywał te same środki bezpieczeństwa, co my wszyscy. Nigdy się pewnie nie dowiemy, co się stało. Wtedy zmarło szesnastu ludzi. Przeżyły dwie ofiary, obie kobiety po dwadzieścia kilka lat, ale poza tym nic ich nie łączyło. Nie mamy pojęcia, dlaczego ocalały. Może po prostu miały szczęście? — Alexandre nie wierzył w szczęście przy epidemiach. Musiał być jakiś powód. Na razie go nie znaleziono, ale jego zadaniem było znalezienie tego powodu. — W każdym razie, przypadków było łącznie tylko osiemnaście i tyle dobrych wiadomości. Siedzieliśmy tam sześć, czy siedem tygodni. Chcieliśmy odnaleźć nosiciela, więc całymi dniami polowałem na małpy. Zabiłem ich chyba ze sto, ale bez rezultatu. Tamten szczep wirusa nazwano ebola Mayinga. Ciekawe, czy bardzo różni się od tego, którego złapał ten chłopiec. Ebola to paskudne świństwo.

— Tylko jeden przypadek? — powtórzyła Cathy.

— Tyle na razie wiadomo. Droga zakażenia nieznana.

— A małpa?

— Nie udało się upolować pierwotnego nosiciela. Jak zawsze.

— Czy to naprawdę aż tak bardzo śmiertelna choroba? — wtrącił się Roy.

— Wie pan, to trudno określić. Oficjalnie mówi się, że osiemdziesiąt procent przypadków kończy się śmiercią. Obrazowo tłumacząc: gdyby pan wyciągnął teraz swój pistolet i w poprzek tego stołu strzelił mi w klatkę piersiową, to miałbym większe szansę na to, że przeżyję, niż gdybym złapał to cholerstwo — odparł pułkownik Alexandre, smarując masłem bułkę. Przypomniał sobie wizytę u wdowy po Westphalu. Apetyt opuścił go na dobre. — Większe szansę miałby pan, chorując na białaczkę albo raka. Z AIDS już gorzej, ale da się z tym żyć jeszcze z dziesięć lat. Ebola nie podaruje panu nawet dziesięciu dni.

11 — Małpy

Ryan przez całe życie sam przepisywał swoje prace. Napisał dwie książki z historii wojen na morzu i niezliczone opracowania dla CIA. Za każdym razem pisał sam, najpierw na maszynie, a potem, kiedy można już było mieć je w domu — na komputerze. Nigdy nie lubił pisać, to była ciężka i żmudna praca, ale lubił borykać się z myślami w ciszy i odosobnieniu, bezpieczny od wszelkich przejawów codziennego życia, próbując przelać na papier myśli, które przelatywały mu przez głowę, zmagając się z formą, aż do osiągnięcia maksymalnej jej zgodności z treścią. Ale zawsze były to jego myśli i to było uczciwe.

Teraz miało być inaczej. Jego główną autorką przemówień okazała się Callie Weston, drobna blondynka, zdolna wyczyniać cuda ze słowami. Jak większość personelu Białego Domu, także ona przyszła tu z prezydentem Fowlerem i tak już zostało.

— Nie podobała się panu moja mowa na pogrzeb? — zapytała, nie bawiąc się w uprzejmości.

— Mówiąc szczerze, zdecydowałem, że jednak powinienem powiedzieć co innego. . . — Co jest, do diabła? Zaczynam się bronić, a nawet nie znam tej baby!

— Płakałam. — Odczekała chwilę, by zwiększyć efekt, w tym czasie patrząc mu w oczy bez mrugnięcia powieką, jak jadowity wąż oceniający swoją ofiarę. — Pan jest inny.

— To dobrze czy źle?

— Wie pan. . . Prezydent Fowler wybrał mnie, ponieważ wygłaszając moje przemówienia wychodził na człowieka serdecznego, pełnego współczucia. Pan wie równie dobrze jak ja, że tak naprawdę miał w sobie tyle ciepła co ryba. Prezydent Durling zostawił mnie na stanowisku, bo nie chciało mu się szukać nikogo innego. Ciągłe muszę walczyć ze świtą prezydentów, bo ci uwielbiają redagować teksty, które piszę. Arnie

staje po mojej stronie, bo chodziłam do szkoły z jego ulubioną siostrzenicą, a poza tym jestem dobra w swoim fachu. To nie zmienia faktu, że wielu tutaj ma ze mną na pieńku. Chciałam, żeby pan to wiedział, zanim zaczniemy współpracę.

— Dlaczego jestem inny? — zapytał Jack.

— Pan mówi to, co myśli, zamiast tego, co pan myśli, że ludzie chcą, żeby pan powiedział. Ciężko będzie pisać panu przemówienia. Nie pasuje pan do żadnej szufladki. Będę się musiała od nowa nauczyć pisać tak, jak kiedyś lubiałam pisać, a nie tak, jak mi za to płacono i będę się musiała nauczyć pisać tak, jak pan mówi. Będzie ciężko. — Widać było, że już się zbiera w sobie do tej ciężkiej przeprawy.

— Rozumiem.

Ponieważ pani Weston nie była członkiem sztabu prezydenckiego, Andrea Price była cały czas obecna przy tej rozmowie, oparta o ścianę (gdyby Gabinet Ovalny miał rogi, stałaby w rogu) i z pokerową twarzą obserwowała rozmowę. Ryan zdążył już na tyle poznać język ciała swej szefowej ochrony, że mimo kamiennej twarzy domyślał się, że obie panie nie darzą się sympatią. Ciekawe.

— To co pani wyczaruje w ciągu tych kilku godzin?

— Zależy, co pan będzie chciał powiedzieć — odbiła piłeczkę. Ryan podał jej w punktach kilka myśli przewodnich. Nie robiła żadnych notatek, słuchała nie przerywając, a potem uśmiechnęła się i znowu przemówiła.

— Oni chcą pana zniszczyć. Pan zresztą o tym wie. Może Arnie nie zdążył jeszcze panu tego powiedzieć, może nikt ze sztabu też pana nie uprzedził, ale ja panu mówię, że będą próbować. — Słowa autorki przemówień podziały na Andreeę jak elektrowstrząs. Już nie opierała się o ścianę, czekając czujnie na dalszy rozwój wypadków.

— A skąd myśl, że chcę zostać tu na dłużej?

— Słucham? — Zamrugła oczyma ze zdumienia. — Przepraszam, ale ja naprawdę nie przywykłam do czegoś takiego.

— Proszę pani, to by nawet mogła być ciekawa rozmowa, ale...

— Czytałam przedwczoraj jedną z pańskich książek. Nie radzi pan sobie najlepiej z imiesłowami, to oczywiście tylko uwaga techniczna, na marginesie, ale trzeba panu przyznać, że umie pan jasno wyrażać swój punkt widzenia. Będę musiała trochę uprościć moją retorykę, żeby brzmiała jak pańska. Krótkie zdania. Dobra gramatyka. Pewnie

katolicka szkoła, co? Potrafi pan mówić wprost. — Uśmiechnęła się. — Jak długa mowa?

— Powiedzmy, piętnaście minut.

— Będę za trzy godziny — obiecała i podniosła się z kanapy. Ryan skinął głową i wyszła. Jack spojrział na Andreę.

— No, wyrzuc to wreszcie z siebie — powiedział.

— Nadęta gówniara. W zeszłym roku rzuciła się na jednego z młodszych asystentów prezydenta, tak że strażnik musiał ich rozdzielać.

— O co poszło?

— Tamten powiedział coś złego o jednym z jej przemówień i zaczął spekulować na temat jej prowadzenia. Następnego dnia złożył wymówienie. Niewielka strata, swoją drogą. Ale nie miała prawa mówić tego, co panu powiedziała.

— A jeżeli miała rację?

— Panie prezydencie, to nie moja sprawa, ale...

— No więc miała, czy nie?

— Pan jest inny, panie prezydencie — zgodziła się Price, ale także nie powiedziała, czy to źle, czy dobrze, a Ryan nie nalegał. Miał zresztą co innego do roboty. Podniósł słuchawkę telefonu na biurku i odezwała się sekretarka.

— Proszę mnie połączyć z panem Georgem Winstonem z Columbus Group.

— Tak, panie prezydencie, zaraz łączę. — Nie miała numeru w podręcznym notesie, więc najpierw wykreśliła numer centrali łączności. Bosman z centrali miał numer zanotowany na żółtej kartce przyklejonej nad biurkiem, więc podał go jej od razu. Chwilę potem triumfalnie wyciągnął rękę w kierunku kapral piechoty morskiej, siedzącej przy sąsiednim biurku. Kapral uśmiechnęła się kwaśno, pogrzebała w torebce i położyła na wyciągniętej dłoni bosmana cztery ćwierćdolarówki.

— Panie prezydencie, pan Winston na linii — odezwał się głos z interkomu.

— George?

— Tak, panie prezydencie.

— Jak prędko możesz się tu pojawić?

— Jack. . . znaczy, panie prezydencie, na razie staram się poskładać mój interes do kupy i. . .

— To znaczy kiedy?

Winston musiał się zastanowić przez chwilę. Jego *Gulfstream* nie był dzisiaj w pogotowiu, musiałyby jechać do Newark. . . — Następnym pociągiem, panie prezydencie.

— Daj znać, jak kupisz bilety. Wyślę kogoś po ciebie na dworzec.

— Dziękuję, ale chciałbym, żeby pan wiedział, że nie mogę. . .

— Owszem, możesz. Do zobaczenia za parę godzin. — Odłożył słuchawkę i spojrzął na Price. — Andrea, wyślij kogoś z samochodem po niego na dworzec.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ryan zdecydował, że podoba mu się wydawanie rozkazów, które są wypełniane. Człowiek jakoś szybko do tego się przyzwyczaja.

* * *

— Nie chcę tu widzieć żadnej broni! — powiedziała to na tyle głośno, że kilka głów obróciło się w jej kierunku. Dzieci dopiero po kilku sekundach wróciły do swoich kredek i klocków. W sali było dziś dziwnie dużo dorosłych, a trzech z nich mieli takie

śmieszne spiralne przewody wetknięte w uszy. Te trzy głowy odwróciły się w stronę zatroskanej matki. Don Russell, jako dowódca grupy, wziął to na siebie.

— Dzień dobry — powiedział, trzymając w wyciągniętej ręce legitymację służbową. — Mogę w czymś pomóc?

— Czego tu szukacie?! Musicie się tu kręcić?

— Owszem, musimy. Mogę panią poprosić o nazwisko?

— A co to pana obchodzi? — zaczęła się stawiać Sheila Walker.

— Bo widzi pani, dobrze wiedzieć, z kim się ma do czynienia — rzeczowo wyjaśnił Russell. Czasem dobrze pogrzebać takiemu komuś w życiorysie, ale tego już nie dopowiedział.

— To jest pani Walker — odpowiedziała zamiast niej pani Marlene Daggett, dyrektorka przedszkola w Giant Steps.

— A, to pani zapewne jest matką Justina, prawda? — uśmiechnął się serdecznie Russell. Czterolatek budował właśnie wieżę z drewnianych klocków, by zaraz ją przewrócić, ku wielkiej uciesze reszty dzieci.

— Nie znoszę broni palnej i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek nosił ją w obecności dzieci.

— Pani Walker, po pierwsze, jesteśmy policjantami, więc umiemy nosić broń bezpiecznie. Po drugie, regulamin wymaga od nas, żebyśmy zawsze byli uzbrojeni na służbie. I wreszcie, po trzecie, wołałbym, żeby pani spojrzała na to w ten sposób: pani syn jest tu w czasie naszej obecności bezpieczniejszy, niż gdziekolwiek indziej. Nie będzie się pani już nigdy musiała martwić, że, na przykład, ktoś przyjdzie tutaj i porwie pani synka.

— Dlaczego ona musi tu chodzić?

Russell znowu przywołał na twarz serdeczny uśmiech, chociaż ta baba zaczynała mu działać na nerwy.

— Pani Walker, przecież to nie Katie została prezydentem, ale jej ojciec. Czy ona nie ma prawa do normalnego dzieciństwa, tak jak Justin?

— Ale to niebezpieczne i. . .

— Nie wtedy, kiedy my tu jesteśmy, proszę pani — zapewnił ją raz jeszcze. Nie słuchała. Odwróciła się bez słowa.

— Justin! — zawołała. Jej synek odwrócił głowę i zobaczył mamę, trzymającą w rękach kurtkę. Przez chwilę się zawahała, ale w końcu odwrócił się ku swojej budowlowi i popchnął palcem jeden z klocków. Cofnął się o krok i spokojnie patrzył, jak ponadmetrowej wysokości wieża powoli traci stabilność i wali się jak podcięte drzewo.

— I jak tu nie wierzyć w kawały o blondynkach? — usłyszał w słuchawce Russell. — Spiszę jej numery rejestracyjne.

Don skinął głową agentce przy drzwiach. Trzeba będzie pogrzebać. Pewnie się okaże, że to tylko jakaś nawiedzona miłośniczka New Age, ale jeżeli będzie miała przeszłość psychopatki (człowieku, te oczy!), albo, co mniej prawdopodobne, jakiegoś haka na policji, to trzeba będzie na nią uważać. Odruchowo rozejrzał się po sali, po chwili sam się na tym przyłapując. Pokręcił głową. Katie była normalnym dzieckiem, otoczonym przez normalne dzieci. W tej chwili akurat maże kredkami po papierze, z twarzą skreconą w grymasie skupienia. To był normalny dzień, zjadła normalny obiad, normalnie leżakowała, a teraz czekała ją tylko nienormalna podróż do zdecydowanie nienormalnego domu. Nawet nie zwróciła uwagi na scysję z mamą Justina. Dzieciaki miały

na tyle rozumu, żeby zachowywać się jak dzieciaki, czego nie można było powiedzieć o niektórych z ich rodziców.

Pani Walker odprowadziła Justina do samochodu (Volvo kombi, oczywiście) i zapięła dokładnie pasy na jego foteliku z tyłu. Agentka zapamiętała numer samochodu, ale już wiadomo było, że nic z tego nie będzie. To znaczy, sprawdzą i tak, na wszelki wypadek. Właśnie, wypadek. Nagle wróciło do niej to, po co tu się znaleźli. Przecież to było przedszkole w Giant Steps, to samo, do którego kiedyś chodziła najstarsza córka prezydenta. To przecież stąd, spod sklepu 7-Eleven, wyjechali terroryści, śledząc Porsche obecnej Pierwszej Damy, by przed mostem na pięćdziesiątce zaatakować i potem w czasie ucieczki zabić jeszcze policjanta stanowego. Profesor Ryan była wówczas w ciąży, ale z Piłkarzem, synem prezydenta, a o tej małej nawet im się jeszcze nie śniło. Dziwnie to wszystko działało na agentkę specjalną Marcellę Hilton. Niezameżna — znowu, po drugim już z kolei rozwodzie — bezdzietna, przy dzieciach odczuwała coś dziwnego, jakiś dreszcz w sercu, chociaż przecież była twardą profesjonalistką. To pewnie hormony, myślała, sposób, w jaki zaprogramowany jest kobiecy organizm, a może po prostu lubiła dzieci i chciałyby mieć swoje, kto wie? Tak czy inaczej, myśl o tym,

że ktoś mógłby chcieć z zimną krwią zrobić krzywdę małemu dziecku, zmroziła ją na krótką chwilę, niczym przelotny powiew mroźnego wiatru.

Przedszkole było zbyt odsłonięte. Na świecie nie brakowało ludzi, których nie obchodziło, że ich ofiarami mogą paść dzieci. Naprzeciw przedszkola nadal stał ten sam sklep 7-Eleven, przypominający o wydarzeniach sprzed lat. Dlatego córkę prezydenta chroniło teraz aż sześciu ludzi. Za parę dni zostanie ich połowa, bo Tajna Służba nie jest z gumy, wbrew temu, co ludzie o niej sądzą. Pewnie, że była silna i miała zdolnych dochodzeniowców. Prawda, że jako jedyna wśród licznych policji federalnych w Ameryce zawsze mogła zapukać do czyichś drzwi i przeprowadzić „rozmowę ostrzegawczą” z każdym obywatelem, na którym ciążył choć cień podejrzenia o to, że stanowi zagrożenie. W dodatku, mogła to zrobić nawet wtedy, gdy nie dysponowała dowodami na tyle silnymi, by pójść z nimi do sądu. Chodziło o to, by ten, z kim się taką rozmowę przeprowadza, miał świadomość, że ktoś ma na niego oko. To nie mogło być zawsze prawdą, bo w całych Stanach Tajna Służba nie liczyła nawet 1.200 funkcjonariuszy, w większości zajętych ochroną prezydenta i dochodzeniami w sprawach fałszerstw pieniędzy. W każ-

dym razie starczało zwykle, żeby wystraszyć ludzi, którzy gadali niewłaściwe rzeczy w niewłaściwe uszy.

Jednak nie oni byli groźni. Zawsze się jakoś zdradzali i wydział rozpoznania Służby wyławiał ich bez trudu. Groźni byli dopiero ci, o których się nie słyszało. Tych można było do pewnego stopnia spróbować odstraszyć demonstracjami siły, takimi jak ta, ale na dłuższą metę okazywało się to zbyt kosztowne. I nawet ochrona może nie pomóc, jak dowodziły wypadki, mające miejsce kilka miesięcy po ataku na panią Ryan, w ich domu nad zatoką. Był tam cały oddział Tajnej Służby, przypomniała sobie. Ta historia była prezentowana co roku kolejnym rocznikom Akademii Tajnej Służby w Beltsville. W domu Ryanów nakręcono film szkoleniowy, prezentujący wierną rekonstrukcję zdarzeń. Zginęli Chuck Avery, dobry, doświadczony agent, i cały jego oddział. Pamiętała, jak na szkoleniu oglądali ten film z komentarzem, podkreślającym kolejno popełniane błędy. Jak łatwo popełnić małe, pozornie nieistotne błędy, które przy braku szczęścia i nałożeniu się na siebie, mogą decydować o życiu i śmierci agenta, ale, co gorsza, także wielu jego kolegów i osób chronionych.

— Ten cholerny sklep nadal tam stoi, nie?

Odwróciła się i zobaczyła Dona Russella, który wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Znałeś Chucka Avery’ego?

— Był dwa lata wyżej w Akademii. Inteligentny, ostrożny i doskonale strzelał. Wtedy, zanim zginął, położył jednego z tych sukinsynów dwoma strzałami w pierś, z trzydziestu metrów, w kompletnych ciemnościach. — Pokręcił głową. — W tym zawodzie nie wolno popełniać drobnych błędów, Marci.

Po raz drugi przeszedł ją dreszcz, z takich, co to człowiek ma ochotę sięgnąć do rękojeści pistoletu, tylko po to, żeby się upewnić, że wciąż jest na swoim miejscu.

— Ona jest taka słodziutka, Don.

— Rzadko się widuje jędze w tym wieku — odparł Russell. Teraz powinien pewnie powiedzieć, że nie ma obaw, bo dobrze się nią opiekują, albo coś w tym rodzaju, ale nie powiedział nic. Zamiast tego razem patrzyli na drzewa, drogę i sklep 7-Eleven po jej drugiej stronie, zastanawiając się, po raz nie wiadomo który, co mogli przeoczyć i obliczając, ile trzeba by wydać na kamery monitorujące okolicę.

* * *

George Winston przyzwyczał się do tego, że po niego wychodzono. To jednak cholerna wygoda, naprawdę. Wsiada się z samolotu, prawie zawsze z samolotu, a tam już ktoś czeka i prowadzi do samochodu, za kierownicą którego siedzi ktoś, kto wie jak najszybciej dojechać do celu podróży. Nie trzeba się bawić w wypożyczanie samochodu, bezowocne zwykle próby czytania małych mapek w czasie jazdy i w rezultacie gubić się w obcym mieście. Wysłanie kogoś kosztuje, ale opłaca się, bo pozwala oszczędzać czas, a czasu zawsze brakuje. Człowiek ma w życiu tylko tyle czasu, ile go dostanie, a co gorsza, nie ma możliwości sprawdzenia, ile go jeszcze zostało, więc lepiej korzystać z niego rozważnie.

Pociąg przyjechał na peron szósty zgodnie z rozkładem. Po drodze Winston trochę poczytał, a między Trenton a Baltimore zdołał się nawet przespać. Szkoda, że koleje tracą na przewozach pasażerskich, ale też fakt, że do latania nie trzeba kupować powietrza, a tory leżą na ziemi, którą trzeba wykupić. Zabrał płaszcz i teczkę, a potem skierował się do wyjścia, po drodze zostawiając napiwek stewardowi.

— Pan Winston? — zapytał czekający na peronie mężczyzna.

— Zgadza się.

Mężczyzna pokazał legitymację agenta federalnego w skórzanej oprawce. Winston kącikiem oka zauważył drugiego mężczyznę w rozpiętym płaszczu, stojącego dziesięć metrów od nich.

— Proszę tędy.

Ruszyli do wyjścia przez zatłoczony terminal kolejowy.

* * *

Taka masa informacji musiała oznaczać wiele teczek dokumentów, ale i tak było tego tyle, że trzeba je było redagować, by nie porozsadzały szaf w tajnej kancelarii. Niestety, komputery nie radziły sobie jeszcze najlepiej z trudnym językiem jego rodaków, więc nie można ich było upchnąć tam, skąd przyszły — w trzewiach tej piekielnej maszyny. Weryfikacja wiadomości nie powinna być zbyt trudna. Po pierwsze, prasa nadal będzie węszyć i, śledząc jej doniesienia, będzie można zmieniać to, co zmiany będzie wymagać. Zresztą i tak najłatwiej wszystko sprawdzić osobiście, wsiadając na miej-

scu w samochód i odwiedzając parę miejsc. To nie było niebezpieczne. Tajna Służba mogła być sprawna i dokładna, ale na pewno nie była wszechobecna i wszechpotężna. Ten cały Ryan miał rodzinę, żonę, która jeździła do pracy, dzieci, które chodziły do szkoły i rozkład dnia, którego musiał się trzymać. W oficjalnej siedzibie byli bezpieczni — przynajmniej teoretycznie, bo ostatnie wypadki dowiodły, że jeśli bardzo się chce, to nie ma miejsc bezpiecznych — ale kiedy z niego wychodzili, to już inna sprawa. W razie czego będzie to tylko sprawą pieniędzy i planowania. Trzeba się rozejrzeć za sponsorem.

* * *

— Ile ci potrzeba? — zapytał handlarz.

— A ile masz? — odpowiedział pytaniem na pytanie klient.

— Na pewno mam osiemdziesiąt. Mogę mieć sto — odparł sprzedawca, popijając piwo.

— Kiedy?

— Może być tydzień? — Rozmowa toczyła się w Nairobi, stolicy Kenii, światowego centrum handlu tym towarem. — Do badań?

— Tak. Naukowcy mojego klienta mają jakiś podobno interesujący program badawczy do realizacji.

— Aha. O co chodzi?

— Nie mogę powiedzieć — padła spodziewana odpowiedź. Klient też nie powiedział, kto w takim razie jest właściwym nabywcą, skoro on jest tylko pośrednikiem. Sprzedawcy i tak było wszystko jedno, byle zapłacił w terminie.

— Jeżeli będziemy zadowoleni, to można się spodziewać kolejnych, dużych zamówień.

— No tak, jak zwykle. Sprzedawca pokiwał głową. Na razie potargujemy się o tę partię, synku.

— Musi pan zrozumieć, że nie da się tak po prostu pójść do sklepu i zdjąć towaru z półki. To droga zabawa. Trzeba zebrać ludzi i zapłacić im z góry, bo inaczej się wypną, albo doniosą. Potem trzeba znaleźć kolonię zwierząt, które pan zamówił. A dopiero potem zaczyna się właściwe pozyskiwanie materiału, transport, licencje eksportowe

i trudności z biurokracją. — Handel małpami zielonymi rozkręcił się ostatnio na dużą skalę. Wiele firm farmaceutycznych używało ich do przeprowadzania eksperymentów naukowych, na czym małpy nie wychodziły najlepiej, ale ich sprzedawcy wręcz przeciwnie. Zresztą w Afryce małp było mnóstwo, więc kto by się przejmował? Gatunek nie był zagrożony wyginięciem, a nawet gdyby, to co go to obchodzi? Zwierzęta stanowiły ważne źródło dewiz dla jego kraju. Arabowie mogli ciągnąć spod ziemi ropę i sprzedawać za ciężki szmal, to dlaczego niby oni nie mieliby mieć prawa do eksploatacji jedyne bogactwa ich ziemi? Małpa równa się pieniądzu i nie ma się co bawić w sentymenty. Gryzie toto, pluje, drapie i mordę wydziera po całych dniach. Chyba tylko turystom mogą się wydawać sympatyczne — może dostrzegają jakieś podobieństwo, kto wie? W dodatku zżerają rolnikom plony, więc ci ich nie lubią i chętnie wskazują miejsca, gdzie żerują szkodniki.

— Proszę pana, nas to nie obchodzi. Zależy nam tylko na szybkości dostawy. Przekona się pan, że potrafimy docenić kontrahentów, na których możemy polegać.

— W porządku. — Sprzedawca postanowił dla większego efektu zrobić teraz pauzę, więc dokończył piwo, podniósł rękę i pstryknął palcami na kelnera. Pokazał gestem, że

prosi o powtórkę i wrócili do negocjacji. Teraz przyszedł czas na podanie ceny wyjściowej, w której mieściła się spora dola dla niego, poza kosztami najęcia myśliwych, łapówek dla policji, celników, straży leśnej i urzędników terenowych. Cena była oczywiście wygórowana, jak zawsze na początku negocjacji.

— Zgoda. — Cholera, trzeba było zaśpiewać więcej. Skoro pośrednik tak łatwo przęłyka taką sumę, to ile on musi z tego mieć?! Z drugiej strony szybka odpowiedź przyniosła rozczarowanie. Sprzedawca uwielbiał się targować, to należało do afrykańskiego obyczaju. Przygotował sobie całą orację o trudnościach związanych z tym zamówieniem, a ten cham tak po prostu zgodził się i obrabował go z jego jedynej przyjemności w tym dosyć w sumie nieprzyjemnym zawodzie. No, ale z drugiej strony klient płaci, klient wymaga, klient ma zawsze rację.

— Robić z panem interesy to czysta przyjemność. Proszę o telefon za, powiedzmy, pięć dni. Może coś się da załatwić szybciej?

Pośrednik kiwnął głową, dopił drinka, zapłacił rachunek i wyszedł. Dziesięć minut później zadzwonił do ambasady. To był już trzeci jego telefon tego dnia i trzeci w tej

samej sprawie. Nie wiedział, że ambasada odbiera takich telefonów znacznie więcej, także z zagranicy, z Ugandy, Mali, Kongo i Tanzanii.

* * *

Jack pamiętał swój pierwszy pobyt w Gabinetcie Ovalnym. Po przejściu przez sekretariat wchodziło się w coś, co okazało się wpuszczonymi w ścianę, zamaskowanymi boazerią drzwiami, zupełnie jak w osiemnastowiecznym pałacu. Zresztą trudno się dziwić, Biały Dom był właśnie takim pałacem, choć całkiem skromnym jak na ówczesne warunki. Pierwszym, co rzucało się w oczy, zwłaszcza w słoneczny dzień, były okna. Grubość szyb nadawała im zielonkawy odcień, zupełnie jak ściankom akwarium przeznaczonego dla zupełnie wyjątkowej ryby. Potem zauważało się wielkie biurko. Ono zawsze onieśmiało, a już zwłaszcza, gdy wstawał zza niego prezydent, by wyjść na powitanie gościa. I bardzo dobrze, miejmy nadzieję, że na innych to działa tak samo, pomyślał Jack.

— Witaj, George — powiedział, wstając zza biurka i podchodząc z wyciągniętą ręką.

— Panie prezydencie — odparł George, niezrażony tym, że za jego plecami stoi dwóch agentów Tajnej Służby, gotowych w każdej chwili posiekać go na plasterki, gdyby tylko zrobił jakiś nieostrożny ruch. Nie trzeba ich nawet słyszeć. Ich wzrok, wbity w plecy gościa, jest tak intensywny, że po prostu się go czuje, a niektórzy żartowali, że przed wizytą u prezydenta dobrze sobie naszyć na plecach marynarki łąkę, bo inaczej wypalą w niej dziurę oczyma. Uścisnął dłoń Ryana i zdobył się na uśmiech. Nie znał go zbyt blisko. Pracowali krótko razem w czasie tej ostatniej historii z Japonią, a przedtem może parę razy wpadli na siebie na jakichś przyjęciach, ale to wszystko. No i wcześniej słyszał coś o związkach Ryana z giełdą, na której grał dyskretnie, ale skutecznie. Przynajmniej czegoś się chłop w tym wywiadzie nauczył.

— Siadaj — wskazał prezydent gościowi miejsce na sofie. — Odpreż się. Jak podróż?

— Jak zwykle. — Steward w mundurze Marynarki pojawił się jak spod ziemi i nalał kawy w dwie filiżanki. Kawa okazała się wyśmienita, a filiżanka była z naprawdę dobrej porcelany.

— Potrzebuję cię — od razu przeszedł do rzeczy Ryan.

— Panie prezydencie, straty, jakie w wyniku ostatniego konfliktu poniosła moja. . .

— Ojczyzna? — odpowiedział Ryan. To był chwyt poniżej pasa.

— Nigdy się nie prosiłem o państwową posadę, Jack. — Odpowiedź nadeszła od razu i bez zbędnych ozdóbek. „Pan prezydent” zniknął bez śladu.

Ryan oparł się wygodniej, jego filiżanka pozostała nietknięta.

— Jak myślisz, po co cię potrzebuję? Urzędników mam na kopy, ale muszę zebrać zespół, swój zespół. Dziś wieczorem mam wygłosić orędzie do narodu. Powinno ci się spodobać. W tej chwili muszę znaleźć kogoś, kto by się zajął Departamentem Skarbu. Obrona na razie ujdzie, a Departament Stanu w rękach Adlera chodzi jak złoto. Ale Skarb jest na pierwszym miejscu mojej listy do wymiany. To musi być ktoś dobry i nie stąd. Ty jesteś dobry i nie stąd. — Urwał nagle i po chwili zapytał wprost: — Masz czyste ręce?

— Co. . . ? Pewnie, że tak, do cholery! Każdego centa zarobiłem uczciwie i wszyscy o tym wiedzą. — Winston był wzburzony, ale tylko do chwili, gdy uświadomił sobie, że na to właśnie liczył rozmówca.

— No i dobrze. Potrzeba nam właśnie kogoś, komu wierzą bankierzy. A tobie wierzą. Potrzebuję kogoś, kto wie, jak naprawdę działa system. A ty wiesz. Potrzebuję kogoś, kto wie, co wymaga naprawy, a co jest w porządku i nie wolno w tym grzebać. Ty to wiesz. Potrzebuję kogoś, kto nie jest politykiem. Ty nie jesteś. I potrzebuję beznamiętnego profesjonalisty, kogoś, kto będzie nienawidził tej roboty tak, jak ja nienawidzę swojej.

— Jak mam to rozumieć, panie prezydencie?

Ryan odchylił na chwilę głowę na oparcie i przymknął oczy, po czym odpowiedział:

— Wpadłem w tryby systemu, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. Raz się wyrwałem, nawet nieźle mi szło na Wall Street, ale wessało mnie z powrotem i w końcu trafiłem aż tu. — Dopiero teraz otworzył powieki. — Odkąd trafiłem do CIA, patrzyłem, jak tu się robi różne rzeczy i wiesz co? Nigdy mi się to nie podobało. Jak pamiętasz, zaczynałem na giełdzie i wtedy pogrywałem ostro, ale uczciwie i z niezłym powodzeniem. Ale doszedłem do wniosku, że od przekładania papierków bardziej bawi mnie ich zapisywanie, więc zostałem naukowcem. Historia to moja miłość i miałem nadzieję, że będę studiował, pisał, uczył jej, dochodził co i dlaczego się zdarzyło, a co mogło się

zdarzyć, a się nie zdarzyło, a potem przekazywał moją wiedzę innym. Prawie mi się udało i, chociaż nie wszystko poszło po mojej myśli, wiele się dowiedziałem i mnóstwo nad tym myślałem. A teraz, George, mam zamiar zebrać zespół.

— Ale po co?

— Twoim zadaniem będzie zrobić porządek w Departamencie Skarbu. Wyregulować politykę monetarną i fiskalną.

— Mam się tym zająć na całego? Żadnych pogrywek politycznych? — Musiał o to zapytać.

— Słuchaj, George, ja nie wiem, jak być politykiem, bo nigdy nim nie byłem i teraz nie mam czasu się tego uczyć. Nigdy nie lubiłem tej gry i, z niewielkimi wyjątkami, nie lubiłem ludzi, którzy w nią grali. Zawsze starałem się służyć mojemu krajowi najlepiej, jak potrafiłem. Czasem mi wychodziło, czasem nie. Nie miałem wyboru. Pamiętasz, jak się to zaczęło? Chcieli zabić mnie i całą moją rodzinę. Nie chciałem się w to wciągać, ale przekonałem się, że, do jasnej cholery, ktoś to musi robić. Nie mogę sam tego robić dalej, George, ale nie chcę obsadzić tych stołków kolejnymi darmozjadami, których ob-

chodzi tylko żłób i nic poza nim. Chcę mieć u siebie ludzi z pomysłami, a nie polityków spłacających długi zaciągnięte podczas kampanii wyborczej.

Winston odstawił filiżankę na stolik i udało mu się to zrobić po cichu. Właściwie nawet się zdziwił, że mu się dłonie nie trzęsą. Rozmach tego, co proponował Ryan, daleko wykraczał poza jego przewidywania. Zgoda mogła pociągnąć następstwa idące daleko dalej, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Musiałyby się odciąć od przyjaciół, przynajmniej na czas sprawowania urzędu. Ale za to nie musiałyby się przejmować tym, że firmy z Wall Street mogą obciąć dotacje na fundusz wyborczy, uzależnione zawsze od tego, na ile bankierom podobały się decyzje Departamentu Skarbu. Tak było zawsze i choć Winston sam w tym nie uczestniczył, nie raz rozmawiali o tym w gronie ludzi, którzy mieli od dawna doświadczenie w tej grze.

— Cholera — mruknął. — Mówisz poważnie, prawda? Miliony ludzi powierzały mu do tej pory, jako założycielowi i szefowi funduszu inwestycyjnego Columbus Group, swoje pieniądze, pośrednio lub bezpośrednio, co dawało mu teoretyczną możliwość zostania złodziejem na wprost niewyobrażalną skalę. Nie mógł tego zrobić. Po pierwsze, to by było nielegalne i można było się w ten sposób dorobić przedłużonych wakacji

w jakimś federalnym kurorcie o raczej podłych warunkach zakwaterowania, za to solidnie zabezpieczonym przed włamywaczami. Ale nie o to chodziło. Po prostu nie mógł okraść tych ludzi, którzy mu zaufali, uwierzyli, że jest uczciwy i sprytny na tyle, by z korzyścią ulokować ich pieniądze, że będzie ich pieniędzy lepiej używał, bo oni nie umieli obracać nimi tak skutecznie. Miło było czasem dostać jakiś list z podziękowaniami od biednej wdowy, ale to wychodziło od niego, to on potrzebował grać fair, bo inaczej gra nie przynosiłaby mu satysfakcji. Albo się jest człowiekiem honoru, albo nie, a jak to kiedyś napisał jakiś scenarzysta: „honor jest najpiękniejszym prezentem, jaki może sobie ofiarować człowiek”. Uczciwie zarabiał tyle, że nie musiał oszukiwać.

— Podatki?

— Najpierw trzeba poskładać z powrotem Kongres. — Zauważył Ryan. — Ale masz rację.

Winston zaczerpnął głęboko powietrza.

— To ogromne zadanie, Jack.

— Mnie to mówisz? — Na twarzy Ryana zagościł uśmiech.

— To mi nie przysporzy przyjaciół.

— Jednocześnie zostaniesz szefem Tajnej Służby. Czyba zdołacie ochronić swojego przełożonego, co, Andrea?

Andrea nie przywykła do wciągania jej do rozmów, ale doszła ostatnio do wniosku, że podczas prezydentury Ryana będzie się musiała do tego przyzwyczaić.

— Hmm, myślę, że tak, panie prezydencie.

— Jezu, tam jest taki burdel. . .

— No to zrób z nim porządek.

— Krew się może polać.

— Kup szmatę. Masz wyczyścić swój departament, odchudzić go i prowadzić tak, jakby to była firma przynosząca dochód. Jak to zrobisz, twoja sprawa. Potem trzeba będzie to samo zrobić w Departamencie Obrony. Tam największy problemem jest natury administracyjnej. Potrzebuję w Obronie kogoś, kto potrafi prowadzić firmę, wypracować zysk i zlikwidować biurokrację. To najgorszy problem we wszystkich agendach rządu federalnego.

— Znasz Tony’ego Bretano?

— Tego z TRW? Zdaje się, że kierował ich działem satelitarnym, tak? — Ryan przypomniał sobie, że już kiedyś Bretano był brany pod uwagę przy obsadzie jakiegoś wysokiego stanowiska w Pentagonie, ale zdecydowanie odmówił przyjęcia posady. Wielu wspinających ludzi tak reagowało na propozycję rządowej pracy. Trzeba to będzie przełamać.

— Lockheed-Martin ma na niego chrapkę, a przynajmniej tak słyszałem. Mają się dogadać za dwa tygodnie i to właśnie dlatego ich akcje tak zwyżkują. Moi ludzie łapia, co tylko pojawi się w ofercie. TRW pod jego rządami poszło w górę o pięćdziesiąt dwa procent w ciągu dwóch lat, nieźle jak na inżyniera, który nie powinien mieć pojęcia o zarządzaniu. Grywam z nim czasami w golfa. Żebyś słyszał, jak czasem klnie na rządowe zamówienia. . .

— Powiedz mu, że chciałbym się z nim spotkać.

— Lockheed ma mu dać wolną rękę. . .

— To jest myśl, George.

— A co z moją robotą, Jack? To znaczy, co ja mam robić?

— Rozumiem. Na razie będziesz pełniącym obowiązki szefa resortu, do momentu, gdy pozbieramy do kupy Kongres i będziemy cię mogli zatwierdzić na stanowisku sekretarza Departamentu Skarbu.

— Dobra. Chciałbym ściągnąć ze sobą paru swoich ludzi.

— Nie mam zamiaru mówić ci, jak masz wykonywać swoją robotę. Nawet nie mam zamiaru ci mówić wszystkiego, co masz zrobić. Masz to po prostu zrobić, George. Chcę tylko, żebyś mnie uprzedzał o swoich zamierzeniach, żebyśmy nie musiał się o tym dowiadywać z gazet.

— Kiedy zaczynam?

— Biuro jest puste, samochód możesz mieć na dole za parę minut.

— Będę o tym musiał pogadać z rodziną.

— Jak wiesz, w państwowych biurach też są telefony i wszystko, czego potrzeba. Słuchaj, wiem kim jesteś. Wiem, co robisz. Sam mogłem robić to co ty, tylko że swego czasu doszedłem do wniosku, że samo zarabianie pieniędzy mi nie wystarczy. Zaczynać coś od nowa to zupełnie co innego. W porządku, zarządzanie pieniędzmi to też poważna praca. Mnie akurat ona nie odpowiadała, ale bycie lekarzem też mnie jakoś nie pocią-

gało. Dla każdego coś miłego i te rzeczy. Ale wiem też, że długo siedziałeś nad piwem i precelkami z różnymi ludźmi, dyskutując nad tym, co i jak spieprzono w tym mieście i co z tym należy zrobić. Teraz masz szansę. Jedyłą i niepowtarzalną, George, bo już nigdy nikt, miejmy nadzieję, nie spuści nam na głowę odrzutowca, żeby znowu można było mianować na to miejsce kogoś bez politycznych powiązań. Nie możesz tej oferty odrzucić, bo sobie tego nigdy nie darujesz.

Winston zastanawiał się, jak to możliwe, że dał się zapędzić w narożnik w pokoju o okrągłych ścianach.

— Szybko się uczysz polityki, Jack — powiedział wreszcie.

— Andrea, poznaj swojego nowego szefa.

Ze swej strony agentka Price pomyślała, że może Callie Weston jednak się myliła.

* * *

Wiadomość o tym, że prezydenckie orędzie zostanie wygłoszone dziś wieczorem, wyróciła starannie ułożony plan, ale odwlekła całość tylko na ten jeden dzień. Bardziej martwiono się, jak skoordynować to z wydarzeniem, które szykowano już od jakiegoś

czasu. Koordynacja czasowa stanowi o polityce, a oni spędzili tydzień na wyteżonych przygotowaniach. Nawet ekspertów nie było skąd wziąć, bo nikt nigdy nie spotkał się z taką sytuacją. To pociągało ze sobą ryzyko, ale gdyby Edward J. Kealty nie ryzykował i nie stawiał dotąd na właściwego konia, nigdy nie zaszedłby tak wysoko. Kealty był nałogowym hazardzistą i, jak oni wszyscy, nie dowierzał ani pozostałym graczom, ani bankierowi i każdą decyzję opatrywał wieloma „jeśli”.

Zastanawiali się nawet, czy należy to wyciągać. Nie chodziło nawet o zwykłe polityczne przepychanki: kto się ucieszy, a kto się obrazi, ale czy to, co zamierzali jest właściwe, uczciwe, wreszcie czy jest moralne. To rzadkie rozważania w życiu doświadczonego polityka. Oczywiście, to że ich okłamywano, upraszczało sprawę. Doskonale wiedzieli, że są okłamywani. Wiedzieli, że on wie, że oni wiedzą, że ich okłamał, ale na to się godzili. Inaczej złamaliby zasady gry.

— A więc tak naprawdę nigdy nie złożyłeś tej rezygnacji, Ed? — zapytał szef jego zespołu doradców. Chciał, by kłamstwo było na tyle jasne, żeby reszta mogła się zaklinać, że to prawda.

— Nadal mam ten list — powiedział były wiceprezydent, klepiąc się po kieszeni. — Brett i ja omawialiśmy tę sprawę, i doszliśmy do wniosku, że pewne sformułowania tego listu wymagają modyfikacji, i że ta wersja nie jest właściwa. Miałem nazajutrz przynieść poprawioną wersję, z nową datą i tak dalej, żeby to załatwić po cichu, ale któż mógł przewidzieć, że tak się potem sprawy potoczą. . .

— Czyli mógłbyś o całej sprawie właściwie zapomnieć.

— Ba, chciałbym — powiedział po chwili Kealty, zmartwionym głosem. To też miał dobrze przećwiczone. — Ale, na Boga, stan, w którym znalazł się kraj mi na to nie pozwala. Ryan, no cóż, to nie jest zły człowiek, wiem o tym, bo znamy się od lat, ale on przecież nie ma pojęcia o tym, jak się rządzi państwem.

— Żadne prawo tego nie reguluje, Ed. Nie ma wykładni konstytucyjnej, a nawet gdyby była, to nie ma Sądu Najwyższego, by działał na jej podstawie — włączył się doradca prawny Kealty’ego, niegdyś jego asystent w Senacie. — To wszystko opiera się na czystej politycznej spekulacji, a to nigdy nie wygląda najlepiej. Ludzie. . .

— To ważne stwierdzenie — zanotował szef doradców. — Robimy to z powodów apolitycznych, by służyć interesom kraju. Ed wie, że popełnia polityczne samo-

bójstwo. — Tego, że planuje po nim natychmiastowe zmartwychwstanie w CNN, nie trzeba było dopowiadać.

Kealty wstał i zaczął chodzić po pokoju, gestykulacją podkreślając to, co mówił.

— Nie mówmy o polityce! Polityka nic do tego nie ma, do cholery! Rząd został zniszczony. Kto go poskłada z powrotem do kupy? Przecież ten Ryan to tylko cholerny szpieg z cholernego CIA. Nie wie nic o działaniach rządu. Trzeba mianować Sąd Najwyższy, prowadzić politykę, poskładać do kupy Kongres. Ten kraj potrzebuje przywódcy, a Ryan nie ma pojęcia o tym, jak to zrobić. Może i kopię sobie polityczny grób, ale ktoś przecież, do cholery, musi stanąć w obronie naszego kraju!

Nikt się nie roześmiał. Co dziwniejsze, nawet im to w głowach nie zaświtało. Członkowie sztabu Kealty'ego, obaj pracujący z nim od dwudziestu lat, byli tak związani z jego osobą, że nie mieli innego wyboru w tej materii. Ten dramatyczny ozdobnik był tu równie niezbędny, co kwestie chóru w tragediach Sofoklesa, czy inwokacja Homera do muz. Politycznych obyczajów trzeba strzec. Od czasu do czasu trzeba powiedzieć coś o ojczyźnie, o jej potrzebach i służbie Eda Kealty'ego na jej rzecz, o tym, że znał się na tym, bo robił to długo, więc teraz, kiedy wszystko runęło, tylko on może odbudować

strukturę państwa. Rząd to przecież państwo. Całe swoje zawodowe życie oddał jego służbie. Co więcej, oni w to wierzyli. Ed zresztą już sam nie wiedział, na ile to, co robi było sprawą jego osobistej ambicji, bo jeżeli człowiek całe życie coś sobie wmawia, to w końcu nie ma takiej siły, żeby sobie nie uwierzył. Kraj czasem schodzi ze ścieżki, którą mu wyznaczają jego przekonania, a wtedy nie ma wyboru, musi próbować go zawrócić na właściwą drogę, tak jak przez pięć kadencji robił to w Senacie, a potem, znacznie krócej, na stanowisku wiceprezydenta.

Dobrze byłoby wykorzystać do tego media, tak jak zawsze robił w przeszłości. Dziennikarze uwielbiali go za jego polityczne korzenie, a surowe poglądy i głęboka wiara sprawiły, że przez ponad piętnaście lat nazywano go Sumieniem Senatu. Kiedyś zawsze zapraszał do siebie reprezentantów mediów na konsultacje, zaznajamiał ich z projektem ustawy, czy poprawki, wysłuchiwał ich uwag, a dziennikarze uwielbiali być pytani o nie. Teraz nie mógł sobie na to pozwolić. Tę grę musiał rozegrać zgodnie z regułami. Nie może wyjść tak, jakby się chciał komuś podlizywać. Świadome uniknięcie tego manewru mogło legitymizować całą akcję. Jakie to górnotne. I tak mają to

ludzie zapamiętać. Teraz tylko trzeba było wybrać odpowiedni moment. To już można załatwić przez kontakty w mediach.

* * *

— O której? — zapytał Ryan.

— Dwudziesta trzydzieści czasu wschodniego — odparł Arnie van Damm. — Dziś wieczorem puszczają programy specjalne, podsumowujące ubiegły tydzień i prosili, żeby się do nich dostosować.

Ryan mógł się na to zżymać, ale dał sobie spokój. Co nie oznaczało, że zachował pokerową twarz.

— Poza tym — pośpieszył uzupełnić Arnie, widząc minę prezydenta — na Zachodnim Wybrzeżu będziemy mieli mnóstwo ludzi, słuchających tego w radiu po drodze do domu. Mamy wszystkie pięć sieci plus CNN i C-SPAN. To grzeczność z ich strony, wcale nie musieli tego robić. Polityczne przemowy. . .

— Arnie, wiesz dobrze, że to nie będzie polityczne przemówienie, tylko. . .

— Panie prezydencie, najwyższy już czas się przyzwyczaić, że nawet pańskie wizyty w toalecie są aktem politycznym, tak długo, jak pełni pan ten urząd. Od tego nie da się uciec, bo nawet brak polityki jest polityką — cierpliwie tłumaczył nowicjuszowi arkana sztuki Arnie. Ryan słuchał zazwyczaj uważnie, ale nie zawsze się potem do jego porad stosował.

— Dobrze. Czy FBI zatwierdziło to wszystko, co chcę powiedzieć o śledztwie?

— Dwadzieścia minut temu rozmawiałem z Murrayem. Zgodził się bez zastrzeżeń. Poprosiłem od razu Callie, żeby to włączyła do tekstu przemówienia.

Mogła mieć lepsze biuro. Jako główna autorka prezydenckich przemówień mogła zażądać złoconego komputera i biurka z blatem z kararyjskiego marmuru, z dużymi szansami na to, że naprawdę je dostanie. Zamiast tego miała dziesięcioletniego Macintosha Classic, który przynosił jej szczęście i którego lubiła na tyle, że nie przeszkadzał jej mały monitor. Jej biuro mieściło się w jakiejś komórce przylegającej do Sali Traktatów Indiańskich i w tamtych czasach pewnie służyło za garderobę. Biurko powstało w warsztatach w więzieniach federalnych, a fotel, choć wygodny, liczył sobie już trzydzieści lat. Jedno dobre, że chociaż sufit był wysoko, dzięki czemu mogła sobie

w biurze palić, gwałcąc w ten sposób wszelkie możliwe przepisy federalne i wewnętrzne Białego Domu. Prób stosowania ich do niej zaniechano po tym, jak ostatnim razem agent musiał ją siłą odrywać od jakiegoś gówniarza z prezydenckiego sztabu, żeby mu oczu nie wydrapała. To, że za to z miejsca nie wyleciała, było jasnym znakiem dla reszty personelu Białego Domu: UWAGA, ŚWIĘTE KROWY SA WŚRÓD NAS. Jedną z nich była Callie Weston.

W jej biurze nie było okien. Nie potrzebowała ich. Dla niej realnym światem był ekran komputera i tych parę zdjęć na ścianach. Na jednym widniał jej pies, starzejący się angielski owczarek, wabiący się Holmes (to po Olivierze Wendellu Holmesie, którego prozę uwielbiała, nie po Sherlocku). Na innych różni politycy, przyjaciele i wrogowie, którym przyglądała się uważnie i bez ustanku. Za nią stał magnetowid i mały telewizor, zwykle nastawiony na C-SPAN 1 lub 2, albo na CNN. Magnetowidu używała do odtwarzania nagrań przemówień napisanych przez innych i wygłaszanych w najprzeróżniejszych miejscach. Mowa polityczna, w jej opinii, była najwyższą formą sztuki komunikowania. Shakespeare miał dwie, trzy godziny na to, żeby przekazać widzom swoje posłanie, w Hollywood potrzebowali mniej więcej tyle samo czasu, a jej mu-

siał na to samo wystarczyć kwadrans, od wielkiego dzwonu dwa lub trzy kwadranse. W tym czasie musiała przeciętnego obywatela uwieść, zdobyć i rzucić do stóp politykowi, który wygłasza mowę. Musiała tej samej sztuki dokonać jednocześnie z przeciętnym obywatelem, doświadczonym politykiem i cynicznym dziennikarzem.

Najpierw studiowała tezy przemowy, potem zajęła się Ryanem, oglądając raz jeszcze te kilka słów, które wygłosił w noc zamachu, a potem poranne wywiady. Śledziła jego oczy, gesty, napięcia i odprężenia, postawę i język ciała. To, co widziała, podobało jej się osobiście, ale z zawodowego punktu widzenia zdawała sobie sprawę, że będzie bardzo trudno. Ryan był typem człowieka, któremu powierzyłaby pieniądze jako doradcy inwestycyjnemu, ale, żeby się stać politykiem, potrzebował jeszcze długo się uczyć. Ktoś powinien go nauczyć na przykład tego, że... A może nie? Może właśnie dlatego, że nie jest zawodowym politykiem...

Uda się, czy nie, na pewno będzie kupa zabawy. Po raz pierwszy w życiu praca może jej przynieść rozrywkę. Nikt nie chciał tego przyznać, ale ze wszystkich ludzi, którzy tu pracowali, była chyba najbardziej spostrzegawcza. Fowler o tym wiedział, dlatego ją tu wziął, Durling też o tym wiedział i dlatego tolerował jej ekscentryczne zachowanie.

Zawodowi politycy z ich sztabów nienawidzili jej, traktowali jak bardziej, czy mniej użyteczne narzędzie i zazdrościli jej zaufania, okazywanego przez prezydentów, wyrażającego się codziennym nie ograniczonym dostępem do Gabinetu Ovalnego. Całkiem niedawno doprowadziło to do komentarza, że chyba prezydent ma jakiś specjalny powód do tego zaufania, bo wiadomo: Pierwsza Dama już nie pierwszej młodości, a pewne dziewczyny nie są staroświeckie w tych sprawach. . . Zastanawiała się, czy potem samodzielnie wstał z podłogi, kiedy już ją odciągnęli. Ręce jej oderwali od jego oczu, ale ciosu kolanem już nie zdążyli zatrzymać. Wszystko pozostało w czterech ścianach, co nawet ją zdziwiło. Arnie wytłumaczył temu gnojkiowi, że powrót do Kręgu Władzy będzie mu utrudniał zarzut molestowania seksualnego, a potem i tak wsadził go na czarną listę. To jej się u Arnie'ego podobało.

Ten tekst też jej się podobał. Wprawdzie zajęło jej to cztery, a nie, jak obiecywała, trzy godziny, ale już był gotowy. Cztery godziny pracy to mnóstwo wysiłku, jak na dwanaście i pół minuty tekstu. Zawsze pisała trochę krócej, niż miała trwać przemowa, bo prezydenci powinni wygłaszać je wolniej, niż normalnie czytali. Ryan też będzie się musiał tego nauczyć. Wcisnęła klawisze Ctrl i P, wywołując arkusz drukarki, ustawiła

czcionkę na czternastopunktową Helveticę z podwójnym odstępem, w trzech kopiach i nacisnęła Enter. Jakiś dupek ze sztabu prezydenta pewnie zaraz nad tym usiądzie i będzie chciał poprawiać. Kiedy drukarka ucichła, porozkładała kopie, spięła je w rogu i podniosła słuchawkę, wciskając najwyższy guzik na tablicy szybkiego wybierania. Po drugiej stronie ulicy na biurku zapaliła się lampka.

— Weston do szefa — powiedziała sekretarce.

— Chodź zaraz, już czeka.

I tak powinno być.

* * *

Bóg widocznie nie chciał wysłuchać jej modlitw. Znowu ten sam, stary problem: jeżeli Bóg jest miłosierny, to czemu dopuszcza do niesprawiedliwości na świecie? Po powrocie będzie sobie mógł o tym podyskutować z imamem, ale na razie musiało mu wystarczyć, że takie rzeczy się zdarzają nawet tym nielicznym sprawiedliwym.

Pod bładą skórą Europejki wyraźnie rysowały się coraz liczniejsze krwawe wybroczyny. Dobrze, że reguła zakonna zakazywała im używać luster. Moudi nigdy tego nie

mógł zrozumieć, chociaż doceniał intencję, ale teraz przynajmniej zakonnica nie widziała czerwonych plam na swojej twarzy. To już nie była sprawa estetyki, tylko wpływu, jaki widok tych posłańców śmierci mógł wyrzeć na jej psychikę.

Miała teraz 40,2° gorączki, a byłoby tego więcej, gdyby wyjąć lód, którym miała obłożone pachwiny i kark. Oczy były matowe, ciało zwiotczałe. Wybroczyny wyraźnie wskazywały na wewnętrzne krwawienie. Wirus ebola wywoływał gorączkę i krwotoki, atakował organy wewnętrzne, pozwalając krwi wylewać się z nich do otrzewnej, co w końcu musiało doprowadzić do zatrzymania akcji serca z braku krwi w krwioobiegu. Taki był ogólny mechanizm działania choroby; świat medycyny dopiero poznawał szczegóły. Nikt nie był w stanie powstrzymać jego działania, chyba że z jakichś nieznanych przyczyn organizm zrywał się do walki i system immunologiczny zwalczał najeźdźcę. Tylko w dwudziestu procentach przypadków choroba się poddawała, a wybroczyny były odpowiedzią na pytanie, czy w tym przypadku też tak się stanie. Niestety, odpowiedzią negatywną.

Dotknął jej nadgarstka, by zmierzyć tętno. Nawet przez rękawiczki mógł wyczuć, że jej skóra jest gorąca, sucha i luźna. A więc już się zaczęło. Naukowo nazywało się to

obumieraniem strukturalnym, ciało po prostu zaczęło się rozpadać. Pierwsza pewnie była, jak zwykle, wątroba. Z jakichś nieznanых powodów ebola zawsze zaczynała swoją makabryczną ucztę właśnie od tego organu. Nawet ci, którzy przeżywali atak choroby, opłacali to przeważnie ciężkimi uszkodzeniami wątroby. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, nie mieli czasu umrzeć na marskość wątroby, bo po niej przychodziła kolej na wszystkie pozostałe narządy i tkanki, najpierw po kolei, a potem już wszystkie na raz. Ból musiał być okropny. Moudi polecił zwiększyć dawkę morfiny w kroplówce, by go stłumić. Tak było lepiej i dla pacjenta, i dla personelu, bo dręczony nieznośnym bólem pacjent mógłby się rzucać na łóżku, a wtedy osoby doglądające chorego z obfitymi krwotokami narażone były na zakażenie. I tak trzeba było przywiązać lewą rękę pacjentki, by chronić wbity w żyłę na przedramieniu kateter, do którego dołączony był przewód kroplówki. Gdyby go teraz wyrwać, trudno będzie wbić następny, bo degradacja tkanki żyłnej postępowała z każdą chwilą.

Chorej doglądała siostra Maria Magdalena. Twarz miała zakrytą maską, ale przepełnione smutkiem oczy mówiły same za siebie. Moudi popatrzył na nią przez chwilę,

a ona na niego i zdziwiła się, widząc współczucie na jego twarzy, bo do tej pory miał raczej opinię zimnej ryby.

— Módl się za nią, siostró. Muszę teraz załatwić kilka spraw. — I to szybko. Wyszedł z pokoju, zdjął, jak zwykle, w służbie skafander i wrzucił do pojemnika na odpady skażone, które tu amerykańskim zwyczajem nazywano „gorącymi”. Wszystkie odpady z tych pojemników były bardzo skrupulatnie niszczone, wbrew powszechnemu w Afryce nonszalanckiemu podejściu do spraw higieny. Właśnie nonszalancja była przyczyną pierwszego wybuchu epidemii w Zairze, w roku 1976. Tamten szczep ebola nazwano Mayinga, od nazwiska pierwszej ofiary, pielęgniarki, która nie dość ostrożnie obchodziła się z pacjentem. Od tej pory sporo się w tej sprawie zmieniło, ale Afryka pozostawała nadal Afryką.

Po powrocie do biura zadzwonił raz jeszcze.

* * *

— Kawaleria zdążyła z odsieczą — oświadczyła Callie Weston, wchodząc do Gabinetu Ovalnego. Kontrast między tą dumną zapowiedzią, a posturą osoby, która ją

wygłaszała, spowodował, że Ryan roześmiał się, a Price skrzywiła. Szef sztabu prezydenckiego zauważył, że Callie dalej chodziła w byle czym. Nawet sekretarki wydawały więcej pieniędzy na ubrania, niż główna autorka przemówień trzeciego już z rzędu prezydenta. — Proszę. — Podała trzy kopie mowy Arniemu, który bez słowa wyciągnął po nie rękę.

Ryan był wdzięczny za dużą czcionkę. Nie musiał zakładać okularów, ani prosić o wydrukowanie większymi literami. Zwykle czytał szybko, ale ten tekst przestudiował powoli i starannie.

— Można jedną zmianę? — zapytał wreszcie.

— Jaka? — podejrzliwie zapytała Callie.

— Mamy już nowego sekretarza skarbu. George Winston.

— Ten miliarder?

Ryan nie odpowiedział od razu. Przewrócił pierwszą stronę.

— No cóż, pewnie, że mogłem wziąć byle włóczęgę z ławki w parku, ale zdawało mi się, że lepiej, żeby to był ktoś, kto ma jakie takie pojęcie o funkcjonowaniu rynku kapitałowego.

— Jack, teraz się nie mówi „włóczęga”, tylko „osoba bezdomna” — poprawił go Arnie.

— Mogłem też wziąć jajogłowego, ale z tego środowiska mogłem zaufać tylko Buzowi Fiedlerowi — kontynuował Jack. Fiedler, jak rzadko który naukowiec, wiedział, czego nie wie. — To jest dobre, pani Weston.

Arnie doczytał do strony trzeciej.

— Callie. . .

— Arnie, kochanie, dla George’a C. Scotta nie pisze się tekstów pod Laurence’a Oliviera. Olivier jest dla Oliviera, a Scott dla Scotta.

— Wiedziała doskonale, że ze swoim talentem może w każdej chwili pojechać na lotnisko, kupić bilet do Los Angeles i z lotniska pojechać prosto do Paramountu czy Twentieth Century, gdzie po pół roku dorobiłaby się domu na Beverly Hills, Porsche ze stałą rezerwacją parkingu na Melrose Boulevard i złoconego komputera. Ale nie. Skoro cały świat jest sceną, wołała pisać role dla pierwszoplanowych postaci. Publiczność może nie wiedzieć kim jest, ale ona wiedziała, że w Białym Domu jej słowa mają moc zmieniania świata.

— To jaki ja w końcu jestem? — zapytał Ryan, podnosząc oczy znad kartki.

— Inny. Już to panu mówiłam.

12 — Prezentacja

Niewiele rzeczy dawało się przewidzieć tak dokładnie jak to. Zjadł lekki obiad, by zdenerwowanie nie wywracało mu żołądka zbyt gwałtownie, a potem przez całe popołudnie wyłączył się z życia rodziny, czytając po wielokroć tekst swojego orędzia. W kilku miejscach zaznaczył ołówkiem poprawki, prawie zawsze jakieś drobnostki, inne słowo, czasem zmiana szyku zdania, rzeczy na tyle drobne, że Callie bez szemrania je zaakceptowała i sama wprowadziła poprawki do tekstu. Potem przesłali łączem elektronicznym tekst do hali maszyn. Callie była autorem, nie maszynistką, a sekretarki z zespołu obsługi prezydenckiej pisały na maszynach z szybkością, która Ryanowi zawsze zapie-

rała dech w piersiach. Kiedy wreszcie ostateczna wersja była gotowa, wydrukowano ją i przyniesiono prezydentowi, a potem załadowano do telepromptera, który miał pokazywać tekst w miarę jego czytania wieczorem przed kamerą. Callie Weston pilnowała, by wersja na papierze była zgodna co do słowa z tą, którą znajdzie się na ekranie telepromptera. Zdarzało się już w przeszłości, że w ostatniej chwili ktoś coś zmieniał, Callie o tym wiedziała, więc czuwała nad swoim tekstem, jak lwica nad nowo narodzonymi kociętami.

Najgorsze spotkało go jednak, co było do przewidzenia, ze strony van Damma:

— Jack, to jest najważniejsze przemówienie w twoim życiu. Po prostu odpręż się i powiedz to.

Dzięki, Arnie, nikt tak nie dodaje otuchy jak ty. Szlag by cię trafił! Szef sztabu był jak trener, nigdy nie brał udziału w grze, ale zawsze miał najwięcej do powiedzenia.

Kamery stały już na miejscach, główna i pomocnicza, ta ostatnia tylko na wszelki wypadek, jak zawsze, ale obie wyposażone w teleprompter. Reflektory już też były rozstawione, a przez czas wygłaszania przemówienia ich blask oświetli jego sylwetkę na tle okna. Będzie wyglądał jak jeleń na rykowisku, na brzegu lasu, na tle zachodzącego

słońca, idealny cel dla snajpera, ale to już zmartwienie Tajnej Służby. Szyba w oknie za nim obliczona była na zatrzymanie pocisku nawet z wielkokalibrowego karabinu maszynowego, więc nie powinno mu nic grozić. Kamerzyści znani byli osobiście agentom Tajnej Służby, wielokrotnie prześwietlani przez kolejne kierownictwa oddziału ochrony prezydenckiej, ale i tak musieli przechodzić przez bramkę do wykrywania metali, a ich sprzęt był rozkręcany na śrubki. Wszyscy wiedzieli, że wielka chwila nadchodzi. W zapowiedziach programowych sieci powiadomiono już o tym widzów, potem zapowiedź powtórzono w dziennikach. Dla wszystkich, poza głównym aktorem wieczornego przedstawienia, była to normalka, rutyna. Tylko dla niego było to coś nowego i przerażającego.

* * *

Oczekiwał telefonu, ale przecież nie o tej porze. Numer jego telefonu komórkowego znało zaledwie kilka osób. Nadal zbyt niebezpieczne było posiadanie prawdziwego telefonu z prawdziwym numerem. Mossad był wciąż za dobry w ściganiu i likwidowaniu swoich wrogów. Panujący teraz na Bliskim Wschodzie pokój nic w tej kwestii nie

zmienił, a jego akurat mieli powody nie lubić. Zresztą komórka też nie była bezpieczna. Wciąż jeszcze pamiętał ten cwany numer, jaki wykręcili jego koledze. Najpierw zablokowali mu numer jego własnego telefonu, a potem podłożyli inny, lekko zmodernizowany — z dziesięcioma gramami pentrytu zamiast części baterii. Kiedy do niego zadzwonili, jak wieść niesie, sam szef Mossadu przedstawił mu się i poprosił, by wysłuchał uważnie wiadomości, jaką dla niego mieli. A potem nacisnął detonator. Cwana sztuczka, ale nie z nim takie numery. Poza tym, na ten numer nikt więcej nie da się nabrać.

Jeszcze raz zaświergotał sygnał. Kogo tam, do cholery, niesie o takiej porze? Zaklął raz jeszcze i otworzył oczy. Zaledwie godzinę temu poszedł do łóżka.

— Tak?

— Zadzwoń do Jusufa. — W słuchawce zapadła cisza.

Dodatkowym zabezpieczeniem był fakt, że rozmowa przechodziła po drodze przez kilkanaście innych numerów, z których każdy ustawiony był na przekazywanie rozmowy pod kolejny numer skrzynki kontaktowej, a sama wiadomość była tak krótka, że nikt, kto by ją podsłuchał, nie miał szans na namierzenie. Jego telefon był kolejną

skrzynką kontaktową, przekazującą rozmowę dalej, ale jednocześnie zmodyfikowany tak, że umożliwił jej odebranie. Ktoś, kto zdołałby wysledzić trasę tej rozmowy dookoła świata, powinien wziąć ten numer za kolejną stację przekaźnikową. A może nie weźmie? Cholera, te gierki, mające zapewnić mu bezpieczeństwo, zaczynały być denerwująco uciążliwe w codziennym życiu, a i tak nigdy nie można było mieć pewności, że to w ogóle zadziała. Człowiek mógł być tego pewnym tylko wtedy, gdy umarł w sposób naturalny, a to trochę długotrwały i mało pociągający sposób sprawdzania tego, czy się miało w życiu szczęście.

Nadal mrucząc pod nosem, zwałół się z łóżka, ubrał i wyszedł z domu. Samochód już czekał, telefon kierowcy był jedną z kolejnych skrzynek kontaktowych. Wraz z dwoma ochroniarzami pojechali do bezpiecznego domu w bezpiecznym miejscu. Mógł pa nować pokój z Izraelem, OWP mogła stać się zwykłą partią, jakich wiele w Knesecie — swoją drogą, ludzie, w jakich czasach nam przyszło żyć?! Przez tych cholernych Amerykanów jego ziomkowie zaczęli bezczelnie kolaborować z Żydami i jeszcze się tym chwalać w telewizji! — ale w Bejrucie prawdziwi patrioci nadal mogli działać. Układ oświetlonych i zaciemnionych okien odpowiadał sygnałowi, że wszystko w porządku,

więc może wyjść z samochodu i wejść do środka. Czy tak było w istocie, przekona się za pół minuty. Nie bał się tego. Zbyt długo w życiu się bał, by wciąż odczuwać strach.

Na solidnym stole stała, jak się należało spodziewać, mocna, gorzka kawa. Wymienili pozdrowienia i rozpoczęli rozmowę.

— Późno już.

— Lot się opóźnił — wytłumaczył się gość. — Potrzebujemy cię.

— Do czego?

— Można to nazwać misją dyplomatyczną — zaczął wyjaśnienia przybysz.

* * *

— Dziesięć minut — usłyszał Ryan.

Jeszcze trochę charakteryzacji. Dochodziła 20.21. Siedział już na swoim miejscu, Mary Abbot kończyła układać mu włosy, co powodowało, że Ryan coraz bardziej czuł się jak aktor, a nie. . . Nie, politykiem też przecież nie był. Nie pozwoli sobie przypiąć tej etykiety, niech sobie Arnie i inni mówią, co chcą. W otwartych drzwiach do sekretariatu dostrzegł Callie Weston, próbującą dodać mu otuchy uśmiechem, który pokrywał jej

własny niepokój. Napisała arcydzieło, zawsze tak oceniała swoje mowy, a teraz powierzyła jego prawykonanie początkującemu aktorzyńie z prowincji. Pani Abbot obeszała go i popatrzyła na swoje dzieło od przodu, tak jak je zobaczą telewidzowie. Kiwnęła głową, że ujdzie. Ryan siedział na swoim fotelu i robił, co mógł, by opanować dreszcze. Wiedział, że zaraz zacznie się pocić pod charakteryzacją, będzie go cholernie swędziało, a on nie będzie się mógł podrapać, bo prezydentów nic nie swędzi i się nie drapia. Są pewnie jeszcze tacy, którzy uważają, że prezydenci nie chodzą też do toalety, nie muszą się golić i pewnie nie zawiązują sznurowadeł.

— Pięć minut, panie prezydencie. Próba mikrofonu.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — posłusznie powiedział Jack.

— Dziękuję, panie prezydencie — odparł realizator zza ściany. Ryanowi zdarzały się kiedyś rozważania nad prezydenckimi przemowami do narodu. Zawsze, jeszcze od czasów Roosevelta, który swoimi „gawędami przy kominku” rozpoczął tę tradycję w latach trzydziestych, wtedy tylko przez radio, prezydenci robili wrażenie pewnych siebie, pewnych tego, co robią, spokojnych i zawsze zdumiewało go to, że w ogóle udawało im się coś takiego. On absolutnie tego nie odczuwał. Jeszcze jeden punkt na jego nie-

korzyść. Kamery już pewnie pracują, a gdzieś magnetowid czyha na każdą jego minę, grymas, drżenie rąk, nerwowe przebieranie palcami i przekładanie papierów. Zastanawiał się, czy Tajna Służba kontroluje te taśmy, czy też liczą na uczciwość telewizji, że nie przedostanie się to do publiczności. Zresztą przecież dziennikarze telewizyjni też się czasem potkną, zakną, gdy kawa obleje im spodnie, zapłaczą się w kable, czy opieprzą technika, który wtyka się przed kamerę tuż przed wejściem na żywo. Jak oni nazywają takie potknięcia na taśmie? Michałki? Jakoś tak. Pewnie Służba ma całe godziny takich prezydenckich michałków gdzieś w tych swoich przepastnych archi. . .

— Dwie minuty.

Na obu kamerach założone były telepromptery. Ryan widział je już nieraz, ale nigdy nie przestawały go dziwić. Urządzenie to składało się z małego monitora telewizyjnego, powieszonego z przodu kamery, na którym tekst przewijał się z prawa na lewo, w lustrzanym odbiciu. Nad ekranem monitora umieszczono ukośne zwierciadło, w którym ten obraz się odbijał, przez co tekst pojawiał się teraz tak, jak trzeba — z lewa na prawo i był czytelny. Lustro było przezroczyste z jednej strony, tak, że obiektyw kamery widział przez nie, dzięki czemu osoba czytająca tekst patrzyła prosto w obiektyw, a więc

prosto w oczy widzom przed odbiornikami. Patrzenie przez tekst w obiektyw, którego nie widział i mówienie do milionów ludzi, których, oczywiście, też nie widział, wywierało na nim zawsze dziwne wrażenie: człowiek przemawia do własnego przemówienia. Ryan pokręcił głową, gdy na lustrze pojawił się tekst, szybko przewijany dla sprawdzenia funkcjonowania urządzenia.

— Uwaga, jedna minuta.

Dobra. Ryan poprawił się w fotelu. Położyć ręce na blacie? A może na kolanach? Na pewno nie wolno się za daleko odchyłać w fotelu, bo wtedy wygląda się arogancko. Zwykle bardzo się kręcił, bo od utrzymywania zbyt długo jednej pozycji bolał go nadwerężony niegdyś kręgosłup. A może tylko sobie to wmawiał? Teraz już trochę za późno na takie rozważania. Poczuł strach, skręcające uczucie gorąca w żołądku. Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach.

— Piętnaście sekund.

Strach zaczął się przeradzać w panikę. Nie mógł już uciec. Ludzie polegali na nim. Za każdą kamerą był operator. Za nimi trzej agenci Tajnej Służby. Za ścianą siedział

realizator. Tylko oni byli teraz jego publicznością, ale ledwo ich widział pod światło. Skąd będzie wiedział, jak zareaguje prawdziwa widownia?

Cholera!

Minutę wcześniej spikerzy weszli na antenę, zapowiadając orędzie prezydenta. Wieczorny program przewrócono do góry nogami, żeby zrobić dla niego miejsce. W całym kraju tysiące ludzi ze znużeniem uniosło piloty, żeby przełączyć się na film na kablówce, gdy tylko na ekranach ukazała się pieczęć prezydencka. Ryan wziął głęboki oddech, zacisnął wargi i spojrzał w bliższą z dwóch kamer. Zabłyło czerwone światło. Odliczył do dwóch i zaczął.

— Dobry wieczór. Drodzy rodacy, zabieram dziś głos, by powiedzieć wam, co się zdarzyło w Waszyngtonie w ciągu ostatniego tygodnia i co się wydarzy w ciągu nadchodzących dni.

Po pierwsze, Federalne Biuro Śledcze i Departament Sprawiedliwości, przy współpracy Tajnej Służby, Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu i innych agend federalnych, prowadziły śledztwo w sprawie śmierci tylu naszych przyjaciół. Daleko idącą pomoc w tych działaniach okazały im japońska Policja Państwowa i Kanadyjska Kró-

lewska Policja Konna. Pełne informacje na ten temat FBI ogłosi dziś wieczorem, więc rano przekażą je gazety w całym kraju, a na razie chciałem przekazać najważniejsze ustalenia śledztwa.

Katastrofa *Boeinga 747* Japońskich Linii Lotniczych była rozmyślnym aktem jednego człowieka. Człowiek ten nazywał się Toradžiro Sato i był kapitanem tych linii. W ramach dochodzenia wiele dowiedzieliśmy się o kapitanie Sato. Wiemy, że w ostatnim konflikcie pomiędzy naszymi krajami stracił brata i syna. Najwyraźniej ten fakt zachwiało jego równowagę psychiczną i postanowił on wziąć swój własny, prywatny odwet na naszym kraju.

Po dotarciu do Vancouver w Kanadzie, kapitan Sato sfałszował polecenie wylotu do Londynu, gdzie jakoby miał zastąpić inny, uszkodzony samolot swoich linii. Tuż przed startem kapitan Sato zamordował z zimną krwią swojego drugiego pilota, człowieka, z którym pracował wiele lat. Po dokonaniu tego zabójstwa, kontynuował lot samodzielnie, cały czas ze zwłokami przypiętymi pasami na sąsiednim fotelu. — Ryan przerwał na chwilę, śledząc oczyma słowa przesuwające się po lustrze. Czuł suchość w ustach. Zgodnie ze wskazówką na ekranie telepromptera przewrócił kartkę.

— Skąd o tym wiemy? Po pierwsze, FBI potwierdziła poprzez analizy DNA, że ciała znalezione na miejscu katastrofy rzeczywiście należą do kapitana Sato i jego drugiego pilota. Ta sama próba, dokonana jednocześnie w laboratorium policji japońskiej w Tokio, dała identyczny rezultat. W celu weryfikacji wyniku, próbki badało jeszcze trzecie, niezależne laboratorium i rezultat okazał się taki sam. Prawdopodobieństwo pomyłki w tym badaniu jest praktycznie żadne.

Pozostali członkowie załogi, którzy pozostali w Vancouver, przesłuchiwani przez FBI i policję kanadyjską, zgodnie zeznali, że to kapitan Sato znajdował się na pokładzie samolotu, mającego lecieć do Londynu. Mamy więcej podobnych zeznań naocznych świadków, urzędników kanadyjskiego ministerstwa transportu i amerykańskich pasażerów, którzy przylecieli samolotem kapitana Sato do Vancouver, łącznie ponad pięćdziesięciu osób. Znalaziono odciski palców kapitana Sato na sfalszowanym planie przelotu. Kryminalistyczne badanie zapisu rozmów pilotów również identyfikuje pilota. Tak więc nie ma wątpliwości co do tożsamości osób obecnych na pokładzie samolotu w chwili katastrofy.

Po drugie, zapis rozmów w kabinie na taśmie rejestratora pokładowego pozwala nam dokładnie określić czas pierwszego morderstwa. Na taśmie jest nawet głos kapitana Sato, przeproszającego zamordowanego za to, co zrobił. Od tej chwili na taśmach zapisany jest już tylko głos kapitana Sato. Nagrania z kabiny porównano z innymi zapisami jego głosu i na tej podstawie, w sposób nie budzący wątpliwości, zidentyfikowano.

Po trzecie, badania kryminalistyczne dowiodły, że drugi pilot nie żył od co najmniej czterech godzin, gdy doszło do katastrofy. Został pchnięty nożem w serce. Nie ma żadnych podstaw do tego, by łączyć go w jakikolwiek sposób z wypadkami, które nastąpiły później. Był on po prostu pierwszą z niewinnych ofiar tej potwornej zbrodni. Pozostawił po sobie ciężarną żonę i chciałbym z tego miejsca prosić was wszystkich, byście pomyśleli o jej stracie i pamiętali o niej i ich dzieciach w waszych modlitwach.

Japońska policja w pełni współpracuje z FBI, umożliwiono nam nieograniczony dostęp do materiałów śledztwa i pozwolono na dodatkowe przesłuchania świadków. W chwili obecnej dysponujemy pełną wiedzą na temat wszystkiego, czym kapitan Sato zajmował się w ciągu dwóch ostatnich tygodni swego życia, gdzie jadał, kiedy sypiał, z kim rozmawiał i o czym. Nie znaleźliśmy żadnego dowodu na istnienie jakiegokol-

wiek spisku, ani na to, że ten czyn szaleńca był częścią jakiegoś planu, w którym miałyby jakikolwiek udział rząd japoński. Dochodzenie będzie nadal kontynuowane, dopóki nie uzyskamy pewności, że odwróciliśmy każdy kamień i zajrzeliśmy pod każdy liść, dopóki nie wykluczemy każdej, choćby najbardziej niewiarygodnej hipotezy. Wiadomości uzyskane do tej pory, pozwoliłyby z całą pewnością przekonać ławę przysięgłych i dlatego też przedstawiam je w tej chwili publicznie. — Znowu przerwał, pochylając się o kilka centymetrów do przodu.

— Panie i panowie, konflikt pomiędzy Ameryką a Japonią należy już do przeszłości. Ci, którzy go wywołali, staną przed sądem. Mam na to osobiste zapewnienie premiera Kogi. Pan Koga jest człowiekiem honoru i wielkiej odwagi. W tej chwili mogę po raz pierwszy wyjawic, że pan Koga został porwany i omal nie został zamordowany przez tych samych złoczyńców, którzy doprowadzili do konfliktu pomiędzy naszymi krajami. Został odbity z ich rąk w ramach operacji specjalnej, przeprowadzonej w samym centrum Tokio przez amerykański oddział, przy wydatnej pomocy japońskich czynników oficjalnych. Po uwolnieniu z rąk porywaczy, pan Koga, nie zważając na osobiste zagrożenie, dołożył wszelkich starań, by jak najszybciej doprowadzić do pokojowego

zakończenia konfliktu pomiędzy naszymi krajami i ograniczyć rozmiary szkód, poniesionych przez obie strony. Gdyby nie jego starania, ten konflikt mógł przynieść dużo większe straty. Jest dla mnie zaszczytem, że mogę uważać pana Kogę za swego osobistego przyjaciela. Zaledwie kilka dni temu, w parę chwil po przybyciu do naszego kraju, odbyłem rozmowę z panem Kogą, tu, w Gabinetcie Ovalnym. Stąd pojechaliśmy na ruiny Kapitolu i odbyliśmy wspólną modlitwę za dusze poległych. Nigdy nie zapomnę tego momentu.

Byłem na Wzgórzu podczas katastrofy. Znajdowałem się w tunelu łączącym Kapitol z budynkami biur parlamentarnych, wraz z żoną i dziećmi. Widziałem ścianę płomieni, która leciała prosto na nas, widziałem też, jak się zatrzymała i cofnęła. Tego widoku też pewnie nigdy nie zapomnę. Chciałbym móc, ale skoro to niemożliwe, to postaram się choćby odsunąć to wspomnienie w jak najgłębszy zakamarek pamięci. Zrobię tak, ponieważ pokój pomiędzy naszymi narodami został całkowicie przywrócony. Nigdy nie mieliśmy i nadal nie mamy żadnych spornych kwestii z narodem japońskim. Wzywam was wszystkich, abyście i wy odłożyli na bok wszelkie animozje, jakie możecie żywić

względem Japończyków teraz i na przyszłość. — Przerwał, śledząc tekst, przepływający po ekranie. Znowu przełożył kartkę.

— Chciałbym dziś także powiedzieć o wielkim zadaniu, które nas czeka. Panie i panowie, kapitan Sato, człowiek o zaburzonej równowadze psychicznej, uważał, że jest w stanie zadać naszemu krajowi śmiertelny cios. Mylił się. Pochowaliśmy naszych zmarłych i będziemy ich utratę opłakiwać jeszcze przez długie lata, ale nasz kraj żyje nadal i ci, którzy zginęli tej strasznej nocy, nie zginęli na marne. Thomas Jefferson rzekł kiedyś, że drzewo wolności wymaga, by je od czasu do czasu podlać krwią. Tę krew przelano, a teraz czas, by drzewo znowu rośło. Ameryka jest krajem, który patrzy przed siebie, a nie wstecz. Nikt z nas nie jest w stanie zmienić historii. Możemy się natomiast z niej uczyć, opierać na naszych przeszłych sukcesach i próbować unikać powtarzania błędów.

Nasz kraj jest bezpieczny i stabilny. Nasze siły zbrojne stoją nadal na posterunkach na całym świecie i nasi potencjalni przeciwnicy zdają sobie z tego sprawę. Naszej gospodarce zadano poważny cios, ale przeżyła go i nadal jest najsilniejsza na świecie. To

jest nadal Ameryka. My nadal jesteście Amerykanami i nasza przyszłość nadal zaczyna się co dzień.

Dziś rano powierzyłem George'owi Winstonowi obowiązki sekretarza Departamentu Skarbu. George jest założycielem i prezesem wielkiej nowojorskiej firmy inwestycyjnej. Odegrał zasadniczą rolę w ograniczeniu, a potem naprawie szkód, jakie odniosła nasza gospodarka, a zwłaszcza rynek kapitałowy. Jest człowiekiem, który sam stworzył podstawy swej pozycji, tak jak Ameryka jest krajem, który sam stworzył podstawy swej egzystencji. Wkrótce dokonam kolejnych nominacji na inne stanowiska w gabinecie i o nich także będę was powiadał.

George nie może jednak zostać pełnoprawnym członkiem gabinetu, dopóki nie odbudujemy Senatu, którego członkowie, z mocy konstytucji, zatwierdzają takie nominacje. Na początku przyszłego tygodnia gubernatorzy niektórych stanów będą musieli mianować nowych senatorów. — Kolejna pauza. Tym razem cisza przed burzą, bo teraz zaczyna się część najbardziej ryzykowna. Spiał się w sobie i znowu wychylił naprzód w fotelu.

— Moi drodzy rodacy... Nie, nie lubię tej frazy. Nigdy mi się nie podobała. A wam? — Jack pokręcił głową i miał nadzieję, że nie wypadło to zbyt teatralnie.

— Nazywam się Jack Ryan. Mój ojciec był policjantem. Służbę krajowi rozpocząłem w piechocie morskiej, zaraz po ukończeniu Boston College. To nie trwało długo. Odniosłem poważne obrażenia w wypadku śmigłowcowym i do dziś dokucza mi kręgosłup. Kiedy miałem trzydzieści jeden lat wszedłem w drogę terrorystom, wszyscy słyszeliście o tej historii i jak się skończyła, ale zapewne nie wiecie, że to właśnie ten incydent z terrorystami sprawił, że wróciłem do służby publicznej. Do tej pory cieszyłem się z życia, jakie prowadziłem. Zarobiłem trochę pieniędzy na giełdzie, ale potem odszedłem z biznesu, by wrócić do historii, która była moją pierwszą miłością. Uczyłem historii w Akademii Marynarki. Uwielbiałem uczyć i myślę, że byłbym zadowolony mogąc to robić do końca życia, podobnie jak moja żona, Cathy, ponad wszystko uwielbia leczyć ludzi i zajmować się mną i dziećmi. Bylibyśmy szczęśliwi, mogąc mieszkać w naszym domu, robić swoje i wychowywać dzieci. Naprawdę. Ale nie było nam to dane. Kiedy terroryści zaatakowali moją rodzinę, postanowiłem, że muszę zrobić coś, by ją bronić. Wkrótce przekonałem się, że nie tylko moja żona i dzieci potrzebują obrony,

i że mam talent w pewnych dziedzinach, więc wróciłem do służby państwowej i musiałem porzucić swoją ulubioną belferkę. Służyłem swemu krajowi dość długo, ale nigdy nie byłem politykiem i, jak powiedziałem dziś w swoim biurze George'owi Winstonowi, nie mam kiedy uczyć się nim być. Ale większość czasu, jaki spędziłem służąc memu krajowi, spędziłem w wewnętrznych kręgach władzy i miałem okazję nauczyć się paru rzeczy o tym, jak powinien funkcjonować rząd.

Panie i panowie, nie czas teraz na to, by robić zwykłe rzeczy w zwykły sposób. Musi nas być stać na więcej i lepiej. John Kennedy powiedział, żebyśmy nie pytali, co nasz kraj może zrobić dla nas, tylko co my możemy zrobić dla naszego kraju. To były słowa pełne głębokiej prawdy, ale zapomnieliśmy o nich. Pora je teraz przypomnieć. Nasz kraj potrzebuje nas wszystkich. Potrzebuję waszej pomocy, by móc wykonać swoją robotę. Jeżeli zdaje wam się, że mogę ją zrobić sam, to się mylicie. Jeżeli sądzicie, że rząd może się odbudować sam, to też jesteście w błędzie. Mylicie się również, sądząc, że rząd, naprawiony, czy nie, jest w stanie sam zatroszczyć się o was wszystkich na wszelkie sposoby. To nie tak miało być. Wy jesteście Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Ja tylko dla was pracuję. Moim zadaniem jest ochraniać i w razie potrzeby bro-

nić konstytucji Stanów Zjednoczonych, i to zadanie będę wypełniał ze wszystkich sił i najlepiej jak potrafię, ale każdy z was też należy do drużyny. Potrzebujemy rządu, by wykonywał za nas rzeczy, których sami nie jesteśmy w stanie wykonać. By zapewnić nam wszystkim obronę, pilnował przestrzegania prawa, reagował na klęski żywiołowe. To wszystko mówi nam konstytucja. Ten dokument, którego przysięgałem bronić, jest zbiorem reguł, spisanych przez grupkę zwykłych obywateli. Nawet nie wszyscy z nich byli prawnikami, a mimo to spisali jeden z najważniejszych dokumentów w historii ludzkości. Chciałbym, żebyście o tym pamiętali. To byli zwykli ludzie, którzy dokonali czegoś niezwykłego. Rządzenie nie ma w sobie nic z magii.

Potrzebuję nowego Kongresu, z którym mógłbym współpracować. Pierwszy odrodzi się Senat, bo gubernatorzy mianują następców tych dziewięćdziesięciu jeden kobiet i mężczyzn, senatorów, którzy zginęli w zeszłym tygodniu. Izba Reprezentantów była jednak zawsze izbą ludu i to do was należy zadanie wybrania do niej ludzi, którzy będą wykonywali w waszym imieniu wasze prawa. — No, trzymaj się, Jack. Teraz idziemy na całość.

— Tak więc mam do was i do pięćdziesięciu gubernatorów stanowych prośbę. Proszę, nie przysyłajcie mi tu polityków. Nie mamy czasu do stracenia na przepychanie wszystkiego przez Kongres w taki sposób, jak to zwykle miało miejsce. Potrzebuję ludzi, którzy robią realne rzeczy w realnym świecie. Nie potrzebuję ludzi, którzy chcą pomieszkać w Waszyngtonie. Nie potrzebuję ludzi, którzy chcą coś sobie załatwić. Potrzebuję ludzi, którzy przyjadą tu, poświęcając wiele, by wykonać pracę ważną dla wszystkich, a potem wrócić do domów, do normalnego życia. Proszę was o inżynierów, którzy wiedzą jak się buduje domy. Proszę was o lekarzy, którzy wiedzą, jak leczyć chorych. Proszę was o policjantów, którzy umieją łapać złoczyńców. Proszę o farmerów, którzy wiedzą, w jaki sposób hodować prawdziwą żywność na prawdziwej ziemi. Proszę was o ludzi, którzy wiedzą jak to jest płacić raty za dom, wychowywać dzieci i martwić się o przyszłość. Takich ludzi chcę, takich ludzi potrzebuję tu ponad wszystko. A pewnie i wielu spośród was chciałoby tu mieć takich ludzi.

Kiedy już wyślecie tu tych ludzi, waszym zadaniem jest patrzeć im na ręce, upewniając się, że dotrzymali słowa, że są wam wierni. Bo to jest wasz rząd, wasza władza. Wielu ludzi wam to powtarzało, ale ja naprawdę w to wierzę. Powiedzcie swoim gu-

bernatorom, czego od nich oczekujecie, gdy będą nominowali do Senatu, a potem sami wybierzcie ludzi do Izby Reprezentantów. To będą ludzie, którzy będą decydować o tym, ile rząd weźmie od was pieniędzy i na co je wyda. To wasze pieniądze, nie moje. To wasz kraj, tak samo jak mój. Wszyscy razem pracujemy dla was.

Ze swej strony, postaram się dobrać do gabinetu najlepszych ludzi. Ludzi, którzy znają się na tym, co robią, ludzi którzy już czegoś w życiu swoją ciężką pracą dokonali. Każdy z nich otrzyma te same zadania: objąć swój odcinek, wytyczyć priorytety i zapewnić ich efektywną realizację. To wielkie zadania, ale już wcześniej nie raz o nich słyszeliście. Tyle że ja nie musiałem prowadzić kampanii, by zasiąść przed wami. Nie mam żadnych zobowiązań, nie muszę nikogo spłacać, nie muszę nikogo wynagradzać i nie wiążą mnie żadne tajemne obietnice. Będę dawał z siebie wszystko, by wykonywać swoje obowiązki najlepiej jak potrafię. Być może nie zawsze będę miał rację, ale jeżeli będę się mylić, zadaniem waszym i ludzi, których wybierzecie, będzie mi o tym powiedzieć, a ja was i ich wysłucham.

Będę regularnie informował was o tym, co się dzieje i co robi wasz rząd. Będę wykonywał swoje obowiązki. I chcę, byście wy je także wykonywali. Dziękuję i dobranoc. —

Jack policzył w myśli do dziesięciu, zanim upewnił się, że kamery zostały wyłączone. Potem podniósł ze stołu szklankę z wodą i próbował się jej napić, ale ręce tak mu się trzęsły, że prawie ją rozlał. I czego się teraz trzęsie? Przecież najgorsze już za nim, tak?

— Hej, poszło niezłe, nawet się pan nie porzygał — usłyszał nagle tuż nad uchem głos Callie Weston.

— Czy to dobrze?

— O tak, panie prezydencie. Wymioty na żywo we wszystkich sieciach telewizji publicznej naraz mogłyby wzbudzić do pana niechęć obywateli. — Autorka przemówień zaniósła się perlismem śmiechem.

Andrea Price marzyła o wpakowaniu w tę kukłę całego magazynka ze służbowego pistoletu.

Arnie tylko popatrzył na wszystkich zmartwionym wzrokiem. Wiedział, że nie zdoła zawrócić Ryana z obranego kursu. Zawsze najskuteczniej dyscyplinowało się prezydentów, wskazując w jaki sposób to, czy inne wystąpienie wpłynie na ich szansę reelekcji. W przypadku Ryana nie było o tym mowy. A jak można ochronić kogoś, kto na samym

wstępie mówi, że nie obchodzi go jedyna sprawa, która tak naprawdę się w całym tym cyrku liczy?

* * *

— Pamiętacie „Harakiri”? — zapytał Ed Kealty.

— Rany, kto mu napisał ten podręcznik dla samobójców? — jego doradca prawny miał to samo odczucie. Wszyscy trzej wrócili do telewizora. Obraz zmienił się z panoramy Białego Domu na wnętrze studia.

— No cóż, trzeba przyznać, że było to bardzo ciekawe wystąpienie — zaczął z pokerową twarzą jeden z prowadzących. — Widzę, że tym razem prezydent nie odstąpił od przygotowanego tekstu.

— Tak, interesujące i jakże dramatyczne — zgodził się zaproszony komentator. — Raczej nietypowe, jak na prezydenckie orędzie.

— Czy widzisz jakiś powód, John, dla którego prezydent Ryan tak bardzo upiera się przy pomyśle, by w kierowaniu rządem pomocą służyli mu ludzie pozbawieni doświad-

czenia? Czyż zadania odbudowy systemu administracji kraju nie powinno się złożyć raczej w ręce ludzi rozporządzających odpowiednim doświadczeniem w tej materii?

— Tak, to pytanie zapewne padnie dziś z niejednych ust w tym mieście. . .

— Trudno, żeby nie — skomentował szef sztabu Kealty'ego.

— . . . a najbardziej ciekawe w tym wszystkim jest to, że przecież prezydent musi o tym wiedzieć, a gdyby nawet nie wiedział, to trudno się spodziewać, by Arnie van Damm, jeden z najręczniejszych graczy politycznych, jakich to miasto kiedykolwiek widziało, mu o tym nie powiedział.

— A co można powiedzieć o pierwszym nominowanym do nowego gabinetu, o George'u Winstonie?

— Winston jest prezesem Columbus Group, firmy inwestycyjnej, którą założył. Jest to człowiek, który, jak to powiedział prezydent Ryan, doszedł własną pracą do olbrzymiej fortuny. Na pewno potrzeba nam na stanowisku sekretarza skarbu człowieka, który zna się na pieniądzach i inwestycjach, a tego panu Winstonowi nikt nie może odmówić. . .

— A jak na to przemówienie zareaguje oficjalny Waszyngton?

* * *

— Jaki oficjalny Waszyngton, do cholery? — zapytał Ryan. To go spotkało po raz pierwszy. Dwie książki, które wydał, krytycy przyjęli na ogół pozytywnie, ale wtedy na pierwsze reakcje musiał czekać kilka tygodni. Być może oglądanie komentarza na gorąco było błędem, ale nie dało się tego uniknąć. Prezydent i jego najbliższe otoczenie oglądało naraz wszystkie kanały, które transmitowały orędzie.

— Oficjalny Waszyngton, Jack, to pięćdziesiąt tysięcy prawników i lobbystów — odparł Arnie. — Może nikt ich nie mianuje i nie wybiera, ale są oficjalni jak cholera. Media też.

— Rozumiem.

— W tej chwili bardzo potrzebujemy doświadczonych profesjonalistów, żeby po składali wszystko do kupy. Oto co powiedzą. I wielu przyzna im rację.

— A co myślisz o tych rewelacjach na temat wojny i zamachu na Kongres?

— Bardzo zainteresowały mnie informacje na temat premiera Kogi. Ta historia z porwaniem przez rodaków i uwolnieniem przez Amerykanów. Myślę, że dalsze informacje

na ten temat mogą być pasjonujące. Wysiłki prezydenta na rzecz zbliżenia między nami a Japończykami zasługują z pewnością na pochwałę i myślę, że co do tego nie ma wątpliwości. W trakcie trwania orędzia prezydenckiego otrzymaliśmy z Białego Domu zdjęcie. — Na ekranie ukazali się Ryan i Koga na tle ruin Kapitolu. — To dramatyczne ujęcie pochodzi z oficjalnego serwisu prasowego Białego Domu. . .

— Tak, ale Kapitol nadal leży w gruzach i do jego odbudowy potrzeba nam doświadczonych architektów i budowniczych. Podobnie rzecz się ma z rządem, on także leży w gruzach i proponowane przez prezydenta Ryana pospolite ruszenie niewiele może na to pomóc. — Prowadzący obrócił się do kamery i jego gość zniknął z kadru. — Tak więc obejrzelśmy pierwsze orędzie do narodu prezydenta Ryana. Będziemy państwa informować o dalszym rozwoju wypadków w miarę napływania kolejnych informacji. A teraz powracamy do zaplanowanych pozycji naszego wieczornego programu.

— No i mamy temat, Ed. — Szef sztabu Kealty'ego wstał i przeciągnął się. — Właśnie to musimy powiedzieć i właśnie dlatego musiałeś wrócić na scenę polityczną, nie licząc się z kosztami.

— Dzwon od razu — podjął decyzję Ed.

* * *

— Panie prezydencie. — Kamerdyner podszedł ze srebrną tacą, na której stała szklanka z drinkiem. Ryan wziął ją i pociągnął łyczek sherry.

— Dziękuję.

— Panie prezydencie, wreszcie. . .

— Mary Pat, jak długo się znamy? — Jezu, każdego będę musiał o to pytać?

— Co najmniej dziesięć lat.

— Tak więc nowe zarządzenie prezydenta, więcej, rozkaz, brzmi: po godzinach, kiedy podają drinki, mam na imię Jack.

— *Muy bien, jefe* — skomentował z uśmiechem, ale z rezerwą w spojrzeniu, Chavez.

— Irak? — Ryan przeszedł do rzeczy.

— Spokojnie, ale napięcie duże. Niewiele można się dowiedzieć, wygląda na to, że kraj jest sparaliżowany. Wojsko wyszło na ulice, ludzie siedzą po domach i oglądają telewizję. Pogrzeb odbędzie się jutro. Co potem, nie wiemy. W Iranie mamy całkiem niezłe źródło, w sferach politycznych. Zamach był według niego kompletnym zasko-

czeniu. Nie wiadomo nic o tym, kto za nim stał. Wszyscy, zgodnie z oczekiwaniami, są wdzięczni Allahowi za to, że zabrał Saddama do siebie.

— Pod warunkiem, że będzie go chciał u siebie — włączył się milczący dotąd Clark. — To była piękna robota — zabrzmiała fachowa pochwała. — Typowy schemat w tej strefie kulturowej. Samotny męczennik, poświęcenie dla sprawy i takie tam. Dojście do tego miejsca musiało mu zająć lata, ale Darjaei to człowiek cierpliwy. Zresztą, sam o tym wiesz, bo miałeś go okazję spotkać. Powiedz nam coś o nim, Jack.

— Najbardziej gniewne oczy, jakie w życiu widziałem — powiedział Ryan, podnosząc szklaneczkę. — On umie nienawidzić.

— Iran ruszy się. Mówię wam, że się ruszy. — Clark podniósł swoją whisky. — Saudyjczykom musi się nieźle gotować pod siedzeniami.

— To mało powiedziane — rzekła Mary Pat. — Ed siedzi tam od paru dni i mówi, że ogłosili stan najwyższej gotowości w armii.

— I tyle o tym wszystkim wiemy? — podsumował Ryan.

— Właściwie tak. Dostajemy mnóstwo przechwyconych wiadomości z Iraku, ale nie można się z nich dowiedzieć niczego nowego. Pokrywka na razie siedzi mocno,

ale w garnku gotuje się jak diabli. To było do przewidzenia. Zwiększyliśmy nadzór, zintensyfikowaliśmy rozpoznanie satelitarne. . .

— Dobra, Mary Pat, do rzeczy — przerwał jej Ryan.

— Chcę powiększyć mój wydział.

— O ile? — Zastanowiła go jej reakcja. Wzięła głęboki wdech i spięła się. Jack po raz pierwszy zobaczył Mary Pat Foley obawiającą się reakcji na to, co ma powiedzieć.

— Trzykrotnie. Mamy teraz dokładnie sześciuset pięćdziesięciu siedmiu ludzi w terenie. W ciągu trzech lat chcę tę liczbę zwiększyć do dwóch tysięcy. — Ostatnie zdanie wyrzuciła z siebie jak karabin maszynowy, jakby obawiając się, że ktoś jej przerwie.

— Zgadzam się, ale jeżeli znajdziesz jakiś sposób na realizację tego bez zwiększania budżetu Firmy.

— To proste, Jack — zaśmiał się Clark. — Wyrzucić dwa tysiące urzędasów i jeszcze się na tym oszczędzi.

— Ci ludzie mają rodziny, John — zwrócił mu uwagę Ryan.

— Wydziały wywiadu i administracji mają od cholery etatów, tkwiłeś w tym długo i przecież wiesz o tym doskonale. Warto to zrobić choćby po to, by rozładować korki na parkingach. Obniżenie wieku emerytalnego załatwiłoby większą część problemu.

Ryan przez chwilę zastanowił się nad tym.

— Ktoś będzie musiał tę rzeź wziąć na siebie. MP, jak zniesiesz sytuację, w której Ed znowu będzie nad tobą?

— Jak co wieczór, Jack — odparła pani Foley z filuternym błyskiem błękitnych oczu. — Ed był zawsze lepszy w administrowaniu, a ja w pracy w terenie.

— Plan BŁĘKIT?

— Tak, Jack — odparł Clark. — Potrzebujemy gliniarzy, młodych detektywów, zwykłych mundurowych. Wiesz dobrze, dlaczego: mają przygotowanie i umieją przeżyć na ulicy.

Ryan kiwnął głową.

— Dobrze. Mary Pat, za tydzień z prawdziwym żalem przyjmę rezygnację zastępcy dyrektora do spraw wywiadu i mianuję Eda na jego miejsce. Powiedz mu, że ma mi

przedstawić konkretny plan przesunięć etatów, mających na celu wzmocnienie operacyjnego kosztów wywiadu i administracji, a ja go zatwierdzę.

— Wspaniale! — Mary Pat wzniosła swój kieliszek z winem, przepijając do zwierzchnika sił zbrojnych.

— I jeszcze coś. John?

— Tak, panie prezydencie?

— Kiedy Roger prosił mnie o objęcie wiceprezydentury, poprosiłem go o coś.

— Tak?

— Mam zamiar objąć prezydencką amnestią niejakiego Johna T. Kelly'ego. Zostanie to ogłoszone w tym roku. Powinieneś mi powiedzieć, że mój ojciec prowadził dochodzenie w twojej sprawie.

Po raz pierwszy od lat komuś udało się zaskoczyć Clarka. Zbladł jak trup.

— Skąd... Skąd się dowiedziałeś?

— Znalazłem raport w osobistych papierach Jima Greera. Pamiętam tę sprawę. Te wszystkie zamordowane kobiety. Pamiętam, jak się nad tym męczył i jak był szczęśliwy, że wreszcie zostawił to za sobą. Nigdy potem o tym nie wspominał, ale wiedziałem, co

o tym myślał. — Jack spuścił wzrok, patrząc na kostki lodu krążące wokół ścianek naczynia w takt ruchów jego ręki. — Chyba byłby szczęśliwy z takiego zakończenia. I pewnie by się ucieszył wiedząc, że nie utopiłeś się wtedy pod tym statkiem.

— Jezu, Jack... Znaczy, cholera...

— Zaslugujesz na to, by wrócić wreszcie do swego prawdziwego nazwiska. Nie mogę wymazać rzeczy, które zrobiłeś. Teraz, jako prezydent, nawet mi o tym nie wolno myśleć. Może mógłbym jako zwykły obywatel, nie wiem. Ale zasługuje pan na swoje prawdziwe nazwisko, panie Kelly.

— Dziękuję, panie prezydencie. Ja... Dziękuję.

Chavez zastanawiał się, o co tu chodzi. Przypomniał sobie rozmowę z tym facetem na Saipanie, emerytowanym podoficerem Straży Przybrzeżnej o przydomku „Dniówka”. I te parę słów, pośpiesznie przerwane, o zabijaniu jakichś ludzi. Na ile znał pana C, zabijanie nie powodowało u niego takiej bladeści, więc to musiała być jakaś grubsza historia.

— Coś jeszcze? — zapytał Jack. — Chciałbym wrócić do swojej rodziny, zanim wszystkie dzieci pozasypiają.

— Czyli plan BŁĘKIT jest zatwierdzony?

— Tak, MP. Możecie zacząć go realizować, jak tylko Ed dostarczy mi go na papierze.

— Każę mu wracać natychmiast — obiecała Mary Pat.

— No i dobrze. — Jack wstał i ruszył do drzwi, a goście poszli w jego ślady.

— Panie prezydencie? — usłyszał głos Chaveza.

— Tak?

— Co będzie z wyborami prezydenckimi?

— A co ma być?

— Wpadłem dziś rano na uczelnię i doktor Alpher powiedział, że wszyscy poważni kandydaci z obu partii zginęli na Kapitolu, a przecież dawno minęły terminy zgłaszania nowych kandydatów. Nikt się już nie może zgłosić. Mamy rok wyborczy, a nikt nie kandyduje. Prasa na razie tego nie zauważyła.

Nawet Andrea Price zamrugała ze zdumienia. Po chwili wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że to prawda.

* * *

— Do Paryża?

— Profesor Rousseau z Instytutu Pasteura w Paryżu jest zdania, że być może wynalazł metodę leczenia tej choroby. To jedyna szansa, jaka nam pozostała.

Rozmawiali na korytarzu przed izolatką siostry Jeanne Baptiste, nadal ubrani w niebieskie skafandry, podobne do ubiorów kosmonautów. Spływali potem, mimo klimatyzatorów wiszących wewnątrz przy paskach. Ich pacjentka umierała i choć już sam fakt był straszny, sposób, w jaki się to dokonywało, przekraczał najgorsze wyobrażenia. Benedict Mkusa miał niebywałe szczęście, że wirus ebola z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny zaatakował w pierwszej kolejności serce, dzięki czemu jego agonია, choć i tak przerażająca, trwała krótko. Był to rzadki akt łaski, skracający mu wydatnie cierpienia. Ta pacjentka nie miała takiego szczęścia. Analizy krwi wykazywały, że wirus niszczy wątrobę, ale następuje to powoli. Serce pozostało na razie nietknięte. Wirus ebola unicestwiał jej ciało systematycznie, nie śpiesząc się. Jej układ pokarmowy po prostu rozpadał się. Traciła mnóstwo krwi, zarówno przez wymioty, jak i biegunkę.

Ból był straszliwy, ale jej ciało nadal toczyło, z góry skazaną na niepowodzenie, walkę o przetrwanie. Jedyne, co na tej walce zyskiwała, to jeszcze więcej bólu, tak że nawet potężna dawka morfiny nie dawała sobie już z nim do końca rady.

— Ale jak my ją...? — nie musiała kończyć. Tylko Air Afrique latała regularnie do Paryża, ale nie było mowy o tym, by ta, czy jakakolwiek inna linia zgodziła się gdziekolwiek przetransportować osobę zaatakowaną wirusem ebola. To doskonale współgrało z planami doktora Moudi.

— Sam zajmę się transportem. Pochodzę z bogatej rodziny. Mogę załatwić prywatny odrzutowiec, którym polecimy do Paryża. W ten sposób łatwiej będzie potem zdezynfekować środek transportu.

— No nie wiem. Muszę chyba zapytać...

— Nie chcę siostry okłamywać. Ona zapewne i tak umrze, ale jeżeli jest jakakolwiek szansa na jej uratowanie, to jest nią tylko profesor Rousseau. Studiowałem u niego i jeżeli on mówi, że coś ma, to tak jest na pewno. Proszę mi pozwolić ściągnąć samolot.

— Nie mogę panu tego odmówić, ale muszę...

— Rozumiem.

* * *

Prywatnym odrzutowcem, o którym mówił Moudi, był *Gulfstream G-IV*, który właśnie lądował na lotnisku Rashid na wschodnim brzegu Tygrysu, który w tych stronach nazywano Nahr Dulah. Samolot nosił rejestrację szwajcarską, gdyż należał do mającej tam siedzibę firmy, która nie prowadziła interesów na rynku wewnętrznym Szwajcarii i płaciła na czas podatki, co powodowało, że pozostawała poza zainteresowaniem miejscowych władz. Lot był krótki i raczej nie zasługiwałby na wzmiankę, gdyby nie pora dnia i trasa, którą przyleciał: z Bejrutu przez Teheran do Bagdadu.

Naprawdę nazywał się Ali Badrajn i, chociaż zdarzało mu się występować i pracować pod wieloma innymi nazwiskami, w tej misji powrócił do niego, gdyż zdradzało irackie pochodzenie. Jego rodzina wyemigrowała dawno temu do Jordanii, gdzie obiecywano im lepsze życie, ale, podobnie jak rzesze innych uchodźców, dostali się w tryby historii, której koła kręciły się tutaj wyjątkowo energicznie. W dodatku młody Badrajn stał się członkiem ruchu, który za cel postawił sobie likwidację państwa Izrael. Ruch ten zaczął zagrażać królowi Husajnowi, który w końcu postanowił się z nim raz na za-

wsze rozprawić i pozbyć, jeśli nie z tego świata, to chociaż z tego kraju. W rezultacie Badrajnowie stracili wszystko, czego z trudem dorobili się w nowej ojczyźnie. Ali nie przejął się tym wówczas zbyt.

Teraz to już coś innego. Uroki życia terrorysty przez te lata straciły na atrakcyjności i, chociaż zaszedł bardzo wysoko w hierarchii swojego zawodu, gdzie stał się cenionym specjalistą od zbierania informacji, niewiele z tego miał na starość, jeśli nie liczyć dożgonnej śmiertelnej wrogości najbardziej skutecznej służby kontrwywiadowczej świata. Zamiast tego nie pogńiewałby się na odrobinę komfortu i poczucia bezpieczeństwa. Może, kiedy uda mu się to zadanie, będzie mógł ich zaznać. Irackie pochodzenie i zasługi w walce zyskały mu tu wiele kontaktów. Pomógł wyśledzić dwóch ludzi, których chciał zlikwidować iracki wywiad, obu z pozytywnym rezultatem. To dawało mu fory na wejściu, dlatego wybrano właśnie jego.

Samolot zakończył dobieg i pokołował do miejsca, w którym drugi pilot otworzył drzwi i opuścił schodki. Podjechał samochód, Badrajn wsiadł do niego i Mercedes zaraz ruszył.

— Pokój z tobą, bracie — powiedział do człowieka, który siedział w samochodzie.

— Pokój? — zachnął się na to pozdrowienie generał. — To jedno, czego nam brakuje.

Wyglądał jakby nie zmrużył oka od chwili zamachu. Ręce trzęsły mu się od nadmiaru kawy, a może od alkoholu, który wypił, by uspokoić nerwy. Rozmyślenia nad tym, czy dożyje się wraz z rodziną końca tygodnia, mogą być lekko stresujące. Z jednej strony człowiek nie może być pewien dnia ni godziny, więc lepiej mieć się na baczności. Z drugiej musi się od tego oderwać, żeby nie zwariować. Generał miał żonę, dzieci i kochankę, miał się o kogo martwić. Inni pewnie też. To dobrze.

— Sytuacja nie jest najlepsza, ale na razie pod kontrolą, co?

Jedno spojrzenie na generała wystarczyło mu za odpowiedź. Pozytywny aspekt udanego zamachu był taki, że gdyby strzelec sfuszerował i Wąsacz odniósłby tylko ranę, generał stanąłby pod murem za niedopilnowanie prezydenta. Bycie szefem wywiadu dyktatora to niebezpieczne zadanie, zwłaszcza jeżeli pryncypał ma wielu wrogów. Zaprzedał duszę diabłu i myślał, że ten nigdy nie przyjdzie po swoje? Jak tak inteligentny człowiek mógł być równocześnie takim idiotą?

— Po co tu przyjechałeś? — zapytał wreszcie generał.

— Ofiarować wam pomocną dłoń.

13 — Wyzwanie

Na ulicach stały czołgi, a czołgi należały do obiektów, które analitycy obrazów z rozpoznania powietrznego lubili liczyć. Na orbicie znajdowały się trzy satelity szpiegowskie *KH-11*. Jeden z nich powoli zamierał po jedenastu latach wiernej służby. Dawniej wyczerpał zapas paliwa do silników manewrowych, jeden z paneli jego baterii słonecznych był już tak niesprawny, że nie zdołałby zasilić nawet latarki, ale jego trzy kamery wciąż robiły zdjęcia i przesyłały je do geostacjonarnych satelitów telekomunikacyjnych, zawieszonych nad Oceanem Indyjskim. Za ich pośrednictwem zaś trafiały do różnych instytucji, zajmujących się ich analizą, w tym i do CIA.

— Tak, martwy sezon dla kieszonkowców — skomentował analityk, spoglądając na zegarek. Dodał osiem godzin i wyszło mu, że na miejscu jest dziesiąta rano. O tej porze ulice powinny być pełne ludzi podążających do pracy, handlujących, pracujących, siedzących w kafejkach na ulicach i popijających tę morderczą mieszankę, którą upierali się nazywać kawą. A dzisiaj nic, żywej duszy, tylko czołgi na ulicach. Tu i ówdzie kilka osób, pojedynczych, z wyglądu kobiety — pewnie wymykające się na zakupy. Na głównych ulicach czołgi stały u wylotu co czwartej przecznicy i na licznych rondach. Na pomniejszych ulicach widać było lżejsze pojazdy, na każdym skrzyżowaniu ustawiły się grupki żołnierzy. Widać było, że są uzbrojeni, ale oczywiście żadnych odznak, więc ani stopni, ani rodzaju wojsk zidentyfikować się nie dawało.

— Nie mędrkuj, tylko licz — pouczył go szef.

— Tak jest — odparł analityk. Po to tu siedział, żeby liczyć czołgi, więc nie narzekał. Po działach mógł nawet określić typy. Mając typy i ilość można było sprawdzić jednostkę, porównując stan pojazdów w parkach sprzętu. Regularnie liczyli wszelkie czołgi w polu widzenia, sprawdzając, ile pojazdów pancernych na chodzie mają Irakijczycy. Według tego dawało się określić stan gotowości sił zbrojnych. O poziomie ich

umiejętności strzeleckich nic to nie mówiło, czego najlepszy dowód mieli podczas wojny w Zatoce, ale jak człowiek widzi czołg, to zwykle zakłada, że działa, prawda? To jedyne sensowne podejście. Pochylił się nad przegładarką i wtedy zauważył biały samochód, z kształtów sądząc Mercedesa, jadącego drogą numer 7. Wyglądało na to, że kierował się w kierunku toru wyścigowego Sibak al Mansur, gdzie zebrało się jeszcze kilka podobnych samochodów. No i co z tego? On miał liczyć czołgi.

* * *

Zróznicowanie klimatyczne Iraku nie ma sobie równego na świecie. W ten lutowy poranek świeciło ostre słońce, ale temperatura wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera. Za parę godzin na słońcu dojdzie do trzydziestu stopni, a nikt nawet na to nie zwróci uwagi. Zebrani oficerowie byli ubrani w zimowe, wełniane mundury z wysokimi kołnierzami i bogato szamerowane złotem. Większość z nich paliła, wszyscy się martwili. Gospodarz przedstawił gościa tym, którzy go jeszcze nie znali. Nie trudzono się zbyt wylewnymi powitaniem. Nikt jakoś nie był w nastroju do tradycyjnych kwiecistych pozdrowień. Ci ludzie byli zaskakująco zachodni w obejściu, zauważył Badrajn,

zachowywali się i wyglądali całkowicie po świecku. Podobnie jak ich zamordowanemu przywódcy, religia służyła im jedynie za marny parawan i ubarwiała sztafaż uroczystości, choć okoliczności sprawiły, że bardziej intensywnie niż zwykle zastanawiali się nad tym, czy nauki o potępieniu i piekle były prawdą. Doskonale wiedzieli, że już wkrótce wielu z nich przekona się o tym na własnej skórze. Ta możliwość martwiła ich na tyle, że zdecydowali się porzucić swe klimatyzowane biura i przybyć na ten tor wyścigowy, by wysłuchać, co on ma im do powiedzenia.

Wiadomość, którą miał im przekazać, była prosta.

— I mamy ci wierzyć? — zapytał szef sztabu armii, gdy skończył.

— A macie inne wyjście?

— Oczekujesz, że porzucimy naszą ojczyznę i przejdziemy... do niego? — rozczarowanie próbował ukryć za maską gniewu.

— Pański wybór, panie generale, to już pańska prywatna sprawa. Jeżeli zdecyduje się pan zostać i walczyć, to proszę bardzo. Mnie poproszono tylko, żebym tu przybył i przekazał wam wiadomość. Co też i uczyniłem — odpowiedział spokojnie Badrajn.

— Z kim mamy negocjować? — rzeczowo zapytał dowódca lotnictwa.

— Możecie przekazać waszą odpowiedź mnie, ale jak już mówiłem, nie ma mowy o żadnych negocjacjach. Nasza propozycja jest chyba uczciwa? — Nawet szczodra, choć na to nie zasługują. Wyjdą z tego nie tylko cali i zdrowi, oni i ich najbliżsi, ale jeszcze pozostaną bogaci. Ich prezydent ulokował duże sumy na rachunkach w różnych zakątkach świata, gdzie w większości uniknęły wykrycia i zamrożenia lub zajęcia. Mieli dostęp do wszelkich dokumentów tożsamości i podróżnych z całego świata — w tej dziedzinie wywiad iracki, współpracujący ściśle z komórką legalizacyjną Ministerstwa Skarbu cieszył się zasłużoną renomą. — Macie jego przysięgę przed Bogiem, że nie będziecie prześladowani, dokądkolwiek pojedziecie. — To musieli brać na serio. Szeł Badrajna był ich wrogiem. Tak zaciętym i znieawidzonym, jak tylko mógł być wróg na tym świecie. Ale jednocześnie był duchownym, znanym z oddania swej religii, który nie przywołuje imienia boskiego nadaremnie.

— Do kiedy mamy przekazać odpowiedź? — Dowódca sił lądowych był wręcz uniżenie grzeszny.

— Do jutra, nawet do pojutra. A potem, no cóż. . . Potem już niczego nie będę mógł zagwarantować. Moje instrukcje na razie sięgają tylko do pojutra.

— Warunki podróży?

— Możecie je ustalić sami, oczywiście w granicach rozsądku. — Badrajn zastanawiał się, czego jeszcze mogli oczekiwać od niego i od jego sponsora.

Ale decyzja, której od nich oczekiwał, była trudniejsza, niż mógł sobie wyobrazić. Patriotyzm zebranych generałów był dość szczególnego rodzaju. Kochali swój kraj, głównie dlatego, że go całkowicie kontrolowali. Tu mieli władzę, byli prawdziwymi panami życia i śmierci, a władza to silniejszy narkotyk niż pieniądze. Tak silny, że ludzie gotowi są dla niego ryzykować życiem i duszą. Jednemu z nich, myśleli, czy też mieli nadzieję, może udałoby się wyjść z tego cało. Może mógłby przejąć schedę po zamordowanym prezydencie i przywrócić dawny porządek rzeczy. Może trzeba by się było otworzyć na świat, wpuścić te cholerne inspekcje z ONZ, niech sobie oglądają co chcą, byle się odczepili i cofnęli sankcje gospodarcze. Może udałoby się wszystko zacząć od nowa, korzystając ze śmierci Wąsacza, choć przecież i tak wszyscy na świecie widzieliby, że nic nowego się nie dzieje. Tu coś obiecać, tam coś obiecać, wspomnieć o demokracji, wyborach, to musiało zadziałać i dawni śmiertelni wrogowie zdeptaliby się na śmierć, śpiesząc z pomocą, by dać im nową szansę. Od lat już nie zaznali takiego

spokoju jak teraz. Każdy z nich znał tych, którzy zginęli z rąk ich ukochanego przywódcy albo w „wypadkach” organizowanych z jego woli. Tragicznie zmarły przywódca ukochał zwłaszcza katastrofy śmigłowców. Teraz mieli do wyboru życie przy władzy i w spokoju, gdyby ten scenariusz wypalił, albo życie wygnańca gdzieś na obczyźnie. Każdy z nich zaznał władzy i życia w luksusie. Każdy z nich miał na skinienie wielu ludzi gotowych wykonać każde życzenie i nie chodziło o służących, ale żołnierzy. Tylko jedna drobnostka: pozostanie w kraju było największym w życiu hazardem, na jaki kiedykolwiek którykolwiek z nich mógł się zdecydować. Kraj nie bez powodu został sparaliżowany największą w ich życiu koncentracją wojska na ulicach. Nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę myśleli ludzie, którzy jeszcze przed paroma dniami zdzierali sobie gardła krzycząc, jak bardzo kochają Drogiego Przywódcę. Zaledwie tydzień temu była to rzecz bez znaczenia, ale teraz liczyła się, i to bardzo. Przecież żołnierze, którymi dowodzili, przyszli z tego morza ludzi. Który z nich będzie miał na tyle charyzmy, by teraz objąć nad nimi dowództwo? Który z nich obejmie kontrolę partii Baas? Czy któryś z nich ma na tyle siły woli, by inni poszli za nim? Tylko wtedy, jeżeli znajdą w swoich szeregach kogoś takiego, kogoś, za kim cały naród poszedłby z własnej

woli, a nie pod bagnetami, mogłoby im się to wszystko udać. Tylko wtedy mogliby patrzeć w przyszłość, jeśli nie bez strachu, to w każdym razie z nadzieją, że ich odwaga i doświadczenie wystarczą, by stawić czoło wyzwaniom, jakie mogą napotkać. Patrzyli teraz po sobie z niemym pytaniem: Kto?

Znalezienie w ich gronie człowieka z charyzmą i odwagą było nie lada problemem. Jeżeli tacy ludzie kiedykolwiek trafiali do tego grona, to ich kości, wymieszane ze szczątkami śmigłowców, białały teraz we wszystkich zakątkach kraju. A nie mogli stworzyć junty, bo dyktatura nie znosi spółek. Każdy z nich dostrzegał doskonale swoje zalety i wady pozostałych. Prywatne zawiści i rywalizacja zeżarłaby ich na tyle, że mogliby połuźnić żelazną rękę, którą musieliby trzymać rodaków za gardła i wtedy nie-szczęście gotowe. Nie raz już tak bywało w historii ich kraju? Zawsze kończyło się to spotkaniem o świcie twarzą w twarz z własnymi żołnierzami, za to plecami do ściany koszar.

Nic ich nie łączyło, nie mieli żadnego celu oprócz władzy i chęci z niej korzystania. Jednemu człowiekowi mogło to wystarczyć, ale dla junty to za mało. Juntę musiałyby coś jednoczyć, cokolwiek, jakaś nadrzędna idea narzucona przez kogoś, albo wypły-

wająca od nich samych, ale wyznawana wspólnie. Żaden z nich nie czuł się na siłach narzucić czegoś pozostałym, a razem nie byli w stanie wytyczyć wspólnego celu. Mieli potężną władzę, ale byli słabymi ludźmi, bo nie istniało nic, w co by wierzyli. Mogli dowodzić z zaplecza, ale nie stać ich było na to, by prowadzić walkę z pierwszej linii. Przynajmniej byli na tyle inteligentni, by sobie zdawać z tego sprawę. I dlatego Badrajn przyleciał do Bagdadu. Patrzył im w oczy i czytał ich myśli, jak w książce, choć zdawało im się, że zachowują kamienne twarze. Gdyby był wśród nich człowiek odważny, dawno narzuciłby im swoje przywództwo. Ale dzielnych dawno wyciął ktoś jeszcze dzielniejszy i bardziej bezwzględny, którego z kolei ścięła niewidzialna ręka kogoś, kto miał więcej cierpliwości i był jeszcze bardziej bezwzględny — na tyle, by teraz przedstawić im tę wspaniałomyślną ofertę. Badrajn wiedział z góry, jaka będzie odpowiedź, równie dobrze jak oni. Zamordowany prezydent Iraku nie pozostawił po sobie następcy, bo tak nie postępują ludzie, którzy nie wierzą w nic poza sobą.

* * *

Telefon zadzwonił o 6.05. Ryanowi nie przeszkadzało wstawanie przed siódmą. Od lat budził się o tej porze, a teraz już nie musiał dojeżdżać do pracy. Teraz drogę do pracy pokonywał windą i miał prawo oczekiwać, że skoro tak, to czas zaoszczędzony na jeździe będzie mógł przespać. Zresztą pamiętał jeszcze drzemki na tylnym siedzeniu w drodze do Langley.

— Tak?

— Czy to pan, panie prezydencie? — Jack zdziwił się, słysząc głos Arnie’ego. Poczł pokusę, by zapytać kogo to, do cholery, innego spodziewał się zastać o tej porze pod tym numerem.

— Co się dzieje?

— Kłopoty.

* * *

Były wiceprezydent Edward J. Kealty nie zmrużył oka przez całą noc, ale nawet wytrawny obserwator nigdy by się tego nie domyślił. Gładko ogolony, wyprostowany,

z błyskiem w oku wkroczył wraz z żoną i doradcami do budynku CNN, gdzie, w towarzystwie umówionego przez telefon producenta, skierowali się do windy. Wymieniono tylko najniezbędniejsze pozdrowienia.

Od trzech godzin trwała wymiana telefonów, przygotowujących tę chwilę. Najpierw do szefa sieci. Stary przyjaciel, doświadczony menadżer telewizyjny, po raz pierwszy w dobiegającej już schyłku karierze poczuł się tak, jakby piorun w niego strzelił. No bo coś w człowieku telewizji oczekuje niespodziewanych katastrof, kraks lotniczych, wykolejania się pociągów, strasznych zbrodni i innych przerażających wydarzeń dnia codziennego, z których relacjonowania żyje telewizja, ale o czymś takim jeszcze nie słyszał. Dwie godziny później zadzwonił do Arnie'ego van Damma, też starego kumpla, bo z czasów reporterskiej młodości zapamiętał doskonale, że naczelną zasadą życia skutecznego dziennikarstwa jest ściśle przestrzeganie zasady OWD: Osłaniaj Własną Dupę. Nie był to jedyny powód tego telefonu. Szef CNN był także człowiekiem, który kochał swój kraj, choć może nie obnosił się z tym publicznie. Nie miał zielonego pojęcia, dokąd ta historia może ich zaprowadzić. Zadzwonił też do doradcy prawnego sieci, byłego sędziego, który teraz konferował przez telefon z ekspertem konstytucjonalistą

z Uniwersytetu Georgetown. Szef sieci ponownie zadzwonił do Eda Kealty'ego, tym razem do studia.

— Jesteś tego pewien, Ed? — zapytał.

— Nie mam wyboru. Chciałbym mieć, ale nie mam.

— To będzie twój pogrzeb. Przyjdę popatrzeć. — Głos w słuchawce umilkł. Nastrój na jej drugim końcu był o wiele pogodniejszy. Ludzie, co za materiał! I znowu CNN będzie pierwsza! Obowiązkiem dziennikarzy jest przekazywać wiadomości i tyle.

* * *

— Arnie, im kompletnie odbiło, czy to tylko sen?

Siedzieli na górze, w prezydenckim prywatnym salonie. Jack był ubrany w jakieś domowe ciuchy, van Damm nie zdążył jeszcze założyć krawata, a w dodatku miał skarpetki nie do pary. Co gorsza, van Damm wyglądał na kompletnie zszokowanego, jak jeszcze nigdy dotąd.

— Chyba trzeba będzie poczekać i zobaczyć. . .

Obaj odwrócili się, słysząc otwierane drzwi.

— Panie prezydencie — powiedział mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, odziany w nienaganny urzędowy garnitur. Był wysoki i zdradzał oznaki lekkiego zdemerwowania. Za nim postępowała Andrea. Ona już także wiedziała mniej więcej co się stało.

— To pan Patrick Martin — przedstawił gościa Arnie.

— Prokurator z wydziału karnego Departamentu Sprawiedliwości, tak? — upewnił się Ryan, wstając, by uścisnąć dłoń.

— Pat jest jednym z naszych najlepszych specjalistów od procedury, a także wykłada prawo konstytucyjne na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona — uzupełnił prezentację szef sztabu.

— I co pan o tym wszystkim sądzi? — zapytał Jack, a w jego głosie dało się słyszeć zaskoczenie i niedowierzanie.

— Chyba najpierw powinniśmy zobaczyć, co ma do powiedzenia strona przeciwna — rozsądnie odparł sędzia Martin.

— Pan od dawna w wydziale? — zapytał Jack, siadając.

— Dwadzieścia trzy lata. Przedtem w FBI — odparł gość, przyjmując filiżankę z kawą. Zdecydował się postać.

— O, zaczyna się — zauważył Arnie i włączył ściszony dotąd głośnik telewizora.

— Panie i panowie, z wizytą w naszym waszyngtońskim studiu jest dziś wiceprezydent Edward J. Kealty. — Szef działu politycznego CNN też wyglądał na wyciągniętego z łóżka i był autentycznie poruszony. Ryan zauważył, że ze wszystkich, którzy mieli z tą sprawą jakikolwiek związek, tylko sam Kealty wygląda prawie normalnie. — Ma pan nam do zakomunikowania coś bardzo niezwykłego, czy tak?

— Tak, Barry, mam. Powinienem chyba zacząć od tego, że to najtrudniejsza rzecz, jaką w ciągu trzydziestu lat mojej publicznej kariery przyszło mi powiedzieć. — Głos Kealty’ego był spokojny, stonowany, dobitny, jasny i wyraźny, jakby słowami rzeźbił ludziom w głowach, a nie tylko przekazywał komunikat. — Jak wszyscy wiemy, prezydent Durling poprosił mnie, żebym ustąpił ze stanowiska wiceprezydenta. Przyczyną było moje zachowanie jeszcze z czasów senackich. No cóż, nie jest dla nikogo tajemnicą, że moje zachowanie nie zawsze mogłoby stanowić właściwy wzorzec, tak jak powinno. To dotyczy wielu osób z życia publicznego, co oczywiście nie stanowi uspra-

wiedliwienia w moim przypadku. Omówiliśmy tę sytuację z Rogerem i wspólnie doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli opuszczę zajmowane stanowisko, tak by przez czas, jaki pozostał do wyborów, mógł znaleźć bardziej odpowiedniego kandydata na wiceprezydenturę. Do czasu wyborów moje stanowisko miał objąć John Ryan, jako czasowo pełniący obowiązki wiceprezydenta. Zgadzałem się z Rogerem w całej rozciągłości, naprawdę. Już tyle lat spędziłem w służbie publicznej, że perspektywa spokojnej emerytury, zabaw z wnukami i od czasu do czasu wygłoszenia tu i ówdzie odczytu, naprawdę mi odpowiadała. Tak więc zgodziłem się spełnić prośbę Rogera w imię, no cóż, w imię nadrzędnego interesu kraju, dla jego dobra. Zgodziłem się, ale tak naprawdę rezygnacji nigdy nie złożyłem.

— Chwileczkę. — Barry podniósł rękę, jakby łapał piłkę na meczu baseballowym. — Zdaje mi się, że naszym widzom należy się w tym miejscu jakieś wyjaśnienie. Jak to: nie złożył pan rezygnacji?

— Widzisz, Barry, pojechałem wtedy do Departamentu Stanu. Konstytucja wymaga, by urzędujący prezydent lub wiceprezydent składał swoją rezygnację sekretarzowi stanu. Spotkałem się z sekretarzem Hansonem i w prywatnej rozmowie omówiliśmy to

zagadnienie. Miałem nawet ze sobą przygotowany dokument, ale okazało się, że zawiera on błędy formalne, więc Brett poprosił mnie, żebym go przepisał. Tak więc wróciłem do domu, by zastanowić się nad koniecznymi zmianami i umówiliśmy się, że przywiezę poprawiony dokument następnego dnia. Niestety, nikt z nas nie był w stanie przewidzieć wydarzeń, które rozegrały się tego wieczoru. Wstrząsnęły one mną równie silnie, jak wszystkimi, a kto wie, czy nawet nie mocniej. Przecież tego strasznego wieczoru w Kongresie zginęło tylu moich przyjaciół, z którymi tyle lat przepracowałem wspólnie dla powszechnego dobra. I wszystkich ich zabrakło w wyniku tego tchórzliwego i barbarzyńskiego ataku. Moja rezygnacja nie doszła jednak do skutku. — Kealty spuścił wzrok, zagryzając wargę, ale tylko na chwilę. — Barry, to by nawet tak mogło zostać. Dałem słowo Durlingowi i nadal chcę go dotrzymać. Ale nie mogę, Barry. Po prostu nie mogę w tej sytuacji. Znam Jacka Ryana od z górą dziesięciu lat. To wspaniały człowiek, bardzo odważny, zasłużony dla kraju, ale, niestety, nie jest to człowiek zdolny uleczyć kraj z ran, jakie odniósł. A najlepszym dowodem na to jest jego wczorajsze nieszczęsne orędzie do narodu. Jak możemy oczekiwać, że rząd będzie zdolny należycie funkcyj-

nować w tych ciężkich warunkach, skoro zamykamy ludziom zdolnym do rządzenia, doświadczonym w tym zakresie, drogę do opróżnionych stanowisk?

— Ale to przecież pan Ryan jest prezydentem, czyż nie tak? — zapytał Barry, tonem wskazującym na to, że ledwie wierzy własnym uszom.

— Barry, przecież on nawet nie wie, jak poprowadzić porządne śledztwo. Zastanów się nad tym, co wygadywał wczoraj. Ledwie tydzień minął, a on już wszystko wie. Czy można w coś takiego uwierzyć? — Kealty zadał to pytanie oskarżycielskim tonem. — Czy można w coś takiego naprawdę uwierzyć? Kto nadzoruje to śledztwo? Kto tak naprawdę je prowadzi? Komu melduje o jego postępach? I co, już, szast-prast i w tydzień zamknięte dochodzenie w tak skomplikowanej sprawie? Jak naród amerykański ma w coś takiego uwierzyć? Kiedy zamordowano prezydenta Kennedy'ego, śledztwo prowadził sędzia Sądu Najwyższego. A dlaczego? Bo wszyscy chcieli być pewni, że poprowadzi je jak należy, ot co.

— Przepraszam, panie wiceprezydencie, ale pan nie odpowiedział na moje pytanie.

— Barry, Ryan nigdy nie został wiceprezydentem, bo ja nigdy nie ustąpiłem. Stanowisko nie było wolne ani przez chwilę, a konstytucja pozwala na tylko jednego wiceprezydenta. On nawet nie złożył przysięgi wymaganej na tym stanowisku.

— Ale...

— Myślisz, że chcę tego, co robię? Nie mam wyboru. Jak można odbudować Kongres i rząd, opierając go na amatorach? Wczoraj wieczorem pan Ryan powiedział gubernatorom stanów, że chce, by mu przysłano ludzi bez doświadczenia w rządzeniu. Jak ludzie bez pojęcia jak się to robi mogą stanowić prawo? Barry, to jest mój pierwszy raz, kiedy popełniam samobójstwo na żywo w telewizji. Czuję się jak jeden z senatorów na rozprawie Andrew Jacksona. Spoglądam pod nogi, w otwarty grób mojej politycznej kariery, ale niech tam. Mój kraj liczy się dla mnie więcej od niej i jeżeli będzie trzeba, zrobię ten krok naprzód, bez wahania. To moja powinność. — Podniósł wzrok i skierował oczy prosto w obiektyw. Kamera powiększyła jego naznaczoną bolesną determinacją twarz. Niemal można się było dopatrzeć łez, gdy tak deklarował pełną samozaparcia miłość do ojczyzny.

* * *

— Zawsze dobrze sukinsyn wypadł w telewizji — mruknął van Damm.

— Ludzie, nie mogę w to uwierzyć — ze zdumieniem westchnął Ryan.

— Lepiej uwierz — odparł Arnie. — Panie Martin, czy możemy poprosić o pańską opinię?

— Przede wszystkim niech ktoś uda się do Departamentu Stanu i rzuci okiem na papiery sekretarza Hansona.

— FBI? — zapytał Arnie.

— Tak — kiwnął głową Martin. — Nic na pewno nie znajdziemy, ale od tego trzeba zacząć. Potem trzeba sprawdzić dzienniki telefoniczne sekretariatu i notatki. Po nich przyjdzie kolej na przesłuchiwanie osób. I tu zaczną się problemy. Sekretarz Hanson i jego żona nie żyją. Prezydent z małżonką, oczywiście także. Ci ludzie mieli na ten temat najwięcej do powiedzenia. W tej sytuacji przewiduję, że nie uda nam się zebrać zbyt wiele poważnych dowodów w tej sprawie, a i poszlak chyba też.

— Roger mówił mi... — zaczął Arnie.

— To tylko pogłoski — przerwał mu Martin. — Mówi pan, że ktoś panu powiedział coś, co usłyszał od kogoś. Z tym do sądu nie możemy pójść.

— Proszę kontynuować.

— Panie prezydencie, nie ma przepisów regulujących taką sytuację, ani w konstytucji, ani w prawie stanowionym.

— Tak, tak. — Ryan machnął ręką. — I orzeczenia Sądu Najwyższego też nie ma, wiem. — Po chwili kłopotliwego milczenia, dodał: — A co, jeżeli to prawda?

— Panie prezydencie — odparł Martin — to, czy te twierdzenia są, czy nie są prawdą, jest w tej chwili bez znaczenia. Jeżeli mu udowodnimy, że kłamie, a na to się nie zanosí, to i tak na swój sposób wygrał. A skoro już mówimy o Sądzie Najwyższym, to nawet po odtworzeniu Senatu i przepchnięciu przez niego nominacji, co nigdy nie przebiegało bez zatargów i opóźnień, i tak wszyscy sędziowie będą się musieli odsunąć od tej sprawy, by uniknąć podejrzeń o osobiste zaangażowanie w sprawę, gdyż to pan podpisze ich nominacje. Tak więc ten problem nie ma możliwości rozwiązania na drodze prawnej.

— Ale przecież nie ma żadnego prawa, które. . .

— No właśnie. I to jest sedno sprawy. — Sędzia Martin zamyślił się. — Dobrze, prezydent lub wiceprezydent przestaje sprawować urząd z chwilą złożenia pisemnej rezygnacji. Złożenie pisemnej rezygnacji następuje z chwilą, gdy nadawca dostarczy w jakikolwiek sposób pismo do właściwego adresata. Tyle że adresat nie żyje i możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że dokumentu w jego biurze nie znajdziemy. Sekretarz Hanson bez wątpienia powiadomił telefonicznie prezydenta o złożeniu tak ważnego dokumentu. . .

— Powiadomił — potwierdził van Damm.

— . . . ale prezydent też nie żyje i nie może tego potwierdzić. Jego zeznanie miałoby rozstrzygającą wartość, ale go nie otrzymamy. Czyli wracamy do punktu wyjścia. — Martinowi nie podobało się to, ale jednoczesne mówienie i analizowanie sytuacji było już wystarczająco trudne, żeby sobie tym nie zawracać głowy. To przypominało partię szachów na szachownicy bez linii, na której ktoś na chybił trafił porzrzucał pola.

— Ale. . .

— Tak, dzienniki sekretarek Hansona i prezydenta wykażą, że sekretarz dzwonił do prezydenta, świetnie. Tylko co powiedział sekretarz? Może tylko narzekał na złą

redakcję dokumentu? Może zapowiadał, że jutro dostanie poprawiony dokument? To jest polityka, a nie prawo, panowie. Tak długo, jak Durling był prezydentem, Kealty musiał odejść z powodu. . .

— Dochodzenia w sprawie seksualnego napastowania. — Arnie zaczynał rozumieć.

— Właśnie. W swojej wypowiedzi nawet o tym wspomniał, więc bardzo zręcznie zneutralizował ten punkt zaczepienia.

— Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia — ocenił Ryan.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ta uwaga wywołała słaby uśmiech.

— Miło, że chociaż pan w to jeszcze wierzy.

* * *

Inspektor O'Day w towarzystwie trzech innych agentów z centrali FBI wysiadł z samochodu przed wejściem do budynku. Kiedy umundurowany strażnik pojawił się i zaczął protestować, O'Day machnął legitymacją i po prostu poszedł dalej. Zatrzymał się przed portiernią na dole i zrobił to samo.

— Powiedz swojemu szefowi, że czekam na niego na siódmym piętrze — powiedział. — Gównu mnie obchodzi, co teraz robi — dodał, widząc, że strażnik zabiera się do protestowania. — Ma tam być i to zaraz. — Po czym, nie czekając na odpowiedź, wszyscy czterej agenci ruszyli do windy.

— Ej, Pat, nie przesadzasz trochę? — zapytał jeden z nich, ale dopiero gdy zamknęły się drzwi w kabinie. Pozostali trzej byli funkcjonariuszami Biura Odpowiedzialności Zawodowej, komórki kontroli wewnętrznej FBI. Nieraz sami robili ostre wejścia, ale to w końcu był Departament Stanu, a nie biuro szeryfa w Pipidówce Dolnej. Ich zadaniem było utrzymanie czystych rąk Biura i z tej racji cieszyli się bardzo szerokimi prerogatywami, stosownie do zadań. Jeden z nich prowadził nawet kiedyś dochodzenie w sprawie samego dyrektora FBI. Ich przepisy stanowiły, że najwyższą wartością dla nich jest poszanowanie prawa i w jego granicach mogli robić dosłownie wszystko. O dziwo jednak, w odróżnieniu od pokrewnych instytucji w podobnych służbach, BOZ cieszyło się szacunkiem szeregowych agentów.

Strażnik z holu zadzwonił już widać gdzie trzeba, bo u drzwi windy czekał dyżurny strażnik. Dziś był nim George Armitage, który w tym tygodniu miał poranny dyżur.

— FBI — przedstawił się O'Day. — Gdzie biuro sekretarza?

— Proszę tędy, panowie — odparł Armitage, wskazując kierunek.

— Kto z niego teraz korzysta?

— Szykujemy się właśnie do przekazania go panu Adlerowi. Dopiero co skończyliśmy wynosić rzeczy sekretarza Hansona i...

— Czyli ludzie wciąż wchodzą tam i wychodzą?

— Tak jest, sir.

O'Day pomyślał, że nie należy się więc wiele spodziewać po ściąganiu ekipy oględzinowej, bo nawet jeżeli były tam jakieś ślady, to dawno nic z nich nie zostało. Ale ekspertów i tak trzeba będzie ściągnąć. To dochodzenie musiało być prowadzone dokładnie według procedury.

— Dobra. Chcemy porozmawiać z każdą osobą, która znalazła się w biurze Hansona od czasu, gdy ostatni raz je opuścił. Każdą sekretarką, sprzątaczką, ekipą wynoszącą meble, z każdym.

— Proszę bardzo, ale i tak zaczną przychodzić dopiero za pół godziny.

— W porządku. Mógłby pan otworzyć te drzwi?

Armitage zrobił to, wpuszczając ich do sekretariatu, a potem otwierając drzwi właściwego gabinetu. Agenci stanęli w drzwiach, na razie tylko rozglądając się. Po chwili jeden z nich stanął w drzwiach na korytarz.

— Dziękujemy, panie. . . — O'Day spojrział na identyfikator — panie Armitage. Od tej chwili ten gabinet jest traktowany jak miejsce przestępstwa. Nikt nie może tu wejść, ani stąd wyjść bez naszej zgody. Potrzebujemy pokoju do przesłuchań. Poproszę pana o sporządzenie imiennej listy wszystkich, o których pan wie, że tu wchodzili, jeżeli to możliwe z datą i czasem pobytu.

— Tego można się dowiedzieć od ich sekretarek.

— W porządku. Ale my chcemy takiej listy także od pana, zrozumiano? — O'Day spojrział na korytarz, wyraźnie rozdrażniony. — Kazaliśmy tu ściągnąć waszego szefa. Nie wie pan, gdzie on się, do cholery, mógł podziać?

— Zwykle nie wstaje przed ósmą. . .

— To proszę do niego zadzwonić. Chcemy z nim rozmawiać i to natychmiast.

— Proszę bardzo, sir. — Armitage gorączkowo zastanawiał się, o co tu, do cholery, chodzi. Nie oglądał rano dziennika, więc nie wiedział co się dzieje. I tak go to nic nie

obchodziło. Miał pięćdziesiąt pięć lat i po trzydziestu dwóch latach służby, tuż przed emeryturą, zależało mu już tylko na tym, żeby zrobić swoje i pójść do domu.

— Dobra robota, Dan — powiedział Martin do słuchawki telefonu w Gabinetcie Owalnym. — Nawzajem. — Odwiesił słuchawkę i obrócił się.

— Murray wysłał tam Pata O'Daya, jednego ze swoich ludzi do specjalnych poruczeń. To dobry facet, specjalista od trudnych robót. Pojechał tam z ludźmi z BOZ. Kolejny dobry ruch. Oni są apolityczni. W ten sposób Murray nie jest w to zamieszany.

— Jak to? — zapytał Jack.

— To pan go mianował pełniącym obowiązki dyrektora, tak? Zresztą ja też nie będę się mógł w to mieszać. Będzie pan musiał wyznaczyć kogoś do prowadzenia dochodzenia. To musi być ktoś inteligentny, czysty i całkowicie poza podejrzeniami o powiązania polityczne. Chyba najlepiej, żeby to był sędzia. — Martin zastanowił się przez chwilę. — Może któryś z prezesów okręgowych sądów apelacyjnych? To zwykle doskonali prawnicy.

— Ma pan na myśli kogoś konkretnie? — zapytał Arnie.

— Nie, żadne nazwisko nie może wyjść ode mnie. Nie muszę chyba podkreślać, jak ważne jest, by nikt nie mógł mu zarzucić stronnictwa. Panowie, to jest sprawa wagi konstytucyjnej. — Martin przerwał na chwilę, sprawdzając, czy rozumieją powagę sytuacji, po czym zaczął wyjaśniać. — Dla mnie konstytucja jest jak Biblia. Dla was oczywiście też, ale ja zaczynałem jako agent FBI. Tam zajmowałem się sprawami swobód obywatelskich na Południu, wiecie, Murzyni, Klan, te rzeczy. Tego, jak ważne są prawa obywatelskie, uczyłem się identyfikując zebrane z ulic ciała tych, którzy walczyli o nie dla ludzi, których nawet nie znali. Potem opuściłem Biuro, trafiłem na salę sądową, ale w głębi duszy zostałem gliniarzem. Jako prokurator zajmowałem się sprawami przestępczości zorganizowanej, szpiegostwem, teraz prowadzę wydział kryminalny. To dla mnie ważne sprawy. Dlatego musicie robić wszystko zgodnie z literą prawa.

— Będziemy — zapewnił go Ryan. — Dobrze byłoby jednak wiedzieć jak.

Martin uniósł ręce.

— Ba, żebym to ja wiedział. Ale to trzeba robić tak, żeby nikt nie mógł nic kwestionować. Formalnie dochodzenie musi być bez zarzutu. Ja wiem, że to niemożliwe,

ale trzeba przynajmniej spróbować. To na tyle o stronie prawnej. Politykę zostawiam panom.

— Dobra. A co z dochodzeniem w sprawie katastrofy? — Ryan mówiąc to, zdał sobie sprawę, że ostatnie wydarzenia zepchnęły mu w cień tę sprawę. Cholera!

Prokurator Martin uśmiechnął się, ale próżno by w tym uśmiechu szukać serdeczności.

— O, tu to mi Kealty włożył na odcisk, panie prezydencie. Nie znoszę, jak mi ktoś mówi, jak mam prowadzić śledztwo. Gdyby Sato przeżył, zaciągnąłbym go do sądu jeszcze dziś. To, co Kealty mówił o dochodzeniu po zamachu w Dallas było niedorzeczne. W takich sprawach powinno się prowadzić dokładne śledztwo, a nie robić z nich biurokratyczny cyrk. To jest proste dochodzenie. Wielkiej wagi, ale z punktu widzenia procedury proste. Właściwie sprawa już jest zamknięta. Bardzo pomogli nam Kanadyjczycy. Odwalili za nas kawał solidnej roboty, posprawdzali mnóstwo rzeczy, odcisków palców, znaleźli wielu świadków, powyciągali nawet dla nas ludzi, którzy lecieli tym samolotem. No, a Japończycy, ci to by sobie palce poodgryzali, gdyby tylko mogli nam w ten sposób pomóc. Byli tak wściekli, że ich rozmowy z ocalałymi spiskowcami na-

tychmiast przyniosły mnóstwo materiału. Chyba nie jestem ciekaw, jakimi metodami to z nich wyciągali, fakt, że musiały być skuteczne, bo było tego dużo. Ale to już ich sprawa. Jestem gotów bronić tego, co pan powiedział wieczorem, nawet ogłosić wszystko, co nam się udało zebrać.

— Niech pan to zrobi — powiedział van Damm. — Jeszcze dziś po południu. Postaram się o odpowiednią oprawę prasową.

— Tak jest.

— Tak więc nie może pan się zająć sprawą Kealty'ego?

— Nie, panie prezydencie. Tej sprawy nie możemy zabagnić ani trochę.

— Ale może mi pan w niej doradzać? Bo chyba będę potrzebował dobrego prawnika.

— Ma pan rację, panie prezydencie. Oczywiście, mogę panu służyć pomocą w tym zakresie.

— Wie pan, panie Martin, że jak już wszystko się uspokoi... Ryan spiorunował wzrokiem van Damma, zanim ten zdążył skończyć.

— Nie, Arnie, żadnych takich! Co ci do głowy przyszło, do cholery?! W nic takiego nie będziemy grać. Panie Martin, podoba mi się pański stosunek do tej sprawy. Będziemy ją rozgrywać absolutnie zgodnie z regułami. Wyznamy do niej profesjonalistów i zaufamy ich zdolnościom. Mam dosyć wszelkich specjalnych prokuratorów, specjalnych komisji, specjalnego tego i specjalnego tamtego. Jeżeli się nie ma na co dzień ludzi, którym można zaufać, że robią swoje, to po co ich w ogóle trzymać?

— Jack, Boże, jakiś ty naiwny — zdziwił się van Damm.

— Dobra, Arnie, może i naiwny. Ale popatrz, dokąd nas doprowadziły rządy tych nie naiwnych, co to się znali na polityce. No tylko popatrz! — Ryan zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju. Jako prezydent mógł sobie na to pozwolić. — Mam tego dosyć. Gdzie się podziała uczciwość? Co się stało z prawdą, Arnie? Wszystkim rządzą jakieś pieprzone gierki, w których stawką jest nie prawda i uczciwość, tylko to, żeby zostać na swoim pieprzonym stołku i nic więcej! Tak nie powinno być! I niech mnie cholera, jeżeli miałbym też w to grać, bo ja nienawidzę tej gry! — Umilkł i po chwili zwrócił się do Martina. — Niech mi pan opowie o tym dochodzeniu, które pan prowadził w FBI.

Martin zamrugał ze zdziwienia, nie wiedząc, do czego zmierza Ryan, ale opowiedział.

— Nawet kiedyś nakręcili o tym film, ale kiepski. Lokalny Klan sprzątnął paru aktywistów ruchu swobód obywatelskich. Ponieważ byli w to zamieszani dwaj lokalni zastępcy szeryfa, sprawa utknęła i zanosilo się na to, że nic z tego nie będzie. Wtedy włączyło się w nią Biuro, na podstawie ustaw o stosunkach międzystanowych i o prawach obywatelskich. To było w czasach, gdy Dan Murray i ja byliśmy jeszcze żółtodziobami. On działał wtedy w Filadelfii, a ja w Buffallo, ale ściągnęli nas do centrali i przydzielili do „Wielkiego Joe” Fitzgeralda, który był wtedy „strażakiem” Hoovera. Byłem tam, gdy znaleziono ciała. Martin wzdrygnął się na wspomnienie widoku, a zwłaszcza smrodu. — Oni tylko namawiali obywateli, żeby rejestrowali się do głosowania, nic więcej. I zostali za to zamordowani, a lokalni policjanci nic w tej sprawie nie robili. Wie pan, to dziwne, ale jak się coś takiego zobaczy, to jakoś przestaje to być abstrakcją, nagle człowiek czuje, że to już nie jest jeden papierek więcej do wypełnienia. Starczy spojrzeć na ciała leżące dwa tygodnie w ziemi i nagle robi się to cholernie konkretne. Te gnojki

z Klanu złamały prawo i zabiły współobywateli, którzy robili coś, na co konstytucja nie tylko pozwala, ale co wręcz nakazuje. Więc ich znaleźliśmy i dorwaliśmy.

— Dlaczego? — zapytał Jack. Odpowiedź była dokładnie taka, jakiej oczekiwał.

— Bo przysięgałem, że tak zrobię, panie prezydencie. Dlatego.

— No właśnie, panie Martin. Ja też. — I pieprzę gry, dodał w myśli.

* * *

W powietrzu roilo się od przekazów radiowych. Iracka armia używała setek częstotliwości, głównie w wysokich pasmach UKF i teraz na wszystkich trwała całą dobę ożywiona korespondencja. Wiadomości były w większości rutynowe, ale ich nagromadzenie wyraźnie wskazywało na niezwykłość sytuacji. Były ich tysiące i stacji Sztorm zaczynało brakować tłumaczy do przekładania ich na bieżąco. Radiostacje dowództwa w większości były kodowane, więc i tak transmisje, trudne do odróżnienia uchem od zwykłego szumu tła, trafiały do deszyfrujących je powoli komputerów. Na szczęście napływ dezterterów, ściągniętych oferowanymi przez Saudyjczyków znacznymi nagrodami, przyniósł im także oryginalne dekodery, więc sprawa polegała tylko na złamaniu

dziennego klucza. Natężenie ruchu w eterze nadal rosło, zamiast maleć, co wskazywało na to, że sytuacja jest na tyle poważna, iż iraccy dowódcy bardziej przejmowali się szybkością uzyskania informacji, niż możliwością ich przechwycenia przez obcych. Zagrożenie musi być więc wewnętrzne, bo użycie radiostacji wskazuje na obawy przed podsłuchem telefonicznym. To wiele mówiło oficerom dyżurnym i memoranda na ten temat natychmiast przesłano do zastępcy dyrektora CIA do spraw wywiadu i za jego pośrednictwem do prezydenta.

Sztorm nie odbiegał wyglądem od innych tego typu stacji. Składała się na nią „klatka na słonie”, jak nazywano powszechnie wielkie, przypominające ażurową beczkę zestawy anten, które przechwytywały i namierzały sygnały radiowe, oraz gąszcz masztów anten prętowych, które zajmowały się całą resztą. Cała stacja nasłuchowa powstała w czasie pośpiesznej mobilizacji przed Pustynną Burzą i miała początkowo służyć zbieraniu informacji taktycznych, ale po wojnie została na miejscu i zbierała informacje z całego regionu. Wdzięczni Kuwejtczyzy ufundowali podobną stację, o kryptonimie Palma, na swoim terytorium, za co dzielono się z nimi większością uzyskanych informacji.

— Trzech — powiedział operator konsoli, odczytując dane z monitora. — Trzech gada na raz, jadą na tor wyścigowy. Coś wcześniej, jak na koniki, nie?

— Spotkanie na uboczu? — zainteresowała się porucznik. Stacja była wojskowa i operator, sierżant z piętnastoletnim stażem, znał się na tej robocie dużo lepiej od swojego nowego zwierzchnika. Dobrze przynajmniej, pomyślał sierżant, że ma na tyle oleju w głowie, żeby się pytać.

— Tak wygląda, proszę pani.

— Ale dlaczego tam?

— Środek miasta, budynek nie urzędowy. Jak się ktoś umawia z kochanką, to raczej nie w domu, nie? — Ekran mignął. Operator spojrział na niego. — O, mamy jeszcze czwartego. Dowódca wojsk lotniczych też tam chyba jest. Analiza nasłuchów mówi, że spotkanie skończyło się jakąś godzinę temu. Cholera, żeby te komputery chodziły szybciej...

— Coś już rozszyfrowały poza sygnałami wywoławczymi?

— Tylko polecenia dla kierowców. Nic o tym, co było na spotkaniu.

— Kiedy pogrzeb, sierżancie?

— O zachodzie słońca.

* * *

— Tak? — Ryan podniósł słuchawkę. Ponieważ zadzwonił zielony aparat, można było się domyślać, że to coś ważnego. Dzwoniono ze Służby Łączności.

— Mówi major Canon, panie prezydencie. Dostaliśmy nasłuch z Arabii Saudyjskiej i wywiad teraz w nim grzebie. Polecili mi o tym pana poinformować.

— Dziękuję. — Ryan odłożył słuchawkę. — No tak, za dobrze by było, gdyby wszystko waliło się po kolei. Coś się dzieje w Iraku, ale na razie nie wiadomo co. Chyba trzeba się będzie tym zająć. Dobra, czy mamy jeszcze coś do zrobienia?

— Niech pan przydzieli Kealty'emu ochronę Tajnej Służby. I tak, jako były wiceprezydent, ma do niej prawo przez sześć miesięcy po opuszczeniu urzędu, prawda, Andrea? — podsunął Martin.

— Tak jest, panie prokuratorze — odparła Price.

— Czy braliście to wcześniej pod uwagę?

— Nie, panie prokuratorze — przyznała się Andrea.

— A szkoda. To by nam oszczędziło sporo wysiłku.

14 — Krew w wodzie

Samolotem dyspozycyjnym Eda Foleya był wielki i niezbyt urodziwy transportowy *Lockheed C-141B Starlifter*, przezywany przez pilotów myśliwskich „Śmieciarka”. W jego ładowni przewożona była wielka przyczepa mieszkalna, która sama w sobie miała bardzo ciekawą historię. Powstała ponad dwadzieścia lat wcześniej w firmie *Airstream* z przeznaczeniem dla astronautów z programu *Apollo*. Wielkie śmigłowce transportowe miały ich w niej przewozić z lotniskowca stacjonującego w pobliżu miejsca wodowania kapsuły na suchy ląd. Ta akurat przyczepa była zapasowa i nigdy nie została użyta zgodnie z przeznaczeniem. Jakiś czas temu stojącą w magazynie przyczepę wy-

patrzył ktoś z Firmy i od tej pory służyła członkom kierownictwa CIA jako komfortowa salonka na dalekie podróże. Takie rozwiązanie miało wiele zalet, z których największą było chyba to, że salonką dla VIP-ów mógł zostać pierwszy z brzegu *Starlifter* w ciągu pół godziny, potrzebnej na zamontowanie przyczepy w ładowni. A w dodatku, Siły Powietrzne miały setki identycznych *C-141B* i każdy z zewnątrz wyglądał tak samo jak ten — wielki, zielony i brzydki jak noc. Idealny kamuflaż.

Samolot Foleya wylądował w Andrews tuż przed południem, po wyczerpującym, ponad siedemnastogodzinnym locie z dwoma tankowaniami w powietrzu, w ciągu którego pokonali trasę o długości ponad dziesięciu tysięcy kilometrów. Foley odbył tę podróż z jeszcze trzema osobami, w tym dwoma ochroniarzami. Nastrój bardzo się poprawił, gdy mogli się wreszcie wykapać, a nie bez znaczenia był też fakt, że pozwolono im po drodze porządnie się wyspać. Kiedy rampa wreszcie się otworzyła całkowicie, był już odświeżony i poinformowany o zmianach sytuacji. Po otwarciu drzwi zobaczył swoją żonę, która powitała go pocałunkiem, co jeszcze bardziej poprawiło mu humor. Stało się to na tyle widoczne, że nawet obsługa naziemna zaczęła się zastanawiać, dla-

czego ich pasażer nagle zrobił się taki rzeński. Załódze było wszystko jedno, czuła zbyt wielkie zmęczenie.

— Cześć, kochanie.

— Trzeba będzie kiedyś się razem wybrać na taką przejażdżkę — zauważył Ed z błyskiem w oku. Ale za chwilę przeszli do rzeczy. — Coś słyszać w Iraku?

— Zaczyna się gotować. Co najmniej dziewięciu oficerów z najwyższego kierownictwa odbyło dyskretne spotkanie. Nie wiemy o co chodziło, ale pewnie nie układali menu na stypę. — Ruszyli do samochodu, wsiedli do tyłu. Mary Pat podała mężowi teczkę.

— A, byłabym zapomniała. Awansowałeś.

— Co? — Głowa Eda podniosła się znad przeglądanych dokumentów.

— Zostałeś zastępcą dyrektora do spraw wywiadu. A my ruszamy z Planem Niebieskim. Ryan chce, żebyś go sprzedał Kongresowi. Ja zostaję w operacyjnym, bo ktoś musi pilnować interesu, czyż nie, kochanie? — zapytała ze słodkim uśmiechem, po czym wróciła do omawiania innych zagadnień.

* * *

Clark miał teraz swoje własne biuro w Langley, a wysoka ranga zapewniała okno z widokiem na parking i drzewa, wielki postęp po klatce bez okien, dzielonej z innymi. Tu miał nawet sekretarkę, choć na spółkę z czterema innymi starszymi agentami. Langley było dla niego jednak nadal obcą krainą. Dotąd był instruktorem na Farmie, więc czasami tylko pojawiał się w centrali, gdzie składał raporty i otrzymywał zadania, ale nie podobało mu się tam. Dowództwo zawsze cuchnęło dla niego stęchlizną. Urzędasy zwykle miały coś do powiedzenia, a im się który mniej na czymś znał, tym głośniej się na ten temat mądrzył. Wymagali od agentów działania zgodnie z regulaminem, który sami pisali, nie mając pojęcia o tym, jak wygląda praca w terenie. Nie lubili nadgodzin, bo mogliby stracić ulubione programy w telewizji. Nie znosili niespodzianek i wiadomości, które burzyły ich schematy. Byli biurokratycznym ogonem, ciągnącym się za CIA, ale było ich tylu, że po pewnym czasie to nie pies merdał tym ogonem, ale ogon zaczynał poruszać psem i zdawało mu się, że jest głową. Nic nadzwyczajnego, ale kiedy zaczynało śmierdzieć, to agent terenowy nadstawiał za nich głowę, a dla nich był tylko

nazwiskiem, które w razie czego przepisze się z jednej kolumny do drugiej i wrzuci poprawioną listę do odpowiedniej teczki. Jeżeli nazwiska w pierwszej kolumnie już się skończą, to w końcu nic się takiego nie stanie, bo oni swoje opracowania i tak opierają na tym, co znajdują w porannej gazecie.

— Słyszałeś pan nowiny o poranku, panie C? — zapytał Chavez, wchodząc do pokoju.

— Wstałem dziś o piątej — odparł Clark, podnosząc teczkę z nadrukiem PLAN BŁĘKIT. Siedział nad tymi papierami bez przerwy, by jak najszybciej wysłać je Foleyowi.

— To włącz CNN.

John włączył telewizor, oczekując kolejnej wiadomości, którą dziennikarze wygrzebali przed CIA. Doczekał się jej, ale to nie było całkiem to, czego się spodziewał.

* * *

— Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Musiał wystąpić publicznie, i to szybko, co do tego wszyscy byli zgodni. Ryan wszedł do sali prasowej, stanął za mównicą i rozłożył notatki na pulpicie. Łatwiej przychodziło mu się skoncentrować, patrząc na nie, niż na resztę sali, najmniejszą i najbardziej obskurną część Białego Domu, zbudowaną nad dawnym basenem. W sali mieściło się sześć rzędów po osiem krzeseł. Po drodze zauważył, że były wypełnione co do jednego.

— Dziękuję za szybkie przybycie — przywitał Jack dziennikarzy głosem tak spokojnym, na jaki tylko mógł się zdobyć.

— Ostatnie wydarzenia w Iraku mają istotny wpływ na bezpieczeństwo tego regionu o wielkim znaczeniu dla interesów Ameryki i jej sojuszników. Bez większego żalu powitaliśmy wieść o śmierci prezydenta Iraku. Jak doskonale wiecie, jego agresywne zapędy doprowadziły do wybuchu dwóch wojen w tym jakże zapalnym regionie świata, odpowiedzialny był też za brutalne prześladowania mniejszości kurdyjskiej i pozbawienie większości obywateli swojego kraju podstawowych swobód i wolności obywatelskich. Irak to kraj, który powinien rozkwiąć. Rozporządza znaczną częścią światowych zasobów ropy naftowej, ma rozwinięty przemysł i duży potencjał ludzki. Do szczę-

ścia brakowało mu tylko rządu respektującego potrzeby obywateli. Żywimy nadzieję, że odejście poprzedniego przywódcy daje teraz szansę na osiągnięcie pożądanego stanu. — Jack podniósł wzrok znad notatek. — Ameryka wyciąga więc pomocną dłoń ku Irakowi. Mamy nadzieję na normalizację stosunków, by raz na zawsze położyć kres konfliktom między Irakiem a jego sąsiadami znad Zatoki Perskiej. Poinstruowałem pełniącego obowiązki sekretarza stanu Scotta Adlera, by nawiązał stosunki z rządem irackim, byśmy mogli w drodze negocjacji załatwić sprawy obopólnie interesujące nasze kraje. W razie gdyby nowy rząd pozytywnie odniósł się do spraw przestrzegania praw człowieka i zobowiązał się przeprowadzić wolne i demokratyczne wybory, Ameryka wyraża gotowość do wnioskowania na forum międzynarodowym o odwołanie sankcji gospodarczych nałożonych na to państwo i szybkie przywrócenie pełnych stosunków dyplomatycznych.

Dosyć już wzajemnej wrogości między naszymi krajami. To nienormalne, by kraj rozporządzający takimi bogactwami naturalnymi znajdował się nadal na uboczu spraw światowych. Ameryka oferuje swoje usługi w zakresie mediacji w procesie odbudowy podstaw pokojowego współistnienia pomiędzy naszymi sojusznikami w Zatoce a Ira-

kiem. Oczekujemy pozytywnej odpowiedzi z Bagdadu na nasze propozycje, byśmy mogli zacząć realizować nasze obietnice. — Prezydent Ryan złożył notatki i odsunął je na bok. — I na tym kończy się moje przygotowane wystąpienie. Są pytania?

Przerwa trwała zaledwie kilka mikrosekund.

— Proszę pana — jako pierwszy wyrwał się korespondent „New York Timesa” — wiceprezydent Kealty twierdzi, że to on jest prezydentem, a nie pan. Co pan ma na ten temat do powiedzenia?

— Twierdzenia pana Kealty’ego są pozbawione podstaw — chłodno odparł Ryan. — Proszę o następne pytanie.

Dopiero co kłął na te gierki, a teraz sam je prowadził. Nikt nie dał się nabrać. Wszyscy wiedzieli doskonale, że oświadczenie na temat Iraku mógł wygłosić ktokolwiek, rzecznik Białego Domu czy Departamentu Stanu. Nie wymagało to udziału prezydenta, a jednak to właśnie on się tu pojawił i stał teraz w świetle jupiterów, patrząc na twarze zgromadzonych, jak chrześcijanin w Koloseum na lwy. To może już przesada, chrześcijaństwo nie miewało raczej ochrony z Tajnej Służby.

— Ja w tej samej sprawie — zapytał dziennikarz z „Timesa”. — A co jeżeli on naprawdę nie zrezygnował?

— Pan Kealty zrezygnował. Gdyby było inaczej, nie zostałbym desygnowany i zaprzysiężony na swoje stanowisko. W tej sytuacji pańskie pytanie nie ma sensu.

— Ale jeżeli on mówi prawdę?

— Nie mówi. — Ryan zaczerpnął głęboko powietrze, jak uczył go Arnie i dopiero po chwili kontynuował: — Pan Kealty złożył dymisję na wniosek prezydenta Durlinga. Wszyscy znacie jej powody. FBI prowadziła w jego sprawie dochodzenie o molestowanie seksualne w czasach, gdy był jeszcze senatorem. Dochodzenie dotyczyło napaści na tle seksualnym, by nie użyć sformułowania „usiłowanie zgwałcenia”, na jedną z asystentek senatora Kealty’ego. Jego dymisja była częścią układu zawartego przed sądem i mającego na celu uniknięcie postępowania karnego w tej sprawie. — Ryan spojrzął po sali i zdziwił się sam na widok pobladłych twarzy starych wyg. Rzucił rękawicę Kealty’emu i słychać było, że spadła z łoskotem. W martwej ciszy dobitnie powiedział: — Wicie już kto jest prezydentem. Czy moglibyśmy się teraz zająć sprawami naprawdę ważnymi dla kraju?

— Co pan zrobi w tej sprawie? — zapytał dziennikarz sieci ABC.

— W której? Kealty’ego czy Iraku? — zapytał Ryan, a z intonacji głosu wyczytać można było wyraźnie, że preferuje wypowiedź na ten drugi temat.

— W sprawie Kealty’ego, sir.

— Poprosiłem FBI o sprawdzenie tej sprawy. Oczekuję dziś po południu raportu na ten temat i na jego podstawie podejmę dalsze działania. I bez tego mamy wiele do zrobienia.

— W tej samej kwestii. . . Co pan powie o swoim wczorajszym apelu do gubernatorów, który skomentował dziś na antenie wiceprezydent Kealty? Czy pan naprawdę chce oddać najważniejsze sprawy kraju w ręce amatorów?

— Tak. Tak właśnie mam zamiar zrobić. Po pierwsze, rodzi się pytanie o to, czy mamy wielu ludzi doświadczonych w pracy parlamentarnej? Odpowiedź jest prosta. Nie, nie mamy. Tych parę osób, które przeżyły tę noc, to wszystko. Bo kto poza nimi? Ci, których wyborcy odwołali z Izby w poprzednich wyborach? Czy naprawdę chcemy ich powrotu? Ja nie chcę i myślę, że inni obywatele tego kraju także tego nie pragną. Chcę za to, i myślę, że inni też tego chcą, ludzi zdolnych robić najróżniejsze rzeczy.

Prawda jest taka, że rząd jest ze swej natury niewydolny. Nie pomoże mu wybranie do niego jeszcze większej liczby ludzi, którzy od zawsze w nim pracowali. Ojcowie-założyciele Stanów Zjednoczonych chcieli, by prawodawcami byli zwykli obywatele, a nie jakaś dziedziczna rządząca kasta. Z tego też powodu myślę, że moja prośba była zgodna z głównymi założeniami twórców konstytucji. Następne pytanie?

— Ale kto rozstrzygnie problem? — zapytał dziennikarz z „Los Angeles Timesa”. Nie musiał już precyzować, o który problem chodzi.

— Problem już został rozstrzygnięty — zdecydowanie oświadczył Ryan. — Dziękuję za liczne przybycie. Proszę mi wybaczyć, ale mam dzisiaj jeszcze mnóstwo pracy. — Zebrał kartki i wyszedł zza mównicy w kierunku drzwi z prawej strony sali.

— Panie Ryan! Panie Ryan! — doszły go liczne głosy z sali. Jack nie zatrzymał się, wyszedł i stanął dopiero za rogiem korytarza.

— Biorąc pod uwagę okoliczności, wyszło całkiem nieźle — ostrożnie pochwalił go Arnie.

— Może i nieźle, ale z jednym wyjątkiem — odparł Ryan. — Przez cały czas ani razu nikt nie powiedział do mnie „panie prezydencie”.

* * *

Moudi odebrał telefon, rozmowa trwała zaledwie kilka sekund. Potem wyszedł do oddziału zakaźnego. Założył strój ochronny, przedtem starannie sprawdzając szczelność szwów. Kombinezon był wyprodukowany w Europie, na wzór amerykańskich kombinezonów *Racal*. Gruby, nieprzezroczysty niebieski plastik wzmocniony był włóknem kevlarowym. Z tyłu, na pasie, wisiał klimatyzator, tłoczący do wnętrza filtrowane powietrze. Wewnątrz utrzymywało się lekkie nadciśnienie, aby w razie przebicia lub nie szczelności zakażone powietrze nie dostawało się do środka. Nie było na razie wiadomo, czy ebola przenosi się drogą powietrzną, ale lepiej nie stać się pierwszym przypadkiem, który tego dowiedzie. Przeszedł przez służbę, ruszył korytarzem do drzwi izolatki zakonnicy i wszedł do środka. Siostra Maria Magdalena trwała, jak zwykle, na posterunku, ubrana w taki sam kombinezon. Obie pielęgniarki wiedziały aż za dobrze, co znaczy dla pacjenta widok kogoś ubranego w hermetyczny kombinezon.

— Dobry wieczór, siostrzo — powiedział, sięgając ręką w rękawiczce po kartę choroby. Niedobrze. 41,4° mimo lodu. Tętno 115, o wiele za szybkie. Oddech 24, płytki.

Spadek ciśnienia krwi bez wątpienia na skutek wewnętrznego krwawienia. I to mimo podania czterech jednostek krwi. Pewnie straciła jeszcze więcej. Skład krwi zdradzał kompletny rozstrój organizmu. Dawki morfiny już nie można powiększać, bo zaczęły się trudności z oddychaniem. Siostra Jeanne Baptiste była półprzytomna, na granicy śpiączki, ze względu na wielką ilość środków przeciwbólowych, ale mimo to ból nie pozwalał jej zapaść w śpiączkę.

Siostra Maria Magdalena popatrzyła na niego przez plastikową szybę maski, a w jej oczach odbijał się głęboki smutek, popadający wręcz w rozpacz, której nawet religijny zapał nie był już w stanie zwalczyć. Podobnie jak Moudi i Jeanne Baptiste, Maria Magdalena także widziała już wszelkie rodzaje śmierci, na malarię, na raka, na AIDS. Ale nic nie dorównywało brutalną łapczywością i okrucieństwem tej choroby. Uderzała ona i powalała tak szybko, że pacjentowi nie zostawiała wcale czasu na przygotowanie się, na zebranie myśli, na wzmocnienie duszy modlitwą i wiarą. Była jak wypadek samochodowy, zabijała skutecznie, ale na tyle długo, by wyniszczyć cierpieniem, do którego organizm nie miał już się czasu przyzwyczaić. Jeżeli szatan cokolwiek tworzył, to bez wątpienia był to jego podarek dla świata.

— Samolot już jest w drodze.

— Co teraz będzie?

— Profesor Rousseau zasugerował terapię uderzeniową. Zaczniemy od wymiany całej krwi w organizmie i przepłukania krwioobiegu natlenionym roztworem soli fizjologicznej. Potem zaczniemy przetaczać z powrotem krew, ale zdrową, zawierającą przeciwciała ebola, które powinny zaatakować i zniszczyć namnożone wirusy w całym ciele.

Siostra zastanowiła się nad tym, co usłyszała. To nawet nie było tak radykalne rozwiązanie, jak się wielu mogło zdawać. Kompletna wymiana całej krwi w organizmie była stosowana w leczeniu już od końca lat 60. Oczywiście, nie była to metoda do stosowania na co dzień i w dodatku wymagała użycia płucoserca. Ale to była jej przyjaciółka i w tej chwili nie mogła się zdecydować na rozmyślanie o przydatności metody profesora Rousseau.

Siostra Jeanne Baptiste otworzyła w tej chwili oczy. Patrzyła gdzieś w dal, nic nie widząc. Może nawet nie była przytomna, może po prostu jakiś bolesny skurcz mięśni otworzył powieki. Moudi spojrzął na kroplówkę z morfiną. Gdyby chodziło tylko o ból,

mógł po prostu odkręcić kurek i uśmierzyć go choćby za cenę położenia kresu cierpieniom pacjentki. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał dowieźć ją żywą i, choć los na pewno będzie dla niej okrutny, to nie on dla niej wybrał.

— Muszę z nią jechać — oświadczyła siostra Maria Magdalena. Moudi pokręcił głową.

— Nie mogę się na to zgodzić.

— Taka jest reguła zakonu. Nie może podróżować samotnie.

— To będzie niebezpieczne, siostrzo. Już samo jej przenoszenie niesie ze sobą ryzyko. W samolocie będziemy oddychać powietrzem w obiegu zamkniętym. Zwiększania kręgu narażonych na zakażenie nie ma sensu. — Jeden trup po drodze całkowicie wystarczy.

— Nie mam wyboru.

— Jak sobie siostra życzy — pokiwał głową. Jej przeznaczenia także nie wybierał.

* * *

Samolot wylądował na lotnisku międzynarodowym imienia Jomo Kenyatty, piętnaście kilometrów od Nairobi, i pokołował do terminalu towarowego. To był stary *Boeing 707*, niegdyś maszyna z osobistej floty powietrznej szacha, dawno obdarta z luksusowego wykończenia do gołego metalu. Ciężarówki już czekały. Pierwsza podjechała do tylnego luku na prawej burcie, otwartego w kilka sekund po tym, jak obsługa naziemna podstawiła kliny pod koła samolotu.

Na ciężarówkach stało sto pięćdziesiąt drewnianych klatek, z których każda zawierała jedną afrykańską małpę zieloną. Wszyscy czarni robotnicy przeładowujący klatki nosili rękawice ochronne, bo małpy, jakby czując pismo nosem, wpadły w histerię, wykorzystując każdą okazję, by gryźć i drapać. Wrzeszczały jak opętane, oddawały mocz i wypróżniały się, ale wszystko na próżno. Wewnątrz załoga śledziła wysiłki ładowaczy z dystansem, nie chcąc mieć nic do czynienia z tym wszystkim. Być może Koran nie obłożył fatwą tych małych, hałaśliwych, paskudnych stworzeń, ale były one na tyle obrzydliwe, że nie istniała chyba taka potrzeba. Zresztą i tak po lądowaniu będzie ich

czekało mało przyjemne zadanie czyszczenia i dezynfekowania całego samolotu. Załadunek trwał pół godziny. Klatki zostały ustawione, przymocowane do uchwyty w podłodze, ładowacze odebrali swoją zapłatę i odjechali zadowoleni, że wreszcie skończyli. Miejsce ich ciężarówki zajęła nisko zawieszona cysterna z paliwem.

— Doskonale — pochwalił nabywca handlarza.

— Mieliśmy szczęście. Mój znajomy miał akurat dużą partię, ale odbiorca zwlekał z zapłatą. W związku z tym. . .

— Rozumiem. Dziesięć procent ekstra?

— To powinno wystarczyć.

— Z przyjemnością. Jutro rano dostanie pan dodatkowy czek. A może woli pan gotówkę?

Boeing uruchomił silniki i obaj mężczyźni odwrócili się na ten dźwięk. Za kilka minut samolot odleci do Entebbe w Ugandzie.

* * *

— Coś tu śmierdzi — stwierdził Bert Vasco, zamykając teczkę.

— Możesz coś konkretniej? — zapytała Mary Pat.

— Jestem z Kuby. Mój ojciec opowiadał mi kiedyś o tej nocy, której Batista uciekł z kraju. Starszyzna z armii zebrała się wtedy gdzieś na boku, a potem zaczęła po kolei wsiadać do samolotów, cicho, szybko i sprawnie wynosząc się tam, gdzie mieli depozyty bankowe, pozostawiając resztę na lodzie. — Bert Vasco stanowił wyjątek od reguły: był pracownikiem Departamentu Stanu, który nie brzydził się CIA, więcej, miał tam wielu przyjaciół. Może z powodu swojego kubańskiego pochodzenia rozumiał, że wywiad i dyplomacja zawsze w jednym stały domku i że lepiej, żeby ze sobą współpracowały, niż żeby miały wchodzić sobie w drogę. Nie był to pogląd popularny w departamencie. To był jeden z głównych problemów całej maszyny rządowej: każdy uprawiał tylko swoje poletko i zazdrośnie zerkał przez miedzę na rabatki sąsiada.

— Myślisz, że o to chodzi? — MP znowu wyprzedziła męża o ułamek sekundy.

— Tak wygląda.

— A jesteś tego na tyle pewny, żeby pójść z tym do prezydenta?

— Którego? — zapytał Vasco. — Żebyście słyszeli co się u nas mówi w departamencie, odkąd FBI okupuje siódme piętro. Tak czy inaczej, raczej jestem pewny. To

tylko domysł, ale oparty na dobrych podstawach. Trzeba się dowiedzieć, czy i kto próbował się z nimi dogadywać. Nikogo tam nie macie, co?

Oboje Foleyowie opuścili głowy, co wystarczyło za odpowiedź.

* * *

— Oskarżenia pana Ryana dowodzą, że intrygowania w polityce nauczył się dużo szybciej, niż pozytywnych stron tej profesji — oświadczył Ed Kealty głosem, w którym poczucie żalu górowało nad ledwie zaznaczonym gniewem. — Naprawdę bardzo się zawiodłem na panu Ryanie.

— Tak więc, zaprzecza pan zarzutom? — zapytał dziennikarz ABC.

— Oczywiście, że tak. Nie jest tajemnicą, że miewałem kiedyś problemy z alkoholem, ale już sobie z nimi poradziłem. Nie jest również tajemnicą, że moje zachowanie czasami budziło wątpliwości, ale i to już się zmieniło, z pomocą kościoła i mojej małżonki — dodał, ściskając jej dłoń, a ona popatrzyła na niego wzrokiem, w którym ślepy wyczytałby współczucie i żelazne poparcie. — Te zarzuty w ogóle nie mają nic wspólnego ze sprawą. Trzeba stawiać interesy ojczyzny na pierwszym miejscu. Osobi-

ste urazy nijak się do tego mają, Sam. Od ludzi na pewnych stanowiskach wymaga się, by byli się w stanie wznieść ponad nie.

— Skurwysyn — wymamrotał Jack.

— A czy ktoś mówił, że to będzie droga wymoszczona różami?

— Jak on może to wygrać, Arnie?

— To zależy. Na razie jeszcze nie wiadomo do końca, w co on gra.

— ...mógłbym też powiedzieć o panu Rynie, ale nie tego oczekuje od nas w tej chwili nasza ojczyzna. Kraj potrzebuje stabilizacji, a nie swarów. Naród potrzebuje przywództwa. Doświadczonego i znającego się na rzeczy prezydenta.

— Arnie, ile ten skurwysyn...?

— Swego czasu chwalił się, że zerznąłby nawet węza, gdyby ktoś go pottrzymał. Jack, nie o to chodzi. Nawet nie myśl o tym. Pamiętaj, co powiedział kiedyś Allen Drury: w tym mieście ma się do czynienia nie z ludźmi, ale z opiniami o nich. Prasa kocha Eda, zawsze go kochała. Kocha jego, jego rodzinę, jego poglądy...

— Pieprzę to!

— Posłuchaj uważnie, Jack. Chcesz być prezydentem? Chcesz? To nie wolno ci się denerwować. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Kiedy prezydenci tracą panowanie nad sobą, ludzie tracą życie. Nieraz sam to widziałeś, tak? Ludzie tam, za ścianą, chcą wiedzieć, że tu siedzi facet, który zawsze trzyma nerwy na wodzy, myśli trzeźwo i jest rozsądny. Zawsze, rozumiesz?

Ryan przełknął ślinę i pokiwał głową. Od czasu do czasu można sobie pozwolić na rozładowanie gniewu, ale trzeba wiedzieć kiedy. Tego jeszcze musiał się nauczyć.

— To co mi radzisz?

— Jesteś prezydentem. Zachowuj się jak prezydent. Rób swoje. Wyglądaj jak prezydent. To, co powiedziałeś na konferencji prasowej było w porządku. Zarzuty Kealty’ego są bezpodstawne. FBI je sprawdza, bo tak trzeba, ale i tak się nie liczą. Złożyłeś przysięgę, mieszkasz tutaj i o to chodzi. Bądź ponad to, spraw by się przestał liczyć, to sobie wreszcie pójdzie. Bo jeśli się przejmiesz tym, co on wygaduje, i skupisz całą uwagę na walce z nim, to tym samym uznasz, że może mieć rację i wtedy będzie po tobie.

— A media?

— Daj im szansę, a na pewno wszystko pójdzie jak trzeba.

* * *

— To co, Ralph, dziś wracamy do domu?

Augustus Lorenz i Ralph Forster byli starymi zawodowcami. Obaj zaczęli swe kariery w wojsku, jeden jako chirurg, drugi jako internista. W czasach prezydenta Kennedy'ego, na długo zanim wojna rozgorzała na dobre, zostali przydzieleni do Grupy Doradców Wojskowych w Wietnamie. Tam przekonali się, że na tym niedoskonałym świecie dzieje się mnóstwo rzeczy, o których na studiach słyszeli, ale nie zapamiętali. Że oto gdzieś w odległych zakątkach świata nadal choroby zabijają więcej ludzi niż sąsiedzi. Wychowani w amerykańskich miastach widzieli na własne oczy wielkie triumfy medycyny, poskromienie gruźlicy, zapalenia płuc i choroby Heine-Medina. Jak wielu z ich pokolenia, myśleli, że w epoce szczepień choroby zakaźne to już przeszłość. W dżungli relatywnie wtedy jeszcze spokojnego Wietnamu przekonali się, że wcale tak nie jest. Młodzi, silni, zaszczepieni na wszystkie znane cywilizacji choroby żołnierze amerykańscy i południowowietnamscy marli na ich oczach, zabici przez zarazki, o których nigdy się nie uczyli i na które nie znano lekarstwa. Pewnego wieczoru w barze

„Caravelle” doszli do wspólnego wniosku, że tak być nie powinno. Byli młodzi, pełni zapału i idealizmu, wrócili więc do szkoły i zaczęli od nowa uczyć się zawodu, zapoczątkowując proces, który trwał do tej pory i pewnie będzie trwał, kiedy ich już nie będzie na świecie. Forster trafił do Hopkinsa, Lorenz do Atlanty, gdzie został kierownikiem oddziału epidemiologicznego. Zanim do tego doszło, obaj wylatali więcej godzin, niż kapitanowie linii lotniczych i byli w miejscach bardziej egzotycznych, niż fotografowie „National Geographic”, wciąż w pościgu za organizmami zbyt małymi, by je było widać, a zbyt śmiercionośnymi, by je można zlekceważyć.

— Chyba trzeba będzie, zanim ten nowy zajmie mój fotel na dobre.

Kandydat do Nobla w dziedzinie medycyny roześmiał się.

— Alex jest dobry. Cieszę się, że mu się udało wreszcie urwać z wojska. Kiedyś łowiliśmy razem ryby w Brazylii, wtedy jak mieli. . . — Nie dokończył, bo technik pomachał ręką znad mikroskopu elektronowego, że próbka jest już widoczna. — O, popatrz sobie na naszego małego przyjaciela.

Niektórzy nazywali ten wirus pastorałem. Lorenzowi bardziej przypominał egipski Ankh, ale to też nie było to. W każdym razie piękna trudno się było w tym doszuki-

wać, bo maleńki wirus był wcieleniem zła. Pionowe, zakrzywione pasmo RNA, kwasu rybonukleinowego, zawierało kod genetyczny wirusa. Z jego szczytu wyrastały dziwne, poskręcane struktury proteinowe. Nikt do tej pory nie wiedział, jak funkcjonują, ale obaj uważali, że być może kierują one działaniem wirusa. Być może. Ani oni, ani nikt inny nie był tego pewny, mimo że od dwudziestu lat trwały intensywne badania.

To bydłę w ogóle nie żyło, a mimo to zabijało. Organizmowi do życia niezbędne są RNA i DNA równocześnie, a wirus ebola ma albo jeden albo drugi kwas. I mimo to jakoś trwa w uśpieniu, dopóki nie napotka żywej komórki. Kiedy raz się do niej dostanie, ożywa i morduje wszystko, co napotka na drodze, w samobójczym pędzie niszcząc żywiciela, mnożąc się i zżerając go, aż wreszcie nic nie pozostanie i wtedy znowu zapadnie w śpiączkę, albo trafi na nowego żywiciela. Ebola jest maleńki. Sto tysięcy wirusów, ustawionych w rzędzie zapełniłoby centymetr na linijce. A zabić potrafi już jeden.

Pamięć medycyny nie była tak długa, jak by sobie tego życzył lekarz. W 1918 roku grypa „hiszpanka”, zapewne jakaś zmutowana odmiana zapalenia płuc, w ciągu dziewięciu miesięcy obesła cały świat, zabijając co najmniej dwadzieścia milionów ludzi,

możliwe, że dużo więcej, czasami w mgnieniu oka. Donoszono o przypadkach ludzi, którzy kładąc się spać w doskonałym zdrowiu, rano już się nie budzili. Symptomy choroby były powszechnie znane i udokumentowane, ale postęp medycyny do tej pory nie poszedł jeszcze tak daleko, by pozwolił ustalić genezę choroby. Do dziś właściwie nie wiadomo, co to było, skąd się wzięło i dlaczego pojawiło się właśnie tam i właśnie wtedy. Doszło w końcu do tego, że zdecydowano się w latach 70. na ekshumację szczątków ofiar pochowanych w wiecznej zmarzlinie na Alasce. Pomysł był niezły, ale niestety nic nie dał. Dla lekarzy to zamierzchła przeszłość, panuje wśród nich przekonanie, że jeśli choroba nawet na nowo się pojawi, to nowoczesnymi metodami na pewno dadzą jej radę. Specjaliści epidemiolodzy nie są tego tacy pewni. To był pewnie jakiś wirus, jak HIV, czy ebola, a medycyna z wirusami zupełnie sobie nie radzi. Chorobom wirusowym można zapobiegać przez szczepienia, ale jeżeli wirus już zaatakuje człowieka, to medycyna nic na to nie poradzi — albo system odpornościowy pacjenta go zwalczy, albo nie. Najlepszym lekarzom nie pozostaje nic innego jak stać i patrzeć. Zresztą lekarze to też ludzie i, podobnie jak specjaliści z każdej dziedziny, mają predylekcję do ignorowania tego, czego nie widzą i nie rozumieją. To jedyne wytłumaczenie tak powolnego rozpo-

znania AIDS jako jednostki chorobowej. AIDS to kolejny prezent z Afryki, z którym dwaj starzy doktorzy nie raz krzyżowali szpady, czy raczej igły preparacyjne.

— Wiesz co, Gus? Czasem się zastanawiam, czy my kiedykolwiek rozgryziemy to skurwysyństwo.

— Na pewno, Ralph. Prędzej czy później, ale na pewno — odparł Lorenz znad mikroskopu, a właściwie znad ekranu komputera, obrabiającego obraz spod mikroskopu elektronowego. Odchylił się na oparcie krzesła i zachciało mu się nagle zapalić fajkę. Nigdy nie zrezygnował z tego nałogu, mimo że praca w budynku federalnym czyniła folgowanie mu koszmarem. Cóż z tego, skoro z fajką po prostu lepiej mu się myślało. Obaj patrzyli teraz na ekran, przypatrując się proteinowym strukturom wirusa.

— To od tego chłopca.

Szli śladami gigantów. Lorenz pisał pracę o Walterze Reedzie i Williamie Gorgasie, dwóch lekarzach wojskowych, którzy drogą systematycznego śledztwa i bezwzględniego narzucania zaleceń zwalczyli żółtą febrę. Wiedza w tej dziedzinie medycyny przyra- stała jednak bardzo powoli i za bardzo wysoką cenę.

— Dołóż ten drugi, Kenny.

— Tak jest, panie doktorze — odezwał się z interkomu technik. Po chwili na ekranie pokazał się jeszcze jeden obraz.

— Aha — powiedział Forster. — Skóra żywcem zdjęta z tatusia.

— Ten jest siostry zakonnej. A popatrz teraz. — Lorenz sięgnął do telefonu i naciskając guzik, powiedział: — Dobra, Kenny, puść to przez komputer.

Za chwilę na ekranie pojawiły się dwa przestrzenne obrazy wirusa. Komputer obrócił je, dopasował i w końcu nałożył. Pasowały idealnie.

— No to przynajmniej wiemy, że nie zmutował po drodze.

— Nie miał za bardzo kiedy. Tylko dwoje pacjentów. No i szybko ich izolowano. Może mieliśmy szczęście. Rodzice dzieciaka zostali przebadani, są czyści, a przynajmniej tak mówi teleks. W sąsiedztwie cisza błoga, ale zespół WHO nadal sprawdza teren. Jak zwykle: małpy, nietoperze, psy i tak dalej. Jak dotąd nic. Może to jakaś anomalia? — To ostatnie to bardziej nadzieja, niż osąd.

— Trochę się z nim pobawię. Zamówiłem małpy, mam zamiar wyhodować to cholerstwo, posiać na szalkach i wtedy będę nadzorował minuta po minucie. Wyodrębnić zakażone komórki, pobierać co minutę próbki, wypalić ultrafioletem, zamrozić w cie-

kłym azocie i pod mikroskop. Chciałbym rzucić okiem na zmiany RNA. Może da się wyodrębnić jakąś sekwencję, sam nie wiem. Coś mi świta. — Gus otworzył szufladę biurka, wyciągnął fajkę i zapalił. Co do diabła, w końcu jest w swoim gabinecie, a skoro lepiej mu się myślało z fajką, to sobie zapali. Co, wyrzucą go może za to z pracy? W terenie przynajmniej mógł twierdzić, że odstrasza komary, zresztą i tak się nie zaciągał. Tylko z grzeczności wobec gościa otworzył okno.

Pomysł, który mu przyszedł do głowy, był dużo bardziej skomplikowany niż jego krótki wykład i obaj doskonale o tym wiedzieli. Jeżeli mają cokolwiek na tym skorzystać, procedura eksperymentu musi zostać powtórzona tysiące razy, a to dopiero początek. Potem trzeba będzie dokładnie zbadać i opisać każdą próbkę. To będzie trwało latami, ale jeżeli Lorenz miał rację, to w końcu uzyskają po raz pierwszy zapis tego, jak RNA wirusa działa na zaatakowaną komórkę.

— W Baltimore wpadliśmy na to samo.

— O?

— Tyle że u nas skoncentrowaliśmy się na genach i zamierzaliśmy odczytywać, jak to bydlę atakuje komórki na poziomie molekularnym. Jakim cudem się powieli, bez

kompletnego materiału genetycznego. Tu trzeba się jeszcze wielu rzeczy nauczyć, ale dzięki temu może dowiemy się, czego nie wiemy. Musimy sformułować pytania, zanim zaczniemy szukać odpowiedzi. A potem posadzi się nad komputerem jakiegoś geniusza i niech nauczy tę maszynę to analizować.

Brwi Lorenza powędrowały w górę.

— Jak daleko zaawansowane są prace?

— Kreda na tablicy — wzruszył ramionami Forster.

— No, ja przynajmniej zamówiłem małpy. Jak się czegoś dowiem, zaraz prześlę ci wyniki. Może chociaż te próbki na coś się przydadzą?

* * *

Pogrzeb był wspaniałym widowiskiem, z udziałem tysięcy statystów, wykrzykujących swoje uwielbienie dla zmarłego. Na ich twarzach malowało się jednak coś więcej niż obowiązkowy smutek — wyglądali jakby się z zakłopotaniem rozglądali i zastanawiali „i co teraz?”. Wszystko było jak trzeba: laweta armatnia, koń bez jeźdźca, żołnierze z karabinami kolbami do góry. Widać, że brytyjskie zwyczaje wojskowe zaważyły

w Iraku nie tylko na kroju generalskich mundurów. Kamery irackiej telewizji pokazywały procesję pogrzebową i maszerujących żołnierzy, a stacja Sztorm przekazywała ten obraz przez satelitę do Waszyngtonu.

— Szkoda, że pokazują tak mało twarzy — powiedział cicho Vasco.

— Tak — zgodził się prezydent. Nie uśmiechnął się, choć miał ochotę. Chyba już nigdy nie przestanie być szpiegiem. Zawsze chciał świeżych, nie przetrawionych informacji wywiadowczych. Nie wystarczało mu przekazanie najistotniejszej treści przez kogoś obcego. Nie, on musiał sam, zupełnie jak wtedy, kiedy nie miał większych zmarwień. Teraz też — uparł się, że transmisję z pogrzebu Saddama będzie oglądał na żywo, w towarzystwie tych, którzy też mieli coś do powiedzenia na ten temat.

Samo widowisko istotnie okazało się ciekawe. Pokolenie temu coś takiego nazwano by w Ameryce happeningiem. Aktorzy-naturšczyicy po kolei występowali i wygłaszali swoje wyuczone kwestie, bo tak było trzeba. Morze ludzi wypełniało plac, którego nazwy właśnie przed chwilą nikt nie mógł sobie przypomnieć i patrzyło. Co ciekawe, nawet tylne rzędy, które nie mogły nic widzieć... A, no tak. Widok z innej kamery wyjaśnił zagadkę. Dookoła placu stały wielkie telewizyjne ekrany, na których można było

śledzić całą uroczystość. Ciekawe, czy będą też powtórki? Za lawetą szedł podwójny szereg generałów. I dotrzymywali kroku. Naszym też by się taki spacer przydał. . .

— Ilu z nich zwieje za granicę? — zapytał Ryan.

— Trudno powiedzieć, panie prezydencie.

— Masz na imię Bert, tak?

— Tak jest, panie prezydencie.

— Bert, jak będę chciał usłyszeć, że czegoś nie wiadomo, to spytam kogoś z mojego sztabu.

Vasco zamrugął powiekami. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że niczym nie ryzykuje,

— Jak dla mnie, to ośmiu na dziesięciu da nogę i to szybko.

— Dlaczego? Mają dużo do stracenia.

— Nie bardzo mają inne wyjście. Dyktatury nie da się kontynuować wspólnie, a w każdym razie, niezbyt długo. Żaden z nich nie ma na tyle jaj, żeby wziąć to wszystko na siebie. Jeżeli zostaną i dojdzie do zmiany rządu, to oni na tym dobrze nie wyjdą. Raz już to przerabiali, kiedy Saddam dochodził do władzy, tyle że wtedy udało im się

ustawić po właściwej stronie karabinu, a teraz nie mają na to gwarancji. Może staną do walki, ale raczej wątpię. Na pewno ulokowali gdzieś za granicą pieniądze. Teraz po nie pojedą i już. Wie pan, picie daiquiri na plaży po kres dnia swoich nie jest może zajęciem tak ekscytującym, jak bycie generałem w totalitarnym państwie, ale bije na głowę wążchanie kwiatków od strony korzonków. No i mają rodziny.

— Czyli do władzy dojdzie ktoś zupełnie inny?

— Tak uważam, panie prezydencie.

— Iran?

— Prywatnie postawiłbym na to pięć dolarów, panie prezydencie, ale nie mamy na tyle pewnych danych, żeby na nich opierać jakiegokolwiek urzędowe prognozy. Bardzo chciałbym móc panu powiedzieć więcej, ale za spekulacje mi pan nie płaci.

— Dobra. Na razie wystarczy. — Nie wystarczyło, ale Ryan widział, że Bert stara się i nie boi mówić o swoich domysłach. — Nie możemy nic na to poradzić? — To już było pytanie do Foleyów.

— Nic — potwierdził Ed. — Może nawet udałoby się tam kogoś umieścić, może posłać kogoś z naszych ludzi z Arabii Saudyjskiej, ale z kim miałby się tam spotkać? Nie mamy pojęcia, kto tam teraz rządzi.

— Jeżeli w ogóle ktoś rządzi — dodała Mary Pat, patrząc na defiladę na ekranie telewizora. Wszyscy żołnierze szli równą ławą, nikt nie wyłamywał się z szyku.

* * *

— Jak to? — oburzył się odbiorca.

— Nie zapłacił pan w terminie — wyjaśnił handlarz i beknął po opróżnieniu pierwszego piwa duszkiem. — Znalazł się inny klient i cóż. . .

— Ale to były tylko dwa dni! Mieliśmy kłopoty z transferem pieniędzy i. . .

— A teraz macie pieniądze?

— Tak.

— No to poczekajcie parę dni i znajdę wam jakieś małpy. — Handlarz podniósł rękę i pstryknął palcami, wzywając kelnera. Angielski plantator w tym samym barze pięć-

dziesiąt lat temu nie potrafiłby tego zrobić lepiej. — W końcu żaden problem. Tydzień, może nawet krócej?

— Ale Atlanta chce je natychmiast. Samolot już tu leci!

— Zrobię co będzie w mojej mocy. Proszę powiedzieć klientowi, że jeżeli wymaga terminowej dostawy, to powinien się liczyć z tym, że ktoś może wymagać terminowej płatności. Dziękuję — odebrał piwo od kelnera. — Dla mojego gościa też — dodał. Po odebraniu honorarium za małpy od poprzedniego klienta mógł sobie pozwolić na szeroki gest.

— Jak długo?

— Mówiłem: tydzień, może mniej. — Czego się tak ciska? Te parę dni uratuje ludzkość, czy co?

Nabywca nie miał wyboru, przynajmniej tu, w Kenii. Zdecydował się wypić piwo i pogadać o innych sprawach. A potem może zadzwoni do Tanzanii. W końcu tych cholernych małp nie brakuje w całej środkowej Afryce.

Dwie godziny później przekonał się, że był w błędzie. Małp wszędzie brakowało i w ciągu najbliższych paru dni, zanim myśliwi nie nałapią nowych, na pewno ich nie dostanie.

* * *

Vasco poza komentowaniem zajmował się także tłumaczeniem z arabskiego.

— Nasz mądry i ukochany przywódca, któremu tak wiele zawdzięczamy...

— Tak, zwłaszcza zdecydowane ograniczenie populacji Iraku — wtrącił z przekąsem Foley.

Żołnierze, sami gwardziści republikańscy, przenieśli trumnę do wykopanego grobu, spuszczać ją do ziemi ponad dwie dekady historii Iraku. Ryan zastanawiał się, kto napisze jej następny rozdział.

15 — Dostawy

— No i? — zapytał Ryan, po wypuszczeniu ostatnich gości.

— Listu, jeżeli tam w ogóle był, nie znaleziono — odparł inspektor O'Day. — Jedyne czego się dowiedzieliśmy, to tego, że sekretarz Hanson nie przykładął większej wagi do ochrony tajnych dokumentów. To opinia szefa ochrony Departamentu Stanu. Mówi, że wielokrotnie zwracał mu na to uwagę. Moi ludzie przesłuchują teraz osoby, które mogły wchodzić i wychodzić z gabinetu od dnia zamachu.

— Kto prowadzi sprawę? — zapytał Ryan. Hanson mógł być dobrym i skutecznym dyplomata, ale nigdy nie słuchał uważnie dobrych rad.

— Pan Murray przekazał to BOZ, które ma ją prowadzić niezależnie od dyrektora. W ten sposób ja też zostałem odsunięty od śledztwa, jako człowiek, który kiedyś składał panu bezpośrednio raporty. Ta wizyta jest ostatnim moim działaniem w tej sprawie.

— Zgodnie z przepisami, co?

— Panie prezydencie, nic na to nie poradzimy. Musi tak być. Będą im pomagać radcy prawni Biura. To dobrzy agenci. — O'Day zastanowił się przez chwilę. — A kto wchodził do biura wiceprezydenta?

— Tu, w Białym Domu?

— Tak jest, panie prezydencie.

— Ostatnio nikt — odpowiedziała Andrea Price. — Nikt go nie używał, odkąd Kealty odszedł. Razem z nim odeszła jego sekretarka. . .

— Niech ktoś sprawdzi jej maszynę do pisania. Jeżeli używała takiej normalnej, z taśmą. . .

— Racja! — Price niemal wybiegła z Gabinetu Ovalnego. — Zaraz, ale może lepiej, żeby to wasi ludzie. . .

— Zaraz do nich zadzwonię — zapewnił O’Day. — Przepraszam, powinienem o tym pomyśleć wcześniej. Czy moglibyście zaplombować biuro do czasu ich przybycia?

— Oczywiście — odparła Andrea.

* * *

Hałas był nieznośny. Małpy są zwierzętami stadnymi, zwykle żyjącymi w grupach liczących nawet i po osiemdziesiąt zwierząt, zamieszkującymi okolice obrzeża dżungli i skraju sawanny, gdzie żerują i skąd mogą uciekać w razie zagrożenia na drzewa. W ciągu ostatnich stu lat nauczyły się atakować także farmy, gdzie jedzenia było w bród, za to brakowało drapieżników. Dla lamparta czy hieny afrykańska małpa zielona to smakołyk, ale równie smaczne są cielęta, toteż farmerzy trzebili drapieżniki, by je chronić. W rezultacie zakłócony został ekosystem. Wytrzebili drapieżniki, legalnie lub wbrew prawu, ale skutecznie. Dzięki temu populacja małp rozmnożyła się nad miarę i las nie był ich w stanie wyżywić. W rezultacie małpy zjadały plony farmerów, choć także owa-
dy-szkodniki, które mogłyby tym plonom zagrażać. Dla farmerów sprawa była dużo prostsza niż dla ekologów. Coś zjadało ich inwentarz, to trzeba to było zabić. Jak coś

zjadało ich plony, to też należało to zabić. Owadów nie było widać, ale małpy tak, więc rzadko który z farmerów miał coś przeciwko myśliwym, którzy polowali na małpy.

Małpy zielone odznaczają się żółtymi bokobrodami i zielono-złotą pręgą na plecach. Dożywają trzydziestki, ale zwykle tylko w komfortowych warunkach niewoli, gdzie nic nie poluje na nie i prowadzą ożywione życie towarzyskie. Stada składają się zwykle z samic z małymi, do których samce, prowadzące samotnicze życie, dołączają na trwający kilka tygodni sezon rui. Zwykle samców jest w takiej sytuacji o wiele mniej niż samic, toteż rzadko dochodzi do konfliktów, ale w samolocie rzecz miała się zupełnie inaczej. Klatki były stłoczone jedne na drugich, jak klatki z kurczętami w drodze na targ. Samice były w rui, ale niedostępne, co rozwścieczało ewentualnych zalotników. Samce stłoczone koło siebie w klatkach syczały, pluły i drapały sąsiadów. Całą sytuację pogarszał fakt, że wszystkie klatki były tej samej wielkości, podczas gdy samce małpy zielonej są niemal dwukrotnie większe od samic. Na to nakładały się jeszcze nieznanne zapachy i dźwięki samolotu, brak wody i głód, stłoczenie i strach. W rezultacie małpy podniosły straszny rwetes, nie mogąc w inny sposób rozładować stresu. Ich wrzask zagłuszył nawet silniki *JT-8*, które niosły *Boeinga* nad Oceanem Indyjskim.

W kabinie pilotów załoga szczelnie zamknęła drzwi dzielące ją od ładowni i docisnęła słuchawki do uszu. Hałas wprawdzie lekko zelżał, ale nie pomagało to wcale na okropny fetor, przenoszony tam i z powrotem przez pokładową klimatyzację. Załozde robiło się od niego niedobrze, a ładunek wpadał w jeszcze większą histerię.

Pilotowi, człowiekowi wyjątkowo sprawnie posługującemu się częścią słownictwa zwykle nie odnotowywaną przez słowniki języka farsy, skończył się zapas przekleństw i znudziło się już wzywanie Allacha, by zesłał zagładę na te cholerne wyjce i stał je z powierzchni ziemi. W zoo pewnie pokazywałyby je palcem swoim obu małym synkom, razem z nimi śmiałyby się z nich i rzucałyby im orzeszki. Ale tu miał ich już serdecznie dosyć. Ich i całego tego lotu. Sięgnął pod fotel i wyjął maskę od awaryjnej butli tlenowej. Odkręcił kurek i zaciągnął się świeżym powietrzem, bez śladu okropnego smrodu. Gdyby to tylko od niego zależało, zaraz poszedłby na tył, otworzył drzwi i pozwolił, by dekompresja wyssała za burtę ten fetor razem z jego przyczyną. Może lżej by mu było, gdyby wiedział, czego domyślały się małpy. Los chował dla nich w zanadrzu dużo gorszą niespodziankę.

* * *

Badrajn spotkał się z nimi ponownie w bunkrze łączności. Jakoś te masy betonu wokół nie zapewniały mu poczucia bezpieczeństwa. Całość stała jeszcze tylko dlatego, że bunkier zamaskowany był z zewnątrz obiektem przemysłowym, a dokładniej drukarnią, która swego czasu wydrukowała nawet parę książek. Ten i parę innych bunkrów, ocalało tylko dlatego, że Amerykanie mieli niepełne rozeznanie co do ich przeznaczenia. Dwa razy atakowano budynek po drugiej stronie ulicy. Nadal widać tam było krater w miejscu, gdzie według Amerykanów miał się znajdować bunkier. Trzeba go było zobaczyć, żeby uwierzyć. To nie to samo, co zobaczyć w telewizorze albo usłyszeć o tym. Nad jego głową było pięć metrów żelbetonu. Pięć metrów. Skorupa była jednocześnie, z jednego odlewu, zbudowana przez niemieckich specjalistów za ciężkie pieniądze. Na ścianach widać było nadal odcisk szalunku ze sklejki. Nie było ani jednej szczeliny, ani pęknięcia — a przecież to wszystko istniało jeszcze tylko dlatego, że Amerykanie pomylili strony ulicy. Nowoczesna broń ma straszliwą siłę rażenia i chociaż Ali Badrajn

całe życie spędził w świecie broni i wojny, dopiero teraz, po raz pierwszy to do niego dotarło.

Nie można im było odmówić gościnności. Doglądał go oficer w stopniu pułkownika, napoje i jedzenie podawało dwóch sierżantów. Oglądał pogrzeb Saddama w telewizji. Widowisko zawierało równie wiele niespodzianek, co amerykański serial o policjantach. Od pierwszej chwili było wiadomo, jak się to skończy. Irakijczycy, jak w ogóle ludzie w tym regionie świata, byli narodem łatwo poddającym się nastrojom, pod warunkiem, że zbierze się ich w jednym miejscu odpowiednią liczbę i wzniesie odpowiednie okrzyki. Łatwo było nimi wtedy pokierować każdemu, kto znalazł się tam w odpowiednim miejscu i czasie. Bo przecież szczerości w tym zbiorowym lamencie darmo by szukać. Nadal co drugi z nich pilnował reszty i donosił, kto nie okazywał wystarczającego żalu. Aparat bezpieczeństwa, który zawiódł drogiego przywódcę, w stosunku do nich był nadal w stanie działać bardzo skutecznie i wszyscy o tym wiedzieli.

Powoli napływali pozostali uczestnicy spotkania. Pojawiali się pojedynczo, z rzadka parami i rozplływali się gdzieś w czeluściach bunkra, ustalając co potem, już jako jedna grupa, będą chcieli usłyszeć. Goście otworzyli rzeźbiony drewniany barek pełen butelek

i szklanek, z którego zaczęli robić użytek, łamiąc prawa Koranu. Badrajn nie miał im tego za złe. Sam nalał sobie szklanę wódki, którą polubił dwadzieścia lat wcześniej na szkoleniu w Moskwie.

Jak na ludzi tak potężnej władzy, byli zadziwiająco cisi, a tym bardziej rzucało się to w oczy, gdy wziąć pod uwagę, że byli przecież gośćmi na stypie po człowieku, którego nigdy nie kochali. Popijali drinki, głównie zresztą whisky, i patrzyli to na siebie, to na Badrajna, to wreszcie na telewizor. Lokalna stacja nadawała właśnie powtórkę ceremonii pogrzebowej, a komentator nachwalić się nie mógł zasług drogiego zmarłego dla ojczyzny. Generałowie patrzyli i słuchali, ale na twarzach malował im się raczej strach, niż żal i smutek. Dla nich nastąpił koniec ich świata. Nie obchodziły ich okrzyki wznoszone przez obywateli, ani komentarz spikera. Oni wiedzieli co naprawdę się stało.

Wreszcie pojawił się ostatni z nich. Był nim szef wywiadu, z którym Badrajn rozmawiał wcześniej. Właśnie wracał ze sztabu. Wszyscy popatrzyli na niego z tak wymownym pytaniem w oczach, że nie musieli go zadawać słowami.

— Nic się nie dzieje, przyjaciele. — Na razie. Tego nie musiał dopowiadać.

Badrajn mógł to dopowiedzieć, ale darował sobie. Po co się rozmieniać na drobne? Przez te lata nieraz przychodziło mu kogoś do czegoś przekonywać, motywować wiele osób do robienia wielu rzeczy i wiedział jak to się robi, ale w tych okolicznościach jego milczenie niosło więcej treści niż najbardziej elokwentne przemówienie. Siedział tam po prostu i patrzył na nich, wiedząc, że jego oczy mówią teraz wystarczająco wiele.

— To mi się nie podoba — powiedział wreszcie któryś z nich. Żadna twarz nawet nie drgnęła. Nic dziwnego. Żadnemu z nich się to nie podobało. Ten, który to powiedział, po prostu wyraził powszechną opinię. I zdradził, że jest z nich najślabszy. Pierwszy pękł.

— Skąd możemy wiedzieć, że możemy ufać twojemu szefowi? — zapytał dowódca Gwardii Republikańskiej.

— Bo złożył przysięgę na Allacha — powtórzył Badrajn, odstawiając szklanę. — Jeżeli sobie życycie, możecie wysłać do niego delegację i sami z nim porozmawiać. Ja pozostanę tu w charakterze zakładnika. Z tym, że jeżeli na to się zdecydujecie, to musicie się śpieszyć.

O tym też wiedzieli. To, czego się obawiali, mogło się zdarzyć równie dobrze zanim odlecą, jak i potem. Znowu zapadła cisza. Nawet szklanki rzadko wędrowały w górę. Badrajn czytał z ich twarzy, jak z otwartej księgi. Chcieli, żeby ktoś zajął jakieś stanowisko, to się z nim albo zgodzą, albo będą polemizować, ale żaden nie chciał być tym pierwszym. Kiedy już znajdą zajęcia, pewnie dojdą do jednolitego stanowiska, ale dwu, czy trzech pewnie zacznie coś kombinować na boku, zastanawiając się nad alternatywnymi rozwiązaniami. Wreszcie jeden przemówił.

— Późno się ożeniłem — zaczął dowódca wojsk lotniczych. Fakt, zanim do tego doszło, był pilotem myśliwskim i nie miał czasu na życie rodzinne. — Mam małe dzieci. — Popatrzył wokoło i przez chwilę pomilczał. — Myślę, że wszyscy wiemy, co się może stać, czy raczej co się stanie z naszymi rodzinami, gdyby wypadki potoczyły się niepomyślnie.

Cóż za szlachetny gambit, pomyślał Badrajn. Przecież nie wypadało im mówić o własnym strachu, w końcu byli żołnierzami.

Przysięga na Boga, jaką złożył Darjaei nie była dla nich zbyt przekonywająca. Żaden z nich od dawna nie praktykował islamu, meczet odwiedzali przy okazji świąt państwowych, żeby pokazać się na zdjęciach w gazecie.

— Zakładam, że nie chodzi wam o pieniądze — powiedział Badrajn, by się upewnić, ale i zwrócić ich uwagę na ten aspekt. Kilka głów odwróciło się ku niemu i dostrzegł na nich wyraz prawie rozbawienia. Chociaż oficjalne irackie rachunki bankowe za granicą zostały zamrożone, to funkcjonowało przecież mnóstwo nieoficjalnych. Trudno ustalić narodowość rachunku bankowego, zwłaszcza dużego, więc, jak wiedział Badrajn, każdy z zebranych miał dostęp do rachunku z sumą co najmniej dziewięciocyfrową i to w twardych walutach, zwykle w dolarach albo funtach. A więc dobrze. Teraz powinni zapytać, gdzie mogą się wynieść i jak dostać się tam szybko, dyskretnie i bezpiecznie. Badrajn widział to pytanie na ich twarzach. Ironią losu, którą tylko on mógł docenić, było, że ich wróg, ten, którego się bali, któremu nie wierzyli, naprawdę nie pragnął niczego innego, jak tylko rozwiania ich obaw i dotrzymania słowa. Ale Ali wiedział, że On jest człowiekiem cierpliwym, który umiał czekać. Gdyby było inaczej, nie zaszedłby tam, gdzie był teraz.

* * *

— Jesteś pewien?

— Sytuacja jest prawie idealna — zapewnił gość ajatollaha, po czym wdał się w szczegółowe wyjaśnienia. Nawet dla człowieka wierzącego w wolę Boga, zbieg okoliczności był aż nadto łaskawy. A mimo to zaistniał, a przynajmniej wiele na to wskazywało.

— I?

— I działamy według planu.

— Doskonale. — To była nieprawda, Darjaei wolałby załatwić te sprawy po kolei, koncentrując umysł na każdej z osobna. To było jednak niemożliwe i być może w tym krył się jakiś sygnał dla niego. Tak czy inaczej, nie miał wyboru. Ciekawe, właściwie powinien się czuć uwikłany w zdarzenia, które sam wywołał.

* * *

Najgorzej było z kolegami ze Światowej Organizacji Zdrowia. Może dlatego, że dotychczasowe wiadomości były tak pomyślne. Przypadek Zero, Benedict Mkusa, nie żył

i jego ciało zostało spalone. Zespół piętnastu lekarzy przeczesywał okolicę i, jak na razie, nie znalazł niczego. Upłynął już okres inkubacji, wynoszący dla wirusa ebola cztery do dziesięciu dni, choć znane były wypadki zarówno dwudniowej jak i trwającej dziewiętnaście dni, ale pojawił się tylko jeden przypadek pochodny. Okazało się, że Mkusa był miłośnikiem natury, całe dni włóczył się po dżungli i nie wiadomo, skąd przyniósł wirusa. Cały zespół musiał więc pójść w jego ślady; łapał małpy, nietoperze i szczury w okolicy, poszukując nosiciela. Przede wszystkim jednak wszyscy żyli nadzieją, że tym razem los uśmiechnął się do nich i skończy się na dwóch ofiarach. Przypadek Zero trafił natychmiast do szpitala z powodu wysokiego statusu rodziny. Jego rodzice, wykształceni i wpływowi, oddali chłopca w ręce specjalistów, zamiast próbować samemu go leczyć. Zapewne uratowało im to życie, choć przeżyli niejedną straszliwą chwilę przeczekując okres inkubacji, mając wciąż przed oczyma potworne obrazy agonii małego Benedicta. Codziennie pobierano im krew do testów na obecność przeciwciał i, zanim poznali wyniki, przeżywali ciężkie chwile. Potem zresztą też, bo jakiś idiota nie omieszkał im się zwierzyć, że właściwie wyniki mogą być mylące. Zespół WHO żywił jednak cichą nadzieję, że na dwóch zgonach się skończy.

W tej sytuacji mieli rozważyć propozycję Moudiego. Oczywiście, podniosły się głosy sprzeciwu. Zairscy lekarze nalegali na leczenie na miejscu. Mieli więcej doświadczenia w kontaktach z wirusem ebola niż ktokolwiek na świecie, choć i tak nie na wiele się to mogło zdać. Specjaliści z WHO nie chcieli ich urazić, bo wrodzone poczucie wyższości europejskich lekarzy nie raz już doprowadziło do zatargów, ale obie strony miały w tej sprawie rację. Kwalifikacje lekarzy afrykańskich były nierówne, część była znakomita, część okropna, a reszta przeciętna. Duże znaczenie miała sława profesora Rousseau, prawdziwego bohatera międzynarodowego środowiska lekarskiego, utalentowanego naukowca i wybitnego klinicysty, który odrzucał dogmat o nieuleczalności chorób wirusowych. Poprzednio próbował podawać ofiarom wirusa ebola ribawirin i interferon, i rezultaty były obiecujące. Jego ostatnia koncepcja była radykalna i mogła się okazać niewypałem, choć doświadczenia na małpach wskazywały na duże szanse powodzenia. Trzeba ją jednak było wypróbować na chorym człowieku w precyzyjnie kontrolowanych warunkach klinicznych. Nikt nie uważał jej nawet przez sekundę za metodę, którą da się stosować na większą skalę, ale od czegoś trzeba zacząć. Szalę przeważała jednak osoba pacjentki. Większość zespołu WHO znała ją osobiście z czasów

poprzedniej epidemii ebola w Kikwit. Siostra Jeanne Baptiste nadzorowała tam pracę miejscowych pielęgniarek, a w końcu lekarze też są ludźmi i mają tendencję do lepszego traktowania znajomych. Ostatecznie więc pozwolono Moudiemu przetransportować pacjentkę do Paryża.

Z samym załadunkiem też było mnóstwo kłopotów. Zawieźli ją na lotnisko ciężarówką, a nie karetką, bo pakę ciężarówki łatwiej wyszorować, niż zdezynfekować wnętrze sanitarki. Pacjentkę podniesiono na plastikowej płachcie, przełożono na wózek i wytoczono na korytarz, opróżniony uprzednio z ludzi. Moudi i siostra Maria Magdalena dotoczyli wózek do drzwi, a w ślad za nimi cała ekipa sanitariuszy w niebieskich kombinezonach spryskiwała podłogę, ściany, sufit, a nawet powietrze roztworem odkażającym. Cała procesja postępowała naprzód w oparach śmierzącego aerozolu, który przypominał spaliny, ciągnące się za starym samochodem. Pacjentka została nafaszerowana środkami uspokajającymi i bardzo starannie unieruchomiona. Całe jej ciało spowijał plastikowy kokon, mający zapobiegać wyciekom silnie zakażonej wirusem krwi. Plastikowe płachty, na których leżała, spryskane zostały tym samym środkiem dezynfekującym. Moudi popychał wózek od tyłu, sam dziwiąc się własnemu szaleństwu, które

kazało mu bawić się w kotka i myszkę z czymś tak śmiercionośnym, jak ebola. Twarz pacjentki była naznaczona wybroczynami, ale rozluźniona i błoga od niebezpiecznie wysokiej dawki morfiny. Wyjechali na rampę, gdzie już czekała ciężarówka. Kierowca był tak przerażony, że bał się nawet spojrzeć na nich, chyba że w lusterku wstecznym. Paka ciężarówka została spryskana roztworem odkażającym, wózek wtoczony i unieruchomiony. Pojazd ostrożnie wyjechał ze szpitala w asyście policyjnej i, nie przekraczając trzydziestki, ruszył na lotnisko. Na razie szło dobrze. Słońce było jeszcze wysoko, toteż wkrótce w kombinezonach zrobiło się gorąco, ale zdążyli się już do tego przyzwyczaić.

Samolot czekał na płycie. *Gulfstream* przyleciał dwie godziny wcześniej prosto z Teheranu. Całe wyposażenie wewnątrz, poza dwoma siedzeniami i leżanką, utworzoną z dwóch złożonych foteli, zostało zdemontowane. Ciężarówka stanęła, otwarto klapę. Obok zebrało się kilka sióstr i ksiądz w ochronnych kombinezonach, którzy w milczeniu patrzyli na ludzi przenoszących na plastikowej płachcie pacjentkę do kabiny błyszczącego białego samolotu. Minęło całe pięć minut, zanim spoczęła na przeznaczony dla niej leżance i została starannie przypięta pasami. Moudi popatrzył na nią uważnie, po

czym zmierzył tętno (znowu wzrosło) i ciśnienie krwi (ciągle malało). Zaniepokoił się. Musiała żyć jak najdłużej. Usiadł na fotelu, zapiął pasy i ponaglił gestem załogę.

Wyrzwał za okno. Z przerażeniem zauważył kamerę telewizyjną wycelowaną w samolot. Przynajmniej trzymają się z daleka, pomyślał. Pierwszy silnik już się zaczął obracać. Na zewnątrz sanitariusze odkażali ciężarówkę. Wyglądało to nad wyraz teatralnie. Wirus ebola, choć zabijał z łatwością, sam był raczej wrażliwy i nawet bez tego ultrafiolet z silnych promieni słonecznych zabiłby go sam, bez pomocy człowieka. Wirus źle znosił także wysokie temperatury — to dlatego poszukiwanie nosiciela nigdy nic nie daje. Coś przecież musi to paskudztwo przenosić, samo dawno by z głodu zdechło. Cokolwiek to było, w nagrodę wirus darował nosicielowi życie, więc pewnie wiele jeszcze czasu upłynie, zanim ktoś wreszcie tę zmorę zidentyfikuje. Kiedyś sam miał nadzieję znaleźć nosiciela, ale zawsze przegrywał. Zamiast tego miał coś równie dobrego — żywego pacjenta, na którym wirusy żywiły się lepiej i liczniej, niż na organizmie nosiciela. Do tej pory wszystkie ciała palono lub chowano w ziemi dokładnie nasączonej chemikaliami. Z tym ciałem będzie zupełnie inaczej. Samolot wreszcie ruszył. Moudi sprawdził pasy. Boże, ale bym się czegoś napił, pomyślał doktor.

Z przodu dwaj piloci także nosili kombinezony ochronne, założone na ich ubrania z nomexu, spryskane środkiem odkażającym. Maski kombinezonów tłumiły ich głosy, więc dwukrotnie musieli powtarzać prośbę o zezwolenie na start, ale w końcu ją otrzymali. *Gulfstream* potoczył się po pasie startowym i oderwał od ziemi, kierując się na północ. Pierwszy etap ich podróży wynosił ponad cztery tysiące kilometrów i będzie trwał nieco ponad sześć godzin. Inny, niemal identyczny *Gulfstream* lądował właśnie w Benghazi, a jego załoga po paru minutach udała się na odprawę.

* * *

— Ścierwojady. — Holbrook pokręcił głową z wyrazem niedowierzania. Spał dziś do późna, bo wczoraj długo w noc oglądał dyskusje różnych mądrali w C-SPAN na temat orędzia Ryana. To była niezła mowa, musiał to przyznać. Gorsze już widywał. Szkoda tylko, że to wszystko łgarstwa na użytek widzów. Niektóre nawet mu się podobały, ale przecież wiadomo, że człowiek stamtąd nie może takich rzeczy mówić na serio. To pisał jakiś łebski gość, bardzo sprawnie podrzucał ludziom to, co chcieli usłyszeć, żeby w środku przemycać kłamstwa. Oni mieli naprawdę bardzo utalentowa-

nych ludzi u siebie. Holbrook i inni Ludzie z Gór od lat próbowali na próżno porwać za sobą otumanioną większość społeczeństwa. Na próżno. Przecież nie dlatego, że ich program był zły, czy coś takiego. Wszyscy o tym wiedzieli. Ale nie potrafili swoich idei opakować atrakcyjnie i sprzedać ludziom, bo tylko rząd i jego propagandowa tuba, Hollywood, rozporządzały takimi środkami, by stać ich było na wynajmowanie magików od mącenia w głowach. To właśnie oni tak skołowali biednych ludzi, że prawda do nich nie docierała, ot co. Ale oto do waszyngtońskiego bagienka zakradła się niezgoda: pojawił się pretendent do tronu w Białym Domu.

Ernie Brown, który przyjechał do Holbrooka i obudził go, by posłuchać nowych wiadomości, ściszył telewizor.

— Coś mi się zdaje, że dla tych dwóch miasto stało się za małe, Pete.

— Myślisz, że do wieczora jednego już ubędzie?

— Dobrze by było.

Komentarz eksperta, którego CNN zaprosiła do studia, był równie jasny jak marsz miliona czarnuchów na Waszyngton.

— No cóż, eee... Właściwie, hmm, no więc... Konstytucja nie przewiduje takiej możliwości.

— To dajcie im czterdziestkpiątki i niech to rozstrzygną o zachodzie słońca na Pennsylvania Avenue — podpowiedział Ernie, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Jasne — zgodził się Pete. — To by dopiero była atrakcja turystyczna, nie?

— E, nic z tego nie będzie. Dla nich to zbyt amerykańskie. — Brown przypomniał sobie jednak, że Ryan już raz to robił, były nawet zdjęcia w gazetach i telewizji. To chyba nawet była prawda, bo obaj przypominali sobie sprzed lat tę aferę w Londynie. Prawdę mówiąc, byli wtedy dumni z tego, że Jankeś pokazał tym europejskim zasrańcom, jak należy robić użytek z broni. Oni tam gównem o tym wiedzą. Szkoda, że się potem ten Ryan zborsoczył. Najlepszy dowód to ta jego mowa do narodu. Pieprzył jak oni wszyscy. O tyle chociaż lepszy od tego skurwysyna Kealty'ego, że mógł szukać oparcia w rodzinie. A zresztą, to i tak sami złodzieje i bandyci. Tak go wychowali i taki był. Przynajmniej nie udawał nikogo innego, jak Ryan. Nie był hipokrytą. Kojot, jaki jest każdy widzi. Kealty całe życie był bydlakiem i był w tym dobry. Czyż można winić

kojota za to, że wyje do księżyca? Taka jego kojocia natura i tyle. Po prostu był sobą. Tak, tylko że do kojotów przynajmniej można strzelać do woli. . .

Brown odwrócił się.

— Pete?

— Tak, Ernie? — Holbrook sięgnął po pilota, żeby ściszyć znowu telewizor.

— Czyli mamy kryzys konstytucyjny, tak?

Teraz to Holbrook się do niego odwrócił.

— Tak przynajmniej gadają te mądrale.

— I robi się coraz gorzej?

— Chodzi ci o Kealty'ego? Na to wygląda. — Holbrook opuścił pilota. Ernie miał znowu jakiś pomysł.

— A gdybyśmy tak. . . — Urwał i patrzył na wyciszony telewizor. Formułowanie myśli zawsze zajmowało mu trochę czasu, ale często warto było czekać.

* * *

Boeing wylądował w Teheranie nieźle po północy. Załoga leciała z nóg po trzydziestosześciodzinnym locie z krótkimi tylko przerwami, przekraczającym wszelkie limity dopuszczalne w lotnictwie cywilnym. W tamtą stronę było jeszcze znośnie, ale z powrotem to był po prostu koszmar. A już na podejściu do lądowania doszło w kabinie do kłótni, która o mało nie zaowocowała rękoczynami. Ale kiedy usłyszeli głośny pisk opon dotykających pasa i poczuli wstrząs przyziemienia, rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi, nastąpiło rozluźnienie i zrobiło im się trochę głupio, że tak się na siebie wściekali. Pilot pokręcił głową, przetarł twarz ręką i ruszył drogą kołowania na południe, pomiędzy niebieskimi światłami. Port lotniczy Mehrabad jest także bazą lotnictwa wojskowego, a stary *Boeing*, mimo cywilnej rejestracji, był samolotem wojskowym, toteż samolot skierował się ku rozległemu stanowisku postojowemu obok dowództwa wojsk lotniczych. Czekwały tam już ciężarówki, których widok ucieszył załogę nie mniej niż pomyślne lądowanie. Pilot włączył odwrotny ciąg, zatrzymując samolot. Mechanik

pokładowy wyłączył silniki, a pilot zaciągnął hamulce. Wszyscy trzej zwrócili się ku sobie.

— To był długi dzień, przyjaciele — powiedział pilot, jakby się usprawiedliwiając.

— A po nim nastąpi długi sen, jeśli Bóg pozwoli — odparł mechanik, przyjmując w ten sposób przeprosiny kapitana, który pół godziny wcześniej strasznie go opieprzył. Zresztą i tak byli teraz zbyt zmęczeni, żeby się dłużej kłócić, a jak się wyśpią, to pewnie zapomną, o co chodziło.

Zdjęli maski tlenowe, ale smród kazał im je ponownie założyć. Nawet nie mogli wyjść stąd, chyba że wyskoczyliby oknami, ale to byłoby zbyt upokarzające. Cały kadłub został zapchany na równo klatkami odbieranymi w kolejnych portach lotniczych środkowej Afryki, tak że nie mogliby przejść do drzwi. Uwięzieni w kabinie, musieli czekać na rozładowanie samolotu.

Rozładunkiem zajmowali się żołnierze, a cały proces znacznie utrudniło to, że nikt nie ostrzegł ich dowódców, iż potrzebne będą rękawice. Każda klatka została wyposażona w drucziany uchwyt na wierzchu, więc małpy przynajmniej nie mogły gryźć, ale drapały i szczypały unoszące je ręce jak opętane. Żołnierze różnie na to reagowali. Nie-

którzy tłukli w klatki, zastraszając małpy, ale to pomagało na krótko i potem zwierzęta były jeszcze bardziej rozdrażnione. Inni, sprytniejsi, pościągali kurtki mundurowe i nakrywali nimi klatki, izolując małpy od swoich rąk. Wkrótce uformował się łańcuch rąk, przekazujących sobie kolejne klatki po drodze z ładowni na ciężarówkę. W Teheranie było tej nocy zaledwie dziesięć stopni, temperatura, do której małpy nie były przyzwyczajone. Nowy stres spowodował kolejny wybuch wrzasków, które niosły się daleko w nocnej ciszy lotniska. Nikt, kto kiedykolwiek słyszał wrzask małp, nie pomylił go z niczym innym, ale nic się nie dało na to poradzić. Wreszcie skończyli. Otwarto drzwi i załoga mogła się przekonać, co ładunek zrobił z ich jeszcze tak niedawno nienagannie czystym samolotem. Samo wietrzenie będzie musiało trwać tygodniami, a nad tym, jak będzie wyglądać mycie wnętrza, nawet nie mieli w tej chwili siły się zastanawiać.

Małpy podróżowały ciężarówkami po raz ostatni w życiu, na północ. Konwój jechał autostradą zbudowaną jeszcze za szacha i skręcił z niej w drogę na Hasanabad. Dojechał nią do kolejnego zjazdu, tym razem na wielką farmę, od dawna służącą temu samemu celowi, który przyświecał przewiezieniu zwierząt ze środka Afryki na Bliski Wschód. Farma była państwowa, oficjalnie służyła eksperymentom z nowymi nawo-

zami i uprawami, których plonami planowano nakarmić wrzeszczących gości. Okazało się jednak, że w środku zimy nie ma już żadnych zapasów, więc sprowadzono kilka ciężarówek daktyli z południowego wschodu kraju. Małpy wyczuły jedzenie na dojeżdżających do farmy ciężarówkach, gdy pojazdy zbliżyły się do trzykondygnacyjnego betonowego budynku, który okazał się ich miejscem przeznaczenia. Jedzenie rozbudziło je jeszcze mocniej, jako że od opuszczenia Afryki nie dostały pożywienia ani wody. Teraz wyczuwały posiłek i to smaczny. Jak to zwykle bywa z ostatnim posiłkiem dla skazańców.

* * *

Gulfstream wylądował w Benghazi dokładnie według planu. Biorąc pod uwagę okoliczności, była to całkiem przyjemna podróż. Nawet powietrze nad Saharą, zwykle wzburzone i pełne zawirowań, tym razem było gładkie jak stół. Siostra Jeanne Baptiste pozostawała nieprzytomna, kilka tylko razy przechodząc w stan półjawy, więc spędziła całą podróż wygodniej niż reszta, którym kombinezony ochronne nie pozwalały nawet napić się wody.

W czasie postojów drzwi pozostawały zamknięte. Cysterny podjeżdżały tylko do samolotu i podłączano przewody do wlewów w białych skrzydłach. Doktor Moudi czuwał bez przerwy w napięciu, ale siostra Maria Magdalena drzemała. Była już w wieku pacjentki, ponadto od czasu gdy jej przyjaciółka zachorowała, doglądała jej bezustannie, więc nie bardzo miała kiedy się wyspać. To niedobrze, pomyślał Moudi, wyglądając za okno. To niesprawiedliwe. Nie potrafił odnaleźć w sercu nienawiści do tych ludzi. Kiedyś było inaczej. Wtedy uważał wszystkich ludzi z Zachodu za śmiertelnych wrogów swojej ojczyzny, ale te dwie kobiety na pewno nimi nie były. Ich ojczyzna była wobec jego kraju całkowicie neutralna. Były to pobożne kobiety, nie żadne tam czarne animistyczne dzikusy z Afryki, nie znające prawdziwego Boga. One poświęciły swe życie Jego służbie i zadziwiły go szacunkiem, z jakim odnosiły się do jego modlitw i wiary. Jemu z kolei spodobało się ich przeświadczenie, że żarliwością religijną człowiek jest w stanie osiągnąć postęp w swoim życiu i nie musi zdawać się na to, co mu pisane, jeżeli wierzy odpowiednio mocno. To była idea niezbyt może zgodna z Koranem, ale w końcu na pewno nie bluźniercza. Siostra Maria Magdalena, zanim zasnęła, modliła się długo, nadal trzymała w rękach różaniec, za pomocą którego odliczała modlitwy do Marii,

matki proroka Jezusa, którego Koran wspominał z nie mniejszą czcią niż Mahometa. Śmiało mogła stanowić wzorzec dla wszystkich pobożnych kobiet na świecie.

Moudi znowu odwrócił głowę, wyglądając za okno. Nie wolno pozwalać sobie na takie myśli. Zlecono mu zadanie. Jednej z zakonnice Allah zesłał ten los, druga sama go wybrała. Nie on wybrał sobie to zadanie, nie jemu więc je sądzić. Cysterny zakończyły tankowanie, odjechały od maszyny i załoga uruchomiła silniki. Śpieszyło im się, jemu też się śpieszyło, tym lepiej więc, że najtrudniejsza część rejsu pozostanie wkrótce za nimi i zacznie się ta łatwiejsza. Było się z czego cieszyć. Tyle lat spędził wśród pogan, żyjąc w tropikalnym upale. Nie mógł nawet poszukać ukojenia w meczecie bez konieczności wyjazdu na kilka dni. Nędzne jedzenie, ciągłe obawy, czy aby nie je czegoś nieczystego. Teraz zostawi to za sobą. Będzie nareszcie służył Bogu i ojczyźnie.

Dwa samoloty wystartowały z głównego pasa, ciągnącego się z południa na północ, podskakując na nierównościach betonowych płyt, nagranych słońcem. Pierwszym z nich był samolot Moudiego. Drugim — identyczna maszyna, różniąca się tylko ostatnią literą znaku rejestracyjnego na ogonie, która ruszyła prosto na północ. *Gulfstream*

Moudiego skrzył natomiast na południowy wschód, udając się w długą nocną drogę nad pustynią ku Sudanowi.

Jego dubler skrzył wkrótce lekko na zachód, kierując się do korytarza prowadzącego ku Francji. Niedługo przeleci obok Malty, skąd radar lotniska La Valetta nadzorował ruch powietrzny nad Morzem Śródziemnym. Załogę samolotu stanowili piloci irańskich sił powietrznych, którzy zwykle wozili polityków i biznesmenów z jednego punktu w drugi. Robota była bezpieczna, dobrze płatna i przeraźliwie nudna. Dziś miało być inaczej. Drugi pilot dzielił uwagę między przymocowaną na udzie mapę i ekran systemu nawigacji satelitarnej *GPS*. Trzysta kilometrów od Malty, na pułapie 13.000 metrów spojrział na pilota, a gdy ten kiwnął głową, przestawił transponder na symbole identyfikacyjne 7711.

* * *

— Kontrola Valetta, kontrola Valetta, tu November Juliet Alfa. Mayday, mayday, mayday.

Kontroler z Malty natychmiast zauważył trzy kółka, które pojawiły się obok znaku przedstawiającego samolot na jego ekranie radarowym. To była spokojna zmiana w kontroli obszaru. Zwykle w nocy ruch był niewielki. Aż do tej chwili. Jedną ręką włączył mikrofon, a drugą pomachał w górze, wzywając kierownika zmiany.

— Juliet Alfa, Juliet Alfa, tu Valetta. Czy potwierdzacie zgłoszenie awarii?

— Valetta, tu Juliet Alfa, potwierdzam. Mamy na pokładzie ciężko chorego w drodze do Paryża z Kongo. Straciliśmy silnik numer dwa i mamy problemy z instalacją elektryczną. Bądźcie na nasłuchu.

— Juliet Alfa, tu Valetta, potwierdzam, nasłuch. — Ekran pokazywał, że samolot traci wysokość. Wskazania spadały: 13.000, 12.800, 12.600... — Juliet Alfa, tu Valetta, tracie wysokość.

Głos w słuchawkach nagle zmienił spokojny dotąd ton.

— Mayday, mayday, mayday! Oba silniki stanęły, powtarzam, oba silniki stanęły! Próbuję uruchomić. Tu Juliet Alpha — spanikowany pilot zapomniał na początku się przedstawić.

— Kurs bezpośredni na Valettę trzy-cztery-trzy, powtarzam, bezpośredni Valetta trzy-cztery-trzy. Odbiór.

— Roger. — To wszystko, co usłyszał kontroler. Odczyt wysokości wskazywał 11.000 metrów.

— Co się dzieje? — zapytał kierownik zmiany.

— Mówi, że oba silniki wysiadły, szybko traci wysokość. — Ekran komputera potwierdził plan lotu i identyfikował maszynę jako *Gulfstreama*.

— Na razie nieźle mu idzie szybowanie — optymistycznie zauważył kierownik. Radar wskazywał już 10.000 metrów. Obaj doskonale wiedzieli, że z *Gulfstreama* żaden szybowiec.

— Juliet Alfa, tu Valetta.

Nic.

— Juliet Alfa, tu kontrola Valetta.

— Jest tam coś w pobliżu? — zapytał kierownik, sam zaglądając w ekran. W okolicy nie było żadnego innego samolotu, a zresztą nawet gdyby był, to i tak mógłby tylko popatrzeć.

* * *

Pilot zredukował ciąg, by jeszcze lepiej zasymulować awarię silników. Z trudem zwalczali pokusę przyśpieszania biegu wydarzeń, by jak najszybciej mieć to z głowy. Popchnął kolumnę wolantu naprzód, by przyśpieszyć opadanie, a potem skręcił lekko w lewo, jakby kierował się ku Malcie. To powinno ucieszyć tych z wieży, pomyślał, zauważając na wysokościomierzu, że właśnie przekroczyli 8.300 metrów. Czuł się doskonale, jak tylko doskonale może się czuć pilot myśliwski, zmuszony przez wiele lat do powożenia landarą, któremu nagle pozwolili raz jeszcze pobawić się w kotka i myszkę po niebie. Jeszcze lepiej zrobiło mu się na duszy, gdy wyobraził sobie swoich codziennych pasażerów i ich reakcję na takie latanie jak w tej chwili, te pobladłe twarze, panikę i szukanie torebek. Takie latanie naprawdę kochał!

* * *

— Musi mieć strasznie ciężki ładunek — zauważył kierownik.

— Miał lecieć do Paryża, na de Gaulle — odczytał z planu lotu kontroler. Wzruszył ramionami i skrzywił się. — Dopiero co miał postój w Benghazi.

— Paliwo do kitu?

Kontroler raz jeszcze wzruszył ramionami. Nie jest jasnowidzem.

To przypominało oglądanie śmierci na żywo, ale wrażenie było jeszcze potworniejsze, bo wyobraźnia, pozbawiona wyraźnego obrazu, podsuwała im najstraszniejsze obrazy tego, co działo się na pokładzie samolotu, którego pozycję wyznaczał tylko punkt na ekranie, obok którego cyfry odczytu wysokości kręciły się jak obrazki w jednorękim bandycie.

Kierownik podniósł słuchawkę.

— Dzwoni do Libijczyków. Zapytaj, czy mogą wysłać samolot na poszukiwania maszyny, która zaraz spadnie do Wielkiej Syrty.

— Kontrola Valetta, kontrola Valetta, tu USS „Radford”, jak mnie słyszysz, odbiór? — zachrząścił nagle głośnik.

— „Radford”, „Radford”, tu Valetta, słyszę głośno i wyraźnie.

— Mamy na radarze wasz samolot. Wygląda na to, że szybko traci wysokość — mówił kapitan Marynarki USA, pełniący tego dnia nocną wachtę w centrali okrętowej.

„Radford” był starzejącym się już niszczycielem klasy *Spruance*, w drodze do Neapolu po wspólnych ćwiczeniach z egipską marynarką wojenną. Po drodze, jak zwykle amerykańskie okręty wojenne, wszedł do Wielkiej Syrty, by zaznaczyć obecność Marynarki USA w tym regionie i jej oddanie dla idei wolności żeglugi na tym akwenie, do którego Libijczycy rościli sobie wyłączne prawa. Była to tradycja niemal tak stara, jak sam okręt i kiedyś prowadziła do napięć, a nawet incydentów zbrojnych. Te dni dawno przeszły już do historii, inaczej nikt nie wysłałby tam samotnego niszczyciela, ale tradycji musiało stać się zadość. Marynarze w centrali nudzili się tak strasznie, że podsłuchiwali nawet cywilne częstotliwości, szukając rozrywki.

— Wasz obiekt osiem-zero mil na zachód ode mnie. Utrzymuj kontakt radarowy.

— Możecie wziąć udział w akcji ratunkowej?

— Valetta, budzę dowódcę. Dajcie nam pięć minut na zorganizowanie paru spraw, ale spróbujemy na pewno. Odbiór.

— Leci jak kamień — zauważył znad ekranu obsługujący klawiaturę bosman. — Lepiej, żeby szybko zaczął wyciągać, bo będzie krucho.

— Obiekt to samolot dyspozycyjny *Gulfstream G-IV*. Według naszych odczytów pułap 5.300 i szybko opada — powiedział kontroler z Malty.

— Dziękuję, nasz radar pokazuje mniej więcej to samo. Przechodzimy na nasłuch.

— Co się dzieje? — zapytał dowódca okrętu, który właśnie pojawił się w centrali, ubrany w spodnie od munduru i podkoszulek. W skupieniu wysłuchał krótkiego meldunku. — Dobra, każ grzać wiatrak. — Podniósł słuchawkę telefonu pokładowego. — Mostek, tu dowódca z centrali. Cała naprzód, kurs. . . — Spojrzał pytająco na radarzystę.

— Dwa-siedem-pięć, sir — poinformował bosman. — Obiekt znajduje się na kursie dwa-siedem-pięć w odległości osiem-trzy mil, sir.

— Kurs dwa-siedem-pięć — dokończył rozkaz dowódca.

— Tak jest, panie komandorze. Ster dwa-siedem-pięć, cała naprzód — powtórzył polecenie dyżurny. Na mostku przesunięto manetki, pompując więcej paliwa do potężnych turbin gazowych firmy General Electric, zapewniających napęd okrętu. Bezpośrednie kierowanie przepustnicami z mostka nie miało może posmaku tradycji, w przeciwieństwie do ceremoniału z telegrafem maszynowym, ale pozwalało na dużo szyb-

sze wykonanie rozkazu. „Rudford” lekko zadrżał, potem uniósł dziób, przyśpieszając z prędkości podróżnej osiemnastu węzłów.

Dowódca rozejrzał się po centrali bojowej okrętu. Wachtowi byli czujni, kilku potrząsało głowami, odpędzając resztki senności. Radarzyści przełączali swoje urządzenia. Zmienił się obraz na głównym ekranie, pokazując teraz dokładniej okolicę, w której miał się znajdować poszukiwany samolot.

— Ogłosić alarm bojowy — postanowił dowódca. Przy okazji chłopaki trochę potrzebują. Trzydzieści sekund później cała załoga była już na nogach, biegnąc na stanowiska bojowe.

* * *

Schodząc nisko nad powierzchnię morza w nocy, trzeba bardzo uważać. Pilot bacznie kontrolował wysokościomierz i wariometr. Brak widoczności utrudniał mu zadanie, mógł łatwo doprowadzić do zderzenia z falami. Ich zadaniem było wprawdzie odegranie katastrofy, ale nikt nie wymagał aż takiego autentyzmu. Jeszcze chwila, a wyjdą poza zasięg radaru z Malty i będzie można zacząć wyciągać. Teraz martwiło go tylko

czy tam w dole nie ma jakiegoś statku, ale w świetle księżyca na spokojnym morzu nie dostrzegł żadnych kilwaterów.

— Jest półtora — powiedział, gdy osiągnęli pułap tysiąca pięciuset metrów. Puścił kolumnę wolantu i zwolnił nieco opadanie. Kontrola w Valetcie mogła to zauważyć, jeżeli dalej dostawali sygnał z transpondera. Nawet jeśli tak, to pomyślał pewnie, że dał sobie spokój z nurkowaniem w celu odpalenia pogasłych silników i teraz wyrównuje do wodowania.

* * *

— Tracimy go — powiedział kontroler. Znak na ekranie zgasł, mignął, pojawił się znowu i zgasł definitywnie.

Kierownik kiwnął głową i włączył mikrofon.

— „Radford”, tu Valetta. Juliet Alfa zniknął z ekranu. Ostatni odczyt wysokości tysiąc osiemset i malejący, kurs trzy-cztery-trzy.

* * *

— Roger, Valetta. My go nadal mamy, obecnie tysiąc trzysta, prędkość opadania zmalała, utrzymuje kurs trzy-cztery-trzy — odparł dyżurny centrali bojowej niszczyciela. Dwa metry od niego komandor rozmawiał z dowódcą lotnictwa pokładowego, jak nie bez uszczypliwości tytułowali pilota ich jedyne go śmigłowca. Poderwanie w górę *SH-60B* zajmie jakieś dwadzieścia minut. Kończył się właśnie przegląd w hangarze, potem helikopter zostanie stamtąd wyciągnięty na pokład, gdzie rozłoży się i zablokuje łopaty wirnika. Pilot spojrzął na ekran radaru.

— Morze jest spokojne. Jeżeli ma łeb na karku, może się z tego wygrzebać. Powinien spróbować wyrównać i wodować z jak najbardziej płaskiego kąta podejścia. Siadać na brzuchu i wyhamować... — Zamyślił się. — Dobra, bierzmy się do roboty, panie komandorze — powiedział po krótkiej chwili i wyszedł z centrali drzwiami w kierunku rufy.

— Gubię go pod linią horyzontu — zameldował radarzysta. — Właśnie zszedł poniżej pięciu setek. Chyba będzie siadał.

— Przekażcie to do Valetty.

* * *

Pilot *Gulfstreama* wyrównał, kiedy odczyt radarowego wysokościomierza pokazał pięćset metrów. Niżej już nie chciał ryzykować. Dodał gazu, by odzyskać normalną prędkość przelotową, wykonał zwrot w lewo i skierował się na południe, z powrotem do Libii. Jego uwaga była teraz napięta do granic możliwości. Lot na niskiej wysokości był zawsze wyzwaniem dla pilota, nawet w najlepszych warunkach, a co dopiero w nocy i nad morzem. Rozkazy były jednak jasne i nie pozostawiały w tym zakresie wątpliwości, choć nie tłumaczyły celu tej całej zabawy. W każdym razie wszystko poszło sprawnie. Za czterdzieści minut będzie z powrotem na lotnisku.

* * *

Pięć minut później „Radford” rozpoczął „przygotowania do operacji lotniczych”, jak regulamin nazywał manewry okrętem, mające na celu właściwe ustawienie jego układu startowego względem wiatru. System nawigacji taktycznej *Seahawka* skopiował

dane nawigacyjne z sieci taktycznej centrali bojowej okrętu. Według rozkazu dowódcy okrętu miał penetrować powierzchnię morza w promieniu piętnastu mil wokół „Radforda” w poszukiwaniu rozbitków lub szczątków zaginionej maszyny. Udzielenie pomocy człowiekowi za burtą było najważniejszym i najstarszym prawem morza. Zaraz po starcie śmigłowca niszczyciel wrócił na stary kurs i jego cztery silniki nadały mu ponownie prędkość 34 węzłów, z którą skierował się w przewidywane miejsce katastrofy. Dowódca zawiadomił o wydarzeniach Neapol, prosząc o wsparcie inne jednostki, przebywające w okolicy. Na tym akwenie nie było więcej okrętów amerykańskich, ale z północy zbliżała się włoska fregata, a wkrótce o dokładne informacje poprosiło lotnictwo libijskie, wprawiając tym Amerykanów w niemałe zdziwienie.

* * *

„Zaginiony” *Gulfstream* osiadł na pasie startowym dokładnie w chwili, w której śmigłowiec Marynarki USA dotarł w przewidywany rejon jego rzekomej katastrofy. Załoga poszła coś zjeść w czasie tankowania i w drodze do kasyna widzieli, jak z lotniska staruje libijski *An-26*, mający pomagać w ich poszukiwaniu. Libijczycy włączyli

się obecnie do takich akcji, próbując choć w ten sposób zaznaczyć swoją wolę powrotu do społeczności międzynarodowej. Widać było jednak, że nawet oni nie mają pojęcia o ich akcji — i bardzo dobrze. Całość została załatwiona paroma telefonami, ale nawet ten, który je odbierał, wiedział tylko, że przylecą dwa samoloty i trzeba je będzie zatan- kować. Godzinę później wystartowali ponownie i polecieli w trzygodzinną podróż do Damaszku, stolicy Syrii. Początkowo mieli wracać do Szwajcarii, ale pilot słusznie za- uważył, że dwa samoloty tej samej firmy, przelatujące nad tym samym obszarem w tym samym czasie mogą spowodować zadawanie niepotrzebnych pytań.

W dole, po lewej, rozciągała się Wielka Syrta, nad którą migały światła samolotów i, jak zauważyli ze zdziwieniem, jakiegoś śmigłowca. Maszyny spalały paliwo, ludzie wypatrywali oczy, zarywali noc i wszystko na nic. Pilot przez chwilę bawił się tą myślą, ale po minucie ustawił maszynę na kursie i włączył autopilota.

* * *

— Jesteśmy już na miejscu?

Moudi odwrócił się. Właśnie zmieniał kroplówkę pacjentce. Nie ogolona twarz swędziała go pod maską. Siostra Maria Magdalena także musiała mieć to poczucie braku świeżości, bo tuż po przebudzeniu próbowała przetrzeć ręką twarz, na co nie pozwolił jej plastik kombinezonu.

— Nie, siostrze, ale już niedługo. Proszę odpoczywać. Ja się tym zajmę.

— Nie, nie, panie doktorze, pan musi być bardzo zmęczony. . . — Zaczęła się podnosić.

— Jestem młodszy i bardziej wypoczęty — przerwał jej stanowczo, podniesieniem ręki urywając dalszą dyskusję. Zmienił butelkę z morfiną na nową. Na szczęście pacjentka nadal była spokojna.

— Która godzina?

— Najlepsza do spania, siostrze. Proszę oszczędzać energię. Będzie jeszcze siostrze potrzebna. — To była prawda.

Zakonnica nie odpowiedziała. Przez całe życie przywykła do wykonywania poleceń przełożonych i lekarzy, więc i tym razem odwróciła głowę do ściany, wyszeptała modlitwę i zamknęła oczy. Kiedy się upewnił, że głęboko śpi, poszedł do kabiny pilotów.

— Długo jeszcze?

— Jakieś czterdzieści minut. Mieliśmy wiatr w plecy, więc będziemy trochę wcześniej.

— Czyli lądować będziemy przed świtem?

— Tak.

— Co jej jest? — zapytał drugi pilot, znudzony długim lotem, ale nie na tyle, żeby odwrócić głowę.

— Lepiej, żebyś nie wiedział — zapewnił go Moudi.

— Umrze?

— Tak. A samolot trzeba będzie poddać całkowitej dezynfekcji, zanim będzie go można ponownie użyć — przypomniał Moudi.

— Tak, mówili nam o tym — odparł pilot, wzruszając ramionami. Nie miał pojęcia, jak bardzo powinien się bać tego, co przewoził. Moudi wiedział. Parę minut temu zauważył plamę zakażonej krwi na plastikowej płachcie pod jego pacjentką. Trzeba ją będzie bardzo ostrożnie przetransportować, pomyślał.

* * *

Badrajn cieszył się, że darował sobie alkohol. Po paru godzinach był najbardziej trzeźwą osobą w sali. Ile to już trwa? Dziesięć godzin? Nie do wiary, już dziesięć godzin gadają, kłócą się i targują jak stare przekupki na suku.

— Czy on pójdzie na to? — zapytał jeszcze raz dowódca Gwardii.

— No cóż, przynajmniej nie jest to propozycja nierozsądna — odparł Ali. Pięciu starszych mułłów miało przyjechać do Bagdadu i stać się zakładnikami, poświadczającymi, jeśli nie dobrą wolę ich przywódcy, to przynajmniej to, że dotrzyma słowa. Propozycja irackich generałów była mu na rękę nawet bardziej, niż sobie zebrani w bunkrze wyobrażali. Załatwiwszy kolejny punkt negocjacji, generałowie popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

— Zgadzą się — powiedział w ich imieniu dowódca Gwardii. Kilkuset ich bezpośrednich podwładnych zostanie z ręką w nocniku, ale to nie ich sprawa. Przez te dziesięć godzin żaden nawet się o nich nie zająknął.

— W takim razie muszę zadzwonić — powiedział Badrajn. Szef wywiadu wyprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia. Do Teheranu zawsze była stąd bezpośrednia linia mikrofalowa, nawet w czasie wojny. Teraz doszła jeszcze całkowicie bezpieczna od podsłuchów linia światłowodowa. Pod uważnym wzrokiem irackich oficerów wystukał długi numer, którego nauczył się na pamięć kilka dni wcześniej.

— Tu Jusuf — powiedział. — Mam wiadomości.

— Proszę czekać — padła odpowiedź.

* * *

Budzenie przed czasem nie podobało się Darjaeiemu jak każdemu innemu człowiekowi. Zwłaszcza, że od paru dni źle sypiał. Kiedy dzwonek stojącego obok łóżka telefonu zadzwonił po raz drugi, potwierdzając, że to nie omam, zamrugał oczami i dopiero następnym kilka dźwięków skłoniło go do wyciągnięcia ręki po słuchawkę.

— Tak?

— Tu Jusuf. Zgodzili się. Potrzebujemy pięciu przyjaciół.

Allachowi Najwyższemu niech będą dzięki, gdyż zaprawdę wielki i miłosierny jest. Wszystkie te lata wojny i pokoju wydały teraz owoc. Nie, jeszcze nie czas na świętowanie. Wiele jeszcze zostało do zrobienia. Ale najtrudniejsze właśnie się dokonało.

— Kiedy zaczynamy?

— Jak najszybciej.

— Dziękuję. Nie zapomnę ci tego, przyjacielu. — Był już całkiem rozbudzony. Tego ranka, po raz pierwszy od wielu lat, zapomniał o porannych modlitwach. Bóg to zrozumie i wybaczy, bo jego dzieło musi być czynione szybko.

* * *

Ależ musiała być zmęczona, pomyślał Moudi. Obie zakonnice wróciły do przytomności, gdy samolot dotknął pasa startowego. Stopniowo grzechot kół na nierównościach pasa zwolnił, a potem ucichł, a odgłos chlupotania ze strony leżanki siostry Jeanne Baptiste uzmysłowił Moudiemu, że pacjentka rzeczywiście krwawiła, jak się tego obawiał. Przynajmniej dożyła końca podróży. Jej oczy były teraz otwarte, ze zdziwieniem patrzyła w łukowaty sufit kabiny. Siostra Maria Magdalena wyjrzała za okno, ale lotnisko

wyglądało jak każde lotnisko na świecie, zwłaszcza w nocy. Chwilę później maszyna zatrzymała się i otwały się drzwi.

I znowu czekała ich jazda ciężarówką. Do kabiny weszły cztery postacie w plastikowych kombinezonach. Moudi poodpinał pasy mocujące siostrę Jeanne Baptiste do jej łoża boleści i gestem polecił drugiej zakonnicy pozostać na miejscu. Czterech wojskowych sanitariuszy bardzo ostrożnie ujęło płachtę za rogi i uniosło ją do góry, ruszając do drzwi. Kiedy do nich dochodzili, Moudi zauważył, że coś kapnęło na leżankę. To nie jego sprawa. Załoga doskonale wie, co ma zrobić z samolotem, a on ma inne zmartwienia na głowie. Kiedy już pacjentka znalazła się na skrzyni ciężarówki z plandeką, Moudi i siostra Maria Magdalena także wysiedli. Oboje zdjęli hełmy kombinezonów ochronnych i zaczerpnęli świeżego powietrza. Moudi wziął manierkę od jednego z żołnierzy, otaczających samolot i podał ją zakonnicy, a sam wziął drugą od innego żołnierza. Oboje wypili po litrze wody, zanim założyli z powrotem hełmy i wsiedli do ciężarówki. Byli zdezorientowani po długim locie, ona jeszcze bardziej, bo nie miała pojęcia, gdzie się naprawdę znalazła. Moudi zobaczył obok starego *Boeinga 707*, ale nie wiedział, dlaczego postawiono go właśnie tutaj.

— Jeszcze nigdy nie widziałam Paryża — powiedziała zakonnica, rozglądając się wokół, zanim opuszczona z góry plandeka nie zakryła jej widoku. — Tyle, co z samolotu, jak czasem przelatywałam nad nim.

Szkoda, bo już go nie zobaczysz, siostrze, pomyślał.

16 — Iracki przerzut

— Niczego tu nie ma — mruknął pilot śmigłowca. *Seahawk* krążył na wysokości trzystu metrów, przeszukując powierzchnię morza radarem, który powinien wykryć jakieś szczątki. W końcu konstruowano go z myślą o wykrywaniu peryskopów okrętów podwodnych. Obaj z obserwatorem nosili gogle noktowizyjne, dzięki którym mogliby odróżnić błysk płamy paliwa od normalnego odbłasku na wodzie, ale na razie niczego nie zauważyli.

— Nieźle musiał gruchnąć, jeśli nic nie zostało — powiedział obserwator.

— Chyba że szukamy nie tam, gdzie trzeba. — Pilot spojrział na ekran systemu nawigacyjnego. Według przyrządów byli dokładnie tam, gdzie mieli być. Paliwo? Jeszcze na godzinę lotu. Trzeba zacząć myśleć o powrocie na „Radforda”, który sam przeczesywał morze w pobliżu. Śmiesznie wyglądał z tymi zapalonymi reflektorami, przesuwanymi się po powierzchni wody, jak z jakiegoś filmu o drugiej wojnie światowej. Libijski *Antonow* też krążył w pobliżu, próbując pomagać, ale tylko przeszkadzał, bo ciągle musieli uważać, żeby się z nim nie zderzyć.

— Macie coś? — zapytał „Radford”.

— Nie. Nic, powtarzam, nic nie widziałem tam na dole. Paliwa zostało na godzinę. Odbiór.

— Potwierdzam, paliwo na godzinę. Bez odbioru.

— Panie komandorze, ostatni namiar pokazywał, że obiekt kierował się kursem trzy-cztery-trzy z prędkością cztery-sześć-zero kilometrów na godzinę i opadał w tempie tysiąca metrów na minutę. Jak go nie ma dokładnie w tym punkcie, to nie wiem gdzie by mógł być. — Starszy radarzysta popukał palcem w mapę. Dowódca pociągnął łyk zimnej kawy i wzruszył ramionami. Zespół ratowniczy pozostawał w pogotowiu. Dwaj

ratownicy siedzieli w kombinezonach do nurkowania, załoga kutra czekała na sygnał do jego spuszczenia. Wszystkie nadbudówki obsadzono obserwatorami, wypatrującymi lampek na kamizelkach ratunkowych czy w ogóle jakiegokolwiek śladu. Nic. Sonar szukał dźwięku pławy ratunkowej lub markera czarnej skrzynki, które powinny się uruchomić automatycznie po zanurzeniu w wodzie i, zasilane bateriami, powinny działać kilka dni. Sonar „Radforda” był tak czuły, że mógł wykryć jedno czy drugie z trzydziestu mil, a przecież oni znajdowali się dokładnie w punkcie, w którym samolot powinien spaść. I nic, ani śladu. Wprawdzie nigdy dotąd nie uczestniczyli w akcji ratunkowej, ale przecież regularnie ćwiczyli takie sytuacje i załoga wykonywała wszystko tak, że nawet dowódca, choć miał opinię wyjątkowej piły, nie mógł im nic zarzucić.

— USS „Radford”, USS „Radford”, tu kontrola Valetta, odbiór. Komandor podniósł mikrofon.

— Valetta, tu „Radford”.

— Znaleźliście coś, odbiór?

— Nie, Valetta. Nasz śmigłowiec przeszukuje cały akwen, na razie bez skutku. —
Prosili już Maltę o potwierdzenie ostatniej pozycji, kursu i prędkości samolotu, ale oka-

zało się, że cywile stracili go szybciej niż ich własny radar. Po obu stronach rozmówcy westchnęli. Wiedzieli, co się będzie działo dalej. Jeszcze może z dzień, nie krócej i nie dłużej, pokręcą się w pobliżu, nic nie znajdą i to będzie na tyle. Producenta już powiadomiono, że jeden z jego samolotów zaginął na morzu. Przedstawiciele *Gulfstreama* polecą do Berna, gdzie zarejestrowany był samolot, przejrzą dane dotyczące eksploatacji i remontów, w nadziei, że może tam coś znajdą. Kiedy nic nie znajdą, cała sprawa powędruje do rubryki „niewyjaśnione” w czyjejś księdze. Ale to wszystko trzeba zrobić, a zresztą i tak miał zarządzić ćwiczenia — przynajmniej nie musiał tracić czasu na wymyślanie sytuacji. Załoga jakoś to przeżyje. I tak nie znali nikogo z pasażerów, chociaż udana akcja ratownicza wywarłaby doskonały wpływ na morale.

* * *

To chyba ten zapach powiedział jej, że coś jest nie w porządku. Droga z lotniska była krótka. Na zewnątrz panowała jeszcze ciemność. Oboje byli bardzo zmęczeni podróżą, ale najważniejsze było teraz, żeby chora znalazła się w instytucie. Dopiero wtedy mogli się pozbyć ochronnych kombinezonów. Siostra Maria Magdalena przyglądała

swoje krótkie siwe włosy i ciężko oddychała, nareszcie mogła się rozejrzeć wokół. To, co zobaczyła, bardzo ją zdziwiło. Moudi zauważył jej zmieszanie i wprowadził ją do budynku, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

I wtedy poczuła ten zapach, znajomy afrykański smrodek, pozostałość po przeładunku małą kilka godzin wcześniej. Tego zapachu nijak nie dawało się połączyć ani z Paryżem, ani w szczególności z miejscem tak czystym i porządnym, jakim powinien być Instytut Pasteura. Dopiero teraz zaczęła się przyglądać dokładniej i zauważyła, że na ścianach nie ma ani jednego napisu po francusku. Na razie jeszcze była tylko zdziwiona, ale wkrótce zaczęły jej się cisnąć do głowy pytania, nie zdążyła ich jednak zadać. Podszedł do niej żołnierz, wziął pod ramię i gdzieś poprowadził, ale nie odezwał się ani słowem. Obróciła głowę, odszukując wzrokiem nieogolonego lekarza w zielonym fartuchu i patrzyła na niego bez słowa, a smutek na jego twarzy wywoływał jeszcze większy niepokój.

— Co to za jedna? Po coś ją tu przywiózł? — zapytał dyrektor instytutu.

— Ich religia zabrania im podróżowania samotnie — wyjaśnił Moudi. — Bez niej nie mógłbym przywieźć chorej.

— Chora jeszcze żyje?

— Tak — kiwnął głową Moudi. — Wydaje mi się, że jeszcze jakieś trzy, cztery dni pociągnie.

— A ta druga?

— To już nie mnie decydować.

— No, w końcu zawsze można ją też zarazić. . .

— Nie! To by już było barbarzyństwo! — zaprotestował Moudi. — Bóg by nas za to pokarał.

— A to, co planujemy, niby nim nie jest? — z cyniczną drwiną zapytał dyrektor. Coś ten Moudi za długo siedział w buszu, całkiem zmiękł. No, ale nie czas na kłótnie o byle co. Jeden żywiciel wirusa całkowicie im wystarczał, a gdyby nie, to się kogoś innego znajdzie. — Dobra, umyj się i pójdziemy ją obejrzeć.

Moudi ruszył do pokoju lekarskiego na piętrze. Ze zdziwieniem zauważył, że kombinizon przetrwał tak długą podróż bez nawet jednego rozdarcia. Zwinął go w kulę i wrzucił do wielkiego plastikowego kosza, a potem poszedł pod prysznic. Gorąca woda wraz z chemicznymi środkami dezynfekującymi w ciągu pięciu minut oczyściły jego

ciało. W czasie lotu zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie czysty. Teraz, gdy ciało już zostało oczyszczone, jego dusza zadała mu to samo pytanie. Na razie odsunął je od siebie. Założył świeżą bieliznę i kitel, po czym wrócił do swoich zajęć. Sanitariusz rozłożył mu na leżance w pokoju lekarskim świeży kombinezon — tym razem był to oryginalny *Racal*, prosto z pudełka. Założył go i wyszedł na korytarz, gdzie już czekał podobnie ubrany dyrektor. Razem ruszyli korytarzem do sal operacyjnych oddziału zakaźnego.

Sal było cztery. Od reszty ośrodka oddzielały je hermetyczne drzwi, przed którymi stali uzbrojeni wartownicy. Ośrodek podlegał irańskiej armii. Lekarze byli oficerami, a sanitariusze w większości mieli za sobą wojenne doświadczenie. Zewnętrzna ochrona obiektu była bardzo szczelna. Mimo to na parterze stał wartownik, a jeszcze jeden nacisnął guzik otwierający przed nimi drzwi śluzy. Te rozsunęły się z sykiem hydraulicznych siłowników, ukazując następne, podobne drzwi z drugiej strony śluzy. Umieszczony nad wejściem pasek jedwabiu odchylił się do środka, wskazując, że w śluzie panuje podciśnienie. Wszystko grało. System filtrowentylacyjny działał jak należy. Obaj jakoś nie dowierzali rodakom i woleliby, żeby cały ośrodek zbudowali inżynierowie zagra-

niczni. Na Bliskim Wschodzie panowała w tym względzie moda na Niemców, której, na swoje nieszczęście, ulegli Irakijczycy. Pedantyczni Niemcy archiwizowali wszelkie plany budowlane i dzięki temu większość ich budowli została zmielona amerykańskimi bombami na proszek. Po tej nauczce w Iranie postanowiono, że choć sprzęt techniczny do wyposażenia ośrodka zostanie zakupiony na Zachodzie, sam budynek wybudują własnymi siłami. To ich napawało trochę niepokojem, bo od jakości wykonania zależało ich życie, ale nic na to nie mogli poradzić. Wewnętrznych drzwi nie dawało się otworzyć, dopóki zewnętrzne nie zostały hermetycznie zamknięte. Kiedy zapaliła się sygnalizująca to lampka, dyrektor wcisnął guzik otwierający drugie drzwi i weszli do środka.

Siostra Jeanne Baptiste leżała w ostatniej sali po prawej. Krzątało się wokół niej trzech sanitariuszy. Właśnie kończyli rozcinać ostatnie okrywające ją ubrania. Widok był przerażający nawet dla zahartowanych weteranów. Na żadnym polu walki nie widzieli tak potwornych obrażeń. Szybko oczyścili jej ciało i nakryli, szanując jej wstyd, jak nakazywał islam. Dyrektor spojrział na kroplówkę z morfiną i przykręcił kurek, zmniejszając dawkę o jedną trzecią.

— W ten sposób dłużej pożyje — wyjaśnił.

— Ale ból...

— Trudno, nic się na to nie da poradzić — uciął dyskusję dyrektor. Chciał obsztorcować Moudiego, ale po chwili zrezygnował. W końcu sam był lekarzem i rozumiał, że trudno być bezwzględny wobec własnego pacjenta. On jej nie leczył, więc jego stać było na dystans. Widział w niej nie pacjentkę, ale starszą kobietę, Europejkę, otępiałą od morfiny, która już zaczynała mieć z tego powodu kłopoty z oddychaniem. Sanitariu-sze podłączyli elektrody EKG i kiedy spojrział na ekran, zdziwił się, jak jej serce jeszcze dobrze pracuje. To dobrze. Ciśnienie krwi było, jak należało przewidywać, niskie, więc kazał podać dwie jednostki krwi. Im więcej krwi, tym lepiej.

Sanitariusze byli dobrze przeszkoleni. Wszystko, co wraz z pacjentką trafiło w te mury, zostało natychmiast wrzucone do wielkich plastikowych worków, które z kolei zapakowano w jeszcze większe plastikowe worki. Jeden z sanitariuszy wynosił je po kolei do opalanego gazem pieca do niszczenia zakażonych odpadów, w którym pozostawały z nich tylko sterylne popioły. Pacjentka była dla nich tylko wielką szalką Petriego, w której hodowali wirusy. Do tej pory cały materiał, jakim mogli rozporządzać, spro-

wadzał się do paru centymetrów sześciennych krwi pobranej z ciał chorych do analizy. Pozytywny wynik analizy normalnie oznaczał natychmiastową izolację, szybki zgon i usunięcie ciała przez spalanie. Nie tym razem. Już wkrótce będzie miał do dyspozycji więcej wirusów, niż ktokolwiek na świecie kiedykolwiek ich widział. I będzie je hodował dalej, mnożył i dobierał te najbardziej czynne, najsilniej działające.

— Jak ona się tym zaraziła, Moudi?

— Leczyła Przypadek Zero.

— Tego murzyńskiego chłopca?

— Tak.

— Wiadomo, jaki błąd popełniła?

— Nie. Pytałem ją o to, kiedy jeszcze była przytomna. Nie robiła mu żadnych zastrzyków, a z pacjentami zawsze ostrożnie się obchodziła. To bardzo doświadczona pielęgniarka — dodał machinalnie. Był zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek innego poza opowiadaniem wszystkiego, co wiedział. Dyrektor nie miał nic przeciwko temu. — Pracowała już wcześniej z pacjentami zarażonymi wirusem ebola, w Kikwit i jeszcze innych miejscach. U nas uczyła personel zasad bezpieczeństwa.

— Zakażenie drogą kropelkową?

— Centrum Chorób Zakaźnych uważa, że to jakaś mutacja ebola-Mayinga, tego szczepu nazwanego na cześć pielęgniarki, która zaraziła się nim w nie ustalony sposób.

Ta uwaga wywołała badawcze spojrzenie ze strony dyrektora.

— Jesteś pewien tego, co powiedziałaś?

— W tej chwili nie jestem pewien niczego, ale rozmawiałem z całym personelem szpitala i wiem, że ta siostra nie dawała Przypadkowi Zero żadnych zastrzyków. Być może mamy do czynienia z zakażeniem drogą kropelkową.

To był typowy przykład dwóch wiadomości: dobrej i złej. Tak niewiele wiedziano o wirusie ebola. Choroba przenosi się przez krew i inne wydzieliny ciała, zapewne także drogą płciową, choć to ostatnie było możliwością czysto teoretyczną — chory nie był raczej w stanie prowadzić zbyt intensywnego życia seksualnego. Przypuszczano, że poza ciałem żywiciela wirus ginie szybko, toteż raczej nie brano pod uwagę możliwości zakażenia przez zarazki unoszące się w powietrzu, jak to ma miejsce na przykład z zapaleniem płuc i innymi popularnymi chorobami. Ale z drugiej strony, za każdym razem, kiedy dochodziło do wybuchu epidemii, zdarzały się przypadki niewyjaśnione.

Choćby ta biedaczka Mayinga, nikt do tej pory nie wie, jak się zaraziła. Może coś przemilczała, może tylko zapomniała, a może naprawdę zdarzył się wirus, który przeżył na otwartej przestrzeni wystarczająco długo, by się nim zaraziła? Jeżeli tak, to leżąca przed nimi zakonnica była środkiem przenoszenia broni biologicznej o sile zdolnej zatrzeć posadami świata. A jeżeli tak, to w tej chwili, przebywając w tym pomieszczeniu, grają w kości ze śmiercią. Najmniejsza pomyłka mogła ich zabić. Bezwiednie oczy dyrektora powędrowały do kratki wywietrznika na suficie. Budynek powstawał z myślą o zapobieganiu ucieczce śmiertelnych wirusów, którymi się zajmowali. Powietrze wchodzące było czyste, czerpane ponad dwieście metrów poza ośrodkiem. Powietrze wychodzące z „gorącej” strefy przepuszczane było po drodze przez filtr ultrafioletowy, zabijający wszelkie zarazki i dla pewności przez filtry chemiczne, w których to samo zadanie wypełniały związki fenolu. Dopiero po przejściu przez oba filtry powietrza mogło wydostać się na zewnątrz, gdzie klimat też nie sprzyjał przeżyciu wirusa. Wymiany wkładów w filtrach, dokładnie co dwanaście godzin, pilnowano tu bardziej niż regularności modlitw, co w Iranie świadczyło o rzeczywiście najwyższym priorytecie. Promienniki ultrafioletowe, których było pięć razy więcej, niż potrzeba, podlegały nieustannej kon-

troli. W „gorącym” laboratorium utrzymywano podciśnienie, zapobiegające wyciekom zakażonego powietrza. Podciśnienie pozwalało też kontrolować na bieżąco szczelność budynku. Reszty musiało dopełnić odpowiednie wyszkolenie personelu i zaopatrzenie w sprzęt ochronny.

Dyrektor ośrodka był lekarzem, szkolonym w Paryżu i Londynie, ale lata już minęły, odkąd leczył ostatniego pacjenta. Całą ostatnią dekadę poświęcił biologii molekularnej, a zwłaszcza wirusologii. Wiedział o wirusach wszystko, co mógł wiedzieć człowiek, ale nadal było tej wiedzy żałośnie mało. Wiedział, jak je hodować, a przed sobą miał największą kolonię wirusa ebola, jaka kiedykolwiek trafiła do laboratorium. W dodatku razem z pożywką, w jaką los zamienił tę nieszczęsną kobietę. Nie znał jej przedtem, nie współpracował z nią, nigdy z nią nie rozmawiał. I bardzo dobrze. Może i była doskonałą pielęgniarką, jak mówił Moudi, ale to już przeszłość i nie ma sensu zbytnio się przywiązywać do kogoś, kogo za trzy dni i tak już nie będzie wśród żywych.

W czasie gdy Moudi brał prysznic zajął się inną sprawą. Tę drugą kobietę przeniesiono na oddział interny, dano jej ubranie i pozostawiono samej sobie. Siostra Maria Magdalena wzięła prysznic, nadal zastanawiając się, gdzie jest i co się tutaj dzieje. Na

razie była zbyt zdezorientowana, by się niepokoić i zbyt zmęczona, by się bać. Podobnie jak Moudi, myśla się długo i oczyszczenie ciała pomogło jej oczyścić umysł na tyle, by zacząć stawiać sobie właściwe pytania. Za parę minut poszuka doktora i spyta, co się tutaj wyprawia. Tak, to właśnie trzeba zrobić, pomyślała ubierając się. Znajomy krój i zapach drelichów medycznych nieco ją uspokoił. Miała ze sobą nadal różaniec, który wzięła pod prysznic. To był różaniec metalowy, łatwy do wysterylizowania. Ten prawdziwy, który dostała czterdzieści lat temu, składając śluby zakonne, pozostał w Kongo, razem z habitem. Postanowiła, że modlitwa będzie odpowiednim przygotowaniem do wyprawy po informacje, więc uklękła, przeżegnała się i zaczęła odmawiać różaniec. Pochłonięta modlitwą nie usłyszała drzwi, które bezszelestnie otworzyły się za nią.

Żołnierz stał za drzwiami od jakiegoś czasu. Mógł wprawdzie wejść już dawno i wykonać polecenie, ale wtargnąć tam, do nagiej kobiety pod prysznicem, nie, na to się nie mógł zdecydować. Przecież i tak mu nigdzie nie ucieknie. Ucieszyło go, że po zakończeniu ablucji zaczęła się modlić. Widać było, że często to robiła. Wykazywała taką wprawę we wszystkich ruchach, taka spokojna, odprężona, taka ufna, że Bóg jej słucha. To dobrze. Nawet zbrodniarzowi daje się przed egzekucją szansę pojednania z Bogiem,

odmówienie jej tego byłoby ciężkim grzechem. W dodatku łatwiej będzie, bo modli się tyłem do drzwi. Uniósł pistolet i popchnął lekko drzwi. Rozmawiała nadal z Bogiem. . .

Teraz mogła już z Nim mówić twarzą w twarz. Spuścił napięty kurek, schował pistolet do kabury i kazał sanitariuszom posprzątać. Nie raz już zabijał ludzi — taki zawód, nie było w nim nic zaszczytnego ani rozkosznego, a ktoś to musiał robić i padło na niego — ale chyba po raz pierwszy w życiu po zabiciu człowieka zdziwił się swoją reakcją. Bo po raz pierwszy chyba wysłał jakąś duszę prosto do raju. Trochę mu głupio było odczuwać zadowolenie z tego powodu.

* * *

Tony Bretano przyleciał firmowym samolotem korporacji TRW. Okazało się, że wcale nie przyjął propozycji Lockheeda-Martina i Ryan z przyjemnością przekonał się, że nawet George Winston może mieć czasem niedokładne informacje. Przynajmniej okazało się, że nie ma wtyczek doskonałych, zawsze ktoś może zbyt zaufać swej intuicji.

— Już wcześniej powiedziałem „nie”, panie prezydencie.

— Owszem, nawet dwa razy — przypomniał mu Ryan. — Raz odmówił pan kierowania ARPA, a drugi raz nie przyjął pan posady podsekretarza w Departamencie Nauki. Potem typowano pana na dyrektora Narodowego Biura Rozpoznania, ale biorąc pod uwagę poprzednie odmowy, nawet nie zaproponowano panu tego stanowiska.

— Coś na ten temat do mnie dotarło — potwierdził Bretano. Był bardzo niski, a jego wojowniczość wskazywała na kompleksy z tego wynikające. Mówił z akcentem kogoś z włoskiego getta na Manhattanie, choć od wielu lat mieszkał na Zachodnim Wybrzeżu. To też o czymś świadczyło. Lubił podkreślać, skąd się wywodzi, choć dwa doktoraty na MIT z łatwością mogły go nawrócić na akcent z Cambridge.

— Nie przyjął pan tych posad, bo w Pentagonie panuje za duży burdel, czy tak?

— Za duży ogon, a za mało zębów. Gdybym w ten sposób chciał prowadzić biznes, udziałowcy by mnie zlinczowali.

— Więc niech pan zrobi z tym porządek.

— Tego się nie da uporządkować.

— Panie Bretano, co mi pan tu opowiada? Co jeden człowiek spieprzy, drugi zawsze może naprawić. A jeżeli pan uważa, że brakuje panu jaj, żeby to zrobić, to niech mi pan to od razu powie i oszczędzimy sobie mnóstwo cennego czasu.

— Chwilę...

— Nie, to pan niech chwilę posłucha. Widział pan moje przemówienie w telewizji, więc nie będę się powtarzał. Chcę tu posprzątać i potrzebuję do tego odpowiednich ludzi, a skoro pan odpada, to trudno, będę musiał poszukać kogo innego, na tyle twardego, żeby...

— Twardego? — Bretano niemal podskoczył na sofie. — Twardego? Słuchaj pan, mój stary sprzedawał jabłka z wózka na rogu ulicy. Gówno dostałem od świata, o wszystko musiałem walczyć! I nie będzie mi żaden... — przerwał nagle, widząc, że Ryan zwija się ze śmiechu. Przez chwilę zbaraniał, ale potem pomyślał i też się uśmiechnął. — Niezła podpucha — pochwalił, wracając do pozy statecznego przemysłowca.

— George Winston mówił, że jest pan strasznie zapalczywy — wyjaśnił Ryan. — Od dziesięciu lat nie mieliśmy porządnego sekretarza obrony. Chyba się nie pomyliłem co do pana, ale jeżeli popełniam błędy, to chcę, żeby ludzie mi o tym mówili.

— Co bym miał zrobić?

— Chcę, żeby rzeczy zaczynały się dziać, kiedy podniosę słuchawkę telefonu. Chcę wiedzieć, że jeżeli kiedyś będę musiał wysłać chłopaków na wojnę, to będą porządnie umundurowani, wyszkoleni, zaopatrzeni i dowodzeni. Chcę, żeby ludzie zaczęli myśleć o tym, do czego jesteśmy zdolni, jak nam się nadeprnie na odcisk. To znacznie ułatwia robotę Departamentowi Stanu. — Wskazał za okno. — Jak byłem dzieciakiem w Baltimore i spotkałem policjanta na Monument Street, to wiedziałem dwie rzeczy. Wiedziałem, że zadzierać z nim to głupi pomysł, ale wiedziałem też, że jeśli będę potrzebować pomocy, to mogę na niego liczyć.

— Innymi słowy, chce pan towar, który moglibyśmy dostarczyć wtedy i tam, gdzie będzie trzeba?

— Zgadza się.

— Strasznie się tam zabagniło — powiedział Bretano.

— Chciałbym, żeby sobie pan dobrał odpowiednich ludzi i wraz z nimi zaprojektował taką strukturę armii, jakiej nam potrzeba. A potem przeorganizował odpowiednio Pentagon.

— Ile mam czasu?

— Na przygotowania daję panu dwa tygodnie.

— Niewiele.

— Znowu pan zaczyna? Przecież prace nad tą strukturą trwają już tak długo. Zawsze się dziwiłem, że w naszym kraju jeszcze rosną jakieś drzewa, których nie zużyto na brudnopisy. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co was czeka, w końcu to była przez parę lat moja działka. Miesiąc temu toczyliśmy z Japonią wojnę i okazało się, że tak naprawdę jesteśmy słabsi. Dopisało nam szczęście, ale nie chcę być zdany tylko na szczęście, jak znowu dojdzie do konfliktu zbrojnego. Chcę, żeby pan wyplenił biurokrację do tego stopnia, że jeżeli coś ma być zrobione, to się to robi, a nie tylko gada. Co więcej, chciałbym, żeby sprawy były załatwiane, zanim rząd się nimi zajmie. Jeżeli zrobimy to jak należy, to każdy stuknie się w głowę, zanim podniesie na nas rękę. Problem tylko w tym, czy pan ma chęć i zdolności, by to zrobić, doktorze Bretano?

— To będzie rzeź.

— Nie ma sprawy, moja żona jest chirurgiem.

— Wojsko to tylko połowa roboty. Do niczego się nie przyda z dziadowskim wywiadem — wytknął Bretano.

— Wiem. CIA już się zająłem. George powinien sobie poradzić w Skarbie. Teraz przeglądam listy sędziów, żeby obsadzić Departament Sprawiedliwości. Mówiłem to wszystko w telewizji. Zbieram drużynę. Chcę, żebyś w niej grał. Ja też doszedłem do wszystkiego swoją pracą. Czy dwóch takich jak my, doszłoby gdziekolwiek indziej tak wysoko? Czas zacząć spłacać dług, Bretano.

Na taki argument nie było obrony.

— Kiedy zacznę?

Ryan spojrzął za zegarek.

— Dasz radę jutro rano?

* * *

Mechanicy pojawili się tuż po wschodzie słońca. Dookoła samolotu stała wojskowa warta, której jedynym zadaniem było trzymanie na dystans ciekawskich, bo to lotnisko było i tak najbezpieczniejsze na świecie. W końcu znajdowało się pod Teheranem, a terrorysta, jak ptak, nie kala własnego gniazda. Arkusz papieru na podkładce szefa brygady zawierał listę koniecznych zabiegów, której długość zdziwiła go, ale na krótko. Takie samoloty zawsze były traktowane specjalnie, zupełnie jak ludzie, którzy zwykle nimi latali. Co za różnica? Miał swoją robotę do zrobienia i nikt nie musiał mu powtarzać, że akurat w tych samolotach powinien ją wykonać bardzo starannie. Zresztą jego ludzie byli zawsze bardzo dokładni. Drugim arkuszem była karta remontowa samolotu, która wskazywała, że nadszedł czas na wymianę dwóch przyrządów w kabinie pilotów. Oba nowe leżały w pudełkach w skrzynce narzędziowej, którą przyniósł. Trzeba je będzie wykalibrować. Druga część brygady zajmie się silnikami, zmianą oleju i tankowaniem. Potem wspólnie posprzątają kabinę.

Ledwie zaczęli, nagle pojawił się jakiś kapitan z nowymi rozkazami i, jak się należało spodziewać, nowe rozkazy były sprzeczne ze starymi. Według tych nowych mieli jak najszybciej zamontować siedzenia i zatankować paliwo, bo samolot ma zaraz startować do kolejnego lotu. Oficer nie powiedział dokąd, ale w końcu, co to sierżanta obchodziło. Kazał się pośpieszyć mechanikowi montującemu przyrządy w kabinie. Fajny był ten *Gulfstream*. Jak coś się zważyło w kabinie, wymieniało się cały moduł i z głowy, nie to co w tych starych pudłach, gdzie trzeba było pół kabiny rozłożyć na śrubki, żeby się do czegokolwiek dostać. Podjechała ciężarówka z siedzeniami zdemontowanymi dwa dni temu i zaczęli je przykręcać na miejscach. Majster zastanawiał się, co za sens było je zdejmować tylko po to, żeby teraz pieprzyć się z nimi raz jeszcze? Trudno, każą, to się robi, nie ma sensu pytać o cokolwiek. Tylko cholery można dostać z tym ciągłym pośpiechem. Póki nie było foteli, można było porządnie wysprzątać kabinę, a teraz to gównno, nie robota. Czternaście foteli wróciło na swoje miejsca, przekształcając samolot na powrót w komfortową miniaturę liniowca pasażerskiego. Fotele zostały wyprane po zdemontowaniu, jak zwykle przy takiej okazji, popielniczki opróżnione i wytarte. Po chwili przyjechał dostawca z jedzeniem z katering i od razu w samolocie zaczęło

kłębić się od ludzi, którzy przeszkadzali sobie nawzajem. Nie jego wina, po co było wszystkich naraz popędzać? A potem zrobiło się jeszcze szybciej. Przyjechała nowa załoga z mapami i planem lotu, wchodzi — a tu tłok jak na suku. Pilot idzie do kabiny, a tam mechanik leży pół na fotelu, pół na podłodze i kończy pracę przy tablicy przyrządów. I co, poszedł, żeby mu nie przeszkadzać? Skąd, stoi jak palant w drzwiach i myśli, że jak będzie patrzył ze srogą miną, to robota się sama robi. Mechanikowi nie sprawiało to żadnej różnicy, chce, niech stoi, cholera z nim. Spokojnie, dokładnie podłączył ostatni kabel, zamknął obudowę i podciągnął się na fotel. Włączył program testujący i sprawdził poprawność funkcjonowania nowego przyrządu. Dopiero by go skleli, gdyby z tego pośpiechu coś spartolił. Jeszcze nie zdążył dobrze wstać, gdy pilot usiadł na fotelu obok i ponownie uruchomił ten sam program testujący, zupełnie jakby nie widział, że już raz wszystko poszło jak potrzeba. Ech, sokoły, nie dowierzacie wy fachowcom.

Wychodząc, zrozumiał skąd ten pośpiech. Na pasie obok stało pięciu mułłów i niecierpliwie spoglądali co chwila na biały samolot, strasznie czymś przejęci. Mechanik i wszyscy inni znali ich nawet z nazwiska, bo często występowali w telewizji. Wszyscy

skłonili im się z szacunkiem i teraz już sami zaczęli się poganiać. Rezultat był taki, że sprzątaczy odwołano, zanim zdążyli zrobić cokolwiek poza przetarciem na mokro paru miejsc po zamontowaniu foteli. Pasażerowie wsiedli natychmiast po ich wyjściu i zebrali się w tylnej części kabiny, z ożywieniem nad czymś konferując. Załoga uruchomiła silniki i *Gulfstream* ruszył z miejsca tak szybko, że ciężarówka z żołnierzami nie zdążyła nawet odjechać, kiedy samolot był już w powietrzu.

* * *

Lądujący w Damaszku drugi *Gulfstream* dostał rozkaz natychmiastowego startu do Teheranu. Załoga klęła, ale zrobiła, co jej kazali. Spędzili na ziemi tylko czterdzieści minut.

* * *

W Palmie nie narzekali na brak zajęcia. Coś wisiało w powietrzu. Łączność na szyfrowanych kanałach dowództwa irackiego to gwałtownie narastała, to znowu całkowicie się urywała, by za jakiś czas znowu narastać i znowu zanikać. Teraz właśnie zanikła.

Komputery w bazie King Chalid usiłowały rozgryźć generowane przez mikroprocesorowe urządzenia szyfry, zabezpieczające korespondencję. Kiedyś na tak skomplikowane urządzenia mogły sobie pozwolić tylko najbardziej rozwinięte armie świata, dziś rewolucja komputerowa uczyniła je powszechnie dostępnymi dla nawet najbiedniejszych użytkowników. Skoro Malezja posługuje się kodami trudniejszymi do złamania od rosyjskich, to trudno wymagać, by Irak nie poszedł w ich ślady. A wszystko dzięki amerykańskimi miłośnikom Internetu, którzy bali się, że FBI będzie czytać ich opowiadania erotyczne. Kodery łączności taktycznej były oczywiście nieco prostsze, ale do łamania szyfrowanej nimi korespondencji i tak trzeba było Craya, rok wcześniej przewiezionego samolotami do Arabii Saudyjskiej. Ten komputer był wyrazem wdzięczności dla Saudyjczyków za ufundowanie stacji i pokrywanie kosztów jej użytkowania.

— Na rozmówki o rodzinie im się zebrało? — zdziwił się sierżant Sił Powietrznych. To coś nowego. Parę razy zdarzało im się już włączyć w jakieś męskie rozmowy między irackimi generałami i dowiedzieli się wtedy sporo o ich indywidualnych upodobaniach, ale to była nowość.

— Będą spieprzać — ocenił siedzący obok starszy sierżant sztabowy, szef zmiany. — Mówię ci, że dają nogę. Pani porucznik! — krzyknął do oficera dyżurnego. — Coś się ruszyło!

Porucznik pracowała nad czym innym. Kuwejcki port lotniczy rozporządzał potężnym radarem, zamontowanym po wojnie w Zatoce i pracującym w dwóch zakresach: jednym dla kontroli obszaru, a drugim dla sił powietrznych. Kontrola obszaru zgłosiła, że po raz kolejny w ciągu kilku dni samolot dyspozycyjny z Iranu poleciał do Bagdadu. Trasa była identyczna z poprzednimi lotami, tak samo sygnał transpondera. Dwie stolice dzieliło zaledwie sześćset kilometrów, dolna granica, przy której opłacało się wychodzić po drodze na pułap przelotowy dla oszczędności paliwa. I tylko dlatego wlatywał w zasięg kuwejckiego radaru. Powyżej krążył *E-3B Sentry*, samolot wczesnego ostrzegania, ale on kontaktował się bezpośrednio z bazą King Chalid, a nie z nimi. Pomiędzy Palmą a rozpoznaniem powietrznym panowała ostra rywalizacja o to, kto pierwszy coś wykryje, która zaostrzyła się jeszcze od czasów, kiedy personel Palmy zaczęli stanowić w większości podoficerowie Sił Powietrznych. Porucznik doczytała raport do akapitu i ruszyła w kierunku stanowiska, z którego ją wołano.

— Co jest, szefie? — zapytała.

Sierżant wywołał na ekran tłumaczenia kilku ostatnich przechwyconych wiadomości. Od czasu do czasu pukał palcem w ekran, podkreślając szczególnie interesujące fragmenty.

— Chłopaki zabierają dupę w troki, pani porucznik — podsumował sierżant na użytek przełożonej i kuwejckiego majora, który właśnie podszedł z boku. Major Ismael Sabah był dalekim krewnym kuwejckiej rodziny królewskiej, wykształcenie odebrał w Dartmouth i był raczej lubiany przez Amerykanów ze stacji. Podczas wojny pozostał na terenach okupowanych i kierował grupą dywersyjną, jedną z najbardziej skutecznych. Nie wychylał niepotrzebnie głowy, zbierał dokładne informacje o sile i rozmieszczeniu wojsk irackich, i przesyłał je na zewnątrz, korzystając z telefonów komórkowych, które działały w saudyjskiej sieci, obejmującej swym zasięgiem sporą część Kuwejtu. Irakijczycy szukali radiostacji, ale nie byli w stanie namierzyć komórek, zwłaszcza że ludzie majora zawsze pamiętali, żeby je natychmiast po seansie łączności wyłączyć. W ciągu wojny stracił trzech członków rodziny, zamordowanych przez wojska okupacyjne w odwecie za jego działalność. Doświadczenia tej działalności nauczyły go

wiele, w tym nienawiści do sąsiadów z północy. Był spokojnym, raczej introwertycznym człowiekiem po trzydziestce i co dzień zdawał się uczyć więcej. Chłonał wiedzę jak gąbka. Teraz pochylił się nad ekranem i przyglądał się tłumaczeniom.

— Jak wy to mówicie? Szczury uciekają z tonącego okrętu?

— Pan też tak myśli, majorze? — zapytał sierżant, zanim porucznik zdążyła odpowiedzieć.

— Ale do Iranu? — Porucznik była szczerze zdziwiona. — Wiem, że na to wychodzi, ale to przecież bez sensu!

— Kto mówi, że to musi mieć sens? — skrzywił się major. — A czy ewakuacja lotnictwa do Iranu przed rozpoczęciem Pustynnej Burzy miała sens? Irańczycy zatrzymali samoloty, pilotów puścili jednak z powrotem do domu. Dużo się pani jeszcze musi nauczyć o tutejszych obyczajach, pani porucznik.

Jedno co się o nich do tej pory dowiedziałam, to tyle, że trudno się w nich doszukiwać sensu, przemknęło jej przez głowę.

— Mamy coś jeszcze? — zapytał sierżanta Sabah.

— Trochę pogadają, potem cisza. Potem znowu pogadają i znowu cisza. Sporo tego nałapałiśmy, ale jeszcze to rozgryzają w King Chalid.

— Radar melduje samolot dyspozycyjny z Teheranu do Bagdadu.

— O, znowu? Czy to ten sam, co poprzednio?

— Tak jest, panie majorze.

— I nic więcej?

— Panie majorze, coś chyba będzie w tych nasłuchach, które teraz obrabiają w King Chalid. Mamy je dostać za jakieś — spojrzął na zegarek — trzydzieści minut.

Sabah zapalił papierosa. Palma była nominalnie stacją kuwejcką i wolno tu było palić, co jednych cieszyło, a innych doprowadzało do rozpacz. Jego stosunkowo niska ranga nie przeszkadzała mu w rzeczywistości wysoko stać w hierarchii kuwejckiego wywiadu wojskowego, ale był człowiekiem rzeczowym i skromnym.

— Jaka jest wasza opinia? — zapytał w końcu, gdy jego własna opinia była już całkowicie ukształtowana.

— Tak jak pan mówił, sir. Uciekają — odparł sierżant.

Major Sabah dokończył za niego: — W przeciągu godzin, a najwyżej dni, Irak zostanie mieć rząd, a Iran dopilnuje, by w Bagdadzie zapanował chaos.

— Niedobrze — mruknął sierżant.

— Mnie raczej przychodzi na myśl słowo „katastrofalnie” — zauważył Sabah. Pokręcił głową i uśmiechnął się, co zyskało mu jeszcze więcej sympatii ze strony amerykańskich szpiegów.

* * *

Gulfstream wylądował w chłodnym powietrzu bagdadzkiego lotniska w trzydzieści sześć minut po starcie z Teheranu. Punktualny jak Swissair, zauważył Badrajn, opuszczając mankiet na zegarek. Gdy tylko samolot zatrzymał się, otwarto drzwi i pięciu mułów zeszło na płytę. Po kilku minutach powitań, mały konwój Mercedesów ruszył do centrum miasta, gdzie duchownych zakwaterowano w luksusowych apartamentach, które w razie gdyby sprawy poszły źle, stałyby się ich grobem. Ledwie odjechały samochody, gdy dwaj generałowie z żonami, dziećmi i jednym ochroniarzem każdy, wyszli z poczekalni dla VIP-ów i wsiedli do samolotu. Drugi pilot zatrzasnął drzwi, urucho-

miono silniki i, według zegarka Badrajna, w mniej niż dziesięć minut po lądowaniu, samolot był z powrotem w powietrzu. Załoga wieży kontrolnej nie mogła tego nie zauważyć. Zabezpieczenie operacji stanowiło problem, który najbardziej trapił Badrajna. Nie da się jej utrzymać w tajemnicy, a w każdym razie nie na długą metę. Lepiej byłoby używać do tego rejsowego samolotu i traktować generałów jak zwykłych turystów, ale oba kraje nie utrzymywały normalnej komunikacji lotniczej, a generałowie nie daliby się traktować w tak plebejski sposób. I tak personel wieży wiedział już o specjalnych lotach do i z Teheranu, a personel lotniska obsługiwał generałów w poczekalni i także nie mógł przeoczyć faktu, że dygnitarze siedzieli tam z rodzinami na walizkach. Gdyby chodziło o jeden taki lot, to pal sześć. Ale będą następne.

Zresztą to i tak pewnie niewiele znaczy. Biegu wypadków, który pomógł puścić w ruch, nie da się już teraz zatrzymać. Ale Badrajn nie mógł się pogodzić z tak amatorskim sposobem wykonania planu. To obrażało jego profesjonalną dumę. Powinno się to wszystko zrobić po cichu. Wzruszył ramionami, kierując się w stronę terminalu. Za swój wkład w tę operację zyskał wdzięczność potężnego władcy potężnego państwa.

I za co? Przecież on tylko mówił ludziom to, o czym doskonale wiedzieli i pomagał podjąć decyzję w sytuacji, w której nie mieli wyboru.

* * *

— Znowu ten sam. Kurczę, szybko się uwinął — zauważył sierżant.

Trochę pokręcili gałkami i wyizolowali częstotliwość, na której samolot prowadził łączność z ziemią. Sygnały do i z *Gulfstreama* trafiały do słuchawek tłumacza, gdyż samolot komunikował się z ziemią w farsi, choć językiem łączności był w lotnictwie cywilnym angielski. Pewnie miało to być dodatkowe zabezpieczenie, ale im akurat pomogło w namierzaniu. Samolot był teraz śledzony radarem i namiernikiem radiowym. Korespondencja była całkiem zwyczajna, a gdyby nie język korespondencji i fakt, że w Bagdadzie maszyna nawet nie zatankowała, wszystko wyglądałoby normalnie. Szybki start oznaczał zaś, że było to z góry zaplanowane, co nikogo w Palmie nie zaskoczyło. *Gulfstreama* wziął teraz pod lupę także *E-3B*, którego przesunięto z normalnej strefy patrolowania i dodano mu eskortę czterech saudyjskich *F-15*. Irański i iracki wywiad na pewno odnotują to wzmożone zainteresowanie i zdziwią się, bo najwyraźniej jeszcze

nie wiedzą, co się kroi. Gra zaczynała się robić fascynująca, obie strony nie wiedziały jeszcze wszystkiego, i każda myślała gorączkowo co już wie, a czego jeszcze nie wie przeciwnik. Teraz zrobiło się jeszcze ciekawiej, bo w grę zaangażowały się już trzy strony i choć każda uważała, że przeciwnik wie za dużo, w rzeczywistości żadna nie wiedziała więcej niż pozostałe.

* * *

Rozmowa na pokładzie *Gulfstreama* toczyła się po arabsku. Obaj generałowie nerwowo i po cichu konferowali w tyle samolotu, gdzie szum silników zagłuszał ich słowa. Ich żony siedziały z przodu, wciąż nerwowe i spięte, a dzieci spały lub oglądały książeczki. Najgorzej mieli ochroniarze, którzy wiedzieli, że jeżeli w Iranie coś pójdzie nie tak, to zginą całkiem niepotrzebnie. Jeden z nich siedział w środku kabiny i odkrył, że jego siedzenie jest wilgotne. Nie wiedział co to, ale było czerwone i lepiałe się. Jakiś keczup albo sok pomidorowy? Rozdrażniony ruszył do łazienki i umył po tym świństwie ręce, zabierając ręcznik, żeby wytrzeć siedzenie. Gdy skończył, rzucił go na siedzenie obok i usiadł z powrotem, spoglądając na góry za oknem. Zastanawiał się, czy zobaczy

jeszcze kiedyś wschód słońca, nie zdając sobie sprawy, że właśnie sam ograniczył ich liczbę do dwudziestu.

* * *

— O, mamy analizę głosów — powiedział sierżant. — To zastępca dowódcy ich sił powietrznych i dowódca 2. Korpusu. Z rodzinami — dodał. Rozszyfrowanie zajęło dwie godziny od chwili przechwycenia wiadomości.

— Na odstrzał? — zapytała pani porucznik. Szybko się uczy, pomyśleli pozostali.

— Do pewnego stopnia tak — potwierdził major Sabah. — Trzeba sprawdzić, czy nie będzie kolejnego samolotu z Teheranu wkrótce po lądowaniu *Gulfstreama*.

— Dokąd, majorze?

— A właśnie, oto jest pytanie, pani porucznik.

— Sudan? — podrzucił sierżant. To była jego druga tura w Palmie.

— Też bym tak obstawiał, sierżancie — zgodził się Sabah. — Potwierdzenia dostarczy monitorowanie wylotów z Bagdadu. — Mimo całego doświadczenia major nie

miął pojęcia, dokąd może to wszystko prowadzić, choć powiadomił już swoich przełożonych, że coś się dzieje.

* * *

Dwadzieścia minut później wstępny raport trafił z King Chalid do Fort Meade w stanie Maryland. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przesłała go światłowodową linią do Langley, gdzie trafił do komputerów systemu szyfrowego Mercury i po rozkodowaniu do Centrum Operacyjnego CIA, sali 7-F-27 starego budynku dyrekcji.

Dyżur w centrali pełnił tego wieczoru Ben Goodley, szybko pnący się w górę w hierarchii wydziału wywiadu, od niedawna w randze Narodowego Oficera Wywiadu, ale z powodu najniższego starszeństwa wśród NOW zepchnięty na psią wachtę. Goodley zwrócił się do dyżurnego eksperta bliskowschodniego, wręczając mu raport, gdy tylko całość wyszła z drukarki.

— Początek końca — zwięźle ujął ocenę sytuacji ekspert, dochodząc do końca trzeciej strony. Konstatacja nie była specjalnie odkrywczą, do przyjemnych też nie należała.

— Nie ma wątpliwości? — upewnił się jeszcze Ben, choć sam żadnych nie żywił.

— Mój drogi chłopcze — specjalista miał dokładnie dwadzieścia lat więcej stażu w Firmie od swego przełożonego — przecież nie pojechali do Teheranu na zakupy.

— Wysyłamy SOW? — Goodley miał na myśli Specjalną Ocenę Wywiadu, dokument używany do przekazywania wiadomości o wielkiej wadze dla spraw bezpieczeństwa narodowego, zwykle oznajmiający nowe sytuacje kryzysowe.

— Chyba tak. Rząd iracki pada. — To nie była niespodzianka.

— Trzy dni?

— Najwyżej.

Goodley wstał zza biurka.

— Dobra, chodźmy to napisać.

17 — Odrodzenie

Tak się zwykle składa, że ważne rzeczy dzieją się w najmniej odpowiednich chwilach. Czy to urodziny dziecka, czy zagrożenie bezpieczeństwa narodowego, przeważnie tego typu zdarzenia zaskakują ludzi we śnie lub podczas choroby. W tym przypadku nic na to nie można było poradzić. CIA nie miała nikogo na miejscu, żeby sprawdzić wiadomość pochodzącą z nasłuchu i chociaż był to region, którym Firma była w najwyższym stopniu zainteresowana, nic nie mogli zrobić. Media na razie niczego nie podawały i CIA będzie jak zwykle udawała, że nic nie wie. Dzięki temu raz jeszcze opinia publiczna utwierdzi się w przekonaniu, że agencje prasowe są sprawniejsze w pozyski-

waniu wiadomości od CIA. Nie zawsze tak w rzeczywistości bywało, ale zdarzało się tak, i to częściej, niż Goodley był w stanie zaakceptować.

SOW była krótka. Nie warto było się rozpisywać, a wnioski też były oczywiste. Po pół godziny dokument był gotów. Drukarka wypluła jedną kopię do akt wewnętrznych CIA, a sam dokument został rozesłany modemem przez bezpieczne linie do zainteresowanych agencji rządowych. Obaj dyżurni wrócili do Centrali.

* * *

Gołowko powoli otworzył oczy. Aeroflot kilka miesięcy temu kupił dziesięć *Boeingów 777* do obsługi linii transatlantyckich. Były dużo wygodniejsze i mniej się psuły od samolotów własnej produkcji, którymi latał przez lata, ale tak długi lot na dwóch silnikach, niechby i amerykańskich, ale tylko dwóch, zamiast czterech, napawał go niepokojem. Fotele były jednak wygodne, przynajmniej w pierwszej klasie, a wódka, którą zamówił zaraz po starcie okazała się wyśmienitej marki. Połączenie tych dwóch czynników dało mu pięć i pół godziny snu, zanim towarzyszące zwykle podróży poczucie

dezorientacji wybiło go ze snu nad Grenlandią. Jego ochroniarz na sąsiednim fotelu nadal spał. Stewardesy pewnie też spały gdzieś z tyłu na składanych fotelach.

Kiedyś wszystko wyglądałoby inaczej. Leciałby specjalnym samolotem, miałby do dyspozycji komplet urządzeń łączności, dający mu natychmiast znać o wydarzeniach rozgrywających się w najdalszych zakątkach globu, tak szybko, jak w Moskwie nadążano by z wysyłaniem szyfrówek. Ale od samej świadomości gorsze było to, że naprawdę coś się działo. Irak i Chiny. Dobrze, że chociaż jedno gorące miejsce oddziela od drugiego tak duża odległość. No tak, pomyślał Gołowko, ale z Moskwy do Waszyngtonu jest jeszcze dalej: cała noc samolotem. Zastanawiając się nad tym, doszedł do wniosku, że bardzo potrzebuje snu.

* * *

Najtrudniejszą sprawą wcale nie było wydostanie generałów z Iraku. O wiele bardziej skomplikowany okazał się przerzut z Iranu do Sudanu. Dawno już żadnemu irańskiemu samolotowi nie pozwolono na przelot nad Arabią Saudyjską, chyba że w czasie pielgrzymki do Mekki. W tej sytuacji samoloty musiały latać dookoła Półwyspu

Arabskiego, wzdłuż wybrzeża Morza Czerwonego i potem na zachód do Chartumu, co trzykrotnie wydłużało drogę. Następny lot do Bagdadu nie mógł się odbyć, dopóki generałowie nie dotarli na miejsce i nie zadzwonili, przekazując zakodowane hasło, że żyją i mają się dobrze. Załadowanie ich wszystkich w duży samolot i wysłanie całości jednym lotem na trasie Badgad-Teheran-Chartum byłoby dużo prostsze, ale niemożliwe. Równie niemożliwe jak ominięcie Arabii Saudyjskiej przez Jordanię. To by znacznie skróciło drogę, ale oznaczałoby przelot w niebezpiecznie bliskiej odległości od Izraela, a na to by nie przystali generałowie. I jeszcze względy bezpieczeństwa na miejscu. . . Sytuacja zaczynała być męcząca.

Dla kogoś słabszego niż Darjaei, byłaby wręcz denerwująca. Ale on stał spokojnie przy oknie w zamkniętej części terminalu lotniczego i patrzył na *Gulfstreama*, który zatrzymał się obok budynku. Otwarto drzwi i kilka osób pośpiesznie wysiadło z niego, przechodząc do schodków drugiego samolotu, stojącego nie opodal. Bagażowi szybko przerzucili niewielkie bagaże pasażerów, zawierające bez wątpienia coś o niewielkiej masie i poręcznego, a o dużej wartości, zapewne biżuterię. Zaledwie parę minut po zakończeniu przeładunku ruszył drugi samolot.

Przyjście tutaj tylko po to, żeby zobaczyć tych paru ludzi, przemykających chyłkiem z jednego samolotu do drugiego nie było może zbyt rozsądnym krokiem, ale dla niego te sceny tam na dole stanowiły ukoronowanie dwudziestu lat wysiłków. Mahmud Hadzi Darjaei był sługą bożym, pozostał jednak na tyle człowiekiem, by pragnąć ujrzeć owoce, jakie przynosi jego trud. Całe życie służył temu celowi, a przecież czekała go jeszcze druga połowa pracy, kto wie, czy nie trudniejsza. A życie przeciekało przez palce. . .

Jak każdemu człowiekowi, napomniiał się Darjaei. Życie ucieka, co sekundę, co minutę, co dzień zostaje go mniej, ale siedemdziesięciolatkowi wydaje się, że jego czas ucieka szybciej. To tak, jak z klepsydrą — im mniej piasku zostało, tym szybciej zdaje się sypać. Popatrzył na swoje ręce, na blizny i zmarszczki, którymi je życie naznaczyło. Część z nich była naturalna, część nie. Dwa palce złamali mu ludzie Savaku, tajnej policji szacha, szkolonej przez Izraelczyków. Pamiętał ten ból. Jeszcze lepiej pamiętał późniejsze spotkanie z dwoma ludźmi, którzy go wówczas przesłuchiwali. Nie powiedział ani słowa. Po prostu stał tam jak posąg i patrzył, jak tych dwóch wywlekają pod mur. Naprawdę nie odczuwał żadnej satysfakcji. Byli tylko funkcjonariuszami, wykonywali rozkazy innych. Nie czuli nic osobistego do ludzi, których torturowali, do niego

też nie odczuwali żadnej nienawiści. Byli tylko narzędziem. Mułła podszedł do każdego z nich, pomodlili się, bo odmówienie im szansy na pojednanie się z Allahem przed śmiercią byłoby grzechem, a z resztą, co to zmieniało? W końcu to tylko mały krok w podróży życia, choć ich podróż okazała się dużo krótsza od jego.

Całe życie przyświecał mu jeden cel. Chomeini schronił się na wygnaniu we Francji, w przeciwieństwie do Darjaeiego. Ten pozostał w kraju, z ukrycia kierując ruchem w imieniu swego przywódcy. Dzięki temu przeżył, bo aresztowano go właściwie przypadkiem, nic nie powiedział na przesłuchaniach, a działał na tyle samotnie, że nie miał kto na niego donieść. Wypuścili go. To był błąd szacha, jeden z wielu, które go w końcu doprowadziły do upadku. Szach nie potrafił się zdecydować. Był zbyt liberalny, by szyicki kler mógł go zaakceptować, a równocześnie zbyt reakcyjny, jak na gusta jego zachodnich popleczników. Siedział okragiem na barykadzie i próbował znaleźć na jej szczycie jakieś miejsce dla siebie w kraju, gdzie człowiek ma tylko dwie możliwości do wyboru. A właściwie tylko jedną, poprawił się Darjaei, gdy samolot zniknął za horyzontem. Irak próbował tej drugiej drogi, bez Boga, i proszę, dokąd go to zaprowadziło. Hussajn zaczął wojnę z Iranem, myśląc, że łatwo pokona słabe i pozbawione władcy

państwo. Nic z tego nie wyszło. Potem spróbował sięgnąć na południe i oberwał po łapach jeszcze gorzej, a wszystko to w poszukiwaniu doczesnej, przemijającej władzy.

Z nim było inaczej. Nigdy nie stracił z oczu swego celu, tak jak Chomeini. Mimo jego śmierci, dzieło boże nadal się dokonuje. Jego cel leżał tam, na zachodzie, za daleko, by go zobaczyć, ale był tam na pewno. Święte miasta: Mekka, Medyna i Jerozolima. W tych dwu pierwszych był, w ostatnim nie. Jako młody i pobożny chłopiec chciał zobaczyć Skałę Abrahama, ale coś, już teraz nie pamiętał co, stanęło im wtedy na przeszkodzie i nie pojechali tam z ojcem. Może kiedyś? Widział natomiast miasto, w którym urodził się Prorok, odbył oczywiście pielgrzymkę i to wiele razy, mimo politycznych i religijnych sporów, które dzieliły Iran i Arabię Saudyjską. Chciał tam pojechać raz jeszcze, by pomodlić się w cieniu Kaaby. A może po coś więcej?

Był tytularnym szefem państwa, ale to mu nie wystarczało. Nie chciał nic dla siebie, o nie. Dążył do wyższych celów. Obszar, na którym wyznawano islam, rozciągał się od zachodnich krańców Afryki po wschodnie krańce Azji, jeśli nie liczyć enklaw muzułmańskich w Europie, jak Bośnia, czy Albania. To była potężna siła, ale od tysiąca lat nie miała ona jednolitego przywódcy i jednego celu. Darjaei żałował takiego stanu

rzeczy. Przecież był tylko jeden Bóg i jedno Słowo Boże, a mimo to nie mogli się porozumieć. To musiało smucić bardzo Allacha. Była tylko jedna przyczyna, dla której cała ludzkość pozbawiona była szansy na poznanie Prawdziwej Wiary i gdyby udało mu się to zmienić, być może mógłby zmienić cały świat i przyprowadzić całą ludzkość do stóp tronu Boga. Ale to wymagało. . .

Świat był tylko światem, niedoskonałym instrumentem, w którym niedoskonałe zasady rządziły zachowaniem niedoskonałych ludzi, ale takim go Allah stworzył i nie jemu to zmieniać. Gorzej, że znajdują się ludzie, którzy będą przeciwstawiali się wszystkiemu co robi. I to, co gorsza, zarówno wśród niewiernych, jak i wśród wiernych, co napawało go raczej smutkiem niż gniewem. Darjaei nie czuł nienawiści do Saudyjczyków i reszty sąsiadów zza Zatoki Perskiej. To nie byli źli ludzie. Wszyscy byli wiernymi i chociaż dzielili ich z nim, i z jego krajem spory i różnice, nigdy nie odmówili mu prawa do odwiedzenia świętych miejsc. Ich wiara nie była prawdziwą wiarą i nic na to nie można było poradzić. Obrośli w tłuszcz i bogactwo, toczył ich rak zepsucia, temu akurat można było zaradzić. Darjaei musiał opanować Mekkę, jeśli chciał odrodzić islam. By

to osiągnąć, Iran musiał stać się mocarstwem, a to oznaczało robienie sobie wrogów. Ale to nie było nic nowego, a on właśnie wygrał pierwszą bitwę.

Gdyby tylko nie trwało to aż tak długo. Darjaei często mówił o cnocie cierpliwości, ale to było zadanie na całe życie, a on miał już siedemdziesiąt dwa lata i nie chciał skończyć jak jego duchowy ojciec, którego zabrakło, zanim wykonali choćby pierwszy krok na dłuższej drodze do ich wielkiego celu. Darjaei był gotów wiele poświęcić i wielu rzeczy dokonać dla realizacji idei zjednoczenia islamu. Sam jeszcze nie do końca zdawał sobie sprawę z ogromu zadania, którego się podjął, bo nie zadał sobie jeszcze wszystkich pytań. Ale cel był tak szczytny i tak czysty, a on miał tak mało czasu na jego osiągnięcie, że z góry godził się wejść w ciemność, by go osiągnąć.

Dobrze. Odwrócił się od okna i wyszedł z sali, kierując się do samochodu. A więc wszystko się zaczęło.

* * *

Ludziom wywiadu nie płaci się za wiarę w zbiegi okoliczności, a oni w dodatku mieli mapy i zegarki. Znali zasięg *Gulfstreama* na jednym tankowaniu, a odległości do

pokonania były łatwe do obliczenia. *AWACS* raportował, że samolot kieruje się z Teheranu na południe. Sygnały transpondera podawały typ samolotu, radar podawał prędkość, kurs i wysokość — w tej chwili pułap ekonomiczny, 15.000 metrów. Sprawdzili rozkład obu lotów w czasie, a kurs powiedział im jeszcze więcej.

— Sudan — potwierdził domysł sierżanta major Sabah. Mogli polecieć gdzie indziej. On osobiście wolałby na ich miejscu Brunei, ale nie, Brunei było za daleko od Szwajcarii. Bo przecież pieniądze pewnie spoczywały w szwajcarskich bankach, gdzieżby indziej.

Po stwierdzeniu tego wszystkiego wysłali sygnał do Ameryki, do Langley.

* * *

Placówka CIA w Chartumie była bardzo mała. Właściwie składała się tylko z szefa placówki, dwóch agentów terenowych i sekretarki do wspólnego użytku z sekcją łączności ABN. Szefem był na szczęście dobry agent, który potrafił zwerbować wielu Sudańczyków. Zresztą rząd Sudanu i tak nie miał nic do ukrycia, a w dodatku był za biedny na to, by wzbudzić nadmierne zainteresowanie. Kiedyś wykorzystywali swoje

geograficzne położenie, by bawić się w kotka i myszkę ze Wschodem i Zachodem, nاپuszczając je na siebie i inkasując pieniądze z obu stron, ale wraz z końcem zimnej wojny ta lukratywna gałąź gospodarki narodowej uschła nieodwołalnie, jak dla większości krajów trzeciego świata, żyjących z walki o wpływy pomiędzy supermocarstwami. Teraz Sudan musiał polegać na własnych zasobach, które były właściwie żadne. Władający krajem wyznawali islam i grali na tym, hałaśliwym głoszeniem wiary, wyciągając pomoc od braci, głównie Iranu i Libii, bo bogatym krajom Zatoki los Sudanu jakoś nie spędzał snu z powiek. Ta gra była nie mniej ryzykowna niż poprzednio, bo choć pieniądze trafiało sporo, to wraz z nimi przychodziły żądania nawracania animistycznych pogan na południu, a to groziło destabilizacją w kraju. Co gorsza, pieniądze trafiały też bezpośrednio do kleru, rozbudzając wśród niego ambicje polityczne. Mułowie wiedzieli zdecydowanie za dużo o prawdziwym poziomie wiary władających krajem i mogli kiedyś spróbować ich zastąpić przy poparciu hojnych sponsorów. Na razie jednak było im to na rękę, bo woleli być wierzący i bogaci, niż wierzący i biedni.

W rezultacie dla Amerykanów z ambasady w Chartumie sytuacja była kompletnie nieprzewidywalna. Jednego dnia Chartum był dla nich bezpieczny, bo kasa rządowa

była pełna i fundamentalistom zakładano kaganiec. Innego dnia, gdy skarb świecił pustkami, spuszczano ich z łańcucha, by sponsorzy widzieli, jak władze niechętnie są Zachodowi i wsparli datkami tę dzielną postawę. W tej chwili na szczęście skarb był chyba pełen i Amerykanie musieli się obawiać tylko skutków zatrucia środowiska i okropnego klimatu, które nawet bez zagrożenia terrorystycznego bezapelacyjnie lokowały placówkę chartumską w ostatniej dziesiątce poszukiwanych posad w amerykańskiej służbie zagranicznej. Dla szefa placówki był to awans, ale na wszelki wypadek zostawił żonę z dwojgiem dzieci w domu, w Wirginii, jak większość personelu ambasady. Jakby tego wszystkiego było mało, AIDS szerzył się jak pożar na prerii, co właściwie pozbawiało ich jakichkolwiek nocnych rozrywek i stanowiło poważny problem w razie jakiegokolwiek wypadku wymagającego transfuzji. Lekarz wojskowy przydzielony do ambasady bardzo się tym martwił.

Szef placówki otrząsnął się z niewesołych myśli. Ta nominacja oznaczała dla niego spory awans, w dodatku miał widoki na dalszą karierę, gdyż ostatnio udały mu się dobre werbunki. Zwłaszcza jeden z nich mógł mu bardzo pomóc się wyrwać z tego zadupia: wysoko postawiony urzędnik sudańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który

miał wgląd we wszystko, czym zajmuje się rząd. To nie wina szefa placówki, że ten akurat nie zajmował się niczym, co interesowałoby biurokratów z Centrali. W końcu lepiej wiedzieć wszystko o niczym, niż nie wiedzieć nic o wszystkim, prawda?

Przydzielonym właśnie zadaniem będzie się musiał zająć osobiście. Sprawdził czas i odległość na mapie i zdecydował, że zdąży jeszcze zjeść obiad, zanim będzie musiał jechać na lotnisko, leżące zaledwie parę kilometrów od centrum miasta. Ochrona lotniska była typowo afrykańska, więc bez trudu znalazł sobie miejsce z dobrym widokiem i to w cieniu. Rządowy terminal łatwiej było nadzorować niż rejsowy, zresztą półmetry teleobiektyw pozwalał prowadzić obserwację z naprawdą bezpiecznej odległości. Miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko w aparacie jest ustawione jak należy. Wibracja telefonu komórkowego zawiadomiła go, że samolot już jest na podejściu do lądowania, co potwierdziło pojawienie się kolumny limuzyn, wyglądających na rządowe. Przypomniawszy sobie twarze z fotografii przysłanych z Langley. Dwóch irackich generałów, tak? No cóż, po śmierci Saddama wcale to nie dziwi. W zawodzie dyktatora problem polega na tym, że nie przewiduje się w nim emerytury dla ludzi z samej góry.

Biały samolot dyspozycyjny osiadł na pasie, wznosząc chmurkę pyłu i dymu z opon. Szef placówki złapał go w obiektyw i pstryknął kilka zdjęć, by upewnić się, że silniczek przewijający film działa. Teraz martwił się tylko, że maszyna stanie pod takim kątem, że zasłoni mu widok na wysiadających pasażerów. Nic na to właściwie nie mógł poradzić. W końcu *Gulfstream* stanął i otworzyły się drzwi. Dokładnie w środku celownika na matówce wizjera. Szef placówki nacisnął migawkę i przytrzymał ją, robiąc kilka zdjęć zebranych dla powitania gości urzędnikom średniego szczebla. Z tego, kto rozdawał uściski, a kto rozglądał się uważnie po okolicy, jasno można było wyczytać, kto jest VIP-em, a kto ochroną. Jeszcze parę klatek. Jedną twarz rozpoznał na pewno, tę drugą prawdopodobnie. Po paru minutach było po wszystkim, goście wsiedli do samochodów i odjechali, ale szef nie martwił się tym, dokąd się udali. Od tego ma agenturę. Zostało jeszcze osiem klatek, więc zrobił parę zdjęć samolotu, w którym właśnie uzupełniano paliwo. Postanowił poczekać chwilę i przekonać się, co się będzie dalej z nim działo. Po trzydziestu minutach załoga uruchomiła silniki i odleciała, a on wrócił do ambasady. Rzucił rolkę filmu do wywołania jednemu z podwładnych, a sam podniósł słuchawkę i wykręcił numer w Langley.

* * *

— Potwierdzenie — powiedział Goodley, zbliżający się do końca dyżuru. — Dwóch irackich generałów wylądowało pięćdziesiąt minut temu w Chartumie. Czyli rzeczywiście wieją.

— Masz szczęście, Ben, bo to potwierdza twoją SOW — odparł dyżurny specjalista. — Mam nadzieję, że potraktują ten nagłówek poważnie.

Ben uśmiechnął się.

— Tym niech się już martwi następna zmiana.

— Cholera, nie jest dobrze — zasępił się specjalista. Nie trzeba być szpiegiem od dwudziestu paru lat, żeby na to wpaść.

— Zdjęcia idą! — krzyknął dyżurny łącznościowiec.

* * *

Pierwsza rozmowa odbyła się z Teheranem. Darjaei kazał ambasadorowi nakreślić sprawę najjaśniej, jak to było możliwe. Iran bierze na siebie wszelkie wydatki. Gościom należy zapewnić jak najlepsze warunki. Całościowy koszt nie będzie zbyt duży, ale tym

dzikusom imponuje byle co. Dziesięć milionów dolarów, w końcu co to za pieniądze, powinny pokryć wszelkie koszty zawiązką. Telefon od ambasadora potwierdził, że pierwszy przerzut odbył się bez problemów i że samolot jest w drodze powrotnej.

To dobrze. Może teraz Irakijczycy złączą mu ufać. Eliminacja tych bydlaków sprawiłaby mu wiele osobistej radości, ale to się zawsze da jeszcze załatwić. Na razie dał słowo, a poza tym nie chodziło mu o osobistą satysfakcję. Zanim odłożył słuchawkę minister lotnictwa ściągał już kolejny samolot, mający odebrać następną grupę. Im szybciej się to załatwi, tym lepiej.

* * *

Badrajn był tego samego zdania. Ucieczka musi wyjść na jaw, jeśli nie jutro, to za dwa dni, nie później. Pozostawiali zbyt starych, by znieść emigrację i zbyt mało postawionych, by się wystarczająco nakradli. Jedni i drudzy nie będą zachwyceni rolą kozłów ofiarnych i jeżeli dowiedzą się o ewakuacji, mogą próbować w niej przeszkodzić. Jemu wydawało się to jasne, ale im jakby nie do końca. Zamiast popędzić ich do wyjazdu, ta myśl zdawała się ich przepełniać nie do końca sprecyzowaną obawą, która podsyciała

z kolei strach przed przyszłością. Stali na pokładzie okrętu płonącego u obcego, wrogiego wybrzeża i nie umieli pływać. Jeszcze nie tonęli, ale okręt płonął — o tym musi ich przekonać.

* * *

Ryan zaczynał się już przyzwyczajać do dyskretnego pukania, które budziło go rano. To w końcu przyjemniejsze niż ostre tony radiobudzika, które rozpoczynały jego dzień w domu. Otworzył oczy, potem wstał, założył szlafrok, przeszedł parę metrów do drzwi, odebrał gazety i rozkład zajęć. Potem skierował się do łazienki, a z niej do salonu, skąd usłyszał, że jego żona też rozpoczyna dzień.

Jack zaczynał tęsknić za dniami, kiedy po prostu czytał gazety. „Washington Post” nie był może tak pasjonujący, jak dokumenty wywiadu, leżące teraz rano na jego stole, ale pisywał nie tylko o rzeczach związanych z rządzeniem i pozwalał mu być na czasie ze wszystkim, co się działo wokół. Tym razem jednak jego wzrok przyciągnęła szara koperta z nadrukiem SOW. Wewnątrz znalazł spięty plik kartek. Wyjął go z koperty i potarł powieki, zanim się zabrał do czytania.

Cholera. Fakt, mogło być gorzej. Przynajmniej nie zawracali mu głowy po nocy, komunikując coś, czego i tak nie mógł zmienić. Zajrzał do planu. Aha, Scott przyjdzie omówić to zagadnienie. Dobrze. Weźmie ze sobą tego Vasco. Fajnie, facet ma łeb na karku. I co jeszcze ciekawego na dzisiaj? Przeleciał wzrokiem po stronie. Gołowko? Zaraz, to już dzisiaj? Dobrze, wreszcie jakaś odmiana. Krótka konferencja prasowa, na której przedstawi kandydaturę Bretano na sekretarza obrony. A tu lista przewidywanych pytań i wskazówki od Arnie'ego. Pytania o Kealty'ego ignorować, póki się da. „Niech Kealty i jego oskarżenia spokojnie umrą sobie w kąciku”. Piękne, na cytat jak znalazł. Nalał sobie trochę kawy. Boże, ileż musiał się nawojować, żeby wywalczyć przywilej nalewania sobie swojej własnej kawy w taki sposób, żeby stewardzi Marynarki nie poczuli się osobiście dotknięci! Miał nadzieję, że nie będą urażeni, ale przywykł to robić sam i głupio się czuł, gdy mu usługiwano. Osiągnęli tyle, że teraz stewardzi tylko nakrywają do śniadania i zostawiają Ryanów samym sobie.

— Dzień dobry, Jack. — W salonie pojawiła się Cathy. Pocałował ją i uśmiechnął się.

— Dzień dobry, kochanie.

— No i jak tam świat, nie zatrzymał się przez noc? — spytała, sięgając po kawę. To oznaczało, że dziś nie będzie operować. Zwykle w dni, kiedy miała komuś grzebać w oku, unikała kawy, by kofeina nie powodowała drżenia dłoni w czasie operacji. Brr, wizja dłubania komuś w gałce ocznej zawsze wywoływała u niego dreszcz, nawet jeśli teraz używało się do tego nie skalpela, a lasera.

— Wygląda na to, że rząd Iraku pada.

— A nie padł w zeszłym tygodniu?

— To był tylko pierwszy akt. Dzisiaj zaczął się akt trzeci. — Albo i czwarty, któż to wie? Zastanawiał się, jaki będzie akt piąty.

— To ważne?

— Możliwe. Co masz dziś w planie?

— Klinikę i parę badań, naradę budżetową z Katzem.

— Aha. — Jack przeniósł wzrok na „Rannego ptaszka”, wybór wycinków z głównych gazet kraju. Kątem oka zauważył, że Cathy przegląda jego plan dnia.

— Gołowko? Czy to nie ten, z którym rozmawialiśmy w Moskwie? Ten co żartował o przystawianiu ci pistoletu do głowy?

— To nie był żart — odparł Ryan. — To się naprawdę zdarzyło.

— Daj spokój!

— Potem mi powiedział, że broń nie była nabita. — Jack wciąż zastanawiał się, czy Gołowko powiedział prawdę.

— To było naprawdę? — zapytała z niedowierzaniem. Prezydent spojrział na nią i uśmiechnął się. Ciekawe, że teraz wydawało mu się to niezłym kawałem.

— No cóż, był na mnie wtedy niezłe wkurzony, dopiero co pomogłem wybrać wolność przewodniczącemu KGB.

— Wiesz co, Jack? Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz poważnie — powiedziała, biorąc poranną gazetę.

Jack zastanowił się przez chwilę. Formalnie rzecz biorąc, Pierwsza Dama była cywilem, zwykłym obywatelem. Zwłaszcza taka Pierwsza Dama, jak Cathy, która nie była typową żoną polityka, bluszczem okręcającym bujne drzewo jego kariery, tylko praktykującym lekarzem, którego polityka pociągała równie silnie, co jego seks grupowy. Jako zwykły obywatel nie miała dostępu do tajemnic państwowych, ale przecież każdy człowiek może mieć potrzebę zwierzyć się z czegoś komuś i to brano pod uwagę.

W końcu jej opinia ma tę samą wartość, co jego i chociaż może się nie znać na polityce zagranicznej, codziennie musi podejmować decyzje nawet w silniejszym stopniu wpływające na życie ludzi, niż jego. Prezydent rzadko widzi tych, którzy płacą za jego błędy, a ona, gdyby jakiś popełniła, dowie się o tym od razu.

— Cathy, myślę, że zbliża się czas, byś dowiedziała się w czym tkwiłem przez te wszystkie lata. Na razie powiem ci tylko tyle, że owszem, była taka chwila, w której Gołowko celował mi w głowę z pistoletu na lotnisku w Moskwie, a było to wtedy, gdy pomogłem w ucieczce dwóm radzieckim dygnitarzom. Jednym z nich był szef KGB.

Spojrzała na niego i pomyślała znowu o tych koszmarach sennych, które nawiedzały jej męża kilka lat temu, przez całe miesiące nie pozwalając mu zmrużyć oka.

— I gdzie oni teraz są? — zapytała.

— Gdzieś w rejonie Waszyngtonu, nie pamiętam dokładnie gdzie. — Jack przypomniał sobie, jak słyszał, że Katierina Gierasimowa, córka dezertera, zaręczyła się ze spadkobiercą sporej fortuny z okolic Winchester. No cóż, udało jej się zamienić jedną formę uprzywilejowanego życia na drugą. Nawet bez tego, za pieniądze, jakie płaciła im Firma, mogli żyć całkiem nieźle.

Cathy przywykła do kawałów Jacka. Jak większość mężczyzn, lubił snuć mocno przesadzone opowiadki o swoich przewagach, a skłonność tę dodatkowo uwypuklało irlandzkie pochodzenie. Tym razem zwróciło jej uwagę, że opowiada o tym całkiem beznamiętnie, jak o meczu baseballowym. Nie widział jej wzroku wbitego w tył jego głowy. Tak, zdecydowanie chciałabym o tym usłyszeć, postanowiła, ale właśnie na progu salonu pojawiły się dzieci.

— Tato! — wrzasnęła Katie, zauważając najpierw Jacka. — Mamusiu! — dopełniła po sekundzie. Od tej chwili wszystkie sprawy świata zeszły na dalszy plan. Katie była już ubrana do przedszkola. Jak większość małych dzieci, wstała w dobrym humorze.

— Cześć. — Następna była Sally, wyraźnie naburmuszona.

— Co się dzieje? — zapytała Cathy.

— Ci wszyscy ludzie, czy oni się tu ciągle muszą kręcić? Człowiek nie może pobyć sam nawet przez chwilę! — wykrzyczała, sięgając po szklankę soku. I w dodatku nie miała ochoty na płatki Frosted Flakes, wołałaby Just Right, ale trzeba by po nie zejść na dół, do kuchni. — Czuję się jak w hotelu, a nie w domu!

— Aha — Cathy nauczyła się już czytać między wierszami — to z czego będzie dziś ta klasówka?

— Matma — przyznała się Sally.

— Uczyłaś się?

— Pewnie, mamó.

Jack nie włączał się. Zalał mlekiem płatki Katie. Pojawił się Jack junior i z miejsca włączył telewizor na Cartoon Network, gdzie leciały akurat kreskówki ze Strusiem Pędziwiatrem. Całe szczęście, że Katie też lubiła Strusia, więc nie doszło do wojny.

Na zewnątrz dzień zaczynał się też dla innych. Łącznik z CIA dopracowywał szczegóły podsumowania wydarzeń na poranną odprawę, której wszyscy się obawiali. Strasznie ciężko było prezydentowi dogodzić. Konserwator doglądał jakichś prac. W łazience kamerdyner układał ubrania dla prezydenta i Pierwszej Damy. Pod bramę zajeżdżały samochody, mające odwieźć dzieci do szkół. Dodatkowe patrole policji stanu Maryland wyjeżdżały na trasę do Annapolis, którą miały jechać dzieci. Piechota morska szykowała śmigłowiec, Pierwsza Dama miała udać się nim do pracy — tego problemu wciąż nie udawało się inaczej rozwiązać. Cała maszyna została puszczone w ruch.

* * *

Gus Lorenz dotarł do swego biura wcześniej, by odebrać telefon z Afryki. Wczoraj wieczorem zadzwonił do agenta, który miał dla niego kupić mały i, nie zastawszy go, kazał oddzwonić do siebie z samego rana. Gdzie są do cholery te mały? Okazało się, że dostawca sprzedał zamówioną dla nich partię komu innemu, ponieważ Centrum spóźniło się dwa dni z płatnością. Teraz trzeba będzie poczekać, aż złapią w dżungli kolejną partię, co może potrwać około tygodnia.

Lorenz był bardzo zawiedziony. Miał nadzieję, że jeszcze w tym tygodniu rozpocznie prace. Zaczął coś mazać na bloku, zastanawiając się, kto też u diaska mógł go podkupić? I po co temu komuś było tyle mały? Czyżby Rousseau z Paryża wpadł na ten sam pomysł co on? Trzeba będzie do niego potem zadzwonić, ale to już po porannym obchodzie. Dobra wiadomość, wieźli tam do niego tę pielęgniarkę, to przy okazji. . . Cholera, niedobrze. WHO donosi, że samolot się rozbił, wszyscy zginęli. Szkoda. Dobrze przynajmniej, że nie było nowych przypadków. Okres inkubacji wprawdzie jeszcze całkiem nie minął, ale nie stwierdzono nawet podejrzeń, a nie tylko pełnoobjawowych chorych.

Miejmy nadzieję, że tak już zostanie. Ten cholerny szczep jest chyba najpaskudniejszy ze wszystkich odmian wirusa ebola. Nie wiadomo, czy to koniec, bo nosiciel nadal nie został schwytany i może jeszcze kogoś zarazi. Ustalenie nosiciela wirusa będzie chyba jeszcze trudniejsze niż nosiciela malarii. Przecież sama nazwa, dosłownie „złe powietrze” po włosku, wskazuje na to, że to właśnie powietrze roznosi tę drugą chorobę. Miejmy nadzieję, że gdzieś gnije w lesie, albo jakaś ciężarówka zabiła to bydło. Wzruszył ramionami. Tak też mogło być.

* * *

Zmniejszenie dawki morfiny spowodowało, że siostra Jeanne Baptiste powróciła do stanu półjawy. Była na tyle przytomna, żeby wiedzieć, że ją boli, ale nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. Ból był jednak jej głównym odczuciem, a najgorsze było to, że doskonale wiedziała, co oznacza każda jego fala. Najgorszy był ból w jamie brzusznej, gdzie choroba unicestwiała przewód pokarmowy na całej jego dziesięciometrowej długości, dosłownie pożerając delikatne tkanki, mające przerabiać jedzenie na składniki odżywcze.

Czuła się tak, jakby całe jej ciało kluto, zgniatano i przypalano jednocześnie. Chciała się poruszyć, zrobić cokolwiek, choćby po to, by przez chwilę zabolalo ją co innego, ale okazało się, że jest całkowicie unieruchomiona pasami zapinanymi na rzepy. Na chwilę fala oburzenia przesłoniła ból, ale jedyny zysk z tego był taki, że dostała ataku nudności i drgawek. Zauważywszy to, postać w niebieskim kombinezonie obróciła łóżko wokół osi podłużnej, dzięki czemu mogła wymiotować do podstawionego tam wiadra. Spojrzała na wymiociny, składały się głównie z czarnej, martwej krwi. Ten widok znowu odsunął od niej na chwilę ból, ale też była już całkiem pewna, że tego nie przeżyje, że choroba zaszła za daleko, że jej ciało umiera. Zaczęła się więc modlić o jak najszybsze zesłanie śmierci, która przyniesie ulgę w cierpieniach. Gdzie się podziała Maria Magdalena? Czy była skazana na umieranie w samotności? Zakonnica popatrzyła na człowieka w niebieskim kombinezonie, szukając znajomej twarzy za szybą maski, ale oczy, choć przyjazne i współczujące, należały do nie znanego jej człowieka. A kiedy pojawił się drugi, język, w którym się porozumiewali, także nie był jej znany.

Ten drugi najpierw sprawdził, czy ramię zakonnicy jest całkowicie unieruchomione. Potem jeszcze poprosił sanitariusza, by dla pewności je przytrzymał. Dwie silne ręce

ujęły jej ramię. Sam ostrożnie ustawił się tak, by, nawet w przypadku bardzo gwałtownego ruchu, trzymać igłę z dala od rąk pomocnika. Popatrzył chwilę na ramię, wybierając żyłę, w końcu decydując się na jedną z nich. Miał szczęście i pewnie dużo praktyki, bo już za pierwszym razem wprowadził igłę prosto do żyły. Krew była ciemna, dużo ciemniejsza, niż normalnie. Po napełnieniu odłączył strzykawkę, zatkał i ostrożnie wstawił do pojemnika, skąd po kolei wyjmował jeszcze trzy. W końcu wyjął igłę i przytknął tampon ze spirytusem. Ranka krwawiła nadal. Sanitariusz rozluźnił chwyt, zauważając, że nawet tak krótki ucisk pozostawił na ramieniu zakonnicy rozległe siniaki. Przybysz zakrył pudełko pokrywką i wyszedł, a jej opiekun podszedł do ściany i nad umywalką w rogu dokładnie opłukał ręce w roztworze jodyny. Wszyscy przeszli bardzo dokładne szkolenie, wyjaśniające, jak niebezpieczna będzie to służba, ale mało kto w to wierzył, mimo filmów, slajdów i wykładów. Kilka minut w tej sali potrafiło przekonać najtwardszego niedowiarka. Wszyscy sanitariusze, w końcu nie dzieci, a zahartowani weterani wojenni, jak jeden mąż modlili się, by Allah zmiłował się wreszcie nad tą pobożną, a tak ciężko doświadczoną kobietą i zabrał ją z tego świata ku przeznaczeniu, które dla niej planował. Śledzenie rozpadu jej organizmu było potwornym przeżyciem. Myśl

o tym, że wskutek najmniejszego błędu można jej w tej drodze towarzyszyć, podnosiła im włosy na głowie. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Ta kobieta jakby się roztopiała od wewnątrz. Nagle jej krzyk spowodował, że odwrócił się znad umywalki, gdzie obmywał ręce. Kobieta miała otwarte oczy, a z szeroko otwartych ust wydobywał się straszliwy krzyk bólu, gęsty, metaliczny w brzmieniu, pełen skargi dziecka męczonogo przez samego diabla.

Strzykawki pełne krwi trafiły natychmiast do laboratorium, ale pośpiech nie oznaczał wcale mniejszej staranności w obchodzeniu się z nimi. Moudi i dyrektor byli w swoim biurze. Nie musieli przebywać w laboratorium w czasie samej analizy, a poza tym łatwiej było oceniać wyniki bez konieczności noszenia ubrania ochronnego.

— Ależ to szybko postępuje. — Dyrektor pokręcił głową w zadumie.

— Tak, ebola po prostu zalewa system odpornościowy organizmu, jak fala przypluwu — zgodził się Moudi.

Na ekranie komputera pojawił się obraz spod mikroskopu elektronowego, pełen tworów o kształcie pastorału. W polu widzenia znajdowało się kilka przeciwciał, ale wyglądały jak owce w stadzie lwów i, bez wątplenia, miały podobne możliwości dzia-

łania. Krwinki były w większości zaatakowane i zniszczone. Gdyby mieli możliwość pobrania próbek organów wewnętrznych, przekonaliby się, że śledziona zmieniała się w coś, co przypominało twardą kauczukową piłeczkę, pełną białych kryształków, które stanowiły kapsuły transportowe dla wirusów. Swoją drogą, nie od rzeczy byłoby robić co jakiś czas laparoskopię i badać, co też ebola wyprawia z wewnętrznymi organami. To mogło jednak przyśpieszyć śmierć pacjentki, a na takie ryzyko nie mogli się zgodzić.

Badania wymiocin wykazały skrawki tkanek górnego odcinka przewodu pokarmowego. To było ciekawe, bo skrawki nie tylko były oderwane od narządów, ale w dodatku martwe. Duże części nadal żywego ciała pacjentki były już całkowicie obumarłe i oddzielały się od żywych, w miarę jak organizm toczył daremną walkę o uratowanie tego, co jeszcze żyło. Zakażoną krew rozdzieli się na wirówkach i zamrozi do ewentualnego późniejszego użytku. Wynik badania poziomu enzymów wskazuje, że serce ma wciąż zdrowe, nie tak jak Przypadek Zero.

— Dziwne, jak ten wirus różnicuje metody ataku — zauważył dyrektor, śledząc wydruk wyników badań.

Moudi popatrzył tylko w przestrzeń, wyobrażając sobie, że przez te wszystkie betonowe ściany słyszy krzyki siostry Jeanne Baptiste. Byłoby aktem niezwyklej łaski pójść tam teraz i po prostu odkręcić kurek na rurce z morfiną, by zabił ją paraliż układu oddechowego.

— Myślisz, że ten murzyński chłopak mógł mieć wcześniej kłopoty z układem krążenia? — zapytał dyrektor.

— Może. Nikt mnie w każdym razie o tym nie informował.

— Funkcje wątroby lecą na łeb, na szyję, tak jak się spodziewaliśmy — zauważył znowu dyrektor znad wydruku wyników badania składu krwi. Wszystkie parametry wychodziły poza średnie, tylko serce jeszcze się trzymało. — Mamy podręcznikowy przypadek, Moudi.

— Tak, bez wątpienia.

— Ten szczep jest jeszcze silniejszy, niż myślałem — ciągnął dyrektor. — Gratuluję, Moudi. Dobra robota.

* * *

— ...Anthony Bretano obronił dwa doktoraty na MIT, z matematyki i optyki. Ma za sobą imponujące osiągnięcia w zarządzaniu zakładami przemysłowymi i oczekuje, że będzie równie skuteczny w kierowaniu Departamentem Obrony. — Ryan zakończył odczytywanie przygotowanego wystąpienia i podniósł wzrok znad pulpitu. — Czy są jakieś pytania?

— Sir, wiceprezydent Kealty. . .

— Były wiceprezydent, były — przerwał Ryan. — Przecież złożył rezygnację, prawda?

— On twierdzi, że nie — upierał się korespondent „Chicago Tribune”.

— A gdyby twierdził, że dopiero co rozmawiał z Elvisem, też by pan w to uwierzył? — zapytał Ryan, mając nadzieję, że jasno wykląda swój punkt widzenia. Rozejrzał się po sali, szukając reakcji na swoje słowa. Sala znowu była pełna, wszystkie czterdzieści osiem krzeseł było zajęte, a pod ścianami stało jeszcze ze dwudziestu dziennikarzy.

Złośliwa uwaga Jacka wywołała zdziwienie, choć również parę uśmiechów. — Dobrze, może wrócimy do pańskiego pytania?

— Pan Kealty zażądał powołania specjalnej komisji śledczej dla stwierdzenia stanu faktycznego w sporze z panem. Jak pan na to zareagował?

— Sprawę bada w tej chwili Federalne Biuro Śledcze, które jest główną agendą dochodzeniową rządu. Niezależnie od tego, jak naprawdę przedstawia się stan faktyczny, należy go ustalić, zanim zacznie się formułować jakiegokolwiek oceny. Ale chyba mogę się pokusić o prognozę co do dalszego rozwoju wypadków. Pan Kealty zrezygnował i wszyscy państwo wiecie dlaczego. Z szacunku, jaki żywię dla prawa, skierowałem tę sprawę do rozpoznania FBI, ale moja ocena jest prosta i jasna. Pan Kealty może sobie gadać do skutku. Ja mam tu pracę do wykonania i szkoda mi czasu na jałowe spory. Następne pytanie? — Jack był pewien, że zrozumieli.

— Panie prezydencie — Jack lekko skinął głową, gdy korespondentka „Miami Herald” wypowiedziała te słowa — w pańskiej mowie do narodu powiedział pan, że nie jest pan politykiem, a jedynie wykonuje polityczną robotę. Mimo to naród amerykański chciałby poznać pański punkt widzenia na wiele zagadnień.

— Na przykład?

— Jak choćby, co pan sądzi o przerywaniu ciąży?

— Jestem przeciw — odparł Ryan bez zastanowienia. — Jak zapewne państwo wiedzą, jestem katolikiem i uważam, że w tej kwestii moralnej mój kościół zajmuje prawidłowe stanowisko. Pomimo to uznaję decyzję Sądu Najwyższego w sprawie Roe przeciw Wade za zasadę prawną obowiązującą bez ograniczeń, póki organ ten nie postanowi inaczej. Jako prezydent jestem zobligowany do respektowania orzeczeń sądów federalnych. Stawia mnie to w dosyć niewygodnej pozycji, ale nie zwalnia od obowiązku przestrzegania prawa, tak jak przysięgałem wstępując na ten urząd. — Nieźle z tego wybrnąłem, pomyślał Jack.

— Tak więc popiera pan prawo kobiet do wyboru? — drążyła dalej dziennikarka, niczym rekin, który czuje krew w wodzie.

— Do wyboru czego? — zapytał Ryan, zadowolony, że rozmowa zeszła z tematu Kealty'ego. — Proszę pani, kiedyś ktoś próbował zamordować moją żonę, gdy była w ciąży i prawie udało mu się to z moją najstarszą córką. Myślę, że życie jest zbyt cenną wartością, by można nią było lekko szafować. Przekonałem się o tym na własnej skórze

i mam nadzieję, że ludzie też o tym pomyślą, zanim podejmą decyzję o dokonaniu aborcji.

— To nie jest odpowiedź na pytanie.

— Nie mogę ludzi przed tym powstrzymać. Czy mi się to podoba, czy nie, prawo im na to pozwala, a jako prezydent, nie mogę go łamać.

— Czy więc wybierając sędziów Sądu Najwyższego będzie pan traktował to zagadnienie jako ważne kryterium? Czy będzie pan próbował nakłonić Sąd Najwyższy do uchylecia orzeczenia w sprawie Roe przeciw Wade?

— Nie podoba mi się orzeczenie w sprawie Roe przeciw Wade. Uważam, że jest pomyłką. I powiem wam dlaczego. Otóż Sąd Najwyższy przekroczył w tej sprawie swoje uprawnienia, wkraczając w materię, moim zdaniem, zastrzeżoną dla prawodawstwa. Konstytucja nie zajmuje stanowiska w tej kwestii, a w takich sprawach decydujący głos mają legislatury stanowe i federalna, bo to ich zadaniem jest stanowienie prawa. — Ten krótki wykład na temat prawodawstwa powinni zrozumieć bez trudu. — A teraz, co do nominacji do Sądu Najwyższego. Będę szukał najlepszych sędziów, jakich można znaleźć. Tym zajmiemy się już wkrótce. Konstytucja jest Biblią Stanów Zjednoczonych

Ameryki, a sędziowie Sądu Najwyższego są ich najwyższymi teologami, którzy rozstrzygają, jak należy interpretować jej wersety. Pisanie nowych to nie ich zadanie. Jeżeli potrzebna jest zmiana konstytucji, istnieją mechanizmy pozwalające na taką zmianę i używano ich już ponad dwadzieścia razy.

— Czyli postawi pan na ludzi ściśle trzymających się litery prawa, którzy będą próbowali obalić orzeczenie w sprawie Roe przeciw Wade, jako wykraczające poza kompetencje Sądu Najwyższego?

O Boże, do nich można mówić jak do ściany. Ryan pomilczał chwilę, zanim odpowiedział.

— Mam nadzieję wybrać najlepszych sędziów, jakich mamy. Nie mam zamiaru przepytywać ich o stosunek do poszczególnych orzeczeń.

Korespondent „Boston Globe” poderwał się na równe nogi.

— Panie prezydencie, a co w przypadku, gdy zagrożone jest życie matki? Kościół katolicki. . .

— Odpowiedź jest oczywista. Życie matki jest najważniejsze.

— Ale kościół mówi, że. . .

— Nie jestem rzecznikiem prasowym kościoła katolickiego. Jak już mówiłem, nie mogę łamać prawa.

— Ale chce je pan zmienić — wytknął „Globe”.

— Myślę, że lepiej będzie dla nas wszystkich, gdyby to zagadnienie wróciło do legislatur stanowych. Tylko one są władne stanowić prawo zgodnie z wolą swoich wyborców.

— Ale przecież wtedy — zatroskał się „San Francisco Examiner” — w kraju będziemy mieli istną łamięłówkę prawną. W jednych stanach aborcja będzie legalna, w innych nie.

— To już zależy od wyborców. W ten sposób działa demokracja.

— Ale co z kobietami o bardzo niskich dochodach?

— Nie do mnie należy odpowiedź na to pytanie — odparł Ryan, coraz bardziej wściekły na to, że tak się dał wpuścić w kanał.

— Czyli będzie pan za poprawką do konstytucji w sprawie przerywania ciąży? — zapytała „Atlanta Constitution”.

— Nie, nie uważam, by była to kwestia rangi konstytucyjnej. Uważam, że jest to zagadnienie czysto legislacyjne.

— A więc, reasumując, jest pan osobiście, z powodów moralnych i religijnych, przeciw przerywaniu ciąży, ale nie będzie pan pozbawiał kobiet ich praw. Powoła pan konserwatywnych sędziów Sądu Najwyższego, którzy zapewne obalą orzeczenie w sprawie Roe przeciw Wade, ale nie zainicjuje pan kampanii na rzecz poprawki do konstytucji, znoszącej prawo wyboru — podsumował „New York Times”, uśmiechając się promiennie. — To w końcu jakie pan ma w tej kwestii zdanie?

Ryan potrząsnął głową, zacisnął wargi i powstrzymał pierwszą wersję odpowiedzi, która cisnęła mu się na usta.

— Myślę, że jasno wyłożyłem swój pogląd w tej kwestii. Może byśmy się wreszcie zajęli czym innym?

— Dziękujemy, panie prezydencie — powiedział sekretarz prasowy, ponaglany gestami przez Arnie’ego van Damma. Ryan rozejrzał się zdziwiony, wyszedł zza pulpitu i skręcił w korytarz. Czekający za zakrętem szef sztabu złapał go za ramię i prawie rzucił nim o ścianę, ale ochrona nawet nie drgnęła.

— Gratulacje, Jack, właśnie udało ci się wkurzyć cały kraj, wszystkich, rozumiesz?!

— O co ci chodzi? — Chociaż ty mógłbyś się odczepić ode mnie!

— Człowieku, jak się leje benzynę do baku, to trzeba, do cholery, zgasić papierosa!

Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, coś narobił?

— Z wyrazu twarzy Ryana wyczytał, że chyba nie. — Zwolennicy dopuszczalności aborcji pomyśla, że chcesz im zabrać ich prawa. Przeciwnicy dojdą do wniosku, że masz w nosie ich poglądy. To było świetne, Jack. Pięć minut i masz z głowy cały pieprzony kraj! — Arnie van Damm skończył swoją kwestię i wściekły odszedł, zostawiając zdziwionego Ryana pod ścianą korytarza. Pewnie obawiał się, że nie zdoła się opanować już ani chwili dłużej.

— Ktoś wie, o co mu chodziło? — zapytał Ryan. Agenci Tajnej Służby nic nie odpowiedzieli. Polityka to nie ich sprawa, a zresztą, jak w całym kraju, także wewnątrz Służby panowały w tej kwestii różne poglądy.

* * *

To było tak, jakby dziecku zabrać lizaka. I tak jak z dzieckiem, gdy początkowy szok minie, płacz będzie rozdzierał uszy.

— Bizon Sześć, tu Proporzec Sześć, odbiór.

Podpułkownik Herbert Masterman, dla przyjaciół „Książę”, stał na wieży „Mad Maxa 2”, swojego wozu dowodzenia, przerobionego czołgu *MIA2 Abrams*, trzymając w rękach lornetkę i mikrofon radiostacji. Przed nim rozciągało się kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych poligonu na pustyni Negew, upstrzone transporterami opancerzonymi i czołgami *Merkava* izraelskiej 7. Brygady Pancерnej, stojącymi w chmurach fioletowego dymu i błyskającymi żółtymi stroboskopami. Ten dym to był pomysł samych Izraelczyków, rzekomo po to, by podnieść realizm ćwiczeń — czołgi trafione w walce przecież płoną — ale tak naprawdę chodziło o to, by Amerykanie nie mogli oszukiwać i gdy laserowy system treningowy *MILES* zanotuje trafienie ich pojazdu, po prostu nie zasłonili lampy i nie walczyli dalej. Tylko cztery czołgi i sześć transporterów opancerzonych *M3 Bradley* Mastermana błyskały światłkami i dymiły.

— Proporzec Sześć, słucham cię Bizon Sześć — odezwał się pułkownik Sean Magruder, dowodzący Bizonami, amerykańskim 10. pułkiem kawalerii pancernej.

— Chyba już po wszystkim, panie pułkowniku. Worek wypchany po brzegi.

— Zrozumiałem, Książę. Wracaj do dowództwa. Zaraz będzie tu pełno wkurzonych Izraelczyków. — Łączność i tak na wszelki wypadek była szyfrowana.

— Ruszam, sir. — Masterman zeskoczył z wieży i wsiadł do swojego *Hummvie'go*, który stanął obok. W ślad za dowódcą załoga czołgu także uruchomiła silnik i zaczęła się zbierać do odjazdu.

Lepiej by się i tak już nie dało. Masterman czuł się jak zawodnik podstawowego składu drużyny futbolowej. Dowodził 1. szwadronem 10. pułku kawalerii pancernej. W piechocie by się to nazywało batalionem, ale na szczęście oni nie byli piechotą. U nich było inaczej, oni mieli żółte lamówki na pagonach, na antenach wozów powiewały czerwono-białe proporzyczki i w ogóle, jak wiadomo, świat dzieli się na kawalerzystów i to, co wypada spod końskiego ogona.

— Skopaliśmy im dupę, panie pułkowniku? — zadał retoryczne pytanie kierowca, widząc, jak dowódca zapala hawańskie cygaro.

— Rzeź niewiniątek, Perkins — wyszczerzył zęby Masterman i pociągnął łyk z manierki. Tuz nad nimi przeleciała para izraelskich *F-16*, wyrażając w ten sposób oburzenie z faktu, że je „zestrzelono”, zanim zdążyły czegokolwiek dokonać. Masterman wyjątkowo starannie rozstawił dziś obronę przeciwlotniczą, na którą składały się wozy *Avenger*, uzbrojone w wyrzutnie rakiet *Stinger*, i dopilnował, by weszły do akcji w odpowiednim momencie. Nie podoba wam się, że przegraliście? Trudno, panowie.

Miejscowa Sala Gwiazdnych Wojen była dokładną kopią tej z Fort Irwin. Główny ekran był może nieco mniejszy, a fotele wygodniejsze, ale najważniejsze, że można było palić. Wszedł do budynku, otrzepując pył z drelichów maskujących i wkroczył na salę, niczym Patton do Bastogne. Izraelczycy już na niego czekali.

Wiedzieli, że to było bardzo pożyteczne ćwiczenie. Ale odczucia mieli raczej podłe. 7. Brygada Pancerna była dumą izraelskiej armii. Praktycznie własnymi siłami zatrzymała na wzgórzach Golan w 1973 roku cały syryjski korpus pancerny, a dowodził nią obecnie ówczesny porucznik, który na własną rękę objął dowództwo osieroconej kompanii i błyskotliwie ją poprowadził w bój. Nie był to człowiek przywykły do porażek i widok swej ukochanej brygady zmiecionej z powierzchni ziemi przez byle batalion,

praktycznie bez strat własnych, w ciągu zaledwie pół godziny, musiał nim wstrząsnąć do głębi.

— Panie generale — powiedział Masterman, wyciągając do niego na powitanie rękę. Przeciwnik z widocznym ociąganiem ujął dłoń oprawcy.

— Panie generale, to tylko biznes, nic osobistego — pocieszył go podpułkownik Nick Sarto, dowódca 2. szwadronu Byków, który dopiero co zapędził izraelską brygadę pod lufy Mastermana.

— Możemy już zaczynać, panowie? — zapytał starszy rozjemca. Dla zapewnienia bezstronności rozjemcy w tych ćwiczeniach byli po połowie Izraelczykami i Amerykanami, ale w tej chwili ciężko było poznać, która z obu grup jest bardziej zmieszana.

Najpierw obejrzeni w przyśpieszonym tempie powtórkę wydarzeń, które doprowadziły do końcowego starcia. Pojazdy izraelskie, pokazane na ekranie jako niebieskie, pojawiły się u wylotu płytkiej doliny, gdzie napotkały pododdziały rozpoznawcze Bizonów. Amerykanie natychmiast się wycofali, ale nie w kierunku umocnionych pozycji szwadronu, ale pod kątem do nich. Izraelczycy, wietrząc podstęp, zwrócili się na zachód, próbując oskrzydlić przeciwnika. I wtedy wjechali prosto pod lufy okopanych

czołgów, a ze wschodu pokazały się Byki, zbliżając się tak szybko, że 3. szwadron pułku, dowodzony przez Douga Millsa, nie zdążył nawet wejść do walki, kiedy było już po wszystkim. Izraelczycy popełnili kardynalny błąd. Dowódcy pododdziałów 7. Brygady polegali na domysłach co do ugrupowania przeciwnika, zamiast wysłać zwiadowców, żeby je rozpoznali.

Izraelski dowódca obserwował powtórkę i, w miarę, jak pojawiały się kolejne ujęcia, powietrze uchodziło z niego jak z przekłutego balonika. Amerykanie nie śmiali się z niego. Każdy kiedyś sam to przechodził, ale fakt, że z pozycji wygrywającego wygląda to dużo przyjemniej.

— Wiesz, Benny, tych zwiadowców można było wysłać trochę dalej — dyplomatycznie zauważył jeden z izraelskich rozjemców.

— Arabowie tak nie walczą! — odwarknął Benjamin Eitan.

— A powinni — odparł Masterman — bo to typowa radziecka doktryna, a przecież to Ruscy ich szkolili. Wciągnąć w zasadzkę i odciąć odwrót. Zresztą przecież pan zrobił tak samo w siedemdziesiątym trzecim, na *Centurionach*. Czytałem pańską książkę o tej

walce — dodał Amerykanin. Ta uwaga rozładowała sytuację. Amerykanie na pewno nauczyli się tutaj dyplomacji. Generał Eitan zdobył się na uśmiech.

— Mnie pan to mówi? Wtedy rzeczywiście tak zrobiłem.

— No właśnie. Rozwalił pan cały syryjski pułk w czterdzieści minut, o ile pamiętam?

Eitan ucieszył się z komplementów, chociaż wiedział, że służą one tylko pocieszeniu go.

Obecność Magrudera, Mastermana, Sarto i Millsa nie była przypadkowa. Wszyscy czterej walczyli nad Zatoką Perską, gdy trzy szwadrony 2. pułku kawalerii nadziały się na elitarną brygadę pancerną Gwardii Republikańskiej i, mimo braku wsparcia powietrznego, bo pogoda była okropna, w ciągu kilku godzin spisali ją ze stanu irackiej armii. Izraelczycy wiedzieli o tym i żaden nie mógł narzekać, że to żołnierze z za biurka.

Wynik „bitwy” też nie był niczym niezwykłym. Eitan został dowódcą dopiero miesiąc temu, a poza tym wiedział, że u Amerykanów ćwiczenia były zawsze cięższe od prawdziwej walki. Jak ciężkie, przekonali się jednak dopiero tutaj, gdy przyniesiono mu jego głowę na srebrnej tacy. Jediną słabością Izraelczyków był nadmiar pychy, a Ma-

gruder wiedział, że zadaniem ośrodków takich jak ten, czy Fort Irwin, jest odrzec z niej dowódcę do poziomu, na którym już nie zagraża życiu i zdrowiu podwładnych.

— Dobrze więc — przerwał wymianę uprzejmości starszy rozjemca. — Jaki wniosek można wyciągnąć z dzisiejszych ćwiczeń?

Nie zadzierać z Bizonami, pomyśleli chórem amerykańscy dowódcy, ale trzymali języki za zębami. Marion Diggs, zanim odszedł dowodzić ośrodkiem w Fort Irwin, doprowadził ich na najwyższy poziom wyszkolenia, ugruntowując ich reputację. Chociaż w armii izraelskiej nadal się na nich jeszcze boczono, gdyż trzepali im tyłek, aż furczało, gdziekolwiek poszli na przepustkę, spotykali się z sympatią ze strony miejscowej ludności. Obecność 10. pułku i dwóch dywizjonów *F-16* była dowodem na to, że Ameryka poważnie traktowała swoje zobowiązania w dziedzinie obronności, tym bardziej, że nie przyjechali się tu opalać, a szkolili armię izraelską do poziomu, którego nie osiągnęła od czasu inwazji na Liban w 1982 roku. Będą ludzie z Eitana, myśleli amerykańscy dowódcy. Jeszcze przed ich wyjazdem mogą mieć z nim problemy. Ale to nic pewnego. Nie przyjechali tu w końcu dawać forów.

* * *

— Pamiętam czasy, w których przekonywał mnie pan do uroków demokracji, panie prezydencie — zauważył cierpko Gołowko, wchodząc do gabinetu Ryana.

— O, widzę, że oglądałeś rano telewizję.

— Oglądałem, a jakże, oglądałem. Pamiętam także czasy, gdzie za takie pytania można było u nas trafić pod ścianę.

Andrea Price stojąca za plecami Rosjanina zastanawiała się, jak daleko jeszcze gość posunie się w swojej bezczelności.

— No cóż, u nas jakoś to nie jest w modzie — odparł Jack, siadając. — Andrea, Siergiej jest moim starym przyjacielem. Możesz nas zostawić samych. — Rozmowa miała być prywatna, nawet sekretarz prezydencki miał z niej nie robić notatki, ale i tak każde słowo wypowiedziane w Gabinetcie Owalnym jest nagrywane i potem spisywane. Rosjanin o tym wiedział, a Jack wiedział, że on wie, ale docenia wagę tego spotkania w cztery oczy.

— Dziękuję — powiedział Gołowko, gdy drzwi zamknęły się za agentką.

— A, co tam, w końcu jesteśmy starymi przyjaciółmi, nie?

— Kiedyś byłeś wspaniałym przeciwnikiem — uśmiechnął się Gołowko.

— A teraz?

— Jak tam rodzina? Już się przyzwyczaiła?

— Nieźle, prawie tak jak ja — odparł Ryan i wrócił do tematu.

— Miałeś trzy godziny w ambasadzie na to, żeby się dowiedzieć.

Gołowko kiwnął głową. Formalne spotkanie, czy nieformalne, Ryan jak zwykle dobrze odrobił lekcje. Rosyjska ambasada była zaledwie parę przecznic stąd, na Szesnastej Ulicy i do Białego Domu Siergiej doszedł spacerem. To właściwie rozwiązanie w mieście, gdzie korki praktycznie uniemożliwiają jazdę, a poza tym nie zwracał na siebie uwagi dyplomatyczną limuzyną z flagą.

— Nie spodziewałem się, że Irak tak szybko się posypie.

— Ja też. Ale chyba nie z tego powodu przyjechałeś, Siergieju Nikołajewiczu? Chiny?

— Wasze satelity dają równie ostre zdjęcia, jak nasze. Ich armia jest na bardzo wysokim stopniu gotowości bojowej.

— Panują u nas podzielone zdania na ten temat — odparł Ryan.

— Niektórzy sądzą, że to tylko straszak na Tajwan, bo najintensywniej ćwiczy marynarka.

— Owszem, bo do tej pory była najbardziej zapóźniona w rozwoju. I tak jeszcze nie jest gotowa do walki. Za to wojska lądowe są, jak najbardziej, i raketowe też. Ani jedno, ani drugie nie wybiera się na drugą stronę Cieśniny Tajwańskiej.

Aha, tu cię mam. Po to przyjechałeś. Jack wyjrzał za okno, na pomnik Waszyngtona, otoczony lasem masztów z flagami. Jak to powiedział stary dobry Jerzy Waszyngton o mieszaniu się w zagraniczne konflikty? No, ale on mógł sobie na to pozwolić, bo wtedy Stany nie leżały nad dwoma oceanami, a przez Atlantyk do Europy było dwa miesiące statkiem, a nie sześć godzin samolotem.

— Ameryka potępi wszelki atak Chin na Rosję. Ewentualny konflikt miałby bardzo zły wpływ na stabilność sytuacji na świecie i mogłby przeszkodzić Rosji w dochodzeniu do standardów europejskiej demokracji. Wystarczająco długo byliśmy wrogami. Teraz powinniśmy zostać przyjaciółmi, a Ameryce zależy na tym, by jej przyjaciele żyli bezpiecznie i pokojowo.

— Oni nas nienawidzą i bardzo zależy im na tym, co mamy — powiedział Gołowko. Widać było, że wypowiedź Ryana nie satysfakcjonuje go.

— Siergiej, czasy gdy narody kradły to, czego nie mogły się dorobić, już minęły. To już historia, która się nigdy nie powtórzy.

— Dobrze, a jeżeli mimo to się ruszą?

— Tym się zajmiemy, gdy przyjdzie na to pora, Siergieju. Chodzi raczej o to, jak temu zapobiec. Jeżeli będzie wyglądać na to, że rzeczywiście coś głupiego im chodzi po głowie, będziemy się starali ich namówić, by ponownie się nad tym zastanowili. Mamy to wszystko na oku.

— Ty ich chyba nie rozumiesz. — Znowu naciska. Oj, nieźle ich przypiliło.

— A czy ich ktokolwiek rozumie? Myślisz, że oni sami wiedzą, czego chcą? — uśmiechnął się Ryan.

— Tak, to jest problem — zgodził się Gołowko. — Próbuję wyjaśnić mojemu prezydentowi, że trudno prognozować zachowanie ludzi niezdecydowanych. Mają duże możliwości, ale my też, a reszta to już wygląda inaczej z różnych punktów widzenia.

I dochodzą do tego sprawy osobowościowe. Wierchuszka Chin to starzy ludzie, Jack. Starzy ludzie, wierzący w stare ideały. Ich osobowość bardzo się w tym wszystkim liczy.

— Osobowość tak, ale także historia, kultura, gospodarka i handel. Jeszcze nie miałem okazji się z nimi zetknąć oko w oko. Moja wiedza o tym regionie jest właściwie żadna. Całe życie spędziłem na tym, żeby raczej was rozgryźć.

— Czy w razie czego możemy na ciebie liczyć?

Ryan powoli pokręcił głową.

— Jest jeszcze za wcześnie na takie spekulacje. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, by zapobiec ewentualnemu konfliktowi między Rosją a ChRL. Jeżeli do tego dojdzie, użycie broni atomowej. Ja to wiem, ty to wiesz i mam nadzieję, że oni też to wiedzą.

— Może i wiedzą, ale nie wierzą.

— Sierioża, nikt nie może być aż tak głupi! — A jeżeli? Trzeba będzie pogadać ze Scottem, on się na tym regionie zna dużo lepiej ode mnie. Czas skończyć z tym i zająć się czym innym. — Irak. Co wy na to?

— Trzy miesiące temu rozbili naszą siatkę — skrzywił się Gołowko. — Dwudziestu ludzi, wszystkich powiesili albo rozstrzelali, oczywiście po przesłuchaniach. Chodzą słuchy, że ich generałowie coś szykują.

— Dwóch dziś rano pojawiło się w Sudanie. Z rodzinami. — Ryan z satysfakcją patrzył na minę gościa. Rzadko się go udawało czymś zaskoczyć.

— Tak szybko?

— Aha — potwierdził Ryan, podając mu zdjęcia z Chartumu.

Gołowko obejrzał je, ale twarze nic mu nie mówiły. Nie musiały. Informacje na tym szczeblu z reguły były dokładne. Nawet w stosunku do dawnego wroga nie robi się takich numerów. Oddał zdjęcia.

— A więc to Iran. Mamy tam paru ludzi, ale ostatnio nie słyszeliśmy nic nowego. Działają w bardzo niebezpiecznych warunkach, sam wiesz. Przypuszczamy, że Darjaei zaplanował zamach na Saddama, ale dowodów nie mamy. — Umilkł na chwilę. — To może mieć bardzo poważne skutki.

— Czyli wy też nie możecie nic na to poradzić?

— Nie, Jack, nie możemy. Ani wy, ani my nie mamy tam takich wpływów.

18 — Ostatni gasi światło

Następny samolot wystartował przed czasem. Trzecia i ostatnia maszyna firmy zarejestrowanej w Szwajcarii została wezwana z Europy i, po zmianie załogi, była gotowa do drogi trzy godziny przed czasem. Dzięki temu pierwszy *Gulfstream* mógł lecieć do Bagdadu po kolejnych generałów. Badrajn zaczął się czuć jak agent biura podróży, albo dyspozytor bazy transportu, a nie dyplomata. Miał nadzieję, że ten cyrk nie potrwa już długo. Zabranie się ostatnim samolotem mogło być niebezpieczne, bo nigdy nie wiadomo tak naprawdę, który okaże się rzeczywiście ostatni. Generałowie nadal tego nie pojmowali, nie rozumieli, że ostatni samolot może być odprowadzany seriami po-

cisków smugowych, że zostawią za sobą tysiące ludzi, których los nawet jego napawał dreszczem. No cóż, życie jest w ogóle ryzykowne, a jemu całkiem nieźle za to ryzyko płacą. W każdym razie za trzy godziny będzie tu samolot, a pięć godzin potem następny. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie dziesięciu albo i jedenastu lotów, żeby tę zgraję wywieźć, a to zajmie ze trzy dni. Trzy dni to czasem więcej niż wieczność.

Poza lotniskiem iracka armia nadal stała na ulicach, ale ten stan rzeczy będzie musiał się zmienić. Żołnierze, nawet elitarni gwardziści, zaczęli popadać w nudę i rutynę, a to jest niebezpieczne dla każdego wojska. Pozbawieni zajęcia będą się snuć z kąta w kąt, palić papierosy i mieć głupie myśli. Zaczną sobie zadawać pytanie: Co się dzieje? Początkowo nie znajdą odpowiedzi. Sierżanci pójdą do oficerów i, zgodnie z ich radą, będą pytających odsyłać do jasnej cholery, radząc, by się lepiej zajęli swoimi sprawami. Ale ile razy można to powtarzać? W końcu podoficerów też męczy ta sama niepewność. A dowódcy plutonów zaczną pytać wyżej i tak to pytanie będzie wędrować coraz wyżej, póki znajdzie się ktoś wystarczająco wysoko, kto zaciekawia się wzmożonym ruchem na lotnisku. Generałowie powinni takie rzeczy wiedzieć, ale generałowie w tej części świata odznaczeni są bardzo kiepską pamięcią. Po prostu zapominali. Zapominali, że

wille i służący to nie oznaki boskości, a zaledwie doczesne wygody, które mogą zniknąć, rozwiać się jak mgła o poranku. Wciąż bardziej obawiali się Darjaeiego niż własnych rodaków i podwładnych, a to już głupota.

* * *

Siedzenie z prawej strony kabiny pasażerskiej było wciąż wilgotne. Tym razem siedziała na nim najmłodsza córka generała, który jeszcze kilkanaście minut temu dowodził 4. Dywizją Zmotoryzowaną Gwardii, a teraz naradzał się na tylnych siedzeniach z kolegą z lotnictwa. Dziecko poczuło wilgoć na dłoni i zaciekawione, polizało palce, aż matka posłała ją do łazienki, by tam umyła ręce. Potem poskarżyła się irańskiemu stewardowi, który siedział z nimi. Ten przeniósł dziecko na inny fotel i zanotował, by po lądowaniu w Teheranie wymienić siedzenie. Tym razem pasażerowie nie byli już tak spięci. Pierwsza grupa zawiadomiła ich z Chartumu, że wszystko jest w porządku. Ich siedziby strzegł cały pluton sudańskiej armii. Generałowie postanowili, że opłaca się zapłacić nawet sporą sumę do skarbu państwa, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i wygodę w czasie, miejmy nadzieję, krótkiego pobytu w tym kraju, zanim się z niego

wyniosą. Szef wywiadu, ciągle jeszcze w Bagdadzie, siedział nad telefonem, wydzwaniając do różnych ludzi w różnych krajach, załatwiając dla nich bezpieczne schronienie. Szwajcaria? Kraj zimny, zarówno klimatycznie, jak uczuciowo, ale przynajmniej bezpieczny, a w dodatku nie wtrąca się w życie ludzi, którzy mają pieniądze i inwestują je na miejscu.

* * *

— Kto tam może mieć te trzy *Gulfstreamy*?

— Zarejestrowano je w Szwajcarii, pani porucznik — powiedział Sabah, podając jej zdjęcia. Komputer łatwo pozwolił je zidentyfikować. — Wszystkie trzy należą do tej samej firmy. Trzeba się będzie jej przyjrzeć. — Ale tym się już zajmie kto inny i pewnie nie dowiedzą się nic nowego. Firma importowo-eksportowa, raczej skrzynka kontaktowa niż prawdziwe przedsiębiorstwo, pewnie małe biuro, żeby uwiarygodnić całość. Firma będzie miała średniej wielkości konto w banku komercyjnym, pewnie będzie klientem jakiejś firmy prawniczej, pilnującej, żeby wszystko było w zgodzie z przepisami, a Szwajcaria to kraj, w którym prawo jest święte. Dochodzenie utkwii

w martwym punkcie, bo Szwajcarzy nie zwykli niepokoić firm, które płacą podatki na czas i przestrzegają przepisów. Kombinowanie bardzo nie popłaca, bo wtedy może się okazać, że Szwajcarzy potrafią surowo karać.

Kłopot w tym, że Sabah rozpoznał dwóch oficerów, a pewnie i spośród następnych wybrałby niejednego, którego z wielką rozkoszą doprowadziłby pod sąd, zwłaszcza tu, w Kuwejcie. Kiedy Irak napadał na Kuwejt, nie byli jeszcze na tak wysokich stanowiskach i osobiście brali udział w grabieżach oraz morderstwach. Sabah pamiętał doskonale czasy, gdy musiał się przemykać ulicami, starając się nie rzucać w oczy, podczas gdy wielu próbowało się przeciwstawić okupacji czynnie, co było aktem wielkiej odwagi. Większość z nich pojmano i stracono, zwykle razem z całymi rodzinami i chociaż teraz tych, którzy przeżyli, fetowano i podziwiano, ich akcje zdałyby się psu na budę bez informacji, które on zbierał. Nie zazdrościł im sławy. Pochodził z bogatej rodziny i stać go było na zabawę w szpiega. Bardzo to zresztą lubił. Teraz już nigdy jego kraj nie da się ponownie tak zaskoczyć jak wtedy. Osobiście tego dopilnuje.

Tak czy inaczej, wyjeżdżający generałowie byli mniejszym zmartwieniem, niż ci, którzy już wkrótce zajmą ich miejsca.

* * *

— Cóż, obawiam się, że to wystąpienie pana Ryana należy zakwalifikować do raczej niefortunnych — zauważył w południowym dzienniku CNN Ed Kealty. — Po pierwsze, doktor Bretano jest przemysłowcem, który od dawna funkcjonuje poza służbą publiczną. Byłem przy tym, jak proponowano jego kandydaturę na wysoki urząd państwowy i byłem też świadkiem jego odmowy, która, jak mi nie mam, wynikała stąd, że na urzędzie nie da się zarobić tyle pieniędzy. To jest bardzo utalentowany człowiek, nie przeczę, zapewne znakomity inżynier — ciągnął Kealty z tolerancyjnym uśmiechem — ale sekretarz obrony? Zdecydowanie nie. — Podkreślił swój osąd, kręcąc głową.

— A co pan sądzi o fragmencie wystąpienia prezydenta Ryana na temat aborcji? — zapytał prowadzący.

— Barry, wyjaśnijmy sobie coś. Pan Ryan nie jest prezydentem — łagodnym tonem skarcił go Kealty. — Trzeba to wyraźnie powiedzieć. Jego brak rozeznania opinii publicznej ujawnił się bardzo wyraźnie w tym wewnętrznie sprzecznym i nie przemysłanym wystąpieniu w Sali Prasowej. Orzeczenie w sprawie Roe przeciw Wade nadal

obowiązuje. I to wszystko, co pan Ryan ma w tej kwestii do powiedzenia. A przecież prezydent ma zapewniać wykonywanie prawa, nawet jeśli mu się ono nie podoba. Brak rozeznania w opinii Amerykanów na ten temat dowodzi jednak nie tyle obojętności na kwestię sprawy wolności wyboru kobiet, ale po prostu niekompetencji. Ryan powinien słuchać tego, co mówią mu doradcy, a, jak wyraźnie widać w tym przypadku, nawet tego nie potrafi. To jest człowiek nieodpowiedzialny — podsumował Kealty, spoglądając prosto w obiektyw. — Nie potrzeba nam takich w Białym Domu.

— Ale pańskie twierdzenia. . .

Kealty przerwał mu, unosząc dłoń.

— To nie są twierdzenia, Barry. To jest prawda. Nigdy nie zrezygnowałem z mego urzędu. Nigdy nie przestałem być wiceprezydentem. A skoro tak, to z chwilą śmierci prezydenta Durlinga z mocy konstytucji objąłem jego stanowisko. Należy teraz powołać komisję prawniczą, by rozstrzygnęła to zagadnienie konstytucyjne i zdecydowała, który z nas dwóch jest prezydentem. Jeżeli panu Ryanowi naprawdę, tak jak twierdzi, zależy na dobru kraju, powinien tak zrobić. Jeżeli tego nie zrobi, oznaczać to będzie, że stawia swoje dobro wyżej, niż dobro państwa. Oczywiście, wierzę w szczerą intencję Jacka

Ryana. To człowiek honoru i w przeszłości nieraz wykazywał się odwagą. Teraz, niestety, trochę się pogubił, co wyraźnie było widać w czasie dzisiejszej porannej konferencji prasowej.

— Namówiłby zakonnicę do zdjęcia majtek, Jack — zauważył van Damm, ścisząc telewizor. — Widzisz, jaki jest w tym dobry?

— Jasna cholera, Arnie! — Ryan o mało nie zerwał się z krzesła. — Przecież ja właśnie to powiedziałem, chyba ze trzy albo cztery razy! To jest prawo i ja nie mogę go złamać. Dokładnie to powiedziałem!

— Pamiętasz, co ci mówiłem o trzymaniu nerwów na wodzy? — powiedział Arnie, czekając aż Ryan ochłonie i znikną wypieki. Znowu wrócili do oglądania telewizji.

— Najbardziej jednak niepokojące jest to, co Ryan powiedział o nominacjach do Sądu Najwyższego — ciągnął Kealty. — Wyraźnie z tego widać, że chce odwrócić wiele rzeczy już ustalonych. Wynika to z tego, co mówił o orzeczeniu aborcyjnym, o tym, że stosunek do niego będzie papierkiem lakmusowym w procesie nominacji, że będzie mianował sędziów o poglądach konserwatywnych, rygorystycznie trzymających się litery prawa. To sprawia, że można się zacząć zastanawiać, kiedy w takim razie przyjdzie

kolej na skasowanie programu awansu społecznego Afroamerykanów i Bóg jeden wie czego jeszcze. Co gorsza, ma to miejsce w sytuacji, gdy, na skutek okoliczności, urzędujący prezydent ma bardzo silną władzę, a Ryan nie ma pojęcia, jak ją sprawować. Nie wiem, jak ciebie, Barry, ale mnie to napawa niepokojem.

— Czy on z byka spadł? — zaperzył się znowu Ryan. — Przecież to nie ja mówiłem o konserwatystach, tylko dziennikarz. I nie ja mówiłem o stosunku do aborcji jako kryterium doboru, tylko dziennikarka!

— Jack, tu nie chodzi o to, co naprawdę powiedziałaś, tylko o to, co ludzie zapamiętali — odparł Arnie.

— Jak wiele szkód pana zdaniem może więc wyrządzić prezydent Ryan? — zapytał prowadzący. Arnie z podziwem pokręcił głową. Kealty zrobił z dziennikarza marionetkę i na żywo, na oczach widzów, przywiązał mu teraz sznurki do rąk. Barry jeszcze się wprawdzie asekurował, nazywając Ryana prezydentem, ale jednocześnie z tymi duserami gruchnęło pytanie, które musiało podkopać w ludziach wszelką wiarę w jego zdolność do rządzenia. Skoro starego dziennikarza tak wystawił, to nic dziwnego, że

z kobietami nie miał żadnych problemów. Mało który widz będzie sobie zdawał sprawę z tego, jak kunsztownie tego dokonał. Co to jednak znaczy profesjonalizm.

— W takiej sytuacji, gdy rząd został właściwie rozbity? Naprawianie tego, co zepsuje, może trwać całymi latami — powiedział wreszcie po chwili milczenia Kealty z zatroskanym wyrazem twarzy lekarza rodzinnego, oznajmiającego, że nowotwór jednak okazał się złośliwy. — Nie dlatego, że zrobił to umyślnie. Nie, pan Ryan na pewno nie jest złym człowiekiem. Ale on po prostu nie ma pojęcia, jak sprawować urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. On tego nie wie, Barry.

— Wrócimy na antenę po przerwie na reklamę — powiedział Barry.

Van Damm podniósł pilota i wyłączył telewizor. Zobaczyli już dosyć, a na reklamy żaden z nich nie miał ochoty.

— Panie prezydencie, do tej pory się tym nie przejmowałem, ale teraz zacznam — powiedział. — Jutro zobaczy pan wstępniaki w największych gazetach, podkreślające konieczność powołania tej jego cholernej komisji i chyba nie będziemy mieli innego wyboru, jak pójść na to.

— Chwileczkę, przecież prawo nie mówi, że. . .

— Prawo w ogóle nic nie mówi na ten temat, pamiętasz? A nawet gdyby mówiło, to nie ma Sądu Najwyższego, który mógłby to rozstrzygnąć. To jest demokratyczny kraj, wola ludu decyduje kto jest prezydentem. Wolę ludu tworzą media, a ty nigdy nie będziesz w nich tak dobrze wychodził, jak Ed.

— Zaraz, Arnie, przecież on zrezygnował. Kongres zatwierdził mnie na wiceprezydenta. Potem zginął Roger i ja zostałem jego następcą. Tak mówi pieprzone prawo! A ja go muszę przestrzegać! Przysięgałem to i przysięgi dotrzymam. Nigdy nie chciałem tej pieprzonej roboty, ale nigdy w życiu od niczego nie uciekałem i teraz też niech mnie cholera, jeżeli ucieknę! — Było jeszcze coś. Ryan nie znosił Kealty'ego. Nie lubił jego poglądów politycznych, nie cierpiał jego poczucia wyższości, nie podobało mu się jego życie osobiste, brzydził się jego sposobem traktowania kobiet. — Wiesz, kim on jest, Arnie?

— Tak. To bandyta, alfons i dziwkarz. Nie uznaje żadnych zasad. Nigdy nie wykonywał żadnej ustawy, ale napisał ich setki. Nie jest lekarzem, ale stworzył narodowy system ochrony zdrowia. Nie przepracował uczciwie ani dnia w życiu, bo od najwcześniejszej młodości był politykiem, zawsze na państwowej posadzie. Nigdy w życiu nic

nie stworzył, ale całe życie ustalał podatki i decydował, na co zostaną wydane. Jedyni Murzyni, jakich w życiu spotkał to piastunka i pokojówki, które sprzątały jego pokój w dzieciństwie, ale jest niezłomnym bojownikiem o prawa mniejszości. To hipokryta i szarlatan. I wygra, jeżeli pan nie przestanie się mazgaić i nie pozbiera do kupy, panie prezydencie. A wie pan dlaczego? Bo on umie grać w tę grę, a pan nie.

* * *

Pacjent w październiku przebywał na Dalekim Wschodzie, mówiła historia choroby, i w Bangkoku pozwolił sobie skorzystać z uciech, z jakich Tajlandia słynęła w świecie. Pierre Alexandre znał to z autopsji. Też sobie kiedyś zafundował taką wycieczkę, kiedy był jeszcze kapitanem, przydzielonym do szpitala wojskowego w tym tropikalnym kraju. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Był młody, głupi i rozpierała go energia, dokładnie jak innych ludzi w jego wieku. Ale to zdarzyło się w tej zamierchłej erze przed pojawieniem się AIDS. A on teraz musiał powiedzieć pacjentowi, białemu, lat trzydzieści sześć, że w jego krwi wykryto przeciwciała HIV, że nie będzie się

mógł kochać z żoną bez zabezpieczenia, i że żona też powinna się przebadać i to jak najszybciej. A, jest w ciąży? No to natychmiast. Już jutro, jeżeli to możliwe.

Alexandre czuł się jak sędzia. To nie pierwszy raz, kiedy musiał coś takiego powiedzieć pacjentowi i na pewno nie ostatni. Z tym, że sędzia, ogłaszając wyrok śmierci, przynajmniej wie, że to za ciężką zbrodnię, a skazany może apelować. Ten biedak zaś nie był winien niczego, może poza tym, że przebywał dwadzieścia stref czasowych od domu, pewnie lekko pijany i cholernie samotny. Może się pokłócił przez telefon z żoną? Może była już w tak zaawansowanej ciąży, że odmówiła współżycia? A może to po prostu wpływ egzotycznej okolicy? Alexandre sam pamiętał, jak na niego to wtedy działało. No i te Tajki, prawie dzieci, a jak cholernie pociągające. A zresztą, czy to ważne? I tak nie będzie apelacji. Być może się to kiedyś zmieni. Alex miał taką nadzieję. Zawsze mówił to pacjentom, bo nie wolno odbierać ludziom nadziei. To samo przecież mówili od pokoleń chorym lekarze onkolodzy i tak się stało. Wielu uczonych nad tym pracowało, z nim samym włącznie, więc przełom mógł nastąpić choćby jutro. Albo za sto lat. Ten pacjent miał ich jednak przed sobą co najwyżej dziesięć.

— Nieszczerólnie pan wygląda, doktorze — usłyszał jakiś głos. Podniósł wzrok znad karty.

— A, pani profesor Ryan.

— Panie doktorze, zna pan już Roya, prawda? — Wskazała za siebie tacą z talerzami. Stołówka była dziś zapchana jak rzadko. — Można się przysiąść?

— Proszę bardzo — rzekł, zbierając ze stołu papiery.

— Zły dzień?

— Chory z typem E. — Już zbierał się do wyjaśnień, ale okazało się, że nie były potrzebne.

— HIV? Tajlandia? I teraz w kraju?

— Widzę, że czyta pani w biuletynach nie tylko o swojej specjalizacji — uśmiechnął się.

— Ano, trzeba czasem się rozerwać. Typ E, powiada pan? Jest pan pewien?

— Sam sprawdzałem. Złapał to w Tajlandii, na delegacji. Żona jest w ciąży. Profesor Ryan skrzywiła się na tę wzmiankę.

— Oj, niedobrze.

— Ktoś ma AIDS? — włączył się Roy Altman. Reszta ochrony Pierwszej Damy rozproszyła się po sali. Woleliby pewnie, żeby jadała w swoim gabinecie, ale ona uparła się, że to jedna z nielicznych form życia towarzyskiego lekarzy Hopkinsa i nie chciała wypaść z obiegu. Wobec tego Roy codziennie miał okazję dowiedzieć się czegoś nowego, jednego dnia o pediatrii, innego, jak dzisiaj, o chorobach zakaźnych.

— Typ E — skinął głową Alexandre. — U nas występuje głównie B, w Afryce też.

— To duża różnica?

— Typem B dość trudno się zarazić — wyjaśniła Cathy. — Zwykle wymaga to bezpośredniego kontaktu z krwią, dlatego najszybciej szerzy się wśród narkomanów, używających brudnych igieł, ale także wśród homoseksualistów, którzy mają uszkodzenia naskórka od tarcia lub w wyniku innych, zwykłych chorób wenerycznych.

— Zapomniała pani jeszcze o pechu przy transfuzjach, ale to najwyżej jeden procent — uzupełnił Alexandre. — Typ E, ten tajlandzki, złapać dużo łatwiej i dlatego szerzy się wśród heteroseksualistów. Zaczyna już doganiać B w statystykach.

— Czy CCZ to już podało oficjalnie?

— Nie, ale to sprawa kilku miesięcy, przynajmniej tak mówili dwa tygodnie temu.

— Bardzo źle? — zapytał Altman. Ta praca zaczynała być ciekawa, tyle rzeczy się można dowiedzieć.

— Ralph Forster poleciał tam pięć lat temu, żeby się przekonać. Znasz tę historię, Alex?

— Nie w szczegółach, ale czytałem wyniki.

— Ralph poleciał tam w delegację, wiesz, państwowy bilet, oficjalna podróż, te rzeczy. Wsiada z samolotu, wysłannik rządu tajlandzkiego odbiera go z cła, prowadzi do samochodu i pyta, czy potrzebuje dziewczynki na noc. W tej chwili przekonał się, że jest naprawdę źle.

— Nie dziwię mu się — odparł Alexandre. Kiedyś by się serdecznie uśmieł z tej anegdotki, ale teraz ledwie udało mu się zapanować nad dreszczem. — Statystyki są przerażające. Wie pan, panie Altman, że w tej chwili jedna trzecia poborowych do armii tajskiej jest nosicielami wirusa HIV? Głównie typu E.

Altman był poruszony tą proporcją.

— Jedna trzecia? Co trzeci dzieciak?

— Za czasów Ralpha była dopiero jedna czwarta. To robi wrażenie, nie?

— Ale przecież to znaczy, że...

— Że za pięćdziesiąt lat może już nie być Tajlandii — dokończyła profesor Ryan głosem, którego spokój maskował przerażenie. — Kiedy chodziłam do szkoły, wydawało mi się, że onkologia to miejsce dla twardzieli. — Wskazała Altmanowi stolik w pobliżu. — Marty, Bert, Curt i Louise, ci co siedzą w rogu. Mnie się zdawało, że tego nie wytrzymam, że nie mogłabym znieść stresu codziennego obcowania ze skazańcami, więc wzięłam się za dłubanie w oczach. Byłam w błędzie. Teraz potrafimy walczyć z rakiem, ale nie z tymi cholernymi wirusami.

— Klucz do rozwiązania tej sprawy, Cathy, leży w zrozumieniu złożonych interakcji pomiędzy genami wirusa i ofiary, a to nie powinno być takie trudne, do diabła. Wirusy to takie maleńkie skurwysyństwo. Nie potrafią zrobić tak wiele jak ludzkie geny przy zapłodnieniu, a przecież funkcje ludzkich genów poznaliśmy z grubsza. Kiedy to rozgryziemy, będziemy je mogli pokonać. — Alexandre, jak większość badaczy, był optymistą.

— To tak jak z badaniami ludzkich komórek? — zapytał Altman. Zaczynało go to naprawdę wciągać.

— Nie, Roy. Wirusy są znacznie mniejsze. W tej chwili to już badania poszczególnych genów. To tak, jakbyś wziął jakieś nie znane ci urządzenie i rozkładał je, usiłując się domyślić na każdym kroku, do czego może służyć część, którą właśnie wyjąłeś. Wcześniej czy później dochodzisz do stadium, w którym masz na podłodze kupkę części, wiesz, do czego służą, ale teraz trzeba się zastanowić, jak to powinno działać po złożeniu. Jesteśmy w tej fazie.

— A wiesz, do czego się to wszystko sprowadza? — zapytała Cathy i sama udzieliła odpowiedzi: — Do matematyki.

— Gus z Atlanty też tak twierdzi.

— Zaraz, zaraz — zaprotestował Altman. — A co do tego ma matematyka?

— Na najniższym poziomie na kod genetyczny człowieka składają się cztery aminokwasy, oznaczone A, C, G i T. Kolejność ich połączenia przesądza o wszystkim — wyjaśniał Alex. — Różne kombinacje determinują różne rzeczy i różnie ze sobą współdziałają. Gus pewnie ma rację, że te interakcje można zdefiniować matematycznie. Kod genetyczny jest w rzeczywistości szyfrem i można go złamać, a co więcej, być może można nawet zrozumieć. Ktoś pewnie już próbuje przypisać im wartości liczbowe.

— Tyle że na razie nie ma takiego mądrego, który by to zrobił — zakończyła Cathy. — Piłka jest na polu karnym, Roy. Kiedyś wreszcie musi się znaleźć ktoś, kto do niej dobiegnie i trafi do bramki. To by nam dało klucz do zwalczenia wszystkich chorób, jakie trapią człowieka. Wszystkich, co do jednej. To byłby klucz do nieśmiertelności.

— Tak, a dla nas bilet na zieloną trawkę, Cathy. Jak tylko się dorwą do tego kodu, od razu skasują w nim cukrzycę, krótkowzroczność i wtedy. . .

— I wtedy ty polecisz szybciej, niż ja, bo okulista może jeszcze operować urazy — dokończyła za niego z filuternym uśmiechem.

— Prędzej czy później do tego dojdzie.

Ale czy na tyle wcześnie, by pomóc temu biedakowi z typem E? Chyba nie.

* * *

Teraz ich klęła, głównie po francusku, ale i po flamandzku. I tak nie rozumieli żadnego z tych języków. Moudi znał francuski na tyle, żeby się zorientować, że choć padają słowa bardzo ostre, to najwyraźniej nie są już kierowane przez świadomy umysł. Choroba zaatakowała więc mózg i siostra Jeanne Baptiste nie była już nawet w stanie

rozmawiać z Bogiem. Wiedzieli też, że serce również zostało zaatakowane, co dawało nadzieję na to, że śmierć wreszcie zlituje się nad kobietą, która zasługiwała na wiele więcej, niż dostała od życia. Delirium mogło jej jedynie przynieść ulgę. Może to odłączenie się duszy od ciała, niewiedza, gdzie się znajduje, kim jest i co poszło źle, powodowało, że ból mniej ją męczył. Doktor potrzebował tej iluzji.

Twarz pacjentki pokrywały wylewy, wyglądała jakby została brutalnie pobita, a jej blada skóra przypominała matową ściankę butelki pełnej krwi. Nie potrafił rozpoznać, czy jej oczy są jeszcze czynne. Krew wypływała na zewnątrz i tworzyła wylewy wewnątrz każdej gałki, więc jeżeli nawet jeszcze widziała, to nie potrwa to długo. Pół godziny temu o mało nie umarła i kiedy przybiegł do sali, zobaczył jak sanitariusze usiłują oczyścić jej zatkałe wymiocinami drogi oddechowe, unikając w miarę możliwości rozdarcia rękawic. Uchwyty unieruchamiały ją, ale nawet miękko wyłożone pasy pozdzierały jej skórę, powodując kolejne krwawienia i dodatkowy ból. Tkanka żył była już bardzo zniszczona i krew z kroplówek wyciekała w równej ilości do organizmu, co pod łóżko, a każda kropla była bardziej śmiertelna, niż jakakolwiek znana człowiekowi trucizna. Sanitariusze byli przerażeni, gdy musieli jej dotknąć i żadne kombinezony

ani rękawice tego nie były w stanie zmienić. Przekonał się o tym, widząc, jak sanitariusz wnosi wiadro z roztworem jodyny i macza w nim rękawice, otrząsając z płynu, ale nie osuszając ich, tak, by między rękawicą a zarazkami powstawała dodatkowa, chemiczna bariera, odgradzająca go od wirusów. To było niepotrzebne, bo rękawice i tak były grube, ale trudno ich było winić za to, że ten widok tak przerażał. Zmieniali się teraz co godzinę, właśnie pojawiła się nowa ekipa. Jeden ze schodzących odwrócił się w drzwiach śluzy i popatrzył na nią, odmawiając cichą modlitwę do Allacha, by nie musiał już tu wracać, by ją zabrał, zanim nadejdzie jego następna zmiana. Po wyjściu lekarz poprowadził całą zmianę do sali dezynfekcyjnej, gdzie opłukali dokładnie kombinezony, a potem ciała, podczas gdy zdjęte przez nich kombinezony trafiły do pieca. Moudi miał pewność, że tych, którzy kontaktowali się z chorą, nikt nie będzie musiał pilnować przy dezynfekcji. Ze strachu będą się dezynfekować dwa razy dłużej, niż przewiduje instrukcja, a frontowych weteranów nie jest łatwo nastraszyć. I będą się bali, jeszcze wiele dni po tym, jak stąd wyjdą.

Gdyby miał ze sobą broń, zabiłby ją na miejscu i niech się potem dzieje, co chce. Jeszcze parę godzin temu mógłby ją uśmiercić zastrzykiem powietrza, ale teraz byłoby

to nieskuteczne: żyły miały zbyt osłabione ścianki. To jej silna wola sprawiała, że agonia była tak straszliwa. Może i była wątła, ale czterdzieści lat ciężkiej pracy zahartowało zakonnice i dało zadziwiająco dobre zdrowie. Ciało, w którym kołatała się jej dzielna dusza, nie chciało skapitulować, mimo że walka była z góry przegrana.

— Chodź, Moudi, nie myśl tyle — usłyszał za plecami głos dyrektora.

— O co ci chodzi? — zapytał, nie odwracając się.

— Czy jakby została tam w Afryce, cokolwiek by to zmieniło? Czy nie przechodziłaby przez to samo? Czy można ją było wyleczyć? Tak samo podawano by jej kroplówką krew i roztwór fizjologiczny, tak samo by czekali, aż umrze. Ich religia nie uznaje eutanazji. Tu może ma nawet lepszą opiekę, niż tam — powiedział zimnym, choć rozsądnym tonem. Wziął do ręki kartę. — Pięć litrów. Doskonale.

— Moglibyśmy...

— Nie. — Dyrektor pokręcił głową. — Kiedy jej serce się zatrzyma, spuścimy resztę krwi. Potem trzeba będzie pobrać wątrobę, nerki i śledzionę do badań. Dopiero wtedy będziemy mogli rozpocząć właściwą pracę.

— Ktoś by mógł chociaż zmówić modlitwę za jej duszę.

— Ty ją zmówisz, Moudi. Jesteś dobrym lekarzem. Troszczysz się nawet o niewiernych, możesz być z tego dumny. Gdyby można ją było uratować, bez wątpienia byś to zrobił. Ja to wiem, ty to wiesz i ona też to wie.

— To, co tu robimy, to co szykujemy. . .

— Niewiernym — przypomniał mu dyrektor. — Tym, którzy nienawidzą naszego kraju i naszej wiary, którzy pluą na słowa Proroka. Moudi, mogę się z tobą zgodzić, że to była zacna kobieta. Allach będzie dla niej miłosierny, jestem tego pewien. To nie ty wybrałeś jej ten los. Ani nie ja. — Ale się ten Moudi rozkleja, kto by pomyślał. Trzeba go będzie mieć na oku. Chłopak był doskonałym lekarzem, naprawdę wyśmienitym. Zbyt dobrym. Dyrektor dziękował Allachowi, że ostatnie dziesięć lat spędził w laboratorium, bo, jak widać, praca z pacjentami strasznie rozmiękcza charakter.

* * *

Badrajn nalegał. Tym razem leciało ich trzech. Wszystkie fotele były zapełnione, na jednym nawet dwoje dzieci przypięto razem. Teraz już zaczynało do nich docierać. Wyjaśnił im to, wskazując na wieżę, z której kontrolerzy obserwowali każdy lot do

i z lotniska, zdając sobie przecież doskonale sprawę z tego, co się dzieje. Aresztowanie kontrolerów nic by nie dało, bo rodziny od razu by się połapały, że zniknęły, a gdyby zabrać ich razem z rodzinami, to przecież sąsiedzi zauważą. Niechętnie zgodzili się z nim. Miał ochotę wysłać do Teheranu wiadomość, żeby następnym razem przysłali porządny samolot liniowy, bo tymi maleństwami to nie robota, ale przecież zawsze znalazłby się ktoś, tam, czy tu, kto miałby coś przeciwko. Nie ważne co robisz, co mówisz, jak się starasz, zawsze znajdzie się ktoś, kto jest przeciw. W Iranie, czy tu, nieważne. Tak czy inaczej, ktoś mógł przez to zginąć. Nie, ktoś przez to na pewno zginie. Teraz mógł już tylko czekać. Czekać i martwić się. Mógł się też napić, ale nie chciał. Nie raz już w życiu pił. Tyle lat spędził w Bejrucie. Bejrut był jak Bahrajn, miejscem, w którym surowe zakazy religii trochę się rozluźniały i można było zakosztować zachodniej dekadencji. Ale teraz nie czas na to i nie miejsce. Tu śmierć może być za blisko, a on był mużmaninem. Nieważne, dobrym, czy złym, świętym, czy grzesznikiem. Był wiernym, a wiernemu nie przystoi patrzeć śmierci w oczy wzrokiem zmańczonym przez alkohol. Pił więc kawę, wyglądając przez okno z fotela koło telefonu, i wmawiał sobie, że ręce trzęsą mu się tylko od kofeiny.

* * *

— Pan jest Jackson? — zapytał Tony Bretano. Spędził cały ranek z pełniącymi obowiązki członków Kolegium Szefów Sztabów, teraz przychodziła kolej na tych, którzy rzeczywiście odwalają całą robotę.

— Tak jest, sir. Jestem pana szefem planowania operacyjnego — odparł Robby, siadając na fotelu.

— Jest bardzo źle?

— W tej chwili cienko przędziemy, panie sekretarzu. Nadal mamy dwie grupy lotniskowcowe na Oceanie Indyjskim, pilnujące Indii i Sri Lanki. Przerzucamy drogą powietrzną kilka batalionów piechoty na Mariany, by wzmocnić naszą obecność w tym rejonie i dopilnować wycofania Japończyków. To już postanowione, sprawa jest czysto polityczna i nie powinno być z tym większych problemów. Nasze wysunięte jednostki lotnicze trzeba było odwołać do kraju na uzupełnienie stanów. Ten aspekt operacji przeciw Japonii przebiegł znakomicie.

— Będzie pan więc nalegał na przyśpieszenie wprowadzania myśliwców *F-22* i ponowne rozpoczęcie produkcji bombowców *B-2*? Tak mi mówiono w Siłach Powietrznych.

— Dopiero co udowodniliśmy, że samoloty *stealth* są doskonałym wzmocnieniem naszych sił, panie sekretarzu. W razie gdyby znowu doszło do czegoś, będziemy potrzebować ich jak najwięcej.

— Zgadzam się. A co z resztą struktury sił zbrojnych?

— W tej chwili mamy o wiele za mało sił do wypełnienia wszystkich naszych zobowiązań. Gdybyśmy teraz musieli przerzucić siły do Kuwejtu, jak w 1991 roku, to nic by z tego nie wyszło. Po prostu nie mamy już tyle wojsk, ile wtedy wystawiliśmy. Wie pan, co leży w moim zakresie obowiązków. Mam wymyślić, jak zrobić to, co mamy do zrobienia tym, czym rozporządzamy. Operacja przeciw Japonii wyczerpała w tej chwili nasze siły i...

— Mickey Moore powiedział mi wiele dobrego o planie, który razem wymyśliliście.

— To bardzo miło ze strony generała Moore'a. Tak jest, panie sekretarzu, plan się sprawdził, ale cały czas gonimy resztkami, a nie jest to sposób, w jaki powinno się

prorowadzić operacje wojskowe. Powinny one być prowadzone tak, by przeciwnik faj-
dał w portki na sam widok pierwszego szeregowego wysiadającego z samolotu. Jeżeli
będzie trzeba, to potrafię improwizować, ale nie na tym polega moja praca. Prędeż
czy później coś mi nie pójdzie, albo komuś coś nie pójdzie, i chłopaki zaczną wracać
w plastikowych workach.

— Podzielam pański punkt widzenia także w tej sprawie — powiedział Bretano,
odgryzając kęs kanapki. — Prezydent dał mi wolną rękę w sprawie robienia porządków
w Departamencie Obrony w sposób, jaki uznam za stosowne. Mam dwa tygodnie na
przedstawienie nowej struktury sił zbrojnych.

— Dwa tygodnie, sir? — Jackson zbladłby jak papier, gdyby to było możliwe.

— Jackson, jak długo pan już w mundurze?

— Wliczając Akademię? Ze trzydzieści lat.

— Jeżeli się tego nie da zrobić na jutro, to źle pan wybrał zawód. Ale ja panu daję
całe dziesięć dni — zakończył wspaniałomyślnie.

— Ależ panie sekretarzu, ja jestem z działu operacji, a dział personalny to...

— Uważam, że dział personalny jest po to, żeby wypełniać zadania stawiane przed nim przez operacyjny. W wojsku powinni decydować żołnierze, a nie buchalterzy. W TRW też tak było, kiedy tam przyszedłem. Doszło do tego, że księgowi mówili inżynierom, jak mają konstruować samoloty. Nie. — Bretano pokręcił głową. — To nie działało, bo nie miało prawa działać. Jeżeli się coś buduje, to inżynierowie powinni rządzić firmą. Departamentem powinni rządzić żołnierze, a księgowi są od tego, żeby to jakoś zmieścić w budżecie. Zawsze jest walka, ale to dział produkcyjny powinien podejmować decyzje.

O cholera, pomyślał Jackson, z trudem tłumiąc uśmiech.

— Jakie parametry?

— Proszę wybrać największe z możliwych zagrożeń, największy konflikt przed jakim możemy stanąć i zaproponować strukturę armii zdolną sobie z nim poradzić. — Obaj wiedzieli, że to mało. Kiedyś rządziła doktryna „dwóch i pół wojny”, zgodnie z którą Ameryka miała być zdolna prowadzić na raz dwie poważne wojny i jeszcze powinno starczyć sił na jakies drobne konflikty regionalne. Mało kto zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę już od czasów Eisenhowera, który ją sformułował, była ona fikcją.

Dziś Ameryka nie była w stanie prowadzić nawet jednego porządnego konfliktu zbrojnego. Marynarka była o połowę słabsza w porównaniu do stanu sprzed dziesięciu lat, Armia miała się jeszcze gorzej. Siły Powietrzne utrzymywały zdolność do walki tylko dzięki zaawansowanej technice, bo w liczbach bezwzględnych zmniejszyły się również o ponad połowę. Właściwie tylko piechota morską nadawała się do czegokolwiek, ale Korpus był zawsze jednostką ekspedycyjną, gotową do wejścia do walki, zajęcia przyczółka i oczekiwania na posiłki, słabo wyposażoną w cięższe uzbrojenie i bez zaplecza, w razie gdyby te posiłki nie nadeszły, a tak się właśnie miała sytuacja. Anemii jeszcze nie wykryto, ale dieta wyraźnie nie wychodziła pacjentce na zdrowie.

— Dziesięć dni?

— Zakładam, że ma pan wstępny plan w szufladzie? — Ci z planowania zawsze mieli, wiedział o tym dobrze.

— Owszem, mam, sir, ale będę potrzebował parę dni na dopasowanie tego i owego.

— Jackson?

— Tak, panie sekretarzu?

— Śledziłem na bieżąco pańską działalność na Pacyfiku. Jeden z moich ludzi w TRW, były podwodniak, Skip Tyler, był niezły w te klocki, więc codziennie śledziliśmy rozwój sytuacji na mapach. Operacje, które pan zaplanował, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Wojna to zmagania nie tylko fizyczne. To także psychologia. Wygrywa ten, kto ma najlepszych ludzi. Działa i samoloty się liczą, ale najbardziej liczą się mózgi. Jestem niezłym menadżerem i dobrym inżynierem. Nie jestem żołnierzem. Dlatego będę słuchał tego, co pan i pana koledzy powiedzą, bo panowie wiedzą, jak walczyć. Będę za wami stawał, ilekroć i gdziekolwiek trzeba będzie. W zamian za to chcę wiedzieć, czego naprawdę potrzebujecie, a nie czego byście chcieli. Na to na razie nie możemy sobie pozwolić. Możemy za to zwalczyć biurokrację i od tego jest dział personalny, zarówno ten w mundurach, jak ten po cywilnemu. Mam zamiar tu zrobić porządek. W TRW pozbyłem się mnóstwa niepotrzebnych ludzi. To jest firma produkcyjna i teraz rządzą w niej inżynierowie. Departament Obrony jest firmą, która zajmuje się przeprowadzaniem operacji, więc będą nią rządzić ludzie, którzy je przeprowadzają, ludzie, którzy mają karby na rękojeściach pistoletów. Mają być rozsądni, dobrzy w swojej robocie, twardzi i sprytni. Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Myślę, że tak, sir.

— Dziesięć dni, Jackson. Mniej, jeśli się uda. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy pan skończy.

* * *

— Clark — przedstawił się John, podnosząc słuchawkę bezpośredniej linii.

— Holtzman — usłyszał w słuchawce. Nazwisko spowodowało, że oczy Clarka rozszerzyły się ze zdumienia.

— Teraz pewnie powinienem zapytać, skąd pan ma mój numer, a pan na to odpowie, że nie ujawni źródła?

— Bingo — zgodził się reporter. — Pamięta pan nasz uroczy obiadek w „U Estebana”?

— Jak przez mgłę — skłamał Clark. — To było strasznie dawno. — Doskonale pamiętał, także to, że wcale nie jadł z nim obiadu, ale magnetofon nagrywający tę rozmowę o tym nie wiedział.

— Należy się panu rewanż. Może dziś wieczorem?

— Oddzwonię do pana — odparł Clark i odłożył słuchawkę, wbijając oczy w blat biurka. O co tu, do diabła, chodzi?

* * *

— Daj spokój, przecież Ryan wcale tego nie powiedział — przekonywał van Damm redaktora „New York Timesa”.

— Ale to miał na myśli, Arnie. Ja to wiem i ty to wiesz.

— Słuchaj, dajcie mu trochę odetchnąć. On nie jest politykiem.

— Nie moja wina, Arnie. Wyszedł na boisko, to niech gra zgodnie z regułami.

Arnold van Damm kiwnął głową, maskując gniew na tę uwagę, rzuconą ot, tak sobie. Wiedział, że dziennikarz ma rację. Tak się w tę grę grało. Ale jednocześnie wiedział, że dziennikarz się myli. Może za bardzo się przywiązał do Jacka jako prezydenta? Na tyle w każdym razie, żeby przejąć niektóre z tych jego dziwacznych pomysłów? Media składające się w całości z pracowników sektora prywatnego, w większości spółek akcyjnych, urosły w siłę na tyle, by mówić ludziom, co słyszeli. To niedobrze. Co gorsza, bardzo zasmakowali w tym aspekcie swojej pracy i doskonale zdawali sobie sprawę z te-

go, że mogą wykreować albo zniszczyć każdego w tym mieście. To oni ustalali reguły gry. A kto łamie innych, może też być złamany, o czym zdawali się nie pamiętać.

Ryan był naiwny. Co do tego nie było wątpliwości. Trzeba na jego obronę powiedzieć, że nie pragnął tej posady. Trafił tu przypadkiem, bo chciał służyć krajowi, koronując swą karierę sługi państwa i, po jej zakończeniu, raz na zawsze odejść ze służby do żony i dzieci. Nikt go nie wybrał na fotel prezydenta. Ale mediów też nikt nie wybierał, a ramy tego co robił Ryan, wyznaczała konstytucja. Media przekraczały niewidzialną linię, opowiadając się po jednej stronie w sporze konstytucyjnym i w dodatku po tej niewłaściwej.

— A kto ustala zasady tej gry?

— One po prostu są i obowiązują.

— Dobra. Prezydent nie ma zamiaru podważać orzeczenia w sprawie aborcji. Nigdy nie powiedział, że ma taki zamiar. Ale nie może przecież wybierać sędziów Sądu Najwyższego z ławki w parku. Nie będzie powoływał aktywistów ruchów liberalnych, ale skrajnych konserwatystów też nie. Zresztą byłeś tam, więc chyba sam o tym wiesz.

— Czyli co, Ryan się przejęczył? — Uśmiech reportera mówił całą resztę. Wiadomo było, że napisze o tym, twierdząc, że wysoki funkcjonariusz z najbliższego otoczenia prezydenta usiłował wpłynąć na niego „wyjaśniając, czyli poprawiając wypowiedź prezydenta”, jak zapewne napisze w artykule.

— Nie, ty go po prostu nie zrozumiałeś.

— Mnie się wydawało, że mówił całkiem jasno, Arnie.

— To tylko dlatego, że przyzwyczaiłeś się słuchać zawodowych polityków i czytać między wierszami. Obecny prezydent stawia sprawy jasno i jeśli o mnie chodzi, to mi się to nawet podoba — skłamał Arnie i był za to na siebie wściekły. — Tobie też się powinno spodobać, bo dzięki temu masz łatwiejszą pracę. Nie musisz wróżyć z fusów, wystarczy, że będziesz dokładnie notował. Zgadząmy się, że to nie jest polityk, a mimo to traktujesz go tak, jakby nim był. Po prostu słuchaj tego, co mówi, dobrze? — Albo sobie obejrzyj na taśmie, palancie. W tej chwili Arnie chodził po krawędzi. Rozmowy na boku z prasą przypominają pieszczoty z nowym kotem. Nigdy nie wiadomo, kiedy zacznie drapać.

— Daj spokój, Arnie. Jesteś najbardziej lojalnym facetem, jakiego to miasto kiedykolwiek nosiło na swoich chodnikach. Cholera, człowieku, gdybyś był lekarzem, zapisałbym do ciebie całą rodzinę. Wszyscy to wiedzą. Ale ten Ryan to beznadziejny przypadek. Najpierw ta heca w katedrze, potem to durne przemówienie z Gabinetu Ovalnego. On się tak nadaje na prezydenta, jak przewodniczący koła rotarian z Pipidówki Dolnej.

— Aha. A kto decyduje, kto się nadaje na prezydenta, a kto nie?

— W Nowym Jorku ja. — Dziennikarz uśmieł się ze swojego dowcipu. — Co do Chicago, zapytaj kogo innego.

— Może i tak, ale on jest prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Ed Kealty twierdzi, że jest inaczej. I przynajmniej stary Ed zachowuje się jak na prezydenta przystało.

— Ed jest skończony. Złożył rezygnację. Sekretarz Hanson dzwonił do Rogera, a ten mi o tym powiedział. Zresztą, do jasnej cholery, przecież to ty o tym pisałeś!

— Ale z jakiego powodu miałby...?

— A z jakiego powodu pchał się pod każdą spódniczkę, jaką zobaczył? — No ładnie, pomyślał Arnie. Teraz mnie już zaczyna ponosić.

— Ed zawsze latał za dupami, zwłaszcza odkąd przestał pić. To mu przynajmniej nie przeszkadzało w wykonywaniu swoich obowiązków.

— Więc jaką pozycję zajmie „NYT”?

— Przyślę ci kopię wstępniaka, zanim pójdzie do dystrybucji — obiecał dziennikarz.

* * *

Nie mógł już dłużej. Podniósł słuchawkę i wykręcił sześć cyfr, patrząc w mrok za oknem. Słońce już zaszło, zbierały się chmury. Zanosiło się na zimną, deszczową noc, po której przyjdzie poranek, który... Albo i nie przyjdzie, któż to może wiedzieć?

— Tak? — Głos odezwał się w połowie pierwszego dzwonka.

— Badrajn. Dobrze by było, żeby następny samolot był większy.

— Mamy tu *Boeinga 737* w pogotowiu, ale potrzebuję zgody na jego wysłanie.

— Zajmę się tym.

Kropłą, która przelała kielich był dziennik telewizyjny. Jeszcze bardziej stonowany, niż dotąd, ani jednej wiadomości politycznej. Ani jednej! W kraju, w którym nierzadko prognozę pogody opatrywano komentarzem politycznym! I w dodatku reportaż o meczecie, o starym szyickim meczecie, który popadł w ruinę. Reporter biadał nad tym, opowiadając jego długą i zaszczytną historię, za to całkowicie pomijając fakt, że meczetu nie remontowano, bo był kiedyś miejscem spotkań grupy oskarżonej, zapewne słusznie, o przygotowywanie zamachu na Ukochanego Przywódcę. Jeżeli on, emigrant, o tym wiedział, to znaczy, że wiedziało każde dziecko. A już szczytem był obrazek pięciu mułłów, stojących opodal meczetu. Nawet nie patrzyli w kamerę, po prostu stali obok i wskazywali palcami na potłuczone niebieskie kafle, zapewne mówiąc, jakich prac będzie wymagała restauracja świątyni. To byli ci sami mułłowie, których przywiózł jako zakładników. Na ekranie nie było jednak widać ani jednego uzbrojonego człowieka. A przecież Irakijczycy znali co najmniej dwie z tych twarzy i to bardzo dobrze. Ktoś musiał dotrzeć do telewizji, a dokładniej, do ludzi tam pracujących. Powiedział im pewnie, że jeśli chcą uratować głowę i pracę, to czas zacząć się ustawiać w nowej rzeczywistości. Czy te kilka krótkich minut na antenie wystarczą, by prości ludzie

rozpoznali twarze z ekranu i zrozumieli, co się dzieje? Znalezienie odpowiedzi na te pytania mogło się okazać niebezpieczne.

Prostymi ludźmi się nie martwił. Przejmował się majorami, pułkownikami i generałami spoza listy. Niedługo się dowiedzą. Paru może już wie. Teraz pewnie dzwonią, żeby się dowiedzieć, co jest grane. Niektórym wystarczą kłamstwa. Inni zaczną myśleć i kontaktować się z pozostałymi. Przez następne dziesięć, dwanaście godzin będą podejmować trudne decyzje. To byli ludzie, którzy utożsamiali się z upadłym reżimem. Tacy, którzy nie mają dokąd uciekać, bo nie przygotowali kryjówek, ani pieniędzy za granicą, tacy, którzy musieli zostać. Ich powiązania ze starym reżimem mogły oznaczać dla nich wyrok śmierci, a dla wielu oznaczały na pewno. Inni mogli mieć szansę. Żeby ją mieć, będą musieli zrobić to, co robią przestępcy na całym świecie — zaoferować grubszą rybę zamiast siebie. Zawsze tak było. Dla pułkowników takimi rybami byli generałowie.

I wreszcie generałowie zrozumieli.

— *Boeing 737* czeka w pogotowiu. Wszyscy się w nim zmieścicie. Może tu być za półtorej godziny — oznajmił im.

— I nie zabijecie nas od razu w Teheranie? — zapytał zastępca szefa sztabu armii irackiej.

— Wolałby pan zginąć tu, na miejscu?

— A jeśli to pułapka?

— Zawsze istnieje ryzyko. Jeżeli tak będzie, to te pięć gwiazd telewizji zginie. — Pewnie, że nie. To musiałby zrobić ktoś lojalny wobec już nieżywych generałów. Taki rodzaj lojalności w tym kraju po prostu nie występuje i o tym wszyscy wiedzieli. Samo wzięcie zakładników było odruchem, który teraz, po tej migawce w telewizji, nie miał już żadnego znaczenia. Ktoś, kto do tego dopuścił, przekreślił wagę tej polisy ubezpieczeniowej. Kto? Ktoś z telewizji, czy raczej pułkownik, który miał ich pilnować? No proszę, a to miał być zaufany oficer wywiadu, lojalny sunnita, syn członka kierownictwa partii Baas. To może wskazywać, że i partia się wali. Szybko się to rozwijało. Mułlowie pewnie się nie kryli z charakterem ich wizyty. To już teraz bez znaczenia. Ich zabicie nic by nie zmieniło. Generałowie i tak zginą, a męczeńska śmierć irańskim duchownym nie przeszkadza — więcej, stanowi integralną część szyickiej tradycji.

Klamka zapadła. Generałowie wreszcie zdawali się to rozumieć. Do tej pory nic do nich nie docierało. Nic dziwnego, dawno by już nie żyli, gdyby było inaczej, bo ich Ukochany Przywódca nie lubił ludzi kompetentnych.

— Tak — powiedział w końcu najstarszy z nich.

— Dziękuję — Badrajn podniósł słuchawkę i wcisnął klawisz REDIAL.

* * *

Rozmiary, które przybrał kryzys konstytucyjny, w jakim znalazła się obecnie Ameryka, nie były oczywiste aż do wczoraj. Sprawa może się wydawać czysto techniczna, ale jej sedno na pewno nie jest drobnostką.

John Patrick Ryan jest na pewno człowiekiem zdolnym, jednak to, czy posiada cechy predestynujące go do roli prezydenta Stanów Zjednoczonych, pozostaje ciągle sprawą nie rozstrzygniętą. Jego pierwsze posunięcia raczej nie napawają optymizmem. Służba w rządzie to nie zajęcie dla amatorów. Nasz kraj już nie raz odwoływał się do takich ludzi w potrzebie, ale

zawsze byli oni wtedy w mniejszości i mogli dorastać do odpowiedzialnych stanowisk w naturalny sposób.

Do niedawna, trzeba to przyznać, pan Ryan we właściwy i odpowiedzialny sposób dokonywał trudnej pracy stabilizacji rządu. Jego tymczasowa nominacja Daniela Murraya na stanowisko dyrektora FBI wydaje się być wyśmienitym pociągnięciem, podobnie wybór George'a Winstona na tymczasowo pełniącego obowiązki sekretarza skarbu, zdaje się odpowiedni, choć pan Winston nie ma doświadczenia w polityce. Scott Adler, wieloletni, bardzo utalentowany urzędnik służby zagranicznej, zdaje się być najjaśniejszym punktem obecnej administracji. . .

Ryan przerwał czytanie i ominął dwa akapity.

Wiceprezydent Edward Kealty, choć może mieć wady, zna się przynajmniej na rządzeniu, a jego kompromisowe poglądy na wiele najważniejszych dla narodu spraw zapewniają stabilny kurs rządów do czasu wybo-

rów, które pozwolą wybrać nową administrację. Czy jednak jego twierdzenia są prawdziwe?

— A kogo to obchodzi? — zapytał Ryan, opuszczając kartkę z przefaksovanym tekstem jutrzejszego wstępniaka „New York Timesa”.

— Oni znają Eda, a ciebie nie — odparł Arnie. Chciał coś jeszcze dodać, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon.

— Tak?

— Pan Foley do pana, panie prezydencie. Mówi, że to ważne.

— Proszę łączyć. Ed? Czekaj, dam cię na głośnik. Arnie słucha razem ze mną — powiedział, wciskając guzik głośnika i odkładając słuchawkę.

— To już pewne. Iran wchodzi do gry. Mam dla ciebie materiał telewizyjny.

— Dawaj. — Jack wiedział, co trzeba robić. W tym i wielu innych biurach stały telewizory, podłączone do bezpiecznej sieci kablowej, łączącej je z Pentagonem, Langley i wieloma innymi agentami rządu. Wyjął z szuflady pilota i włączył telewizor. Materiał

trwał zaledwie piętnaście sekund, a potem został powtórzony i wreszcie zatrzymany na stopklatce.

— Co to za jedni? — zapytał Jack.

Foley odczytał nazwiska. Dwa były Jackowi znajome.

— To wszystko doradcy Darjaeiego, średni i najwyższy szczebel. Są w Bagdadzie i ktoś postanowił dać o tym znać światu. Wiemy, że generałowie wylatują z Bagdadu. A teraz pięciu mułłów omawia remont meczetu w państwowej telewizji.

— Mamy cokolwiek od ludzi stamtąd?

— Nic a nic — przyznał się Ed. — Omawiałem z szefem palcówki w Rijadzie sprawę wysłania tam kogoś na rozmowę, ale to zajmie tyle czasu, że w Iraku nie będzie już z kim gadać.

* * *

— O, ten już jakiś większy — zauważył oficer na pokładzie *AWACS-a*. Odczytał numery transpondera. — Panie pułkowniku — powiedział po przełączeniu się na linię dowódcy. — Mam na ekranie *Boeinga 737* w locie czarterowym z Mehrabadu do

Bagdadu, kurs dwa-dwa-zero, prędkość siedem-dwa-zero kilometrów na godzinę, pułap 6.700 metrów. Palma melduje kodowaną łączność z Bagdadem na jego częstotliwości.

Z tyłu maszyny dowódca zmiany sprawdził odczyty na swoim ekranie, przestawił swoje radio na odpowiednią częstotliwość i wywołał King Chalid.

* * *

Reszta przybyła razem. Powinni jeszcze trochę poczekać, pomyślał Badrajn.

Zabawnie było teraz patrzeć na tych panów życia i śmierci. Jeszcze tydzień temu wszędzie by się pchali, pewni swej władzy i zajmowanego miejsca, z piersiami pokrytymi baretkami orderów za bohaterską służbę tego czy innego rodzaju. To było niesprawiedliwe. Wielu z nich rzeczywiście prowadziło żołnierzy do boju, jeden, czy paru nawet osobiście zabiło jakiegoś wroga. Irańczyka. Jednego z tych, którym dziś zawierzyli, bojąc się własnych rodaków. I stali teraz w małych grupkach, nie wierząc nawet własnym gorylom. Zwłaszcza im. Byli blisko i mieli broń, a gdyby ochronie można było ufać, to nie wpakowaliby się w tę kabałę.

Nawet obawa o własne życie nie mogła stłumić w Badrajnie rozbawienia na ich widok. Całe dorosłe życie spędził szykując taki właśnie moment. Od bardzo dawna marzył, że kiedyś zobaczy takie sceny na lotnisku w Tel Awiwie, oficjeli porzucających swoich ludzi na niepewny los, zmuszonych do ucieczki w wyniku jego. . . Nie było w tej ironii losu nic zabawnego. Trzydzieści lat walki i wszystko, co osiągnął, to obalenie arabskiego państwa? Swojej ojczyzny w dodatku? A Izrael? Stoi, jak stał, i Ameryka nadal go popiera. Wszystko, czego dokonał, to drobne przetasowanie nad Zatoką Perską.

Iraccy generałowie mieli przed sobą przynajmniej życie w luksusie i pieniądze. Przed nim nie rysowała się żadna przyszłość. Badrajn zaklął i opadł na oparcie fotela w chwili, gdy na pasie ukazał się jakiś ciemniejszy kształt. Ochroniarz pilnujący drzwi z ożywieniem gestykułował, pokazując go reszcie zebranych. Dwie minuty później *Boeing 737* pokazał się ponownie. Nie trzeba go było tankować, więc tylko w kierunku samolotu potoczyły się schody na ciężarówce. Dotarły na miejsce, jeszcze zanim otworzono drzwi, i generałowie, ich żony, dzieci, kochanki oraz ochroniarze wybiegli z poczekalni w zimną mżawkę. Badrajn wyszedł ostatni, ale i tak musiał zaczekać. Irakijczycy stłoczyli się u dołu schodów, zbijając się w skłębioną masę ludzką, i zapo-

mnieli o wszelkiej godności, łokciami torując sobie drogę do maszyny. Na górze witał ich umundurowany steward, uśmiechający się sztucznie do ludzi, których miał wszelkie powody nienawidzić. Ali poczekał, aż tłum się przewali, a potem ruszył w górę schodami. Na podeście przed drzwiami obrócił się i rozejrzał. Nie dostrzegł żadnego powodu do paniki. Żadnych ciężarówek z żołnierzami, nic. Jeszcze za godzinę też by pewnie zdążyli. W końcu się jednak pozbierają, ale wtedy zastaną tylko pusty dworzec lotniczy. Pokręcił głową i wszedł do samolotu. Steward zamknął za nim drzwi.

Kapitan otrzymał z wieży pozwolenie na kołowanie. Kontrolerzy wywoływali samoloty, przekazywali informacje, a skoro nie rozkazano inaczej, po prostu robili swoje. Odprowadzali wzrokiem samolot, który rozpędzał się po pasie, aż wreszcie oderwał się od ziemi i odleciał w mrok, który właśnie zapadał nad ich krajem.

19 — Recepty

— Dawno się nie widzieliśmy, panie Clark.

— Owszem, panie Holtzman, dawno. — Siedzieli znowu w tej samej łoży, pod samą ścianą z tyłu, tuż obok szafy grającej. Restauracja „U Estebana” była nadal miłym miejscem na rodzinną kolację przy Wisconsin Avenue i jak zwykle przy stolikach siedziało sporo pedagogów z pobliskiego Uniwersytetu Georgetown. Clark pamiętał jednak, że nie podawał reporterowi nazwiska.

— A gdzie pański przyjaciel?

— Pracuje dziś wieczorem. — Tak naprawdę Ding wyszedł wcześniej z pracy i pojechał do Yorktown, zabrać Patsy na kolację, ale to nie pismaka interes. I tak już wiedział za dużo. — Czym mogę panu służyć?

— Jak pan być może pamięta, zawarliśmy pewną umowę.

— Pamiętam doskonale. Również i to, że miała obowiązywać pięć lat. Te pięć lat jeszcze nie minęło.

— Czasy się zmieniają. — Holtzman otworzył menu. Lubił meksykańskie jedzenie, ale ostatnio meksykańskie jedzenie nie bardzo lubiło jego.

— Umowa to umowa. — Clark nie patrzył w menu, ale na wprost, przez stół. Większość ludzi miała problemy z wytrzymaniem jego spojrzenia.

— I tak się już wydało. Katierina zaręczyła się z jakimś forsystym paniczkiem z Winchester.

— Nie wiedziałem — przyznał się Clark. Zresztą wcale go to nie obchodziło.

— Nie spodziewałem się, żeby pan wiedział. Nie jest pan już oficerem do zadań specjalnych. Nie tęskno panu czasem za robotą w terenie?

— Jeżeli o tym chce pan rozmawiać, to wie pan, że nie mogę. . .

— Tym bardziej żałuję. Cieszy się pan znakomitą reputacją, a słuchy niosą, że pana młody przyjaciel niewiele panu ustępuje. A ten wasz japoński numer. . . — z zachwytem ciągnął dziennikarz.

— Bo to przecież pan uratował premiera Kogę.

Clark żałował, że nie jest bazyliszkiem.

— Skąd panu to przyszło do głowy?

— Rozmawiałem z Kogą w czasie jego wizyty. Mówił, że zespół był dwuosobowy. Duży facet i mały facet. Ten duży miał niebieskie oczy, o intensywnym spojrzeniu, twarde, ale mówił rozsądnie. Czy długo musiałem kombinować, żeby kogoś pod to podstawić? — Holtzman uśmiechnął się. — Ostatnim razem mówił mi pan, że byłby ze mnie niezły szpieg. — Pojawił się kelner z dwoma piwami. — Pił pan to już kiedyś? Duma Marylandu, mały lokalny browar na Wschodnim Wybrzeżu.

Gdy kelner odszedł, Clark pochylił się nad stołem.

— Słuchaj pan, szanuję pana zdolności, a zwłaszcza to, że kiedy się ostatnim razem umawialiśmy, dotrzymał pan słowa, ale chciałbym, żeby pan pamiętał, że kiedy idziemy w teren, nasze życie zależy od. . .

— Nigdy nie ujawnię waszych nazwisk. Takich rzeczy się nie robi. Z trzech powodów. Bo to nie w porządku, bo to wbrew prawu, a przede wszystkim, bo komuś takiemu jak pan nie opłaca się stawać na odcisk. — Holtzman zamoczył wargi w kuflu. — Któręś pięknego dnia bardzo chętnie napiszę o panu książkę. Jeżeli choć połowa tych historii, które o panu słyszałem jest prawdziwa, to. . .

— Dobra, zrób pan z tego film. Tylko w roli głównej ma występować Val Kilmer.

— E, nie — Holtzman pokręcił głową. — Za ładny chłopczyk. Nick Cage ma lepsze spojrzenie. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. . . — Przerwał na chwilę. — To Ryan wyciągnął stamtąd jej ojca, tylko dalej nie wiem jak. Pan wydostał z plaży Katierinę i jej matkę, zawiózł ją pan na okręt podwodny. Nie wiem który, ale na pewno jeden z naszych. Ale ja nie o tym. . .

— To w końcu o czym?

— Ryan, tak jak pan, to typ cichego bohatera. — Holtzman ucieszył się widząc zaskoczenie w oczach Clarka. — Podoba mi się ten facet. Chciałbym mu pomóc.

— Dlaczego? — zapytał Clark, zastanawiając się, czy można mu ufać.

— Moja żona, Libby, zbierała materiały na Kealty’ego. Za wcześniej to opublikowała i teraz temat jest spalony. To skurwysyn, nawet jak na kryteria Waszyngtonu. Nie wszyscy w branży podzielają ten pogląd, ale Libby rozmawiała z kilkoma jego ofiarami. Kiedyś facetowi takie rzeczy mogły uchodzić na sucho, zwłaszcza takiemu, który prowadzi „poprawną” politykę. Teraz już nie, a w każdym razie nie powinno mu się to udawać. Co do Ryana, też nie do końca jestem przekonany, czy to aby najlepszy kandydat na prezydenta, ale przynajmniej jest uczciwy. Jak mówił Roger Durling, to dobry człowiek na niepogodę. Chciałbym ten pogląd sprzedać moim wydawcom.

— W jaki sposób?

— Chcę napisać artykuł o tym, jak zrobił coś ważnego dla kraju. Coś na tyle dawno, że już nie śmierdzi, a na tyle niedawno, że ludzie jeszcze pamiętają o sprawie. Jezu, Clark! Przecież ten facet uratował Rosję! Zapobiegł wewnętrznym rozgrywkom, które mogły przedłużyć zimną wojnę o co najmniej dekadę. To jest cholerna zasługa, a nikt nie ma o tym zielonego pojęcia, bo Ryan nigdy nikomu nawet nie pisał słówkiem. Oczywiście, wyraźnie napiszemy, że to nie Ryan puścił tę wiadomość. Możemy nawet

z tym pójsć do niego przed puszczeniem materiału do druku i doskonale wiesz, co nam odpowie. . .

— Żeby tego nie drukować — zgodził się Clark. Z kim rozmawiał Holtzman? Skąd ma te wiadomości? Sędzia Arthur Moore? Bob Ritter? Czy oni by to puścili? Normalnie pewnie by go pogonili do diabła, ale teraz? Teraz nie był pewien. Wystarczy wznieść się na odpowiednio wysoki szczebel i ludzie zaczynają uważać rozprowadanie tajemnic za wyższą formę służby krajowi.

— Ależ to jest zbyt dobra historia, by jej nie opublikować. Całe lata zbierałem do tego materiał. Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, jaki człowiek siedzi w Gabinetcie Ovalnym, zwłaszcza jeśli to właściwy człowiek na właściwym miejscu. — Holtzman należał do ludzi, którzy rabina przekonaliby o zaletach szynki.

— Bob, nie wiesz nawet połowy — powiedział Clark, zanim ugryzł się w język. To była głęboka woda, a on próbował w niej pływać w pasie z ciężarkami. A zresztą. . . — Dobra, powiedz mi co już wiesz na temat Jacka.

* * *

Zgodzono się na to, że użyją tego samego samolotu i, ku uldze obu stron, nie pozostaną w Iranie ani minuty dłużej, niż to konieczne. Problem w tym, że 737 nie miał takiego zasięgu, jak znacznie mniejszy *Gulfstream*, ale postanowiono, że zatankują w Jemenie. Irakijczycy nawet nie zeszli na ziemię w Mehrabadzie, ale gdy podjechały schodki, Badrajn wysiadł, bez słowa nawet podziękowania ze strony tych, którym uratował życie. Samochód już czekał. Nie obejrzał się. Generałowie byli dla niego przeszłością, tak jak on dla nich.

Samochód zawiózł go do miasta. Oprócz niego w samochodzie był tylko kierowca, któremu nie śpieszyło się zanadto. Ruch nie był bardzo intensywny o tej porze i czterdzieści minut później samochód zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem. Wokół widać było wartowników. A więc, pomyślał Badrajn, teraz mieszka w Teheranie? Wysiadł z samochodu. Umundurowany strażnik porównał jego zdjęcie z twarzą i gestem zaprosił go do drzwi. Wewnątrz kolejny wartownik, tym razem kapitan, sądząc z trzech

guzów na naramienniku, grzecznie go zrewidował. Poszli na górę, do sali konferencyjnej. Była trzecia w nocy czasu miejscowego.

Darjaei siedział w wygodnym fotelu, czytając jakieś papiery, spięte w rogu spinaczem. O dziwo, dokument a nie Koran. Zresztą, ten ostatni studiuje już tak długo, że chyba zdążył się go nauczyć na pamięć.

— Pokój z tobą, wasza świątobliwość — powitał go Ali.

— I z tobą pokój — odpowiedział Darjaei. Nie była to odpowiedź machinalna, której spodziewał się Ali. Stary człowiek podniósł się z fotela i podszedł do gościa z szeroko rozłożonymi ramionami. Jego twarz była o wiele bardziej rozluźniona, niż oczekiwał. Na pewno był zmęczony, to był dla niego długi i ciężki dzień, w dodatku nie pierwszy, ale wydarzenia ostatnich dni wyraźnie dodawały mu sił. — Wszystko w porządku? — zapytał troskliwie, wskazując krzesło.

Ali westchnął, zanim usiadł.

— Teraz już wszystko w porządku. Ale tam, w Bagdadzie, zastanawiałem się, jak długo jeszcze uda mi się zachować kontrolę nad sytuacją.

— Niezgoda rujnuje. Moi przyjaciele mówili mi, że stary meczet wymaga remontu.

Badrajn mógł o tym nie wiedzieć — i nie wiedział — ale to dlatego, że już od bardzo dawna nie oglądał żadnego meczetu od środka, co jak przypuszczał, nie zyska mu zbyt wiele sympatii ze strony Darjaeiego.

— Wiele trzeba będzie zrobić — odpowiedział ostrożnie.

— O, tak, wiele. — Darjaei wrócił na swój fotel, odkładając na bok papiery. — Twoja pomoc była bardzo cenna. Czy napotkałeś wielkie trudności?

Badrajn pokręcił głową.

— Nie, naprawdę żadnych. Propozycja była bardzo wspaniałomyślna, a generałowie nie mieli innego wyjścia. Czy oni zostaną...? — pozwolił sobie zapytać, ale nie miał odwagi dokończyć.

— Nie. Niech odejdą w pokoju.

To go zaskoczyło, ale zachował pokerową twarz. Darjaei nie miał żadnego powodu, by oszczędzić tych ludzi. Wszyscy uratowani oficerowie iraccy kierowali wojną z Iranem i odpowiadali za śmierć i kalectwo dziesiątków tysięcy. Ta rana wciąż była świeża. Utrata tych tysięcy młodych ludzi była jednym z powodów, dla których Iran wciąż nie

odgrywał na świecie takiej roli, do której go predestynowały warunki naturalne. Ale to się wkrótce zmieni, prawda?

— Czy mogę spytać, co będzie dalej?

— Irak tak długo cierpiał, odseparowany od prawdziwej wiary, błądzący w ciemności.

— I duszony przez embargo — dodał Badrajn, ciekawy jaką reakcję wywoła ta uwaga.

— Czas już na położenie mu kresu — zgodził się Darjaei. Coś, co Ali zobaczył w jego oczach, było dla niego nagrodą za zadanie tego pytania. To było jasne. Trochę mydła w oczy Zachodowi, by zniósł sankcje. Żywność zaleje kraj i ludność pokocha nową władzę. No i Allacha. Darjaei był jednym z tych, którzy wierzyli, że ich polityką kieruje Allah. Badrajn już dawno wyzbył się tych mrzonek.

— Z Ameryką będzie problem. I z innymi, nieco bliżej.

— Rozważamy te zagadnienia.

To miało sens. Pewnie od lat obmyślał ten ruch i w chwili takiej, jak ta, musiał się czuć niepokonany. Darjaei zawsze uważał, że Allah stoi po jego stronie, czy ra-

czej u jego boku. Może i tak było, ale tu chodzi nie tylko o to. Tak musiało być, gdy się bardzo pragnie sukcesu. Najlepsze rezultaty przynoszą cuda poprzedzone długimi przygotowaniem. A może sprawdzić, czy dałoby się wziąć udział w kolejnym cudzie?

— Przyglądałem się temu nowemu przywódcy amerykańskiemu.

— Tak? — Oczy Darjaeiego skupiły się na rozmówcy.

— To nie było trudne, w dzisiejszych czasach zbieranie wiadomości to fraszka. Amerykańskie środki masowego przekazu publikują tyle materiału, że wystarczy tylko poskładać to do kupy. W tej chwili kilku moich ludzi przygotowuje dokładne dossier. — Badrajn starał się mówić spokojnym głosem. Brzmiała w nim nie twardość, tylko potworne zmęczenie. — To zastanawiające, jak podatni są teraz na ciosy.

— Doprawdy? Opowiedz mi więcej.

— W tej chwili kluczem do Ameryki jest ten Ryan. Czyż to nie oczywiste?

* * *

— Kluczem do zmian w Ameryce jest zwołanie konstytuandy — powiedział wreszcie po długich dniach namysłu Ernie Brown. Pete Holbrook zmieniał pilotem slajdy.

Zużył trzy rolki filmu na ruiny Kapitolu i jeszcze kilka na okoliczne budynki w rodzaju Białego Domu, którego, udając turystę, nie mógł przecież pominąć. Zaklął widząc, że jeden ze slajdów został włożony do magazynka do góry nogami. Brown tak długo się namyślał, a do tak oczywistego wniosku doszedł.

— Dawno już to mówiłem — powiedział, wyciągając magazynek z rzutnika. — Tylko jak chcesz...?

— Ich do tego zmusić? To proste. Jak nie będzie prezydenta i konstytucja nie mówi nic o tym, skąd go wziąć, to coś się musi ruszyć, nie?

— Zabić prezydenta, powiadasz? — ironicznie zapytał Pete. — Faktycznie, drobnotka. A którego, jeśli wolno zapytać?

To był rzeczywiście problem. Nie trzeba być konstruktorem rakiet, żeby się domyślić, że jeżeli zabiją Ryana, to Kealty go zastąpi. Jeśli zabiją Kealty'ego, to Ryanowi w to graj. Trudna sprawa. Obaj pamiętali środki bezpieczeństwa, widziane podczas wi-

zyty w Białym Domu. Któręgokolwiek zabiją, esesmani⁶ natychmiast otoczą drugiego takim murem, że potrzeba by bomby atomowej, żeby dokończyć dzieła. A oni nie mieli takich zabawek. Woleli klasyczną amerykańską broń — karabin. Z tym też kłopot. Południowy Trawnik przed Białym Domem był gęsto obsadzony drzewami i przegrodzony bardzo sprytnie zakamuflowanymi wśród drzew skarpami. Widok na Biały Dom był tylko od strony fontanny. Okoliczne budynki należą do agend rządu federalnego i na dachach pewnie roi się od ludzi z lornetkami i bronią. O tak, esesmani byli dobrzy w odgradzaniu narodu od ich prezydenta, sługi ludu, którego goryle wyraźnie nie ufali ludowi. Bo przecież gdyby w tym domu mieszkał naprawdę ktoś z ludu, a nie z kasty rządzącej, to te wszystkie zabezpieczenia byłyby niepotrzebne. Teddy Roosevelt nie potrzebował esesmanów, drzwi do Białego Domu były zawsze otwarte i jego gospodarz sam wychodził do ludzi, uścisnąć im rękę. Nie ma mowy, żeby teraz znów coś takiego się zdarzyło.

⁶Esesmani — pogardliwe określenie agentów Tajnej Służby, popularne wśród ekstremistycznych ruchów anarchistycznych w Ameryce. Wzięło się od skrótu angielskiej nazwy Tajnej Służby — Secret Service, SS (przyp. tłum.).

— Obu naraz. Ryan będzie trudniejszym celem, nie? Siedzi tam, gdzie jest najlepsza obrona. Kealty porusza się po mieście, gada z tymi wypierdkami z gazet i tak dalej, więc nie jest tak ściśle chroniony. — Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. — Łatwo to będzie skoordynować.

— Mów dalej.

— Trzeba będzie rozpoznać jego rozkład dnia i wybrać odpowiedni moment.

— Drogo nas to wyniesie — zauważył Holbrook, zmieniając kolejny slajd. Przedstawiał on widok fotografowany codziennie przez tysiące ludzi: z maleńkiego okna na samym szczycie Pomnika Waszyngtona, w dół na Biały Dom. Ernie Brown też zrobił to zdjęcie, a potem zamówił u fotografa powiększenie dużego formatu. Przyglądał mu się godzinami. Kupił mapę i sprawdził na niej skalę, a potem robił wstępne przymiarki.

— Największe koszty to cena betoniarki i wynajęcie miejsca niezbyt daleko od centrum.

— Co?

— Wiem gdzie, Pete. I wiem jak. Teraz to już tylko kwestia wyboru terminu.

* * *

Do rana nie dociągnie, uznał Moudi. Jej oczy były szeroko otwarte, ale nikt nie wiedział, czy cokolwiek widziała. Widywał już kiedyś ludzi w tym stanie, głównie chorych na raka i zawsze był to zwiastun bliskiej śmierci. Za mało znał się na neurochirurgii, by do końca zrozumieć przyczyny. Może to przeładowanie synaps, którymi wędrowały impulsy elektrochemiczne, a może ustanie jakiejś funkcji mózgu. Organizm już zdawał sobie sprawę z tego, że walka jest przegrana i po prostu wyłączał sygnał alarmowy — ból. A może to tylko jego wyobraźnia? Może uszkodzenia ciała były zbyt rozległe, by na cokolwiek reagowała. Krwotoki do wnętrza gałek oślepiły ją. Żyły były już tak zniszczone, że kroplówka wypadła i teraz otwór po igle był jeszcze jednym miejscem, przez które uciekała krew. Tylko kroplówka z morfiną, której kateter przyklejony był plasterem, pozostała na miejscu. Serce z coraz większym trudem pompowało resztkę krwi, która jeszcze w niej została.

Siostra Jeanne Baptiste wydawała jakieś odgłosy, czasem głośniejsze pomruki, które trudno było rozpoznać, gdyż przez kombinezon ledwie je było słycać, ale w swojej

regularności przypominały mu one modlitwy. I może rzeczywiście nimi były. Wprawdzie utraciła poczytalność, ale być może umysł, nawykły do dyscypliny długich godzin modlitwy, wrócił do nich, nie mogąc znaleźć sobie innego zajęcia. Nagle zakrztusiła się, a po chwili usłyszał jakieś głośniejsze pomruki. Nachylił się i słuchał.

— ... módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę. . .

— Nie walcz już, siostrze — powiedział do niej Moudi. — To już twój czas. Już nie walcz.

Oczy poruszyły się. Wprawdzie nic nie widziały, ale mechaniczny nawyk podążania gałek ocznych za źródłem głosu pozostał.

— Doktor Moudi? Jest pan tu? — usłyszał powolne, trochę niewyraźne, ale przecież zrozumiałe słowa.

— Tak, siostrze. Jestem tu. — Odruchowo ujął jej dłoń. Boże, czyżby ona była przytomna?

— Dziękuję za pomoc. . . Będę się. . . modliła za pana.

Będzie. Wiedział o tym. Raz jeszcze poklepał jej dłoń, a potem sięgnął do zaworu kroplówki z morfiną i odkręcił go do końca. Dosyć tego. I tak już nie można przez nią

przepuścić więcej krwi, by zakazić ją wirusami. Rozejrzał się po pokoju. Obaj sanitariusze siedzieli w rogu, zadowoleni z tego, że doktor sam się zajmuje pacjentką. Podeszedł do nich.

— Zawołaj dyrektora. No, ruszaj się.

— Tak jest. — Sanitariuszowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Był szczęśliwy, że choć na chwilę może się wyrwać z tego piekła.

Moudi odczekał dziesięć sekund od wyjścia pierwszego sanitariusza.

— Przynieś świeże rękawice — powiedział, podnosząc ręce. Sanitariusz wyszedł. Moudi miał najwyżej minutę.

Na nerce z boku leżało wszystko, czego potrzebował. Wyjął z opakowania dwudziestocentymetrową strzykawkę, założył na nią igłę i wbił w butelkę z morfiną. Odciągnął tłok, w końcu napełniając strzykawkę całkowicie. Wrócił do pacjentki, podniósł plastikową płachtę i poszukał odpowiedniego miejsca. Tu. Z tyłu lewej ręki była jeszcze nie całkiem rozlana żyła. Wbił w nią igłę i wcisnął tłoczek strzykawki aż do dna.

— Śpij, sestro — powiedział, odchodząc. Nie sprawdzał, czy zareagowała na te słowa. Szybko wyrzucił strzykawkę do pojemnika na „gorące” odpady. Ledwie opadła pokrywa pojemnika, gdy do sali wrócił sanitariusz wysłany po rękawiczki.

— Proszę.

Moudi kiwnął głową i ściągnął wierzchnie rękawiczki lateksowe, założone na rękawice kombinezonu. Wrócił do łóżka i popatrzył jak niegdyś niebieskie oczy zakonnicy zamykają się po raz ostatni. Ekran EKG pokazywał znaczne przyśpieszenie akcji serca, linie na wykresie były nieregularne, o znacznie niższej amplitudzie niż powinny. To już tylko kwestia czasu. Teraz pewnie modliła się we śnie. Wreszcie był pewien, że nie czuła bólu. Nawet w tak osłabionym układzie krwionośnym dawka morfiny wielokrotnie przekraczająca śmiertelną musiała już docierać do mózgu, molekuly narkotyku blokują receptory i uwalniają dopaminę, która mówi organizmowi, że to już koniec.

Jej klatka piersiowa wznosiła się w płytkim, ale kosztującym ją wiele energii oddechu. W pewnej chwili oddech zatrzymał się, jak przy czkawce, ale po chwili powrócił. Był teraz nieregularny i przez to dopływ tlenu do krwi został znacznie ograniczony. Akcja serca jeszcze przyśpieszyła. I wtedy oddech ustał. Serce nie zatrzymało się od razu.

Musiało być bardzo mocne, waleczne, ze smutkiem pomyślał lekarz, podziwiając ten upór ze strony głównego organu martwego przecież już ciała. Wiedział, że to już nie-
długo. Wkrótce i ekran EKG zamarł, prosta linia wywołała sygnał alarmowy. Nikt i tak
nie miał zamiaru przeprowadzać reanimacji, więc Moudi sięgnął do aparatu i wyłączył
go. Zauważył grymas ulgi na twarzach sanitariuszy.

— Już? — zapytał dyrektor, wchodząc do sali i widząc płaską linię na EKG.

— Serce. Wewnętrzny krwotok. — Nic więcej nie musiał mówić.

— Widzę. A więc jesteśmy gotowi?

— Zgadza się.

Dyrektor machnął do sanitariuszy, którym pozostało jeszcze jedno zadanie do wyko-
nania. Jeden z nich podwinął plastikową płachtę, na której leżała, by nic nie skapnęło na
podłogę. Inny odłączył ostatnią kroplówkę i elektrody EKG. Szybko się z tym uwinęli,
i kiedy ich była pacjentka została już zawinięta w plastik, jak połówka żywca w rzeź-
ni, zwolnili hamulce na kółkach łóżka i wytoczyli je poza salę. Potem mieli wrócić
i gruntownie zdezynfekować salę. Nikt po nich nie będzie musiał sprawdzać. Dosyć się
napatrzyli, by dopilnować, żeby nic nie przeżyło na podłodze, ścianach i suficie.

Moudi i dyrektor szli za łóżkiem do kostnicy, która również mieściła się w zamkniętej części ośrodka. Na środku pomieszczenia stały dwa stoły sekcyjne z wypolerowanej stali nierdzewnej. Dojechali łóżkiem do stołu, odsłonili ciało i przetoczyli na stół, kładąc twarzą w dół. Lekarze zakładali w rogu fartuchy sekcyjne na kombinezony. Było to właściwie bardziej kwestią nawyku niż potrzeby. W porównaniu z kombinezonym fartuch był żadnym zabezpieczeniem, a po sekcji i tak jeden i drugi pójdzie do spalania. Sanitariusze złożyli płachtę i zlali z niej do pojemnika około pół litra krwi. Płachta powędrowała do pojemnika na „gorące” odpady, który natychmiast wyniesiono do spalania. Wszystkie czynności wykonywali w nerwowym pośpiechu, ale wyglądało na to, że nie uronili nigdzie ani kropli.

— Bardzo dobrze — pochwalił dyrektor i nacisnął przycisk, podnosząc koniec stołu, na którym leżały jej nogi. Z nawyku przycisnął palcem tętnice szyjne, najpierw lewą, potem prawą, upewniając się, że pacjentka na pewno nie żyje. Kiedy stół nachylił się pod kątem około dwudziestu stopni, wziął z tacy duży skalpel sekcyjny i przeciął obie tętnice, razem z okolicznymi żyłami. Krew, która napłynęła pod wpływem siły ciężkości, chlusnęła na wklęsły blat, a stamtąd kanalikami do pojemnika podwieszono na

końcu stołu. W ciągu kilku minut spłynęło do niego, według skali na pojemniku, niecałe cztery litry krwi. Ciało bardzo szybko zmieniało barwę. Jeszcze chwilę przedtem było całe pokryte czerwonymi i fioletowymi plamami, a teraz bladło w oczach. Technik laboratoryjny zabrał pojemnik z krwią i ostrożnie umieścił go na specjalnym wózku. Nikt nie chciał czegoś takiego nosić, nawet tylko za ścianę, gdzie mieściło się laboratorium.

— Jeszcze nigdy nie robiłem sekcji choremu na ebola — zwierzył się dyrektor. Zresztą to właściwie nie była sekcja. Przyczyna śmierci była oczywista, a sposób, w jaki dyrektor ją wykrwawił, zdradzał, że ma do niej równie wiele uczuć ludzkich, co do jagnięcia zarzynanego podczas Ramadanu.

Nadal jednak zachowywał daleko posuniętą ostrożność. W takim przypadku w polu operacyjnym mogła być tylko jedna para rąk, bo konsekwencje przypadkowego zranienia byłyby straszliwe. Moudi patrzył z boku, jak dyrektor wykonuje zamaszyste, brutalnie skuteczne cięcia i stalowymi hakami podnosi skórę wraz z przeciętymi mięśniami na plecach, tak jak się otwiera klapkę w plecach mówiącej lalki, by jej wymienić baterie. Moudi przejął haki, cały czas śledząc wzrokiem rękę dyrektora ze skalpelem. Po minucie dyrektor odsłonił lewą nerkę. Zaczekali na powrót sanitariuszy. Jeden z nich ustawił

na stole stalową tacę, a dyrektor odciął nerkę i zaczął ją przekładać na nią. Widok był przerażający. Efektem choroby wywoływanej wirusem ebola był rozkład, a właściwie rozpad, tkanek. Nerka była na wpół płynna, a kiedy dyrektor po odcięciu żył i przewodów moczowych zaczął ją wyciągać, pękła na dwie części i rozlała się jak jakiś przerażający czerwono-brązowy pudding. Dyrektor zaklął pod nosem, rozdrażniony swoją nieostrożnością. Przecież powinien się tego spodziewać, a jednak zapomniał.

— Straszne, co ten wirus robi z tkankami, prawda?

— Z wątrobą będzie to samo, a śledziona. . .

— Tak, wiem. Twarda jak cegła. Uważaj na ręce, Moudi — przypomniał. Wziął z tacy przyrząd wyglądający jak chochla i zaczął wybierać szczątki nerki z jamy ciała. Kiedy skończył, sanitariusz zabrał tacę i zaniósł ją do laboratorium. Nauczony doświadczeniem dyrektor obchodził się z prawą znacznie ostrożniej. Po odcięciu żył, na prośbę dyrektora obaj lekarze wzięli ją w ręce i udało im się wyjąć ją całą. Pękła dopiero na tacy, zalewając ją. Przynajmniej dobrze, że była za miękka, by uszkodzić podwójne rękawice. Co nie znaczy, że się tego przy każdym ruchu nie obawiali.

— Chodź tu który! — zawołał dyrektor na sanitariuszy. — Obróćcie ją.

Sanitariusze podeszli, jeden wziął ciało za ramiona, drugi za kolana i, jak najszybciej zdołali, obrócili ciało na plecy. Krew i szczątki tkanek rozprysnęły się przy tym i zabrudziły ich kombinezony. Sanitariusze odskoczyli, jak oparzeni.

— Jeszcze tylko wątroba i śledziona — powiedział dyrektor. — Jak skończymy, owińcie ciało w plastik i wynieście do spalenia. Potem zdezynfekować salę.

Otwarte oczy siostry Jeanne Baptiste były równie pozbawione wyrazu, jak pół godziny wcześniej. Moudi zakrył jej twarz kawałkiem plastiku i wyszeptał modlitwę.

— Tak, Moudi, ona już jest w raju. Może byśmy się tak wzięli do roboty? — zapytał niecierpliwie dyrektor. Wziął znowu skalpel numer 22 i wykonał klasyczne cięcie sekcyjne w kształcie litery Y, rozcinając krtań i rozkładając płaty skóry na boki równie bezceremonialnie, co na plecach. Przypominał teraz bardziej rzeźnika, niż chirurga. Ale widok, jaki się przed nimi odsłonił, przeraził nawet jego. — Jak ona z tym mogła żyć tak długo? — wymamrotał.

Moudi przypomniał sobie naukę anatomii z pierwszego roku medycyny i zajęcia w sali, gdzie, zanim poszli do prosektorium, oglądali narządy wewnętrzne na plastikowym modelu. To wyglądało tak, jakby ktoś wziął wiadro rozpuszczalnika i chlusnął do

środku. Nie było organu, który by nie ucierpiał. Powłoki zewnętrzne wszystkich zostały... po prostu rozpuszczone. Jama brzuszna wypełniona była czarną krwią. Z tej całej krwi, którą w nią włali, wyciekło niewiele więcej niż połowa. Zadziwiające.

— Ssak! — zażądał dyrektor, który już otrząsnął się z pierwszego szoku.

Sanitariusz podszedł z boku z plastikową rurą, podłączoną węzłem do pojemnika próżniowego. Dźwięk był obrzydliwy. Operacja oczyszczania jamy brzusznej trwała całe dziesięć minut. Obaj lekarze stali obok i śledzili ruchy sanitariusza, który posługiwał się rurą jak pokojówka odkurzaczem. Do pojemnika powędrowało jeszcze trzy litry silnie zakażonej wirusem krwi.

Koran nauczał, że ciało ludzkie jest świątynią życia. A co oni z nią zrobili? Przekształcili ją w fabrykę śmierci. Dyrektor wrócił do stołu sekcyjnego i Moudi patrzył, jak ostrożnie odsłania wątrobę. Pewnie ta krew w jamie ciała tak na niego podziałała. Poprzecinał żyły, wyciął tkankę łączną. Dyrektor odłożył skalpel i ujął haki. Moudi sięgnął w głąb ciała, bardzo ostrożnie wyjął organ i położył go na kolejnej tacy.

— Ciekawe, dlaczego śledziona zachowuje się w tak odmienny sposób?

* * *

Na dole inny zespół żołnierzy również pracował. Klatki z małpami właśnie przenoszono z magazynu. Małpy były nakarmione, ale nadal w szoku po podróży, co trochę osłabiło ich zapał do drapania i gryzienia rąk w rękawicach. Panika wybuchała jednak na nowo, gdy tylko klatka wnoszona była do pomieszczenia obok. Trafiały tu w partiach po dziesięć. Gdy tylko drzwi za nimi szczelnie się zamykały, zwierzęta wiedziały, że to już koniec. Gdyby nawet nie wiedziały, to ubój przeprowadzano na oczach kolejnych ofiar. Jedna po drugiej trafiały na stół, jeden z żołnierzy otwierał drzwi klatek, a drugi wsadzał do środka kij, zakończony pętlą z drutu. Pętla zarzucana była na szyję małpy i zaciskana mocnym szarpnięciem, któremu zwykle towarzyszył chrupot łamanego karku. Zwierzę najpierw tężało, a potem bezwładnie zwieszało się z pętli, z reguły z otwartymi oczyma, w których jaśniało nieme oburzenie tym morderstwem. Ta sama pętla służyła teraz do wyciągnięcia ciała z klatki. Po jej zwolnieniu, żołnierz rzucał bezwładne truchło drugiemu, który wynosił je do kolejnego pomieszczenia. Czekające na swoją kolej ofiary wrzeszczały na swoich oprawców, ale klatki były za małe, by mogły

się w nich schować. Niektóre próbowały się bronić, wsadzając w pętlę ręce, ale osiągały tylko tyle, że oprócz karku łamała im ona także ramiona. Zwierzęta były na tyle inteligentne, że rozumiały zagrożenie, a niejedna z nich w życiu widziała z bliska geparda wspinającego się na ich drzewo, coraz wyżej i wyżej... Ich jedyną obroną mógł być wrzask, którego wielkie koty często po prostu nie wytrzymały i rezygnowały z hałaśliwej zdobyczy. Małpy zanosily się więc krzykiem, ale na żołnierzach nie robiło to większego wrażenia.

Za ścianą, przy pięciu stołach pracowało pięć zespołów oprawiających ciała małp. Zwłoki były unieruchamiane zaciskami za szyję i ogon. Potem jeden z sanitariuszy zakrzywionym skalpelem rozcinał je wzdłuż kręgosłupa, a drugi wykonywał cięcie prostopadłe i rozwierał skórę. Wtedy ten pierwszy wycinał nerki i wrzucał resztki małpy do wielkiej beczki na odpady, która potem wędrowała do spalania. Pierwszy zanosił nerki do specjalnego pojemnika, i zanim wrócił do stołu, drugi miał już na nim następną małpę. Przerobienie partii małp zajmowało im cztery minuty. W ciągu półtorej godziny wszystkie małpy były już martwe, bo komuś tam na górze bardzo się z jakiegoś powodu

śpieszyło. Zrobili swoje i przez otwory ze śluzami w ścianie podali pojemniki z nerkami do laboratorium.

Tam już nie dostrzegało się tego gorączkowego pośpiechu, który panował w rzeźni. Każdy człowiek, znajdujący się w pomieszczeniu nosił niebieskawy kombinezon ochronny, a ich ruchy były precyzyjnie odmierzone, celowe i powolne. W czasie długich szkoleń wbijano im w głowy wszelkie możliwe zagrożenia, wynikające z pośpiechu, a jeżeli nawet któryś z nich czegoś zapomniał, dyżur na górze, w tej przerażającej sali, w której umierała europejska zakonnica, działał cuda w zakresie przywrócenia pamięci. Jeżeli którykolwiek ruszał cokolwiek ze stołu, uprzedzał o tym innych, a ci natychmiast usuwali mu się z drogi.

Krew znajdowała się w podgrzewaczu, co chwila na powierzchni pękały pęcherzyki powietrza. Dwa wiadra z nerkami małą trafiły do zwykłej elektrycznej maszynki do mięsa, gdzie je dokładnie zmielono, a następnie wylano papkę na szalki, gdzie została zmieszana z płynnymi odżywkami. Na razie cały proces przypominał im przygotowywanie potraw na zapleczu restauracji. Teraz do szalek nalano obfite ilości krwi

z podgrzewacza, a i tak zostało jej jeszcze drugie tyle. Resztę rozlano do plastikowych pojemników i zamrożono w ciekłym azocie.

W laboratorium panowały upał i wilgoć, jak w tropikalnej dżungli. Światła były przygaszone i osłonięte filtrami, blokującymi i tak już szczątkowe promieniowanie ultrafioletowe świetlówek. Wirusy bardzo nie lubią ultrafioletu. Dla rozwoju potrzebują sprzyjających warunków i dużo pożywienia, a to zapewniała im papka z nerek małp, odpowiednia temperatura i właściwa wilgotność.

* * *

— Skąd dowiedziałeś się aż tyle? — zapytał Darjaei.

— Z gazet i telewizji — wyjaśnił Badrajn.

— Wszyscy dziennikarze to szpiedzy! — zaprotestował ajatollah.

— Wielu tak sądzi — zgodził się z uśmiechem Badrajn. — Ale nie są nimi tak naprawdę. Oni są... Kimś w rodzaju średniowiecznych heroldów. Widzą to, co widzą i o tym mówią. Nie są lojalni wobec nikogo. Tak, szpiegują, ale szpiegują wszystkich,

bez wyjątku, a najchętniej swoich. Zgadzam się, że to głupie, ale przez to jeszcze bardziej prawdziwe.

— Czy oni wierzą w cokolwiek? — Gospodarzowi trudno to było ogarnąć myślą. Jeszcze jeden uśmiech.

— W nic, co możnaby nazwać. To znaczy, Amerykanie są oddani sprawie Izraela, ale i to bez przesady. Wiele lat zajęły mi próby zrozumienia ich natury. Dziennikarze są jak psy, rzucają się na każdego i ugryzą każdą dłoń, choćby nie wiem jak je pieszcząca. Szukają, a kiedy znajdą, obwieszczają to każdemu. Dzięki temu zebrałem mnóstwo informacji o Ryaniu, o jego domu, rodzinie, szkołach, do których uczęszczają jego dzieci, znam nawet numer pokoju, w którym przyjmuje w szpitalu jego żona.

— A jeżeli część z tych informacji to podstęp? — podejrzliwie zapytał Darjaei. Sporo dowiedział się o naturze ludzi Zachodu przez lata obcowania z nimi, ale natura reporterów nadal pozostała dla niego zagadką.

— Bardzo łatwo je zweryfikować. Na przykład miejsce pracy jego żony. Przecież wśród załogi tego szpitala musi się znaleźć choć jeden muzułmanin, który może to sprawdzić. Po prostu trzeba kogoś takiego znaleźć i zadać mu kilka niewinnych pytań.

Co do domu, ten pewnie jest dobrze pilnowany, to samo z dziećmi. Dla takich ludzi to prawdziwy problem. Muszą mieć jakąś ochronę, żeby się bezpiecznie poruszać, ale ochronę widać z daleka i to od razu zdradza z kim mamy do czynienia. Na podstawie informacji, które zebrałem, wiem już nawet, gdzie należałoby zacząć poszukiwania. — Badrajn mówił prosto i zwięźle. Darjaei nie był głupi, on tylko trzymał się na uboczu i trzeba mu było niektóre rzeczy wyjaśniać, jedną z zalet tych wszystkich lat spędzonych w Libanie, było to, że z wieloma rzeczami Ali mógł się zetknąć i wielu nauczyć. Przede wszystkim nauczył się, że aby cokolwiek zrobić, trzeba mieć sponsora, a Mahmud Ha-dži Darjaei, jeżeli udałoby się go zainteresować planem, byłby sponsorem doskonałym. To był człowiek z wizją i potrzebował ludzi do jej realizacji, a z jakichś względów najwyraźniej nie ufał tym, których już miał. Badrajna nie interesowały powody.

— Czy tacy ludzie są dobrze chronieni? — spytał po chwili ajatollah, gładząc w zamyśleniu brodę.

— Bardzo dobrze — odparł Badrajn, notując w myśli, że to trochę dziwne pytanie. — Amerykańska policja jest bardzo sprawna. Ich problemy z przestępczością nie mają nic wspólnego z policją. Po prostu nie potrafią skutecznie obchodzić się ze zła-

panymi przestępcami. A co do prezydenta — Badrajn przerwał na chwilę, prostując plecy — to należy się liczyć, że będzie otoczony przez doskonale wyszkolony zespół znakomitych strzelców, ludzi silnie umotywowanych i całkowicie mu oddanych. — Ten ostatni ustęp Badrajn dodał, by wysondować rozmówcę. Darjaei był na tyle zmęczony, że dał się na to wziąć. — Oczywiście, ochrona, to tylko ochrona. Procedury są proste i chyba nie muszę ich wyjaśniać.

— Mówiłeś coś o podatności Ameryki na cios?

— Tak, jest znaczna. Ich rząd jest w rozsypce. Ale tego także nie muszę chyba wyjaśniać.

— Trudno ich zrozumieć, tych Amerykanów... — zamyślił się Darjaei.

— Ich siła militarna jest ogromna. Ich wola polityczna jest nieprzewidywalna, o czym na własnej skórze nie tak dawno przekonał się człowiek, z którym obaj mieliśmy do czynienia... Nie doceniać ich, to wielki błąd. Ameryka jest jak śpiący lew, należy go traktować ostrożnie i z szacunkiem.

— Ale jak pobić lwa?

Badrajn zamilkł na chwilę. Kiedyś, w Tanzanii, gdzie doradzał rządowi, jak zwalczać partyzantkę, pojechali na safari z pułkownikiem tanzańskiego wywiadu. Spotkali wtedy lwa, starego samca, któremu jednak udało się coś upolować. Może ta gazela była chora, któż to mógł wiedzieć? W każdym razie obok kręciło się stadko hien. Tanzańczyk na ten widok zatrzymał *UAZ-a*, którym jechali, wręczył mu lornetkę i kazał patrzeć, by przekonał się, do czego mogą być zdolni wywrotowcy. Zobaczył coś, czego nigdy nie zapomni. To był naprawdę olbrzymi lew, stary już i nie tak sprawny, jak kiedyś, ale nadal potężny drapieżnik, napawający przerażeniem każdego przeciwnika i ofiarę. Nawet na nim z tych stu metrów robił wspaniałe wrażenie. Hieny były dużo mniejsze, podobne do psów, garbate i obrzydliwe. Najpierw zebrały się jakieś dwadzieścia metrów od lwa, który próbował pożywić się swą zdobyczą. Hieny ruszyły i otoczyły lwa pierścieniem. Gdy wielki kot pochylił się nad ścierwem swojej ofiary, z tyłu podbiegała do niego hiena, gryząc w wypięte pośladki i genitalia. Lew obracał się, ryczał i rzucał się w pościg, ale hieny już dawno tam nie było. Kiedy tak stał i rozglądał się za bezczelnym maluchem, kolejna hiena atakowała go od tyłu i uciekała. Gdyby lew zdołał wreszcie którąś pochwyć, hiena miałaby wobec króla sawanny równie wiele szans, co

wieśniak z nożem wobec żołnierza z karabinem maszynowym. Ponieważ jednak mu się to nie udawało, nie był w stanie obronić nie tylko swej zdobyczy, ale nawet siebie. Po zaledwie pięciu minutach lew mógł się już tylko bronić, ale nawet z tym miał trudności, bo zawsze z tyłu czatowała jakaś hiena, gotowa capnąć go zębami za klejnoty, które starał się chronić, przyciskając zad do ziemi. Hieny zmusiły dumnego króla zwierząt do komicznego biegania w półsiedzącej pozycji i ciągłego manewrowania. I w końcu lew zrozumiał, że nic tu nie wskóra, odszedł w zapadający zmrok, nawet nie rycząc, ani nie oglądając się za siebie, a hieny rzuciły się na jego zdobycz, zanosząc się przypominającym chichot wyciem, jakby ciesząc się z niezasłużonego posiłku. I tak słabszy pokonał silniejszego. Lew będzie potem jeszcze starszy, jeszcze bardziej niezdolny do obrony, aż wreszcie przyjdzie dzień, w którym nie będzie już w stanie odeprzeć ataku hien na siebie samego. Prędzej czy później, mówił pułkownik, hieny go zabiją. Ta pogładowa lekcja stanęła teraz Badrajnowi przed oczyma tak wyraźnie, jakby dopiero wczoraj wrócił z Tanzanii. Spojrzał uważnie w oczy gospodarza.

— To jest możliwe.

20 — Nowa administracja

W Sali Wschodniej zebrało się ich trzydziestu, może czterdziestu. Jack zdziwił się, że wszyscy przyprowadzili ze sobą żony. Przechodząc przez salę uważnie przyglądał się twarzom. Niektóre mu się podobały, a i inne mniej, lub wcale. Podobali mu się ludzie, na których twarzach widział oszołomienie, podobne do jego własnego. Martwiły go twarze emanujące samozadowoleniem, pewnością i uśmiechnięte.

Jak się do nich odnosić? Tego nawet Arnie, mimo całego swojego doświadczenia, nie wiedział. Być mocnym i pogonić im kota? Jasne, a jutro przeczyta w gazetach, że mu się wydaje, iż jest królem Jackiem I. Brać to wszystko na spokojnie? Wtedy napiszą,

że jest słabeuszem i nie potrafi objąć przywództwa. Ryan zaczynał się obawiać prasy. Kiedyś nie było wcale tak źle. Był pszczołką-robotnicą, a takie mediów nie obchodziły. Nawet jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego za Durlinga był uważany za kukiełkę brzuchomówcy, mówiącą głosem prezydenta. Teraz było zupełnie inaczej i nie mógł powiedzieć żadnego słowa ani wykonać żadnego gestu, których by nie przekreśli. Waszyngton już dawno wyczerpał zdolności do obiektywnego pojmowania rzeczy. Wszystko było tu polityką, polityka była ideologią, a ideologia sprowadzała się do osobistych uprzedzeń. Nikt nie doszukiwał się nawet prawdy. Gdzie ci wszyscy ludzie się uczyli, że prawda nie miała dla nich najmniejszego znaczenia?

Jack patrzył na te twarze, zastanawiając się, jaki też bagaż ze sobą niosą. Może niemożność pojęcia mechanizmów, jakie rządziły tym cyrkiem była jego słabością, ale dotąd wiódł życie człowieka, którego pomyłki dosłownie zabijały, czy — w przypadku Cathy — oślepiały ludzi. Dla Jacka te ofiary to byli prawdziwi ludzie, którzy mieli nazwiska i rodziny. Dla Cathy to byli ludzie, których twarzy dotykała w sali operacyjnej. A dla polityków, były to tylko abstrakcyjne pojęcia i liczby, pozostające gdzieś na uboczu, przesłonięte znacznie im bliższymi ideami.

— Zupełnie jak w zoo — szepnęła Cathy, maskując tę uwagę czarującym uśmiechem. Wróciła do domu w ostatniej chwili, tylko dzięki śmigłowcowi, akurat na czas, by włożyć nową, białą jedwabną suknię i złoty naszyjnik, który Jack kupił jej na Gwiazdkę, tuż przed atakiem irlandzkich terrorystów.

— Tak, tylko ze złotymi kratami — odparł Jack, przyoblekając twarz w równie fałszywy uśmiech.

— Ciekawe, kim dla nich jesteśmy? — zapytała, gdy nowo mianowani senatorzy powitali ich oklaskami. — Lwem i lwicą? Bykiem i krową? Czy parą królików doświadczalnych, którym zaraz należą szamponu w oczy?

— To zależy od punktu widzenia, kochanie. — Ryan mocniej ujął rękę żony i razem podeszli do mikrofonu.

— Panie i panowie, witajcie w Waszyngtonie — zaczął i odczekał, aż ucichnie kolejna porcja oklasków. Jeszcze jedna rzecz, o której musi pamiętać: ludzie kwitują oklaskami właściwie wszystko, co dotyczy ich prezydenta. Nie mniejszy aplauz wywołałaby wiadomość, że w jego łazience są drzwi. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik małych kartek, na których prezydenci zawsze otrzymują główne punkty przemowy. Kartki przy-

gotowywała Callie Weston, a jej ręcznie pisane drukowane litery były na tyle duże, że nie potrzebował okularów.

— Nasz kraj ma potrzeby, a że kraj jest duży, to i potrzeby są niemałe. Znaleźliście się tutaj w tym samym celu, co ja. Mianowano was, byście zapełnili szczyby. Dostaliście zadania, których wielu z was nigdy nie oczekiwało, a niektórzy może nawet nie chcieli. — To było niepotrzebne pochlebstwo, ale pewnie chcieli je usłyszeć, a dokładniej chcieli, by kamery C-SPAN zainstalowane w sali zarejestrowały, że je usłyszeli. Na tej sali znajdowały się może ze trzy osoby, które nie były zawodowymi politykami. Wśród tej reszty pojawił się nawet jeden z gubernatorów, który dla senatorskiego fotela zamienił się ze swoim zastępcą nie tylko miejscem, ale nawet przynależnością partyjną i teraz objął godność senatora z przeciwnej partii, niż ta, której zawdzięczał całą swoją karierę polityczną. Był to numer tak bezczelny, że nawet gazety zamurowało i dopiero teraz zaczynały sobie na nim używać.

— To dobrze. Gotowość obywateli do służby na rzecz narodu ma bardzo długą tradycję, sięgającą co najmniej Rzymianina Cyncynatusa, który wiele razy stawał na wezwanie ojczyzny, by potem wracać do życia rodzinnego i uprawy roli. Jedno z naszych

wielkich miast nosi nazwę na jego cześć — dodał Jack, kłaniając się senatorowi z Ohio. Senator był z Dayton, w końcu parę kroków od Cincinnati.

— Nie bylibyście tutaj, gdybyście nie rozumieli przynajmniej części tych potrzeb. Ale nie o tym chciałem wam dziś powiedzieć. Moim właściwym przesłaniem jest to, że musimy pracować razem. Nie mamy czasu i, co ważniejsze, nasz kraj nie ma czasu na kłótnie i swary. — Znowu musiał przeczekać oklaski. Był wściekły, ale zdołał podnieść znad mównicy twarz obleczoną w maskę uśmiechu i wdzięczności.

— Panowie senatorzy, obiecuję, że łatwo będzie się wam ze mną współpracowało. Moje drzwi są zawsze otwarte, umiem odbierać telefon, a w razie potrzeby przez tę ulicę można przejść z obu stron. Jestem otwarty na dyskusje na każdy temat. Wysłuchuję każdego punktu widzenia. I nie ma dla mnie reguł innych, niż konstytucja Stanów Zjednoczonych, której przysięgałem strzec, chronić i bronić. Ludzie, którzy was tu wysłali, ci ludzie mieszkający poza waszyngtońską obwodnicą, oczekują od nas, że zrobimy swoje. Nie oczekują od nas stawania do kolejnych wyborów, ale wytężonej pracy i dania z siebie wszystkiego, na co nas stać. To my pracujemy dla nich, a nie oni dla nas. Mamy względem nich obowiązki. Robert E. Lee powiedział kiedyś, że obowiązek jest

najszczytniejszym słowem w naszym języku. Teraz to słowo jest jeszcze szczytniejsze i nawet ważniejsze niż wtedy, bo żaden z nas nie trafił tu z wyboru. Reprezentujemy ludzi w demokratycznym porządku, ale nie trafiliśmy tu w sposób, jaki ten porządek dyktuje. O ileż więc większe brzemień obowiązku spada na nasze barki.

Oklaski.

— Nie można nikogo obdarzyć większym zaufaniem, niż to, które stało się naszym udziałem. Nie jesteśmy szlachtą, której wysoki status i władza należą się z urodzenia. Jesteśmy sługami, nie panami, sługami tych, których zgoda dała nam władzę, jaką rozporządzamy. Naszym życiem kierują cienie gigantów. Dla was wzorem powinni być Henry Clay, Daniel Webster, John Calhoun i wielu innych członków waszej izby, którzy przynieśli jej szczyt. Pamiętajcie, o co na łożu śmierci zapytał Webster? Umierał, ale jego największą troską było to, jaki jest stan Unii. Dziś ten stan zależy od nas. To my o nim zdecydujemy. Lincoln nazwał kiedyś Amerykę ostatnią i największą nadzieją świata. Ostatnie dwadzieścia lat, jak nigdy, dowiodły słuszności tych słów szesnastego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— A teraz — Ryan zwrócił się prezesa Sądu Apelacyjnego Czwartego Okręgu, najwyższego rangą sędziego sądów apelacyjnych Ameryki — nadszedł czas na to, byście dołączyli do drużyny.

Sędzia William Staunton z Richmond podszedł do mikrofonu. Małżonki senatorów ujęły Biblię, a nowo mianowani senatorzy położyli na nich lewe dłonie, wznosząc prawe.

— Ja, senator stanu. . .

Ryan śledził uważnie zaprzysiężenie nowych senatorów. Byli przejęci swą rolą, co dobrze rokowało na przyszłość. Kilku z nich ucałowało na koniec Biblię, z przekonania religijnych, a może z powodu obecności kamer, któż to wie? A potem pocałowali żony, które w większości aż pojaśniały ze szczęścia. Rozległo się zbiorowe westchnięcie, a potem personel Białego Domu zaczął roznosić drinki, gdy tylko pogasły światełka nad kamerami. Ryan wziął z tacy szklaneczkę Perriera i zszedł z podium na środek sali, uśmiechem maskując zmęczenie i brak rutyny w wykonywaniu funkcji urzędowych.

* * *

Znowu przyszły fotografie. Ochrona na chartumskim lotnisku nie uległa zaostrzeniu i tym razem aż trzech Amerykanów robiło zdjęcia wysiadającym z samolotu ludziom. Każdy dziwił się, że pismaki jeszcze nie wyczyły tej historii. Kolumna rządowych limuzyn, chyba wszystkie, jakie w tym ubogim kraju udało się znaleźć, odwiozła pasażerów samolotu. Kiedy rozładunek i tankowanie dobiegły końca, *Boeing 737* odleciał na wschód, a trzech szpiedzy ruszyli do ambasady. Dwóch innych zajęło pozycje wokół kwater przeznaczonych dla irackich generałów. Ich lokalizację zawdzięczali wtyczce szefa placówki w sudańskim MSZ. Także i oni wrócili do ambasady po wykonaniu swoich zdjęć, więc laborant w ciemni w ambasadzie miał pełne ręce roboty, wywołując negatywy, robiąc odbitki i faksując je przez satelitę. W Langley Bert Vasco identyfikował twarze w towarzystwie dwóch ekspertów CIA. Na stole leżały akta z wcześniejszymi zdjęciami irackich generałów.

— Tak jak mówiłem — powiedział wreszcie Vasco. — To całe dowództwo wojskowe. Nie ma tu jednak ani jednego cywila z partii Baas.

— No to już wiemy, kto będzie kozłem ofiarnym — powiedział Ed Foley.

— Tak — kiwnęła głową Mary Pat. — Dzięki temu ci, którzy zostali, będą mogli ich aresztować, osądzić za zdradę i w ten sposób okazać wierność nowej władzy. Niech to szlag — podsumowała. — To za szybko poszło, — Szef placówki w Rijadzie nie zdążył nic załatwić, zresztą Saudyjczycy też nie zdążyli ogłosić programu pomocy dla nowych władz w Bagdadzie. A teraz było już za późno.

Ed Foley pokręcił głową z podziwem.

— Nie posądzałem ich o taką sprawność. Zdmuchnąć Własacza, czemu nie, ale pozbyć się wszystkich liczących się następców tak szybko i tak łatwo? Kto by się spodziewał?

— W pełni się z panem zgadzam — włączył się Vasco. — Ktoś musiał wynegocjować ten układ. Tylko kto?

— Do roboty, pszczołki — kwaśno uśmiechnął się Foley. — Dowiedźcie się. I to jak najszybciej.

* * *

To wyglądało jak jakiś koszmarny gulasz. W płytkich stalowych misach ciemna ludzka krew mieszała się z czerwonobrazowym przecierem z małych nerek, troskliwie nakryta filtrem pochłaniającym zabójczy dla wirusów ultrafiolet. Nie było tam od dawna żadnych ludzi. Teraz trzeba było tylko utrzymywać stabilny mikroklimat, a tym zajmowały się maszyny. Moudi i dyrektor weszli do laboratorium w ochronnych kombinizonach i zaczęli obchód. Drugie tyle krwi siostry Jeanne Baptiste trzymali w chłodni na wypadek, gdyby z pierwszą hodowlą wirusa ebola-Mayinga coś poszło nie tak. Zanim tu weszli, dokonali bardzo dokładnej kontroli aparatury filtrowentylacyjnej. Kontrola ta była wnikliwsza, niż wszystkie dotąd, gdyż w tej chwili ośrodek stał się dosłownie fabryką śmierci. Środki ostrożności zostały podwójnie zaostrzone i stosowane zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz ośrodka. Z tą samą troskliwością, z jaką starali się zapewnić wirusom najlepsze warunki do rozwoju i mnożenia się w tej sali, przekształcali wszelkie inne w śmiertelne pułapki dla wirusów, które zdołałyby się wymknąć spod kontroli. Każdy milimetr kwadratowy pozostałej części ośrodka był kilka razy dzien-

nie spryskiwany środkami dezynfekującymi. Z tego też powodu powietrze pobierane do sali hodowlanej musiało być dodatkowo filtrowane i oczyszczane z jakichkolwiek pozostałości środków, mogących zaszkodzić wirusom, a potem ponownie filtrowane i dezynfekowane, by nie zakazić reszty ośrodka.

— Naprawdę myślisz, że możliwe jest zakażenie drogą kropelkową?

— Ten szczep nosi nazwę od nazwiska pielęgniarki, która zaraziła się, mimo stosowania wszelkich środków ostrożności. Nasza pacjentka — Moudi wolał unikać wymawiania jej nazwiska — była pielęgniarką z czterdziestoletnim stażem i miała doświadczenie w pracy z wirusem ebola. Nie robiła zastrzyków i sama nie wiedziała, skąd mogła się zarazić. Biorąc to wszystko pod uwagę, uważam, że tak, należy domniemywać, że taka droga zakażenia istnieje.

— Mam nadzieję, Moudi, że się nie mylisz — szepnął pod nosem bardzo cicho dyrektor. Moudi usłyszał to jednak. — Trzeba będzie sprawdzić. . .

To będzie łatwiejsze, pomyślał Moudi. Tamtych przynajmniej nie znał osobiście. Zastanawiał się, czy miał rację co do drogi zakażenia. Może zakonnica popełniła jakiś błąd, tylko nie pamiętała o tym? Ale nie, przecież dokładnie oglądał jej ciało, szukając

jakiegokolwiek rany i nic nie znalazł. Siostra Maria Magdalena także nic nie znalazła. O czym to mogło świadczyć? Tylko o tym, że wirus szczepu Mayinga może przeżyć przez krótki czas w powietrzu, stanowiąc najpotężniejszą broń masowego rażenia, jaką mógł posiadać człowiek. To była broń silniejsza od jądrowej i tańsza od chemicznej, w dodatku taka, która sama się reprodukuje i przenoszona jest przez swoje ofiary, a potem wygasa wraz z nimi. Bo przecież epidemia wygaśnie. Tak jak wszystkie dotąd. Zawsze wygasały. Musiała wygasnąć, bo przecież. . .

A jeżeli nie wygaśnie?

Moudi chciał się w zamyśleniu podrapać w brodę, ale trafił na plastik kombinezonu. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. W Zairze i innych państwach afrykańskich epidemie wygasały mimo sprzyjających warunków klimatycznych. Ale z drugiej strony, Zair był państwem prymitywnym, o śladowej sieci dróg i chory nie zdążył oddalić się od ogniska epidemii zbyt daleko, zanim było już po wszystkim. Ebola kosił całe wioski, ale nie mógł wiele więcej. A jak to będzie w rozwiniętym kraju? Teoretycznie można by zakazić samolot, powiedzmy lot międzynarodowy na lotnisko Kennedy'ego. Pasażerowie na miejscu przesiądą się do innych samolotów. Być może już tam będą w stanie roznościć

chorobę, kaszląc i kichając. Zresztą, nawet jeśli nie, to i tak bez znaczenia. Wielu z tych pasażerów wkrótce będzie lecieć na innych trasach, roznosząc chorobę po najdalszych zakątkach globu.

Rozprzestrzenianie chorób to kwestia czasu i okoliczności. Im prędzej i dalej zostanie rozniesiona z centrum epidemii, tym większa szansa na rozprzestrzenienie. Tworzono nawet modele matematyczne mechanizmu roznoszenia, ale były to prace teoretyczne, oparte na równaniach z wieloma niewiadomymi, z których każda była w stanie zmienić wynik o rząd wielkości. To, że epidemia wygaśnie z czasem było pewne. Pytanie tylko, jak długi to będzie czas? To z kolei będzie zależęć od tego, ilu ludzi zostanie zainfekowanych, zanim podjęte środki ochronne przyniosą efekt. Ilu ludzi zachoruje? Jeden procent społeczeństwa? Dziesięć? A może pięćdziesiąt? Ameryka nie była krajem odludków. Każdy kiedyś stykał się z każdym. Wirus przenoszony drogą kropelkową z trzydniowym okresem inkubacji. . . Nie przeprowadzano chyba takiej symulacji, a w każdym razie Moudi o niej nie słyszał. Największa dotąd zairska epidemia choroby wywołanej wirusem ebola, w Kikwit, pociągnęła za sobą prawie trzysta ofiar śmiertelnych, a zaczęła się od jednego pechowego drwala. Od niego zaraziła się rodzi-

na, potem sąsiedzi, a potem to już poszło w postępie geometrycznym. Trzysta osób od jednego Przypadku Zerowego. A więc, skoro chce się osiągnąć lepszy wynik, wszystko zależy od zarażenia jak największej liczby ludzi na samym początku. Zacząć nie od jednego człowieka i jednej rodziny, ale od razu od setek ludzi i rodzin, a może nawet tysięcy? Od kilku tysięcy ludzi zarazi się kilkaset tysięcy następnych, a może nawet o rząd wielkości więcej — parę milionów. Z taką epidemią żadna służba zdrowia sobie nie poradzi. Być może w ogóle nie da się jej zatrzymać. Nikt nie znał możliwych konsekwencji umyślnego zainfekowania tysięcy ludzi w ruchliwym społeczeństwie rozwiniętym. Skutki mogły być wręcz globalne. Ale może nie? Nie, na pewno nie, uznał Moudi, zaglądając do nakrytych grubymi szybami zbrojonymi drutem mis, w których rozwijały się wirusy. Pierwsze pokolenie wirusa przeszło z nieznanego nosiciela i zabiło tego murzyńskiego chłopca. Drugie pokolenie też miało na sumieniu tylko jedną ofiarę, dzięki szczęściu i działaniom lekarzy. Trzecie pokolenie wirusa dojrzewało właśnie na jego oczach. Jak daleko zajdzie, jeszcze nie było wiadomo, ale kolejne generacje przesądzą o losie wrogiego kraju.

Teraz było łatwiej. Siostra Jeanne Baptiste miała twarz i głos, a jej życie było związane z jego życiem. Nie mógł sobie więcej pozwolić na powtarzanie tego samego błędu. Była wprawdzie niewierna, ale osobą prawą i teraz już pewnie trafiła przed oblicze Najwyższego. Allah w swojej łaskawości na pewno wysłuchał jego modlitw za jej duszę. W Ameryce, czy gdzie indziej, takich jak ona nie znalazłoby się zbyt wielu. Wiedział dobrze, że Amerykanie nienawidzili jego ojczyzny i wyśmiewali się z jego wiary. Mogli mieć nazwiska i twarze, ale on ich nie znał, a poza tym mieszkali dziesięć tysięcy kilometrów stąd. Telewizor można łatwo wyłączyć.

— Tak — powiedział. — To będzie łatwo sprawdzić.

* * *

— Słuchajcie — mówił George Winston do grupki trzech nowych senatorów — gdyby rząd federalny produkował samochody, to półciężarówka Chevroleta kosztowałaby osiemdziesiąt tysięcy dolarów i co dziesięć przecznic musiałaby tankować. Wy się znacie na tym, jak się robi interesy i ja się na tym znam. Razem możemy zrobić to lepiej.

— Naprawdę jest aż tak źle? — zapytał senator z Connecticut.

— Porównajcie dane dotyczące wydajności. Gdyby Detroit pracowało tak jak rząd, to wszyscy jeździlibyśmy już od dawna japońskimi samochodami — odparł Winston, dziobiąc senatora palcem w pierś. Cholera, trzeba będzie się pozbyć Mercedesa, albo chociaż odstawić go na jakiś czas, pomyślał.

— To tak jakbyście chcieli jednym radiowozem obstawić całe wschodnie Los Angeles — mówił Tony Bretano do pięciu innych, w tym dwóch z Kalifornii. — Nie mamy w tej chwili sił nawet na jeden PKR... Poważny Konflikt Regionalny — wyjaśnił nowicjuszom, widząc zdziwienie skrótom. — A przecież mamy, na papierze oczywiście, być zdolni do toczenia dwóch naraz i jeszcze powinno zostać sił na jakieś misje pokojowe i klęski żywiołowe. Prawda? Tak więc chcę dla swojego resortu szansy na restrukturyzację naszych sił tak, żeby najważniejsze znowu stały się jednostki bojowe, a tyły je wspierały, a nie odwrotnie. Księgowi i prawnicy też się przydają, ale rząd ma ich pod dostatkiem w Departamentach Sprawiedliwości i Skarbu, więc jeśli będziemy ich potrzebować, zawsze będzie ich skąd pożyczyć. Moja działka w rządzie to właściwie zadania policyjne, a nam brakuje policjantów na ulicach.

— Ale kto za to zapłaci? — zapytał młodszy senator z Kalifornii.

— Proszę pana, Pentagon to nie zakład pracy chronionej. O tym musimy pamiętać. Za tydzień będę miał już ocenę tego, czego mi potrzeba i przyjdę z nią na Wzgórze, a wtedy razem zastanowimy się jak to przeprowadzić, możliwie najmniejszym kosztem dla budżetu.

— A nie mówiłem? — zapytał cicho van Damm, przechodząc koło Ryana. — Pozwól im to robić za ciebie. Ty po prostu stój na środku i się uśmiechaj.

— Dobrze pan mówił, panie prezydencie — pozwolił sobie na ocenę nowy senator z Ohio, popijający whisky z wodą sodową. — Wie pan, jeszcze w szkole pisałem pracę o Cyncynatusie i...

— No cóż, wszyscy musimy pamiętać o tym, że dobro kraju należy stawiać ponad własnym — odparł Jack.

— Jak pani godzi swoje obowiązki i znajduje czas na leczenie ludzi? — zainteresowała się żona senatora z Wisconsin.

— Oprócz tego jeszcze uczę, i to dla mnie najważniejsze — kiwnęła głową Cathy, żalując że przez te szopki nie może usiąść na górze nad notatkami i zająć się historiami chorób swoich pacjentów. Trudno, jutro je przejrzy w śmigłowcu po drodze. — Ni-

gdy nie przerwę swojej prawdziwej pracy. Przywracam wzrok niewidomym. Kiedy im potem zdejmuję bandażę, to jest dla mnie najpiękniejszy widok na świecie. Naprawdę.

— Nawet piękniejszy ode mnie, kochanie? — zapytał Jack, obejmując ją ramieniem. Może to i racja, pomyślał. Arnie i Callie mówili mu, że musi ich oczarować.

* * *

Lawina ruszyła. Pułkownik przydzielony do pilnowania pięciu duchownych szyickich wszedł za nimi do meczetu i tam, pod wrażeniem nastroju chwili, zaczął się z nimi modlić. Na koniec najstarszy z mułłów przemówił do niego, gęsto posiłkując się ulubionymi wersetami z Koranu, nawiązując porozumienie. To przypomniało pułkownikowi jego dzieciństwo i ojca, człowieka honoru i wielkiej wiary, zanim partia Baas zmusiła go do jej porzucenia. Ludzi każdej kultury urabia się w ten sam sposób. Trzeba im dać mówić, prawidłowo odczytać ich słowa, a potem wybrać odpowiedni do tego sposób i temat rozmowy. Mułła był irańskim duchownym od ponad czterdziestu lat, miał ogromne doświadczenie w doradzaniu ludziom, rozwiązywaniu ich problemów, zarówno duchowej, jak doczesnej natury, toteż czytał w swoim strażniku, człowieku, który miał ich zabić

na rozkaz swoich przełożonych, jak w otwartej księdze. Generałowie pozwolili sobie na błąd, wybierając człowieka im wiernego, a nie najemnika. Człowiek wierny komuś lub czemuś, to człowiek zasad, a tacy ludzie są podatni na przeorientowanie, jeżeli przedstawi im się ideę wyraźnie lepszą od tej, którą obecnie wyznają. A pod tym względem nie było absolutnie wątpliwości, że islam, ze swoją długą i szczytną tradycją, bije na głowę reżim, któremu wierność ślubował pułkownik.

— To musiała być ciężka walka, tam, na bagnach — powiedział duchowny po kilku minutach rozmowy, gdy zeszła ona na stosunki pomiędzy oboma muzułmańskimi krajami.

— Wojna jest złem. Zabijanie nigdy nie sprawiało mi przyjemności — zwierzył się pułkownik. Ni stąd, ni zowąd łzy napłynęły mu do oczu, gdy przypomniał sobie, co robił przez te lata. To, co robił, nie sprawiało mu przyjemności, ale pod wpływem rzeczy, które widział, przestał już odróżniać niewinnych od winnych, prawych od zepsutych i wykonywał to, co mu polecono, tylko dlatego, że to był rozkaz, a nie dlatego, że wierzył w to, co robił. Teraz nagle to wszystko stanęło mu przed oczyma.

— Człowiek jest omylny, czasem się potyka, ale przez słowa Proroka zawsze może odnaleźć drogę do miłościwego Allacha. Ludzie zapominają o swoich obowiązkach, ale Allach nigdy. — Muła położył rękę na ramieniu oficera. — Mam nadzieję, że nie skończyłeś modlitw na dzisiejszym dniu. Razem będziemy się modlić do Allacha i razem odnajdziemy spokój dla twojej duszy.

Potem wszystko poszło jak z płatka. Pułkownik wiedział już, że generałowie wyjeżdżają, a on wcale nie miał zamiaru dać się dla nich zabić. Miał natomiast zamiar wrócić na drogę prawdziwej wiary, zwłaszcza jeżeli dzięki temu mógł przeżyć i utrzymać się w wojsku. Zebrał dwie kompanie żołnierzy, zorganizował im spotkanie z irańskimi duchownymi i odebrał od nich rozkazy. Żołnierzom było łatwiej, oni tylko wykonywali rozkazy oficerów, jak zwykle. Żadnemu nie przeszło nawet przez myśl nic innego.

O świcie kopniaki wyważyły drzwi w wielu willach w najlepszych dzielnicach Bagdadu. Część mieszkańców spała, część była pijana jak bele, a część siedziała na walizkach, próbując, wzorem najwyższego dowództwa, wiać gdzie pieprz rośnie. Dla nich wszystkich zrozumienie tego, co się dzieje wokół, przyszło za późno. Często tylko minuty wyznaczały różnicę pomiędzy dostatnim życiem a gwałtowną śmiercią. Kilku sta-

wiało opór, a jeden, któremu prawie się udało uciec, zginął wraz z żoną, przecięty niemal na pół długą serią z Kałasznikowa. Pozostałych zawleczono do ciężarówek, ale i oni wiedzieli, co ich czeka.

* * *

Ręczne krótkofalówki nie były kodowane z racji małego zasięgu. Mimo to Sztorm dysponował tak czułymi antenami, że odbierał rozmowy przez nie prowadzone, choć sygnał był bardzo słaby. Poszczególne grupy meldowały nazwiska zatrzymanych, które oficerowie wywiadu radioelektronicznego w King Chalid skrzętnie notowali. Do Langley powędrowały alarmowe depesze o najwyższym priorytecie.

* * *

Ryan właśnie odprowadzał do drzwi ostatnich senatorów, gdy podeszła Andrea Price.

— Te buty mnie wykończą, a jutro mam dwie operacje... — mówiła właśnie Cathy, ale widząc minę agentki przerwała.

— Panie prezydencie, pilne wiadomości.

— Irak?

— Tak, panie prezydencie.

Jack pocałował żonę.

— Idźcie spać, ja pewnie późno wrócę.

Cathy nie miała innego wyboru, jak tylko kiwnąć głową i ruszyć do windy; w jej drzwiach już czekał kamerdyner. Dzieci pewnie są już w łózkach. Prace domowe, bez wątplenia z pomocą ochroniarzy, zostały poodrabiane. Obejrzała się za Jackiem i zobaczyła jego plecy, znikające za zakrętem korytarza prowadzącego do przejścia do Zachodniego Skrzydła i Sali Sytuacyjnej.

— Mów — odezwał się prezydent, wchodząc.

— Zaczęło się — powiedział Ed Foley z ekranu na ścianie. Teraz mogli tylko czekać na rozwój wypadków.

* * *

Iracka telewizja państwowa od rana witała nowy dzień w zmienionej rzeczywistości. Zdumieni telewidzowie usłyszeli wiadomości zaczynane przez spikerów od inwokacji do Allacha. Spikerki w ogóle zniknęły z ekranu.

— Hosanna — z udawanym zapalem religijnym zaintonował tonem telewizyjnego kaznodziei dyżurny sierżant ze stacji Palma. Program był ogólnokrajowy, więc odbierali go ze stacji przekaźnikowej w pobliżu Basry. Odwrócił się od monitora i podniósł rękę, machając w kierunku dyżurki.

— Panie majorze! — zawołał kuwejckiego oficera wywiadu.

— Tak, tak, szefie — pokiwał głową major Sabah, podchodząc. Jego przewidywania sprawdziły się co do joty. Wprawdzie przełożeni wyrażali wątpliwości, ale oni zawsze mieli wątpliwości. Nie znali przeciwnika tak dobrze jak on. Spojrzał na zegarek. Dopiero za dwie godziny będą w biurach. To i tak bez znaczenia. Pośpiechem nic się nie zwojuje. Tama pękła i woda się rozleje. Czas na jej powstrzymanie minął.

Spiker mówił, że w tej nadzwyczajnej sytuacji wojsko przejęło władzę w kraju. Tak, jakby dotąd miał ją kto inny, uśmiechnął się Sabah. Uformowała się Rada Sprawiedliwości Rewolucyjnej. Winni zbrodni przeciw narodowi (Cóż za użyteczna formuła!) zostali aresztowani i będą sądzeni za swe zbrodnie. Dzień dzisiejszy ogłasza się świętem narodowym. Działać będą tylko zakłady pracujące w ruchu ciągłym i zakłady użyteczności publicznej. Reszcie obywateli zaleca się spędzić ten dzień na modłach o pojednanie narodowe, podstawę odbudowy życia społecznego. Światu obiecano, że nowy Irak będzie państwem miłującym pokój. Reszty niech się domyśli.

* * *

Darjajei sporo już rozmyślał nad tym wszystkim. Spał tylko trzy godziny przed porannymi modłami. Odkrył, że im jest starszy, tym mniej snu potrzebuje. Zapewne jego organizm rozumiał, że czasu zostało już niewiele; znalazł za to czas na sny. Darjajei śnił o lwach. O martwych lwach. Lew był symbolem perskiego cesarstwa. Badrajn miał rację, lwa można zabić. Te prawdziwe, które kiedyś zamieszkiwały Persję, zanim stała się Iranem, wytrzebiono do szczętu już dawno. Te symboliczne, dynastię Pahlavich, także

udało się wytrzebić, umiejętnie dozując upór, cierpliwość i bezwzględność. Sam przyłożył rękę do tego złośliwego dzieła. Metody do niego prowadzące nie były zawsze równie złośliwe. Sam rozkazał kiedyś podpalenie zatłoczonego kina, w którym setki ludzi zginęły w strasznych męczarniach. To było jednak konieczne, niezbędne w jego kampanii, która doprowadziła Persję do powrotu na ścieżkę prawdziwej wiary. Żałował tych ludzi i modlił się regularnie o przebaczenie za ten czyn, ale nie żałował go ani trochę. On był bowiem mieczem w ręku Boga, a Koran głosi potrzebę prowadzenia Świętej Wojny w obronie wiary.

Szachy były kolejnym darem Persji dla świata. Nauczył się tej gry w dzieciństwie. Niektórzy twierdzą wprawdzie, że gra jest hinduska, ale ciekawe dlaczego w takim razie nazwa wywodzi się z farskiego, bo „szach” to przecież po persku „król”, a słowa kończące grę, „szach mat” znaczą „król nie żyje”. Wyrósł z gier, ale zapamiętał, że dobry gracz myśli nie na jedno, ale na trzy albo cztery posunięcia naprzód. Jedyne problemy z szachami, podobnie jak z życiem, polegały na tym, że jeżeli przeciwnik jest utalentowanym graczem, to może podsuwać nam narzucające się rozwiązania, maskując nimi prawdziwe zamiary. Czasem, wybiegając myślą zbyt daleko naprzód, traci się z oczu to, co

zagroza w najbliższym ruchu. Gra rozwija się i może przybrać różny obrót, do samego końca trudno przewidzieć, jak się to wszystko skończy. Gracz, który traci z oczu sytuację na szachownicy, może się nagle znaleźć na odsłoniętej pozycji, bez pionów i bez pola do manewru. Jedyne co mu pozostaje, to poddać grę, zanim przeciwnik go wykończy. Do takiej sytuacji doszło właśnie dziś rano w Iraku. Przeciwnik, a właściwie cała ich banda, poddali grę i uciekli, a Darjaei z przyjemnością na to przystał. Uniemożliwienie im tej ucieczki leżało w jego możliwościach i nawet sprawiłoby mu jeszcze większą przyjemność, ale celem gry nie była satysfakcja, tylko wygrana. A wygrana znaczyła, że jego ruch okazał się na tyle zaskakujący, że przeciwnik pogubił się, a, zmuszony do obrony, tracił czas. W meczu szachowym, tak jak w życiu, czas jest ograniczony i właśnie minął.

Tak jak z lwami. Nawet potężnego króla zwierząt o wiele mniejsze i słabsze stworzenia mogą pokonać, jeżeli czas i sposobność sprzyjają. To był wniosek i zarazem lekcja na przyszłość. Darjaei zakończył poranne modły i kazał wezwać Badrajna. Ten młody człowiek okazał się zręcznym taktykiem i łowcą wiadomości. Potrzeba mu było

jeszcze wiele wiedzy z zakresu strategii, ale jeśli weźmie go pod swoje skrzydła, może być z niego jeszcze duży pożytek.

* * *

Jedynym wnioskiem z całogodzinnej dyskusji w gronie najlepszych specjalistów Ameryki była konstatacja, że prezydent nie jest w stanie nic zrobić w tej sprawie. Trzeba po prostu czekać na rozwój wypadków, nie ma innego wyjścia. To mógł zrobić akurat każdy, ale eksperci uważali, że zareagują na rozwój wydarzeń szybciej niż zwykli obywatele. Prezydent wyszedł z sali i poszedł schodami na górę, a potem na zewnątrz, stając w drzwiach i patrząc na deszcz, w którym mókł Południowy Trawnik. Typowy marcowy dzień, zaczął się mrozem, kończył deszczem.

— To powinno załatwić resztę śniegu — powiedziała Andrea, sama dziwiąc się, że odezwała się nie pytana.

Ryan odwrócił się i uśmiechnął.

— Wiesz, Price, zadziwiasz mnie. Pracujesz ciężiej ode mnie, a przecież jesteś. . .

— Kobieta? — dokończyła, zauważając wahanie w głosie prezydenta.

— Przepraszam, zdaje się, że mój szowinizm znowu pokazał swój ohydny łeb. Tak naprawdę, to chciałem poprosić o papierosa. Rzuciłem palenie parę lat temu. . . To znaczy, Cathy mnie zmusiła do rzucenia palenia parę lat temu, zresztą nie po raz pierwszy. — Znowu się uśmiechnął. — Jak się człowiek ożeni z lekarzem, to czasem ma za swoje.

— Jak się człowiek w ogóle ożeni, to czasem ma za swoje, panie prezydencie — odparła Andrea. Ona związała się na całe życie ze Służbą, z mężczyznami jakoś nie wychodziło. Po dwóch próbach dała sobie spokój. A podobno tylko mężczyźni bez reszty mogą się oddać pracy i teraz znowu ten temat wyszedł. Przecież to takie proste, a oni nadal nie mogli się z tym pogodzić.

— Dlaczego my to robimy, Andrea?

Agentka Price też nie wiedziała. Na początku prezydent był dla niej wzorcem, człowiekiem, który powinien sam znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Dziesięć lat służby w Oddziale sprawiło, że teraz już nie miała złudzeń. Za młodu kimś takim był dla niej jej ojciec. Potem dorosła, ukończyła naukę, wstąpiła do Tajnej Służby i szybko pięła się w górę po śliskiej drabinie kariery zawodowej, trochę gubiąc się w życiu po drodze.

Teraz zaszła na szczyt zaplanowanej drogi i miała na co dzień do czynienia z „ojcem narodu”, tylko po to, by się dowiedzieć, że życie nie pozwala ludziom dowiedzieć się wszystkiego, co chcieliby wiedzieć. I bez tego miała ciężką pracę. Jego zadanie było jeszcze trudniejsze i chyba taki uczciwy, honorowy człowiek jak John Patrick Ryan, niezbyt do tego pasował. Twardemu skurwielowi ta praca mogłaby wyrządzić mniejszą krzywdę.

— Ty też nie wiesz? — uśmiechnął się Ryan, spoglądając w deszcz. — Pewnie powinienem sobie powiedzieć, że ktoś to musi robić. Jezu, dopiero co próbowałem uwieść trzydziestu facetów naraz, możesz to sobie wyobrazić? Uwieść, zupełnie jak panienki z koledżu i zupełnie jakbym był tego rodzaju facetem. Kurwa, ja się do tego nie nadaję! — Zamilkł i pokręcił głową. — Przepraszam.

— Nie ma sprawy, panie prezydencie. Zdążyłam już w życiu parę razy usłyszeć to słowo, i to nawet z ust pana poprzedników.

— Masz kogoś, komu możesz się zwierzyć? Kiedyś zwierzałem się ojcu, księdzu, Jamesowi Greerowi, kiedy razem pracowaliśmy, potem Rogerowi. A teraz nagle wszyscy przybiegają ze swoimi problemami do mnie. Wiesz, w podchorążówce Korpusu

w Quantico mówili nam, że dowódca jest człowiekiem samotnym. Wtedy myślałem, że sobie żartują. Okazało się, że to prawda.

— Ma pan wspaniałą żonę, panie prezydencie — odparła Price, zazdroszcząc im wzajemnych stosunków.

— Każdy uważa, że zawsze jest ktoś mądrzejszy od niego, ktoś, do kogo się chodzi, gdy człowiek nie jest czegoś pewny. A teraz wszyscy walą do mnie jak w dym. Ja nie jestem aż tak mądrym człowiekiem! — przerwał i dopiero teraz dotarło do niego to, co mówiła Price. — Masz rację, ale Cathy ma już wystarczająco dużo na głowie i nie chcę jej dorzucać jeszcze swoich problemów.

Price postanowiła spróbować trochę rozluźnić atmosferę.

— Panie prezydencie — powiedziała, śmiejąc się — właśnie wyłazi z pana męski szowinista.

— Słucham?! — Ton głosu zupełnie nie pasował do miny prezydenta i śmiechu, który po tym nastąpił. — Tylko nie mów dziennikarzom o naszej rozmowie — poprosił.

— Panie prezydencie — nieco urażonym tonem odparła Price — dziennikarzom nie mówię nawet, gdzie jest łazienka.

Ryan ziewnął.

— Co się szykuje na jutro?

— Poranek zdominuje na pewno sprawa Iraku, będzie pan pewnie cały dzień siedział w Gabinetcie. Korzystając z tego zrobię sobie obchód i posprawdzam ochronę pańskich dzieci. Potem będziemy mieli naradę nad tym, czy nie pora już wysadzić Pierwszą Damę ze śmigłowca. . .

— Z tym jest pewnie problem, co?

— Pierwsza Dama, która ma prawdziwy zawód, to dla nas nowość.

— Prawdziwy zawód, kurczę! Przecież ona od dziesięciu lat, odkąd odszedłem z giełdy, zarabia więcej pieniędzy ode mnie! Jakoś tym się gazety nie chcą zająć. Przecież ona jest wspaniałym lekarzem.

Oho, słowa mu się zaczynają plątać. Jest już za bardzo zmęczony, żeby trzeźwo myśleć. No cóż, prezydentom też się to zdarza.

— Pacjenci ją kochają, tak mówi Roy. W każdym razie, jutro zajmę się ochroną dzieci. To rutynowa kontrola. Jako szef ochrony odpowiadam za bezpieczeństwo całej

rodziny. Jutro zastąpi mnie przy panu agent Raman. To doskonały chłopak, szybko idzie w górę.

— To ten, który podał mi kurtkę strażacką tam, na Wzgórzu, pierwszej nocy, żeby mnie wtopić w otoczenie?

— Pan o tym wiedział? — Price była zaskoczona.

Prezydent odwrócił się i wszedł do sieni. Uśmiech na jego twarzy świadczył o zmęczeniu, ale w jego niebieskich oczach zapaliły się figlarne iskierki.

— Aż taki głupi to ja nie jestem, Andrea.

Nie. Jednak skurwieli nie byłby lepszy na tym stanowisku.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO